

Tadeusz Breza

Spizowa Brama

OD AUTORA

W latach od roku 1955 do roku 1958 pracowałem w Rzymie. Byłem kierownikiem attachatu kulturalnego naszej ambasady. Pierwszy rok zeszedł mi na przystosowaniu się do kraju, języka, klimatu i pracy biurowej. Ale po tym wstępnym okresie odezwała się we mnie tęsknota za pisaniem. Przez dwadzieścia pięć lat uprawiałem to rzemiosło, powstały więc silne nawyki. Ogłuszone na początku całkowitą odmianą trybu życia – odzyskały głos i zaczęły się dopominać o swoje prawa. Roboty związanej z ambasadą było jednak dużo. Nie był to rodzaj pracy wyczerpujący, zajęć jednak było mnóstwo, nie tylko w godzinach biurowych, lecz przez całą resztę dnia po trochu. O skupieniu się więc w dniu powszednim nie było mowy. Pozostawały wolne niedziele, święta, okresy urlopowe. Wszystko to zużyłem na książkę. Najchętniej piszę powieści. Kto je pisał, wie, że nie mogą one powstawać w dniu tak z rzadka rozstawione. Praca nad powieścią wymaga o wiele ściślejszej ciągłości niż ta, na którą mogłem sobie pozwolić. Orientując się w tym postanowiłem na razie zbierać materiał. Żadnego zamysłu ani tematycznego pomysłu nie miałem, początkowo więc robiłem notatki bez określonego pionu. O ile jednak nie wiedziałem, do czego chcę zbierać materiał, dość szybko zorientowałem się, jakiego materiału zbierać nie chcę. Przez Włochy przesuwa się rocznie piętnaście milionów turystów, a ponieważ literaci lubią się kręcić po świecie, wśród tych milionów mogłem się domyślać znacznego procentu ludzi pióra. Ponieważ domysł sam przez się jest rzeczą niepewną, dodam więc jeszcze, że potwierdzały go coroczne setki pozycji poświęconych pobyтови w Italii, na które natykałem się w księgarniach włoskich, a przede wszystkim w tym mnóstwie różnojęzycznych księgarni rzymskich. Otóż powiedziałem sobie, że skoro taką ilość już się napisało i bez wątpienia pisać się będzie o słonecznej Italii, jej pięknie, jej zabytkach, jej sztuce i jej ludziach, na pewno ta ilość lada moment przejdzie w jakość, może nawet z uwagi na tę ogromną ilość w jakość doskonałą, po cóż więc powtarzać te same rzeczy i chyba gorzej.

Zresztą będąc krótko w jakimś kraju ma się ochotę opisywać wszystko, będąc dłużej, spojrzenie i zaciekawienie niejako się specjalizuje. Pewnego dnia ujrzałem, że i ja na terenie tego kraju mam swoją specjalność. Czemu opowiedziałem się akurat przy tej, której poświęcona jest niniejsza książka, nieraz się zastanawiałem. Nie był to wybór świadomy. Po prostu z początku chętniej notowałem rzeczy z zakresu tej mojej późniejszej specjalności. Chętniej, coraz chętniej, a potem już wyłącznie. Ale, jak powiadam, nie była to premedytacja. Więc co? Niewątpliwie przy wyborze odegrała tu dużą rolę własna tematyczna wrażliwość i zaciekawienie. Lecz również fakt bezsporny, że tą moją dziedziną rzadko który ze wspomnianych literackich turystów specjalnie się interesował. Pozostawała więc ta dziedzina nieomal wolna, nienaruszona, wspaniała. To mnie pociągnęło jako piszącego. Nie tylko to. Włochy, istna ziemia obiecana dla literatów, posiadają niejedną nie naruszoną przez turystów, dziewiczą tematykę; ta, o której mówię, miała dla mnie jeszcze jeden dodatkowy walor, mogę go nawet nazwać kulminacyjnym. Oto w miarę przebywania w Italii poczęło mi się wydawać, że dziedzina, o której piszę, jest decydująca. Specjalność wspomniana zaczęła w moich oczach urastać, tak że skłonny byłem uważać, że rzuca ona cień na wszystko. Autor przywiązuje się do swojego tematu. Często zdarza się, że absolutyzuje go. Jeśli chodzi o mój wypadek, o tę moją specjalność, oczywiście trudno mi ocenić, czy tu nie nastąpiło coś podobnego. Dodam jednak dla mojej obrony, że w sposobie widzenia rzeczy, który sobie przyswoilem, nie jestem wyjątkiem. Spotkałem mnóstwo ludzi, Włochów i nie-Włochów, którzy uważali, że to, co się mówi, to, co się myśli, i to, co się postanawia po drugiej stronie rzeki, jest dla Italii decydujące. Al di la del liume! Fiume – to rzeka. Rzeka – to Tybr. Na Zatybrzu zaś, jak wiadomo, jest Watykan. Biura jego rozsiane są po całym Rzymie. Niektóre watykańskie ministerstwa, zwące się Świętymi Kongregacjami, mieszczą się w lewobrzeżnych pałacach, daleko od swojej centrali. Biura wikariatu rzymskiego, czyli kurii papieża jako biskupa Rzymu – również. Tak samo jak wszystkie wielkie watykańskie trybunały. Niemniej przeto o wyrokach czy decyzjach tych

trybunałów czy urzędów mówi się, że zapadły za r z e ką. Mówi się: za rzeką postanowili, za r z e ką nie życzą sobie tego czy owego, za rzeką jeszcze się nie wypowiedzieli. Nie jest to jedyne wyrażenie zastępcze. Znam ich kilka. Na przykład analogicznie do za rzeką – mówi się też: z a spiżową bramą. Chodzi w tym wypadku o jedno z wejść, paradne, frontowe, do pałaców watykańskich. Stąd „Spiżowa brama” – tytuł mojej książki. Zbierając materiał, zawsze ściśle związany z określoną wyżej specjalnością, spostrzegłem, że nigdy nie piszę o religii. Brzmi to dziwnie, zważywszy wybraną przeze mnie dziedzinę. Ale bo też dziedzina, która do mnie przemówiła, ma jak medal dwie wyraźne strony. Jedną mistyczną, wspólną, jak się zdaje, wszelkim religiom. Rozgrywa się ona we wnętrzu człowieka, a jeśli uzewnętrznia się zbiorowo, to zawsze pod znakiem wewnętrznych przeżyć. Druga strona medalu nie jest wcale mistyczna. Jest konkretna, ziemską, namacalną, dobudowana do tej pierwszej strony. Tylko ta dobudówka interesuje mnie. Jest ona kolosalna. Wielu przeciwników Kościoła nie widzi w Kościele nic poza nią. To błąd, ale to nie ich wina. To raczej wina tych, którzy wszystko chcieliby podporządkować interesom tej dobudowy. Materiał wiąże w jedno specjalność, która mi przewodziła przy jego zbieraniu. Pod względem zewnętrznym jest on bardzo różny. Są to zanotowane rozmowy, spotkania, historie, zdarzenia, najczęściej w formie rozprawek czy esejów. Jeśli na początku, przystępując do nich, myślałem o notatkach do powieści, szybko zarzuciłem to podejście. Notowałem wiele rzeczy na gorąco, niemniej nie jest to już surowiec. W książce czytelnik znajdzie pewną ilość informacji oraz pewną ilość sądów. Chcę zaznaczyć, że nie one były moją naczelną troską. Naczelną i jedyną były różne spostrzeżenia i myśli nie skażone, na miarę mojej bezstronności, żadnym z góry przyjętym punktem widzenia czy założeniem. Co do zdarzeń, rozmów, spotkań oczywiście wszystkie one są prawdziwe. W zasadzie również podaję autentyczne nazwiska rozmówców, jeśli je podaję. Czasami jednak rozumiejąc, że nie mogę wymienić osoby, zastępuję nazwisko pierwszą literą, najczęściej zresztą umowną. Niekiedy tylko używam fikcyjnych imion i nazwisk, ponieważ obcowanie z postaciami, występującymi w dłuższych partiach książki, a nazwanych tylko literami, byłoby dla czytelnika

męczące. Notatki zaopatruję w daty, zgodnie z tym, jak powstawały. Niekiedy pisałem jedną przez wiele wolnych dni. Data podana przed notatką oznacza wtedy, kiedy zaczynałem.

Fiuggi, 6 czerwca 56 r

W Fiuggi pije się wodę, ot, i po to tylko jestem w tej miejscowości. Piję ją co rano na czczo, od sześciu do dwunastu szklanek. Potem już nie zdążam na śniadanie, tylko od razu na obiad.

Następnie śpię, wstaję, idę na spacer, jem kolację, idę się przejść milkę, jak radzili ojcowie, i powracam do łóżka.

„Woda wymaga ruchu”, takiego zdania jest doktor, do którego idzie się pierwszego dnia po

przyjeździe. Pić więc należy chodząc, a poza tym chodzić, chodzić, chodzić.

W dole tuż przy kurkach z wodą i przy edico-lach – przeznaczonych na jej odpływ – rojno.

Gra radio na przemian z orkiestrą. Gęsto od panów, pań, dzieci, księży, zakonników, chłopów, chłopiek, mniszek i karabinierów. Ja przechadzam się powyżej, gdzie nie dolatuje zgiełk orkiestry

i nawet głośnik wypada przytłumiony. Jest i tu edicolo, pojedynka, na cały obszar ogrodu jedno,

więc tłok, że czasem zdarzy mi się z ogonka szurnąć w krzaki. W takich wypadkach przed

skokiem w chaszczę obyczaj tutejszy wymaga, by uśmiechnąć się blado i rzucić w przestrzeń na

wytłumaczenie: „Trudno! Efekty kuracji!”

Mam kamyczek wielkości matej fasoli, który opuścił nerkę i sam o własnej sile odbył

dziewięć dziesiątych drogi ku „Morzu Żółtemu”, jak powiedział mi wspomniany wyzpiej doktor,

mając na myśli pęcherz. Pytam go, czy tutejsze wody poradzą na mój kamień. Tym razem z ust

jego pada nie sentencja ani żadna metafora, tylko próbka czegoś, co można by ostatecznie

zakwalifikować jako zastosowanie do rzeczy zwyczajnych Russellowskiego trybu rozumowania:

„poprzez wyższą analogię”. Doktor ze zbiorów uzdrowiska pokazuje mi trzy kamienie do mojego

analogiczne. Kamień jakiegoś generała, jakiegoś ministra i kardynała, którego nazwisko

zapamiętałem, bo przed wojną był nuncjuszem w Polsce, kardynała Lauri. – No i co? – mówi

doktor patrząc na kamienie z powagą – pański też wyjdzie! – Trudno mi oddać ton jego głosu. Bo

pobrzmiwa w nim i duma, że tutejsze wody miały takich pacjentów, i ironia w stosunku do

mnie, że mogę mieć jakieś wątpliwości z kamieniem analogicznym, i to na moim towarzyskim

szczeblu.

Fiuggi, 8 czerwca 56 r.

Mam tu dwa ulubione spaceru. Pierwszy zaczyna się za miasteczkiem. Trzeba przez nie

przedefilować, okrążyć park z pijalnią wód, po którym błakają się skrupulanci, którzy z broszurki

kuracyjnej dowiedzieli się, że można również ranną parolitrową porcję dopełnić popołudniową

szklaneczką. Potem droga prowadzi lekko w górę. Początkowo jest mało przyjemna, ponieważ na

sporym odcinku jeszcze nie jest szosą, a już nie jest bitą drogą. Właśnie ulega transformacji.

Robota toczy się pomalutku, dwie ciężarówki krążą z materiałem, parę wózków z osiołkami w

zaprzęgu pełni drobniejsze czynności, kilku ludzi tłucze kamienie, a kilku innych rozsypuje

świeżo przywieziony gruz po nawierzchni przyszłej szosy. Kurzawy z tego na pół kilometra.

Z wielkiej tablicy umieszczonej zaraz na początku odcinka, dźwigającego się na wyższy

szczebel postępu, można się dowiedzieć, że roboty wykonywane są z funduszu na zwalczanie

bezrobocia. U góry tablicy wypisane jest wielkimi literami: CASSA DEL MEZZOGIORNO. Jest

to rządowy gigant oparty na budżecie państwowym, mający poprzez cały plan najróżniejszych

inwestycji podźwignąć ekonomicznie i kulturalnie zacofane południe Włoch. Z pism i dodatków

filmowych wiem, że CASSA dokonuje niemało wielkich prac. Tutejsza jej sprawka – niewielka.

Szosa, którą finansuje – krótka. Prowadzi ona ku terenom golfowym, jak wskazuje obok wielkiej

tablicy inna mała tabliczka. Tych mniejszych tabliczek jest jeszcze kilka. Potem następuje brama

z napisem: Goli Club Fonle Fiuggi i wreszcie jestem u celu mego spaceru: na wielkiej łące,

porosłej gęstą, wysoką trawą, makami, macierzanką, dzwonkami i mnóstwem różnokolorowych

polnych kwiatów, który nazwy nie znam.

Dalej gęsty las liściasty, ale i łąka nie jest bezdrzewna. W pojedynkę rosną graby, dęby i

olszyna. Zaraz za bramą ogród owocowy i niewielki park. W tym parku casina, czyli w tym

wypadku klubowy drewniany domek, z którego wypożyczam leżak. Nie przeszkadzam grającym

ani oni mnie, po prostu dlatego, że ich nie ma. Custode, czyli po naszemu dozorca tej casiny,

mówi, że „sezon jeszcze na nich nie przyszedł”. Mogę tylko błogosławić ich nieobecność i

godzinami wdychiwać zapach ziół, sycić słuch cykadami, rytmicznie, szybko

akompaniującymi  
ciszy, i wreszcie patrzeć, patrzeć i patrzeć.  
Drugi spacer zaczyna się inaczej. Żeby go wykonać, trzeba podjechać ni to  
tramwajem, ni to  
kolejką z Fiuggi Fonte do Fiuggi Citta. Jest to miasteczko – jak tyle ich tutaj  
na przestrzeni całej  
Kampanii i w Abruzzach – osadzone na szczycie wzgórza. Z daleka robi wrażenie  
jakiejs  
krystalicznej erupcji geologicznej. Z bliska jest jeszcze dziwniejsze poprzez  
stromość albo po  
prostu przez ciągłe schody w miejsce ulic, przez dziwny porządek  
architektoniczny, wskutek  
którego stoki wzgórza wydają się być nasadzone domkami. Moje Fiuggi Citta jest  
malutkie.  
Zawsze po wyjściu z tramwaju obchodzę jego skromne zabytki i w dziesięć minut  
jestem gotów.  
Wtedy wracam do swojego hotelu na piechotę. Przed zejściem piję kawę na chodniku  
ulicy  
umocnionej od strony stoku murem. Wychyliwszy się widzę mój hotel. Jest o  
trzysta metrów  
niżej i leży w linii prostej o półtora kilometra odległości. Ale droga, którą  
obieram, wije się i jest  
jej chyba ze cztery kilometry.  
Idę, przystaję, przysiadam. Nie mogę się napatrzeć, bo każdy widok to cała  
kompozycja. W  
dali widać góry poważniejsze, ciemne. Bliższe wzgórza są łagodniejsze, stoki  
mają łagodne i  
łagodny koloryt. A każdy taki stok to cały mały świątek. Kto miał na wille,  
zbudował willę,  
nawet czasem z wieżyczką, kto nie miał, zbudował prosty domek, parterową,  
płaskodachą chatkę.  
Przestrzeń między nimi zajmują winnice i szachownice drzewek oliwnych. Wszystko  
przesyca  
kolor. Nic nie jest zasnuwane mgłą. Krajobraz włoski od Toskanii po Kalabrię nie  
zna tej surdyny.  
Nie zna nie tylko grubej samodzielnej mgły nordyckiej, ale nawet tej lekkiej  
woaleczki, którą  
natura zarzuca krajobraz francuski. W Italii jest ostre wszystko.  
Antyimpresjonistyczne.  
Ale niebezpieczna właściwość takiego podtyka-nia pod nos wszystkiego, takiego  
zmuszania  
do ostrowidztwa, niweczona jest przez cudną mozai-kowość pejzażu. Składa się on  
z klinów,  
kwadracików, rombów i prostokątów, z których każdy jest wypełniony inną rzeczą.  
Klin z  
drzewo-czek oliwnych przystaje do kwadracika z pszenicą, romb winnicy do trapezu  
popunktowanego owieczkami. Brunatny zygzak drogi przez stok przerywany jest  
wołami albo  
osiołkami. Zatrzymują się one na zakosach, widocznie tam spadek jest ostrzejszy,  
nieruchomieją na

moment. Wszystko jest akuratnie tak, jak na obrazach szkoły umbryjskiej czy toskańskiej, czy sieneńskiej. I chłopci są ciż sami. Ruchy, gesty, kolor roboczych ubrań, kapelusze słomiane. Benozzo Gozzoli czy Pier delia Francesca są realistyczniejsi pod tym względem od znakomitego dzisiejszego Zigai-ny czy Zuchiego, którzy właśnie wtłamszają w krajobraz mgłę czy różne przybrudzenia z całkowicie innej szerokości geograficznej. Zastanawiałem się nieraz tak schodząc z Fiuggi Citta do Fiuggi Fonte, tak spacerując au ralenli, czy gdybym nie miał po różnych szufladkach w mózgu tylu różnych Signorellich i Bellinich, czy tak bym się radował i tak bym się rozczulał tym krajobrazem włoskim. Ale najpewniej tak. Bo on ma w sobie coś sympatycznego i tak ludzkiego. Nie jest nieskończonością i przestworzem, nie jest krajobrazem wielkich przestrzeni, jest daleki i rozległy, ale składający się wszędzie z elementów określonych i skończonych. I jest tak starannie, tak ładnie, tak pracowicie doprawiony pracą rąk ludzkich. I taki różnokolorowy. Jest mi przyjemnie, że ludzie potrafili go tak oswoić. Dostosować się do jego najróżniejszych geofizycznych kaprysów. Do jego wybrzuszeń, wklęśnięć i spadów. Umiejąc zachować wszędzie równowagę między natręctwem i obojętnością, pomiędzy gwałtem i rezygnacją. Idę, przystaję, przysiadam. Najczęściej ze wszystkiego przystaję. Przystaję, żeby patrzeć, i przystaję, żeby przepuszczać samochody i skutery, które dają sygnał, że będą mnie mijać. Wszystko to jedzie wariacko w dół albo leci warcząc pod górę. Trzeba się temu usuwać, bo tu człowiek nie zmotoryzowany to parias, który z samego wstydu nie powinien zawałać gościńca. Więc nie zawałam drogi. Ustępuję po sam brzeg szosy na szlak, po którym ciągną zawsze mnie fascynujące, obciążone sianem osiołki. Siana jest góra, do tego jeszcze dochodzi człoIfi wiek, do tego jeszcze dziecko człowieka, do tego jeszcze beczułka albo i dwie z górską wodą źródlaną, którą wiozą do domu. Osioł wszystko to na swoich barkach wytrzymuje. Leciutko, chybotliwie stąpa na swoich suchych, poobijanych nóżkach. Człowiek jadący na nim woła: aa, aa! Czyli: wio, wio! Wieczorem słyszę ośle porykiwania. Są nieprzyjemne, drewniane, tępe, głośnie. Zadarłszy w górę mordę wydaje z siebie osioł kilkanaście ryknięć. Za każdym ryknięciem nabiera w siebie zapas powietrza. Ostatnie jest

zawsze krótsze, też tępe, tylko że jakieś szczególnie minorowe. Na zakończenie wypuszcza z siebie resztkę powietrza nabranego w płuca, już zwolniejszy z napięcia struny głosowe. Wypada to jak ciche i smutne westchnienie. Morda pochyla się. I wtenczas poprzez moje serce przepływa fala czułości w stosunku do tej kreatury, której inteligencja ma tak bardzo jednoznaczną i tak raz na zawsze ustaloną reputację, że nikt, nigdzie i nigdy nie będzie próbował poddać jej rewizji. A zawdzięcza ją to stworzenie temu, że pracując dla człowieka, nie lubi, nie rozumie i nie odwzajemnia mu żadnych prób zbliżenia, karesów i poufałości, wzorem innych zwierząt. Nie cieszy się, nie wybiega ze stajenki na głos człowieka. Nie rozumie głaskań i poklepywań.

Fiuggi, 9 czerwca 56 r.

Parę razy spotkałem w parku uzdrowiska mojego doktora, który przyuważył sobie, że chodzę sam. Dziś pogadaliśmy króciutko i przy tej sposobności dał próbkę dowcipu znacznie wyższej miary niż owa metafora nawigacyjno-urolologiczna, którą mnie uraczył podczas pierwszego badania. Mówiąc o właścicielce wspaniałego Grand Hotelu, stojącego na wzgórzu i widocznego z każdego kąta Fiuggi, powiedział: – Wyszła niedawno za mąż. Ale to nie było małżeństwo z miłości, lecz z nienawiści. Ona nienawidziła samotności, a on braku pieniędzy.

Fiuggi, 10 czerwca 56 r.

Pijalnia właściwa, obudowana z trzech stron pawilonami – z których jeden zawiera urządzenia z kurkami z wodą, drugi różne lekarskie i niele-karskie gabinety, trzeci mieści

sklepiki, bar i sal-kę-muzeum z nerkowymi kamykami – pełna jest ludzi. Z nieba leje się żar,

więc wszystko jest rozchłostane i na letniaka. Tylko w kilku miejscach czernią się czy brunatnią

wyspy księżo-za-konne. Mnisi i mniszki przeważnie siedzą/ czy przechadzają się zakonami i

regułami. Tu parę elżbietanek czy klarysek, gdzie indziej kilku uczni św.

Dominika czy św.

Franciszka. Księża świeccy też trzymają się razem, dzieląc się na niewielkie czarne grupki.

Czasem elementem krystalizującym wokół siebie taką grupę jest jakiś mon-signor czy jakaś

eminencja, podbarwiona fioletem czy czerwienią.

Pawilon z gabinetami różnego autoramentu ma dach płaski i tam, wyciągnąwszy się na

leżaku, można brać kąpiele słoneczne. Ojca Gianlorenzo właśnie na tym tarasie poznałem. Nie

tylko wódka rozwiązuje języki, ale również mineralna wo-. da, pita w celach



lecniczych. Ojciec  
Gianlorenzo przyszedł na górę przemruczeć brewiarz, ja przepowiedzieć sobie  
codzienną porcję  
włoskiej gramatyki. Ale war z nieba, ludzkie sąsiedztwo i komunikatywność tak  
charakterystyczna dla współcierpiących na tę samą chorobę sprawiła, że i  
brewiarz, i podręcznik  
gramatyki poszły sobie w kąć, czyli w cień pod leżakami.  
Ojciec Gianlorenzo jest franciszkaninem, ostatnie święcenia przyjął cztery lata  
temu, klasztor  
jego znajduje się za Neapolem, w Salerno. Zagnieździła się tam na przełomie  
dziewiętnastego i  
dwudziestego wieku pewna misja protestancka, która szerzy wśród dusz katolickich  
spustoszenie.  
G/i Angeli, bo tak się zwie dom ojca Gianlorenzo, ściągnął ostatnio z innych  
domów  
klasztornych posiłki, żeby nasilić kontratak. Gianlorenzo jest miody, wesoły,  
pełen życia. Mówi  
o swojej pracy misyjnej i kaznodziejskiej bez średniowiecznego prostactwa.  
Raczej jak  
reprezentant potężnego monopolu, któremu próbuje się stawiać drobny, nieudolny,  
chałupniczy  
konkurent.  
Rok temu miał operację, a w tym roku przyjechał przepłukać nerki i ma teraz  
przez  
najbliższe parę lat corocznie powtarzać ten zabieg profilaktyczny, żeby mu się  
kamień nie  
powtórzył. Mieszka w Fiuggi w Villino Santa Chiara, pensjonacie prywatnym,  
obliczonym na  
klientelę duchowną. Pensjonat ma kapliczkę, ale z jednym tylko ołtarzem, tak że  
w pełnym  
sezonie jedna msza św. następuje zaraz po drugiej. – Oto, tak – mówi ojciec  
Gianlorenzo – wr!  
wr! wr!  
Na początku, po zawsze tu obowiązującej wymianie informacji chorobowych,  
wspomniałem  
mu, że jestem pracownikiem w polskiej ambasadzie. Przyjął to naturalnie. Ale  
dopiero pod  
koniec rozmowy okazało się, żeśmy się nie zrozumieli. Wyraźnie zmieszał się,  
kiedy pojął nagle  
z jakiegoś zdania, że tu o ambasadę ludową chodzi, a nie tę, tzw. rządu  
londyńskiego,  
watykańską. Jeszcze pozostał ze mną z kwadrans, smutny, przygaszony. Czulem, jak  
walczy z  
sobą, żeby się opanować. Kanonicznie rzecz biorąc miał pełne prawo ze mną  
rozmawiać,  
ponieważ właśnie jego klasztorowi zalecono w oparciu o odpowiednie Breve  
obcowanie z  
wszelkim „kacerstwem, bluźniercami i odszcze-pieńcami”, a to w celach  
misyjnych. Miał święte  
życie w tych swoich Gli Angeli z tą garstką protestancką w prawowiernym morzu.

Ja mu zaś  
uprzytomniłem inny kłopot. Kłopot, w stosunku do którego nie czuł się tak  
monopolistycznie.  
Fiuggi, 12 czerwca 56 r.  
Przez pół godziny krąży koło mnie wielki, biedny olbrzym, nareszcie pyta mnie,  
która  
godzina. Siedzę na ławce, w ogrodzie, w miejscu najodleglejszym od radia. Termos  
z wodą  
powiesiłem na oparciu ławki. Popijam wodę z kubka i nudzę się nad gramatyką.  
Olbrzym  
zamiast termosu ma zwykłą butelkę zawiniętą w papier i jakąś dziwną blaszankę, z  
której pije  
potężnymi haustami. Nic nie czyta, chociaż ma okulary, które mi pokazuje, bo po  
wypadku  
kolejowym ma zawsze – ot tu – dotyka czoła i oczu – conlusione. Jest z Palermo.  
Mieszka tam w  
Domu Kolarza. Ma jedenaścioro dzieci i dwadzieścia siedem wnucząt. Jest na  
pełnej  
emeryturze, bo wypadek po czterdziestu latach pracy spotkał go też przy pracy,  
los więc był dla  
niego łaskawy.  
A nawet można powiedzieć, że dla niego osobiście był wyjątkowo łaskawy, od  
samego  
początku. Tak jak dostał pracę w 1910 roku, tak bez przerwy pracował i „za  
wojny”, i za  
rozruchów, i za Mussoliniego, i za cały czas drugiej wojny, i za Amerykanów, i  
za czas republiki.  
Natomiast z dziećmi jego to już tak wyszło, jak to jest normalne na Sycylii.  
Tylko czworo jest  
poza domem pracujących, siedmioro od urodzenia nie miało stałej pracy. Więc te  
siedmioro  
dorosłych, pożenionych, poślubionych mieszka razem z nim.  
Kiedy ktoś przechodzi obok nas, milknie, przestaje mówić, niezależnie od tego,  
czy to będzie  
karabinier, ksiądz czy normalnie ubrany człowiek. Kiedy się dowiaduje, skąd  
jestem, conlusione  
nie pozwala mu przez moment uprzytomnić sobie, gdzie to jest ta Polonia.  
Podpowiadam mu, na  
to mówi: „Bravo! Bravo!” Chodzi mu o to, „żeśmy znieśli bezrobocie”. Mówi, że u  
nich słucha  
się radiowych audycji od nas we włoskim języku, tych „do mas robotniczych  
całego świata”. Ale  
słucha się tylko wśród swojej kompanii, wśród bardzo pewnych ludzi. I milknie,  
bo znowu ktoś  
nadchodzi.  
Mimo tego, że jestem tu od roku i że o klęsce bezrobocia, na Sycylii i nie na  
Sycylii, wiem  
niejedno, słucham i pytam. Co jedzą? Raz na dzień makaron, okraszony oliwą i  
dosmaczony  
jakąś zieleniną. Pochyla się, objaśniając, i wśród otaczających nas liści

krzewów i ziół pokazuje  
kilka gatunków nadających się do jedzenia. A jak jest z pracą? Najróżniej. I  
najróżniej pod  
wszystkimi względami, ponieważ praca jest tylko jednym ze środków zdobywania  
pożywienia.  
Chodzi się, prosi, żebrze, znajduje, podbiera, dostaje, jak na przykład ostatnio  
przed wyborami  
gminnymi po tysiąc lirów na mieszkanie przynosili księża z parafii. Tego roku  
zapomogi dostaje  
do rąk własnych zawsze matka. Ona odpowiada za domową nadbudowę.  
Nie jest dla mnie jasne, gdzie mieszka w Fiuggi mój emerytowany kolejarz. Bo  
kiedy go  
częstuję papierosem, bierze dwa, żeby się odwzajemnić jednemu panu z pensjonatu,  
który go  
poczęstował papierosem. Może więc nie mieszka pod gołym niebem, tak jak przez  
chwilę  
myślałem. Gotuje jednak sobie sam. Wieczyste spaghetti przywiezione w walizie z  
Sycylii,  
okraszone oliwą i za-smaczzone – przynajmniej następnego dnia, kiedy z nim  
rozmawiam – sałata,  
którą od kogoś otrzymał, „bo się jej przypatrywał”.  
Niecierpliwi mnie, bo w kółko powtarza te same rady lekarskie, to samo  
opowiadanie o  
żonie, w które „mogę wierzyć lub nie”. Rady nie są ani lepsze, ani gorsze niż  
setka innych, które  
słyszę. A opowiadanie o tym, jak żonie, miotającej się z bólu przez trzy godziny  
w balii z gorącą  
wodą, wyszły jeden po drugim „brzdęg! brzdęg!” dwa kamienie, też nie grzeszy  
wyjątkowością.  
Powtarza te rzeczy, bo nie chce zostać sam, a na skutek conlusionone  
prawdopodobnie pamięć  
działa w nim słabo.

- Inny rodzaj conlusionone sprawia jednak jeszcze większe spustoszenia w jego  
mózgu niż  
conlusionone po wypadku kolejowym. Jest to rodzaj deiot-mation pioiessionnelle, a  
raczej  
deformacji na skutek określonego rodzaju kondycji życiowej. Deformacja ta  
sprawia, że w istocie  
zagadnienia świata, bytu i człowieka sprowadzają się do dwu dyscyplin. Jedna  
dyscyplina poucza  
o sposobach najlepszego wyzyskania zarobionych pieniędzy. Druga dyscyplina mówi  
o  
sposobach znalezienia pracy. Tak samo jak narkoman czy erotoman w nieznanym  
mieście potrafi  
się urządzać, podobnie człowiek zdeformowany wieczną, dziedziczną, od urodzenia  
biedą potrafi  
wyszukać w mieście, przez które przejeżdża, mieście sobie nieznanym, już nie  
restauracje, nie  
traktownie, lecz targ, bazar czy zespół stoisk, gdzie najlepiej kupi.  
Ponieważ wie, że mieszkam w Rzymie, egzaminuje mnie, gdzie żona moja kupuje

kartofle,  
ryż czy owoce. Wie dobrze, że należą do innego świata niż on, niemniej u niego  
to jest  
odruchowe. Na słowo Roma z jego pamięci nie wynurza się kopuła św. Piotra, Zamek  
św. Anioła  
czy Koloseum, lecz określone stragany na różnych wielkich rzymskich targach. Ja  
wiem o tym,  
że pamięć niejednego z nas, a zwłaszcza niejednego z naszych delegatów czy  
turystów  
przyjeżdżających z krajów nie doinwestowanych, na hasło Roma da odzew  
niekoniecznie  
archeologiczno-ar-tystyczny, lecz wywoła pod powiekami obrazy sklepów, ulic  
Condotti czy  
Nazionale, lecz to jeszcze nie to, aczkolwiek też niedobrze. U nas jest to  
rodzaj paroksyzmu  
spowodowanego zetknięciem dwu światów. Jest to również w końcu moment, określona  
życiowa  
chwila. U kolejarza to jest umysłowa stała formacja. Od zarania życia do jego  
końca jedna i ta  
sama szara, zawężona treść wewnętrzna.  
Spośród uwag i rozważań na temat sposobów zdobycia pracy najczęściej uderzyło mnie  
to, co  
powiedział na koniec dłuższych wywodów o ładnych żonach czy ładnych siostrach,  
pomocnych  
w jej uzyskaniu. „Niejeden jak ma w domu ładną siostrę albo nawet własną ładną,  
młodą żonę, to  
pośle ją i ona mu się już o pracę postara”. Ale na Sycylii i nie na Sycylii to  
nie jest metoda, która  
by nie miała swojego „ale”. Bo człowiek po zdobyciu pracy w taki sposób naraża  
się na przycinki  
i dowcipy. Zabawa nie zabawa, bar nie bar, a nawet plac przed kościołem w  
niedzielę, zapełniony  
tłumem, stają się miejscem zaczepek i ordynarnych szpileczek. Można nie słyszeć,  
ale nie zawsze  
się da, zwłaszcza kiedy taki, co się uweźmie, jest pijany. Wtedy już trzeba się  
pomścić. Pomścić  
się, to znaczy zacząć gdzie nocą i załatwić rzecz nożem.  
Kolejarz opowiada mi o jednym nieudanym takim wypadku u nich w Palermo. Robotnik  
zabił majstra. „Dowodów pewnych na niego nie było, ale stracił posadę”. W innym  
znowu  
wypadku, też świeżym, bracia posyłali siostrę, ale też „w końcu stracili  
posadę”. I to stracenie  
posady wybija się ostatecznie w relacjach kolejarza na pierwszy plan. Nie żony  
posyłane i nie  
siostry, nie wszystkie te perypetie ze schodzeniem ludziom z oczu i nie krew ani  
pobicie czy  
poturbowanie, ale to, że sam sposób ma feler, bo po jego zastosowaniu w końcu  
prędzej czy  
później też się traci posadę.  
Fiuggi, 14 czerwca 56 r.

Ojciec Gianlorenzo przełamał się, przegryzł przez swoje opory, stłumił lęki, a może po prostu poradził się i wyłowił mnie z tłumu, przedarłszy się ku mnie wspólnie z małym, niepokąźnym, krogulczonosym innym zakonikiem. Ten drugi jest też z Gli Angeli. Jest miły, pogodny, wesoły i bardzo bystry. Ma nos ogromny, z daleka patrząc – nieomalże przyprawiony. Ale nie. Dobrze jest pomyślany dla tej twarzy, choć niewątpliwie bardzo śmiało. Jest coś aktorskiego w twarzy tego nowego ojca, nie w tym sensie, by malutki ojciec – nazywa się Giuseppe – się zgrywał. Nic podobnego. Tylko twarzyczka jego z tym centralnym nochalowatym akcentem zdaje się żywcem przeniesiona z różnych sztychów i malowideł, które oglądałem w jednym z antykwariów-cików na via Margutta, z kolekcji dotyczącej historii włoskiego teatru. Padie Giuseppe jest raczej muzykiem niż teologiem. Toteż nie dla pomocy w walce przybrał go sobie Gianlorenzo, ale dla lepszego samopoczucia psychicznego. I prawdopodobnie dla kontroli. Trzeba zresztą powiedzieć, że niezależnie od szczególnego położenia, w jakim się znalazł ojciec Gianlorenzo, natknąwszy się na mnie, z reguły mnisi, opuszczając klauzurę, winni sobie przybierać towarzysza. Tak że obecnie rozmawia ze mną nie w rozluźnionej dyscyplinie, ale w bojowym szyku. Czuję dobrze, że w całym tutaj przebywającym światku czerni, brązów i fioletołów orientują się wszyscy, co ze mnie za figura. Orientują się nie tylko mieszkańcy Villino Santa Chiara, ale również mieszkańcy Villino San Clemente w Fiuggi Citta, ślicznie położonym ogromnym kompleksie budynków elżbietańskich, gdzie matką przełożoną jest sześćdziesięcioletnia niemiecka hrabianka, mówiąca po polsku świetnie, chociaż z chłopską i z pomorską, ponieważ wychowała się pod Starogardem, gdzie jej rodzice mieli majątek. Owszem, orientują się. Ale orientacja ta ich nie mobilizuje do kontaktów i pytań. Mają swoją prasę, różne pisma diecezjalne czy zakonne, z nich uzupełniają wiedzę. Jeżdżą od czasu do czasu na różne uzupełniające kursy, zebrania czy rekolekcje. Gazet i tygodników świeckich nie czytają, katolickich czy niekatolickich. Zorientowałem się w tym już w zeszłym roku, tu w Fiuggi, oraz u nas w Bibliotece Polskiej na Vicolo Doria, gdzie przychodzi trochę księży. To są

wszystko  
żołnierze. Informacje czy spekulacje nie mieszczące się lub zaprzeczające  
regulaminowi, który  
ich obowiązuje, nie mieszczą się im w głowie. Nie istnieją dla nich. Są  
zjawiskiem  
wykraczającym poza ich wyobraźnię. Takie jest, oczywiście poza wyjątkami, to  
wojsko duchowe  
w Italii, wojsko dwustutysięczne, składające się z osiemdziesięciu tysięcy  
mniszek,  
sześćdziesięciu tysięcy zakonników i sześćdziesięciu tysięcy księży.  
Fiuggi, 15 czerwca 56 r.  
Ciekawa rozmowa z księdzem L., profesorem archidiecezjalnego seminarium w B. Zna  
La  
Pirę, Dossettiego, Fanfaniego, Lazzatiego, słynną grupę „profesorów”, grupę  
działaczy  
katolickich, którzy na arenę polityczną wkroczyli dopiero po wojnie. Dziś, po  
dziesięciu latach,  
rozgłos Lazzatiego się rozplątał, Fanfani przeszedł na pozycje prawne, Dossetti  
na krótko tylko  
wycofał się ze swojej pustelni, aby stanąć na terenie Bolonii do walki z  
czerwonym syndykiem  
Dozzą, otrzymawszy przed tym publicznie nihil obstał bolońskiej finan-sjery, do  
walki, którą  
zresztą przegrał. Jeden Giorgio La Pira pozostał, aby nadal jeszcze wciąż dawać  
światu  
świadectwo, czym była owa grupa, w skład której wchodziłi sami professorini, Ks.  
L. określa La  
Pirę znakomicie. Mówi o nim „święty gracz”. Oczywiście gracz polityczny.  
Istnieje o nim już  
dzisiaj cała literatura. Dziesiątek włoskich i francuskich książeczek, pełnych  
serdecznego  
bałwochwalstwa. Nie ma człowieka w Italii, który by o nim nie wiedział, że nie  
posiada  
mieszkania, a tylko celkę w dominikańskim klasztorze św. Marka we Florencji, i  
że ze swojej  
pensji sindaca nie zatrzymuje ani grosza, zaraz po otrzymaniu rozdając ją  
biednym. Poznałem go  
zeszłego roku na zjeździe burmistrzów, prezydentów stolic, przewodniczących  
stołecznych rad  
narodowych i syndyków, który zorganizował we Florencji.  
Zjazd kończył się mszą za pokój, celebrowaną przez kardynała Dalia Costa, po  
której ku  
zgorszeniu prawomyślnych kardynał witał się z towarzyszem prezydentem  
Gorsowietą  
Moskwy, analogicznym towarzyszem z Pragi i towarzyszem Bogomolowem, ambasadorem  
radzieckim z Rzymu. Do tych scen właśnie uczynił aluzję w parę dni po tym  
wydarzeniu  
katolicko-prawicowy ilustrowany tygodnik Oggi. Zamieścił na pierwszej stronie  
wielki fotos  
papieża w Castel GandoUo, głaszczącego owieczki, z następującą refleksją po

objaśniającym  
podpisie: „Pełna poezji i czystości scena, pozwalająca orzeźwić się czystym  
tchnieniem po  
świeżo opublikowanych zdjęciach wysokiego dostojnika Kościoła w bolesnych dla  
wrażliwości  
katolickiej momentach”.

L. mówi, że niektórzy podejrzewają La Pirę o zwykły snobizm. Jeśli jednak  
snobizm, to w  
każdym razie niezwykle. Ale L. nie należy do tych, którzy to mówią. Chociaż jest  
złośliwy i  
sprawia mu przyjemność powtarzać te insynuacje, nie ma najmniejszej wątpliwości,  
że powtarza  
diagnozę mylną. La Pira kocha zbłąkanych. Kocha ich, „bo bez miłości nie da się  
nawracać”.

Dopiero wywoławszy ją w sobie, nosząc w sobie stale określony stan emocjonalny,  
można  
skutecznie plewić zło i zasiewać nowe ziarno. Miłość winna nasilać się, z im  
bardziej nasilonym  
złem się spotyka. Z im bardziej prowadzącym, naczelnym błędem ma do czynienia.  
Komunizm jest właśnie takim prowadzącym nasilonym błędem. Jest wedle filozofii  
La Piry,  
wedle filozofii wyznawanej niegdyś przez całą grupę, ostateczną formą błędu.  
„Błąd jest ich; wina jest nasza!” – oto klasyczna formuła, powtarzająca się  
nieraz na łamach  
Cionache Sociali, teoretycznego organu „profesorków”, który wychodził od  
wyzwolenia aż do  
1951 roku. „Błąd jest marksistów, odpowiedzialność za błąd spada na chrześcijan”  
– oto inny  
wariant tej samej formuły. „Poprzez komunizm wyraża Bóg sąd o swoim Kościele  
albo raczej o  
swoim chrześcijaństwie.” Powtarzając tę formułę ks. L. uprzytamnia mi, że jest  
to ściła odbitka  
formuły Bossueta, który twierdził o reformacji, że wyrażała: „sąd Boga o swoim  
Kościele”.

Mając takie rozumienie naczelnego, prowadzącego błędu swej epoki, Bossuet  
również  
„kochał i całe życie szukał porozumienia z protestantyzmem, broniąc zarazem  
prawdy katolickiej  
przed błędem”. „Profesorkowie” również lubili cytować zdanie Bierdiajewa o  
komunizmie, jako  
„świadectwie nie wypełnionego obowiązku i nie wykonanym zadaniu przez  
chrześcijaństwo”.

Ale ponad wszystko bliska im była bolesna skarga Piusa XI o „wielkiej tragedii  
Kościoła w  
XIX wieku, polegającej na tym, że Kościół utracił w tym wieku klasę robotniczą”,  
która „nie  
pozostała długo w stanie niezdecydowania, lecz zwróciła się wkrótce do antytezy  
Kościoła, a  
mianowicie do komunizmu”. To głębokie, fundamentalne poczucie winy przepełniało  
poczuciem

onieśmielenia i wstydu serca „profesorków”, ilekroć przyszło im w sumieniu swoim rozważać sprawę komunistów. W tonie, w którym zwraca się La Pira do komunistów i kiedy mówi o komunizmie, zachowała się do dziś ta przesłanka zarówno filozoficzna, jak historyczna i uczuciowa.

„Profesorkowie” czytali Mouniera- i Maritaina i nastawieni byli antymieszkańsko i antyka-pitalistycznie. Ale od Francuzów różnili się diametralnie przez swój „integralizm”. Ontologicznie biorąc, zamazywali różnice między światem i Kościołem. Klasyczna formuła Piusa X, wedle której w różnym stopniu świat potrzebował Kościoła, co Kościół świata jako przedmiotu swego działania, była im obca. Ich ideałem było, aby Kościół i świat był jednym i tym samym. Ich ideałem, ich celem było, aby świat był w pełni przeniknięty Kościołem. By przenikanie swoje Kościół realizował tak długo, ażeby przeniknął świat całkowicie i integralnie.

L. twierdzi, że podobnie jak Giorgio La Pira gotów był kochać komunistów, ponieważ byli ofiarami błędów popełnionych przez Kościół, profesor Giuseppe Dossetti gotów był kochać mieszczan i kapitalistów, bo oni również w pewnym sensie wynaturzyli się na skutek braku kontroli ze strony Kościoła. Kapitalizm z jednej strony, komunizm z drugiej to prawa i lewa strona jednej i tej samej herezji, materialistycznej w formie i antydeistycznej w treści. Znikną one z powierzchni świata, kiedy Kościół przeniknie świat integralnie. Jest rzeczą niezmiernie istotną dla rozumienia tego problemu pojąć głęboki kontrast pomiędzy katolickimi działaczami, uformowanymi politycznie i światopoglądowo przed epoką faszystów, a tymi, którzy się formowali już w okresie jego istnienia. To znaczy na przykład pomiędzy Gas-perim i Gronchim a La Pirą i Dossettim. Pierwsi mają to klasyczne dziewiętnastowieczne zacięcie mieszczańsko-demokratyczne^ Ci drudzy umysłowo kształtowali się w epoce społeczeństw kierowanych, w epoce, która pomiędzy społeczeństwem i ideologią nie uznawała przedziału, w epoce ideologii integralistycznych. Pomimo to, nie wchodząc w różne drobiazgi biograficzne, zwłaszcza dotyczące Fanfaniego, „profesorkowie” byli przeciw antyfaszystami.

Ich pisma, znowu nie wchodząc w różne potknięcia, są sztandarowymi katolickimi twórcami



publicystyki i eseistyki antytotalitarnej. Jednak nie można się oprzeć  
podejrzeniom, że integralizm grupy „profesorków” nie ukonstytuowałby się w ich mentalności z  
charakterystyczną dla nich siłą, gdyby wyłącznie i tylko szukali natchnień dla swojej filozofii  
socjalnej u św. Tomasza i św. Augustyna, a nie w nie wyrugowanych do końca pobłażliwościach dla tego, co  
się w języku dossettiańskim nazywało: „dobrymi stronami każdego błędu”, w tym wypadku  
włoskiego faszystu. Na zakończenie rozmowy mówię: „A więc, by się posłużyć metaforą  
dossettiańską, integralizm »profesorków« i faszysta byłyby prawą i lewą stroną tegoż samego  
błędu”. Ks. L. śmieje się.  
I aby nie pozostać dłużnym za żart, opowiada mi dwie zabawne błahostki o La Pirze. Jedna  
dotyczy faktu, że La Pira ma zawsze bardzo przyzwoicie zrobione ubranie. To  
wielki krawiec florencki, dawny niedowiarek, którego La Pira nawrócił, ubiera go za darmo.  
Druga historia dotyczy torebek ze słodyczami, które La Pira za pieniądze magistrackie rozsyła  
na każde święto po żłobkach i sierocińcach miasta. Początkowo do każdej torebki załączona była  
modlitewka za głowę miasta. Ale temu radni socjalistyczni, którzy wchodzi w skład większości  
miejscowej, się sprzeciwili.  
Fiuggi, 20 czerwca 56 r.  
Jeszcze jedna długa rozmowa z ks. L. o Dossettym. Przynosi mi jego fotografię z  
niedawnego numeru UEspresso. Twarz wąska, asteniczna, ascetyczna. Oczy czarne,  
bolesne, podkute. Nos wąski. Usta wąskie, przywiedle, nawykłe do zdawkowych, słodkich  
uśmiechów. Usta starej, przyuczonej do mdłych, bezbarwnych uśmiechów zakonnic. Od niego  
poszedł ów ruch czy postawa zwąca się dossettyzmem. Przeminał ów ruch, uwiadł jak tyle  
innych poruszeń się katolicyzmu włoskiego, próbujących zakiełkować non-konformizmem i  
wiednących od zbytnej bliskości Watykanu. Na terenie Włoch Watykan chyba już od czasów  
Galileusza nikogo nie potrzebuje łamać. Bo nie czeka, aż cokolwiek się umocni, usztyni.  
Gasi wszystko, co w kolebce. I tak zgasił również ów dossettyzm. Gasi, usuwa w cień. Przywołuje  
do porządku szeptem. I zanim właściwie ruch, człowiek, myśl dojrzeje do nieposłuszeństwa,  
rozwiewa się, schodzi ze sceny, dezaktualizuje się. Zanadto tu wszystko jest na oku.  
Wypadek Giuseppe Dossettiego jest szczególnie gorzki. Wyruszył górną, aby od

wewnątrz  
przekształcić chrześcijańską demokrację. Doszedł do wysokiego szczebla w tej organizacji, bo do stanowiska zastępcy sekretarza generalnego partii. Nie był luzakiem, ale maszerował w szeregach. I szedł tak aż do 1952 roku, w którym doszedł jego uszu szept odwołujący go w cień. I usunął się w cień. Aby po czterech latach powrócić jako nowo narodzony, który oświadczył, że nic ze swej przeszłości nie pamięta i nic go z nią nie łączy. W Bolonii wiedziano, że w okresie paromiesięcznym przed tymi nowonarodzina-mi wielokrotnie spotykał się z arcybiskupem Bolonii, kardynałem Lercaro. Usłuchał go, stanął do pojedynku z Dozzą, czerwonym burmistrzem Bolonii. Stanął jako Dossetti, ale już nie-Dossetti. Dał na to nazwisko i siebie samego, wypatroszonego do cna z dawnych swoich treści. Epigon swego ruchu i, jak nawet go nazwano, „najgorszy z własnych epigonów”. I na domiar wszystkiego przegrał. W Bolonii powiadano, że ma jedną szansę na dziesięć, by pokonać komunistę Dozzę. Ale jeśli go mógł kto pokonać, to tylko ten nabożny, pełen skruchy wobec świata pracy, sztandarowy chrześcijański antykapalista. Operacja się nie udała! Jakież tu gąszcz psychologicznych i moralnych zagadnień! Ks. L. twierdzi, że wewnątrz Dossetti poglądów nie zmienił. Że nawet uzyskałby od Lercaro placet na to, aby wystąpić przed swoimi wyborcami w swoim dawnym rynsztunku światopoglądowym. Na czas przedwyborczej akcji uzyskałby na to zgodę. Ale tylko na czas akcji. Później, zostawszy burmistrzem, musiałby realizować program prawego skrzydła Chadecji. Wybrał więc inną możliwość. Wystąpił w kolorycie wstecznym i jako pogodzony z wielkim przemysłem, finansjerą, latyfundystami. L. go za to podziwiał. „Ponieważ – mówi – nie chciał skłamać ludziom!” Zdaje się, że L. uważa, że moralniej w tym wypadku bywa skłamać samemu sobie. Zerwać, uciec od samego siebie na czas zalecony od zwierzchności. Niekiedy na cały czas swojego życia. Ks. L. nie tylko przyniósł mi numer I/Espreso z podobizną Dossettiego, ale na dodatek parę numerów Cronache Sociali. Było ono pismem jego grupy. W 51 roku przestało wychodzić. L. wyszperał je u „Sw. Klary” i kiedy powiadam, że jutro, pojutrze mu oddam, macha lekceważąco ręką. W Villino Santa Chiara nikomu te rzeczy niepotrzebne. Ani artykuł kardynała Lercaro:

„Pozorna agonia Kościoła”, ani esej Giorgia La Piry: „Obrona biednych ludzi”,  
ani żadne wyciągi  
z Huizingi, czy to z jego „Kryzysu cywilizacji”, czy z jego „Męczeństwa świata”.  
Czytam głośno z artykułu E. Dirksa „O marksizmie i chrześcijaństwie” jedno  
bardzo długie  
zdanie: „Sto lat temu, kiedy proletariąt stał się świadom siebie, nie można  
powiedzieć, że  
wyrzekł się Chrystusa, raczej rzecz należy, że Chrystus przestał mu być  
przytomny, widzialny,  
poj-mawalny; powróciłby do niego, lecz tylko za pośrednictwem chrześcijan,  
którzy by zgodzili  
się podzielić z proletariatem jego los, jego trwogi i jego nędzę”. I dalej: „Ale  
nie poświęcił się  
nikt. Nikt swego osobistego losu z nim nie związał. Nie uczynił tego żaden  
chrześcijanin ze sfer  
wyższych, żadnej wybitnej jednostce nie udało się przełamać mieszczańskiego  
kręgu, w którym  
żyła. I dlatego Chrystus pozostał niewidzialny”.  
Na tym kończymy naszą rozmowę z ks. L. o Dossettim.  
Fiuggi, 23 czerwca 56 r.  
O. Gianlorenzo jest mi bardzo sympatyczny. Wesoły z niego chłop. Lubi śmiech,  
lubi ruch.  
Ma włos na głowie tak powikłany i tak zbity, że nie chciałbym być w Gli Angeli  
tym  
braciszkiem, który mu raz na kwartał karczuje tonsurę. Gianlorenzo jest zawsze  
promienny.  
Promieniuje szczęściem. Dwa lata temu wyjęto mu kamień z nerki. Przedtem był  
zdrowszy jak koń.  
I będzie. Tyle że musi raz na rok przyjeżdżać tu do Fiuggi na dwa tygodnie,  
przepłukiwać sobie  
swoją wewnętrzną kanalizację.  
Dzięki temu już mu się nie będą powtarzać więcej concrementa urinaria. Nigdy nie  
użyje  
nazwy włoskiej calcolo renale ani współczesnej medycznej calculus lenalis, tylko  
łupi ten swój  
termin zapożyczony z średniowiecznej łaciny zarówno wtedy, kiedy mówi o swoich  
kamieniach,  
jak i o kamieniach Bonifacego VIII, który przez lata kazał sobie codziennie  
dowozić wodę z  
Fiuggi do Rzymu czy później, po ucieczce z Rzymu, do pobliskiego Anagni.  
Gianlorenzo przyniósł mi dziś do parku kartkę papieru, pokrytą szeregiem liczb.  
Wyraźnie  
mają one być repliką na jakąś moją uwagę o zawężaniu się roli Kościoła w  
świecie. Gianlorenzo  
zanurza ręce w otchłannych kieszeniach habitu.  
Szuka i szuka. Nareszcie wydobywa brewiarz, a z brewiarza karteczkę wypełnioną  
literami i  
liczbami o kaligrafii też z lekka gotyckiej. Ręce Gian-lorenzo ma brzydkie,  
palce krótkie, skórę  
nie wypielegnowaną, szorstką. Reguła św. Franciszka wyrasta z reguły św.

Benedykta, a ta  
przepisuje mnichowi dzienną porcję pracy fizycznej. Mnóstwo zakonników od niej  
się dziś  
uchyla, zwłaszcza tych zakonników intelektualistów, ale Gianlorenzo z pewnością  
nie.  
Oczywiście, że nie!  
Na karteczce Gianlorenzo wypisał mi ilość kleru i osób duchownych w Rzymie, w  
Italii i w  
świecie. W Rzymie księży tyle a tyle, zakonników tyle a tyle, zakonnic tyle a  
tyle. Razem – tyle.  
W Italii księży – tyle, zakonników – tyle, zakonnic – tyle. Razem – tyle.  
Karteczkę Gianlorenzo  
podzielił na trzy rubryki: Roma, Italia, II Mondo, Ecco ii mondo – mówi  
pokazując na trzecią:  
320 000 księży, 265 000 zakonników, 400 000 zakonnic, w czym w krajach  
pogańskich 35 000  
misjonarzy i misjonarek, rozszerzających dzień w dzień, dzień w dzień w Indiach,  
na Malajach,  
na Polinezji, wśród Eskimosów, w Afryce Środkowej, na Formozie i w Japonii  
granice potęgi  
Kościoła.  
Karteczka podaje dalej następujące cyfry: 252 nuncjuszów i wikariuszów  
apostolskich, 1570  
biskupów, 248 arcybiskupów i 60 kardynałów. Podaje również liczbę katolików na  
całym ii  
mondo. Wszystkich jest 340 milionów. Na samym końcu karteczki Gianlorenzo  
napisał: Pius  
XII. I imię to, i tę cyfrę podkreślił trzykrotnie.  
Wszystkie te cyfry mniej więcej są mi znane.  
Ale ponieważ Gianlorenzo w przygotowanie ich włożył tyle starania, przyglądam im  
się  
długą chwilę. Kiedy po minucie czy dwu chcę karteczkę zwrócić, okazuje się, że  
przeznaczona  
jest dla mnie. Gianlorenzo wyjaśnia mi, że powinienem mieć ją pod ręką, ilekroć  
przyjdzie mi  
chęćka rozmyślać nad sprawami Kościoła, uwzględniając wszystkie zapisane na niej  
cyfry.  
– I tę? – pytam wskazując cyfrę XII. O. Gianlorenzo patrzy mi długo w oczy.  
– Sicuro – powiada wreszcie.  
Dotąd, mimo żeśmy mówili ze sobą sporo o sprawach Kościoła i wiary, nigdy nie  
padło  
między nami imię tego człowieka. Z pewnością Gianlorenzo zachwyca się nim jak  
wszyscy  
włoscy katolicy, oczywiście ci prostolinijni, nie buntujący się i nie szukający  
nowych dróg.  
Zachwyca się nim jak cały tutejszy kler zarówno zakonny, jak i świecki, z  
wyłączeniem  
niewielkiego wycinka górnej warstewki, której zatrul i zatrzuwa życie pewnymi  
właściwościami  
swojego charakteru.

O. Gianlorenzo rumieni się lekko. Znowu sięga po swój brewiarz. Oto co jeszcze ma dla mnie. Fotografię Piusa XII na klęczkach modlącego się, z rękami wzniesionymi przed ołtarzem w kaplicy swojej letniej rezydencji w Castel Gandolio.

– Sicuro – powtarza Gianlorenzo.

W oczach jego jest teraz tyle ludzkiego, braterskiego i – powiedziałbym – porozumiewawczego ciepła. Odrywam wzrok od fotografii, bo te ręce wzniesione oranta w geście paleochrześcijańskim, i wszystko to przed soczewką aparatu, nieco mnie kłępują. Boję się, że Gianlorenzo wyczuje, że mam do tego sposobu fotografowania się stosunek nieco krytyczny. Ale ojcu Gianlorenzo nie tylko nie przechodzą przez głowę podobne rzeczy, ale nie przechodzi mu przez głowę, że innym mogą przechodzić. Każe mi się patrzeć na fotografię.

Oczekuje czegoś ode mnie. A ja pojęcia nie mam, czego. Mój Boże! Nareszcie wyjaśnia się wszystko. Chodzi mu o freski polskiego malarza Jana Rosena, a przede wszystkim o obraz w ołtarzu kaplicy Castel Gandolio. Obraz, przed którym modli się właśnie Pius XII. I modli się codziennie, i rano, i wieczór, przebywając latem i jesienią w tym zamku. Obraz jest starą kopią obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Przysłano ją przed trzydziestu laty z Krakowa Piusowi XI, który w latach 1919–1921 był nuncjuszem w Polsce. Podobnie jak karteczka z danymi cyfrowymi, ta fotografia jest też dla mnie.

Gianlorenzo odwraca fotografię i pokazuje mi informację, którą na niej napisał:

Al centro  
delia Capella privata adornata dai allreschi polacchi, dove 11 Santissimo Padre celebra la  
Messa e sosla lugamente in preghiera, ce l'immagine in legno e argento delia  
Madonna Negra di  
Czestokkova, patrona delia nazione polacca \*.

Wzrusza mnie Gianlorenzo. Doprawdy, czuję się wzruszony. Wiem, jak bardzo jest spragniony Al centro... – Pośrodku prywatnej kaplicy ozdobionej polskimi freskami, gdzie Ojciec Święty odprawia mszę i trwa długo zatopiony w modlitwie, znajduje się obraz w drzewie i srebrze Czarnej Madonny Częstochowskiej, patronki narodu polskiego. odpoczynku, urlopu. Tak jak przeważnie oni wszyscy tutaj, którzy z pewnością w skupieniu i kontemplacji odprawiają swoje msze po swoich kościołach, a tu, w tutejszym Villino, spieszą się – wr! wr! wr! – aby co prędzej na powietrze, do parku, do spacerów. A on wczoraj musiał się oderwać od swego pośpiechu, żeby wy-sztyftować dla mnie swoją karteczkę. A

jeszcze

wcześniej, kto wie nawet, czy nie pójść na naradę do przełożonej, niemieckiej hrabianki z Fiuggi

Citta, bo chyba ona mu poddała myśl owego obrazu z kaplicy w Castel Gandolfo. A może pisał

do kogoś? Może się informował telefonicznie? W każdym bądź razie ujął mnie swoją troską.

Z jakim staraniem przygotował lek mający spulchnić skorupę na mojej duszy. Cyfry obrazujące potęgę i chwałę mają skorupę rozsadzić i w szczeliny wdrzeć się powinny

promieniem nadprzyrodzonym, płynącym z rąk dostojnego oranta, wdrzeć się w chwili, w której

serce moje polskie wzruszy się pamiątką częstochowską.

Gianlorenzo lubi wypoczynek albo walkę. Nie lubi rozszczepiania włosa na czworo.

Czuje,

że momentami nie pochwała moich rozmów z ks. L., zwłaszcza wtedy, kiedy nie jest mu jasne,

który z nas którego o czym przekonuje, a nawet czy w ogóle się przekonujemy.

„Veri(as filia

temporis" (prawda – córka czasu) – powiedział przy nim kiedyś ks. L. Zgorszył go! Dla

Gianlorenzo wszystko, co płynne, zmienne, względne – to szatańskie. Prawda dla niego bywa

albo realna, konkretna i wtedy udowadnia ją na palcach: „po pierwsze”, „po drugie”, „po trzecie”.

Albo też prawda bywa mistyczna. I wtedy nie ma na nią dowodu. Mówiąc o niej Gianlorenzo

składa ręce jak do modlitwy. Zaciska grube, chłopskie, mocne palce. I z całej siły wierzy.

Chowam notatkę, którą przyniósł, oraz fotografię i uśmiecham się do niego. Ale jego boli

mój uśmiech, bo ja się nie uśmiecham do postaci przedstawionej na fotografii.

Ot, przyjrzałem

się i chowam. Czuję, że cierpi. Nie wiem, czy przedtem już to sobie postanowił, czy też raptem w

nim postanowienie dojrzało. Zaczyna mi opowiadać o rzeczy, o której już nieraz słyszałem i o

której czytałem najpierw w katolickiej prasie świeckiej, a później w wersji nieomal tożsamej z tą

pierwszą wersją prasową, w wersji z Osser-valore Romano, a więc w wersji podanej oficjalnie

światu katolickiemu do wierzenia.

Od pierwszych słów jest dla mnie jasne, że Gianlorenzo nauczył się na pamięć.

Jak

kamieniem z procy strzela w odporne serca tą opowieścią podczas kazań misyjnych.

W ustach

jego opowieść o głośnym zdarzeniu staje się o wiele bardziej przejmująca niż ta sama opowieść

zamieszczona wśród dworskich informacji z ceremonii i recepcji, i audiencji zapelniających

codziennie znaczną część łamów Osservatore Romano. I oczywiście bardziej  
przejmująca niż ta  
sama opowieść tak, jak pierwszy ją podał Oggi, tygodnik o milionowym nakładzie i  
przynoszący  
miliony, który włamał stroniczki z opisem cudu i reportażem dotyczącym życia  
papieża  
pomiędzy reportaż z jakiegoś wielkiego morderstwa i fotograficzny reportaż z  
pobytu w Italii  
jakiejś amerykańskiej aktorki.  
Przypominam sobie, że po ukazaniu się opisu dziennikarze akredytowani przy  
Watykanie  
rzucili się hurmem, ażeby się dowiedzieć czegoś więcej. Odpowiedział im wówczas  
rzecznik  
prasowy Kościoła, monsignor Casimiri, że opis odpowiada prawdzie. Poinformował  
ich również,  
że Pius XII zwierzył się z wydarzenia tylko najbliższemu, prosząc o zachowanie  
pełnej  
tajemnicy. Do wiadomości Oggi cała historia doszła dzięki czemuś, co monsignor-  
rzecznik  
nazwał aliettuosa indiscre-zione. Dlaczego akuratnie ta czuła niedyskrecja  
popelniona została na  
ręcz milionowego Oggi, na ten temat monsignor Casimiri z prasowego biura  
watykańskiego się  
nie wypowiadał. Zresztą sam opis był dla opinii katolickiej tak przejmujący, że  
uboczne, wiążące  
się z nim sekrety, dotyczące ostatecznie tylko formy, prawdę mówiąc, nie bardzo  
ludzi  
interesowały. Ks. L. rzekłby prawdopodobnie w tym miejscu, że forma to również  
lilia  
tempoiiis.  
Gianlorenzo stara się mówić jak najspokojniej. Bez efektów głosowych, to znaczy  
bez pedału  
i bez surdyny. Ani za prędko, ani za wolno. Tak, aby rzecz nie wypadła jak  
wyuczona na pamięć  
ani jako rzecz, którą w tej chwili ubiera we własne słowa. Mówi. – Choroba Ojca  
Sw. zaczęła się  
w roku 1952. Choroba Ojca Sw. nazywała się pylorospasmus (skurcz odźwiernika).  
Jest to  
choroba spotykana bardzo rzadko. Polega ona na tym, że zawory między żołądkiem a  
kiszka  
kiszka  
zaciskają się spazmatycznie, nie przepuszczając z żołądka do kiszek pokarmu.  
Chory, nie  
dokarmiony, powoli ginie. Niekiedy udaje się chwilowo znieść działanie skurczu,  
ale takie  
króciutkie momenty nie wystarczają dla zrestytuowania braków. Szala wciąż  
przechyla się na  
stronę niedoborów. Chory schnie, marnieje. W miarę rozwijania się choroby  
skurcze stają się  
coraz częstsze, coraz boleśniesz i przeciągają się coraz dłużej. Z poradą i  
chęcią pomocy

zgłaszały się do Watykanu i do Castel Gandolio już nawet nie setki, ale tysiące lekarzy. Zgłaszali się specjaliści od chorób wewnętrznych, neurologi, endokrynci, zgłaszali się słynni chirurdzy, ponieważ zdarzały się wypadki, że na pylorospasmus pomagała operacja. Ale w 1954 roku, kiedy cały świat katolicki przygotowywał się do katastrofy, Ojciec Św. liczył sobie siedemdziesiąt osiem lat. I był niezmiernie wycieńczony. Nie chciał się ważyć. Nikt więc do dzisiaj nie wie, ile wtedy stracił na wadze. Może dziesięć kilogramów, może piętnaście, może więcej. O swojej chorobie pozwalał mówić tylko z rzadka. Trzymał się wszelkimi siłami normalnego rozkładu swego dnia. Jedyne, co od niego zdołała uzyskać matka Pasqualina, która od lat prowadzi mu domowe gospodarstwo i o której nieraz pan w Rzymie usłyszy, to to, że wstawał o godzinie szóstej minut piętnaście zgodnie z dzwonkiem, tak jak go sobie od młodości nastawiał, a nie kwadrans, pół godziny czy czasami godzinę wcześniej, jak to miewał we zwyczaju. Papież – mówił dalej Gianlorenzo – rokrocznie powraca z Castel Gandolio, to znaczy ze swojej letnio-jesiennej rezydencji, w ostatnią sobotę listopada. W 1954 roku ostatnia sobota listopada przypadła na dzień 27 tego miesiąca. Noc z piątku na sobotę była bardzo ciężka. Do normalnych skurczów dołączyła się teraz nieomalże nieodstępna towarzysząca tych skurczów, czkawka. Nad ranem skurcze ustąpiły, ale czkawka nasiliła się jeszcze. Ten atak czkawki trwał parę godzin. Papież był wyraźnie u kresu sił. Ale absolutnie nie chciał słyszeć o żadnej odmianie programu. Jasne było dla wszystkich, że cierpi nieopisanie. Nie zgodził się również na to, by u jego boku jechał doktor. Nie chciał, by te tysiące wiernych, którzy zawsze gromadzą się, gdy wiadomego wszystkim dnia przejeżdża z Rzymu do Castel Gandolio, CZY W tym wypadku z Castel Gandolio do Rzymu, widziały u jego boku człowieka w świeckiej odzieży, ponieważ odgadłyby jego zawód i jego rolę. Widok papieża jest dla ludzi szczęściem – ciągnął Gianlorenzo – daje im radość, dodaje otuchy. Papież dla ludzi jest symbolem Kościoła zwycięskiego, wspaniałego, tyumfującego. Papież ma rozumienie tych spraw nadto silne i wzniosłe, by zgodził się na pokazywanie się ludziom jako człowiek chory. Toteż te setki tysięcy,



które wyległy na  
szosy, drogi i ulice, oklaskiwały go i fetowały okrzykami wesołymi i  
szczęśliwymi jak zwykle.  
Na okrzyki Ojciec Święty odpowiadał nieprzerwanie, kreśląc znaki krzyża świętego  
w powietrzu  
lub też posyłając pozdrowienia ręką. W Watykanie omdlał. – Pierwsze dni  
grudniowe rozwiały  
do reszty wszystkie nadzieje. Ludzie w Watykanie płakali. Najpierw audiencje  
publiczne zostały  
zawieszane, potem audiencje prywatne. Mówiono, że papież przerwał wszelką swoją  
aktywność i  
że nie wstaje. Wstawał jednak, najpewniej tylko dla zmiany pozycji ciała.  
Cierpiał nieomalże  
stale, najsilniej zawsze w nocy. Nocami nie spał wiele, głównie się modlił. W  
momentach kiedy  
każdy oddech, każde uderzenie pulsu stawało się dla niego torturą, powtarzał raz  
za razem  
modlitwę, do której się teraz bardzo przywiązał, modlitwę Anima Christi.  
– W nocy z dnia siódmego na ósmy grudnia nad ranem, kiedy cierpienie dosięgło  
szczytów,  
kiedy się tak nasiliło, tak spotęgowało jak nigdy, Ojciec Święty, pozostawiony w  
pewnym  
momencie w pokoju sam, raz jeszcze zaczął recytować słowa modlitwy. I wtedy  
właśnie, kiedy  
doszedł do wersetu inwokacji brzmiącej: „In hora mortis meae, voca me” (w  
godzinę śmierci  
mojej, wezwij mnie), ujrzał u swego wezglowia słodką postać Jezusa. Ujrzawszy  
ją, nie miał  
wątpliwości, że Jezus Chrystus przyszedł, żeby go wezwać do siebie, toteż z  
najwyższą powagą i  
wzruszeniem wypowiedział następne słowa modlitwy, sądząc, że podporządkowuje się  
woli  
Najwyższego. Powiedział: „Jube me venire ad Te”. (Rozkaż mi, abym przyszedł do  
Ciebie.) Ale  
Jezus nie przyszedł, aby wezwać go do siebie, aby wziąć go z sobą, przeciwnie,  
przyszedł, aby  
dodać mu otuchy, a nawet, jak sądzić wolno, aby mu dać do zrozumienia, że jego  
godzina jeszcze  
nie nadeszła.  
– Ojciec Święty jest najzupełniej pewien, że widział Jezusa. Jest najzupełniej  
pewien, że nie  
był to sen. W momencie kiedy ujrzał Jego postać przy sobie, nie tylko nie był  
śpiący, ale był naj-  
przytomniejszy w świecie. Następnego dnia, właśnie kiedy do dzienników całego  
świata poczęły  
napływać informacje z sypialnego pokoju papieża, dotyczące niezwykle ciężkiego  
stanu jego  
zdrowia, stanu chwilami bliskiego agonii, papież poczuł się lepiej. Ostre,  
zaciskające bóle,  
połączone z czkawką, nie powtórzyły się już w ogóle. W dwa dni potem pojawiły

się oznaki  
kresu tych okropnych trudności, które od paru lat uniemożliwiały papieżowi  
normalne  
odżywianie. Po tygodniu cały Watykan, cały Rzym i cały świat najpierw nieśmiało,  
a z dnia na  
dzień coraz śmielej i jawniej zaczął mówić o cudownym wyzdrowieniu papieża. Ale  
przez rok,  
prócz garstki osób, nikt nie wiedział, jaki niezwykle, jaki wyjątkowy cud kryje  
się za tym  
cudownym wyzdrowieniem. Cud, który pozostanie w pamięci całego Kościoła  
katolickiego po  
wiek wieków i błyszczeć będzie pośród cudów sprawionych przez Przenajświętszą  
Trójcę, przez  
Najświętszą Pannę Marię, przez świętych i święte jak brylant najpierwszej wody.  
Fiuggi, 24 czerwca 56 r.  
Spacerek na tereny Goli Club Fonte fiuggi. Wypożyczam leżak z casiny. Idę  
ustawić go na  
zwykle miejsce pod trzema prastarymi oliwkami, które dają cień. Patrzę jednak,  
że miejsce jest  
zajęte. Już chcę się wycofać, ale widzę, że miejsce swoim leżakiem zajął ktoś  
znajomy, który  
mnie zatrzymuje. To ks. prof. L. Ten nie nosi z sobą brewiarza. Za to zawsze ma  
ostatnie numery  
Civiltà, franciszkańskich *Vita e Pensiero* CZY *Pa*" ryskich jezuickich *Efudes*,  
które ściska pod  
pachą lub rozrzuca koło siebie.  
Zaczynamy rozmawiać, ale niedbale, letnisko-wo. Z łąk nadciągają  
najprzeróżniejsze  
prześliczne zapachy. Nad nami delikatnie naszeptują oliwki. Cykady trzeszczą od  
nich głośniejsz,  
ale ciszej niż zwykle. Można słuchać tego i napawać się zapachami do  
nieskończoności.  
Machinalnie poruszam temat wczorajszej rozmowy z Gianlorenzo. A ściślej sprawę  
tego cudu, o  
którym Gianlorenzo mówił pod koniec rozmowy.  
Poruszam i od razu orientuję się, że zmaćłem ks. L. wypoczynek. Przez chwilę  
nic nie  
odpowiada. Wyczuwam jednak jego irytację. Wyczuwam, że dotknąłem miejsca  
wrażliwego.  
Milczenie L. przeciąga się. Nie słyszę nawet, by oddychał. Hamuje się.  
– Jest zastanawiające – nareszcie odzywa się stawiając sprawę w sposób  
nieoczekiwany – że  
wy, cudzoziemcy, tak się interesujecie tym zjawiskiem. W maju bieżącego roku  
byłem na  
kongresie naukowym w Louvain, w Belgii. W Louvain jest uniwersytet katolicki.  
Wszyscy nas,  
to znaczy Włochów, obskakiwali o to zjawisko.  
– Nie miałem zamiaru księdza dotknąć – mówię. •– Usłyszałem o tym cudzie  
wczoraj.  
Chciałem się dowiedzieć, co o nim myślą włoskie katolickie koła naukowe.

– Co mają myśleć? Nic nie myślą. Czekają.

– A w Louvain, ci, co na księdza tak naskoczyli, o co im chodziło?

L. milczy przez chwilę, po czym informuje ostrożnie:

– Pan, zdaje się, nie ma specjalnego wykształcenia teologicznego ani szczególniejszej orientacji w historii Kościoła. Mając ją, odczuwałby pan to samo zakłopotanie w stosunku do tego zjawiska, o którym mówimy. Historia Kościoła zna zaledwie dwa czy trzy wypadki, i to jeden na poły legendarny, z Chrystusem ukazującym się swemu namiestnikowi na ziemi.

Wydarzenia podobne miały miejsce zawsze w sytuacjach krytycznych dla Kościoła. W momentach wielkiego niebezpieczeństwa. Tyle, jeśli spojrzeć na sprawę z punktu widzenia historycznego. Teologicznie czy mistycznie biorąc, zjawisko jest orzechem jeszcze trudniejszym do zgryzienia.

Choroba, nawet bardzo ciężka i nawet namiestnika Chrystusowego, jest wdarzeniem nadto zwykłym. Nawet w wypadku choroby papieża tak wybitnego, jak papież Pacelli. Zachodzi tu więc jakiś niestosunek pomiędzy przyczyną a cudownym zjawiskiem. Tyle, co do wątpliwości treściowych. Co do formy, w jakiej zjawisko zostało podane do publicznej wiadomości, uważa się za granicę, że była wyjątkowo nieszczęśliwa.

Tygodniki ilustrowane, których szpalty wypełnione są skandalami, morderstwami, aferami szpiegowskimi i półgółymi pięknościami, nie są odpowiednim miejsce do tego. Poza tym w Louvain ubolewano nad aspektem finansowym sprawy. Arytkuł o cudzie w tygodniku Oggi jest, jak mnie w Louvain zapewniano, fragmentem większej całości. Ta całość, rodzaj pamiętnika o papieżu Pacellim, powstała w Watykanie. Zapewniano mnie również, że nie pisało tego pióro świeckie! Całość ta jest obecnie przedmiotem pertraktacji pomiędzy autorem a pewnym wielkim wydawcą amerykańskim. Drukując fragment autor i wydawca chcieli wypróbować wartość całości. Jest to wszystko bardzo bolesne. Był zgryziony. Poczuję wyrzuty sumienia, że mu zepsułem tak piękną godzinę wśród oliwek, cykad, macierzanki i niezawodnego, upajającego i uspokajającego lazuru. Powiedziałem na pociechę:

– Jest przecie mnóstwo katolików, którzy się cudem zachwycają. Ojciec Gianlorenzo...

– Włosi się zachwycają! Włosi! Włosi! We Włoszech się pewnych rzeczy nie bierze dosłownie. Pewne rzeczy bierze się u nas lekko, alegorycznie. To sprawa klimatu, temperamentu, no i bliskości kurii rzymskiej, bliskości tej – powiedzmy – kościelnej kuchni.

Ale w takim  
Louvain ci katolicy, Boże mój, jacy pedanci!  
Fiuggi, 25 czerwca 56 r. Rozjeżdżamy się. Kolejarz z conlusione wyjechał przed  
paru  
dniami. Ten pił wodę za nas wszystkich. Sam nie wiedział, ile, może pięć, może  
sześć litrów. Do  
lekarza uzdrowiskowego nie zajrzał, bo tam jest opłata. Pogadał z ludźmi,  
popytał, pokalkulował.  
Wyzначył sobie cztery litry. Ale woli zawsze wypić więcej niż mniej. „Skoro się  
tu jest, no to  
się pije” – mówi. Conlusione utrudnia mu liczenie. Wymyślił sobie na to sposób.  
Nosi w  
butonierce małą gałązeczkę lauru i po każdej szklaneczce obrywa w niej jeden  
listek. Palce ma  
grube, do tej roboty mu one nie pasują. Wrywa więc za jednym zamachem parę  
listków zamiast  
jednego. Po czym wyrównuje pomyłkę. Ale znowu z drugiej strony, jak się zagada,  
zapomina o  
gałązce. Kiedy mu zwrócić uwagę, gniewa się na siebie i na przekłętą conlusione.  
A poza  
wszystkim nie pije miarowo, klasycznie, prześlicznie, tak jak na przykład ks.  
L., który pije  
wprost wzorowo, malutkimi łyżkami, w równych odstępach czasu, z taką  
akuratnością, jak  
gdyby przesuwiał paciorki koronki. „Conlusione” łupi wodę wielkimi haustami, a  
gargarella. Na  
pewno podświadomie chce napić się, zaczerpnąć w siebie, przepędzić przez swój  
organizm jak  
najwięcej tej wody, tutaj dla niego darmowej, a za którą wszędzie indziej  
musiałby płacić po  
dwieście lirów za butelkę.  
Dziś wyjeżdża mój miły Gianlorenzo. Jest zawstydzony. Ma do siebie żal, ma do  
mnie, nie-  
postrzegalny, ale wyczuwalny, wszystko o to, że mówił ze mną o cudzie, po którym  
nic mu nie  
powiedziałem. Znowu jest trochę taki, jak kiedy się dowiedział, gdzie pracuję.  
Na pewno przed  
zaśnięciem robił sobie wczoraj wymówki, że niepotrzebnie się wywnętrzył. Ale  
jakoś mu to  
przechodzi. Jest podniecony wyjazdem. Przez moment mówi ślicznie o swoich Gli  
Angeli. Mówi,  
że są pięknie położone. I mówi o tym, że tak jest przeważnie z klasztorami.  
Zresztą rozmawiamy  
krótco, bo on musi obżegnać mnóstwo różnych swoich znajomych. A czasu ma mało,  
bo jedzie o  
pierwszej.  
Wracając z parku, jak zwykle do ostatniej chwili przed obiadem popijając sobie  
perypate-  
tycznie, zaglądam na dworzec. Właśnie wpada na peron wielkimi krokami. Pikolak z  
Santa

Chiara sunie za nim z walizką. O. Gianlorenzo lewicą wciska mu do ręki parę groszy, prawicą kreśli na czole znak krzyża. Walizka wędruje na półkę. Nareszcie Gianlorenzo spostrzega mnie, stojącego na peronie z kubkiem w ręku. Ucieszyłem go. Jeszcze jedno, jeszcze dwa banalne słowa i już elektryczny pociąg zaczyna furkotać. Rusza. Wtenczas podnoszę w górę pusty kubek. Wznoszę go gestem salutującym. Gianlorenzo raptem niknie z okna. Ale kiedy pociąg zakręca i jeszcze raz oglądam wagon, do którego wsiadł, widzę jego rękę machającą także kubkiem. Aby przejąć mój znak, musiał błyskawicznie rozpatroszyć walizkę. Więc znowu ja odwzajemniam mu się zdwojonym machaniem. Jeszcze sekunda, dwie, trzy i już się nie widzimy więcej. Z Gianlorenzo wymieniliśmy pewnego dnia adresy. Obiecał odwiedzić mnie w Rzymie, ja znowu to samo na wypadek, gdybym był w Sa-lerno. Z ks. L. nic podobnego! Puszcza mimo uszu, kiedy mu – bo ja znowu jutro rano wyjeżdżam – wspominam o czymś podobnym. Na pożegnanie częstuje mnie jeszcze jakimś sformułowaniem, z którego przebija jego sposób myślenia dość niezależny, ale spotkać by się nie chciał. Ten przy swoim sposobie myślenia na pewno musi się pilnować. I na terenie swego B., i w Rzymie. To już nie Fiuggi, gdzie nikt nie odpowiada za przypadkowe sezonowe znajomości. Trudno. Bóg z nim!

Wenecja, 28 czerwca 56 r.

W Wenecji lubię zachodzić do Accademia di Belle Arti, do dawnego kościoła franciszkańskiego, który Napoleon przekształcił na pinakotekę, i popatrzeć sobie na „Ucztę w domu Leviego” Veronese’a. Nasz przyjaciel, Luigi Cini, który zauważył, że zatrzymuję się przed tym obrazem długo, a wczoraj mając mało czasu zaciągnąłem go tylko przed ten obraz i po dziesięciu minutach, na nic innego nie patrząc, wyszedłem, utrzymując, że robię tak w związku z tym, że kiedyś napisałem powieść pt. „Uczta Baltazara” z imaginacyjnym arcydziełem Veronese’a w roli tytułowej. Może rzeczywiście zwróciłem uwagę na ten obraz z tego powodu, ale dziś kręcę się kolo ^ niego dla niego samego i dla jego historii. Dla całej problematyki związanej z jego historią. Mogę o niej myśleć w oderwaniu od tej „Uczty w domu Leviego”, nie patrząc na nią. I na pewno myślę o niej poza Wenecją. A mimo tego, że ten obraz nie jest mi potrzebny, żeby o pewnych

problemach myśleć, zawsze po obejrzeniu go na nowo myślę o nich jeszcze intensywniej.

Obraz jest olbrzymi. Szeroki na dwanaście metrów i osiemdziesiąt centymetrów.

Wysokości

liczy sobie pięć metrów i pięćdziesiąt centymetrów. Jest największą z „uczty”

Veronese'a, tych

„uczty”, o których Lanzi w słynnej Storia della pittura powiada: „...Le cenę sono la sua maggioi

gloria” (uczty są jego największą chwałą). Jest ostatnią z jego „uczty”. Jest też najpiękniejszą z

jego „uczty”. Przepiękne są i inne. A więc turyńska z Magdaleną myjącą nogi Chrystusa, paryska z

Luwru, przedstawiająca cud w Kanie Galilejskiej, drezdeńska, którą znam tylko z reprodukcji,

też z Kana, druga paryska, również znajdująca się w Luwrze, z Magdaleną, mediolańska z

pinakoteki Brera, przedstawiająca ucztę w domu faryzeusza (z Magdaleną), i wreszcie ta z

Vicenzy (z kaplicy di Berico Monte) „Uczta św. Grzegorza Wielkiego”. Z „Ucztą w domu

Leviego” byłoby to razem sześć „uczty”. Sam Paolo Veronese mówi o „mniej więcej dziesięciu”.

Wśród nich są również takie, co zaginęły, i te malowane al fresco po letnich, wiejskich

rezydencjach całego Veneto. Są to jednak uczty mitologiczne, baśniowe, fantastyczne, nie

religijne. Wspaniale pisał o nich Valery (w przedmowie do monografii Loukomskiego,

poświęconej tym freskowym, pogańskim ucztom). Są one lekkie, szybkie, pełne żartów i figlów

optycznych. Robią na mnie wrażenie felietonów, świetnych-, barwnych felietonów. Pięć uczt

religijnych, o których wyżej wspominam, z szóstą „W domu Leviego”, to rodzaj artystyczny

inny. Rodzaj –

serio. Jest w nim też pełnia swobody, ale felietonami nie można by ich nazwać.

Są to

powieści.

Wszyscy się zgadzają, że ostatnia „uczta” (ta w domu Leviego) jest najlepsza.

Jest wspaniała,

majestatyczna, harmonijna. Jest z rodzaju tych arcydzieł robionych na cały regulator, na całą

orkiestrę, które się udały i nic a nic nie trąca operą, zakalce, kobyłą.

Z poprzednich wydaje mi się, że najbardziej by mi się podobała drezdeńska z Kana Galilejską. Jest psychologiczna i zarazem składa się ze zdarzeń, z ruchu. Ale

trzeba się z

historykami sztuki zgodzić i dać jej miejsce poniżej „Uczty w domu Leviego”, ponieważ jest

epizodyczna. Przedstawiająca nie epizod, ale całą wielką regularną ucztę, jest ogromna „Kana” z

Luwru, malowana na dziesięć lat przed „Levim”. Ta jest jednak właśnie kobyłasta. Jej Chrystus przypomina wspaniałego drezdeńskiego Chrystusa, którego oczu i wyrazu twarzy nie można zapomnieć, zamagnetyzowanego dokonany przez siebie cudem. Owszem, przypomina, to jest ten sam Chrystus. Tylko że drezdeński zbulwersowany jest moralnie, psychicznie, nerwowo tym, czego dokonał, paryski tak samo, tylko w pięć minut później, już jak gdyby pozujący do fotografii. Poza wszystkim „Kana” paryska gubi się w setce nagromadzonych na obrazie osób, upozowanych i niespokojnych, rozmieszczonych w trzech kondygnacjach, na tle architektury różnorodnej, która się rozpięcha. Ładne są paryska i mediolańska „Uczty w domu faryzeusza” (z Magdaleną). Są to jednak, artystycznie biorąc, imprezy skromniejsze od „Lewiego”. Nie można też ich uznać za wzór harmonii. Malowane są z zastosowaniem kompozycyjnej konwencji polegającej na tym, że środek obrazu jest wolny dla wydobycia efektu dalekiej perspektywy. Wskutek czego ma się trochę wrażenie, że prawa i lewa strona obrazu jest zabudowana, a nawet zatłoczona, w środku zaś na głównym, centralnym miejscu jest dziura. Nie ma takiej dziury obraz z Vicenzy. Poprzedza on „Uczę w domu Lewiego”. Jest przedostatnią „uczta” Veronese’a. „Vicenza” i „Levi” podobne są do siebie. Podobna architektura rygorystycznie komponująca obraz w tryptyk. Ten sam sposób uporządkowania ludzi pośrodku w jedną kondygnację, po bokach zaś swobodniej w dwa rzędy. Te same „martwe schody”. Podobieństw w szczegółach mnóstwo. Ale ostatecznie zestawiając oba obrazy czuje się, że wcześniejszy jest przygotowaniem do późniejszego. Wcześniejszy jest próbą zsumowania i wyciągnięcia końcowych wniosków z wszystkich poprzednich „uczty”. Późniejszy jest już pełnym pewnością ich zastosowaniem. Pełnym pewnością utwierdzeniem się w swoim rodzaju. W swoim sposobie traktowania tak prastarego tematu, jakim są uczty ewangeliczne. Te uczty, uczty klasyczne – gody w Kanie Galilejskiej, uczta w domu faryzeusza, ostatnia wieczerza i wieczerza w Emaus – setki, tysiące razy malowane, poczynawszy od ujęć paleochrześcijańskich i kończąc na Leonardzie. Ciężar tradycji musiał tu gniesć nieznośnie. Szukanie własnej wersji, wersji nowoczesnej,

musiałoby być tu wyjątkowo trudne. Może dlatego trzeba było tyle czasu, to znaczy dwudziestu lat, aby Veronese'owi ułożył się własny sposób widzenia i aby mu zaufał. Patrząc na „Levięgo” od pierwszej chwili narzuca się właśnie to wrażenie dopłynięcia do portu. Ogromny obraz jest tak nadzwyczajnie lekki i spokojny. Na początku ma się wrażenie, że to sprawa architektury. Myśli się, że to te trzy łyki – ni to z Sansowina, ni to z Palladia – nadają obrazowi rygor, ale znając obraz bliżej, czuje się, że nadają go nie tylko one. Swoboda zakomponowania stołu mimo całej lekkości jest też rygorystyczna. Przecudowny jest spokój tchnący z całego obrazu. Powaga i męskość nastroju, który sprawia, że ta uczta, zarazem niewątpliwie epikurejska, nic nie ma z popijawy czy nażerania się. Nieraz ludzie patrząc na ten obraz zachwycają się powietrzem i dałą za postaciami Chrystusa, Piotra, Jana. Ta dała nieskończona na pewno warła jest, żeby się nią zachwycać. Ale nie wiem, czy warta jest, aby ją wyróżniać. Tyle-razy bowiem spotyka się ją na innych płótnach. Porywającą natomiast dla mnie jest proporcja pomiędzy życiem samego stołu i życiem sumy różnych pobocznych epizodów. Skupia się to poboczne życie głównie wokół „martwych schodów”, ale nie tylko. Pełno go wszędzie – tych różnych halabardników, dzieci, Murzynków, psów, karłów, dziewczątek – nigdzie jednak nie robią tłoku. Może dlatego to życie epizodyczne odczuwa się w tym obrazie jako coś na marginesie. Coś pełnego uroku i wszelkich powabów malarskich, ale właśnie marginesowego. Dzięki temu ma się z pewnością to wrażenie proporcji i umiaru w nasycaniu obrazu sztafażem życia, umiaru tak trudnego dla weneckiego późnego renesansu i baroku.

Wenecja, 30 czerwca 56 r.

„Levi” nosi datę zakończenia obrazu: 20 kwietnia 1573. Na bardzo widocznym miejscu, na obu zewnętrznych słupach „martwych schodów”, nosi napis jeszcze inny: FECIT D. CONVI. MAGNUM LEVI – LUCAE CAP. V. Za pomocą tego napisu wyjaśnia się autorytatywnie, o jaką ucztę na obrazie chodzi. Żadna z „ucztych” Veronese'a nie ma takiego napisu. Zresztą po wiekach obcowania z tematyką religijną nikomu nie były potrzebne napisy. Każdy wiedział, o co i o kogo chodzi na obrazie. Ale przypadek z „Le-vim” był specjalny. Po trosze dlatego, że tej uczty się nie



malowało, ale głównie dlatego, że „Levi” nie był od początku „Levim”. Słynna „Uczta w domu Leviego” na początku była „Ostatnią wieczerzą”. Obstał ją u Veronese’a Andrea Buonó z Wenecji, zakonnik. Zdaje się, że otrzymał spadek i klasztor pozwalał mu wydać pieniądze na przyzdobienie refektarza u ojców w S. Giovanni e Paulo, którzy to święci zresztą w potocznej mowie a nawet piśmie zlewają się w jednego, w San Zanipolo. Refektarz miał już raz swoją „uczte”, i to pędzła Tycjana, spalili mu ją upiwszy się niemieccy zacieźni landsknechci, zakwaterowani w klasztorze. Wydarzyło się to latem 1571 r., na parę miesięcy przed bitwą pod Le-panto. Trzeba przypuszczać, że zakonnik Andrea Buo-nó, który obstał u Veronese’a nową „uczte” był już starszym, znał starą i jej żałował. Veronese obstałunek przyjął. Zdaje się też, że zakonnik spodziewał się ze spadku dostać więcej i móc na obraz wydać więcej, w każdym razie jakieś tam powikłania finansowe zajść musiały, Carlo Ridolfi bowiem w Le Meraviglie deWArte (1648) pisze: „Ma non po\* tento ii povero irale Andrea Buonó spender di piu, siorzato Paolo (Veronese) da preghi, to volle inline compiaceie... spinto piu dal desio delia gloria, che daWutile”. („Ale nie mogąc wydać więcej, biedny zakonnik przymusił błaganiami Paola, który w końcu zechciał mu zrobić tę przyjemność... bardziej pchany ku temu potrzebą chwały niż pragnieniem zysków”.)

Pomiędzy poprzednimi „uczta” i tą ostatnią, nawet tą świeżutko wymalowaną przed „Levim”, tą z Vicenzy, tą, która, biedaczka, dopiero niedawno wylizała się ze straszego pokiereszowania po bombach amerykańskich – jest tak znaczna różnica, wprost jakościowa różnica w swobodzie rozmachu, że owo desio delia gloria ja osobiście rozumiałbym jako dokuczliwą potrzebę wypowiedzenia się na całego w rodzaju, który czuło się w sobie jako doskonale dojrzały.

Tak czy owak, czy z pilnej potrzeby, czy z żądzy sławy, czy też z przyjaźni dla sędziwego mnicha, rzeczywiście bardzo sympatycznego, j<sup>^</sup>śli sądzić wolno z jego portretu umieszczonego przez Veronese’a na obrazie (drugi z siedzących przy stole od prawej, ten brodaty o melancholijnych oczach, z nożem i widelcem w rękach i serwetką na ramieniu) – powstała

„uczta" porywająca. Wiadomo ze świadectw, że podobała się ogromnie. Nie sądzę, żeby podobała się tu przede wszystkim strona religijna obrazu. Wykluczyć natomiast nie można, że podobało się w nim właśnie to piękne sąsiedowanie z sobą w dziele sztuki idei i życia, o które tak trudno. Sąsiedowanie z sobą w tym wypadku boskiego i ewangelicznego z ziemskim i weneckim. Ale może rzeczywiście podobało się o wiele bardziej to ostatnie, ziemskie i weneckie, z krzywdzącym pominięciem tego pierwszego, odsuniętego niejako na drugi plan. Jednocześnie bowiem z zachwytem zaczęły po mieście chodzić szmerki, że z obrazem nie wszystko jest w porządku. Nie znam szczegółów. Zdaje mi się, nie są one w ogóle znane, tak historykom zwykłym, jak i historykom sztuki. Namotywanie się złych sił wokół jakiegoś dzieła sztuki to zresztą nie jest dla nich temat, bo nie rodzi pisanych dokumentów. Nie wiadomo więc, jak się to zaczęło. Czy to był rozkaz z góry, czy inicjatywa różnych wieźm i różnych głodomorów rozgłosu, kłębiących się wokół tak zwanych uczciwych fanatyków, zarazem popędzanych i popędzających. Jest rzeczą interesującą w tym wypadku, że urząd Świętego Oficjum na Wenecję, a więc Inkwizycja i jej trybunały, mieścił się właśnie w jednym ze skrzydeł klasztoru w S. Giovanni e Paulo, gdzie powstawała nowa „uczta". Mógł więc ktoś zajrzeć i naskarżyć. Mógł też ktoś z przejezdnych, ktoś z rzymskiej kurii świeżo obranego Grzegorza XIII, rozjadłego kontrreformaty, narobić gwałtu. Przeciw wszystkiemu, co rozbudziło Odrodzenie, szła niszcząca fala. W takich momentach nadgorliwców nie sieją. Odpór skuteczny dawała różnego rodzaju paroksyzmem Wenecja. Z tym większym impetem rzuciło się Święte Oficjum na tę „uczte", o której piszę, nareszcie znalazłszy pretekst. Może było tak, a może inaczej. Można w nieskończoność snuć domysły. Jest pewne natomiast, że dnia 28 lipca 1573 stanął Veronese przed sądem Inkwizycji. To znaczy w trzy miesiące po skończeniu obrazu. Del. dał mi bilecik do tutejszego Państwowego Archiwum, widziałem więc protokół z przesłuchania. Mieści się on w kopercie noszącej numer 33. Szukać jej trzeba w kartonowym pudle aktów Świętego Oficjum za rok kurialny 1572/73. Do dziś zresztą podobnym podziałem na lata kurialne operuje rzymska kuria. Rok kurialny zaczyna się tu pierwszego

listopada, a kończy  
dziewiątego września. Następuje sześciotygodniowa luka przeznaczona na  
wypoczynek, na ów  
wyjazd ad aquas (do wód), stosowany od tylu wieków, że już dzisiaj stał się  
terminem  
technicznym, nazwą na ową długą przerwę w pracy wszystkich kongregacji,  
trybunałów i  
urzędów, tak długą, że cała praca w watykańskich biurach nastawia się  
uwzględniając jej  
istnienie.  
Pięć kartek, klasycznie pożółkłych, formatu szesnastce na dwadzieścia trzy  
centymetry, z  
dużym marginesem, oto protokół. Brzeżki papieru brudne, pismo ładne, nerwowe, na  
pięciu  
kartkach naliczyłem osiem miejsc, w których prowadzący protokół, pomyliwszy się,  
słowa czy  
czasem cały wiersz przekreślał. Raz jeden zaś wpisał na górze wyraz, który  
zgubił. Na co podaję  
tę informację, nie wiem. Większy czy mniejszy, bardziej czy mniej pomazany  
protokół, to  
wszystko jedno. Naturalnie, że wiem o tym. Ale w tych kartkach jest taki nabój,  
sama sprawa tak  
przejmująca, a zarazem taki natłok aluzji, że z chęci przekazania całości  
wrażenia notuje się też  
rzeczy niepotrzebne.  
Protokół zaczyna się, jak każdy protokół, od daty, od ustalenia generalistów  
zawezwanego  
przed Święty Trybunał Świętego Oficjum Veronese'a. Ta część jest po łacinie, w  
tekście  
również to tu, to ówdzie wyskakuje łacina, w zakończeniu zawierającym wyrok  
pojawia się  
również. Z reguły też nazwy osób, głosy dialogu malarza z trybunałem podawane są  
po łacinie.  
Jest ich dwa, tych głosów: oni i on. Każda więc kwestia dialogu zaczyna się od:  
Ei dictum (jemu  
powiedziano) i Respondit (odpowiedział). Czasem zamiast Ei dictum zjawia się  
Interrogatus,  
najczęściej jednak monotonnie następują po sobie Ei dictum, Respondit – Ei  
dictum, Respondit, i  
tak w kółko.  
W te klamry łacińskie wlewa się treść dialogu prowadzonego w dialekcie weneckim.  
Przepisuję z niego wszystko, co najważniejsze. Zresztą prawie wszystko jest tu  
najważniejsze.  
A więc po zapisaniu dat i ściągnięciu generalistów zapytano Veronese'a o zawód. Od  
tego się  
zaczyna istotna część dialogu.  
„Odpowiedział: Maluję i wykonuję postacie. (Dipingo et iazzo delie figure.)  
Jemu powiedziano: Czy znacie przyczynę, dla której zostaliście pozwani przed  
nasz  
trybunał?

Odpowiedział: Nie, proszę Waszych Wielmoż-ności.

Jemu powiedziano: A czy nie możecie się tego domyślać?

Odpowiedział: Owszem, mogę się tego domyślać.

Jemu powiedziano: Powiedzcie więc, jakie są wasze domysły?

Odpowiedział: Podług tego, co mi zostało powiedziane przez Wielebnych Ojców, to jest

przez Przeora klasztoru San Zanipolo, którego imienia nie znam, miał on otrzymać od Waszych

Wiel-możności polecenie, by na miejsce psa na obrazie namalowanym przeze mnie – pośrodku, u

dołu – została umieszczona Magdalena. Odpowiedziałem ja jemu, że z największą chęcią

namalowałbym to lub nawet rzecz inną dla mego honoru i dla dobra obrazu.

Wszelako nie

czuję, by postać Magdaleny mogła do tego miejsca pasować, a to z wielu przyczyn, które

wyszczególnię zaraz, jeśli mi została dana okazja do ich wyszczególnienia.

Jemu powiedziano: Co to za obraz, o którym tu wspominaliście?

Odpowiedział: To jest obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, którą spożył Jezus

Chrystus razem z apostołami w domu Symeona.

Jemu powiedziano: Gdzie jest ten obraz?

Odpowiedział: W refektarzu ojców w klasztorze San Zanipolo.

Jemu powiedziano: Czy jest to obraz malowany na murze, na drzewie czy na płótnie?

Odpowiedział: Na płótnie.

Jemu powiedziano: Ile stóp ma wysokości?

Odpowiedział: Może mieć siedemnaście stóp.

Jemu powiedziano: A szerokości?

Odpowiedział: Coś ponad trzydzieści dziewięć stóp.

Jemu powiedziano: Czy na tej wieczerzy Naszego Pana wymalowaliście również sługi?

Odpowiedział: Tak, proszę Waszych Wielmoż-ności.

Jemu powiedziano: Wyliczcie, ilu sług namalowaliście, i gesty, które każdy z nich wykonuje.

Odpowiedział: Wymalowałem gospodarza zajazdu, w którym odbywała się uczta, to znaczy

Symeona, wymalowałem poza tą figurą również postać nadzorcy jego sług, którego wyobraziłem

na obrazie tak, jak gdyby z własnej ochoty przyszedł popatrzeć, czy z wieczerzą wszystko jest w

należyтым porządku. – Następnie dodał: Tam są jeszcze liczne inne postaci, których ze względu

na to, że upłynęło dużo czasu, jak je pomieściłem na tym obrazie, nie przypominam sobie.

Jemu powiedziano: Czyście namalowali jeszcze inne uczty prócz tej jednej?

Odpowiedział: Tak, proszę Waszych Wielmoż-ności.

Jemu powiedziano: Ile namalowaliście ich i gdzie się one znajdują?

Odpowiedział: Zrobiłem w Weronie jedną dla Wielebnych Zakonników św. Łazarza, która

znajduje się w ich refektarzu.

Dodał: Zrobiłem jedną dla Wielebnych Ojców w kościele św. Jerzego tu w Wenecji. Na to mu zostało powiedziane, że ta to nie jest wieczerza, pytanie dotyczy tylko uczt z

udziałem Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Odpowiedział: Zrobiłem jedną dla Franciszkanów u św. Sebastiana w Wenecji. I zrobiłem

też jedną w Padwie dla Ojców przy kościele św. Magdaleny. Nie przypominam sobie, że bym

namalował jeszcze inne poza tym.

Jemu powiedziano: W tej uczcie, którą zrobiliście w S. Giovanni e Paulo, co oznacza

malowidło owego, któremu cieknie krew z nosa?

Odpowiedział: Wymalowałem tego człowieka jako sługę, któremu na skutek jakiegoś przypadku mogła zacząć lecieć krew z nosa.

Jemu powiedziano: A co oznaczają ci uzbrojeni z niemiecka, każdy z nich trzymający po

halabardzie w ręce?

Odpowiedział: Tu zachodzi potrzeba, że bym powiedział owe dwadzieścia słów dla objaśnienia.

Powiedziano mu, by je powiedział.

Powiedział: My, malarze, pozwalamy sobie korzystać ze swobody, z której korzystają też i

poeci, i wariaci (i poeti e i matti), i stąd namalowałem tych dwóch

halabardzistów, jednego, który

pije, drugiego, który je w pobliżu martwych schodów i których tu pomieściłem, ponieważ wydało

mi się właściwe ich pokazać w domu człowieka możnego i bogatego, zgodnie z tym, co mi

powiedziano, któremu wypadało mieć takie sługi.

Jemu powiedziano: A ten ubrany za błazna, z papugą w ręku, w jakim celu namalowaliście

go na tym obrazie?

Powiedział: Dla ozdoby, tak jak się to robi.

Jemu powiedziano: Przy stole Pana Naszego kto tam jest?

Odpowiedział: Dwunastu apostołów.

Jemu powiedziano: Co czyni św. Piotr, który siedzi koło Chrystusa?

Odpowiedział: Cwiartuje jagnię, żeby je podać na drugi koniec stołu.

Jemu powiedziano: Co robi ten, który jest koło niego?

Odpowiedział: Trzyma przygotowany talerz, żeby wziąć to, co mu poda św. Piotr.

Powiedziano mu: Powiedzcie nam, co robi ów, który jest koło niego?

Odpowiedział: Jest to jeden, który trzyma w ręku widelec, którym dłubie sobie w zębach.

Jemu powiedziano: A podług was, kto naprawdę był na tej uczcie?

Powiedział: Wierzę, że był Chrystus ze swoimi dwunastu apostołami, ale jeśli na obrazie

pozostaje wolna przestrzeń, ozdabiam ją postaciami podług swojego natchnienia.

Powiedziano mu: A może ktoś dał wam takie zamówienie, byście na tym obrazie namalowali

Niemców, błaznów i tym podobne rzeczy?

Odpowiedział: Nie, proszę Waszych Wielmoż-ności. Ale zgodnie z zamówieniem miałem

podług mojego upodobania ozdobić obraz, który jest -wielki i zdolny pomieścić w sobie

mnóstwo postaci.

Jemu powiedziano: Czy te ozdoby, które wy jako malarz zwykliście umieszczać na waszych

obrazach, zwykliście je czynić odpowiednie i dopasowane do tematyki i głównych postaci? Czy

też wyłącznie kierując się waszym kaprysem i fantazją, podług tego, co wam przyjdzie do głowy,

bez żadnego rozeznania i sądu?

Odpowiedział: Zwykłem je czynić, biorąc pod uwagę, żeby były odpowiednie i na miarę

mojej pojętności, i mego umysłu.

Zapytany, czy uważa za właściwe (Interrogatus se li par coiweniente), że na swojej Ostatniej

Wieczery Pana Naszego namalował błaznów, pijaków, psy i tym podobne obrzydliwości,

odpowiedział: Nie, Wasze Wielmożności.

Zapytany: Czemuż więc wymalowaliście je?

Odparł: Zrobiłem tak, ponieważ zakładam, że one znajdują się poza miejscem, gdzie odbywa

się wieczerza.

Zapytano go: Czy wy o tym nie wiecie, że w Niemczech i w innych stronach zarażonych

herezją należy do rzeczy zwykłych za pomocą różnych malowideł pełnych obrzydliwości i

podobnych pomysłów obrażać, znieważać i naśmiewać się z rzeczy związanych z Świętym

Kościółem Katolickim, tak aby w ten sposób wpajać przeklętą naukę w ludzi głupich i

nieświadomych?

Odpowiedział: Wielmożni Panowie, wiem, że to źle, ale dlaczegoż miałbym powracać do

tego, co już raz powiedziałem, to jest, że mam obowiązek iść śladem tego, co zrobili moi wielcy

poprzednicy (i miei maggiori).

Odpowiedziano mu: Co zrobili wasi wielcy poprzednicy? Może zrobili coś podobnego?

Odpowiedział: Michał Anioł w Rzymie wewnątrz kaplicy papieskiej wykonał Pana Naszego

Jezusa Chrystusa, Matkę Jego i św. Jana, św. Piotra i cały dwór niebieski, którzy są wszyscy

wymalowani goło, począwszy od Najświętszej Panny, i kolejno, w różnych pozach, bez

szczególniejszego szacunku.

Powiedziano mu: Nie wiecie wy o tym, że malując Sąd Ostateczny, w którym nie przypuszcza się, że będą ubrania i tym podobne rzeczy, nie zachodzi potrzeba malowania ubrań.

W tym obrazie nie ma też nic, co by nie było duchowe, nie ma błaznów ani psów, ani broni, ani tym podobnych błażństw. Czy zresztą przez ten lub przez jakikolwiek inny przykład wydaje wam się, żeście dobrze uczynili malując wasz obraz w ten sposób, w jakiście go wymalowali, i chcecie w ten sposób bronić waszego obrazu, że on jest dobry i na miejscu? Odpowiedział: Proszę Waszych Wielmożności, to nie jest to, że ja go chcę bronić. Myślałem tylko, że robię dobrze. A poza tym nie brałem pod uwagę różnych rzeczy. Przez głowę mi nie przeszło, że naruszam porządek, tym bardziej że przecież owe figury błaznów znajdują się poza miejscem samej uczty Pana Naszego." Na tym przewód zakończono. Co do wyroku, poleca się wyżej wspomnianemu Imć Pawłowi Veronese'owi, pod grozą kar Świętego Trybunału, poprawienie i ulepszenie obrazu w ciągu trzech miesięcy od dostarczenia Veronese'owi szczegółowych wskazówek. Ma on również zapłacić kosztu opracowania tych wskazówek, które wypre-cyzuje jeszcze tenże sam sądzący go Święty Trybunał. Wyrok kończy się oświadczeniem, którego sens rozumiem następująco: „I tak zasądzi go w sposób, który był do wybrania najlepszy." Oto jego pełny tekst: Quibus habilis Domini de-cieverunt supradictum Dominum Paulum teneri et obligandum esse ad corrigendum et emendandam picturam, de qua in constituto arbitrio S.cti Tri-bunalis, inlra terminum trium mensium connume-randorum a die prelixionis correctionis laciendae iuxta arbitrium praedicti S.cti Tribunalis connume-randorum suis expensis, cum comitatione sub penis Sacri Tribunalis imponendis. Et ita decreverunt omni meliori modo. Rzym, 3 lipca 56 r. Przywiozłem z Wenecji świetną reprodukcję „Uczty w domu Lewiego". Fascynują mnie peryOuibus habltls... – Co ustalwszy, Panowie orzekli, że wyżej wymieniony Pan Paweł przymuszony jest i zobowiązany do poprawienia i usunięcia błędów w malowidle, o którym mowa w zapadłym wyroku Świętego Trybunału, w terminie trzech miesięcy od daty ustalenia mających się dokonać poprawek, zgodnie z wyrokiem wspomnianego Świętego Trybunału, na swój koszt, pod karą grożącą mu ze strony Świętego Ti ybunału. Tak orzekli w sposób ze Wszystkich najlepszy. petie tego obrazu. Przyglądam mu się i tak, i owak. Przyglądam mu się na

przemian oczami  
twórcy i potem oczami biednego ojca Andrzeja Buonó, a na koniec oczami  
przedstawicieli  
Świętej Inkwizycji. Na obrazie Veronese'a ojciec Buonó ma rysy najlepszego ze  
starców, ale  
raczej melancholijnego, płochliwego, nerwowego. Na pewno musiał fatalnie przyjąć  
wiadomość,  
że Święta Inkwizycja dopytywała się, czy czasem wypomniane przez nią  
Veronese'owi  
bezceństwa nie zostały u Veronese'a wraz z obrazem o b s t a-lowane. Poważna  
sprawa! A co  
by się stało, gdyby Veronese nie zaprzeczył? Gdyby ogarnięty popłochem nie  
odgrodził biednego  
Buonó od niebezpiecznej hipotezy. Ze strachu łatwo mógł go wpakować,  
odpowiadając w sposób  
mniej stanowczy. On zaś całą odpowiedzialność za te wszystkie rzeczy, które  
zgorszyły  
dostojników trybunału, wziął na siebie. Ale i tak przypuszczam, że ojciec Buonó  
przeklinać  
musiał i spadek, i pomysł, żeby go wydać na przyozdobienie refektarza. Buonó ma  
twarz  
człowieka pełnego urazów i zahamowań. Wyobrażam sobie doskonale, że kiedy mu  
doniesiono  
to o Świętej Inkwizycji, przeraził się straszliwie, pobladł i powiedział z  
gorzką admonicją pod  
adresem swojego pechowego losu: – No, naturalnie!  
Bardzo ciekawe jest spróbować popatrzeć na obraz oczami Świętej Inkwizycji. Nie  
jest to  
jednoznaczne z popatrzeniem na obraz oczami nabożnego, religijnego człowieka.  
Nie  
zdziwiłbym się, gdyby człowiek taki poczuł się obrazem zaniepokojony. Nie owymi  
błazeństwami, które wyraźnie są obramieniem obrazu. Dla religijnego człowieka,  
wyobrażam sobie, centralne miejsce obrazu musiało być dziwne. Chrystus ani nie  
błogosławi  
wina, ani nie błogosławi chleba, ani nie dekonspiruje Judasza, ani nawet nie  
jest tym ze sceny  
pożegnania z uczniami, tak bajecznie opisanej przez św. Jana. Nic z tego! Postać  
Chrystusa jest  
mistyczna, ale niema. Jego oblicze jest obliczem człowieka, który się wyłączył.  
W zamian  
tego wszystkiego, czego religijny człowiek mógł tradycyjnie oczekiwać po  
Ostatniej Wieczerzy,  
wysuwa się na pierwszy plan, jako akcja, św. Piotr manipulujący przy misie z  
mięsem i św.  
Jan z zagadkowym ruchem ręki, podkreślającym jeszcze silniej wyraz twarzy  
człowieka o czymś  
nieprzekonanego.  
To na pewno musiało niepokoić i razić. Czemu w przesłuchaniu nie o tym mowa?  
Del.,  
który, nawiasem mówiąc, zajmował się specjalnie tą „urztą”, twierdzi, że z



takimi zarzutami,  
nazwijmy je, schematycznymi, Inkwizycja nie mogła w Wenecji wystąpić. Klimat w tym mieście  
był jeszcze zanadto swobodny, renesansowy. Uderzyć Veronese'a za to, że nie trzyma się  
tradycyjnych schematów liturgicznych i ikonograficznych, było nie sposób. Za świeża była tu  
pamięć o walkach przeciw schematycznym, tylekroć powtarzanym ujęciom, za świeża argumentacja za odnową ujęć, by wyrok oparty na motywacji, że obraz jest bluźnierczy, bo  
nie kopiuje wzorów – przekonywał. Tym Del. sobie tłumaczy, że Inkwizycja pominęła to, co  
przede wszystkim mogło ją razić, a uczepiła się szczegółów.  
Że Del. ma rację, dowodem jest to miejsce w protokole z przesłuchania, gdzie Inkwizycja  
rozpytuje się, co na obrazie wykonuje św. Piotr i św. Jan. Proszę zważyć, pyta i nie komentuje.  
Żadnego nie przylepia epitetu, którymi sypie przy okazji psów, karłów, dzieci i innych  
bezceństw. Konstrukcja Del., że inkwizytorzy wiedzieli, co ich boli, ale nie mogąc na polu  
głównym wytoczyć boju, odkuli się na pobocznym i incydentalnym, jest konstrukcją traktującą  
inkwizytorów optymalnie. Przy takiej koncepcji wypadają oni jako ludzie w pełni wszystkiego  
świadomi, zmuszeni do hamowania w jednym, odbijający to sobie na innym froncie.  
A jeżeli  
nie byli tego świadomi? Coś wyczuwali, coś wywęszali i łupili w to, w co łatwo było trafić. Bądź  
co bądź, lepiej czy gorzej, zarzut trzeba sformułować. Może nie umieli ani w sobie  
wykryształizować, ani wyjęzyczyć się, o co im chodzi, przy tych wątpliwościach, nazwijmy je z  
wyższych pięt – teologicznych. Naskoczyli więc na rzeczy pod wszystkimi względami  
prostsze. Na koniec powiem, że przyjąć można jeszcze inne wytłumaczenie. A mianowicie, że  
rzucili się tylko na to, co było dostępne ich tępym ograniczonym głowom ludzi, horyzontami nie  
wykraczających poza kruchą kościelną, prymitywnych bigotów.  
Tak czy inaczej powiem, że pomysł z przemalowaniem psa na św. Magdalenę jest rzeczywiście czymś kapitalnym. Wydaje mi się, że jest to pomysł, który mógłby wywołać  
rumieniec zazdrości u nas w swoim czasie. Albo i nie. Analogie są tu zresztą zarazem tak łatwe i  
tak trudne. Nie musiał to być zresztą jedyny pomysł kielkujący w głowach sędziów Inkwizycji,  
skoro wyrok od razu nie rozstrzyga sposobu, w jaki obraz ma być przemalowany, zapowiada  
jedynie, że Veronese otrzyma odpowiednie wskazówki po wyrobieniu sobie

odpowiedniego  
poglądu czy sądu przez Sw. Trybunał.  
Czy istniał również projekt zniszczenia obrazu? Nie znam rzeczy Ch. Yriarte'a  
pt. „Vie d'un  
patricien de Venise du XVI s." (Paryż 1874). Nie pamiętam, kto mi mówił, że w  
tej „Vie"  
twierdzi się z całą stanowczością, że tak. Del. jednak powiada, że u Yriarte'a  
występują  
pomieszane z sobą dwie „uczty", by się tak wyrazić, nasza i druga, ofiarowana  
przez Wenecję  
Ludwikowi XVI, ta z relektarza franciszkanów, o której wspomina Paolo Veronese w  
przesłuchaniu. Świadczenie więc Yriarte'a nie zanadto pewne.  
Że jednak w nagonce na obraz Veronese'a nie brak było głosów rozfanatyzowanych  
maksymalistów, to chyba można przyjąć. Socjologia podobnych zjawisk tego wymaga.  
Niemniej  
przeło musimy, opierając się na interrogatorium, uznać, że przyglądamy się  
sprawie w  
momencie, kiedy lewaków usunięto już za jej progi. Sw. Trybunał idzie wyraźnie  
po linii  
zażądania przeróbek. Za ewentualne nieposłuszeństwo grozi karami, ale może to  
tylko stała  
formuła na podobne wypadki. Zasadniczo trzeba przyjąć, że po zapadnięciu  
ramowego wyroku  
dalsza rozgrywka i spory toczą się jedynie co do tego, jak i w jakiej mierze  
obraz, poprawić i –  
powiedzielibyśmy – ideologicznie ulepszyć. Nacisk na kompromis nie ustawał. Ten  
nacisk  
odcisnął się na pierwszym etapie procesu, to znaczy na pierwiastkowym ustawianiu  
sprawy (że  
przeróbka, nie zniszczenie), ustawianiu zatwierdzonym w wyroku. Odcisnął się  
zwycięsko i na  
następnym etapie. Del. twierdzi, że odegrał tu decydującą rolę prestiż Republiki  
Weneckiej.  
Veronese urodził się w Veronie, na ziemiach rzeczypospolitej. Od lat mieszkał w  
Wenecji. Miał  
tu dom. Zapisany był do tutejszych ksiąg mieszczańskich. Jego obrazy zdobyły  
tutejsze pałace,  
wiejskie wille i domy. Podobnie jak jego „uczty" zdobyły kościoły i klasztory  
rozsiane po całej  
rzeczypospolitej. Dopuścić do tego, by został uznany za malarza  
nieprawomyślnego, byłoby to i  
ujmą dla honoru Wenecji, i sporym kłopotem.  
Proszę spojrzeć na reprodukcje „uczty" Veronese'a, jeśli kto je ma pod ręką.  
Wszędzie płaczą  
się pod nogami te bezecne psy, dzieci, karły, papugi i „tym podobne  
obrzydliwosci". To  
prawda, że w „uczcie" inkryminowanej Veronese natężył ich ilość i pomnożył  
jeszcze o  
halabardników. Jednocześnie dźwigając ją, przynajmniej z nazwy, do rangi  
najwyższej. Do rangi

Ostatniej Wieczerzy. Owszem, nasilił i namnożył. Ale cóż by to znaczyło, wzięte w mocniejsze rygory logiki? Ze na trochę można sobie pozwolić, na trochę błazeństw i wygłupiari, malując ucztę z udziałem Chrystusa, aby nie było tych horrendalności za dużo. Spory kłopot! Oczywiście! Przyjąwszy „wielką ucztę”, tę stojącą pod pręgierzem Inkwizycji, zaskarżoną, czyż nie należałoby konsekwentnie przyjąć, że i na innych są skazy? Przemalowywać je wszystkie? I wstyd, i koszta. Nie można więc wykluczyć, że poplecznikiem Veronese'a w tej nieszczęsnej aferze był nie tylko honor Serenissimy, ale również interes i reputacja tych klasztorów i kościołów, które przyozdobił. Del. wysuwa jeszcze inną hipotezę. Uważa za prawdopodobne, że przyszedł tu w pomoc jakiś znawca Pisma i zagadnień teoretycznych z pogranicza ideologii i sztuki. Albo jakiś starszy, który się skruszył, albo młody, z tych głodomorów rozgłosu, który zaryzykował. Del. zakłada, że uczynił to kierowany lepszym odruchem. Co do tego odruchu mam wątpliwości. Zamykam oczy i analogizuję. Nie. Ani starych pań S. czy K. z tej pierwszej kategorii, ani młodych K. czy Z. z tej drugiej nie widzę w podobnej sytuacji działających pod wpływem odruchu. Myślę też, że ten wenecki spec od Pisma i pogranicza znalazł w tym wypadku formułę ratującą sytuację i ratujący sytuację tekst, kiedy już pod koncentrycznymi naciskami na Święty Trybunał zapadła decyzja, że obraz nie może być przemalowany. Spec to musiał być wspaniały! Znalazł on po prostu w Piśmie świętym jeszcze jedną „ucztę”. Ucztę w domu Leviego. Nie malowano jej nigdy, ponieważ ideologicznie nie była interesująca. Teologicznie biorąc, była jak gdyby bez treści. Przypomnijmy sobie ucztę kanoniczne: „Gody w Kanie”, „Uczta u faryzeusza”, „Ostatnia Wieczerza” i „Wieczerza w Emaus”. Każda z nich naładowana treścią mistyczną po brzegi. Nawet ta pierwsza, w której przemienienie wody w wino jest symbolem, jest zapowiedzią innej przemiany, innego przeistoczenia! W zestawieniu z nimi uczta w domu Leviego jest pusta. Nie pociągająca religijnie, przez tradycyjną ikonografię nie uznawana, nie była jednak zakazana. Nie było przepisu, żeby jej nie malować. Można było, tylko po co. Nie było powodu. Teraz powód się znalazł. Nie tyle, żeby ją malować specjalnie. Na tyle jednak, żeby odtąd uczta w domu

Lewiego zaistniała.

Czy znawca Pisma brał pod uwagę jeszcze inny wariant? Jeszcze inną ucztę, ucztę-kopcius-

ka, również nie malowaną, a mianowicie ucztę w domu Zacheusza, nie wiem. Ale jeśli wziął ją

na chwilę, wyczytawszy się w informujący o niej tekst u św. Łukasza (19, 2–9)

musiał ją odrzucić.

Tekst brzmi: „I oto mąż imieniem Za-cheusz, który był zwierzchnikiem celników i bogaczem,

usiłował zobaczyć Jezusa, kim on był, a nie mógł z powodu rzeczy: był bowiem małego wzrostu.

I pobiegł naprzód, wspiał się na drzewo sykomory, aby go ujrzyć, bo tamtędy miał przechodzić.

A gdy Jezus przybył na miejsce i spojrzał wzwyż, ujrzał go i rzekł do niego: –

Zacheuszu, zejźdź

zaraz, dziś bowiem muszę stanąć w domu twoim. – I zeszedł spiesznie, a przyjął go z radością”.

Miły, serdeczny wariant z pewnością, ale nie nadawał się. A szkoda, bo

zamożnością w

domu Zacheusza dałoby się niejedno na obrazie wyjaśnić. Cóż, kiedy nie ma na nim nikogo ani

przy stole, ani na mniej poczesnych miejscach obrazu, kogo można by pod mikrusa Zacheusza

podciągnąć. Wszystkie osoby wielkie i rosie, nikogo o wzroście Zacheuszowym.

Jedyny ratunek

był w innym tekście z Łukasza. W tym tekście, odnoszącym się do uczyty w domu Leviego,

wszystko do „uczty” Veronese’a pasowało jak ulał.

A brzmi to tak: „A potem wyszedł (Jezus) i ujrzał celnika imieniem Levi,

siedzącego przy

stole, i rzekł mu: – Pójdź za mną. – A opuściwszy wszystko, powstał i poszedł za

nim. I sprawił

mu Levi ucztę wielką w domu swoim, a liczna rzesza celników i innych zasiadła z nimi do stołu.

I szemrali faryzeusze i uczeni, mówiąc do uczniów jego: – Czemuż to z celnikami i grzesznikami

jecie i pijecie? – A odpowiadając Jezus rzekł do nich: – Zdrowi nie potrzebują lekarza, lecz

którzy się źle mają.” (Łukasz 5, 27–31).

Tak, to był dobry tekst. A nawet – bardzo dobry. Przy tej uczcie zgodnie ze słowami

ewangelii Jezus siedział z celnikami, grzesznikami i innymi, i siedział celowo, siedział jako

lekarz. Człowiek dłubiący w zębach widelcem, ten drugi, któremu krew szła z nosa, ten trzeci w

czerwonej opończy i dziwacznej czapce, umieszczony naprzeciwko Chrystusa, i cały szereg

innych, wszyscy oni tłumaczyli, się doskonale. To byli ci inni, ci grzesznicy.

Ewangelista Łukasz

mówi wyraźnie o wielkiej uczcie. Owszem, i co do tego szczegółu wszystko się

zgadza. Nie ma co mówić, ze wszystkiego tu widać, że dawny celnik się postawił! Bogactwem domu tłumaczy się też te wszystkie bezceństwa, którymi poczuła się urażona Inkwizycja. Dodam wreszcie, że pewne postaci, przyjąwszy, że uczta nie jest Ostatnią Wieczerzą, ale ucztą w domu Leviego, tłumaczyły się dopiero teraz. Myślę przede wszystkim o tym dystygowanym panu ubranym z wyszukaną elegancją, w kosztownym, atlasowym kabacie, ze śliczną obfitą kryzą pod szyją, który zajmuje jedno z najbardziej frontowych miejsc na obrazie, mianowicie to przy lewym filarze. Jest on jak gdyby na proscenium. Jest on zwrócony tyłem do centrum obrazu, do Chrystusa z Piotrem i Janem. Jest człowiekiem, który opuszcza ucztę. Można mieć wątpliwości co do tego, czy gest, który przy tej okazji wykonuje, jest ornamentacyjny, czy oznacza coś istotnego. Ale nawet jeśli opowiedzieć się przy tym pierwszym, niepodobna nie zgodzić się, że gest zinterpretowany dosłownie oznaczać może tylko niechęć, protest, daleko posunięte niezrozumienie. Gość z godnością wychodzi i rozkłada ręce, ot, tyle. Kiedy jeszcze „uczta” była Ostatnią Wieczerzą, była to postać dla niewtajemniczonych niepojęta. Teraz stawała się zrozumiała. Był to oczywiście faryzeusz, jeden z tych, co szemrali przeciw. A kim był rzeczywiście wedle zamysłu samego Veronese'a? Mój Boże, był to jego autoportret, autoportret samego malarza. Tak samo jak wspaniałym portretem Tycjana był brodac w bordowej mycy, umieszczony jako pierwszy od lewej strony przy końcu stołu. Nie był to żaden wyskok. Malarze renesansowi i późniejsi chętnie siebie i bliskich pakowali na obrazy. Veronese też już tak robił. Na paryskich „Godach w Kanie Galilejskiej” siedzi również niejako na proscenium obrazu czterech muzykantów: to Tintoretto, Bassano, Veronese i Tycjan. W naszej uczcie wspaniały wychodzący zdaje się spoglądać ku starcowi w bordowej mycy. Starzec Tycjan nie jest tu już muzykantem, jest chyba jednym z apostołów, a przynajmniej był takim w pierwotnej wersji obrazu. Kim miał być wychodzący przy pierwszej wersji (nie tyle zresztą obrazu, co tytułu obrazu), nie wiadomo. Przy drugiej wersji stawało się nie tylko wiadome, ale jasne – wychodzący pan był faryzeuszem. Jeszcze tego tylko brakowało Veronese'owi!

Patrząc na tę przecudowną, wielką „uczotę”, gigantyczną i zarazem lekką, ożywioną i zarazem godną, arcyziemską i zarazem wzniosłą, niepodobną wiedząc o jej przygodzie o tej przygodzie nie myśleć. Nie próbować wmyślać się! Bo w końcu tyleż wiemy, co nie wiemy. Faza między pierwszym wyrokiem „Najwyższej i Powszechnej Inkwizycji” a położeniem przez Veronese'a na obrazie owych FECIT D. CONVI. MAGNUM LEVI – LUCAE CAP. V. – ta faza sprawy jest dla nas ciemna. Czy w tej fazie jeszcze przychodzili patrzeć na „uczotę”? Na pewno! Przychodzili patrzeć na nią pod nowym kątem. A fanatycy, którym wymykało się spalenie obrazu, więdźmy, którym wymykało się dalsze moralne torturowanie Veronese'a, głodomory, którym wymykał się kęs sławy za to, że wywęszyli, jak się zachowali w tym okresie? A wreszcie, jak długo trwał ten okres: miesiąc, trzy miesiące, pół roku, rok? I na koniec, co wtedy działo się z Veronese'em? To znaczy w nim, w sercu, w głowie? Historycy nic nam na ten temat nie powiedzą. My jesteśmy w tym szczęśliwszym położeniu od nich, że niejednego możemy się domyślić. Jeśli chodzi już nie o myślenie i domyślanie się, ale o refleksje końcowe, mogą być one różne. Przeważnie ludzie, którym samo pojęcie Inkwizycji kojarzy się z nieuchronnym paleniem i łamaniem kołem, zaskoczeni są mile wyrozumiałością okazaną w tym wypadku przez tę instytucję. Mówią oni o „łagodnym wyroku” i chwalą ją za „wyjście z sytuacji”. Mówią i piszą, i to takie współczesne tuzy, jak Venturi i Fiocco. Del. patrzy na to zupełnie inaczej. A zmusza go do takiego patrzenia fakt, który wydaje mu się klasyczny dla oceny całej tej przygody. A mianowicie fakt, że Veronese do ulubionego tematu „uczota” nie powrócił już nigdy. Przez bez mała trzydzieści lat swego artystycznego życia powracał do nich, do tej formy wypowiedzenia, tak naturalnej dla niego i dla jego epoki, doskonalił swój warsztat pod kątem tej formy, a kiedy wydoskonalił go, kiedy doszedł w niej do mistrzostwa, rozbito mu go, załamano. Przez następne lata, przez następnych piętnaście lat życia, malował bardzo wiele, ale już nie „uczoty”. Tych nie, nigdy! Można nawet powiedzieć, że w pewnym sensie postawił na swoim. Dla Veronese'a bowiem, niezależnie od zmienionej nazwy, dla niego jego najpiękniejsza „uczota” pozostała

Ostatnią – malowaną przez niego – Wieczerzą.

Rzym, 10 lipca 56 r.

L. zachwyca się maszyną kurii. Uważa, że na każdym konkursie organizacji urzędowania,

wydajności i gospodarki mózgiem kadr, kuria rzymska zgarniałaby wszystkie nagrody. Uważa,

że zwłaszcza za ten punkt ostatni, za gospodarke energią intelektualną kierownictwa, należy się

kurii primo premio assoluto, czyli nie tylko nagroda pierwsza, ale absolutna.

Wczpraj u pp. E., u których byliśmy razem z Zosią, wpadł w taki ferwor, że bardziej serio niż

żartem kazał mi przysięgać, że napiszę do Warszawy raport, sugerujący przynajmniej

przestudiowanie watykańskich schematów, jeśli się okaże niemożliwe zbadanie sprawy i

poprątkowanie na miejscu. Posypały się żarty, za łatwe, więc ich nie powtarzam. Ciekawe

jednak, że Amerykanie – tak twierdzi L. – rzeczywiście zainteresowali się biurową techniką i

schematem pracy w kurii. Zacytował nazwisko jakiejś amerykańskiej powagi z dziedziny

organizacji pracy, którego niestety nie zanotowałem, ale jak spotkam L., to się spytam. Powaga ta

uzyskała placet papieża na badania, trzy miesiące pętała się po wielkiej kurii rzymskiej i

oświadczyła, że wydolność biur watykańskich jest jedną z najwyższych na świecie. Oświadczyła

również, że kuria rzymska rozwiązała zagadnienie, nad którym Amerykanie ciągle się męczą, a

mianowicie zagadnienie należytego funkcjonowania trustu mózgów.

L. mówi, że Amerykanina najbardziej pod tym względem zachwycały kongregacje. Jest to

zresztą czołowy dział kurii, bez wątpienia dla niej najreprezentatywniejszy.

Poza nim istnieje

jeszcze drugi dział, dział trybunałów, i trzeci – dział urzędów. Trybunały istnieją trzy i zwą się:

Święta Penitencjaria Apostolska, Najwyższy Trybunał Sygnatury Apostolskiej oraz Trybunał

Świętej Roty. Urzędów jest sześć: Kancelaria Apostolska, Dataria Apostolska, Wielebna Kamera

Apostolska, Sekretariat Stanu oraz dwa malutkie, skarłale sekretariaty, to znaczy Sekretariat

Brewiów Książęcych i Sekretariat Listów Łacińskich.

L., żeby się nie rozpraszać, o nich nie mówi. Zdaje się też, że nie zafascynowały

Amerykanina tak jak kongregacje. I nic dziwnego. Ale żeby to zrozumieć, trzeba najpierw

przypomnieć, że terminu tego – kongregacja – używa się na terenie kurii w dwu znaczeniach

różnych, chociaż z sobą związanych. W węższym znaczeniu kongregacja to grupa

kardynałów,  
którym papież powierzył opiekę nad określonym działem spraw. W szerszym  
znaczeniu  
kongregacja to ciż kardynałowie plus biura, które sobie dobrali • dla swojej  
pracy. Tak więc,  
kiedy w Rzymie słyszy się, że kardynał X. wchodzi w skład tej czy innej  
kongregacji, używa się  
tego terminu w węższym znaczeniu. Kiedy zaś jakiś monsignor powiada, że w tej  
czy innej  
monografii poświęcono za mało stron jego kongregacji, używa tego terminu w  
szerszym  
znaczeniu.  
Oczywiście termin węższy jest terminem starszym historycznie. Jest kanonicznie  
biorąc,  
źródłem, z którego szerszy bierze swoje znaczenie. Tak na przykład, kiedy w roku  
1564 Pius IV  
powoływał do życia Kongregację Koncilium (stara nazwa: S. C. Cardinalium  
concilii Tridentini  
in-terpretum), zespołowi kardynałów powierzył czuwanie nad wykładnią i  
realizacją  
postanowień trydenckich. W tym czasie każdy kardynał miał na swoim utrzymaniu  
olbrzymią  
służbę, w czym i ludzi piśmiennych, i obeznanych z teologią i prawem. Nimi się  
posługiwał,  
chcąc sobie wyrobić zdanie w sprawie, którą papież polecił rozpatrzyć jego  
kongregacji. Potem  
schodził się z kolegami, dyskutował i w ten sposób zapadał osąd kongregacji,  
później do  
aprobaty przedkładany papieżowi. Dobre to było dla uzyskania opinii kardynałów w  
pojedynczej  
sprawie, ale nie tam, gdzie papież prosił ich o ciągłą działalność. Poczęły więc  
sobie kongregacje  
tworzyć biura. Najpierw pojawił się łącznik pomiędzy kardynałami, sekretarz czy  
komisarz  
kongregacji, później okazywali się również konieczni inni stali pracownicy,  
kanoniści-  
teologowie. Kończył się okres płynności. Organizowały się kadry dyplomowane i  
związane z  
określoną kongregacją trwale. Początkowy termin bardzo wąski rozlał się na  
całość biura; proces  
ten zakończył się zresztą dawno temu. Papieże wciąż w mechanizmie kongregacji  
coś ulepszają.  
Raz tak., raz inaczej przyporządkowują im agendy. Ale samego systemu,  
polegającego na tym, że  
każda z kongregacji ma własną kadre, określoną raz na zawsze ilość etatów,  
własną pragmatykę,  
własne szczeble i często swoiste nazwy tych szczebli, tego papież już nie  
zmienia.  
Nie zmienia też tego, że kadry we wszystkich bez wyjątku kongregacjach są  
z dumą



szcuple. L. jest zupełnie pewien, że ten właśnie kapitalny dla kongregacji aspekt, polegający na tym, że za pomocą personelu nieprawdopodobnie małego, bo tylko dwustu osób, kontrolują one i koordynują życie religijne, moralne i ideologiczne trzystu pięćdziesięciu milionów katolików, ten właśnie aspekt spiorunowa} wprost, znokautował Amerykanina. Rzeczywiście ta cyfra dwustu, a ściśle biorąc stu dziewięćdziesięciu sześciu, ale w co wliczonych jest już szesnastu kardynałów kurii, w zestawieniu z tą gigantyczną drugą tyłu a tyłu milionową, jest mikroskopijna. I jest z niczym nieporównywalna. Nawet przy innych urządzeniach kurii nie powtarza się ta zdumiewająca proporcja. Kadry ich również są szcuple, ale też nieskończenie szcuplejszy zakres działania. Są to urzędy czysto dworskie, z kolosalną masą katolików nie mające nic do czynienia. Podobnie trybunały, tu też nie ma tej zaskakującej dysproporcji pomiędzy szcupleścią narzędzia a ogromem urabianej masy. Zwłaszcza że przecież te trybunały to są trybunały odwoławcze. Jak gdyby sądy najwyższe. Pierwszy od strasznych grzechów, których ani ksiądz, ani biskup nie może odpuścić. Drugi i trzeci głównie od rozwodów. Roboty na pewno huk, ale ponieważ ani podobne zbrodnie, ani rozwody u katolików nie są masowe, więc i robota nie jest masowa. Mnie też tak samo jak Amerykanina zajmują kongregacje. Rzeczywiście rozwiązują one w sposób fantastyczny antynomię pomiędzy władzą absolutną a decentralizacją. Stale korygują życie Kościoła, ale tylko w tych wypadkach, kiedy ono się wychyli. A tak toczy się to życie swoim nurtem pod opieką proboszczów, biskupów, zakonników. Nie budzić się na szum normalnego katolickiego młyna, a zrywać się ze snu, kiedy coś gdzieś zaterkocze niezwykłym głosem, oto tajemnica i rola kongregacji. Rola bajecznie prosta i bajecznie trudna. Bo zważmy, że właściwie same kongregacje osobiście nie słuchają sygnałów. To zawsze ktoś ciągnie za sznurek sygnałowy, powiadając, że to, co słyszy, jest złe wróżącym lub grzesznym terkotem. Wtedy dopiero właściwi ludzie zbierają się w kongregacjach i obstukują problem i nasłuchują. I albo godzą się z alarmistą, albo nie. Bardzo często – nie. Ani z alarmistą, ani ze skrupulantem, który zrywa ich ze snu niepotrzebnymi problemami. L. mówi, że u pewnego

agenta, to jest, najprościej mówiąc, akredytowanego przy watykańskich biurach adwokata, mającego prawo załatwiać dla osób trzecich interesy w kurii, oglądał pięć dekretów w pięciu sprawach przedstawionych różnym kongregacjom do decyzji. Poszły one wszystkie jako zawiise przed kolegia kardynalskie. A decyzje brzmiały: w pierwszym wypadku nihil (nic), w drugim ad acta. I w jednym, i w drugim kardynałowie uważali rzecz za niewartą, by sobie zawracali głowy. W trzecim: dentur decreta i wskazywały, jakie (po naszymu byłoby: patrz ustawa taka, paragraf taki, punkt taki). Ale naj-śliczniej zadekretowane były czwarta i piąta sprawa. Po prostu: Et amplius (co oznacza: no, oczywiście; a jakżeby inaczej). L. mówi, że są to wszystko formuły tradycyjne, wprost klasyczne. Tak samo jak jeszcze inna, też piękna: lectum (przeczytano). Pyszne kardynalskie uniki, formuły na odczepnego. Mają one oczywiście też swój głębszy sens. Nie zawsze oznaczają: „prosimy nie zawracać nam głowy”. Czasami oznaczają tyle co: „nie, nie wychyliłeś się” albo „ten, na którego pokazujesz palcem, nie wychylił się”. Niekiedy zaś znaczenie może być następujące: „jeszcze nic! Zaczekajmy”. To są jednak raczej rzeczy na mój gust i na mój rezonator historyczny. Nie dla Amerykanina. Jemu podoba się maszyneria trustu mózgow w tedy zwłaszcza, kiedy działa bez wybiegów, jednoznacznie, pozytywnie. I w ogóle zaciekawia go bardziej sama maszyneria jako taka niż problematyka, którą ta maszyneria szatkuje czy miele. I powiem nawet więcej, najprawdopodobniej od tej problematyki badacz amerykański, o którym mówi L., w ogóle ucieka. U niego zagadnienie jest z pewnością wyprane z wszystkich treści problematycznych. Przedstawia mu się ono algebraicznie, ot tak: papież plus szesnastu kardynałów kurii, plus prawie dwustu jej pracowników, oto jedna strona równania. Druga – trzysta pięćdziesiąt milionów katolików. Jak jedną stronę równania dopasować do drugiej technologicznie, „biurologicznie”, oto zagadnienie Amerykanina. Zdaniem L. rozwiązanie problemu, który gdzie indziej leży, problemu, jak przepchać dziesiątki tysięcy spraw na rok przez kilkanaście głów trustu mózgow – polega na tym, że sprawy w momencie, w którym dochodzą do tych mózgow, znajdują się już w stanie, powiedziałbym, oczyszczonym, aerodynamicznym, lotnym, transcendentálním.

Owych dwustu, jak wyborni drwale, odrąbują wszystkiemu, co im podpadło pod rękę, wszystko akcydentalne, zostawiając esencjo-n a l n e. To esencjonalne, wyciśnięte, wyabstrahowane dopiero idzie przed kardynałów. Wy-borność drwali, sposób spreparowania i sposób podania rzeczy przed oczy kardynałów – oto cała zagadka. Dzięki takiemu rozwiązaniu kilkunasztu ludzi, poświęcając parę godzin dziennie, bo resztę dnia zabiera im nieuchronny domiar nabożeństw i reprezentacji, może rządzić i to faktycznie, skutecznie, praktycznie trzystu pięćdziesięcioma milionami dusz.

L. peroruje. Powtarza raz za razem, chyba za Amerykaninem: trust mózgow, mózgi, kilkanaście głów. Ktoś, korzystając z przerwy, przypomina znane powiedzonko rzymskie, wywodzące się z odpowiedzi danej przez sekretarza stanu Klemensa XIII ambasadorowi weneckiemu, skarżącemu się na głupotę kardynała Wenecji: – Papież może dać kapelusze – rzekł sekretarz stanu – ale nie może dać głowy.

– To już jest inna sprawa – powiada L.

Zosia mówi:

– Ciekawe, że we wszystkich trustach mózgow i najbardziej ważkich kolegiach całego świata zasiadają w równej proporcji ludzie fenomenalnie zdolni i idioci.

L. protestuje zdecydowanie, bo uważa, że dla kolegium kardynalskiego ta proporcja jest krzywdząca. Wypowiada przy tej okazji wielką prawdę:

– Dureń może być czasami genialnym specjalistą. Jest durniem we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem .tej, w której jest genialny. Jeżeli więc biorą takiego do trustu mózgow, zasiada w nim nie w charakterze durnia, ale właśnie jako hiper-super-spec od tego, w czym durniem nie jest.

Ponieważ nie chcę dopuścić do tego typowego dla Rzymu wałkowania, który z kardynałów kurii jest bardzo mądry, a który nie bardzo, bom to słyszał już sto razy, próbuję wyrzucić za burtę ten wątek rozmowy i mówię:

– Z teoretycznego punktu widzenia, który przyjął Amerykanin, kardynałowie kurii jako zespół, jako podręczny papieski trust mózgow, mają inny, i co gorzej, strukturalny mankament. Mają wszyscy razem wzięci dziewięćset lat, a powinni mieć siedemset. Przeciętnie biorąc każdy co najmniej o dziesięć lat mniej. To zresztą nie jest moje obliczenie. Słyszałem, że pochodzi od papieża.

Pan B. się wtrąca:

– Słusznie. To rzecz znana.

– Et amplius – wybucha śmiechem L., klepie mnie po ramieniu i powraca do głównego toru sprawy.  
Mówi, że na to, by paść na twarz z zachwytu przed mechanizmem kongregacji, który cały jest nastawiony, by kilkunastu ludzi po siedemdziesiątce rozwiązywało setki problemów dziennie w sposób odpowiedzialny, świadomy i niezawodny – trzeba się właśnie na to przygotować, by podziwiać nie małą kolekcję ludzi genialnych, lecz genialną maszynę. Geniusz jej zdaje się głównie polegać na tym, że nie odstępowała nigdy od zasad, które uznała za wiążące. L. twierdzi, że jest ich tylko trzy. Pierwsza z nich dotyczy kompetencji personelu. Druga dotyczy wzorowej umysłowej kondycji personelu podczas godzin pracy. Trzecia dotyczy dostarczenia spraw przed oczy kardynałów tak opracowanych pod względem treściowym i formalnym, że nieraz wystarczy jedno spojrzenie, by się w nich zorientować. Każdy z pracowników kurii ma za sobą podwójny doktorat, jeden z prawa kanonicznego, drugi z teologii. Nikt w kurii pracy nie zaczyna nie przeszedłszy przez konkurs. Nie jest on łatwy. Kandydat pisze pracę na zadany temat z zakresu kompetencji tej kongregacji, do której chce się dostać. Rozpatrują ją potem dwaj kon-sulenci. Jeżeli jest dobra, dopiero rozpoczyna się właściwy taniec. Sekretne badania ustalają, czy w przeszłości kandydata nie było nic, czy w charakterze kandydata nie ma nic, co by sprzeciwiało się powołaniu go do kongregacji. Druga ankieta ma cel porównawczy. Chodzi w niej o ustalenie, który z kandydatów najlepszy. Skupia w ręku bieg tych badań kardynał prefekt kongregacji, a tam, gdzie papież jest prefektem, sekretarz kongregacji, z reguły też zawsze kardynał. Wreszcie ktoś okazuje się najlepszy. Kardynał, zanim zamoczy pióro, na najbliższej audiencji u papieża, jak mu ona wypada z turnusu, zapoznaje go z rezultatem ankiet. Jeśli papież nie zgłasza obiekcji, nominacja jest podpisana. O ile zasada egzaminów, konkursów, ankiet nieobca jest gdzie indziej, co najwyżej barierka jest tu wyższa, bo potrzebne aż dwa doktoraty, druga zasada, ta, której treścią jest troska o codzienną wzorową kondycję, nie jest chyba nigdzie, przynajmniej jeżeli chodzi o pracowników umysłowych, stosowana. Pracownik kurii zaczyna urzędować w czasie upałów o dziewiątej, o godzinie wpół do pierwszej jest wolny. Siedzi w biurze akurat cztery godziny.

Tylko że on nie siedzi! Te cztery godziny pracuje z całym napięciem i skupieniem. Żadnych wizyt, żadnych rozmów, żadnych telefonów. Biura kongregacji nie znają także spóźnień, wypadów na miasto w czasie urzędowania, wychodzenia wcześniej. Ciekawy jest również ich statut urlopowy. W zasadzie wyjeżdżają na urlop wszyscy razem. Są to wielkie wakacje. Trwają pięćdziesiąt dni. Zaczynają się 10 września, kończą 31 października. Na ten czas kuria zapada w sen jesienny. Mącą ciszę jej biur kroki nielicznych monsig-norów i minutantów, którym prefekci polecili na wszelki wypadek zostać. Dostaną oni za to, kiedy zechcą, urlop dodatkowo. Roboty nie mają żadnej. Każdy bowiem dobry pracownik kurii, a w zasadzie nie ma ona złych, tak prowadzi wszystkie swoje sprawy, by w przededniu wyjazdu na urlop oddać je do archiwum, zaopatrzone literami p.a., co oznacza do zwrotu posf a q u a s. To jest „po wodach”, oczywiście mineralnych. Regułą bowiem jest płynącą nie z nakazu, ale z wymogów tego tajemniczego, magicznego, o którym tak często słyży się w Rzymie, stylu kurii, by przez te pięćdziesiąt wolnych dni pić wodę. Jest to tak ogólnie wszystkich obowiązujące, że słowo aquae jednoznaczne jest ze słowem wakacje. Nie są to jedyne wolne dni. Świąt i galówek mają pracownicy kurii mnóstwo. Mają wolne w rocznicę wyboru papieża, w rocznicę jego koronacji i w rocznicę śmierci poprzedniego papieża. Mają wolne dni, w których odbywa się kon-systorz (z tego tytułu nie bardzo się za Piusa XII nawywczasowali, bo tylko dwa razy). Mają wolny ostatni dzień roku. W niedzielę i w normalne katolickie dni świąteczne biorą udział w nabożeństwach. Ale z okazji większych świąt zawsze się im okroi trochę dodatkowego czasu wolnego. Tak na przykład w okresie Wielkiej Nocy biura nie oglądają przez tydzień. Również co dwa lata mają prawo się z biura wydalić na tydzień na fundamentalne rekolekcje. Mogą też, jeśli ich praca na to pozwoli, prosić co miesiąc o dwa dni wolne na „skupienie się”. Ciekawe jest, że ten zmitygowany reżym, w którym L. widzi głównie troskę o kondycję podczas pracy, reżym polegający na krótkim dniu biurowym, na ciągłych świątach i dniach wolnych, na ogromnych wakacjach, z reguły kuracyjnych, czy kto chory, czy zdrów,

dotyczy  
wszystkich. Nie tylko wielkich z kierownictwa, nie tylko prefektów i sekretarzy  
świętych  
kongregacji, ale i ich najbliższych współpracowników, tworzących wraz z  
pryncypalem  
kongregacji tzw. congresso, to jest jej parosobową główkę, która rozstrzyga  
sprawy prostsze bez  
przedkładania ich plenum kongregacji.  
Z różnych przyczyn zwa się oni różnie w różnych kongregacjach, a więc asesorami,  
podsekretarzami, substytutami, a w Sw. Oficjum komisarzami. Są to wszystko  
bardzo ważni  
monsigno-rowie. Niektórzy już w randze biskupów czy arcybiskupów. Krok ich  
nieraz dzieli od  
kardynalskiego kapelusza.  
Dobrodziejstwo wspomnianego reżymu sięga dalej. Dotyczy wszystkich. Dotyczy nie  
tylko  
tych większych, ale także tzw. funkcjonariuszy mniejszych (minores). A więc i  
tych  
nazywających się po włosku minułanti lubajutanti di studio czy oiliciali, znów  
różnie w różnych  
kongregacjach, a po łacinie iniormalores. Byliby to nasi referenci. A więc i  
kopistów, kaligrafów  
i dak-tylografów (po łacinie zwa się wszyscy: scriptoies ammanuenses). A więc i  
protokolantów,  
i archiwistów. A także tych, którzy po włosku zwa się raggionieri, a po łacinie  
rationatores lub  
computistae. A na koniec i zwaących się cursores lub janitores, pod którymi  
należy rozumieć  
naszych gońców i woźnych. Można nawet powiedzieć, że w tej najsprawniejszej, jak  
twierdzi L.,  
instytucji biurokratycznej na świecie z pełni wspomnianych dobrodziejstw  
korzystają głównie  
oni.  
Nie obala to absolutnie tezy L. Fakt jest jednak faktem, że nie bardzo widzę,  
jak na przykład  
tak klasyczny kardynał kurii, jak Canali – członek dziewięciu kongregacji,  
Wielki Peniten-  
cjariusz Apostolski, członek Trybunału Sygnatury, przewodniczący Komisji  
Państwa-Miasta  
Watykańskiego, wiceprzewodniczący dwu innych: Administracji Dóbr Stolicy  
Apostolskiej i  
Komisji Administracji Specjalnej, sekretarz kardynalskiej Komisji Nadzoru nad  
Instytutem Dzieł  
Religii, Wielki Przeor Komandorii Rzymskiej Świętego i Suwerennego  
Jerozolimskiego Zakonu  
Świętego Grobu Jerozolimskiego oraz protektor ze dwudziestu zgromadzeń zakonnych  
i bractw  
religijnych rozsianych po całym świecie – może korzystać z równym spokojem z  
wolnych dni,  
świąt, urlopów i galówek, z jakim korzysta ze swoich byle cursor czy janitor.

To, że w tym punkcie rzecz nie wychodzi, nie obala tezy L. Nie tyle może tezy, co oczywistej prawdy, na którą on u pp. B. rzucił światło. Prawdę o tym, że w kurii tak to jest uregulowane, by pracownik był w możliwie najlepszej !! kondycji umysłowej i fizycznej. Zdrow, wypoczęty i wyostrzony. Ale trzecia zasada (pierwsza – kompetencja, druga – kondycja) jest dla mnie najbardziej rewelacyjna. Tu bowiem leży istotny sekret kurii. Zresztą i L. jest tego samego zdania, mówiąc o kurii w terminach trustu mózgow i zachwycając się fantastyczną przelotowością materiału przez mechanizm tego trustu. Sekret ten polega na wyłuskaniu w każdym indywidualnym wypadku jądra sprawy, jądra zachodzącej wątpliwości oraz, by się tak wyrazić, podanie tego jądra w sposób jak najłatwiej i jak naprędzej strawny. Ciekawa rzecz, że równie wielki nacisk kładzie się w kurii na stronę merytoryczną tego sposobu, co na jego stronę formalną. Strona merytoryczna sposobu to owo wydobywanie na wierzch meritum sprawy, meritum zachodzących wątpliwości. Strona formalna zaś to przedkładanie sprawy kardynałom w wyciągu z reguły drukowanym. Co najmniej na dziesięć dni przed posiedzeniem kongregacji kardynał otrzymuje esencję wszystkich spraw, nad którymi się będzie debatować, prześlicznie na arkuszach in quario staraniem Typografii Watykańskiej wydrukowane. Są to wyciągi spraw. Sam ekstrakt biegnie środkiem arkusza szeroką pojedynczą szpaltą. Minutant od sprawy po obu stronach szpalty zamieszcza argumenty za i argumenty przeciw. Z reguły po prawej te pierwsze, te drugie po lewej. Kończy się wyciąg formułą precyzującą z algebraiczną ścisłością wszystkie nasuwające się rozwidlenia i wnioski: et quaeritur utrum... an...\* A dalej – przypuśćmy w wypadku, gdyby po odpowiedzi, brzmiącej: affirmative ad primam partem, negative ad secundam \*, jeszcze mogły zachodzić dalsze alternatywy – pytając: Et quatenus affirmative ad primam quaeritur... itd. itd. Prócz tych arkuszy sprawozdawczych otrzymują kardynałowie – zawsze drukiem, bo to reguła – spis dokumentów załączonych do sprawy oraz opinię konsultenta. Ten ostatni pełni funkcję biegłego. Wyraża swoje zdanie na piśmie. Niekiedy sekretarz czy asesor kongregacji uznaje, że jeden nie wystarcza, prosi wtedy dwu lub więcej. Czasem też konfrontuje ich z sobą, skłóca i zapisuje dyskusje. Wszyscy są stałymi doradcami

kongregacji,  
niektórzy rzeczywistymi, niektórzy honorowymi. Ale honorowi czy nie honorowi nie są honorowani. Pełnią swoje czynności bezpłatnie. Rekrutują się z naukowców, wykładowców różnych kościelnych dyscyplin po uniwersytetach katolickich, lub też spośród wysokich pracowników kurii. Tak na przykład monsignor Tardini, najwyższy urzędnik papieski, niekardynał, jest jednocześnie konsultentem w Sw. Oficjum, w Kongregacji Konsystorza, w Kongregacji Kościoła Wschodniego, w Kongregacji Dyscypliny Sakramentów. Podobnie O. Augustyn Gemelli, słynny uczyony, El guatenus... – W wypadku odpowiedzi pozytywnej do czystości pierwszej zachodzi pytanie... franciszkanin, biolog, pogromca wszystkich żyjących cudotwórców, rektor katolickiego uniwersytetu w Mediolanie i prezydent Apostolskiej Akademii Nauk, jest konsultentem dwu czy trzech kongregacji. Również nie jedna, ale aż pięć kongregacji konsultuje się u giośnego teologa, dominikanina, Garrigou-Lagrange, poufnego doradcy papieża we wszystkich sprawach dotyczących mistyki, tak w zakresie teoretycznym, jak w zakresie praktycznym. Z tego widać, że można być konsultentem kilku kongregacji. Konsulenci bowiem nie są na etacie. Do owej magicznej i tak magnetyzującej Amerykanina cyfry 196 osób nie zalicza się ich. Monsignor Tardini mieści się w niej, ale oczywiście nie jako konsultent, lecz Podsekretarz Stanu do Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych w Sekretariacie Stanu. Nie wszyscy konsulenci mają takie znaczenie, ale zawsze są to ważne osoby. Z ich zdaniem kongregacje się liczą. Zwłaszcza że w każdej nieco bardziej skomplikowanej sprawie sekretarz, przed postawieniem jej kardynałom, zaopatruje ją w konsulenczką opinię, a ponieważ tylko bardziej skomplikowane wypadki przedkłada kardynałom, opinia taka przy sprawach dla kardynałów staje się również nieomal regułą. Za pomocą tych wszystkich sposobów, więc wyciągów, uporządkowania argumentów, wypreparowania sporu, podania go w zwięzłej alternatywie, ściągnięcia opinii biegłego czy biegłych – zniesione zostaje prawie doszczętnie to, co nazwałbym oporem papierów. Trudności w przełamywaniu tego oporu w porównaniu z trudnościami samej decyzji są niepomierne. Niższe szczeble kongregacji starają się sprowadzić je do minimum, przedkładając



sprawę kardynałom do decyzji. Przedkładając same kwint-esensje i to drukiem! Mówi jednak L., że na to, by cały smak rozwiązania ocenić, nie należy się tylko emocjonować stroną formalną tego rozwiązania. Wyciągi, uporządkowanie materiału, druk, wszystko to godne zachwytu i imitowania. Ale według L. smak, ten trudniejszy do uchwycenia smak rzeczy, leży w czym innym. W sposobie, w stylu, w duchu rządzącym tymi sprawozdaniami, wyciągami i uporządkowaniami. Duch ten i styl polega na całkowitym odpersonalizowaniu się opracowującego sprawę. Rzecz prosta, nie o samej stylistyce się myśli, kiedy w biurach watykańskich najwyższą pochwałą roboty bywa zdanie: „jest tak znakomita, że absolutnie nie można poznać, kto ją zrobił”. Myśli się o wyższym stopniu tej cnoty. Myśli się o zupełnym usunięciu na bok własnych indywidualnych gustów, opinii, podejść, tak aby w najmniejszym stopniu, nawet nieświadomie, nawet ubocznie nie wpłynąć na sąd, o który chodzi, na sąd kardynalski. Idealny minutant winien tak bezosobowo referować, jak bezosobowo traktuje swoją robotę zecer z, Typografii Watykańskiej, który potem jego rękopis składa.

Można powiedzieć, że kardynał porusza się w świecie – przynajmniej na terenie kongregacji, w których skład wchodzi – gdzie zniesiony został opór papieru, opór tysiąca spraw akcyden- talnych, którymi obrasta każda sprawa, i opór prywatnych opinii i sympatii podwładnych. Dzięki zniesieniu zespołu tych oporów stworzono w Watykanie warunki idealne dla pracy trustu mózgow. Pracują te mózgi głównie w domu. Z jednym wyjątkiem: mózgu kardynała Giovanni Adeodato Piazza, sekretarza Sw. Kongregacji Konsystorza, z którą najczęściej mają do czynienia przybywający ad limina ordynariusze. Podobno również kardynał Ottaviani, podsekretarz Sw. Oficjum, także głównie pracuje w biurze, które zresztą mieści się w tym samym pałacu, gdzie Ottaviani mieszka. Wszyscy inni – klasycznie w domu. Poszczególne sekcje trustu zbierają się w określone dni miesiąca. A ściślej – raz w miesiącu. Sw. Oficjum jedynie zbiera się raz na tydzień. Zwiążą się one zgromadzeniami plenarnymi kongregacji, oczywiście tej czy innej kongregacji. We wszystkich biurach watykańskich zna się na pamięć kalendarz tych zgromadzeń, a kto zapomniał, sprawdzić może, wystarczy mu podnieść oczy na wywieszkę. Zgromadzenia mają w

pałacu watykańskim swoją własną salę: Salę Kongregacji. Nie korzystają z niej tylko dwie kongregacje: Sw. Oficjum i Propaganda Fide. Na odpowiednie posiedzenie proszą kardynałów do własnych pałaców.

Zaczyna się ono modlitwą. Po czym każdy z kardynałów zajmuje swoje miejsce. Przewodniczy najstarszy nominacją. U drugiego końca stołu zasiada sekretarz lub asesor (nie kardynał) kongregacji, najstarszy po kardynale jej funkcjonariusz. Każda rozpatrywana sprawa ma swojego kardynała-referenta, zwącego się kardynał ponent. Ten zgłębia sprawę dokumentniej niż inni. Temu stawiają pewien opór papiery. Ale nie znaczy to, by musiał czytać wszystkie akta od deski do deski. Też w większości wypadków pracuje on na wyciągach oraz na ściągaczkach, czyli orzeczeniach konsulentów. Tak na przykład, jeśli congresso kongregacji uznało za wskazane doprowadzić do dyskusji między konsulentami, kardynał ponent zapoznaje się z jej przebiegiem, to znaczy z jej protokołem, oczywiście drukowanym. Ponent referuje sprawę i odpowiada kolegom kardynałom na pytania. I oni trzymają przed sobą plik przysłanych im do domu druków. Na ich podstawie wyrobili już sobie zdanie o sprawie. Po referacie ponenta następuje konfrontacja tych zdań. Jeśli nie mają żadnych zastrzeżeń, sprawa idzie gładko. Albo czasem nie idzie. Dyskusja przeciąga się. Głosuje się. Zlicza głosy. Decyduje większość. Na zakończenie posiedzenia odczytuje się protokół. Wylicza on rozpatrywane sprawy i podaje przebieg dyskusji w skrócie. Znowu, jeśli wszystko idzie gładko, przewodniczący za zgodą wszystkich podcyfrowuje i pisze: Ha est. Gorzej, jeśli coś się powikła. Wtedy zatwierdzenie odkłada się do uzgodnienia. Drukuje się brulion sprawozdania. Brulion krąży. Kardynałowie nanoszą na nim swe poprawki. Podobnie mają prawo do zgłoszenia poprawek nawet w wypadku zgody na sam protokół. Mniejszość może zażądać ponownego rozpatrzenia sprawy, jeśli większość jej zdaniem strzeliła byka. W rękach prefekta kongregacji spoczywa wyjście z impasu. Rzadko się zdarza, by go nie znalazł. W najgorszym wypadku jest jeszcze nad nim papież.

Papież jest zresztą nad wszystkim i nad wszystkimi w pracach wszystkich kongregacji. Wystarczy każdemu monsignorowi podnieść oczy na wywieszkę, którą każdy tu ma nad

biurkiem, żeby nie tylko to sobie przypomnieć, ale uprzytomnić rozmiary tej wszechwyższości. Z tej wywieszki wyczytać da się i to, w jakie dni tygodnia i miesiąca jakich prefektów, sekretarzy, asesorów, komisarzy papież przyjmuje. Ob-rachować z niej da się również: kogo, jak często. Z tego obrachunku wyciągnąć też można interesującą i trochę zaskakującą konkluzję, że Pius XII z reguły o wiele częściej przyjmuje zastępcę niż szefa każdej kongregacji. I tak na przykład prosekretarza Sw. Oficjum, kardynała Ottaviani, przyjmuje co drugą niedzielę. Jego zastępcę, Francuza, dominikanina O. Paul Phi-lippe'a, co czwartek. Kardynała Tisserant, szefa Kongregacji Kościoła Wschodniego, co drugą sobotę, jego zastępcę, bazyliana O. Acacio Coussa, co wtorek. Kardynała Aloisi Masella, Prefekta Sakramentów, dwa razy w miesiącu, monsigno-ra Francesco Bracci, Sekretarza Kongregacji, co tydzień. Tak jest mniej więcej we wszystkich kongregacjach i w większości trybunałów i urzędów. Ale to są zwyczaje specyficzne dla pontyfikatu Piusa XII, bardzo obrazliwe dla trustów mózgow i nie mające nic wspólnego z pomysłami i warunkami zapewniającymi wspaniałe funkcjonowanie kardynalskiego trustu mózgow, którym tak się zachwycał L. oraz jego Amerykanin.

Rzym, 4 sierpnia 56 r.

U Peyrefitte'a i w różnych publikacjach książkowych, i reportażach o Watykanie występują zawsze dwaj budzący zaciekawienie Niemcy, dwaj jezuici, dwaj sekretarze papieża, pracujący z nim dzień w dzień, zdaniem wszystkich – jego zaufani doradcy. Jeden z nich to o. Robert Leiber, drugi to o. Wilhelm Hentrich. I jeden, i drugi liczą sobie dzisiaj równo po 70 lat. Pierwszy wstąpił do stowarzyszenia w roku 1906, drugi w 1907.

Jeżeli wziąć do ręki Catalogus Provinciae Romanae Societatis Jesu lub Liber Annalis Pontificiae Universitatis Gregorianaе, pożyczone łaskawie przez kogoś, bo tego się w księgarniach nie kupi ani nie otrzyma w bibliotekach – nic nie wskaże, że Leiber i Hentrich to ważne osoby.

Pierwszy figuruje w tych jezuickich who – is – who jako profesor nauk pomocniczych na wydziale historii Kościoła. Wykłada dwie godziny na tydzień. Wykłady jego obowiązują studentów pierwszego roku ze wszystkich wydziałów. Poza tym dwie godziny na tydzień prowadzi Exercitationes, na których rozpatruje różne casus practici heuristicae

chronologiae et  
criticae historicae in documentis antiqui, medii et moderni aevi. To wszystko.  
O Hentrichu w obu opisach jeszcze skąpiej. Liber annualis w ogóle nie zna  
takiego  
nazwiska. Catalogus wymienia go wśród współpracowników Instytutu Historii  
Towarzystwa  
Jezusowego. Jest ich wielu. O. Hentrich nie zajmuje żadnego kierowniczego  
stanowiska. Nie  
redaguje żadnego z naukowych łacińskich wydawnictw Instytutu. Ani Monumentów  
Historii  
Stowarzyszenia Jezusowego, ani Archiwum Historyków S. r., ani Biblioteki  
Instytutu Historii  
Stowarzyszenia, ani nawet hiszpańskiego periodyku Ra-zon y Fe (Rozum i Wiara),  
który nie  
wiadomo co robi wśród wydawnictw historycznych.  
Jeżeliby zaś kto w poszukiwaniu informacji o pozycji oficjalnej obu ojców,  
Leibera i Hen-  
tricha, sięgnął po Annuario Pontificio, wielki coroczny personalny katalog  
watykański, to wśród  
szesnastu tysięcy nazwisk, które katalog wylicza, Leibera w ogóle nie znajdzie,  
na Hentricha  
natrafi wśród dwudziestu czterech konsulentów Kongregacji Sw. Oficjum.  
Oczywiście, że to już  
jest coś. Ale zważywszy, że kongregacji jest dwanaście i że poza nimi są jeszcze  
trybunały,  
urzędy wyższe, no i sekretariaty, i że wszędzie jest co najmniej po dwudziestu  
konsulentów, o.  
Hentrich wypadalby jako jeden z czterystu podobnych do siebie. A tymczasem jest  
ich tylko dwu  
takich.  
W Rzymie wie się o nich coś niecoś. Nie mówi się chętnie. Włochów duchownych  
drażnią,  
Że są Niemcami, niemieckich drażnią, że się zitaliani-zowali. Francuzi, Anglicy,  
Amerykanie nie  
lubią ich z obu powodów. Sami latają do swoich placówek, pomagają swoim  
ambasadorom.  
Podobno Leiber i Hentrich tego nie czynią. Ich niemiec-kość należy u nich do  
trzeciorzędu.  
Najpierw są sługami papieża, potem są jezuitami, na koniec zaś, dopiero w formie  
trzeciorzędnej  
warstwy psychicznej, są Niemcami. Do tego wszystkiego nikt ich nigdy nie ogląda  
publicznie.  
Nie miewają odczytów, nie organizują głośnych rekolekcji. Odprawiają msze i  
wygłaszają  
kazania Bóg jeden wie gdzie. A tu, w Rzymie, kto nie robi szumu, niewart jest  
rozgłosu, który  
ma. A jak niewart jest tego, co ma, to za co go lubić.  
V. zna dobrze Leibera. Ma do niego wyraźnie pozytywny stosunek. r. i S. nie byli  
z nim  
nigdy bliżej, ale też się z nim spotykali. Należą zresztą do tego samego świata,

świata tutejszych  
pracowników winnicy pańskiej, który jest nieprzebrany, ale jest jeden. Chętnie  
słucham, kiedy mi  
mówią o tym człowieku, który wylania się z ich opowiadań jako zjawisko  
niezwykłe. Zwłaszcza  
fascynuje mnie jego ustawienie. To, jak jest ustawiony w stosunku do papieża.  
Już ustawienie  
formalne jest zaciekawiające. Leiber bowiem nie jest formalnym sekretarzem.  
Pełnił formalnie tę  
funkcję przy dzisiejszym papieżu kiedyś. Po raz pierwszy w latach pierwszej  
wojny światowej  
przy nuncjuszu w Bawarii, biskupie Eugeniuszu Pacellim. Pełnił potem tę funkcję  
przy kardynale  
Pacellim. Ale od 1939 roku, kiedy Pacelli został papieżem, tylko przychodzi z  
nim pracować. V.  
twierdzi, że papież nie zamianował nigdy Leibera swoim sekretarzem, ponieważ  
taka funkcja nie  
istnieje. Stworzyć jej dla Leibera, no i dla Hentricha, nie może, ponieważ  
zamianowanie ich na to  
stanowisko uniemożliwiłoby im pełnienie rzeczywistych funkcji sekretarzy. Tak  
samo jak każda  
rzecz, której się tknął Midas, stawała się złota, podobnie każda osoba,  
naznaczona na coś przy  
osobie papieża, od razu urasta i fioletowieje.  
Papież jest biskupem Rzymu, jako biskup ma swojego sufragana. Proszę patrzeć, co  
się robi  
z takiego sufragana. Od razu kolosalna figura, kardynał, wicedziekan Sw.  
Kolegium, wielki  
Kancierz Apostolskiego Kolegium Laterańskiego, członek dziewięciu na dwanaście  
świętych  
kongregacji, protektor urodzony dziesięciu i protektor zwykły co najmniej  
dziesięćdziesięciu  
różnych religijnych związków, archikonfraterni, towarzystw, instytutów,  
zgrupowań, zakonów.  
Papież ma bibliotekę. Ale skoro jest to biblioteka papieża, nie może to być  
zwykła biblioteka.  
Staje się Biblioteką Świętego Rzymskiego Kościoła, a jej bibliotekarzem musi być  
kardynał.  
A skoro jest kardynałem, już działa dalszy automatyzm. Kardynał obrasta w święte  
kongregacje i protektoraty. Nawet tak prosta i nieznaczna funkcja, jak  
zakrystian, skoro to  
zakrystian papieża, olbrzymieje. W hierarchi watykańskiej to wielka figura.  
Annuario Pontificio  
rezerwuje mu miejsce bezpośrednio po zmarłych kardynałach. Jest to sąsiedztwo  
oszałamiające,  
przynajmniej pod względem protokołarnym. Zajmując tak wysokie miejsce,  
zakrystian nie może  
nie być biskupem. Toteż monsignor Pietro Ca-nisio van Lierde jest nim. I czym  
jeszcze nie jest!  
W iluż świętych kongregacjach nie zasiada I iluż świetnych i honorowych

czynności nie pełni.

To samo, wszystko to samo stałoby się z każdym, kto by oficjalnie został mianowany sekretarzem papieża. Zaraz by urósł, obrósł i zolbrzymiał. Jasne więc jest, że w tej sytuacji, jeśli

o. Leiber i o. Hentrich mieli być sekretarzami papieża, nie mogli nimi zostać.

Ale nie tylko ustawienie formalne o. Leibera do papieża jest zaciekawiające.

Ustawienie

rzeczowe jest jeszcze ciekawsze. Ustawienie psychologiczne. Są razem od czterdziestu lat. Z

niewielkimi przerwami Leiber jest stale przy mon-signore, biskupie, kardynale, a na koniec

papieżu Pacellim. Papież ma u swego boku Leibera przez połowę swego życia.

Leiberowi przy

papieżu przeszedł jego wiek męski, wiek dojrzały i lata starości. Papież zabrał mu całe życie.

Naukowo Leiber jest niczym. W zgromadzeniu swoim znajduje się na szczeblu niskim.

Uniwersytecko, a w Gregorianum jest profesorem od 26 lat, nie wybił się. V.

uważa go za

niezwykle zdolnego. Twierdzi, że nadal orientuje się doskonale we współczesnym stanie swoich

historycznych nauk pomocniczych. Ale sam, oczywiście, na pracę naukową nie ma czasu. Rano i

wieczór jest przy papieżu, stale i stale, cztery, pięć, sześć, siedem godzin dziennie. Zawsze

czujny i czynny, ale zawsze bierny. Jest to może ten element, który mnie w opowiadaniach V.

oraz r. i S. o Leiberze najbardziej zajmuje, najbardziej uderza. Wszyscy oni są w tym zgodni, że

Leiber, mądry, zdolny, świetnie znający politykę światową i to na przestrzeni czterdziestu lat,

nigdy nic u papieża nie mówi od siebie. Nigdy nic nie mówi sam z siebie.

W Watykanie papież i kardynałowie kurii, zwłaszcza ci najważniejsi, prefekci i sekretarze

różnych św. kongregacji czy św. urzędów zawsze cenili wysoko współpracowników, umiających

referować bezosobowo. Papież i tacy kardynałowie są najczęściej ludźmi bardzo starymi. Ich

siły fizyczne są równie ograniczone, jak nieograniczona jest ich władza. Tym silom trzeba

pomóc, ale nie starając się zmącić tej władzy, nie starając się wpływać na nią, kierować nią,

popychać. W stosunku do papieża jest to na pograniczu grzechu przeciw Duchowi Świętemu.

Jeżeli nie wręcz grzechem. Tak samo jak zbrodnią i marnotrawstwem było mącić słowa Sybilli

Ku-mejskiej, ponieważ to niebo odzywało się przez nią do ludzi. Toż jest z głosem, toż jest z

myślą papieża, ponieważ to jest głos i myśl zastępcy i rzecznika Chrystusa na

ziemi. Czasem na skutek starości rzecznika trudno się tej myśli wyklarować. Trzeba jej pomóc urodzić się, ale nic, nic poza tym! Moja trójka informatorów znając Leibera twierdzi, że jest on właśnie mistrzem bierno-czynnego asystowania przy rodzeniu się myśli papieskiej. Jest wielkim położnym tej myśli. Myśli, w najszerszym tego słowa znaczeniu, politycznej. Polityka absorbuje papieża. Poświęca jej mnóstwo czasu. Ma ambicje polityczne ogromne. Polityką Watykanu chce sam kierować. Nie jest w tym względzie pierwszym takim papieżem. Ale od kilkuset lat nie było takiego, który by się obywał bez Sekretarza Stanu! Po śmierci kardynała Maglione nie powołał już nikogo na to stanowisko. Mówią, że mu Maglione dokuczył podawaniem się do dymisji za każdym razem, kiedy się nie zgadzał z linią narzuconą mu przez papieża. Ale tak czy owak był tarczą pomiędzy papieżem a skutkami watykańskiej polityki. Niedobre skutki miały w co bić. Od roku 44, od śmierci Maglione, nie mogą. Nie biją czy nie były w monsignoiów Montiniego, Tardiniego czy Dell'Acqua, ponieważ to są jedynie wykonawcy. Konstytucyjnie, obyczajowo nie ponoszący odpowiedzialności. Ponosi ją papież. Człowiek – według określenia V. – może nie tyle władczy, co nie znoszący przejawów cudzej woli wokół siebie. I właśnie współżycie papieża i Leibera ukształtowało się w ten sposób, że papież czuje wokół siebie stałą obecność jego inteligencji, nigdy nie odczuwając obecności jego woli. I., który stykał się przez pewien okres z papieżem nie w sprawach politycznych, lecz w sprawach papieskich instytucji naukowych, to jest w dziale spraw obchodzących papieża nie najbardziej, mówi, że Pius XII jest bardzo inny na audiencjach i przy robocie. W pracy jest ciężki. Znika z jego twarzy uśmiech. Wszelkie czarowanie odłożone zostaje na bok. Wylewność, rozmowność, zaciekawienie drugim człowiekiem. Znika ciepło, otwartość, skromność. Przy pracy papież jest zimny i sztywny. Z całego dyploma-tyczno-kurtuazyjno-ojcowskiego rynsztunku, który w taki podziw wprawia ludzi na audiencjach, pozostają tylko nieposzlakowane manieri i refleksy grzecznościowe, wprowadzające współpracowników w jeszcze większe zakłopotanie. Papież potrafi schylić się i podnieść z ziemi papierki, który

wypadnie z rąk  
współpracownika, albo sam przystawić sobie drabinkę i sam ściągnąć z półki  
potrzebny do pracy  
folia, „ponieważ ty byś mi jeszcze zleciał” – jak powiedział do r. Ale z tym  
wszystkim  
referować mu jest męką, a wyciągać wnioski rzeczą zupełnie okropną. Wnioski  
zawsze  
pobrzmiwają radą. A na rady papież reaguje jak na przytyk, jak na nietakt, jak  
na nieświadomą  
obrazę. Twarz mu mierzchnie. Staje się nieprzenikniona. Wieje od niego zimno.  
Nie wybucha  
nigdy, ale widać, że każde słowo go drażni.  
Utrudnia z nim pracę i to jeszcze, że nie chcąc nigdy słyszeć cudzego zdania,  
swego nie  
wypowiada. Nieraz po dziesięć razy trzeba go pytać, powracając do kwestii  
każdorazowo przy  
sposobności, bo nigdy przy jednym spotkaniu, gdyż nie wolno go także przypierać  
do muru –  
zanim coś bąknie na dany temat. Przy czym nie wiadomo, czy to jest rada,  
zalecenie czy zlecenie.  
r. powtarza parę razy: „A chi gli domanda come deve legolarsi peWespletare un  
aliare aliidotogli  
dal Papa, Pio XII rispondo in maniera evasiva” \*. Wyraźnie r. musiały dokuczyć  
te instrukcje  
lużA chi gli... – Pytającym go o sposób załatwienia powierzonej mu przez papieża  
sprawy Pius  
XII udziela wymijających odpowiedzi.  
ne, ponieważ po latach mówi o nich z irytacją i goryczą. Okazuje się poza tym,  
że lubiąc, aby  
się wszystko wokół działało na jego odpowiedzialność, nie lubi tej  
odpowiedzialności brać na  
siebie. Wskazówki daje mgliste, a jeżeli źle wyjdzie, likwiduje wykonawcę bez  
miłosierdzia,  
zwłaszcza jeśli mogła na tym ucierpieć jego własna reputacja lub reputacja  
którejś z wielkich  
szyszek kurii. Wszyscy tutaj są zgodni co do tego, że nie był taki Pius XI. Stał  
jak mur za  
człowiekiem. Mowa jego była wyraźna. Wyraźne było jego „tak” i wyraźne było jego  
„nie”. Nie  
wypierał się tego, co powiedział. „Eviłava ogni dopiezza” (unikał wszelkiej  
dwuznaczności) –  
wzrusza się r. Z Piusiem XII nigdy nic nie jest kategoryczne. Z męką też tylko  
można od niego  
uzyskać jakąś obietnicę. Na dodatek, uży- skawszy ją, wcale nie należy uważać,  
że się dopłynęło  
do portu. r. twierdzi, że to wszystko to nie są u Piusa XII wady charakteru.  
Twierdzi, że  
niezdecydowania i dwoistości wynikają z przyczyn intelektualnych. Pius XII  
świadom jest, że tak  
dalej być nie może z Kościołem we współczesnym świecie – i komunistycznym, i



amerykańskim,  
i kolorowym – tylko nie wie, jak ma być! Ale nie wiem, czy tak jest, bo właśnie  
r. jest taki. Jest  
antykomunistą, jest anty-amerykański, a kolorowych ma za kandydatów albo na  
komunistów,  
albo na amerykańistów, tylko w gorszym gatunku. Zarazem uważa, że z Europą to  
linis.  
Pokazywał mi w przemówieniach papieża setki kawałków potwierdzających jego tezę.  
Ale te  
setki można zasypać tysiącami zupełnie innych.  
Ale on sam jaki jest, Leiber, chciałem się dowiedzieć! Wyobraźnię jako tako  
ogarniam  
wszystko. I te czterdzieści lat współpracy. I to podporządkowanie. I to jego  
zamienianie się ni to  
w akuszerkę, ni to w odbijające cudzą myśl lustro. I to przekreślenie siebie. I  
to – na pewno  
trudne, wymagające wielkiego taktu, ostrożności, delikatności – oswojenie sobie  
papieża. I tę  
bezinteresowność w tym wszystkim. Już nie tylko tę najprostszą, najłatwiejszą  
bezinteresowność  
materialną, i może nieco trudniejszą bezinteresowność prestiżową, ambicyjną. Ale  
i tę  
bezinteresowność trzeciego stopnia. Przecież Leiber nic nie tworzy, nic nie  
realizuje własnego  
przez papieża. Zdaje się, że również nie wchodzi tu w grę fascynacja cudzą  
osobowością. r. i S.  
twierdzą, że ma on o papieżu sąd trzeźwy, bardzo zawsze taktowny, ale równie  
taktowny, co  
udostępniany. Z tego sądu można jedno wywnioskować, że o żadnym zaczarowaniu  
Pacellim nie  
można tu mówić. Uczuciowo każdego dnia mógłby od niego odejść. Przynajmniej  
teoretycznie,  
bo już przyzwyczajenie działa. Przyzwyczajenie do osoby, do pracy.  
Przyzwyczajenie do  
wiedzenia wszystkiego. Do wczytywania się i rozgryzania tych wszystkich tajemności  
i  
poufności popieczętowanych i poadresowanych z użyciem następującej, od setek lat  
nie  
zmienianej formuły: Pio Pontilice Maximo individuali-ter. Salva  
excommunicationis pro aliis qui  
legunt extra Pontilicem \*. W tym wczytywaniu się w to wszystko i W wiedzeniu  
wszystkiego  
jest też smak rzeczy.  
Takie są jego przyjemności i tak jest ustawiony ten Leiber. Ale jaki jest on  
sam? O. ma do  
niego słabość, on, który otrząsa się na każdy habit i na każdą sutannę. Leiber  
należy do tych  
kilkunastu duchownych, o których mówi z sympatią. Podziwia jego olbrzymią  
kulturę, otwartą  
inteligencję, ludzkość, horyzonty. Podoba mu się w Leiberze świadomość wad i

ograniczeń kleru  
w rozumieniu różnych konieczności politycznych i społecznych naszych czasów.  
Podoba mu się  
wreszcie jego szczerość. Jego stosunek do papieża i papieskiego otoczenia. Z  
tym, który  
zdobędzie sobie jego zaufanie, Leiber rozmawia z całkowitą swobodą o słabych  
stronach i  
defektach tego świata, nie wyłączając papieża. E'insomma, un uomo eminente! \* –  
mówi O. o  
Leiberze.  
O. podziwia w nim jeszcze jedno, a mianowicie jego wrogość do faszyzmu i  
hitleryzmu.  
Leiber był zawsze taki. Przed wojną ten jego an-tyhitleryzm miał zabarwienie  
antypruskie.  
Wyczuwało się w jego antyhitleryzmie pewne antagonizmy wewnątrzniemieckie. Ale  
to mu  
przeszło. Podczas wojny jego antyhitleryzm dojrzał w nim i oczyścił się z  
przydatków  
niefilozoficz-nych i niehumanistycznych. O. zapewnia, że je Pio Pontitice... – Do  
rąk własnych  
papieża. Zastrzeżone ekskomuniką dla osób postronnych, które czytają poza pa\*  
pieżem.  
E'insomma... – ogólnie biorąc, człowiek wybitny!  
go stosunek do Polski był zawsze serdeczny, pełen współczucia dla jej cierpień i  
nieszczęść.  
Komunizm jest dla niego ciężkim doświadczeniem, jakie przypadło przeżyć  
ludzkości na tej  
ziemi. Ale nie cięższym niż protestantyzm czy laicyzm iluministyczno-masońsko-  
mieszczański –  
jak go sam Leiber określa bliżej. Należy on do tych nielicznych u watykańskiej  
góry nie  
wierzących w to, by się komunizm mógł skończyć. Leiber uważa, że się będzie  
rozlewał coraz  
szerzej, na cały świat czy nie na cały, a w każdym razie wystarczająco szeroko,  
by powstało  
zagadnienie wpisania się Kościoła na całych obszarach w tę nową społecznie  
ideologiczną i  
ekonomiczną rzeczywistość.  
Nie uważa on w komunizmie za najgorsze to, że walczy z religią i Kościołem  
czasami z  
okrutną gwałtownością, bo sądzi, że to walczenie mu przejdzie. Za najgorsze  
uważa jego n i e s t  
y c z-n o ś ć z Kościołem. Ona się dopiero objawi po okresie prześladowań i  
zmagania. Wyrazi się  
w tym, że ekonomia, polityka, sztuka, myśl, nauka, w ogóle całe życie w państwie  
komunistycznym będzie szło jednym torem, a innym torem, n i e-stycznym z tym  
pierwszym,  
biec będzie życie Kościoła. W ustroju feudalnym Kościół nakładał się z państwem,  
w liberalnym  
Kościół był na jego marginesie, w komunistycznym po etapie tarć i walki znajdzie

się na  
bocznym torze nigdy nie komunikującym się z torem głównym. W państwie  
komunistycznym  
przyszłości stosunek życia religijnego do całego pozostałego ludzkiego życia  
będzie mniej więcej  
taki, jak stosunek snów do jawy. To są perspektywy, które przerażają Leibera.  
Przynajmniej  
wedle O.  
Jest on więc zdania, że Kościół winien się wpisać w rzeczywistość komunistyczną,  
zanim  
religia się z niej całkiem wyobcuje. Wtedy już będzie za późno. Nie dziś jednak,  
bo jest na to za  
wcześnie, ponieważ dziś toczy się między Kościołem i komunizmem ostra walka. A  
ściślej  
mówiąc, nie w momencie silnego parcia komunizmu na Kościół. W tym momencie  
proces  
wpisywania mógłby się skończyć dla Kościoła porażką.  
O. miał kiedyś z Leiberem długą rozmowę, którą sobie zapisał. Powiada, że L.  
mówił mu  
mniej więcej takie rzeczy: Kapitalizm Stanów Zjednoczonych czy Anglii jest  
skazany na  
porażkę, ponieważ nie ma niczego takiego, co by mogło budzić entuzjazm, i  
niczego, co by  
można odczuwać jako sprawiedliwe, słuszne. Ich frazeologia, filantropijna i  
wolnościowa,  
zwłaszcza ta ostatnia, nawołująca o respektowanie świętych praw osobowości  
ludzkiej, nic nie  
mówi prostemu człowiekowi, ponieważ nie wyraża się jego językiem i nie posługuje  
się  
zrozumiałymi dla niego pojęciami. Natomiast ci, którzy rozumieją ten język i te  
pojęcia, to  
znaczy ludzie z wyższych sfer czy inteligencji, orientują się, co się ukrywa za  
tą frazeologią. Pod  
tym względem komunizm jest w fortunniejszym położeniu. Kiedy mówi o  
sprawiedliwości  
społecznej, wprowadzonej w czyn za pomocą konkretnych środków, rozumieją go  
najprostszy,  
rozumieją go z łatwością, a ci nieprości też wyczuwają, że z grubsza biorąc, a  
czasami nawet nie  
z grubsza, jest w tym wszystkim jakaś wielka racja. Tej racji przeciwstawiać  
najświętsze prawa  
człowieka oraz wysoką stopę życiową stu milionów ludzi, przemilczając warunki  
życiowe całej  
reszty tej części ludzkości, która żyje w strefie dolarowej czy sterlin-gowej,  
to znaczy co  
najmniej jednego miliarda ludzi, na stałe nie sposób!  
Z drobiazgów O. przypomina sobie zdanie L. o Mindszentym, kompletnie  
nieodpowiedzialnym, który „porobił takie rzeczy, że gdyby nie jego stanowisko,  
powinniby go  
najwyczejniej w świecie rozstrzelać”. Albo o biskupie X., do którego odnosi się

z najwyższą  
niechęcią, ponieważ „pomagał nazistom, nie mówiąc już o tym, że przez całe życie  
interesował  
się wyłącznie tylko swoimi osobistymi interesami" (ha sempre guar-dato ai suoi  
allari privati). O  
prześladowaniach kościelnych, u nas czy nie u nas, ma też obiektywniej sze  
zdanie niż  
Alessandrini z Ossematore Romano. Wie przecież prawdę, tę zastrzeżoną wyłącznie  
Pio  
Pontiice Maximo individualiter. Prawda ta jest inna niż prawdy propagandy  
watykańskiej, inna,  
bardziej skomplikowana, no i przede wszystkim ukazująca obie strony medalu.  
– Tak więc – kończy O. swoją relację o Lei-berze – należy on do tej malutkiej  
grupki, do tej  
światlanej czołówki watykańskiej, składającej się z ludzi widzących, jak świat  
idzie naprzód,  
bynajmniej nie zacofanych, nie sekciar-skich, rozumiejących z całą jasnością, że  
nadszedł czas,  
by zacząć szukać nowej drogi dla Kościoła, a może nawet postawić pierwszy krok.  
Ale Leiber  
jednym słowem nie popchnie papieża na tę drogę. Braknie mu na to odwagi. Jest  
zresztą stary.  
Marzy o tym – jak raz rzekł do O. – by ostatnie swoje lata przeżyć w spokoju.  
Poza tym unikanie  
krótkich spięć, a tym bardziej zderzeń z papieżem stało się jego drugą naturą. Z  
tym wszystkim  
pewne jest, że gdyby papież zainteresował się jego zdaniem, powiedziałby mu, co  
myśli. Z  
własnej inicjatywy nie wyzna nic, ale też nie cofnie się, kiedy go papież zapyta  
o prawdę.  
Wypowie mu całą swoją prawdę bez lęku, że go urazi. Ale najprawdopodobniej  
papież go o tę  
prawdę nigdy nie zapyta.  
Rzym, 24 września 56 r. Powtarzające się szmerki o \_ konsystorzu. P. twierdzi,  
że zrodziły  
się stąd, że papież ostatnio okazał szczególne zainteresowanie zdrowiem  
kardynałów Verde,  
Mercatigo i Caro. Kardynał Alessandro Verde ma dziewięćdziesiąt jeden lat i  
jest naszym  
sąsiadem na Parioli. Zamieszkuje w ogromnej, secesyjnej wili S. Francesco,  
otoczonej  
przepięknym parkiem. Kardynał Giovan-ni Mercati, bibliotekarz i archiwista Sw.  
Kościoła  
Rzymskiego, ma lat dziewięćdziesiąt. Kardynał Jose Maria Caro Rodriguez,  
arcybiskup Santiago  
del Chile, ma również dziewięćdziesiąt lat. Pius XII, jak zresztą większość jego  
poprzedników,  
zaskakuje swoje otoczenie każdorazowym konsystorzem. Jest skryty, jest twardy,  
jest  
autorytatywny. Ułatwia jeszcze tym swoim cechom życie, nie dopuszczając do

stworzenia się  
marzy czasowej pomiędzy dniem, w którym postanowił zwołać konsystorz, a samą  
datą  
konsystorza, ponieważ oczywiście w trakcie tej marzy czasowej próbowano by na  
niego  
nacisnąć. Pius XI nie bał się takich nacisków i proszącym go w swoim czy cudzym  
imieniu o  
kapeluszu odpowiadał zresztą zgodnie z historycznym obyczajem i prawem  
kanonicznym, że już  
wszystkie wolne miejsca na liście kardynałów zajął nominacjami, których dokonał  
in petto.  
Papież bowiem na kon-systorzu nie mianuje kardynałów, ogłasza tylko dokonane  
mianowania.  
Mianuje ich niejako w sobie samym. Włosi mówią: w piersi, in petto. Po polsku  
raczej by się  
powiedziało: w sercu.  
P. nieraz mi mówił, że papież w sprawie uzupełnienia Sw. Kolegium szarpany jest  
sprzecznościami. Kardynałów jest sześćdziesięciu, a powinno być  
siedemdziesięciu. P. oblicza,  
że w wypadku śmierci papieża mogłoby wziąć udział w konklawe nie więcej niż  
czterdziestu  
siedmiu. Mówi, że van Roey z Malines, Fossati z Turynu, Dalia Costa z Florencji,  
Tappouni z  
Bejrutu, Pla y Daniel z Toledo, da Silva z Bahia, de la Torre z Quito najpewniej  
nie znieśliby  
trudów podróży i konklawe. Jego zdaniem również dni arcybiskupa Seville,  
siedemdziesięciosześcioletniego kardynała Pietra Segura y Saenz, są policzone.  
Wątpi również,  
czy stan nerwowy jednego z kardynałów, również hiszpańskiego, którego nazwiska  
nie chce  
wymienić, pozwoliłby mu na przybycie. Ma zresztą mnóstwo innych wątpliwości.  
Wątpi, czy przybyłby na konklawe kardynał Mindszenty, kardynał Wyszyński i  
kardynał Ste-  
pinac.  
Jego kalkulacja wydaje mi się pesymistyczna. Ale tak czy owak tych kardynałów do  
wyborów przeprowadzonych w pełnej formie liczbowej jest stanowczo za mało. P.  
oczywiście  
nie wie mnóstwa najważniejszych rzeczy, ale szmerki watykańskie chwyta dobrze.  
Lecz nie należy zapominać o szmerkach innych. A raczej może nie tyle o  
szmerkach, co o  
wyjaśnieniach, dlaczego równie dobrze do kon-systorza może nie dojść. To  
wyjaśnienie słyszę  
•tu z niejednych ust, niektórych dość kompetentnych. Podług tego wyjaśnienia  
Pius XII na  
wypadek swojej śmierci chciałby zostawić kolegium kardynalskie nieskompletowane,  
tak aby  
jego następcą, odziedziczywszy po nim pewną ilość wolnych miejsc, mógł je od  
razu obsadzić  
swymi współpracownikami. Ale ile wolnych miejsc jego następcą mógłby  
potrzebować? Trzy?

Cztery? Pięć? Przecież nie będzie zmieniał całej kurii! Bo oczywiście o nią chodzi. Mówiąc o współpracownikach papieża, kardynałach, ma naturalnie na myśli tylko członków Sw. Kolegium, pracujących na kierowniczych stanowiskach w kurii rzymskiej. W tej chwili jest takich piętnastu. Natomiast wolnych kardynalskich kapeluszy dziewięć. A za miesiąc czy dwa może być wolnych i dziesięć, i dwanaście. Z tej całej matematyki wynika, że przy zastosowaniu maksymalnej delikatności do swego następcy, papież mógłby już dziś zamianować co najmniej pięciu kardynałów. Zobaczymy.

Rzym, 27 września 56 r.

S. jest jak zawsze ironiczny. Nie wierzy w żaden bliski konsystorz. Powiada, że istota rzeczy polega na tym, że przez taki konsystorz Pius XII zdecydowałby o swoim następcy. Przede wszystkim to by się przez taki konsystorz zdecydowało. Nie żadne wyrównanie zachwianego stosunku pomiędzy porcją, jak to określa, włoską kardynałów, których jest dwudziestu, a porcją zagraniczną, liczącą sobie kapeluszy czterdzieści. Nie żadne odmłodzenie Sw. Kolegium, rzeczywiście poważnie obciążonego starcami powyżej osiemdziesiątki. To wszystko bez wątpienia może mieć znaczenie w wewnętrznych kalkulacjach papieskich. Lecz sprawa następcy to jest ta sprawa, o którą tu chodzi naprawdę. Papież jest władcą absolutnym i z nikim i w niczym może się nie liczyć przy nominacjach. Nikt i nic nie ma prawa wywierać na niego nacisku. Tak powiadają kanony oraz setki różnych bulli, różnych Breve i różnych motu proprio, różnych biglietto CZY costituzione; a ktokolwiek by próbował, automatycznie podpada pod najcięższe kary kościelne, ekskomunikę czy klątwę. Lecz z tym wszystkim nie ma rady na tradycje. Na ciągi precedensów. Na różne prawa i przywileje niepisane, rospeklowane nieprzerwanie przez całe wieki. W tym sęk! I tak na przykład od lat tysiąca czterystu nie było wypadku, by zaraz na najbliższym konsystorzu mógł być pominięty arcybiskup mediolański, o ile wstąpił na tę stolicę bez kapelusza. – A więc jeśli konsystorz – kończy swoje rozważania S. – to Montini kardynałem, a jeśli Montini kardynałem, to na konklawe tiarę ma w kieszeni! Dlatego nie wierzę w konsystorz.

Rzym, 30 września 56 r.

La Civiltà Cattolica od stu siedmiu lat wyraża oficjalną opinię zakonu jezuitów.  
Jest to jedno  
z najważniejszych czasopism Kościoła. Jest organem spokojnym, zachowawczym,  
teoretycznym. Nie zamieszcza opinii, za które redakcja nie bierze  
odpowiedzialności. Nie  
wyklóca się. Nie eksperymentuje. Jest źródłem, któremu każdy sztabowy oficer  
Kościoła może  
zaufać. Współpracują z nim najtęższe umysły jezuickie wszystkich narodów.  
Najczęściej jednak  
Włosi. Spotykam w nim często artykuły O. A. Messineo. Jest jednym z największych  
autorytetów rzymskich w zakresie filozofii. Jego prace umieszcza się na  
pierwszym miejscu w  
Civiltà Cattolica. Zauważyłem, że ustępuje na tym terenie jedynie Piusowi XII.  
Z ciekawości poszedłem kiedyś na odczyt słynnego mówcy, również jezuitę, O.  
Riccardo  
Lombardi. Zwrócił moją uwagę wówczas siedzący w pierwszym rzędzie wspaniały  
osilek w  
sutannie, o barkach rzeźnika, o twarzy pruskiego generała i o oczach,  
najchętniej bym rzekł,  
psychiatry. To był właśnie O. Messineo.  
We wrześniowym numerze Civiltà Cattolica zaatakował on Maritain. Ale jak  
zaatakował! I  
że to akuratnie on! I że to akuratnie jego do tego ataku wybrano, i że to  
akuratnie w tym piśmie!  
Minał cały miesiąc od ogłoszenia artykułu O. Messineo, a do dziś jeszcze w  
rzymskim świecie  
katolickim trudno ludziom ochłonąć. Kiedy przed dwunastu laty, zaraz po wojnie,  
zjechał do  
Rzymu Maritain jako ambasador Francji przy stolicy apostolskiej, dla tutejszego  
świata  
katolickiego był to w pierwszym rzędzie największy współczesny laicki filozof  
katolicki.  
„Latarnia świata katolickiego” – jak go określił de Gasperi.  
Byłem wczoraj w księgarni San Paolo, aby kupić dla kogoś w Polsce numer Civiltà  
z atakiem  
na Maritain. Młodziutki ksiądz-Francuzik, który spod ziemi dla mnie wszystko  
wydostaje, bo  
płacę gotówką, a nie biorę na rachunek, jak nieomal wszyscy tutaj, z czym potem  
są tysiączne  
kłopoty, spojrzął na mnie, jakbym spadł z księżycy. Od trzech tygodni nie ma już  
wrześniowego  
numeru Civiltà na lekarstwo. To był bestseller] Nawiasem mówiąc, który  
katolickim księgarniom  
w Rzymie sprawia dość kłopotu. Księgarniom nagabywanym z Francji, z Belgii, z  
Anglii, z  
Niemiec choćby o jeden jego egzemplarz.  
Piszą oczywiście i ci, którzy zacierają ręce zasłyszawszy o takim ataku. I piszą  
również ci,  
których ogarnia przerażenie i zgroza. Muszą sobie myśleć, więc jednak! Więc  
widać gdzieś w

górze, „za rzeką” – jak się w Rzymie określa Watykan – postanowione zostało uderzenie.

Kierunek taktyczny tego uderzenia trudno jeszcze dziś określić. Za pomocą takiego ataku może się wyrażać albo chęć zniszczenia Maritaina, albo, co prawdopodobniejsze, odepchnięcia od jego filozofii tych, których ona pociągała.

Maritain zaczął od tego, że był tomistą, potem został neotomistą, na koniec niejako odśrednio-wieczyl się. To znaczy przestał widzieć w średniowieczu ten ideał, do którego Kościół winien w taki czy inny sposób wciąż powracać. Przestał nawet dopatrywać się w średniowieczu ideału odpowiedniego na średniowieczne czasy. W porównaniu z średniowiecznym współczesny człowiek jest dla niego znacznie bliższy ideału, pomimo tego, że człowiek średniowieczny i cały jego świat, i cały jego byt był niejako rozpuszczony w Bogu. Ale cóż z tego, kiedy człowieczeństwo jego nie było najlepszej próby. Człowiek to przede wszystkim świadomość.

Ludzie średniowieczni to były boskie owieczki, boskie ciołki, boskie roboty. To nie byli pełni ludzie. Świat średniowieczny to był świat, kiedy stanął na martwym punkcie. Właściwie reformacja go z tego martwego punktu wypchnęła. Reformacja, a potem rewolucja francuska, a potem cała olbrzymia mózgowia, świadomościowa, obiektywizująca wszystko, nakazująca na wszystko patrzeć pod aspektem historycznym, wspaniała, imponująca praca doprowadziła świat do tego, że jest to dzisiaj nieomalże w całości świat świadomych ludzi.

A w każdym razie nieskończenie świadomszych niż ci średniowieczni. To znaczy nieskończenie bardziej ludzkich. Dramat jednak tych ludzi, tych niejako dopiero ludzi, polega na tym, że oni nie mają dla siebie religii. Nie mają dla siebie odpowiedniego, pasującego do nich katolicyzmu.

Średniowieczny katolicyzm do średniowiecznych niedołudzi pasował jak ulał. Nieodśredniowicz-niony, dzisiejszy katolicyzm, odziedziczony po tamtych, do współczesnych ludzi nie pasuje.

Nie pasuje wówczas, kiedy na skutek swoich form nazbyt mistycznych i oderwanych od świata, ze światem współczesnym się nie styka. I nie pasuje w jeszcze znaczniejszym stopniu, kiedy za pomocą odziedziczonych po średniowieczu form próbuje się ze światem stykać. Próbuje świat na nowo teocentrycznie ujmować. A tymczasem świat jest przez Boga pomyślany nie dla Boga, ale dla ludzi. Świat więc musi być antro-pocentryczny. Człowiek winien być



ośrodkiem  
świata, ośrodkiem w człowieku winna być jego świadomość. Świat powinien być  
urządzony tak,  
aby tej ludzkiej świadomości, tym wszystkim ludzkim świadomościom wszystkich  
ludzi na  
świecie było jak najlepiej. Świat powinien być urządzony w sposób integralnie  
ludzki. Integralnie  
humanistyczny.  
Współczesnemu światu jest jeszcze daleko do tego. Wikła się on jeszcze w setce  
rzeczy  
niehumanistycznych. Wikła się on w nacisku dyktatur, kolonializmów, mieszczaństwa.  
Winien on  
przeciw tym niehumanistycznościom walczyć o świat coraz bardziej wolny, demokratyczny,  
humanistyczny, ludzki. Niemniej przeto nawet z trapiącymi go niehumanistycznościami on  
już bardzo  
dużo na drodze do pełnej humanizacji uczynił. Maritain jako katolik z bólem  
stwierdza, że  
niestety nie zawsze katolicyzm był światu w procesie humanizowania się pomocny.  
„Nie było  
dane wierzącym, w pełni wiernym dogmatom katolickim, ale było dane racjonalistom  
proklamować we Francji prawa człowieka i obywatela. Tak samo, jak zostało dane  
amerykańskim purytanom ostateczne skończenie z niewolnictwem, a w ogóle nie  
uznającym Boga komunistom zniesienie w Rosji tyraństwa wyzysku”.  
Nowa teologia, nowe spojrzenie przez Kościół na świat, dogłębne zrozumienie, że  
świat jest  
rzeczą ludzką, oto do czego wciąż nawraca Maritain w swoich książkach  
późniejszych: Humanis-  
me integral, Religion et culture, Les droits de l'homme czy Christianisme et  
democratie. Jego  
metoda najulubieńsza to wykazywanie, jak coraz pełniej i coraz lepiej człowiek  
się poprzez  
następujące po sobie formy historyczne rozwija. Poprzez wzloty i poprzez błędy.  
Poprzez wzloty  
i błędy indywidualne i masowe. Wydaje się, że podstawowym jego bólem jest  
poczucie, iż  
człowiek niejako prześcignął religię. Że współczesność, pomimo wszystkich jej  
błędów, jest  
czymś rozwojowo dalej zaawansowanym niż nawet najbardziej odkurzony,  
neotomistyczny  
katolicyzm. Walka Maritaina zatem toczy się na dwu frontach. Na froncie  
dohumanizowania współczesności i na froncie dowspółczesnienia  
chrześcijaństwa.  
Humanisme integral ukazał się dwadzieścia lat temu! Stał się dla całej młodzieży  
katolickiej,  
tej myślącej, tej wrażliwej, Biblią. Katolik antyfaszysta znajdował w nim  
wszystko, co było  
potrzebne jego wierzącej myśli. Katolik o sumieniu wrażliwym na sprawy społeczne,  
również.  
Mounier, Danielou, Bouillard, Le Blond, Mont-cheuil, De Solages we Francji –  
wszystko to

poszło z niego. W Polsce przedwojennej Laski, Zawieyski, a po wojnie mnóstwo „dziś i jutrowiczów”. We Włoszech oczywiście piolessoiini oraz dziesiątki różnych pism, kółek, centrów. Nie mówiąc już o starszym pokoleniu katolików an-tymussolińskich, którzy nie wyszli z Maritaina, ale myślowo z Maritainem szli przez całe lata, jak Giovanni Gronchi, Gonella, no i również chyba sam de Gasperi.

Można o Maritainie powiedzieć, że on wraz z tysiącym swoim duchowym potomstwem uratował za epoki faszystowskiej twarz katolicyzmu. Bo przecież nie Watykan! Faszizm był z esencji swojej antyhumanistyczny. Myśl o maritainowskim „humanizmie integralnym” pchnęła tysiące katolików do walki z tym faszyzmem. Po wojnie, kiedy nie stało faszyzmu, przydawała się jeszcze do walki z tymi, którzy odczuwali za nim nostalgię. Potem przydawała się bardzo za czasów rządów katolicko-komunistyczno-socjalistycznych we Francji czy w Italii. A potem przydawała się jeszcze w okresie przed zakończeniem z grubsza tak zwanej powojennej kapitalistycznej odbudowy. Dziś w Watykanie uważa się, że ta odbudowa została zakończona.

Uważa się również i powtarza się to wciąż w setkach enuncjacji papieża i różnych katolickich hierarchów, że żadnego postkapitalizmu nie będzie. Nastąpi tylko coraz pełniejsze uzupełnienie socjalnego kapitalizmu poprzez rozwój i rozbudowę ubezpieczeń społecznych. Zamiast średniowiecznej jałmużny i średniowiecznego miłosierdzia – kapitalizm będzie się ustawowo dzielił z biednymi swymi dochodami. Ot i wszystko, ot i cały ideał. Wszystko inne to utopia.

Utopia na pograniczu herezji.

Od takich utopistów wyrosłych na maritainizmie Watykan odcinał się już od paru lat. Odciął się od księży-robotników we Francji. Cichcem w innych wypadkach polecał wycofywać przesycone „nieznośną kokieterią w stosunku do komunizmu” książki de Lubaca Le surnaturel czy De la connaissance de Dieu. W jeszcze innych polecał zsyłać na prowincję, do dziur zapadłych, na malutkie parafie skażonych postępowością katolickich uczonych, jak dominikanina O. Congar, który gdzieś teraz tkwi zagubiony w wiosce w Szkocji.

Niekiedy z polityki przenosić na całe lata w ustronie uniwersyteckie. Tak się stało z Dossettim.

Dotychczas jednak nikt z hierarchów, nikt z Watykanu samego Maritaina nie tknął. A nawet w pewnych latach od ataków na Maritaina się odgradzał. Tak było w roku 1945 z

książką Julio  
Menvielle'a wydaną w Buenos Aires pt. De La-mennais a Maritain. Treść jej jest  
bliska  
dzisiejszym gromom O. Messineo. Oficjalnie w katolickim, zachowawczym Rzymie  
przyjęto ją  
wówczas z niesmakiem. W późniejszej fazie, to znaczy w latach bezpośrednio  
poprzedzających  
atak w Civiltà Cattolica, co najwyżej przestano go cytować najpierw na różnych  
kursach  
politycznych, na których w Italii przygotowuje sobie Chrześcijańska Demokracja  
działaczy  
politycznych. Takich kursów jest mnóstwo. Centralny w Camillucia i dziesiątki na  
provincji.  
Ponieważ zaś walor Maritaina polegał w swoim czasie między innymi na tym, że był  
filozofem  
katolickim laickim, zaczęto ekshumować innych laików. W roku 1954 odgrzebano  
uroczyście w  
stulecie śmierci słabiutkiego pisarza Toniolo. Sekretariat Chrześcijańskiej  
Demokracji zażądał  
zbiorowego wydania tego autora. W pałacu delia Cancelleria, potężnym  
arcygmachu, który  
zaczął Bregno, a skończył Bramante, zorganizowano oficjalną uroczystość.  
Przybyli na nią  
chadeccy ministrowie, posłowie, senatorzy, różne tuzy partyjne i aż siedmiu  
kardynałów kurii.  
Nie przyszli tylko starzy intelektualiści partii, jak Gronchi, Gonella, Don  
Sturzo czy hrabia delia  
Torre, tak samo jak u nas nie ściągnąłby żadnego szanującego się intelektualisty  
katolika na swój  
jubileusz jakiś analogiczny polski wierzący myślowy szarak.  
Aż wreszcie nadszedł czas na atak wprost. Dlaczego akurat w 1956 r. i w tym  
sezonie!  
Zapewne, że można na to odpowiedzieć ściśle. Trzeba, biorąc pod uwagę tę  
ściśłość, zdać sobie  
sprawę, że tak jak istnieje odrębny czas fizyczny i odrębny czas psychologiczny,  
tak samo  
istnieje swój dla siebie czas watykański.  
Przyczyna samego ataku jest jasna. Pisz o niej zaraz na wstępie swego artykułu  
sam  
Messineo. „Nie będzie tu bynajmniej nie na miejscu przedstawienie i przebadanie  
systemu...  
skonstruowanego przez francuskiego filozofa Jacques Maritain... wyłożonego w  
dziele pod  
wymownym tytułem »Humanizm integralny« i następnie podtrzymywanego w  
późniejszych  
pomniejszych publikacjach... zarówno z uwagi na śmiałość postawy filozoficznej i  
jej konkluzji,  
jak i ze względu na to, że jest on systemem przyciągającym niemało umysłów, do  
którego one  
później próbują dopasować swoje poglądy o życiu społecznym".

Oto więc przede wszystkim chodzi o zagadnienie społeczne. O te nieszczęsne wyrzuty sumienia katolickich postępowców, wyrzuty sumienia jako katolików za opóźniającą rolę Kościoła w procesach społecznych. Ton Messineo jest nieprzyjemny, sarkastyczny. Maritain „deformuje” św. Tomasza. „Jego proza... na skutek różnych pędzlowan w stylu futurystycznym staje się miejscami niezrozumiała dla historyków serio”. Na podobne szyderstwa nikt by sobie w oficjalnym watykańskim poważnym piśmie wobec Maritaina jeszcze przed dwoma czy trzema laty nie pozwolił. Ale dzisiaj widocznie znaczącej grupie ludzi w Watykanie pogrążenie Maritaina, pogrążenie zdecydowane i ostre, wydaje się konieczne. W obliczu konieczności obojętnieją względy na całą śmietankę katolicyzmu francuskiego, kościelnego i świeckiego, która niezależnie od takiego czy innego ustosunkowania się do różnych tez Maritaina odnosi się do niego z najwyższym szacunkiem. Ale dla Kościoła istnieje dzisiaj przede wszystkim sprawa Włoch. Włochy dzisiaj są niejako ciałem Kościoła. Jeśli to ciało zachoruje, nie będzie dobrze. A jego choroba polegać tu będzie po prostu na przesunięciu strzałki na tarczy wyborczej tak, że Chrześcijańska Demokracja przestanie rządzić. Przestanie zaś rządzić wtedy, kiedy większość ludzi przyjdzie do wniosku, że ta partia nie będzie umiała rozwiązać włoskich problemów socjalnych. Najważniejsze więc w takiej chwili jest przekonanie mas katolickich, wszystkich katolików od góry do dołu, że problemów socjalnych tak ostrych, jak je sobie wyobrażają komuniści, socjaliści i różni postępowo-katolicy dolewacze oliwy do ognia – nie ma. A jeżeli są, to może je rozwiązać doskonale taki Kościół Rzymsko-Katolicki, jaki jest, i taka, jaka jest, rzymskokatolicka Chadecja. Rzym, 1 października 56 r. W bibliotece na Vicolo Doria natknąłem się na wielkie dzieło Montalemberta Les Moines d'occident. Ileż wspomnień! Biorę w rękę poszczególne tomy tych „Mnichów” i po trzydziestu pięciu latach czuję leciutki ucisk w sercu, słabe echo ucisku i łomotania puls, które odczuwałem tak dawno temu. W małym dworku, w An-toninku pod Poznaniem, pochłaniałem tom po tomie, z wyłączeniem bodaj że trzeciego, który wzięto mi spod ręki, gdy czuwałem przy

trumnie ciotki

Anny Karolowej Stablewskiej, aby wsunąć go pod poduszeczkę, na której spoczywała jej głowa

widocznie za nisko. Zabrano, podłożono i zapomniano. Teraz trzymam ten trzeci tom w ręku. Ale

wiem, że nie znajdę czasu, żeby go tu przeczytać. A przede wszystkim nie znajdę w sobie tych

wszystkich właściwości, które sprawiały, że postacie i sprawy z Montalemberta rozpalały moją

wyobraźnię torturując ją i uciskając dniem i nocą. Więc po co?

Wszyscy ci anachoreci, eremici i pustelnicy, zamknieńcy, którzy oddawali chwałę Bogu,

obrawszy sobie byle jaki kąt i zaryglowawszy się w nim najchętniej do śmierci; stacjonariusz

z e, którzy tylko przez całe życie stali i to najchętniej z wzniesionymi rękami; dendryci,

spędzający całe życie na drzewie; Słupnie y żyjący na kolumnach, nad którymi nie budowali

początkowo nawet dachu; hezatyści, dożywotni milczkowie; subdywale, obierający sobie jedno oznaczone miejsce, nie osłonięte jednak pułapem czy dachem

(subdivales od suh

divo – pod gołym niebem); katenaci łańcuchem przywiązani do jednego miejsca.

Ten dziwny świat pociągał mnie narkotycznie przy lekturze Montalemberta. Świat nieprzytomny, wariacki od chęci oddania się czemuś nadrzędnemu. Masochistycznie poniżający

się, wdeptujący w proch, jak gdyby nadrzędność, którą ukochał, za mało była nadrzędna, za mało

olbrzymia. Pamiętam wszystkie dreszcze i świdrowania w sercu na myśl o potwornych

szaleństwach tych wszystkich mnichów i mniszek. O szaleństwach i okropnościach uprawianych

na sobie ekstatycznie i radośnie w tych różnych pustelniach i zakątkach, później przez nich

nazywanych tak czule, tak pieszczotliwie. Echo tych nazw przetrwało przez wieki.

Montalembert

wymienia dziesiątki nazw różnych ustroni zakonnych, średniowiecznych. A więc

Bonlieu, Beau-

lieu, Clair-Lieu, Joyeux-Lieu, Cher-Lieu, Chere--Ile, Vaulx-la-Douce, Les

Delices, Bon-Port,

Bon--Repos, Bonne-Mont, Val-Sainte, Val-Benoite, Val-de-Paix, Val-d'Esperance, Valbonne,

Valsuave, Nid d'Oiseau, Font-Douce, Voie-du-Ciel, Port--du-Ciel, Couronne-du-Ciel, Joung-

Dieu, Port--Dieu, Paix-Dieu, Clarte-Dieux, Science-de-Dieu, Champs-de-Dieu,

Lieu-de-Dieu,

Porte-Suave, Pre--Heureux, Pre-Benit.

Rzym, 3 października 56 r.

P. opowiada, że papież w ogóle nie lubi nominacji, mianowań, a zwłaszcza wokoło siebie

nowych twarzy. Rzeczywiście, przypominam sobie, że od lat Annuarium Pontificia są

pełne luk.  
Raz wraz powtarza się słówko vacat czy też zastępujące to słówko kropeczki.  
Peyrefitte w  
„Kluczach Piotrowych” ironizuje, że papież dlatego nie mianuje kardynała  
kamerlenga, ponieważ  
do funkcji jego należy konstatowanie papieskiej śmierci. Nadszedłby więc dzień,  
w którym taki  
kardynał wzięwszy w rękę tradycyjny złoty młotek, dotknąłby nim czoła papieża,  
trzykrotnie  
zawoławszy: Eugeniuszu! Eugeniuszu! Eugeniuszu! Papież zaś by się nie odezwał.  
Ale oczywiście nie strach przed śmiercią blokuje w tym wypadku papieską decyzję.  
Tak  
samo jak najpewniej nie władczość wstrzymuje go przed mianowaniem sekretarza  
stanu. Nie  
chęć zagarnięcia w swoje ręce wszystkich cugli. I tak by je miał. Jest władcą  
absolutnym i z  
nikim władzy obyczajowo, kanonicznie czy konstytucyjnie biorąc nie potrzebuje  
dzielić. I tak  
jest od wieków. Wszystko zależy, czy papież ma autorytatywny charakter, czy nie.  
Jak go ma, to  
i tak wypełniwszy wszystkie vacaty Watykanem trzęsie. Jak go nie ma, to i vacaty  
nie pomogą.  
Pius XII zaś do ostatniej fibry psychicznej jest samowładcą.  
Zatem ani pewne nieprzyjemne uprawnienia kamerlenga, ani nie pierwszoplanowa  
waga  
sekretarza stanu sprawia, że Pius XII ich nie chce. Bo nie chce również  
Sekretarza Sw.  
Kongregacji Spraw Wyjątkowych. Nie chce Sekretarza Sw. Kongregacji Czcigodnej  
Budowy  
Bazyliki Sw. Piotra, nie chce Asesora Najwyższej Sw. Kongregacji Sw. Oficjum. P.  
mówi, że nie  
chce, bo to są wszystko stanowiska połączone z widywaniem papieża. Istnieje  
nawet regulamin,  
ustalony od dziesiątków lat terminarz, który rezerwuje na przykład dla Asesora  
Sw. Oficjum  
audiencję u papieża w każdy piątek, a przypuśćmy, dla Sekretarza Czcigodnej  
Budowy audiencję  
zawsze w pierwszą środę miesiąca. Niezależnie oczywiście od audiencji prefektów  
tych  
kongregacji.  
P. mówi, że na pomniejszych stanowiskach dzieje się to samo. Od siedmiu lat do  
mszy św.  
służy papieżowi kamerdyner Mario Stoppa.  
Przedtem służyli różni młodzi zakonnicy i księża z olbrzymiego papieskiego  
dworu. Ale  
podrośli, rozwinęli się, poszli na różne stanowiska w kongregacjach i biurach.  
Na ich miejsce  
przyszli inni, ale już ich papież nie dopuścił do tej rannej, poufnej funkcji w  
swojej prywatnej  
kaplicy. W ten sam sposób obywa się bez majordoma, bez czterech camerieri

segietti (został mu się tylko piąty monsignor Mario Nosalli-Rocca di Corne-gliano), bez pierwszego kapitana Guardia Nobile i bez wielu innych dygnitarzy i urzędników. P. mówi, że kardynał Canali, który jest zarządcą wszystkich pałaców papieskich, dobrze znając niechęć papieża do nowych twarzy, nawet jeżeli kto zemrze czy przestanie pracować ze zwykłej służby, nikogo nowego nie posyła sprzątać do tych części apartamentów watykańskich, do których może zajrzeć papież. Dotyczy to również ogrodników w ogrodach watykańskich. Toteż ogrody zarastają, meble pałacowe stają się siedliskiem kurzu. Posadzki wywoskowane są fatalnie. A wszystko to z powodu grozy nowych twarzy. Jeśli jednak ta groza to prawda, psychologicznie interesujące jest, że od wieków chyba nie było papieża, który by tak niezmordowanie u-dzielał ludziom audiencji. Mówię oczywiście nie o tych audiencjach roboczych, na których pracuje z ludźmi z kurii, ale o tych różnorodnych składanych mu wizytach, indywidualnych i grupowych, w Watykanie czy w Castel Gandolfo. Mówię o tych ciągłych i ciągłych gromadach, które przyjmuje. Wita je przemówieniami – potem, zszedłszy z tronu, w nie wnika. Są to najróżniejsze zrzeczenia, misje, wycieczki, pielgrzymki, przybywające do niego albo też zawadzające o niego z okazji pobytu w Rzymie. On by najchętniej przyjął każdy kongres, każdy zjazd, każdą konferencję, gdziekolwiek by się odbywała na terenie Włoch, aby ich uczestników – jak mówi S. – „przerobić na swoje kopyto”. P. twierdzi, że bywają w Watykanie tygodnie, podczas których dzień w dzień Pius XII przyjmuje, wita się, rozmawia dłużej czy krócej lub też podczas gromadnych audiencji wymienia kilka słów z co najmniej pięćdziesiątką ludzi pierwszy raz widzianych na oczy. Niechęć zatem do nowych twarzy w godzinach pracy biurowej, w godzinach prywatnego życia, w godzinach modlitwy mogłaby być najzwyczajniejszym odruchem reakcji. Naj zwyczajniej szej rekompensaty. Ale kiedy mówię o tym S. i dodaję, że go rozumiem, jest nieubłagany. Widzi w tym tylną zwykłą niechęć starczą do wynoszenia ludzi w górę. Widzi w tym tylko osobistą starczość papieża, pomnożoną o starczość Kościoła. Mówi, że Pius XII krzywi się, kiedy ma kogoś zaliczyć w poczet biskupów, zaczyna się czuć niedobrze, kiedy to samo dotyczy

arcybiskupów, a  
cierpi wprost śmiertelnie w wypadku kardynałów. Sprawia mu przyjemność tyło  
jedno  
zaliczanie. Zaliczanie w poczet błogosławionych czy świętych swoich poprzedników  
na stolicy  
apostolskiej. Czuje się wtedy sam wydzwignięty wzwyż.  
Rzym, 4 października 56 r.  
P. mówi, że w stu trzydziestu uniwersytetach, akademiach, fakultetach,  
seminariach,  
kolegiach i innych najróżniejszego typu uczelniach teologicznych na terenie  
Rzymu w ciągu  
miesiąca września z pewnością nikt publicznie nie wypowiedział słowa: Maritain.  
Wszyscy  
wiedzą, wszyscy czytali, wszyscy połąkęli artykuł ojca Messineo. Młodzi między  
sobą nad  
takimi rzeczami jak najmniej się zastanawiają. Publicznie nie dyskutują o nich  
nigdy. Młodzi – to  
znaczy młodzież z seminariów i nowicjatów. Profesorowie również nie dyskutują z  
nią nigdy na  
tematy teologicznie dwuznaczne. Na te różne tematy na poły indeksowe.  
Socjologiczne,  
polityczne, dogmatyczne, historyczne, filozoficzne. Służą do tego rozmowy  
poufne, czasem  
konfesjonał. Niekiedy z myślą, aby pomóc, niekiedy z myślą, aby pograżyć.  
Publicznie również nie dyskutują o podobnych sprawach profesorowie. Publicznie  
między  
sobą. Wyciągnąć kogoś na podobną rozmowę publicznie – to prawie jak wyzwać kogoś  
na  
pojedynek. Bez specjalnego, osobistego powodu na terenie Rzymu się tego nie  
czyni. Po  
pierwsze dlatego, że nie lubi się tu na terenie tych stu trzydziestu naukowych  
placówek  
podległych czy też znajdujących się w zasięgu ręki Sw. Kongregacji Seminariów i  
Uniwersytetów dyskusji bezprzedmiotowych. A bezprzedmiotowa jest każda dyskusja  
w sprawie  
poglądu, co do którego nie ma wiążącego orzeczenia. A po drugie każdy wie, że na  
pewne rzeczy  
można się patrzeć tak czy inaczej. To znaczy dziś w taki sposób, a jutro w inny,  
w zależności od  
kursu. Papież obecny ma takie skłonności, jutrzejszy może mieć odmienne. W  
problemach  
wątpliwych najlepsze więc jest milczenie. Z tego, co opowiada P., który zna to  
środowisko, ten  
świat, jedno mi jest sympatyczne. A mianowicie, że nie ma tu obyczaju stadnego  
oszcze-kiwania  
na dany sygnał. Nie ma tego, że jak na kogoś szczeknie jakiś głośny pies,  
godzinami, tygodniami,  
miesiącami unisono szczekają seryjne pieski. W wypadku Maritaina jest to jeszcze  
tym  
ciekawsze, że każdy wie, iż Pius XII go nie lubił. Papież w ogóle nie lubi



cadyków, a już  
świeckich cadyków szczególnie. Poza tym ma te olbrzymie ambicje, nazwijmy,  
summologiczne. Jest to chyba oczywiste, że chce pozostawić po sobie jakąś nową  
summę. Jest to  
podstawowa przyczyna jego nieprawdopodobnej produkcji przemówieniowej. Chce  
światu  
oświetlić po kolei wszystko, co nowe. Wszystkie nowe wynalazki, wszystkie nowe  
zjawiska,  
wszystkie nowe metody. Oświetla za pomocą rozciągnięcia na nowe zjawiska  
dotychczasowej  
teologicznej instalacji świetlnej. Maritain zaś odnawia sam typ teologicznego  
światła. Gdyby  
zwyciężył, przekreśliłby wszystkie siedemnaście tomów pism papieża. Czy to więc  
nie piękne, że  
mimo, iż każdy się w tym orientuje, po Messineo nie zaszczekało tysiące piesków?  
Rzym, 5 października 56 r. Jeszcze Messineo – Civiltà Cattolica – Maritain. E.  
zacytował mi  
dzisiaj taki wyjątek z O.  
Bouillarda (również jezuita, lecz francuskiego): „Słuchając pewnych dzisiejszych  
neotomistów, mogłoby się zdawać, że wszystko w tradycji chrześcijańskiej do św.  
Tomasza było  
pomieszane i ciemne i że dopiero on to wszystko definitywnie wyświecił.  
Słuchając ich zaczyna  
się nawet podejrzewać, że sam Chrystus przekazał apostołom swoje myśli  
zawikłane, wyjaśniając  
im swoje posłannictwo w słowach tak zagmatwanych, że później trzeba było dopiero  
czekać na  
św. Tomasza, aby zrozumieć nareszcie w sposób jasny i zróżnicowany, co właściwie  
Zbawiciel  
chciał nam powiedzieć”.  
E. zwraca mi również uwagę na poprzednie artykuły Messineo w Civiltà.  
Przedostatni: II  
prov-videnzialismo progressista, rozwija myśl, że między pojęciem Opatrzności i  
pojęciem  
progresiz-mu nie da się nawiązać żadnych układów. Pro-gresisci, zdaniem  
Messineo, przekreślają  
Opatrzność. Wyznają pogląd, że „chrześcijanin winien dzisiaj widzieć w  
komunizmie zjawisko  
czy etap w biegu historii, nieomalże konieczny moment historycznej ewolucji, i  
tym samym  
przyjmować go nieomal jako urządzenie Opatrzności”. Wyznają zatem pogląd,  
podług którego  
przyczyna doskonała, jaką jest Opatrzność, może sprowadzić na ziemię skutek tak  
niedoskonały  
jak komunizm. To byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem oraz z prawami  
rozumowania.  
Progresisci pod wpływem Hegla, Bergsona i Crocego uważają, że ludzkość poprzez  
poszczególne etapy jest dla Boga rzeczą najważniejszą. Nic podobnego, mówi O.  
Messineo.  
Historia jest sprawą drugoplanową. Na pierwszym planie stałym, niezmiennym,

zasadniczym  
toczy się walka między złym a dobrym, niezależnie od momentu i etapu historycznego. Walka ta jest wieczna i niezmienna. Niezmiennie i wieczne muszą też być warunki tej walki. W tym sensie niezmiennie i tożsame, że dzisiaj walczyć dobremu ze złem nie jest łatwiej niż pięćset lat temu, a pięćset lat temu nie było łatwiej niż tysiąc lat temu. Nie ma i nie może być żadnych etapów pod tym względem uprzywilejowanych ani poszkodowanych. Byłoby to niesprawiedliwe. Progresiści w ogóle za wielkie znaczenie przywiązują do historii, do historyzmu, do podejścia historycznego. Ta fascynacja doprowadza ich do tego, że sądzą, iż rolą Kościoła jest ciągle nadążanie za historią i dostosowywanie się do wszelkich jej wyskoków i błędzeń. Kto tego żąda, nic nie rozumie z Opatrzności. Sobór watykański stwierdza: *Universa quae condidit, Deus providentia sua luetur atque gubernat*. Opatrzność zatem rządzi i opiekuje się tym, co raz na zawsze podstawowo zostało stworzone. A więc nie progresywnie dotwarzane. Nie dodatkowo dokomponowywane i ulepszone. W ogóle nie, a już tym bardziej przez akty, fazy i stany niedoskonałe. Tyle O. Messineo.

A teraz parę szczegółów i plotek. Encyclica *Humani generis* (Piusa XI) jak najakuratniej potępia wszystko, na czym wspiera się maritainizm. Maritain i setki ludzi pobudzonych przez niego do pracy filozoficznej i teologicznej tak jak gdyby nie usłyszało jej. I nikt nigdy nie powtórzył im jej słów głośnie. Nawet O. Messineo. P. wyciąga z tego wnioski, że nadal jesteśmy jeszcze na etapie ostrzeżeń. Inny szczegół. Tak wciąż atakowany historyzm Maritaina mógłby się świetnie ukryć za historyzmem Newmana i Moehlera, a jeszcze lepiej za prastarych prawomyślnych terminów *ordo naturae* i *ordo gratiae* oraz scholastycznych rozróżnień i współzależności ukazujących, jak to historia pwiana jest służką *historia sacra* i przez jakie przechodzić musi stopnie. Ale jest ciekawe, że jak zaczyna kogoś odpychać od jakiejś filozofii, ucieka jak diabeł od święconej wody również od jej terminów i jeszcze pogarsza swoją sprawę.

Plotka pierwsza. P. twierdzi, że kardynał Ot-taviani po kilka razy spotykał się z monsignorem Dell'Acqua i wicesekretarzem Chadecji, posłem Rumorem, i na koniec sam wydał O.

Messineo  
sygnał do ataku.  
Plotka druga. Francuskie koło katolickie bardzo dotknięte. Referował tę sprawę  
papieżowi  
kardynał Gerlier. Niezadowolenie również panuje w Pontificia Ateneo Angelicum i  
w ogóle w  
zakonie dominikanów. Podobno O. Gillon, rettore magnifico Angelicum, próbował  
przekazać  
papieżowi swoje „poważne zastrzeżenia”. Do papieża nie dotarł usłyszawszy po  
drodze, że  
Messineo „wyraził punkt widzenia stolicy apostolskiej”. Bawiący w Rzymie  
arcybiskup  
Tarragony, kardynał de Arriba y Castro, imieniem episkopatu hiszpańskiego  
opowiedział się  
przeciw Maritainowi i pochwalił się, że w identycznym duchu, co Messineo,  
antymaritainowską  
książeczkę napisał już dość dawno temu biskup hiszpański, Perez.  
Ale nie musi to być praca rozstrzygająca, a zapewnienia kardynała de Arriba  
załatwiający  
sprawę, skoro jadący do Hiszpanii kardynał Valeri ma jakoby w teczce i tę  
kwestię do  
uporządkowania z Hiszpanami.  
Trzecia plotka z dzisiejszej prasy, poniekąd wiążąca się z poprzednią. Z  
inicjatywy  
episkopatu Boliwii, Ekwadoru, Kolumbii, Peru i Wenezueli na drugim Kongresie  
Eucharystycznym Ameryki Południowej, pod koniec br. w Caracas, przemówienie  
programowe  
dotyczące zagadnień kulturalnych wygłosi Jacques Maritain. Decyzja zaproszenia  
zapadła po  
ataku.  
.Rzym, 9 października/ca 56 r. Przejeżdżał przez Rzym O. Gianlorenzo. Już nie jest  
w swoich  
Gli Angeli, w tym klasztorze, który ma nazwę zupełnie jak z listy niedawno  
przeze mnie  
cytowanej z Montalemberta. Ma teraz własny klasztor. Jest przełożonym. Niewielki  
to  
klasztorek, pół godziny jazdy samochodem od starego. Składa się z dwu domów.  
Dolnego w  
miasteczku Torchiati koło Avellino na drodze z Neapolu do Foggi i górnego przy  
Santuario  
delf/ncoronafa, kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiej. Z dolnego do górnego  
prowadzi  
wąska, kamienista droga bita, różniąca się od pięknych wstęg asfaltowych  
prowadzących do  
wielkich centrów czy miejscowości turystycznych. Avellino to samo serce Abruzzów  
neapoli-  
tańskich. Torchiati jest na wysokości trzystu pięćdziesięciu m. Santuario na  
wysokości pięćset  
dziesięciu. Gianlorenzo jest szczęśliwy. Ma pod sobą trzech ojców, czterech  
braci i dwu

służących świeckich. Zdaje sobie sprawę, że mała to komórka olbrzymiej maszyny, ale zarazem kon-tent jest, że ma stanowisko niezależne. Siedemnaście lat był pod posłuszeństwem. Pod absolutnym posłuszeństwem. Przełożeni uznali, że widać pod tym posłuszeństwem dojrzał, skoro teraz on będzie wydawał wszystkie polecenia, jemu zaś całe otoczenie będzie posłuszne. Jest taki, jakim go pożegnałem. Serdeczny, żywy, otwarty. Z początku nie możemy się oderwać od kamyków nerkowych i Fiuggi. Spacerujemy sobie po kolosalnej Santa Maria degli Angeli, do której mnie z powodu swoich Gli Angeli zaprowadził. Potem idziemy do muzeum w Termach Dioklecjana. Ale, oczywiście, skończywszy z nerkami, rozmawiamy wyłącznie o jego klasztor-kach. Gianlorenzo opowiada, że w jego Santuario do obrazu cudownego Madonny modlić się można nie tylko o opiekę i pomoc dla ludzi, ale i dla wszystkich domowych zwierząt. W tydzień po Wielkanocy, w poniedziałek in albis w Santuario dellIncoronata jest odpust. Przychodzą z okolicy ludzie, czasem tysiąc, czasem do dwu tysięcy, prowadząc ze sobą konie, muły, kozy, osły. Po mszy świętej mnisi i braciszki ustawiają się przed drzwiami Santuario i kreślą na czołach zwierząt znak krzyża. Zwierzę musi przedtem trzykrotnie obejść kapliczkę. Znak krzyża kreślony jest olejami. – Świętymi olejami? – pytam. – Ależ skąd – mówi Gianlorenzo. – Zwykły olej, jadalny, tyle że pobłogosławiony. Kto z przyczyn od siebie niezależnych nie przyprowadził swojej chudoby na odpust, może ją przyprowadzić każdej niedzieli. Ponieważ wtedy tłoku nie ma, błogosławieństwo zwierząt nie odbywa się na osiem rąk. Krzyż na czole zwierzęcia stawiają ręce oficjanta. Zawsze bowiem ta ceremonia odbywa się po mszy świętej i po trzykrotnym okrążeniu Santuario przez zwierzę. Nie ma obyczaju przychodzenia z tym samym zwierzęciem parę razy na rok. Raz na rok starczy. Rzym, 10 października 56 r. Wczoraj Pius XII beatyfikował Innocentego XI. Poszliśmy z Zosią na ceremonię spacerkiem i przyszliśmy właściwie za późno. Schody prowadzące do Bazyliki obstawione parkanem. Są wejścia, ale żandarmeria papieska grymasi z wpuszczeniem. Bazylika już jest pełna. Ludzie wyciągają karty wstępu, a raczej różnego rodzaju karty wstępu. Żandarmi są uparci. Czasami

można ich zmusić do tego, żeby zamienili parę słów ze stojącym koło nich młodym człowiekiem z policji albo z watykańskiego protokołu, ubranym na czarno, który za ich pośrednictwem informuje proszących, że wpuścić nikogo nie można, bo już papież przyszedł. Reguła nie jest absolutna. Korzystając z nieuwagi żandarmów dwu młodych ludzi przeskakuje przez parkan. Przez tłum pertraktujący przedziera się wspaniała, tłusta, siwa i dystygowana rzymianka. Ta ma znowu białą kartę wstępu. Kolor to widocznie najlepszy. Tak wyborny, że pani nie tylko zostaje wpuszczona, ale przez żandarmów grzecznie doprowadzona na schody. Skoro istnieją wyjątki, ryzykujemy i my. Dopiero teraz zwraca naszą uwagę fakt, że dziesiątki ludzi wychodzi z katedry. Wychodzi w ogóle albo wychodzi, żeby przysiąc na schodach dla nabrania sił. Zwykłych ludzi, i młodych, i starych, i księży, i zakonników, panienek z sierocińców czy różnych domów i zakładów wychowawczych. Panienek jest najwięcej, bo to najskłonniejsze do mdłości. We wnętrzu katedry mrowie. Pod murami i z tyłu za filarami pusto, ale nic nie widać. Natomiast wokół wielkich, pustych równoległoboków, odgradzonych od tłumu ławkami, trybunami albo w niektórych miejscach żelaznymi ramionami papieskiej gwardii Szwajcarów – ścisk niemiłosierny. To już nie jest tłum, to już jest inna jakość, nieustępliwa, twarda, sztywna masa, jednorodna, niezachwiana. Od czasu do czasu ktoś wewnątrz tej masy mdleje. Wydostawanie go na zewnątrz masy staje się operacją nieomal tak trudną, jak w kopalni wydobyć człowieka z zapadłego chodnika. Innocenty XI, Benedykt Odescalchi, zmarł w roku 1689. Zmarł in odoie sanctitatis i w dwadzieścia pięć lat po śmierci był już servus Dei. Ale wtedy wmieszała się w sprawę Francja i wymogła od papieża, Klemensa XI, wstrzymanie procesu beatyfikacji. Francuskie veło oczywiście nie opierało się na żadnym uprawnieniu kanonicznym. Po prostu Francja zażądała, Klemens XI wyraził zgodę, i, co gorzej, wyraził ją na piśmie. „Najstarsza córka Kościoła” natomiast miała na pieńku z Innocentym XI za to, że pozwolił sobie ekskomunikować margrabiego Lavardin, ambasadora Francji. Prastare to dzieje, żeby oddać cały ich sens, trzeba by napisać poi tomu. Klątwa bowiem,

którą rzucił na Lavardina Odescalchi, nie wzięła się tak ni stąd, ni zowąd, tylko, jak to zwykle, wyskoczyła jako efekt długotrwałego historycznego procesu. Innocentego XI przeparli na tron papieski Francuzi. Po wyborze zaczął on z nimi wojować. Francja owych czasów, Francja Ludwika XIV, była może najstarszą, ale bardzo pyszną córką. Hugo Grotius pisał wówczas, że „królestwo francuskie jest najpiękniejszym królestwem i przychodzi po królestwie niebieskim zaraz jako drugie”. A Bossuet o Burbonach pisał, że są „największą rodziną i najwspanialszym domem, z innymi rodzinami i damami nie do porównania do tego stopnia, że ustępowanie im pierwszeństwa przez inne rody i domy winno się stawać źródłem chwały dla tych rodów i domów”. Co gorzej, Francja i Burbonowie byli przekonani, że tak jest naprawdę. Toteż kiedy Innocenty XI począł rozwijać działalność polegającą na walce o przywrócenie Kościołowi różnych przywilejów, których pozbawiły go czasy jego słabości za reformacji, pomiędzy Francją i papieżem doszło do rozgoryczenia. Innocenty XI nazywał to „walką opiekuńczą o wolność Kościoła”. A Pius XII określił ją przed paru dniami jako „walkę o niezależność Kościoła i walkę przeciw-wkraczaniu w dziedziny prawne, w których tylko Kościół jest kompetentny, nawet jeśli to są z pozoru dziedziny ziemskie i polityczne”. Chodziło w tym wypadku, jak to już nieraz bywało, o nominacje biskupów, a również przy sposobności o różne ustępstwa, poczynione kiedyś na terenie Francji w sprawach majątkowych i podatkowych. Papież uważał okres wszelkich ustępstw prestiżowych i majątkowych za zakończony. A na odwrót Ludwik XIV nawet tam, gdzie na takie ustępstwa nie mógł się powołać, nominował biskupów i opatów. Zaostrzał sytuację jej aspekt finansowy. Nominaci, którzy swoich mitr czy prebend nie zawdzięczali Rzymowi, nie spieszyli się z wpłatami odpowiednich sum do papieskiej Sw. Datarii. Papież i o to się z Francją szarpał. Miał ambicję uzdrowienia skarbu papieskiego. Po poprzednikach: Klemensie VIII, Pawle V, Grzegorzu XV, Urbanie VIII, Innocentym X, Aleksandrze VII, Klemensie IX i Klemensie X, którzy ze skarbu Kościoła czerpali kolosalne sumy na stworzenie fortun dla swoich rodzin, a więc po kolei: książąt Aldobrandini, książąt Borghese, książąt Ludoyisi, książąt Barberini,

książąt Pamfili, książąt Chigi, książąt Rospigliosi i książąt Altieri – zastał wszystkie dochody papieskie wyrabowane, zdewastowane, pozostawiane na dziesiątki, a niekiedy setki lat. Papież pochodził ze starej bankierskiej rodziny z Como. Interesami i pieniędzmi z całą pewnością gardził, ale doskonale się na tym rozumiał. Jest zresztą sympatyczną i czystą postacią. Od swojej bankierskiej rodziny uciekł, próbował przez dobre parę lat żołnierki i bijał się nawet w Polsce. Miał manię dawania jałmużny. Cały żołąd wydawał nie na picie i kobiety, ale na ubogich. W dwudziestym piątym roku życia odrzuciło go od żołnierki i wstąpił do seminarium. Powolutku doszedł do najwyższych godności. Był biskupem w Novara, kardynałem legatem w Ferrarze, wreszcie jednym z kardynałów kurii. Był jedynym papieżem kontrretormy, na którym fortuna nie porobiła rodzina. Kochał swoich bliskich, kiedy jednak przychodzili do niego po pieniądze, krzychał w narzeczu lombardzkim, dla nich zrozumiałym: minga! Po naszymu powiedziałyby się: otknaj! Rodzinie skąpił. Stawszy się papieżem, nałożył wędzidła swemu miłosierdziu. Nie korzystali z zasobów Kościoła bratankowie, nie korzystali biedni, jakże mógł więc pozwolić, by korzystał król Francji! Sytuacja zaostrzała się z roku na rok. Wreszcie na parę lat przed śmiercią Innocentego przerodziła się w gwałtowny konflikt z okazji zniesienia przez papieża eksterytorialności obcych przedstawicielstw w Rzymie. Innocenty XI motywował zniesienie to tym, że ambasadorowie na terytorium swoich najczęściej olbrzymich ambasad ukrywają ludzi czy nawet całe oddziały ściganych przez niego awanturników, i do tego ukrywają za opłatą. Pomniejszym grzeszkiem ambasadorów było ukrywanie heretyków, ponieważ była to najczęściej sztuka dla sztuki, raczej bezgotówkowa. Wszyscy ambasadorowie poddali się woli papieża. Tylko Francuz nie – i ambasadę swoją uzbroił. Papież obłożył go klątwą. Ot i wszystko, co zdarzyło się mniej więcej trzysta lat temu! Od tego czasu Francja z uporem blokowała Innocentemu drogę do ołtarzy. Mało kto o tym wiedział i przyznać trzeba, że dopiero Peyrefitte paroma stronami swoich „Kluczy św. Piotra” narobił koło tej historii hałasu. Wyśmiał ją, wydrwił po swojemu, u szczytu szczęścia, że może

jednym strzałem ustrzelić dwie tak złoścące go instytucje: Quai d'Orsay i Watykan.

Pisze on: „Żeby zrobić przyjemność ludowi rzymskiemu, uważającemu śmiertelne szczątki Innocentego XI za cudowne, Klemens XI ogłosił go venerabilis. Ale ambasador Ludwika XV wymógł na nim, że Kościół dalej w tej sprawie nie pójdzie. Od tego czasu ambasadorowie czy to Dyrektoriatu, czy Konsulatu, Cesarstwa, Restauracji, Monarchii Lipcowej, Drugiego Cesarstwa czy wszystkich czterech kolejnych Republik nie zapominali nigdy przy wręczaniu listów uwierzytelniających szepnąć do ucha głowie stolicy apostolskiej: – My dobrze obaj wiemy, o co chodzi, nieprawdaż, Ojciec Święty: żadnego beatyfikowania Innocentego XI, jeśli łaska!”

Co w końcu sprawiło, że beatyfikacja po takiej przerwie ruszyła z martwego punktu, na ten temat krążą w Rzymie różne plotki. Ciekawe, że ta sprawa, niezależnie od plotek, po trzystu latach jeszcze dla Watykanu i Francji miała aspekt polityczny. Z samą uroczystością wycelowano tak, by ambasador francuski mógł być na niej nieobecny. A ściślej mówiąc tak, by nie istniał w danym momencie taki ambasador przynajmniej z punktu widzenia czysto protokolarnego.

Sytuacja bowiem jest taka, że w sierpniu br. odwołany został akredytowany przy Watykanie hr. d'Ormesson. Świeżutko zamianowano na jego miejsce Rolanda de Margerie, ale nie złożył on jeszcze listów uwierzytelniających.

P. twierdzi, że w tym są finiszje protokolarne, które smakoszom i znawcom od tych spraw oddech w piersi tamują z zachwytem. Bo ambasador nie był na uroczystości, ponieważ nie złożył listów. Jednocześnie niejako już nabierał kształtu tak realnego, że nieomal można było powiedzieć, że już był. Co znowu ze swej strony obala zarzut, że Watykan machnął beatyfikację w przerwie między dwoma ambasadorami. Nie! Luki nie było! Ambasador był, i jednocześnie go nie było! Już się zrealizował w esencji. A jednocześnie nie istniał in actu.

Wmyśleć się w to: cóż za wersal scholastyczny! Uroczystości beatyfikacyjne czy kanonizacyjne to właściwie cały cykl uroczystości. Papież nie wytrzymałby ich w całej rozciągłości. Przybył do Bazyliki dopiero po południu i o piątej minut dwadzieścia ukazał się wiernym. Rano natomiast wygłosił z Castel Gandolfo godzinne Radiodis-COTSO natychmiast po odczytaniu w Bazylice Sw. Piotra Brewe apostolskim



o

beatyfikacji. Przemówienie staranne, pełne erudycji, podawanej z drobiazgowością nieco

przesadną. Zwłaszcza w lekturze ta przesada widoczna. Papież po każdym cytacie podaje

referencje. Niektóre referencje ciągną się jak tasiemiec. „Następnego ranka, to jest 21 września,

Odescalchi został wybrany papieżem". Po czym następują referencje: Arch. Segr. Vatic.

Miscellan, Conclave, Fondo Pio 263/417/, lol. 369 e 401 – Biblioteca Apostolica Vaticana, Urb.

Lat. 1723, lol. 62/gia 58 e iol. 94/gia 90/ e Barb. Lat. 4664, lol. 79 e 197 v.

Wydaje mi się ta referencja w odniesieniu do faktu i daty, również bezspornej, w skrupulatności swojej nieco za długa.

Rzym, 11 października 56 r.

W przemówieniu Piusa o Innocentym coraz to różne polonica. Innocenty XI był tym papieżem, który namówił Sobieskiego na wyprawę pod Wiedeń. Motał ten front antytyurecki

przez lata całe. Francuzi psuli mu robotę. Wreszcie alians austriacko-polski został podpisany dnia

1 kwietnia. 16 sierpnia zaś odbyła się w Kwirynale uroczystość szczególna.

Polegała ona na tym,

że na ręce papieża złożyli uroczystą przysięgę wypełnienia wszystkich klauzul i zobowiązań

wynikających z aliansu dwaj kardynałowie protektorowie: kardynał Protektor Polski Barberini –

za Sobieskiego i kardynał Protektor Austrii – za cesarza Leopolda. Też pewnie jakieś ówczesne

wielkie protokolarne i wersalskie subtelności!

Przeczytałem tekst przemówienia starannie. Inny jest w nim Odescalchi niż ten, którego

znam z różnych lektur. Bez wszystkich sprzeczności tak dla niego charakterystycznych. Bez

wszystkich jego dziwactw. Bez całej jego donkiszoterii, z jaką zabierał się do walki z

bezgraniczną swobodą obyczajową swojego Rzymu. W przemówieniu Piusa XII wypada taki

dreńwy i wylizany. Ale jeśli wypada wylizany obiekt portretowany, człowiek portretujący go,

nawet przy zastosowaniu takiej metody, pokazuje swój pazur. Zza laurkowych jubileuszowych,

beatyfikacyjnych frazesów przebłyska raz po raz myśl zasadnicza, o którą chodzi. Innocenty XI

w rozumieniu Piusa XII był tym, który wciąż i świadomie walczył o pełnię praw stolicy

apostolskiej przy obsadzaniu biskupstw, oraz był tym, który wciąż i świadomie walczył o

stworzenie chrześcijańskiej zapory przeciw Turkom. W przemówieniu nie ma najmniejszej aluzji

do współczesności, a zarazem wszystko w nim jest wielką przerośnią. Bez żadnych

małych  
metaforek, wszystko razem, całe przemówienie, jest jak gdyby jedną wielką metaforą. Czuć od razu, że konstruując swoje przemówienie Pius XII wybił na front tych biskupów, jak i ten mur przeciw wielkiej fali zdolnej zalać samo serce, samo ognisko chrześcijaństwa. Kropek nad i nie stawia nigdzie. To już za niego w odpowiednim czasie zrobią inni. P. twierdzi, że wyczytał gdzieś, że przyczyną opóźnienia się beatyfikacji było nastawienie rodziny Odescalchich, którzy później jeszcze bardziej się wzbogacili, ale na Innocentym XI nie zrobili interesu. On im nic nie dał, nie chcieli więc i oni łożyć na jego proces. Inna plotka mówi, że w Peyrefitcie należy upatrywać causa eticiens beatyfikacji. W paryskiej Tribune des Nations wyczytałem cały artykuł przeprowadzający analogię między sueskim zamachem Nasser a dyplomatycznym zamachem Piusa XII w sprawie Innocentego XI. Autor tego artykułu dowodzi, że papież dokonał zamachu „znacionali-zowania” na rzecz Watykanu pewnego dobra niematerialnego, odstąpionego w swoim czasie przez papieżstwo Francji. To już jakaś zupełna abrakadabra! Kiedy się czyta Radiodiscorso papieża uważnie, sprawa jest prostsza. Pewne walki, które prowadził Innocenty XI, dadzą się olśniewająco przyrównać do dzisiejszych. Niech mobilizują. Czy książęta Odescalchi przyczynili się w końcu do przeprowadzenia procesu pieniędzmi, tego nie wiem. Osservatore Romano cytuje wśród obecnych na uroczystościach tylko przedstawicieli tej rodziny, piastujących jakieś watykańskie godności, a więc księcia Władysława Odescalchi z Gwardii Nobilów, księcia Aleksandra z tejże Gwardii oraz monsignora księcia Karola, kanonika kapituły w Como. Prasa świecka jest szczegółowsza i wylicza wszystkich co do sztuki Odescalchich, którzy „wypełnili specjalnie dla nich wyznaczony segment honorowych trybun”. Okazuje się, że w ciągu lat trzystu niesłuchanie rozwidlili się i pokrzyżowali heraldycznie. Ale z tej obfitości nazwisk nie wynika, czy dali w końcu co, czy nie. Powracając do oficjalnego opisu uroczystości beatyfikacyjnych, podanego przez Osservatore Romano, wylicza on w rozległej liście różne grupy, które w niej uczestniczyły. Wszystko są to instytucje i urzędy kościelne, przedstawiciele zakonów zwykłych i zakonów rycerskich, klasztorów, kapituł i konfraterni w taki czy inny sposób związanych z osobą

nowego  
beatyfikowanego. Na liście rzecz prosta figuruje również rodzina papieska, a  
raczej dwie  
rodziny: Pacellich i wspomniana przed chwilą rodzina Odescalchich. Figuruje  
również korpus  
dyplomatyczny i mnóstwo różnych arystokratycznych i świeckich dostojników  
papieskiego  
dworu. Mimo całej różnorodności listy jest ona integralna. Integralna, zwarta i  
konsekwentna.  
Wszystko w niej rozwija się czy zdąża ku jednej zasadzie, którą określić jednym  
słowem trudno,  
chyba metaforycznie powiedziawszy, że wszyscy i wszystko z tej listy jest tutaj  
w Bazylice Sw.  
Piotra od wieków na miejscu, w cieniu owego monumentalnego baldachimu z brązu  
nad  
ołtarzem, przy którym odprawić mszę może jedynie Ojciec Święty.  
W pewnym sensie odbija od tego integrum grupa kilkunastu nazwisk, zamieszczona  
przez  
Osservatore Romano na szarym końcu listy. Mówię o „obfitej, acz wyborowej  
delegacji Banco  
di Roma, chcącej w sposób jak najszczególniej-szy uhonorować nowego  
beatyfikowanego”,  
który, jak się zdaje, zostanie patronem bankowców. „Na parę dni przed  
uroczystością – objaśnia  
dalej Osservatore Romano – przedstawiciel tej instytucji, dyrektor oddziału  
rzymskiego Banco di  
Roma, M. Foscolo, na specjalnej audiencji wraz z postulatorem sprawy  
beatyfikacyjnej, O.  
Micinelli S. r., i znakomitym hagiografem, prof. S. Papasogli – wręczył Ojcu  
Świątemu pierwsze  
egzemplarze dwu biografii Innocentego XI, jedną O. Micinelli, drugą prof.  
Papasogli,  
wydrukowanych sumptem Banco di Roma. Po przyjęciu obu darów Ojciec Święty  
łaskawie  
zezwolił na dopuszczenie przed swoje oblicze oczekujących na to radcy prawnego  
Banco di  
Roma, adwokata A. Bocca, i dra praw A. Ricaldi, dyrektora tejże instytucji,  
którzy służyli swoją  
pomocą przy opracowywaniu obu tomów. Opublikowaniem obu tomów Banco di Roma  
chciał  
wrazić Jego Świątobliwości Piusowi XII synowską wdzięczność za wyniesienie na  
ołtarze  
papieża Innocentego XI, który zgodnie z słowami dedykacji pierwszego ze  
wspomnianych  
tomów „był w sposób tak cudowny od wczesnej młodości przysposobiony do czystej  
wiedzy i do  
wszelkiej praktyki z dziedziny ekonomicznej”.  
Rzym, 29 października 56 r. Opuścił – jak pisze Unita – Komańczę i przeniósł się  
do  
Warszawy kardynał Wyszyński. Papież dowiedział się o tym w nocnych godzinach, to

znaczy  
około jedenastej wieczorem z telefonogramu Radiostacji Watykańskiej,  
przekazanego mu przez  
Sekretariat Stanu. U Messag-gero informuje, że samą wiadomość radiostacja  
uzyskała przez  
nasłuch „szczególnie rozbudowany – dodaje to pismo – w zakresie wszelkich stacji  
Wschodniej  
Europy”. Następnego dnia przyszła depesza, którą przesłał papieżowi kardynał  
Wyszyński.  
Papież po dwudziestu czterech godzinach oddepeszował. W międzyczasie ukazał się  
ostrożny  
artykuł „O. R.”, podpisany cyferkami Alessandriniego. P. zadzwonił do mnie, i  
nie tylko P.  
Sugerują spotkanie „choćby na pięć minut”.  
W istocie nikt nic nie wie. P. powiada; „jeśli w depeszy odpowiadającej na  
depeszę waszego  
kardynała znajdzie pan wyłącznie sformułowania uczuć i wyrażenia teologiczne,  
będzie to  
oznaczało, że Watykan jeszcze nie ma wyrobionego zdania i – czeka”. W depeszy  
rzeczywiście  
nie ma nic poza sformułowaniami uczuciowymi i wszystko i nic nie oznaczającymi  
wyrazami  
nadziei. „Żywimy niepłonną nadzieję – pisze papież – że Twój tak długo  
oczekiwany powrót nie  
tylko upamiętnił święty rok Jasnogórskiej Królowej Polski, ale również stanie  
się za przyczyną  
Matki Zbawiciela zapowiedzią prawdziwego dla Polski pokoju, opartego na  
sprawiedliwości,  
miłości i należnej Kościołowi wolności”.  
Rzym, 30 października 56 r.  
Znowu telefony i wyjazdy z biura „choćby na pięć minut”. Z perspektywy Włoch  
wydarzenie  
powrotu przedstawia się zawile. A., który reprezentuje poglądy góry  
emigracyjnej, mającej swe  
chody w Watykanie, twierdzi, że i Sekretariat Stanu, i papież jest zaskoczony  
rozwiązaniem  
polskim. Twierdzi, że Watykan mimo informacji przekazywanych mu z Polski, w czym  
również  
informacji od kardynała Wyszyńskiego, nie był przygotowany na taki wariant.  
Informuje mnie,  
że różne szyszki raz po raz występują teraz z inicjatywami rozmów z ludźmi z  
polskiej emigracji.  
Mają swoich miejscowych informatorów, analizujących im na zawołanie wszelkie  
aktualne  
zagadnienia polskie. Są to ks. Meysztowicz, radca kanoniczny ambasady przy  
Watykanie  
(londyńskiej), sam ambasador Papee oraz ks. biskup Gawlina, duszpasterz  
emigracji polskiej.  
Ten ostatni oświadczył, że w sprawach religijnych „Gomułka wart Bieruta, tak jak  
Bierut

Dzierżyńskiego. Więc w istocie rzeczy nic się nie zmieniło".  
Zdaniem A. przeważnie w Watykanie uważają, że wydarzenia w Polsce wykroczyły poza ten schemat. Stąd szukanie nowych rozmówców, nowych kontaktów. I to wszystko niezależnie od oficjalnego ustosunkowania się, polegającego na pewnym kurtuazyjnym ugrzecznienu, z jakim się teraz w „O. R.” czy w setkach różnych epi-skopalnych i zakonnych pism pisze o władzach w Polsce. I niezależnie od watykańskiej wersji, za pomocą której wyjaśnia się uwolnienie kardynała Wyszyńskiego „w następstwie narastającego nacisku katolików”. A jednak nie ma najmniejszych wątpliwości, że „za rzeką”, u samej góry, odczuwa się potrzebę nowego spojrzenia na tę sprawę.  
Z innej rozmowy notuję drobiażdżek. Otóż doszło do wiadomości kół watykańskich, że kardynał Wyszyński odbył drogę powrotną z Komańczy w towarzystwie Zenona Kliszki, wiceministra sprawiedliwości. Normalnie biorąc, to by się bardzo nie podobało. W szczególnej atmosferze samego wydarzenia raczej niż nie podobało, należałoby rzec, że postać Kliszki obok kardynała zakłopotala te koła. A zakłopotala z tego względu, co zawsze, kiedy będąc po przeciwnej stronie barykady ideologicznej niż Watykan, wykonuje się w stosunku do Watykanu jakiś gest grzecznościowy czy protokolarny. Nienawidzą tego. Są podejrzliwi. Wydaje im się, że gest wykonuje się tylko po to, żeby go zaraz sprzedać światowej opinii publicznej. Tak samo było z nieszczęsnym kurtuazyjno-dyplomatycznym gestem Ł. Ta sama obsesja. A tymczasem w praktyce reklamę gestowi Ł. zrobiły pisma katolickie, głównie włoskie, niemieckie i szwajcarskie. Bez tej całej kontrakcji mało kto by o geście i o akcji wiedział.  
Mój rozmówca powiada, że „za rzeką” orientują się, że nie po to Kliszko jechał z kardynałem, by ten fakt eksploatować. Wiedzą, ale jednak się denerwują.  
Rzym, 8 listopada 56 r.  
Zachodzi rano M., z którym już tyle rozmawiałem na tematy „katolicko-komunistycznej koegzystencji”. Jest komunistą. Komunistą zatroskanym. Męczy się tym, że komunizm myślowo z takim trudem wychodzi poza swój „dzień wtóry”. Jest wspaniale inteligentny i uwrażliwiony.  
Wyczytuje teraz wszystko, co znajdzie w pismach włoskich, francuskich i anglosaskich o Polsce.  
Mówi, że dzwonił przez ostatnie dni i do biura, i do domu. Nikt mu nie

odpowiadał, więc myślał,  
że wyjechaliśmy do Polski. Ale spotkał wczoraj kogoś z ambasady, kto mu  
powiedział, co się z  
nami stało, a mianowicie, że byliśmy w Palermo.  
W ambasadzie zgiełk; rozmowa niemożliwa. Wychodzimy na miasto. Wybucho dyskusja  
bezlądna, poszarpana. I jemu też wydaje się, że idziemy za daleko, za  
pospiesznie. W dawnych  
rozmowach kładł nacisk na to, byśmy znaleźli wyjście z naszego konfliktu z  
Kościołem. A teraz  
wydaje mu się, żeśmy się po prostu poddali. Tyle razy tłumaczył mi, jaką  
wspaniałą rzeczą  
byłoby dopuszczenie na cały regulator katolików do dyskusji, a teraz się jej  
obawia. Wydaje mu  
się, że ten nastrój, ten amok samobiczowania, ten amok pokutny, który nas  
ogarnął, zwichnie  
wymarzone przez niego warunki dyskusji, której dotąd nigdzie na świecie nie było  
danym się  
przetoczyć w sposób obiektywny i czysty. Ani więc w krajach katolickich, gdzie  
komuniści są  
zmuszeni do przemilczeń, ani w żadnym z krajów komunistycznych z powodu pewnego  
prymitywizmu dyskusji, w okresie, który się zamknął. Ani również w krajach  
laickich, gdzie  
warunki do niej nie istnieją.  
M. liczył na to, że my przeprowadzimy z katolikami rozrachunek historyczny,  
filozoficzny,  
światopoglądowy. Że ograniczymy ich intelektualnie i filozoficznie, a nie –  
ekonomicznie i  
politycznie. Jednym słowem – racją. A tymczasem na podstawie polemiki w naszych  
pismach,  
szeroko tu omawianej, M. twierdzi, że obecnie jesteśmy w możliwie najgorszej  
myślowo  
kondycji do przeprowadzania rozprawy filozoficznej z katolikami. Ja wiem, jak mu  
jest ciężko.  
Czuje się zalany falą protestu. Fala ta wznosi się, leci, narasta i to na  
pożytek katolicki w tym  
kraju, gdzie nie ma trzeciej siły, tylko są dwie prawie z sobą graniczące, bez  
laickiego no man's  
landu.  
M. więc cierpi cierpieniem podwójnej goryczy. Widzi, że partia traci, i widzi,  
kto na tym  
zyskuje Ta instytucja, która tu w Italii tak ostentacyjnie od wszystkiego co  
materialne, odcina  
kupony, a wszystko, co duchowe i umysłowe, dławi. Ta instytucja, która jest  
tutaj tak  
jednoznaczna klasowo i politycznie. Z efektów okresu, który się zamknął, wydaje  
mu się  
najżałośniejszym chyba ten, że tak ogłupił on artystów i intelektualistów, że  
przy ogłupieniu ich  
nie dało się uniknąć, by się nie zrobili jacyś miękcy na punkcie ostrożności  
antykatolickiej czy w

ogóle anty-metafizycznej. Nie potrafię go uspokoić. Mówię mu, że w prasie polskiej czytałem ostatnio setkę artykułów bałamutnych, ale ani jednego o obałamuceniu metafizycznym. Ale go to nie pociesza.

Na zakończenie rozmowy mówi:

–. Zawsze was namawiałem na modus vivendi z Kościołem. Dziś się boję, że to życzenie wypowiedziałem w złą godzinę.

Rzym, 25 listopada 56 r. W Osservatore Romano artykuł F. A. o sprawach polskich. P.

twierdzi, że jest to pierwszy artykuł, acz pełen rezerwy i ostrożności, lecz nie bez akcentów

optymizmu dotyczący państwa będącego demokracją ludową. Artykuł omawia wystąpienie

kardynała Wyszyńskiego w kościele Sw. Krzyża. P. twierdzi, że papież oraz cała Sw.

Kongregacja dla Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych (Tardini, Samore, Scapinelli itd.) chcieli,

żeby kardynał Wyszyński przyjechał zaraz. W. odpowiedział, że w tym momencie uważa za

niemożliwe opuszczenie kraju. W. uważał również za niemożliwe odwołanie rozmów z rządem.

Zwykle przed rozpoczęciem podobnych rozmów kuria rzymska nakreśla ramy, których winien

trzymać się przedstawiciel Kościoła. Kardynał W., z uwagi na niemożność przybycia do Rzymu i

na nie-odzwonność przystąpienia do rozmów oraz nieodzwonność doprowadzenia ich do końca

celem uspokojenia w kraju, przewrócił do góry nogami zwykły porządek. W Watykanie przyjęto

decyzję W. z pewnym zniecierpliwieniem. Ale nad zniecierpliwieniem zapanowano, rozumiejąc

konieczność, jak również mając w pamięci upór i siłę argumentacji tego człowieka, którą okazał

w czasie swojej ostatniej bytności w Watykanie nawet w trakcie rozmów z papieżem.

Rzym, 2 grudnia 56 r.

UEspresso, jedno z nielicznych w Italii pism no man's landu, prowadzi rubryczkę krótkich

zakulisowych informacji: Speciale. Jest tam zawsze porcja plotek watykańskich. Cieszą się one

dobrą reputacją po poselstwach i ambasadach, pomimo tego, że kiedy UEspresso puszcza się na

artykuły poświęcone sprawom watykańskim, powstają dziwolągi. Ale może właśnie dlatego, że

do szczypty prawdy, którą udało się zdobyć, dodają kupę sosu najwątплиwszego autoramentu. Co

do Speciale, skłonny jestem przypuszczać, że to są szczypty bez sosu.

Oto jedna taka wiadomość: W ubiegłym tygodniu kardynał Micara, który jest

wikariuszem

Rzymu, zebrał w klasztorze kapucynów na Monteverde Vecchio wszystkich chadeckich posłów,

senatorów oraz radców komunalnych Rzymu i prowincji dla usztywnienia w nieutrzymywaniu

stosunków prywatnych i politycznych z radcami, posłami i senatorami

socjalistycznymi i

komunistycznymi; prezes Akcji Katolickiej, Luigi Gedda, i minister finansów,

Giulio Andreotti,

pomagali mu. P. twierdzi, że Gedda w ogóle rozpracowuje plan specjalnych,

stałych,

turnusowych „rekolekcyj nienawiści”.

Byłyby one autentycznymi Orwellowskimi „kwadransami nienawiści”.

Rzym, 3 grudnia 56 r.

Był u nas wczoraj na kolacji Dominik Morawski z żoną. Jest to pierwszy wysłannik klubu

katolickich działaczy postępowych, którego oglądamy w Rzymie. Zetknął się tu z różnymi

katolikami świeckimi i duchownymi, z kilkoma monsignorami i paroma polskimi księżmi z

Ameryki, budząc u wszystkich zrozumiałą ciekawość. Klub w dwadzieścia cztery godziny po

ósmym plenum zgłosił akces do współpracy. Akces podpisali Zawieyski, Turowicz, Gołubiew i

wielu innych katolickich działaczy i intelektualistów, którzy po 1948 roku odsunęli się czy

zostali odsunięci. Teraz wracają. Ale nie jest to prosty powrót do starego stanu rzeczy. To, co się

teraz z nimi wydarzyło, jest powyżej tego starego stanu.

Morawski jest pełen animuszu i entuzjazmu, który nazwałbym usirojowym. Z jego wyjaśnień

wynika, że oni wszyscy są tacy. Jeśli chodzi o ich stosunek do

„staropostępowców”, całkowicie

się od nich odcinają. Powiada, że różnica między nimi, to znaczy tymi nowymi a starymi, jest ta,

że oni dopiero są autentyczni. Że są rzecznikami autentycznymi tego, co reprezentują.

Autentycznymi w tym sensie, że mają za sobą wprawdzie nie pisany, ale niewątpliwy mandat

bazy. Tamtych wyniosła na wierzch konieczność. Ale nawet, jeśli uznać ich racje i uznać, że byli

w danym momencie konieczni, to przecież nowi mają za sobą bazę.

Pełna nazwa klubu jest dosyć długa. Na samym końcu znajduje się tam jeszcze jedno bliższe

określenie: postępowy. Dla klasycznych uszu watykańskich można powiedzieć, że jest to pointa

tej nazwy. Pointa i punkt wyjścia poważnych rozważań. Nie tylko dlatego, że

Watykan nie jest

postępowy i że znajduje się w tej chwili w pełni ofensywy antyprogresistowskiej, ale przede



wszystkim dlatego, że ta pointa dotyka palcem newralgicznego punktu sprawy. A mianowicie tego, że nałożone na siebie dwa impulsy ideologiczne, tradycyjny i awangardowy, nałożone na siebie na jednym terenie nie odskakują od siebie, ale zdają się ukazywać jakąś nową wytworzoną przez współistnienie jakość.

Morawski jest bardzo dyskretny, jeśli chodzi o jego kontakty z monsignorami. Zwłaszcza co się tyczy nazwisk. Natomiast co do treści wystarczy mi paru słów, bym się domyślił, jaką usłyszał śpiewkę. Ogdaduję, że rozmawiał z kimś ze starej kadry watykańskiej, któremu najbardziej odpowiadałoby, żeby zwolniony od wymogów taktyki komunizm za każdym razem powracał do swej pryncypialnej antykonfesyjności, tak samo jak zwolniony od nacisku katolicyzm – jak najprędzej powracał akuratnie do swego dawnego kształtu.

Komunizm i katolicyzm byłyby w dym rozumieniu żywiołami raz na zawsze rozdzielonymi – jak ogień i woda. Na moment pożaru, katastrofy, trzęsienia ziemi mogą się one fizycznie zmieszać. Mija moment, rozchodzą się. Ogień ani bardziej przez to przejście wodnisty, tak jak woda nie ognista. Ani w całości, ani w poszczególnej kropli czy poszczególnym płomieniu.

Rzym, 4 grudnia 56 r.

Spotykam K. Wzruszający jest, kiedy mówi o naszych dzisiejszych polskich sprawach.

Krzyczy: – Otchłań! Otchłań! – Katolicyzm go napełnia goryczą, komunizm go napełnia przerażeniem. Zawsze mówił: – A co do różnych mari-tainizmów czy titoizmów, to nie jest nic przełomowego. Maritainizm to twór syntetyczny. A syntezy w historii nigdy nie tworzyły przełomów. Titoizm to twór lokalny. Ot, taki folklor. Też żaden przełom! – Ale teraz zdaje się go dostało. Nie umie absolutnie poradzić sobie z naszymi wydarzeniami z ostatnich miesięcy. Bo to ani zjawisko wyłącznie z retorty intelektualnej, ani żadna dyktatorska, odgórna miszkulancja, tylko parcie, jak by rzekł Morawski, bazy. I to silne parcie tej bazy. Jemu się wydaje, że jakaś niezmierna perspektywa się tu otwiera. Dlatego mówi: – Otchłań! Otchłań!

Informuje mnie, że również rozmawia! z A. i odniósł to samo wrażenie, co ja. Że w Watykanie nawet najśmielsze głowy i najbardziej otwarte boją się, że Wyszyński pójdzie za daleko. Albo jeszcze ściślej, że wytwarza się taki stan rzeczy, w którym nie jest możliwe nie

pójść za daleko. Stan rzeczy nowy, który – jeżeliby się okazał trwale rozwijającym się, a nie stanem chwilowym, euforycznym – musiałby doprowadzić do kolosalnej rewizji pojęć.

Rzym, 5 grudnia 56 r.

Byłem wczoraj na śniadaniu z Gior. Należy on do tych, którzy twierdzą, że

„wszystko się

ułoży". Pracował przez kilkanaście lat w Bibliotece Watykańskiej i jest

historykiem. Źle widzi, o

pięć kroków nie poznaje znajomych. Ale wydaje mi się, że nieźle widzi patrząc za siebie w

odległość wieków i patrząc przed siebie na odległość kilku czy kilkunastu lat.

Tedy zdaniem tego

dalekowi-dza dogmatyczny i polityczny stosunek Kościoła do protestantyzmu czy liberalizmu

był absolutnie ten sam, co do komunizmu. Stosunek dogmatyczny nigdy się nie odmienił. Do

dziś od czasu do czasu Watykan przypomina sobie o tym i pomrukuje teologicznie.

Stare, dawne

procesy koegzystencji zrobiły jednak swoje. Polityczne kontrasty i ostrości

załagodziły się, i to

do tego stopnia, że protestancko-liberalno-katolicko-watykański blok czy front wielu ludziom na

Wschodzie wydaje się monolitem.

Wszelkie analogie kuleją. Ale kuleć, to właśnie oznacza kuleć, a nie tkwić w miejscu, nie

mogąc poruszyć nogą. Na czym polega kulejąca noga jego analogii, Gior. rozumie.

Polega na

znacznie ostrzejszym kontraście klasowym pomiędzy na wpół jeszcze feudalnym dzisiejszym

Kościółem i państwem komunistycznym, nieporównanie ostrzejszym niż kontrast pomiędzy

feudalnym Kościołem czasów kontrreformy i państwami burżuazyjno-protestanckimi czy

Watykanem z końca XIX w. i burżuazją francuską czasów Wal-deck–Rousseau. Gior. wie, że tu

tkwi kulawa nogą jego analogii. Ale powiada i z całym naciskiem stwierdza, że jego analogia ma

pozostałe nogi, w ilości trzech, całkowicie zdrowe. I wylicza je. Po pierwsze wylicza, że i

protestantyzm, i laicyzm napawały Kościół takim samym dzikim strachem, jak komunizm,

zapowiadając, że chcą Kościół zniszczyć. Wylicza po drugie, że one tak samo jak komunizm

wstrząsnęły finansowymi podstawami Kościoła. Protestantyzm znacznie mocniej nawet uderzał

po kieszeni Kościół niż na przykład komunizm państw demokracji ludowych. A wreszcie, to jest

po trzecie, wylicza Gior. sprawę biskupów. Zwraca uwagę na to, że przez dziesiątki, ba!, przez

setki lat Kościół musiał z protestantami walczyć o swoich biskupów. O ich nominacje i o ich swobodny kontakt z Rzymem. W pewnych epokach odsuwanie biskupów, arcybiskupów, kardynałów, odsuwanie ich, a nawet internowanie, bywało częste. Francuscy prałaci też nie mieli lekkiego życia we wspomnianej epoce. Oto trzy zdrowe nogi kulejącej analogii mojego Gior.

Trzeba przyznać, że wspierająca się na nich jego analogia wystarczająco mocno stoi. To sprawia, że Gior. przyjmuje napływające z Warszawy wiadomości o pertraktacjach bez zdziwienia.

Wszystko mu się zgadza. I ja też się zgadzam z nim. To znaczy, zgadzam się z nim – by się tak wyrazić – w ogólnej perspektywie historycznej. Natomiast różnię się od niego w tym, że nie uważam tego, co się u nas dziś zaczyna kształtować na froncie koegzystencji komunistyczno-katolickiej, za produkt wypływający z korozji czasu i zacierania się kontrastów.

Gior. upiera się, że to już jest to, co nieuchronnie musi z sobą przynieść historia. Ja mam co do tego wątpliwości.

Wątpliwości tym silniejsze, że moim zdaniem przy pomocy rozumowań wyprowadzanych z analogii historycznych w żadnym wypadku nie da się obliczyć czasu porodu jakiegoś zjawiska.

Ja wiem, że przyjdzie z czasem. Ale nie wiem, czy nasz czas bieżący to jest jego czas.

Okazuje się zresztą według informacji Gior., że w roku 1952, kiedy prymas Wyszyński, dzisiejszy kardynał, wyjeżdżał z Rzymu wioząc w walizce pięć infuł dla pięciu wizytatorów apostolskich, mających pełnić zastępczo funkcje pięciu ordynariuszy na Ziemiach Zachodnich, w kołach watykańskich panowało przekonanie, że jest się u progu znormalizowania stosunków z Polską. Gior. miał wówczas swoje pismo, w którym wydrukował artykuł właśnie obwieszczający, że to już. A potem jednak przyszedł rok 1953, rok zaostrzenia stosunków i rzecz się odwlekła na lata. Gior. mówi:

– No, ale wyście się teraz zmienili. Ja mówię:  
– Ale Kościół się nie zmienił.

Rzym, 6 grudnia 56 r.

Wczoraj rzecznik MSZ w Bonn podał do wiadomości prasie, że ambasador NRF przy Watykanie, Jaenicke, otrzymał od stolicy apostolskiej zapewnienie, że mianowanie pięciu wikariuszy generalnych przez Watykan dla „polskich terytoriów zachodnich” ma znaczenie administracyjne, pozbawione całkowicie znaczenia politycznego.

W sposobie ogłoszenia o nominacjach też znać eambarasowanie. Podało o nich Radio

Vaticano. Natomiast w Osserwatore Romano – cisza. A przecież jest tam na takie rzeczy specjalna rubryczka: Provista di chiese.

Rzym, 8 grudnia 56 r.

Unita donosi z Warszawy, że wczoraj o północy podpisany został układ między państwem a episkopatem. Komunikat komisji mieszanej, powołanej do życia miesiąc temu, stwierdza, że porozumienie obejmuje pełny zakres interesujących obie strony spraw. Komisja na mocy układu wystąpi do rządu i sejmu o zniesienie czy zmianę szeregu aktów ustawodawczych. Delikatną sprawę wpływu państwa na mianowania arcybiskupów, biskupów i proboszczów rozstrzygnięto w ten sposób, że nominacja nie będzie odtąd zależała od zgody państwa. Zastąpiona ona zostaje „zagwarantowanym dla państwa z mocy ustawy prawem do wyrażania swojej opinii o nominacie”. Religia powraca do wszystkich niższych i średnich szkół jako przedmiot nieobowiązkowy. Katechetów opłaca państwo. Mianuje ich w porozumieniu z władzami kościelnymi. W podręczniki, w programy, w inspekcje ma prawo wglądu państwo. W sprawie wolności praktyk układ nic nie przynosi nowego, bo nie potrzebuje. Reguluje problem opieki duchowej w szpitalnictwie i ustala kapelanów w więzieniach. Mnisi wydalenii z Opola, Wrocławia i Katowic wracają do swoich klasztorów. I w ogóle wszyscy, by się tak wyrazić, kto żyw, wracają do swoich kurii i probostw. Ze swej strony episkopat w sformułowaniach daleko idących deklaruje się za zmianami ostatnio zaszły w Polsce i za interesami ludowej Polski. Jak te deklaracje brzmią ściśle, powiedzieć będzie można, kiedy dojdzie nas z Warszawy oryginalny tekst układu. Jest jednak pewne, że układ wiedzie do wydarzenia ważkiego. Do sformalizowanego, oficjalnego modus vivendi. Jeśli więc nawet nie do przełomu, to do wyłoni u. Jest szansa, że w pewnym punkcie globu zaistnieje pomiędzy katolikami a państwem komunistycznym normalny stan rzeczy, normalny stan konwivencji. Dla Watykanu okropna konieczność. Zgodzić się na nią tu ciężko. Znakomicie określa sprawę Z. Mówi: Dotąd Kościół żył u nas z państwem na wiare. Teraz weźmie z nim ślub cywilny.

Rzym, 9 grudnia 56 r.

Watykan przy różnych okazjach wyrażał ubolewania z powodu laickiego ducha Unesco. Teraz ipewnie przestanie. Nowym prezesem tego organizmu został Vittorino Veronese, poprzednik Geddy na stanowisku włoskiego przewodniczącego Akcji Katolickiej.

Spotkałem P., który szedł do mnie, by mi powiedzieć, że z Sekretariatu Stanu wyszło polecenie dla prasy chadeckiej i kościelnej informowania o tym, że podróż Wyszyńskiego do Rzymu będzie miała charakter „czysto religijny” (a nie polityczny). Rzym, 13 grudnia 56 r. Myślał o niej papież Marceł II i myślał o niej również papież Pius IV, ale ich zamysły wcielił w życie dopiero Sykstus V, powołując do życia drukarnię przy Watykanie dla druku Wulgaty, Pism O.O. Kościoła i innych różności. W roku 1622 powstała przy Kongregacji Propagandy Wiary następna drukarnia, słynna Tipografia Poli-glotta. Pius X połączył obie w jeden organizm. Nazwa jego brzmi: Tipografia Poliglotta Vaticana. Jest domeną o. o. salezjanów im. św. Jana Bosco. Mieści się ona w murach Watykanu, przy ulicy delia Tipografia, naprzeciw watykańskiej poczty. Z okien Galeria Lapidaria, stanowiącej część Muzeów Watykańskich, dojrzeć można tę uliczkę. Zaczyna się ona małym placikiem, ruch na niej skąpy. Można się przyglądać placykowi przez dobre parę minut i albo przejdzie przez placyk jakiś ksiądz czy zakonnik, albo i nie. Wszystkie druki Tipografii przedstawiają się prześlicznie. Niedawno C, podarował mi pełen smaku albumik zawierający „Breve apostolskie ogłaszające św. Gabriela Archaniola Niebieskim Patronem Telekomunikacji”. Albumik publikuje Breve w 45 językach, posługując się w tym celu pełnym asortymentem alfabetów. Poliglotta ma oczywiście wszystkie typy. Czcioneczki są śliczne, czy to nasze, czy to urdu, czy to hindu, czy najróżniejsze inne. Albumik ma na okładce uskrzydloną młodziankę, pędzla Melozza da Forli, a na końcu tarczę herbową z falami na morzu i falami w eterze z proklamacją: Omnes coniunctae gentes aeris marisque per undas. Nad herbem jest korona i to pięciopalkowa, a raczej pięcio-antenowa, ponieważ projektant tego herbu zastąpił tu heraldyczne pałki antenowymi wieżyczkami. Rzecz się wyjaśnia tym, że herb jest herbem włoskiego przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego Italcable. Sumptem tegoż przedsiębiorstwa wydany jest albumik. Jemu też będzie odtąd zawdzięczał każdy pracownik telekomunikacji – Polak, Włoch, Grek, Urdu czy Indu – że posiadzie celestem patronum, i to w osobie archaniola, nie zazdroszcząc kasjerom, buchalterom, bilansistom i bankowcom ich

Innocentego XI.

Interesujące jest w Breve uzasadnienie wyboru archanioła Gabriela jako patrona telekomunikacji. „On to bowiem przyniósł upragnione Zwiastowanie i Odkupienie rodzajowi ludzkiemu”. W tym rozumieniu w Zwiastowaniu Najświętszej Marii Pannie od strony aktualizującej formy wolno by widzieć po prostu jakiś kablogram niebieski. Co do samej telekomunikacji, Breve pochwała jej sprawność. „Może bowiem ona posłużyć do zaznajamiania innych z pouczeniami wiary, do przenoszenia w najodleglejsze zakątki świata głosu Najwyższego Pasterza, kiedy przemawia z katedry Piotrowej, i do skierowania ku Majestatowi Bożemu publicznych modłów wznoszonych ze wszystkich stron ziemi, jednocząc mocą techniki miliony dusz w jeden potężny chór”. A oto zakończenie papieskiego Breve: „Dlatego też, po zasięgnięciu zdania naszego czcigodnego Brata, kardynała Klemensa Micara: Prefekta Sw. Kongregacji Obrzędów, i po dokładnym rozważeniu rzeczy, pełnią Naszej Apostolskiej Władzy i mocą obecnego Listu, potwierdzamy, stanowimy i ogłaszamy Świętego Gabriela Archanioła Niebieskiego Patronem samej Telekomunikacji oraz wszystkich współpracowników i konstruktorów tej dziedziny, z uwzględnieniem pełni przywilejów liturgicznych, które według Rytuła przysługują głównym Patronom Stowarzyszeń i to bez względu na jakiegokolwiek inne zarządzenie i wszelką inną decyzję tej naszej przeciwną, a powziętą, choćby przypadkiem, świadomie czy bezwiednie przez jakiegokolwiek czynnik pełnomocny”. Tipografia Poliglotta nie tylko jest sławna z podobnych – budzących tyle zamyśleń – druków, albumów, dyplomów i aktów. Sławna jest również z tego, że nie przenika z niej na zewnątrz nigdy żaden sekret. Często już dziś wie rzeczy, które za miesiąc dla całego świata katolickiego albo też, wężej biorąc, dla rzymskiego eklezjastycznego światka będą wielką bombą. Wie, i sekretu dotrzymuje. Dotrzymuje go bezwzględnie. Nieraz słyszałem, że przynajmniej od stu lat nie było wypadku przecieknięcia z Typo-gramii jakichś sekretów. Wydaje mi się to tym bardziej imponujące, że aczkolwiek treść sekretna nie przecieka nigdy, przy wszystkich grubszych sprawach przecieka z niej na zewnątrz to, że w Typogramii się właśnie teraz coś sekretnego drukuje. Widać tam w takich momentach więcej bieganiny koło drukarni niż zwykle. Teksty z biur watykańskich płyną nerwowiej, korekty wracają. Pusty

placyk przy via  
delia Tipografia się zagęszcza. A i telefony do drukarni też pewnie coś niecoś  
robią.  
Monsignorzy, księżulki, klerycy, zamieszkali czy pracujący na terenie  
Watykanu, wtedy już  
coś czują. Zaczynają się domysły i łamanie głowy. Zakłady, hipotezy, niepokoje,  
nerwy.  
Te dreszczyki przechwytyje prasa. Dziennikarze, dyplomaci, informatorzy starają  
się coś wy-  
wahać. Jedni budują całe łańcuchy rozumowań apriorystycznych. Atakują problem  
za pomocą  
czystej dedukcji. Inni wiercą go indukcją, latając jedni do drugich jak  
głodomory na przednówku.  
Właśnie teraz się coś w niej drukuje! P. wylicza następujące możliwości: A więc  
dekret o  
zreorganizowaniu kurii, polegający na o d-starzeniu jej. Nd miejsce starych  
mieliby przyjść  
młodszy. Na czele różnych Św. urzędów i św. kongregacji stanąć by mieli  
niekoniecznie  
kardynałowie. Albo: dekret o reorganizacji Kościoła włoskiego. Rozpracowuje tą  
sprawę  
kardynał Piazza. Włochy mają, procentowo biorąc, trzy razy tyle ordynariuszy co  
Francja.  
Mnóstwo tu biskupstw malusieńkich. Zarazem – prastarych. Każde z nich ma kurie z  
kupą  
biedujących kurialnych dygnitarzy; nierzadko na seminarium je nie stać. Zresztą  
dla kogóż je  
prowadzić, mając pod sobą po kilka probostw bez szansy bliskich wakatów. Może  
więc to?  
Albo też może wreszcie kres niebywałego w historii Kościoła, od jedenastu lat  
trwającego,  
wakatu na stanowisko Sekretarza Stanu. Tą sprawą przejmuje się cały urzędniczy  
Watykan.  
Przejmuje się również sprawą włoskich kardynałów. Z pozoru interesuje ona parę  
osób, tych  
kilku ewentualnych kandydatów na Sekretarza Stanu i na purpuratów. W  
rzeczywistości nieomal  
wszystkich. W Watykanie, tak jak w ogóle w całym katolickim Kościele, nikt nie  
przechodzi na  
emeryturę. Wszystkie stanowiska, poczynając od stanowiska papieża, są dożywotnie.  
Wypadki  
„zdejmowania” czy „wyprowadzania” ludzi są rzadkie. Można postąpić po drabinie  
tylko wtedy,  
jeżeli człowiek zajmujący szczebel nad tobą umrze albo postąpi wyżej. Wtenczas  
ty postąpisz, za  
tobą ten, który wejdzie na twój szczebel, i tak aż do samego spodu drabiny.  
Papież Pius XII podczas obu swoich konsystorzów naruszył wiekową proporcję  
między  
kardynałami włoskimi i cudzoziemcami. Uczynił to kosztem 169  
ternie kardynałów na diecezjach, lecz kardynałów rzymskiej kurii. Tym samym

zablokował  
w kurii ruch wzwyż. Na kardynała kurii idzie się nieomal z reguły ze stanowiska sekretarza  
którejś z kongregacji. Następuje wtedy dla całej kongregacji, by użyć nieoficjalnego terminu  
watykańskiego, tzw. giubilazione. Jubilują w takiej kongregacji wszyscy.  
Jubiluje nowy  
kardynał. Jubiluje soffo segretario, który poszedł na jego miejsce, na miejsce sekretaria Św.  
Kongregacji. Jubiluje sotto segretario aggiunto, który poszedł na miejsce sotto sekretaria  
zwykłego. Jubiluje na swoim kolejnym szczeblu każdy kolejny commis-saiio, każdy assessore  
sommista, każdy scritto-re, każdy addetto aż po ostatniego minutanta i komputystę włącznie. P.  
nie wyklucza, że może rzeczywiście w jednej czy dwu kongregacjach niebawem będą jubilowali.  
P. mówi, że szyki w tym względzie pomieszały ostatnio Filipiny. Mają one dwadzieścia  
jeden diecezji, a nie mają kardynała. Belgia ma sześć diecezji, Austria również sześć, Holandia  
siedem, a kardynałów mają. Jest to więc duża niesprawiedliwość dla Filipin i dyskryminacja. W  
1945 mieli dostać i nie dostali. W 1953 – to samo. Teraz stawiają sprawę ostro. W tej kwestii  
właśnie świeżo powziął uchwałę ich parlament. Jednocześnie dusić o nie zaczął Watykan  
kardynał Spellman. Problem poważny, bo i prestiżowy, i polityczny. Dla kurii złe, bo tylko z  
ewentualnych kurialnych można im tego kardynała urwać. A więc wokół Tipogralii szum i  
plotki. Nie wiadomo, co tam drukują. Co za dyplomy i co za akta. P. wyliczył mi na palcach  
wszystkie możliwości. Naopowiadał, nasnuł hipotez. Dodam do nich jeszcze taką alternatywę:  
albo dziś w jakiejś wieczorówce przeczytam o którejś z nich jako o fakcie dokonanym, albo też  
za tydzień czy dwa dowiem się o ukazaniu się „specjalnie pięknie wydanego wyboru pism Ojca  
Świętego”. Oczywiście nakładem Tipogralia Poliglotta Vati-cana.  
Rzym, 14 grudnia 56 r.  
Civiltà Cattolica nie jest tylko naczelnym miesięcznikiem Kościoła. Jest całym badawczym  
instytutem. Papież, kierownictwo Sekretariatu Stanu, prefekci świętych kongregacji coraz to  
przekazują jej różne zagadnienia do rozpracowania. Oczywiście kuta jest ta Civiltà w sprawach  
komunizmu diabelnie. Przewidzieć oczywiście niczego nie są w stanie, ale na tekstach Lenina,  
Marksa czy Stalina znają się jak chiński uczony na swoich klasykach. T.



opowiada, że parę razy z głupia frant chodził do Civilla po kwerendzie. Towarzysz włoski, jego główne źródło erudycyjne, z którego czerpie, coś wiedział piąte przez dziesiąte, że istnieje jakiś tekst czy cytat. T. szedł do Civilla, mając tam stare koneksje, gdzie mu zaraz nie ten, to inny odpowiedni jezuita podawał autora, rok, dzieło i stronę. Imponujące! Niepokojące zarazem, że takie kute w materializmie historycznym osoby inwestują czas, pracę i pieniądze w ściąganie do Rzymu na narady pretendenta do tronu austriacko--węgierskiego, arcyksięcia Ottona Habsburga. Po 17! dołno jest on też wielkim koneserem marksizmu i komunizmu. W gronie współpracowników Civilla ma mieć wykłady z tej materii. Zasiada potem najpewniej z wielkim Marteganim i O. Messineo licytując się na erudycję w tym zakresie. A propos O. Messineo. Otóż Sw. Oficjum, które stało za nieudanym atakiem jego jezuita na Maritaina, niepokoi się ewentualnym jego wpływem na tok obrad Kongresu Eucharystycznego w Caracas. Ażeby wpływ ten zneutralizować, mają jechać do Wenezueli słynny prawnik i socjolog hiszpański, Angel Lopez Arno, teoretyk doktryny falangistowskiej, oraz rektor Akademii Duchownej z Nawarry, teolog stojący na stanowisku teologii klasycznej, O. Ismael Sanchez Bella. Sw. Oficjum namówiło biskupów Wenezueli na zaproszenie ich. Co to będzie z tym Kościołem, dla którego specem od marksizmu jest Habsburg, a specjalistami od socjologii Hiszpanie! To są zmartwienia pana V. Rzym, 15 grudnia 56 r. Rok temu zmarł w Namur O. Robert Kother. „Za młodu – jak pisze »0. R.« – okazywał zainteresowanie dla problemów pracy, pełną uporą wolę rozprzestrzeniania po świecie sprawiedliwości społecznej oraz szczególną predylekcję do klasy robotniczej”. Była widać ta jego młodość szumna i górna, bo później ten wątek z jego życia niknie. Zajmują go już tylko problemy edytorskie. Ostatni dziesiątek lat poświęcił wyborowi pism Piusa XII pt. Documents Pontificaux de Sa Saintete Pie XII. Pierwsze dwa tomy „Dokumentów” wyszły w Belgii, następne w St. Maurice w Szwajcarii, nakładem Edilions Saint-Augustin. Jest ich siedem. Obejmują wszystkie ciekawsze wynurzenia papieskie, pisemne czy ustne, począwszy od r. 1948.

Dają pełny obraz tego, co kardynał Saliege scharakteryzował, mówiąc: „/es documents constituent une veritable somme”. Tak, bo to jest ambicja Piusa XII: dać nową sumę teologiczną. Odpowiednik włoski takiego dokumentu jest o wiele obszerniejszy. Składa się z siedemnastu tomów. Zawiera wszystko. Ale że takie wielkie i że po włosku, jest niedostępniejsza. Poza tym francuski skrót ma znakomity indeks. Kontynuatorem Documents jest ks. Eimon Delacroix, profesor Institut Catholique z Paryża. Wydaje rzecz Unione Apostolica dei Sacerdoti Diocesani del S. Couredi Gesu. Rzym, 16 grudnia 56 r.

Il Punto jest świetnym pisemkiem tygodniowym. Drukuje mnóstwo ciekawych dokumentów i podaje zawsze podszewkowe i zakulisowe wiadomości. Czytają go po wszystkich ambasadach, kongregacjach i ministerstwach. Czytają z równym impetem Gronchi, Canali, Bogomołow, O. Martegani i Luchino Visconti. My na via Rubens też. Nie wiadomo, kto za nim stoi. Co do piór, głównie są socjaldemokratyczne, ale i o chadeka tu nietrudno, a także i o komunistę. Papier ma liche. Wiadomości watykańskie, o które tak trudno, całkiem niezłe. Niestety, trzeba je sprawdzać. Na sprawdzenie ich idzie tyle czasu, że kiedy wiadomość jest już opukana, przestaje być aktualna. W ostatnim numerze Il Punto uroczo się sypnął. Na całą kolumnę dał artykuł o układzie warszawskim Gomułka–Wyszyński. Na pięć szpalt, cztery nieomal bezbłędne. Dopiero na ostatniej na całego wsypa. Oto pisze, że wydelegowany na zjazd KPW Jerzy Morawski przybył na ten zjazd tylko formalnie. W rzeczywistości jest wysłannikiem rządu do Watykanu. Po czym następuje passus, po którym nic się już nie rozumie, ale po którym wszystko jest dla mnie jasne. Wzięli go za Dominika Morawskiego!

Rzym, 17 grudnia 56 r.

Z informacji krążących po Rzymie najciekawsze są te, które dotyczą kardynała Mindszente-go. Zachował się podczas wypadków węgierskich nieszczęśliwie. Ponosi winę za swoje szalone postępowanie. Wlał cysterne oliwy do ognia, to pewne. Wlał ją po kilku dniach namysłu. Najgorsze jest właśnie to, że – po kilku dniach namysłu. To pewne również, że Watykan wysłał do niego umyślnego monsignora. Wiózł on pieniądze na pierwsze potrzeby Kościoła węgierskiego oraz pełnomocnictwo przedyskutowania z kardynałem Mindszentyem

wynikających z sytuacji spraw religijnych i politycznych. W kilka dni później – celem udoskonalenia kontaktu – wyruszył inny monsignor, prezes Pontificia Opera di Assistenza, prałat domowy Piusa XII, aiutante di studio Kongregacji Konsystorza, Ferdinando Baldelli. W tej kongregacji jest dział zwany się Ufficcio Emigrazione. Istnieje również podporządkowana jej instytucja, zwana się Consiglio Supremo dell'Emigrazione. W tym Ufficcio i w tym Consiglio pracuje Baldelli. W Consiglio koleguje z biskupem Gawliną. Monsignor Baldelli już do Węgier nie dotarł. Natomiast pierwszy monsignor – Rodhain, Francuz – dotarł do Mindszentego i to przed wlaniem cysterny. Nie można mieć absolutnej pewności, że to Watykan kazał. Poza tym wchodzi tu w grę zawłość sytuacji i szybkość jej rozwoju. Niemniej przeto pada na Watykan w tym względzie ten sam cień, co na białą emigrację węgierską i na monachijską Wolną Europę, które szczyły. Rewolucje i ruchy masowe to nie są ewolucje akrobatyczne, podczas których milimetry decydują o szczęśliwym czy tragicznym wyniku. Być może, bez tego dolewania oliwy do ognia przez całą koalicję niecierpliwych, też by doszło do tego, do czego doszło między pierwszą a drugą fazą wypadków na Węgrzech. Niemniej w przypadku Mindszentego wielu tutejszym światłym katolikom straszno pomyśleć, że on to uczynił i że może czynił to z nakazu, przyzwolenia czy tylko z wiadomością swojej świętej zwierzchności. Po drugiej fazie wypadków Mindszenty schronił się do poselstwa amerykańskiego. Ostatnio myślał o wydostaniu się z Węgier i podobno to było do przeprowadzenia. Ale Watykan kazał mu siedzieć, a nawet, o ile to byłoby możliwe, wracać na swoje stanowisko, do swojej kurii. Sekretariat Stanu nakazał mu również milczeć. Powstrzymywać się od wszelkich oświadczeń prasowych, pośrednich czy bezpośrednich. Kardynał napisał w poselstwie memoriał – pamiętnik o swoim uwięzieniu, o śledztwie i o procesie z 1949 r. Sekretariat Stanu i na tym dokumencie położył pieczęć. Poleciał Mindszentemu przesłać go amerykańską walizką dyplomatyczną do Rzymu. Poleciał mu zachować kopię. Ta kopia ma być zniszczona natychmiast po sygnale, który nadejdzie z Sekretariatu Stanu, że oryginał dokumentu już jest w jego ręku. Rozmawiałem z P. na temat tego kroku. Nie ma on żadnych specjalnych informacji.

Ma tylko swoją inteligencję i ogólną znajomość terenu. Jego zdaniem Mindszenty nigdy nie będzie mógł usprawiedliwić się z tego, że się przyznał. Niedawno Osservatore Romano ripostowało Unicie, że „nikt nie ma prawa dawać kardynałowi Mindszentemu lekcji godności”. Z punktu widzenia psychologicznego i teologicznego decyzja rzucenia woalu na sprawę upadku kardynała jest godna refleksji. P. powiada: „dzisiejsza oficjalna historia Kościoła nie neguje, że pod względem charakteru i cnót bywali w historii papieże i kardynałowie różni. Ale to było kiedyś. Wy byście powiedzieli, że to było na innym etapie. Kościół tak nie mówi. Po prostu broni wszystkich, póki ich obrona ma swój sens z punktu widzenia politycznego. Na obiektywizm polityczny Kościół nie zdobywa się nigdy. Natomiast kiedy jakaś postać i spór wokół niej ma znaczenie już czysto historyczne, przychodzi czas przedmiotowego spojrzenia. A zatem w skrócie: póki spór obchodzi ludzi, Kościół nie godzi się na bezstronność. Kiedy obchodzi już tylko historyków, Kościół dopuszcza do głosu i obiektywizm”. Ale to jest taktyka propagandy, to nie jest ujęcie sprawy z punktu widzenia ontologicznego i teologicznego. P. próbuje rozgryźć sprawę od tej strony. Ontologia jest to nauka o budowie świata. Wedle tradycyjnej teologii (a tylko teologia tradycyjna jest chlebem powszednim Kościoła) świat jest zbudowany hierarchicznie. Na szczycie jest Bóg. Namiestnikiem Boga na ziemi jest papież. Szczebel niżej znajdują się kardynałowie. Znajdując się o te dwa szczeble poniżej nieba, znajdują się na niebotycznych wysokościach. Są więc za wysoko, żeby zwykły śmiertelnik mógł ich zrozumieć i osądzić. Dlatego niczego z siebie nie mogą zwykłemu śmiertelnikowi wyjaśnić. Jeśli dowiadujemy się o nich, że upadli i że się załamali, to jest pozór sprawy. Jeśliby nawet nam o tym opowiedzieli, już po fakcie, swoim żywym i własnym słowem, to także dotrze do nas tylko pozór. Kiedy patrzymy na zachowanie się jakiejś cząstki materii poddanej promieniowaniu, oglądamy pozór zjawiska. Kiedy patrzy fizyk-jądrowiec, rozumie istotę rzeczy. Tak samo nie nam sądzić życie papieży i kardynałów, i wielkich w Kościele, na to jesteśmy za przyziemni. Zjawiska zachodzące w ich życiu są na nasz język nieprzetłumaczalne. Nawet

jeżeli wyłoży się  
nam je przy pomocy zrozumiałych dla nas pojęć i słów. P. dodaje: zwłaszcza  
jeżeli wyłoży  
się nam je przy pomocy zrozumiałych dla nas słów. Wtenczas z uwagi na to, że  
zrozumiemy  
słowa, a niejako ex definitione nie możemy zrozumieć rzeczy, powstaje fałsz.  
Dlatego na  
wszystkim, co sam kardynał Mindszenty mówi o swoich przeprawach i o swoim  
załamaniu,  
trzeba położyć pieczęć. Prasa ogłasza różne pisma księdza Pawła Yecsey, kapelana  
Mindszentego, który razem z nim był więziony. Ale to nie jest głos samego  
kardynała. Tego głosu  
z woli Watykanu nie usłyszy nikt.  
Rzym, 18 grudnia 56 r.  
Zakończył się Kongres Eucharystyczny w Caracas. Czy doszło tam do rozprawy  
pomiędzy  
Maritainem i Hiszpanami, prasa nie podaje. Opisuje na razie stronę widowiskowo-  
uroczystościo-  
wą. Przeczytałem opisy. Wszystko normalne. Może tylko zmotoryzowanie legata jest  
nowe. Był  
nim kardynał Antonio Caggiano z Argentyny. „Na otwarcie przybył stojąc w  
otwartym  
samochodzie, przybrany w płomienną purpurę rzymską, budząc entuzjazm  
niewyraźalny” – pisze  
„O.R.". Ostatniego dnia (również według „O.R."), „wziął udział w procesji  
klęcząc na podwoziu  
specjalnie na to przerobionego ciężarowego samochodu umajonego przepięknymi  
kwiatami,  
wzbożonego majestatycznym złotym baldachimem, pod którym postać  
najczcigodniejszego  
pur-purata w stroju pontyfikalnym w nieprzerwanej adoracji przed Najświętzym  
Sakramentem  
czyniła przepotężne wrażenie”.  
Rzym, 23 grudnia 56 r.  
Siedem dni temu rozpoczął nową głódówkę katolicki pisarz Danilo Doki. Głoduje  
nie sam.  
Głodują również jego najbliżsi współpracownicy. Powysyłali depeze do  
Gronchiego, Segniego  
oraz do prezydenta parlamentu sycylijskiego i do prezydenta prowincji. Dolci,  
kiedy przybył do  
Partinico z Triestu, wstrząśnięty sycylijską nędzą tego miasteczka rozpoczął od  
protestacyjnego  
głodowania. Potem popróbował różnych sposobów walki. Teraz wrócił do głódówki.  
Leżą w  
łóżkach, każdy tam gdzie mieszka, nie wszyscy w Partinico. W Bisacquino leżą  
Mauro Gobbini,  
student filozofii z Rzymu, i Giovanni Mattura, licealista.  
Bisacquino jest malutkim miasteczkiem otoczonym różnymi latyfundiami. Każde z  
nich liczy  
po kilka tysięcy hektarów. Są to Santa Maria del Bosco, Licia i Gibilcanna. Ale

ziemie ich  
dziwnym kaprysem katastru zapisane są w rejestrach komunalnych innych miasteczek  
niż  
Bisacquino. Robotnicy rolni z Bisacquino na nich więc nie pracują. Nie wszystka  
okoliczna  
ziemia należy do wielkich właścicieli. Sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt  
hektarów – nie  
należy. Jest rozdrobniona na pięć tysięcy mikroskopijnych gospodarstw. W roku  
1952 był duży  
ruch w Bisacquino i z miasteczka poszli robotnicy na pola Santa Maria del Bosco  
zajmować  
ziemię. Wynikły z tego tylko kary, koszta i areszty.  
Niepojęty jest stosunek Osservatore Romano do tych spraw i do osoby Dolciego. W  
tym, co  
robi Dolci, jest krzyk świętej zgrozy. Dolci to jedno z najszlachetniejszych  
serc bijących w Italii.  
Jest utopijne. Ale zgorszenie „O.R.”, że Dolci „nie szanuje porządku”, a  
zwłaszcza drwiny z  
niego są dla mnie niepojęte. Niedawno pisało o nim „O.R.” z ironią: – „Katolicki  
pisarz?! Należy  
chyba wprowadzić rozróżnienie pomiędzy pisarzem katolickim i pisarzem  
chrzczonym”.

Rzym, 24 grudnia 56 r.

Il radiomessagio Nałalizio del Sommo Pontili-ce ai iedell e ai popoli di tutto U  
mondo  
zajmuje w Osservatore Romano dwie kolumny. Rok temu fragmenty ówczesnego  
wigilijnego  
przemówienia papieskiego „do wiernych i do ludów całego świata” przedrukowała  
„Prawda”  
moskiewska. A jeszcze inne fragmenty Unita. Jedne mówiły o zakazie użyciu bomby  
atomowej,  
te drugie wypowiadały się w sposób zagadkowy, ale obiecujący na temat układów i  
konkordatów  
„pomiędzy Kościołem a bardzo mu czasem odległymi ideologicznie ustrojami”.  
Z tegorocznego przemówienia ani „Prawda”, ani Unita, nie przedrukują nic. Jest  
to  
interesujące. Część ideologiczna prowadzona jest z dużym wdziękiem  
intelektualnym.

Odczytując, ją można sobie wyobrazić, jaka byłaby naczelna troska pontyfikatu  
Piusa XII, gdyby  
nie komunizm. Naczelną troską, zadaniem numer jeden, byłaby wtedy Ameryka i  
umysłowa  
amerykanizacja świata. Papież o niej nie mówi. Nie nazywa jej po imieniu. Mówi o  
naszej epoce  
jako o epoce „drugiej rewolucji technicznej”. Ta druga sprawa – oto mniej  
więcej jego myśl – że  
wydają się dotykalne horyzonty czasów, w których nie tylko natura świata nie  
będzie miała  
żadnych tajemnic i nie będzie stawiała żadnych oporów, ale również natura  
człowieka, zarówno

człowieka branego indywidualnie, jak i w jego społecznych powiązaniach. Gabinety lekarskie i kliniki będą wyrównywać pion moralny. Następujące się problemy socjalne od ręki rozwiązywać będą mózgi elektronowe. Nie będzie więcej miejsca na żywioł i nieobliczalność. Na wszystko ludzka wiedza, coraz fantastyczniejsza, znajdzie matematycznie ściśle rozwiązanie techniczne.

Przez całą tę część przemówienia przewija się w podtekście myśl, wyrażona najlepiej w tytule jednej z powieści Huxleya, że „czas musi stanąć”. Wolniej! Wolniej! Dać człowiekowi ochłonąć! Dać się człowiekowi przyzwyczaić! Ci, którzy zarzucają Kościołowi tradycjonalizm – mówi dalej Pius XII – nie rozumieją, że nie ma na świecie dziś niczego bardziej ludzkiego niż tradycja. Wśród elementarnych składników tradycji wlicza również „społeczne powiązania w ramach własności prywatnej”. Statystyka, technologia, mechanizacja, automatyzacja pojęte nie tylko wykonawczo, ale jako dyrektywy wszelkiego myślenia, nawet najbardziej ogólnego o zagadnieniach i problemach człowieka i świata, to jest właśnie coś, co byłoby dla pontyfikatu Piusa XII największą groźbą naszej epoki, gdyby nie było innej groźby, jeśli może nie większej, to natarczywszej i pilniejszej.

Tradycja – znowu zdaniem Piusa XII – ma nie tylko znaczenie terapeutyczne na plagę współczesności, to jest na szybką, nieustanną przemienność świata pod naciskiem nieograniczonych możliwości technicznych, ale również winna być uwzględniana zapobiegawczo wszędzie tam, gdzie postęp jeszcze nie dotarł, a pod wpływem nawoływań o postęp dla terytoriów zaniedbanych dotrzeć zamierza. W tym miejscu oryginalny tekst brzmi następująco:

„Nasze rozważania w tym względzie nie są wcale tak obce i dalekie wszelkiej konkretności, jak to się może niektórym wydawać. Życzymy sobie zwłaszcza, by zostały wysłuchane tam, gdzie się myśli o podźwignięciu połączy na nikłym szczeblu rozwoju, czyli tak zwanych terytoriów zacofanych. Jest rzeczą niewątpliwie chwalebna owa troska o ulepszenie struktur społecznych istniejących i nadających się do ulepszenia, byłoby jednak poważnym błędem odzieranie człowieka pod naciskiem techniki i doskonalszych form organizacji współczesnych z całej jego otoczki tradycyjnej. Człowiek taki byłby jak roślina wyrwana ze

swojej gleby i  
przeniesiona w nieprzychylny mu klimat. Nieszczęsny taki człowiek. Nieszczęśni  
tacy ludzie!  
Boleśnie wyzuci ze wszystkiego, do czego nawykli, i wyobcowani, muszą zostać na  
koniec  
pchnięci ku tendencjom i ideom, których przecież nikt z nas nie może im życzyć".  
Jest interesującą rzeczą śledzić, jak raz po raz Pius XII odcina się od pewnych  
stanowisk, by  
się tak wyrazić, antyantagonistycznych. Wedle tych stanowisk ugodowych – które  
potępia Pius  
XII – konflikt rozzierający naszą epokę, konflikt komunizmu z kapitalizmem,  
bynajmniej nie  
jest tak krwawy, jak się myśli. Nie można go porównać z ostrością konfliktów  
dawnych wojen  
religijnych. Nawet biorąc pod uwagę niższy stopień cywilizacyjny minionych  
czasów, do takiego  
nasilenia nietolerancyjności, fanatyzmu i wyrzynania, jak na przykład przy  
likwidowaniu  
albigensów, nigdy w ramach konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem nie doszło. Po  
cóż więc  
Kościół wciąż nieszczęśliwym odwoływaniem się do wartości absolutnych niejako  
fałszuje stan  
rzeczy, roznieca namiętności i tylko utrudnia to, co przy pewnej dozie zdrowego  
rozsądku z obu  
stron byłoby do osiągnięcia, to jest rzeczywistą i sensowną zgodę.  
Na takie postawienie sprawy Pius XII odpowiada: „...My z naszej strony, jako  
głowa  
Kościoła, tak obecnie, jak i podczas poprzednich okazji, uchyliliśmy się i  
uniknęliśmy wezwania  
całego chrześcijaństwa do nowej »wyprawy krzy-żowej«. Niech Nam to będzie  
policzone.  
Natomiast na uznanie, że konflikt pomiędzy Zachodem i Wschodem jest  
rozwiązywalny bez  
najcięższej krzywdy dla najwyższych wartości ludzkich, na to nie pójdziemy  
nigdy".  
A dalej:  
„Przy tej sposobności z największą goryczą musimy tu wyrazić nasze ubolewanie  
nad faktem  
dawania raz po raz przez różnych katolików, świeckich i duchownych, swego  
poparcia różnym  
taktycznym próbom zasnuwania mgłą istotnych różnic pomiędzy dwoma obozami. Jakże  
mogą  
oni nie dostrzegać, że zasnuwanie takie prowadzi do czegoś zupełnie innego niż  
ich pragnienia.  
Jakże mogą nie dostrzegać, że właśnie zasnuwanie i tylko zasnuwanie jest celem  
całego tego  
nieszczerego miotania się, zwałęgo się »rozmowami i spotkaniami«. I jakież to w  
ogóle mogą  
być te rozmowy i spotkania, kiedy każda ze stron rozmawia innym językiem, jedna  
uznając



najwyższe wspólne wszystkim ludziom wartości, druga uparcie odpychając je i  
negując. Już  
choćby przez szacunek należny sobie jako chrześcijaninowi winno się unikać  
brania udziału w  
podobnej grze, ponieważ, jak poucza apostoł Paweł, nie sposób zasiadać zarazem  
przy stole  
Pańskim i przy stole jego nieprzyjaciół. O nierozważne umysły! Powiadają, że nie  
należy  
przecież zrywać mostów, a więc i utrzymywać pewne kontakty. Owszem. Ale w tym  
względzie  
całkowicie wystarczają te kontakty i te stosunki, które uważają za stosowne  
utrzymywać i to z  
myślą wyłącznie o pokoju, a nie z żadną myślą uboczną, mężowie stanu i politycy.  
Wystarcza to,  
co właściwe czynniki duchowne uważają za właściwe podjąć, aby uzyskać uznanie  
praw i  
wolności należnych Kościołowi".  
To o nas. To ostatnie zdanie dotyczy układu zawartego pomiędzy państwem a  
Kościołem w  
Polsce. Na pełne dwie kolumny z kilkunastu wierszami o Węgrzech, wspomnianych  
trzykrotnie,  
z kilkunastu wierszami z ONZ, która powinna się odciąć od Związku Radzieckiego,  
i z  
kilkudziesięciu zdaniem szczegółowo opisującymi techniczną stronę lotów  
kontrolnych  
badających stan uzbrojenia – to niewiele. Ale trzeba sobie zdawać sprawę, że to,  
co się dzieje w  
Polsce, czego produktem jest również wspomniany układ, jest czymś, na co nie ma  
miejsca w  
świecie pojęć zbudowanym przy uwzględnieniu założeń nie tylko pontyfikatu Piusa  
XII, ale co  
najmniej pięciu poprzednich. Jak tedy wyjść z tej antynomii? Na razie jest to  
rzecz nie mająca za  
sobą więcej niż parę tygodni życia. Nie jest więc jeszcze rzeczywistością. Jest  
zatem wyrazem  
pobożnych życzeń. Jest pozorem. Jest pozorem rzeczy.  
Końcowa część przemówienia jest słabsza. Nie spieram się ani merytorycznie nie  
pochwalam  
żadnej z nich. Mówię tylko, że intelektualnie tok pierwszej prowadzony jest z  
duchową finezją.  
Tok drugiej – nie, ale bo kazi go polityka. Polityka go kazi i pewnego rodzaju  
wszystkoizm. Raz  
po raz widać interpelacje. Wtręty podopisywane pod naciskiem potrzeb różnych  
watykańskich  
kongregacji i urzędów. Ale póki przemówienie, nie obciążone jeszcze dopiskami w  
sprawie  
pilnych interesów, płynie górą – piękne jest. Bije z niego jakiś przedziwnie  
smutny stoi-cyzm.  
„Nowy, wspaniały świat" jest światem ametafizycznym. Jest światem, dla którego  
religia i

wszystkie z nią związane rzeczy to nie są rzeczy serio. Na tym zasadza się jego szacunek i tolerancja. Jakaż to serdeczna żalność taki sojusznik, nawet kiedy pomaga rozprawiać się ze śmiertelnym wrogiem.

Rzym, 27 grudnia 56 r.

Pani Klara Booth Luce opuszcza Rzym. Listy uwierzytelniające złożyła w lutym 53 roku. W Italii nominacja jej na ambasadora Stanów Zjednoczonych przy Kwirynale nie obudziła entuzjazmu. Mówiono sobie, że ani do Anglii, ani do Francji, ani do Związku Radzieckiego Eisenhower nie wysłałby kobiety. Pani Luce kazała się tytułować panią ambasadorem, co po polsku, gdzie się mówi pani minister i pani dyrektor, nie brzmiałoby dziwacznie. Po włosku jednak i po francusku – signora ambasciatore i madame l'ambassadeur – ma ten walor leksykalny, co wynalazek pani Danieli Gromskiej, by kobietę z ukończonym magisterium nazywać panią magistra.

Dalszy kłopot z panią ambasadorem wynikł z mężem pani Booth Luce, panem Luce. Nie dlatego, by pani Luce pod naporem lingwistycznych konsekwencji zażądała, aby go tytułować panem ambasadorem, ale dlatego, że nie wiadomo było, jak go usadzić. Z martwej litery protokołu miejsce jego przy stole wypadało pomiędzy dwoma mężczyznami. Znaleziono na to radę. Ustalono, że będzie się go sadzać pomiędzy dwiema paniami. Kiedy tak protokół postanowił odnieść się do niego jako do samodzielnego elementu, szczęśliwie określwszy mu sąsiedztwo, musiał mu również wyznaczyć szczebel. Na domiar wszystkiego pan Luce nie był tylko mężem pani Luce i niczym więcej. Był właścicielem i dyrektorem trzech potężnych organów prasowych. Oto one: Time, Lite, Fortune. Z całkowania tych wszystkich elementów wypadło, że pan Luce miał krok zaraz po ambasadorach, przed ministrami pełnomocnymi.

Pani Luce w roku 1944 straciła jedyną córkę. Przedtem i potem wszystko w jej życiu układało się tak, jak chciała. Od zwycięstwa szła do zwycięstwa. W polityce, w dziennikarstwie, w literaturze, w życiu uczuciowym i w życiu towarzyskim. Śmierć córki w wypadku samochodowym zepchnęła ją na takie dno rozpacz, że cała Ameryka była przekonana, iż skończy samobójstwem czy w domu obłąkanych. Ponieważ w Ameryce należała do postaci

pierwszoplanowych, napisano wtedy o niej mnóstwo. Napisano również mnóstwo o jej córce, osiemnastoletniej dziewczynie, i o tym, że miłość tej córki pani Luce – zajęta swymi zwycięstwami na różnych polach i zdaje się raczej wielka wola i wielka inteligencja niż wielkie serce – odkładała na później. Nawet jednak gdyby tak nie było, to znaczy nawet gdyby nie uzupełniały tu rozpaczy wyrzuty sumienia i nawet gdyby dziewczyna nie była jedynym dzieckiem, i nie była dzieckiem kobiety, której tak się we wszystkim szczęściło, nawet gdyby to była tylko zwykła śmierć zwykłego dziecka zwykłej matki, to samo już wystarczy. Pani Luce jednak nie zabiła się i nie zwariowała. A tylko na oczach całej Ameryki nawróciła się na katolicyzm. Nawrócił ją słynny biskup Fulton J. Scheen, również jedna z pierwszoplanowych postaci życia amerykańskiego, wielki łowca wybranych dusz i genialny telewizyjny kaznodzieja katolicki, którego pomysłowych kazań co tydzień słucha kilkanaście milionów ludzi i który po każdym kazaniu wręcza parotysięczny czek, stanowiący honorarium, różnym swoim ukochanym instytucjom dobroczynnym. Pani Luce we wszystkich swoich uczuciach dynamiczna i niezłomna, tak samo jak dynamiczna i niezłomna republikanka, atlantyczka i antyko-munistka, stała się po nawróceniu niezłomną i dynamiczną katoliczką. Opowiadają, że zostawszy ambasadorem w Rzymie, na pierwszej audiencji w Watykanie nasiadła na Piusa XII tak, że ten w pewnym momencie przerwał jej nacechowane niezłomnością i fanatyzmem katolickie wywody, rzekłszy: – Proszę pani, ja też jestem katolik. Rzym, 29 grudnia 56 r. Wczoraj Le Monde a dziś II Messaggero podają, że kardynał Wyszyński przyjedzie do Rzymu 11 stycznia. My nic o tym nie wiemy i raczej oczekujemy go po wyborach, to znaczy po dwudziestym stycznia. Zdaje się zresztą, że jeszcze nie poprosił o paszport. Jego przyjazd to kwestia ciekawa. W kurii łamią sobie głowy, jak go ustawić. Spotkałem wczoraj T., który mi powtórzył rozmowę z O. M. z Towarzystwa Jezusowego. M. pracuje również dla Civiltà Cattolica. Otóż M. powiedział, że oni, to jest kierownictwo Civiltà, napierają na kurię o opóźnienie przyjazdu. Rozumowanie Civiltà jest następujące: Zachowanie takiego milczenia, jak dotychczas to czyni Watykan, nie będzie możliwe w wypadku bytności Wyszyńskiego. Nie będzie można milczeć dłużej na temat tego przyjazdu i na temat warszawskiego układu. Powiedzieć: tak – to znaczy uznać, że z państwem komunistycznym

można się w sprawach kościelnych układać. To znaczy uznać, że mogą być wyjątki. To znaczy uznać podstawową tezę pontyfikatu Piusa XII za względną. M. twierdzi, że jedyne wyjście to uznać układ za załatwiający tylko minimalną część interesów Kościoła. Nie załatwiający problemu Akcji Katolickiej, swobodnego ogłaszania i kolportowania oświadczeń i listów papieskich i biskupich, i tym podobnych rzeczy. Latawszy układ za wstęp do całości, można swobodnie przyjąć postawę wyczekującą. Nie sądzę. Wolta w tym wypadku wydaje mi się za śmiała. Układ dotyczy tak fundamentalnych spraw, że niepodobna go uznać wyłącznie za przystawkę. Raczej jest odwrotnie. On jest tym głównym daniem, do którego można bez końca dorzucać allegaty, ale już tylko allegaty. Rzym, 6 stycznia 57 r. Poszedłem dziś rano z Marią i Jerzym Sawickimi do kościoła S. Andrea della Valle na mszę pontyfikalną, odprawianą w obrządku syro-maronickim. Celebrował biskup Sfair, Syryjczyk, tytularny biskup Epifanii w Syrii. Mieszka on zresztą stale w Rzymie jako Vescovo ordinante swego rytu, pracując niezależnie od tego w różnych kongregacjach i komisjach, mających coś do czynienia z Kościołem Wschodnim. Kościół S. Ancirea della Valle nie jest kościołem maronickim. Od paru lat jednak organizuje raz na rok solenne Ottaviario deW Apostolato Cattolico. Program tego ośmiodniowego nabożeństwa jest interesujący. Co rano nabożeństwo w innym rycie. Co popołudnie nieszpory z udziałem innego kardynała kurii. Rano więc różne obrządki, poza już wyliczonym, przedziwne inne: syro-an-tiocheński, aleksandryjski, ormiański, chaldejski i cały szereg bizantyjskich, a więc – zgodnie ze specyfikacją programu msze in lito bizantino-ucraino, in rito bizantino-slavo oraz in rito bizantino-romano. Na zakończenie ottaviaria ciekawostka. Msza święta in rito gerosolimitano dei RP. PP. Carmelitani. Ryt ten nie jest jednak odrębnym obrządkiem. Cała odmienność polega na prastarej liturgii, która się ukształtowała w klasztorach karmelitańskich na terenie Palestyny, odciętych przez całe wieki od Rzymu. To rano. Po południu zaś kolejno: kardynał Adeodato Giovanni Piazza, Sekretarz Kongregacji Konsystorza, kardynał Benedetto Aloisi Masella, Prefekt Kongregacji Sakramentów, kardynał Valerio Valeri, Prefekt Kongregacji Zakonów, kardynał Nicola Canali, Wielki Penitencjarz Kościoła Rzymskiego, kardynał Fumasoni Biondi, Prefekt Kongregacji Propagandy Wiary, kardynał Clemente Micara, Wikariusz Generalny Jego

Świątobliwości oraz  
na zakończenie kardynał Gregorio Piętro XV Agagianian, Patriarcha Ormian  
Syryjskich, częsty  
gość i bardzo głęboko siedzący w różnych pracach kurii, chociaż ściśle biorąc  
nie tak zwany  
kardynał kurii.  
Napatrzeć można się więc w ciągu jednych ośmiu dni różnościom. Mnie fascynują  
ryty. I  
liturgicznie, i Nieliturgicznie. Liturgicznie rzecz jest i przepiękna, i  
przejmująca, na przykład w  
wypadkach tych syro-maronitów. Ich językiem liturgicznym jest aramejski. Brzmi  
on żydowsko.  
Organów nie ma. Jest chór chłopięcy, śpiewający również po aramejsku. Melodie  
brzmia bardzo  
wschodnio, powiedziałaoby się – arabsko. Wszyscy przy ołtarzu mają brody. I  
celebrant, i cała  
jego asysta.  
Zwraca uwagę tron biskupa, wysoki, miedziany, raczej stołek niż fotel, takie  
niziutkie ma  
oparcie i poręczce. Celebrant wraca na ten stołek i schodzi z niego z dziesięć  
razy w ciągu  
nabożeństwa. Za każdym razem odbywa się to bardzo ceremonialnie, z długim i  
starannym  
układaniem kapy tak, aby całkowicie zakrywała tron biskupa. Sawicki tak samo  
lubi wszystko  
dokładnie wiedzieć, jak ja. Przy drzwiach kościoła stoi młody maronicki kleryk z  
bródką i z tacki  
sprzedaje broszurki o swoim obrządku. Kupujemy po broszurce, nawiasem mówiąc  
"również  
pióra biskupa Sfaira, i rozpytujemy się. Okazuje się, że tron jest również  
własnością biskupa,  
który z nim jeździ zawsze, kiedy jest zaproszony do odprawienia solennej mszy  
świętej w swoim  
obrządku. W zeszłym roku był z gościnnymi występami we Francji. W tym roku  
będzie w  
Mediolanie i Wenecji.  
Ale nie tylko liturgicznie fascynują mnie na przykład tacy syro-maronici. Oto w  
trzech  
słowach ich historia, co do której zresztą nawet w podstawowych sprawach nie ma  
zgody. Tak na  
przykład jedni twierdzą, że nazwa maronitów pochodzi od anachorety, św. Marona,  
żyjącego w  
czwartym wieku, pochowanego w Apamea u źródeł Orontu, w miejscu gdzie nawet  
zbudowano  
klasztor jego imienia. Natomiast sami maronici wiążą swój początek z postacią  
mnicha Jana  
Marona, patriarchy Antiochii z szóstego wieku. Nie ma również zgody między  
historykami co do  
tego, czy maronici różnymi czasy nie byli monoteletami. Ich własnym zdaniem  
cechowała

maronitów przez ciąg wieków „niezmacona prawowier-ność”, ale kto ich tam wie. Jeżeli jednak się wychylali i co parę wieków trzeba ich było na nowo w prawomyślności ustawiać, nie to jest dla mnie ciekawe, lecz to, że przez setki lat otoczeni byli obcym im albo wręcz wrogim religijnie światem i utrzymali się przy swoim Maronie, niezależnie od tego, czy był to święty anachoreta, czy mnich patriarcha. Ciągłe ktoś ich uciska, ciągle muszą uchodzić, wciąż odbudowują z gruzów swoje prastare klasztory, z praklasztorem w Apamea na czele. Zaszwywają się w lasy, przenoszą się w góry pod różnymi uderzeniami monofizytów, Arabów, Turków, Druzów, krwawią albo rozpryskują się po całej Małej Azji, po wyspach greckich z Cyprzem na czele i po różnych miastach egipskich. A kiedy przychodzi po burzy cisza, znów ich pełno w Syrii. Za wojen krzyżowych dobrze im, ale patrząc na ich ówczesne sprawki okiem arabskim, aż się prosi, żeby ich nazwać volksdeutschami. Toteż potem znowu im źle. Lecz żyją i trwają, i odradzają się. Mnie fascynuje ta ich persewerancją w morzu arabskim, tureckim; archipelag gmin, dziś wszystkiego razem czterdzieści tysięcy dusz – nierozpuszczalny. Socjologicznie, psychologicznie można bająć i mądrzyć się przez cały wieczór o tej sprawie. Nie bardzo wiem, dlaczego przypomina mi się, kiedy o nich myślę, pyszne zdanie M. o tym, że jedni cały swój honor osobisty pokładają w tym, żeby być takimi jak wszyscy, inni zaś pokładają w tym, żeby być odrębni. To jest oczywiście zdanie pokrywające się w połowie czy ćwierci z zakresem problematyki takich ma-ronitów. Ale przecież zawsze tkwi we wszystkich mniejszościach, religijnych, językowych, narodowych, jakaś nieproporcjonalnie wielka siła. W tych wypadkach wyraźnie nie ilość, ale właśnie nieliczność przechodzi w nową jakość. Co to takiego jest, co z taką siłą pomaga mniejszemu, nielicznemu, tak persewerować? Wyczuwam za tą persewerancją różne rzeczy. Wydaje mi się jednak, że przede wszystkim działa tu w sposób tak znakomicie wzmacniający to, co bym nazwał instynktem odrębności. Sawicki od paru dni zażegnuje swoje zaziębienie aspiryną. Ja też od wczoraj czuję w organizmie dreszczyki i kreseczki. Zawsze marznę w głowę, on zwierzył mi się, że też. Kupiłem więc z myślą o dzisiejszej mszy w zimnym S, Andrea delia Walie dwie papaliny. To

znaczy dwie

czarne czapeczki, takie, jakich używają starzy profesorowie czy starsi księża po zakrystiach.

Mnie jednak moja papalina nie pomogła. W domu od razu kielich starki. Po południu gorączka

38 °. Doktor konstatuje silny bronchit. Żegnajcie, kardynałowie i obrządki.

Ottaviano będzie w łóżku.

Rzym, 27 stycznia 57 r.

Byłem wczoraj u E. Sam mi otworzył drzwi. Otwiera drzwi i jednocześnie otwiera usta. Po

czym zamyka drzwi, ale usta już mu się nie zamykają. Miałem do niego określoną sprawę i

umówiłem się z nim cna określoną godzinę. Ujrawszy mnie o nic nie spytał, tylko od razu

przystąpił do tego, co ostatnio rozgryzał. Mówił z pół godziny bez wytchnienia, a kiedy zacząłem

dawać oznaki, że też chcę coś powiedzieć, odczytał je mylnie, przypuszczając, że chodzi mi o to,

by mnie poczęstował kawą czy wermutem. Lubię go bardzo. Fascynuje mnie to wysypywanie się

z jego ust tylu różnych dat, nazwisk, cytatów, sądów i wszelkiego rodzaju informacji. Pracuje

cały dzień, czyta, pisze, wyklada. Z trudnością mieści się w tych kilkunastu godzinach dnia, które

mu pozostają odliczywszy sen, jedzenie i nie wiem co tam jeszcze. Mieści się z trudnością. Na

pewno sobie rozkłada zajęcia dnia i planuje wszystko. Jest jednak bezbronny wobec pewnej

swojej namiętności. Przepada, jak zwęszy słuchacza.

Powiedziałem o nim, że kiedy mi otworzył drzwi, od razu przystąpił do tego, nad czym

pracował. Zmam go jednak na tyle dobrze, by dodać, że to nie jest reguła. Może on równie

dobrze mówić o tym, co jest tematem jego bieżącej pracy czy cyklu wykładów, jak o tym, o

czym pisał dziesięć lat temu, czy o tym, o czym nie pisał i nie wykladał nigdy.

Jest jak

encyklopedia, otworzyłeś go na tej stronie, siup! i już pojechało. Bo jest to encyklopedia

udźwiękowiona. Wczoraj bardzo ciekawie mówił o konflikcie dzielącym ludzi Kościoła na – jak

się wyraził – nadnaturalistów i antynadnaturalistów. Marzeniem nadnaturalistów jest, żeby

współczesne chrześcijaństwo zakwitło takimi cudami, takimi świętymi, takimi cnotami

heroicznymi, jakimi kwitło paleochrześcijaństwo czy chrześcijaństwo średniowieczne. Natomiast

w marzeniach antynadnaturalistów współczesny katolik powinien przedstawiać się jak każdy

inny zwyczajny człowiek, bez żadnych cudów. E. twierdzi, że an-ty-nadnaturalistę można poznać po tym, że kiedy słyszy o jakimś dzisiejszym świętym, jakimś stygmatyku czy zakonniku czyniącym cuda, to się wstydzi. Dla niego istota jego religii nie ulega zmianie. To, co w chrześcijaństwie jest istotne, jest niezmienne. Zmienna jest forma. Anty-nadnaturaliści twierdzą, że treść świadomości, skojarzenia i wyobrażenia współczesnego człowieka jest tak odmienna, że to, co przemawiało do ludzi ze średniowiecza, nie przemawia dzisiaj poważnie. Oczywiście i dziś po różnych prowincjonalnych kątach Włoch, Hiszpanii czy Ameryki Południowej można napotkać świadomość średniowiecza. Są to jednak kąty o specyficznym 195-letnim mikroklimacie duchowym. Zasadniczy klimat duchowy współczesnej masy katolików jest inny. Jest już dwudziestowieczny. Interesujące są uwagi E. na temat małej różnicy pomiędzy poziomem duchowym góry chrześcijańskiej i poziomem dołów chrześcijańskich w średniowieczu. Dzisiaj jest ona olbrzymia. Pomiędzy średniowiecznym biskupem czy średniowiecznym uczonym i średniowiecznym prostaczkiem nie było tak olbrzymiej różnicy, jaka istnieje dzisiaj pomiędzy biskupem czy uczonym z jednej strony a dołowymi katolikami z drugiej. Dołom różne cuda i nadzwyczajności mogą jeszcze odpowiadać, gorzej odpowiadają coraz mniej. To znaczy odpowiadają pod warunkiem, aby się nie działy dzisiaj. Bo fatalnie, krępująco, nieprzekonywająco wypadają na tle współczesności. E. wyjaśnia, że nie ma dwu szkół ani dwu frakcji, ani dwu wyraźnych kierunków anty-i nadnaturalistycznego. Istnieją tylko dwie zdecydowanie odmienne umysłowe tendencje. E. twierdzi, że najlepiej widać, kto się ku czemu skłania, poruszając sprawę stygmatów. Klasycznym przykładem nadnaturalisty byłby kardynał Faulhaber. On to o stygmatycznej Teresie Neu-mann z Konnersreuth powiedział w kazaniu wygłoszonym w katedrze monachijskiej w 1927 r.: „Nie obawiajmy się cudów. Nie pożądajmy ich, ale zarazem ich się nie bójmy. Nie bądźmy przesądni, ale nie bądźmy również niedowiarkami. Nie zastrzegajmy się nigdy, mówiąc, że to czy tamto nie może być cudem. W sprawie Konnersreuth przejawia się właśnie zupełnie otwarcie taka płochliwa bojaźń przed cudem... (a tymczasem)... dziś już, przed ostatecznym wypowiedzeniem się w tej sprawie przez Kościół, wielka nowina i wielka łaska



przybywa do nas  
z Konners-reuth!"  
Antytezą kardynała Faulhabera byłby O. Augustyn Gemelli, franciszkanin,  
Konsulent  
Kongregacji Sakramentów, Konsulent Kongregacji Seminariów i Uniwersytetów  
Apostolskich,  
Radca Naczelnego Urzędu Pieczy nad Instytutami Naukowymi, zależnymi od władz  
kościelnych,  
Rektor Uniwersytetu Katolickiego w Mediolanie, członek honorowy Rzymskiej  
Akademii św.  
Tomasza i Religii Katolickiej, a przede wszystkim prezes prastarej Apostolskiej  
Akademii Nauk,  
w której zasiada mnóstwo znakomitych uczonych europejskich i amerykańskich, w  
czym kilku  
laureatów nagrody Nobla (Niels Bohr, C. W. Heisenberg, de Broglie i Inni). Z  
Polaków należał  
do niej Jego Ekscelencja (Pius XII przyznał swoim akademikom ten tytuł) profesor  
Emil  
Godlewski z Krakowa. Otóż O. Gemelli, który niezależnie od studiów teologicznych  
ukończył  
neuropsihatrię, powiada tak: „Osobiście miałem okazję poddać obserwacji  
trzydziestu  
stygmatyków i stygmaty-czek. Nie natknąłem się przy tej okazji na żaden taki  
wypadek, w  
którym mógłbym z całą pewnością i stanowczo wykluczyć jakąkolwiek ewentualność  
sztucznego  
zabiegu".  
E. twierdzi, że na terenie Rzymu i w ogóle całej Italii zwycięstwo odnoszą  
raczej  
antynadnatura-liści, a już z całą pewnością ich oddział czołowy –  
antystygmatycy. Nawet Padre  
Pio, a raczej jego stygmaty, nie przekonują go w pełni. Dnia 31 maja 1923 r.  
ukazało się w Acta  
Aposto-licae Sedis oficjalne monitum Sw. Oficjum, odmawiające wszelkich oznak  
nadmaturalności zjawiskom objawianym przez Padre Pio, począwszy od dnia 20  
września 1918  
roku, kiedy to na parę minut przed dwunastą nagle padł na kamienną posadzkę  
wirydarza,  
krwawiąc z rąk, z nóg i z boku. Monitum to na podstawie swego orzeczenia  
zabraniało odwiedzin  
i korespondowania z Padre Pio. Monitum to nie zostało nigdy odwołane. Tyle  
tylko, że nowe i  
liczne monografie poświęcone zdumiewającej postaci (między innymi Polki, Marii  
Winowskiej)  
przechodzą nad poglądem wyrażonym w monitum do porządku dziennego.  
Rzym, 28 stycznia 57 r.  
Wracam jeszcze do wczorajszej rozmowy. Notuję parę informacji E. o stygmatach.  
Jakież to  
na przykład interesujące, że przez pierwsze dwanaście wieków historii Kościoła  
nie słyszy się nic

o stygmatach. Nic o żadnych stygmatykach, nic o żadnych stygmatyczkach.  
Nadchodzi rok 1224,  
dzień 14 września, dzień, w którym św. Franciszek z Asyżu otrzymuje stygmaty.  
Nie mówi o tym  
nic braciszkom. „Ale od tego dnia – podają Fioretti – nie może dotknąć całą  
stopą ziemi.  
Wkrótce też braciszkwowie odkrywają prawdę, a to piorąc jego ubranie i jego  
spodnie, i jedno, i  
drugie okrwawione. Wtenczas staje się dla nich zrozumiałe, że mistrz ich nosi u  
boku, na rękach i  
na nogach obraz i podobieństwo cielesne Pana Naszego Jezusa Chrystusa”.  
Po tej dacie następuje wybuch stygmatów. Wiek XIII •– trzydzieści jeden  
wypadków, wiek  
XIV – dwadzieścia dwa, wiek XV – dwadzieścia pięć i tak aż po dzień dzisiejszy.  
E. twierdzi, że  
statystyka ta zawiera tylko wypadki uznane przez Kościół. Z tym że właściwie  
uznane w całej  
pełni, tak, że gorszące byłoby katolikowi o nich wątpić, są tylko stygmaty św.  
Franciszka. One  
też jedno dostąpiły tego, że dzień, w którym św. Franciszek je otrzymał, jest  
świętem. Ale choć  
inne stygmaty nie mają takiego potwierdzenia, jest złym obyczajem wątpić o nich.  
W sumie  
można mówić o trzystu dwudziestu jeden wypadkach przyjętych przez Kościół. W  
czym  
czterdziestu jeden stygmatyków i dwieście osiemdziesiąt stygmatyczek. Najwięcej  
mają ich  
Włochy, potem Francja – siedemdziesięciu, Hiszpania – czterdziestu siedmiu,  
Niemcy –  
trzydziestu trzech. Polska – żadnego. Świętych i błogosławionych w tej liczbie  
trzystu  
dwudziestu jeden stygmatyków i stygmatyczek – jest sześćdziesiąt jeden. W tym  
poza  
wyliczonym św. Franciszkiem tak wielkie postacie Kościoła, jak św. Katarzyna  
Sieneńska czy  
św. Teresa.  
Byłem ciekaw, co sam E. myśli o tej zagadkowej sprawie. Ale on nie lubi mówić o  
tym, co  
myśli. Lubi mówić tylko o tym, co wie. Niemniej przeto wyciągnąłem z niego tyle,  
że „tak samo,  
jak nie można mówić we wszystkich wypadkach, kiedy się ma do czynienia ze  
stygmatami, że to  
działa niebo, tak samo nie można przy każdym wypadku mówić o oszustwie.  
Zwłaszcza że  
istnieje trzecia formuła obejmująca najprawdopodobniej największą ilość  
wypadków. Jest to  
formuła szukająca wytłumaczenia sprawy w neuropatii”.  
E. mówi dalej, że czytał na ten temat mnóstwo. Między innymi pracę dwu uczonych  
francuskich, z urodzenia Polaków, a mianowicie słynnego Józefa Babińskiego i  
Bolesława de

Poray Madey-skiego. Powiada, że przy tej lekturze przerażenie go ogarniało, ile ludzkość płodzi tych świętych niewydarzeńców. Fizjologicznie, neurologicznie biorąc nic im nie brak do świętości. Jest w nich unerwienie działające tak, że rany im się otwierają i ręce oraz nogi im krwawią, czy też krwawy pot oblewa im twarze, kiedy wpadną w trans. Ale nie stoi za tym nic. Są jak aktorzy bez tekstu. Są jak pisarze, których podrywa w górę pozorne natchnienie. Papier jednak przed nimi jest pusty lub co najwyżej zapełniony piachem. Dla E. najmniej ze wszystkiego jest niepojęty sam mechanizm samootwierania się ran. Powiada, że jest to wynik silnego przejęcia się; oczywiście przy tle neuropatologicznym. Cytował mi przy okazji ciekawy wypadek, opisany przez Janeta w *De l'angoisse a l'exlase* (1926). Miał chorą Magdalенę, która raz na tydzień krwawiła stygma-tycznie z prawego boku. Zwrócił jej uwagę, że rana Chrystusa była w lewym boku. Dodał, że zawsze w ten sposób przedstawiają go malarze i rzeźbiarze. Magdalena odpowiedziała: „Wiem o tym. Tak jest zwykle. Ale wielki Chrystus w kościele Salpetriere ma ranę po prawej stronie”. Jest zresztą rzeczą fantastycznie interesującą, że z reguły stygmaty są fałszywie zlokalizowane. To znaczy nie tam, gdzie Chrystus mógł mieć przebicia na rękach i nogach, ale w tym miejscu na rękach i nogach, gdzie rany umieszczala ikonografia. Stąd E. mówi, że lokalizacja stygmatów jest artystyczna, a nie anatomiczna. Ciało, przybite do drzewa przez środek dłoni, opadłoby. Dłonie rozdarłyby się. Jeśli chodzi o ręce, jest oczywiste, że gwóźdź musiałby przechodzić przez przegub. Jest tam miejsce, że może się prześliznąć między kośćmi. E. twierdzi, że to jest pewnik, potwierdzony nie tylko prawem ciężkości, ale różnymi ponurymi świadectwami męczeństw zapisanych przez historię. Otóż jest zdumiewające dla E. (który jest w końcu wierzący), że niebo nigdy, nawet w wypadku św. Franciszka, nie poprawiło przy stygmatyzowaniu go tego, co na skutek pomyłki ikonograficznej święty wyobrażał sobie o ranach Chrystusa. Ale E. mówi, że istnieje jeszcze rzecz w tej sprawie bardziej niewiarogodna. Wiąże się ona z słynną chustą z Turynu, jedną z najczcigodniejszych relikwii, jaką posiada Kościół. W chustę tę owinięto ciało Chrystusa po zdjęciu z krzyża. Ciało się na niej odcisnęło. Ciało

i wszystkie jego  
skaleczenia i rany. Otóż na tej chustce znać ślady ran tak nóg, jak i rąk  
zgodnie z prawami statyki  
i anatomii. Cała ikonografia przedstawiająca męczeństwo Chrystusowe popelnia w  
tym punkcie  
pomyłkę. Jedna chusta pokazuje co innego. A przecież nawet E. sobie nie  
wyobraża, by była  
autentyczna. Nie chciałem tego powiedzieć E., ale w momencie, kiedy rozważał  
sprawę chusty,  
przeszło mnie mrowie. Pomyślałem, że może rzeczywiście owinięto nią ciało  
człowieka umyślnie  
dla spreparowania tej relikwii ukrzyżowanego. E. mówi, że chusta jest bardzo  
starą relikwią.  
Odnosi ją do IX wieku.  
Rzym, 31 stycznia 57 r.  
Dzisiejsze Osservatore Romano publikuje pros-criplio Ubrorum Miguela de Unamuno.  
Dekret Najwyższej Świętej Kongregacji Sw. Oficjum wpisuje tym samym na indeks  
najgłośniejszą z książek Unamuna, a mianowicie Del sentimiento tragico de la  
vida \* oraz  
również głośną La agonía del Christianismo. Pierwsza z tych książek ukazała się  
w roku 1913,  
druga zaś w roku 1931.  
Poza tym dekret zawiera monit zwracający uwagę wiernym na to, że w innych  
dziełach tegoż  
autora znajduje się wiele rzeczy nagannych z punktu widzenia wiary i  
obyczajności. Całość  
zarządzenia kończy się zwykłą formułką, informującą o tym, że papież „in  
audientia Em mo ac  
Rev. mo D. no Card. Prosecretario S. Ollicii con-cessa relatum Sibi Em morum  
Patrum  
resolutio-nem adprobavit et publicari iussit" \*.  
Tego rodzaju dekrety i monity z wpisywaniem książek na indeks nie leżą dzisiaj w  
obyczajach Kościoła. Dostaje się rocznie na indeks Św. OfiDel sentimiento... –  
Poczucie  
tragizmu życia.  
In audientia... – Na audyencji udzielonej Jego Eminencji Kardynałowi  
Prosekretarzowi Sw.  
Oficjum przedłożoną sobie rezolucję Najprzewielebniejszych Ojców zatwierdził i  
opublikować  
rozkazał.  
Oficjum nie więcej niż kilku autorów. Potępienia godnych oczywiście jest  
nieskończenie więcej.  
Ale wedle nowych ustaleń prawa kanonicznego, jeśli zawierają błędy dogmatyczne i  
nieobyczaj-  
ności, są ipso iure zabronione. Przez sam fakt, że są błędne i gorszące,  
automatycznie stają się  
zakazane. W rzadkich wypadkach zabiera głos kuria lub ordynariusz diecezji, na  
której terenie  
pojawiła się budząca sprzeciw książka.  
Tak właśnie zdarzyło się z książkami Unamu-na. Lata temu, w liście pasterskim

pt. Don

Migu-el de Unamuno heieje maximo y maestro de he-tejias\* ordynariusza Wysp Kanaryjskich,

biskupa Antonio de Pildain. Po tym liście co parę lat odzywały się inne głosy.

Zdaje mi się, że w

sumie było ich trzy czy cztery. Czytałem dwa, a mianowicie to, co pisał biskup

Teruelu, Leone

Villuendas Polo, oraz to, co pisał dawny biskup Salamanki, Enrico Pla y Daniel,

obecnie

kardynał arcybiskup Toledo. W obu pismach, zresztą raczej powściągliwych, mowa jest wciąż o

Del sentimiento tragice- oraz o Agonia. Pisma nie mają charakteru dokuczliwego.

W porównaniu z nimi komentarz, który Osser-vałore Romano zamieszcza z reguły równocześnie z Dekretami Św. Oficjum, jest nieprzyjemniej-szy. W niektórych

miejscach ten

komentarz wydaje mi się wprost czepialski. Tak na przykład na dowód błędów

dogmatycznych,

rozsianych po znacznej części dzieł Unamuna, cytuje się nowelę San Manuel Bueno,

maitir,

opisującą historię Don Miguei... – Don Miguel de Unamuno, największy heretyk i mistrz herezji.

niewierzącego księdza, przezacnego i pełnego cnót człowieka, który nawet umiera

najzupełniej „jak święty”. Zdaniem komentatora nowela zawiera następujący błąd

dogmatyczny,

a mianowicie, „że nie jest możliwe, by ksiądz wykształcony i dobry stracił

wiarę i umierał

świętobliwie, pozbawiony wiary”. Dogmatycznie jest również nie do przyjęcia to,

że nowela

„insynuuje, że ów ksiądz udziela wiernym świętych sakramentów, nie wierząc w

nie”. Na dowód

błędów przeciwko moralności cytuje się inny utwór Unamuna, Vida de don Quijote y Sancho,

ponieważ „w tym dziele autor usprawiedliwia złe prowadzenie się młodej

dziewczyny,

nazwiskiem Maritornes”.

Interesujące są kulisy całej sprawy. Oto one. W roku ubiegłym minęło dwadzieścia

lat od

śmierci Unamuna. Niepodobna było Hiszpanom pominąć rocznicy. Nie była ona

Madrytowi

wygodna.- Nie tyle ze względów religijnych i ze względów ściśle politycznych, co

ze względów

kulturalnych. Nazwiskiem Unamuna szermowały w Hiszpanii zawsze koła

niekonformistyczne.

W tym stanie rzeczy Franco zdecydował, że ponieważ uroczystości nie mogą się nie odbyć,

winny one mieć raczej przytłumiony charakter. Dyrektywy w tym względzie

opracowano ściśle,

Ale ramy zostały od razu rozsądzone. Nie zwiększyła się, rzecz prosta, ilość

akademii, ale jakoś

atmosfery i klimatu na nich obróciły wniwecz kalkulacje Franco. Należało co

prędzej uczynić  
wszystko, by można było sztandar, wokół którego skupiały się niespokojne umysły,  
najzwyczajniej pod jakimś pretekstem zwinąć. Franco nacisnął na swój episkopat,  
episkopat na  
Św. Ofi-cjum. I w ten sposób, niejako w ramach swego jubileuszu, Miguel de  
Unamuno dostał  
się na indeks.  
Rzym, 4 lutego 57 r.  
Wczoraj w kaplicy Papieskiego Kolegium Stołecznego, podporządkowanego  
Kongregacji  
Propagandy Wiary, sam kardynał Tisserant, Dziekan Kolegium Kardynalskiego oraz  
Sekretarz  
Kongregacji dla Kościoła Wschodniego, konsekrował na biskupa monsignora  
Bernardina Gantin.  
Asystowali Tisserantowi „w purpurze i przy osobnych klucznikach” – jak podaje  
prasa –  
kardynał Furnasoni Biondi, Prefekt Kongregacji Propagandy Wiary, i kardynał  
Celso Costantini,  
wchodzący w skład kolegiów kardynalskich wyliczonych wyżej kongregacji i jeszcze  
kilku  
innych. Zwłaszcza dwaj pierwsi to giganty kurii. W konsekwencji tak świętego  
konsekranta i  
takiej asysty kaplica kolegium pękała wprost od arcybiskupów, ambasadorów,  
posłów i  
senatorów oraz wszelkich innych pomniejszych wielkości. Oczy wszystkich  
kierowały się ku  
monsignorowi Ber-nardino Gantin, stającemu się w tym momencie biskupem. W  
spojrzeniach  
zebranych, zwłaszcza w spojrzenia wspomnianych pomniejszych wielkości, bez  
wątpienia  
malowały się różne uczucia na widok człowieka, któremu wkładano infułę na głowę,  
a który w  
1951 roku wyświęcony został na księdza i dzisiaj liczy sobie wszystkiego 32  
lata. Z tych trzy  
ostatnie studiował w Rzymie, na rok przed infułą zdając dwa magisteria: jedno z  
teologii, a  
drugie z prawa.  
Młodość, infuła, dyplomy i to tempo zawrotne, wszystko każe myśleć o czasach  
nepotów lub  
młodszych synów królewskich czy książęcych, promowanych taką czy inną ziemską  
potęgą. Ale  
nie! Monsignor Gantin nie jest krewnym żadnych możliwych. Ani więc papieskim, ani  
żadnego z  
kardynałów. Nie ma też żadnych związków z arystokracją. Do tego stopnia nawet,  
że w kaplicy,  
pełnej watykańskich, dyplomatycznych i urzędowych wielkości wszystkich gatunków  
i  
wszystkich rodzajów, jednego tylko właśnie zabrakło, a mianowicie  
przedstawicieli wielkich  
rodów, bez których normalnie nic się z imprez kościelnych nie odbywa.

P., który był na uroczystości, oipowiadał mi, że wychodząc, już na ulicy Urbana VIII, u stóp Janiculum, gdzie się mieści Kolegium Propagandy Wiary, usłyszał dwu prałatów cierpko komentujących sakrę. – Do czego to dochodzi – powiedział jeden. – Dzisiaj to tylko trzeba być czarnym! – powiedział drugi. Bo nowy biskup jest czarny. Bernardino Gantin jest Murzynem z Contonou, z Francuskiej Afryki Zachodniej. Oto sekret jego powodzenia. Oto sprężyna kariery. Czarny, brunatny, żółty, kolorowy człowiek ma dzisiaj w Kościele wielką szansę. Kościół bowiem przed ciosami ruchów antykolonialnych broni się, kolorując swoją lokalną hierarchię. Jest to rewolucja olbrzymia. Dawny schemat, wielowiekowy schemat białej góry i białych kadr, a mas kolorowych – Watykan poddaje obecnie rewizji. Decyzja takiej rewizji zapadła przed trzema laty. Od tego czasu kręci całą robotą jeden z najciekawszych i największych ludzi kurii, właśnie dzisiejszy konsekrant, kardynał Eugeniusz Tisserant. Wysyła dziesiątki swoich podwładnych, rozpisuje setki listów, sam się po parę razy na rok fatyguje i szuka, i szuka po wszystkich azjatyckich, afrykańskich i australijskich diecezjach, nie wyłączając Oceanii, od Bandungu na Jawie po Shi-koku w Japonii, od Honolulu na Hawajach po Aitape na Nowej Gwinei, od Mandalay w Birmie po Rawalpindi w Pakistanie, od Nkongsamba w Kamerunie po Laghouat w Algierze, szuka kandydatów na całe setki potrzebnych mu biskupów, biskupów z kolorowego awansu.

Rzym, 17 lutego 57 r.

Miałem wczoraj dłuższą i ciekawą rozmowę z O. na temat tego, co myśli kuria rzymska o sprawach polskich. O. twierdzi, że wszyscy w Watykanie kłopotają się nami bardzo. Mówi, że rozumieją nas nieźle. Ale co innego jest rozumieć, a co innego zgadzać się. Z tą zgodą idzie im ciężko.

O. mówi, że w Watykanie nikt nie miał wątpliwości co do tego, jak u nas wypadną wybory. Mówi, że jeden z jego przyjaciół na dziesięć dni przed wyborami rozmawiał z O. Marteganim, redaktorem Civiltà Cattolica, jednym z najbliższych doradców Piusa XII, który orientował się w tym, że katolicy będą masowo głosować na Gomułkę. Jest rzeczą ciekawą, że mimo całej niechęci Watykan nie uczynił nic, by przed wyborami oblać zimną wodą naszych

katolików. Nie uczynił nic, zasznurował usta, ponieważ wiedział, że głos jego nie znajdzie w Polsce posłuchu i jedyne zaś, co sprawi, to powiększy rozdzźwięk pomiędzy katolikami w Polsce i Watykanem. Świadomość, że olbrzymia siła katolicka w Polsce pędzi w kierunku, na który on się nie zgadza i który mu jest wstrętny, jest dla papieża gorzka. Oficjalnie na wytłumaczenie atmosfery przedwyborczej i wyniku wyborów Watykan podaje, że katolicy i ich biskupi opowiadają się w Polsce za Gomułką, ponieważ on przedstawia mniejsze zło. Ale przecież mniejszym złem nikt się nie entuzjazmuje, nikt mniejszego zła nie kocha i nikt mu nie życzy stu lat. Właśnie więc ten rozmach zgadzania się na Gomułkę papieża boli. Ma on zresztą próbkę tego w samym Rzymie. Nie przez O., lecz skądinąd dobrze wiem, że papież sondował, co kolonia polska myśli o Gomułce. Tak więc na pewno w Watykanie orientowano się, że Gomułka dla katolików to jest coś więcej i coś innego niż „mniejsze zło”. Przed wyborami wciąż się debatowało w kurii sprawę przyjazdu kardynała Wyszyńskiego. O. twierdzi, że co tydzień na przemian: raz kardynał chciał, a kuria nie chciała, to znowu kuria chciała, zaś kardynał się wzdragał. Mnie się jednak wydaje, że wbrew pewnym korzyściom, jakie mogłyby wypłynąć dla Watykanu z takiego przyjazdu, w zasadzie zawsze w kurii przeważało zdanie, by się nie ruszał. Od pierwszych swoich kroków po uwolnieniu budził on w pewnych kolach kurii niepokój. Toteż naciskano na papieża by go wezwał. Zdaniem tych kół należało go co prędzej nastawić, usztywnić, zanurzyć w środowisku rzymskim, które dla każdego człowieka Kościoła jest jego naturalnym środowiskiem, przywracającym go do jedynej "rzeczywistości, dla której winien żyć. Inne jednak względy przeważały. W pierwszym więc okresie nie chciano, żeby przyjechał, gdyż zdawano sobie sprawę, że do opinii całego świata, nie wyłączając opinii włoskiej, bardziej by przemówił fakt, że kardynał ma teraz pełną swobodę kontaktowania się z Watykanem, niż poprzednie perypetie z czasów internowania, zamasyście przekreślone faktem jego obecności w Rzymie. A więc nie wzywano go. Nie wzywano go później z coraz to innych przyczyn. Podczas pertraktacji z rządem – nie chcąc brać za nie odpowiedzialności. Po ich



zakończeniu – nie chcąc  
dać im sankcji. Jeszcze później – nie chcąc firmować przypuszczalnego  
ustosunkowania się  
katolików do wyborów. Ostatnio zaś nie chcąc przejść do porządku dziennego nad  
ich  
rezultatem.

Oczywiście odwlekać przyjazdu nie da się w nieskończoność. Kardynał Wyszyński  
przyjedzie więc w końcu, ale wówczas – jak twierdzi O. –  
kiedy na horyzoncie stosunków Kościoła z państwem zaczną się ukazywać pierwsze  
chmurki.

Kiedy się więc skończy to, co kiedyś r. nazwał >  
w rozmowie ze mną „polskim katolicko-komu-nistycznym miesiącem miodowym”. No i  
także wówczas, kiedy koło wszystkich spraw polskich będzie ciszej i kiedy dla  
światowej opinii  
nic niecodziennego nie będzie w fakcie, że kardynał Wyszyński działa i że jeździ  
do Rzymu.

Tak sprawa wygląda od strony kurii. Jak wygląda od strony Wyszyńskiego, nikt tu  
nie wie. A

on jest w tym wypadku niebagatelną stroną. Też ma coś do powiedzenia. W  
Watykanie uchodzi

za charakternego, a nawet upartego. Mówi się tu o nim również, że jest zimny.

Jeżeli taki jest,

narzucić może swoją wolę, przejmując inicjatywę w swoje ręce i chociaż formalnie  
biorąc bez

zaproszenia nie wolno mu się w Watykanie pokazać, wolno mu o to zaproszenie po  
swojemu

nacisnąć i – przyjechać. Ostatecznie na pewno uważa, że ma on na swoim koncie  
znaczne

aktywa. Jak długo papież może w tej sytuacji umywać ręce?

Rzym, 18 lutego 57 r.

Jeszcze z wczoraj. I ci, co przyjeżdżają z kraju, i my z kraju, ale którzy tutaj  
pracujemy,

odnosimy to samo wrażenie, stykając się z emigracją, że nawet najbardziej  
zakamieniali w

negacji opowiadają się po stronie Gomułki i po stronie linii obranej przez  
Wyszyńskiego. Dużo

ludzi z Polski mieszka teraz po różnych polskich domach zakonnych, kolegiach i  
świętobliwych

instytucjach. Wszędzie zakonnicy i zakonnice rozpytują ich o Gomułkę. Troskają  
się jego

zdrowiem, jego życiem rodzinnym, interesują się wszystkimi szczegółikami jego  
biografii. Ze

łzami w oczach wysłuchują o jego cierpieniach i o jego walkach.

Są tak uczuciowo zaangażowani po jego stronie, że pienia się z oburzenia  
słyszając, że za

sanacji siedział z wyroku za komunizm. Czym jest dla tych ludzi kardynał  
Wyszyński, nie warto

zapisywać, tak to jest oczywiste. Promieniuja, każda sobie, tak postać Gomułki,  
jak postać

Wyszyńskiego, i wystarczy, by blask któregoś z nich padł na kogoś z ich

otoczenia, już staje się dla ludzi z emigracji postacią bliską, zaciekawiającą i drogą. Profesor P., który tu bawił niedawno, odwiedził, nie wiem zresztą po co, biskupa Gawlinę. Otóż pół rozmowy im zeszło na Zawieyskim. Gawlina wszystkiego, co dotyczy Zawieyskiego, był ciekaw. Musiał wtedy wysłuchać całego wykładu o twórczości Zawieyskiego. Gawlina, oficer, potem ksiądz, a wreszcie przed samą wojną biskup polowy, o którym mówiono, że jest o wiele bardziej polowy niż biskup, i który, jak mi mówił A., nigdy nie mógł przebrnąć przez „Chłopów”, bo za długie i za trudne, pocący się z chęci, by wniknąć w arkana „Gdzie jesteś, przyjacielu?”, „Drabiny Jakubowej” i „Drogi Huberta”, wydaje mi się, choć ubocznym produktem zachodzących przemian, ale produktem rzeczywiście śmiałym.

Ale Rzym nie byłby Rzymem, Watykan Watykanem i życie życiem, gdybym nic poza tym do tej idylli nie miał do dodania. A mam. Otóż wiadomo mi jest z całą pewnością, że mimo zachwyków i wzruszeń, i to bez wątpienia szczerych, wyszło skierowane na ręce papieża memorandum, poświęcone roli katolików, Wyszyńskiego i biskupów w wyborach. Na to memorandum składa się najpierw opis roli, a potem następują trzy pytania zwane tutaj quaestiones.

Tak więc nie jest to memorandum wyłącznie opisowe, ale takie, które domaga się orzeczenia i odpowiedzi. Autorzy jego tutaj u papieża niejako się konsultują. Pytanie pierwsze: „W jakiej mierze zgodne było czy niezgodne z nauką Kościoła, zawartą w Syllabusie oraz w Apostolskich Encyklikach Papieża, postępowanie kardynała Wyszyńskiego i tych biskupów polskich, którzy w formie pozytywnej czy choćby negatywnej nie zapobiegli temu, by katolicy w Polsce głosowali na rzecz Gomułki i w ogóle na rzecz sił lewicy”. Pytanie drugie: „W jakiej mierze dotyczy wyżej wspomnianych osób oraz z osobna wszystkich katolików, którzy swój głos oddali na komunistów, Dekret z 1 czerwca 1949” (ekskomunikujący wszystkich komunistów i oddalający od sakramentów każdego, który w sposób pośredni czy bezpośredni z nimi współdziała). Pytanie trzecie: „W wypadku pozytywnym, to znaczy w wypadku, gdyby Dekret dotyczył wspomnianych osób i wspomnianej sytuacji, czy ma do nich i do niej zastosowanie automatyczne, czy też przeciwnie, wymaga jeszcze orzeczeń specjalnych”. Papież memorandum kazał przekazać Św.

Oficjum dla „szczegółowego zbadania”. Spi tam sobie mnóstwo różnych takich donosów-me-moriałów, próbujących wprost papieża czy różne kongregacje przycisnąć do muru w sprawach, w których wygodniej jest Watykanowi milczeć. Niemniej przeto, chociaż tak śpią, nie znaczy to, żeby umierały. Przy niektórych powolutku różni konsulenci dłubią, jakieś odtrutki przygotowując. Oczywiście nie w tym celu, by poczęstować nimi kogoś w fioletach czy purpurze. Technika w tych sprawach kurii rzymskiej jest inna. Nigdy nie bić we własnych generałów czy w ogóle we własne kadry. A tylko, jeśli trzeba, stuknąć jakiego podopiecznego tych generałów. Można to było widzieć świeżo na sprawie Maritaina. Myśl Maritaina bliska jest co najmniej trzem (na czterech) kardynałom francuskim, nie licząc biskupów. Ich się jednak nie bije. Ostrzega się ich tylko, bijąc w Maritaina. No, ale to długi proces. A więc, tak czy owak, memorandum, o którym piszę, to dla Wyszyńskiego najmniejszy kłopot.

Rzym, 19 lutego 57 r.

Byłem dziś u pp. B. On jest profesorem uniwersytetu rzymskiego. Dom jest bardzo prawomyśl-nie katolicki. W pewnym momencie rozmowa zesłała na potępienie ksiązek Unamuna przez Watykan. B., którego kilka razy zapraszano do Hiszpanii na wykłady, najwięcej miał nowego do powiedzenia. Opowiedział nam, że już w roku 1954 doszło do ostrych sporów pomiędzy rządem i biskupami z jednej strony a studenterią i inteligencją z drugiej na temat Unamuna. W roku owym upływała dziewięćdziesiąta rocznica urodzin pisarza z Bilbao. Uniwersytety, instytucje naukowe i kulturalne przygotowywały się do uczczenia jej. Ale Kościół miejscowy tak zastraszył, kogo było trzeba, że uroczystości wypadły blado i nie trzeba się było uciekać do Rzymu. Nie chciałem własnym uszom wierzyć, słysząc, że wtedy też arcybiskup Toledo, kardynał Pla y Daniel, wezwał do siebie grupę uczonych, wśród których starego profesora Mananan i J. Maricisa, bodajże najświetniejszą inteligencję młodego pokolenia, zapalonych do uroczystości, i spoliczkował ich. Wyraziłem swoje powątpiewanie. Na to mi wszyscy zebrani oświadczyli, że zdarzenie jest znane. A profesor B., chcąc mi pomóc do zrozumienia faktu, dodał: „To jest Hiszpania. I obaj są katolicy”.

Rzym, 25 lutego 57 r.

Interesujące jest obserwowanie zabiegów Izraela u św. stolicy. Chodzi mu o

nawiązanie  
stosunków dyplomatycznych. Przy pomocy tego środka obiecuje sobie, że będzie  
mógł działać w  
kierunku złagodzenia skutków ewentualnych sankcji. Od czasów Leona XIII Watykan  
lubi  
konkordaty i wymiany przedstawicielstw dyplomatycznych. Od jego czasów uważa za  
naturalne  
mieć takie stosunki, za nienaturalne – nie mieć ich. O ile oczywiście nie  
występują  
przeciwskazania. Przeciwskazania przeciw uznaniu Izraela występują.  
Przeciwskazaniem są  
Arabowie, przeciwskazaniem jest zagadnienie internacjonalizacji miejsc świętych  
w Palestynie.  
Przeciwskazaniem jest również sprawa trzecia, wzgląd, który się może wydać  
zdumiewający  
dla każdego, kto zapomina o „czasie watykańskim”, zupełnie innym niż czas  
wszystkich  
normalnych ludzi, z wyjątkiem może jedynie Chińczyków, dla których też sto lat  
temu to  
wczoraj, a tysiąc lat temu to też stosunkowo niedawno.  
Otóż wracając do tego trzeciego przeciwskazania, w Watykanie pamięta się, że  
przecież  
również stosunkowo niedawno tam, gdzie teraz jest Izrael, rozciągały się państwa  
idealnie  
odpowiadające papieżowi, a mianowicie państwa wyłonione przez wyprawy krzyżowe.  
Pewnie,  
że mało prawdopodobne jest, by raptem zmartwychwstały chrześcijańskie królestwa  
i hrabstwa  
Jerozolimy czy Edessy, ale wykluczyć tego nie można. Jeśli wrócili ci, co  
siedzieli na tych  
ziemiach dwa tysiące lat temu, mogą wrócić i ci, co siedzieli na nich lat temu  
tylko jeden tysiąc.  
Izrael stara się o względy Piusa XII na różne sposoby. Dwa lata temu papież  
zgodził się, by  
w Sykstyнії wystąpiła z koncertem dla niego Narodowa Orkiestra Symfoniczna z  
Tel-Awivu. Nic  
ważnego, ale krok naprzód. Osservatore Romano zagoryczyło jednak przyjemność,  
pisząc o  
tej orkiestrze jako o orkiestrze „żydowskiej”, nie „izraelskiej”. Ach, cały  
Watykan w tym. Umówi  
się, zgodzi, zrozumie, a potem za pomocą jednego słówka wszystko przywróci do  
dawnego stanu  
rzeczy.  
Ale teraz po dwu latach posunęły się sprawy naprzód. Już teraz przymiotnik  
„izraelski”  
wszedł do watykańskiego słownika. Nie tylko to, co jest w końcu tylko drobnym  
znaczkim na  
niebie. Był tu w Rzymie przez cztery tygodnie wysłany z Tel-Awivu ad limina  
dawny poseł  
Izraela w Rzymie przy Kwirynale, Fisher. Mówi się w Rzymie, że po dojrzałym

namyśle

Watykan przełożył szanse potomków Machabeuszów nad szanse potomków Baldwinów i Godfrydów i że jeszcze w tym roku wymienią między sobą listy uwierzytelniające dwie gwiazdy,

gwiazda Syjonu i gwiazda betlejemska.

Rzym, 4 marca 57 r.

Rzym nie jest dobrym gruntem dla cudów i pokazów świętości. Jest sceptyczny. Za dużo

widział. Poza tym cudom tu za blisko Sw. Oficjum. Komplikuje też sytuację refleks

naśladownictwa typowy dla Włochów. Jeśli nawet uwierzyć da się w jeden cud czy w emanującego świętością świętego, zepsuje wszystko dziesięć podobnych wypadków i dwadzieścia podobnych osób, które nagle na światło dzienne wyskoczą. Wreszcie – jak mówi R.

– komplikuje sprawę bliskość Ojca Świętego. On winien być centrum nadziemkości na tym

terenie. Niewłaściwą rzeczą jest zarówno zagłuszać go, jak przesłaniać. Ciekawe, że to ostatnie

zarysowało się dopiero od niedawna. Dopiero po likwidacji państwa papieskiego, tego

prawdziwego. Dzisiejsze jest przecież symboliczne. Dawniejsze było potęgą. Widać było tę

potęgę na zewnątrz. Przejawiała się prawdziwym wojskiem, prawdziwymi dworskimi urzędnikami, możnowładczą klientelą. Papież był głową potężnego państwa.

Wprawiał w podziw

wiernych swoją sytuacją. W tym położeniu funkcję świętości, funkcję fosforyzowania świętością

i cudami brali w Rzymie na siebie inni. Ludzie bez tego wszystkiego niemieli i bledli na widok

papieża.

To się zmieniło. F. mówi, że niezmiernie intensywne podkreślanie świątobliwości ostatniego

papieża i podnoszenie poprzednich na ołtarze przez Piusa XII nie tylko ma ten sens, który

przypisuje temu podnoszeniu Peyrefitte, a mianowicie, że Pius XII sam chce być podniesiony na

ołtarz. E. twierdzi, że to pieniądź go do tego zmusza. Watykan jest dziś jedną z największych

potęg finansowych Europy. Miliony katolików o tym wiedzą i to je złości. R. twierdzi, że papież

w tej sytuacji musi być święty. Tytułem rekompensaty! Nie jest to oczywiście przymus

taktyczny czy propagandowy. Jest to przede wszystkim przymus psychologiczny. Naturalnie, że czasem i tu w Rzymie wyskoczy cud. Teoria teorią, uogólnieniem

uogólnieniem,

praktyka praktyką. Zdaje się, że ostatniego wielkiego zamieszania z cudem dokonał w Rzymie

niejaki Bruno Cornacchiola dziesięć lat temu. Przed wojną był tramwajarzem, potem poszedł na

front. Wrócił, do tramwajów nie dostał się z powrotem. Przed wojną faszyzował,

podczas wojny  
przylgął do jakiejś sekty. Twierdził później – kiedy starano się sprecyzować  
coś na temat tej  
sekty – że za cel jedyny miała utrzymywać swoich członków w nienawiści do  
papieża.  
Cornacchiola oddał się tej sekcji tak w zupełności, że marzeniem jego stało się  
zamordowanie  
papieża. Ciągłe tym projektem pieścił się, cyzelował go w szczegółach, kupił  
nawet nóż i w  
pierwszy wtorek miesiąca marca przed dniem środowym, dniem stałych publicznych  
audiencji u  
Sw. Piotra, opuścił na cały dzień Rzym, aby w samotności rozjadować się i  
napompować silną  
wolę do swojego czynu. Miejsce dla tej samotności wybrał sobie bliskie, a  
mianowicie grotkę w  
pobliżu opactwa Tre Fontane, opactwa zachowanego na miejscu, gdzie został ścięty  
św. Paweł,  
którego głowa tocząc się, trzy razy uderzyła o ziemię, trzykrotnie pobudzając  
ziemię do szlochu  
w postaci fontann, które do dzisiaj biją.  
Cornacchiola zamelinował się w grotce ze swoim nożem i butelką Chianti. Zaczął  
się tym  
nożem bawić, egzercytować się i kłuć powietrze. Raptem poczuł, że nie jest sam.  
Ujrzał o krok  
od siebie Niebieską Panią, w której poznał Matkę Boską, proszącą go, by  
oprzytomniał i  
zaniechał swego zamiaru. Tak się też stało. W środę nie poszedł Cornacchiola do  
Sw. Piotra, ani  
w żaden z dni następných. Dzień w dzień teraz wracał do graty, sądząc, że nie  
wolno mu  
ukrywać cudu i że miejscem właściwym, skąd winna się rozchodzić nowina o nim,  
będzie grotka,  
w której się dokonał. Ale w marcu mało kto jeszcze wyrusza poza Rzym na  
popołudniowe  
wycieczki. Toteż Cornacchiola nie bardzo miał komu o wydarzeniu rozpowiadać.  
Mimo to  
upierał się dzień w dzień jeździć do grotki.  
I słusznie, bo z wiosną sytuacja zaczęła się poprawiać. Publiczności zaczęło  
przybywać, ale  
nie ze wszystkich mógł być Cornacchiola zadowolony. Niedziele były dobre,  
pojawiały się całe  
rodziny, rozkładając się w cienistych gajach okalających grotę. Gotowe one były  
słuchać  
wszystkiego, co powiadał Cornacchiola, oglądając z nabożeństwem nóż i butelkę  
wina, z której  
Cornacchiola pamiętnego marcowego wtorku naruszył co najwyżej jeden kieliszek.  
Ale w dni  
powszednie nie rodziny pojawiały się, lecz pary. Opactwo leży z dala od głównych  
szlaków,  
grotka z okalającymi ją laskami jeszcze dalej, miejsce więc idealne, uczęszczane

w wiadomych celach od całych lat. Niemniej Cornacchioli trudno było się z tym pogodzić. Nawet nie dlatego, by pary nie chciały słuchać jego opowieści, od słuchania nie uchylały się. Ale potem bez przeszkód robiły swoje. Po dniu szczególnie obfitym w nieokielznane pary, Cornacchiola następnego ranka i pierwsze godziny południa przepuścił. Czas poświęcił na sporządzenie enuncjacji, do której użył wielkiego kawałka dykty. Tekst brzmiał: „Ktokolwiek pogrążony jest w grzechu, niech przybywa i złoży u stóp Marii swe nieszczęsne brzemię. Najświętsza Panna Maria Objawienia czeka twej spowiedzi i nie omieszką napoić cię z czary swego miłosierdzia. Maria jest najśłodszą Matką wszystkich grzeszników. Oto, co uczyniła dla mnie, najokropniejszego grzesznika. Dla mnie, zakamieniałego wroga Kościoła i N. M. Panny, bojownika w szeregach Szatana, członka sekty, która stawiała sobie za cel nienawiść do papieża. Tu oto, w tej grocie, pokazała mi się jako Najświętsza Panna Objawienia, nakazując mi powrót na łono Naszego Rzymskiego Apostolskiego Kościoła Katolickiego, com uczynił wzbogacony znakami i objawieniami przez Nią mi udzielonymi. Nieskończoność miłosierdzia zwyciężyła wroga i nieprzyjaciela, który teraz u Jej stóp błaga przebaczenia i łaski. Kochajcie Ją, Marię, Matkę Naszą. Kochajcie Kościół Nasz, wy i wasi bliscy. Jest on płaszczem okrywającym nas przed piekłem, które obecnie wyzwoliło się na całym świecie. Módlcie się jak najgoręcej i jak najwięcej i oddalajcie od siebie ze wszystkiej waszej mocy wiadomy wam grzech cielesny. Cornacchiola Bruno".

Była może szósta po południu, więc jasno, kiedy Cornacchiola pojawił się u grotty, żeby jeszcze dziś umocnić swoją dyktę z enuncjacją. Stanąwszy na progu grotty, zrozumiał, że mu ją zajęto. Drab jakiś barłoczył się w niej ze swoją gamratką. Dreszcz zgrozy wstrząsnął Cornacchiola. Wstrząsnął nim również zwykły ludzki strach. Drab bowiem zerwał się na nogi, uznając widać, że intruz za długo się przygląda. Cornacchiola wycofał się i zapłakał. W tym momencie nagłe usłyszał zajadle szczekanie. Ujrzał psinkę niepo-każną, ryżawą, która jak pocisk wtargnęła do grotty. Jak pod dotknięciem magicznej pałeczki gorzkie łyzy Cornacchioli zamieniły się w słodkie. Ujrzał najprzód profanatorkę świętego miejsca z psiną zawieszoną

u łydki.

Następnie profana-tora z nogawkami w strzępach. Pies dwoił się i troił, skakał, szczekał, kąsał, unikając przy tyra z niesłychaną zręcznością kontratakujących go kopniaków. W minutę śladu z

pary nie zostało na horyzoncie. Psina zaś już lizała ręce Cornacchioli, tuląc się do niego i ciesząc.

Cornacchiola nazwał ją „Lilia”.

Nóż, pies, enuncjacje powoli robiły swoje. Młodzież zaczęła unikać lasków koło groty,

zwłaszcza że teraz również w dniu powszednie nie brakowało pielgrzymów. No a już co niedziela

przybywały tysiące. Ludzie słuchali, oglądali noż, głaskali psinkę, wchodzili pobożnie do groty,

mężczyźni zdejmując kapelusze, a kobiety przykrywając głowy chustką i zasłaniając gołe

ramiona, tak jak jest w tutejszym zwyczaju przy wchodzeniu do kościoła.

Cornacchiola

pokazywał miejsce, gdzie mu się objawiła postać Niebieskiej Pani. Potem

pokazywał miejsce w

grocie, stojącej się widać z woli Bożej niezaprzeczonym sanktuarium, odkąd psina przegnała

grzeszną parę. Obejrzawszy wszystko pielgrzymi rozkładali się biwakiem wokół groty, w

laskach, dla wypoczynku i pokrzepienia ciała. Teraz i w dziennikach nazwisko Cornacchioli

zaczęło się pojawiać. Serwis fotograficzny uwzględniał wszystkie elementy z wyjątkiem noża,

ponieważ cenzura włoska zakazuje zamieszczania zdjęć wszelkich narzędzi mordu.

Tyłu teraz zaczęło przychodzić, że objęte zostały pielgrzymowaniem i odwiedzinami godziny

wieczorne. Pojawił się straganik ze świecami. Po zakupieniu zapalało się je w grocie. Było

bardzo ładnie. Po wyjściu z groty ogarniały ludzi ciemności. Ponieważ

Cornacchiola musiał stale

czuwać w grocie, wyprowadzała ludzi na gościniec Lilia. Ale w sierpniu

Cornacchiola musiał

zrezygnować z jej pomocy, psina okazała się szczen-na. Nic to nie odejmowało piękna jej

uczynkowi, kiedy to wyższym impulsem pchnięta wygnała z groty spółkującą parę profanatorów,

niemniej przeto Cornacchiola uznał, że urodzić szczenięta winna była poza terenem groty. Wziął

ją do siebie pewien wysoki dygnitarz z Akcji Katolickiej, komandor Carlo Rossi, do swego

pięknego domu przy ulicy Rubattino, gdzie mu urodziła pięcioro szceniąt.

Minął rok, na początku drugiego w Św. Ofic-jum zaczęto się zastanawiać, co z tym zrobić.

Cornacchioli urastały coraz szersze skrzydła. Przybywało możnych przyjaciół i protektorów.



Wśród odwiedzających go coraz to migąła sutanna księdza czy habit mniszki. Życie cudów na tej ziemi nie jest jednak łatwe. Ściga je podejrzliwość, podejrzliwość świętobliwa, podejrzliwość z urzędu, no i najzwyczajniejsza podejrzliwość ludzka, sceptyczna, laicka. Cud wyzwała z ludzi wiele najlepszych uczuć, ale jednocześnie wyzwała wiele najgorszych. Ciekawość, nachalność, niedobre ambicje wmieszania swojej osoby w sprawę, chęć naśladownictwa. Oto pewnego dnia pojawił się drab, grzesznik, profanator pogryziony przez psinę i w skrusiceniu zaczął okazywać swoje łydki. Potem przyznał się do tej roli i drugi. Doszło do bójki. Nie było to najgorsze. Doszło potem bowiem między oboma do zgody. Przychodzili teraz pod grotę na zmianę. Tak dotrwała rzecz do roku 1949, do wiosmy. Pewnego dnia Cornacchiola został wezwany do Św. Oficjum. Pogadano tam z nim i nie pojawił się więcej w grocie. Ale zanim prasa i opinia rzymska zdążyły fakt skomentować, w dzień Niepokalanego Poczęcia N. P. Marii tłumy usłyszały najpierw ze zdziwieniem u Św. Piotra jakiś prostaczy głos recytujący litanie, a potem ujrzały postać w szacie pokutnej, wręczającą papieżowi najpierw Biblię owej sekty, stawiającej sobie jako cel nienawiść do jego osoby, następnie wręczającą nóż. Papież przedmioty przyjął. Po wręczeniu Cornacchiola ukląkł i prosił o przebaczenie. Otrzymał je. Przez trzy lata nie było o nim słyhać. Jedni mówili, że otworzył sklepik na prowincji, inni, że otrzymał święcenia. Ale nazwisko jego pamiętne było wszystkim, tym dziesiątkom tysięcy, które go chodziły odwiedzać w grocie. Toteż nikt się nie zdziwił, wyczytawszy je pewnego dnia na liście kandydatów Demokracji Chrześcijańskiej w najbliższych wyborach komunalnych. W wyborach przeszedł i w ten sposób, stawszy się jednym z ojców miasta, zasiadł na Kapitolu. Nóż, Biblia sekty, jak również zasekwestrowana w dzień po wizycie Cornacchioli w Św. Oficjum enuncjacja na dykcie – spoczywają gdzieś w jego magazynach w pałacu przy Piazza del S. Ufficio. Przy wejściu do groty nikt świec nie sprzedaje. W laskach wszystko po staremu. O psince Lilii zaś jedni powiadają, że zdechła, drudzy, że jest nadal na wsi, należącej do tego komandora, u którego się oszczeniła. Rzym, 9 marca 57 r. Trzy dni w Palermo. Szóstego o siódmej wieczorem pociągiem do

Neapolu. W Neapolu taksówką do portu i na statek Calabria. Statek ogromny, biały, wyświecony. Okropna kolacja. Miła kabina i dobra koja, tylko trzęsie, huczy, i, co gorzej, kołysze. Zasnąć nie mogę, nudzę się, ubieram i wychodzę na pokład. A raczej na pokłady, bo są trzy. Jest zresztą wcześniej, koło jedenastej. Na lewo światełka. To Sorrento i sam czubek półwyspu amalfitańskiego. A potem już noc, noc, ciemno i coraz zimniej. Absolutnie pusto. Kołysze. Poblaskują mosiężne okucia fałszyburty przy zejściach na trapy i w różnych innych miejscach. Narzucają się oczom i fantazji koła ratunkowe. Na ich widok budzi się w człowieku impuls, żeby rzucić się w morze i płynąć. Impuls mobilizujący jedną setną energii człowieka. A może jeden promil tej energii. Jest to malutka resztką psychologiczną i historyczną potężnych instynktów przygody, bohaterstwa, ryzyka. Jest to resztką z rodzaju tych, które w krytycznych chwilach opanowują dusze bohaterów Dostojewskiego, zamieniając się w pierwszoplanowe siły psychiczne, straszne, zawrotne. W barze nawiązuję konwersację z wysokim i smutnym panem, który wraca z Rzymu do Palermo, gdzie występuje. Jest aktorem, pochodzi z Genui, grał po wszystkich miastach włoskich, angażowany na dwa, trzy, cztery miesiące czy też na cały sezon, to znaczy na sześć miesięcy. Jeden Mediolan ma stały teatr, a tak reszta życia teatralnego to kompanie, spektakle organizowane ad hoc, sale wynajmowane na parę miesięcy. Czasami jakieś nadzieje na stałość, załączki stałości, jak ostatnio w Genui i Rzymie. Kruche, zawodne. Zmora. Ponadto cenzura. Starania Strehlera o wystawienie „Opery za trzy grosze” trwały dwa lata. I to w Mediolanie, gdzie jest zupełnie inaczej niż w Rzymie, nie mówiąc już o Palermo. Mediolan jest olbrzymim miastem handlowym, centrum olbrzymiego przemysłu. Nacisk inteligencji laickiej jest w nim tak silny, że po trosze liberalizuje nawet kurie. Mój rozmówca opowiada, że Palermo pod tym względem jest straszne. Kardynał Palermo, Ruf-fini, nienawidzi teatru, pogardza nim. Najchętniej by go zamknął. Nawet opera, duma Palermo, ów Teatro Massimo, gdzie właśnie nasz Bernard Ładysz święci tryumfy, którym z ramienia ambasady przyjechałem asystować, nie cieszy się jego zaufaniem. Kiedy w roku 1945 wstąpił na swoją stolicę, miasto przedstawiało jedną ruinę. W powodzi trosk za naczelną sprawę kardynał uznał kłopot z operą, przy której odnawianiu

powrócono do starowłoskiego systemu drzwiczek łączących między sobą sąsiadujące łoże. Życie teatrów operowych w Italii oparte jest w znacznej mierze na abonamentach. Znajomi i krewni wynajmują na cały sezon łoże obok siebie. Podczas przedstawienia odwiedzają się, zmieniają miejsca. Z punktu widzenia recepcji artystycznej rzecz może naganna, z punktu widzenia moralności, mnie, laikowi w tych sprawach, wydawałaby się obojętna.'

A tymczasem nie. Ruffini zagrzmiał, poruszył niebo i ziemię. Było to bezpośrednio po wojnie. W okresie kiedy jeszcze Kościół nie wpił się tak zupełnie w życie włoskie, polityczne, administracyjne, kulturalne, jak dziś. Ostatecznie zwyciężył. Pomogło mu to, że nigdzie we Włoszech takich drzwiczek nie ma. Zniósł je Innocenty XI, ten sam, który monsignorów rozsyłał po pralniach, żeby konfiskowali koszule z za dużym dekoltem. Za młodu lubił teatr i jeszcze jako kardynał chętnie organizował widowiska. 'Zorientowany więc był w tym, że ludzie przechodzą przez drzwiczki z łoża do łoża, gnani nie tylko uczuciami rodzinnymi i przyjacielskimi. Na widowiska wynajmowano nawet łoże obok siebie, tak jak w wieki później wynajmowano w hotelach sąsiadujące pokoje. Otóż Innocenty XI zostawszy papieżem, w poczuciu najwyższej moralności, kazał przynajmniej pozabijać gwoździami, gdzie się już nie dało skasować na stałe, nieszczęsne drzwiczki.

Mój rozmówca twierdzi, że jeśli architekci pa-lermiańscy sobie o nich przypomnieli, to wyłącznie jako o elemencie zabytkowym, niejako z punktu widzenia konserwatorskiego. Bo w dzisiejszym życiu włoskim patrzeć na drzwiczki okiem stróża moralności jest absurdem. Jest prze-śmiesznym anachronizmem.

Ciekawe w tym wszystkim to to, że czy to Innocenty XI i tylu innych papieży, czy to ten kardynał Ruffini ze swego punktu widzenia dotykają jakiejś racji. Uważają swobodne życie erotyczne za grzeszne i znając pobudliwość Vwego narodu, gdzie potrafią, tam stawiają tęj swobodzie tamę. Więc w teatrze, który nie tylko raz po raz ociera się o grzech na scenie, ale jeszcze na widowni, przede wszystkim w tych łożach, ułatwia demoralizację. Jeśli przyjąć za Innocentym XI, że teatr jest wymysłem szatana, zgodzić się trzeba z tym, że szatan wspaniale swoją rzecz obmyślił. Racjonalizatorsko i operatywnie. Bo za

jednym

zamachem działa w dwu kierunkach: na scenie sieje, a po łóżach zbiera zniwo. Nie są to fantazje.

A przynajmniej nie fantazje potwierdzone wyłącznie świadectwem autorytetów kościelnych. W

„Życiu Rossiniego” Stendhal powiada, że w Italii ludzie z towarzystwa miłość do muzyki, a

zwłaszcza nawyk do niej, przynoszą na ten świat wraz z urodzeniem, a ściślej biorąc wraz z

poczęciem, ponieważ przygniatający ich procent poczęty jest w łóżach i prowadzących do tych

łóż salonikach.

Obyczaj ten przeminął. Zadał mu cios splot przyczyn. Czego nie zdołał złamać Innocenty XI,

jak się zdaje, obróciło wniwe.cz elektryczne światło. Tak przynajmniej twierdzi mój rozmówca.

Zwraca mi uwagę na to, że za dawnych czasów na widowni było ciemno, a w łóżach ciemno jak

w lochu. Nie to, co dzisiaj, kiedy nawet po wygaszeniu świateł na widowni bije od jupiterów i ze

scehy blask tak silny, że nikt by przy nim nie odważył się na żadne poważniejsze bezeceństwo.

Ale niweczący wpływ na stary obyczaj ma nie tylko elektryfikacja. Motoryzacja rujnuje jego

atrakcyjność do reszty.

Gdyby kardynał Ruffini czytał nie tylko Stend-hala, ale i współczesnych pisarzy włoskich i

niewłoskich, lecz oczywiście najlepiej tych ostatnich, a więc Morawie,

Pratoliniego, Pattiego czy

dziesiątek innych, otworzyłyby mu się oczy. Do muzyki nie przynosi już nikt nawyku w dniu

poczęcia. A jeżeli już, to bardzo nieliczny procent i to wyłącznie do muzycznej oprawy filmowej.

Na czoło jednak wybija się motoryzacja. Głównie samochody, które uwożą z dala od świadków i

częstokroć służą za gniazdko. Na tym nie koniec. W grę wchodzi również, chociaż znacznie

rzadziej, łodzie motorowe, tak zwane lancie. Ale przede wszystkim te setki tysięcy skuterów

wyrywających z miasta w każdą pogodną niedzielę.

Urocze są. Ileż w nich swobody. Połowa z nich w taką niedzielę ma klasyczną obsadę.

Obsadę pełną. Chłopca, który prowadzi, i za nim siedzącą, ślicznie i po damsku, dziewczynę.

Zosia takie pary nazywa zmotoryzowanym porwaniem Europy. W odróżnieniu od samochodów i

lancii, skutery nie mogą służyć za gniazdko. Ale Rzym czy Palermo mają tak cudowne otoczenie

lasów, zarośli nad brzegami jezior, odległych dzikich plaż, że bez skarosowanych gniazdek

można się obyć.

Ta łatwość w odosobnieniu się, i to w warunkach nie noszących na sobie  
poniżającego i

dwuznacznego piętna, jest przełomem, który przywraca stosunkom erotycznym  
świeżość i

prymitywizm pierwotny. Socjologicznie, obyczajowo rzecz ma wagę przełomu,  
jakiego nie zna

historia w tym zakresie spraw. Można się w ten sposób ustosunkować do tego  
zjawiska, można

inaczej. Ale mając taki problem do rozwiązania, uganiać się za diabłem po łóżach  
teatralnych

wydaje się niepojęte.

Mój rozmówca opowiada, że kardynał daje teatrom straszną szkołę. Dokuczliwa jest  
z tego

względu, że dla Ruffiniego to żaden argument, że taka czy inna sztuka była grana  
w innych

diecezjach. Mógł ją puścić kardynał Siri czy kardynał Lercaro, czy nawet  
kardynał Mimmi, on

się na nią nie godzi. Okropne też jest to, że nigdy sprawa nie jest zafiksowana.

Na ostatnią próbę

przychodzi ci jakiś cywil, nie wiadomo bowiem dlaczego tak Ruffini, jak i Mimmi  
posługują się

w tych czynnościach różnymi skromniutko, biedniutko ubranymi, ale bardzo  
dystygowanymi

figurami z tak zwanego towarzystwa. Milczy to, poci się, kręci, rumieni. Po czym  
po cichutku

wstaje, no i idzie, gdzie trzeba, i nicuje.

Mój rozmówca mówi, że jest rzeczą również ciekawą, że nad filmem nie  
przeprowadza się

żadnej superkontroli. Kiedy ktoś wyrażał Ruffiniemu zdziwienie, że nie chciał  
puścić sztuki, co

do której nie miał żadnych zastrzeżeń patriarcha Wenecji, powiedział, że nie  
kardynał Roncalli,

ale on jest odpowiedzialny przed Bogiem za dusze ludzi z Palermo. Pod względem  
filmowym

dusza duszy na terenie Włoch jest równa. Co przepuściła cenzura rzymska, idzie  
bez trudności

wszędzie. Natomiast niech się tylko pojawi żywy człowiek na scenie, całe  
ceregiele. Mój

rozmówca twierdzi, że to jakieś specjalne uczulenie.

Ja myślę, że nie. Ja myślę, że to jest to, co S. uważa za najbardziej  
prerażające w

dzisiejszym Kościele, a co C. uważa za zbawcze dla Kościoła i za cechę w  
znacznym stopniu

łagodzącą ciężar gatunkowy jego konserwatyizmu. A mianowicie jego daltonizm,  
który sprawia,

że całą swą energią skupia na znanych sobie fenomenach. Z czym więc walczył,  
walczy. O co

zabiegał, zabiega. Mówiąc krótko: będzie jeszcze przez tysiąc lat wpisywał  
książki na indeks.

Nie wpisze filmu. Będzie się rzucał na drobnostki, jak ten kardynał na łożu, podczas gdy kolosalna fala swobody obyczajowej rozwała mu dorobek wieków na zupełnie innym odcinku i innym sposobem. Ale cóż by na to pomógł, gdyby dojrzał i wplątał się w walkę. Ja jestem zdania, że jest mądrość w tej ślepotce.

Rzym, 18 marca 57 r.

Agenzia Romana Inlormazioni (katolicka) podaje, że papież „przyjął na audiencji biskupa gdańskiego Carlo Maria Splett". Splett został biskupem gdańskim na rok przed wojną. Był bardzo ciężki dla Polaków i polskich księży rugował z wszystkich parafii i stanowisk, jak mógł. Podczas wojny poszedł na całego, posiłkując się Gestapo. Po wojnie został skazany na dożywotnie więzienie. Przesiedział się do zeszłej jesieni. Ten Splett szczególnie mnie drażnił, ilekroć jego nazwisko spotykałem w tutejszej publicystyce na temat Kościoła Milczenia w Polsce. Obserwowałem, że nigdy nie jawił się samodzielnie jako przykład naszego traktowania dostojników kościelnych. Ale przy omawianiu innych wypadków zawsze wyskakiwało jego nazwisko. Każdy w Watykanie wiedział, że kto jak kto, ale Splett słusznie siedzi. Stąd to posługiwanie się w publicystyce jego nazwiskiem półgębkiem. Na dokładkę do innych. Teraz nawet nie to mi się wydaje niewłaściwe, że papież go przyjął. Ale podawanie przez prasowego rzecznika watykańskiego tego wyróżnienia do wiadomości publicznej odczuwam jako coś, co bym nazwał ewig pap-stliche.

Rzym, 23 marca 57 r.

Nakłady książek w Italii są niskie. Zęby przyjąć księgarzom i pisarzom z pomocą, Prezydium Rady Ministrów corocznie organizuje w większych miastach „Spotkania z książką". Tworzą się lokalne komitety pod przewodnictwem prefekta. Miejscowi ordynariusze delegują do nich swoich reprezentantów. Zestawy książek przygotowuje Prezydium Rady Ministrów. Dla Neapolu wybrało ono tego roku cztery książki: Racconti--Ricordi, których autorem jest Umberto Saba; Conlessioni agli specchi, autor – Ugo Landau; 71 fessijnone, autor – Mario Pomilio i Fiabe Italiane, bajki włoskie zebrane przez Italo Calvino.

Ale kardynał Neapolu, arcybiskup Mimmi, zaprotestował. Powiadomił prefekta, że wycofuje swego delegata aż do rozstrzygnięcia sprawy. Odpis protestu przesłał Segniemu.

Odpis ten dotarł do Rzymu już po depeszy od prefekta, który nie radząc się swoich władz, wycofał z zestawu bajki włoskie. W Prezydium Rady Ministrów każdy wiedział, że ich autor jest rzeczywiście członkiem KPW. Ponieważ jednak należał do grupy Giolittiego, grupy rewizjonistów z Turynu, cały przesycony ich ideami, książka zaś jego, owe bajki włoskie, nie była niczym innym jak zbiorem autentycznych ludowych bajek, głównie lombardzkich, tokańskich, sardyńskich, umbryj-skich i neapolitariskich – Prezydium Rady Ministrów włączyło go do spisu. Książka miała znakomite recenzje. Była pierwszym tego rodzaju zbiorem. Jej akcenty społeczne uznano za niewinne i wpływające z samego materiału, a nie z przeróbki. Ale z tym wszystkim Italo Calvino był komunistą? Był! No to czegoż trzeba było kardynałowi Mimmi więcej. Ciekawe, że Osseivatore Romano, podając tę sprawę do wiadomości swoich czytelników, precyzuje problem komunizmu Italo Calvino jako „komunizm już nie stalinowski, ale raczej tylko a la Chruszczow”. To watykańskie dislingud w tej konkretnej sytuacji też jest warte poematu! Ale to jest oczywiście uboczny akcent sprawy. Naczelny sens tkwi w tym poddaniu się państwa Kościołowi. W Rzymie jest to widoczne, no i na całym Południu. Władza władzą, prefekt prefektem, premier premierem, ale oczywiście to jest dobre, dopóki się wszystko Kościołowi podoba. Nie podoba się, zaklaszcze w ręce i trzeba wszystko zmieniać. Bo on jest panem. Rzym, 25 marca 57 r. Ukazał się Pio XI visto da vicino arcybiskupa Carlo Confalonieri, Sekretarza Sw. Kongregacji Seminariorów i Wyższych Uczelni. Liczy czterysta stron. Confalonieri był osobistym sekretarzem Piusa XI przez osiemnaście lat. F. mówił mi, że książkę miał gotową od kilkunastu lat. Wahał się z jej wydaniem, żeby sobie nie popsuć szans u Piusa XII. Ale nic to nie pomogło. Nic mu nie zapowiada purpury. Więc postanowił wydać. Pius XI umarł w roku 1939. To znaczy lat temu również osiemnaście. Rzeczywiście nieco długo Confalonieri zatrzymywał dla siebie swoje budujące wspomnienia. Wszelako muszę je kupić. Rzym, 27 marca 57 r. Kardynał Mindszenty nie ma najlepszej opinii na Zachodzie. Uważa się, że od początku zachowywał się nierozważnie, a w trakcie powstania przeszedł samego siebie. Ciekawe uwagi w

jego obronie znajduję u hr. Giuseppe Della Torre (redaktora Osservatore Romano).  
W artykule  
pt. Un sorprendente fenomeno d'oltre cortina, zamieszczonym w lutowym numerze  
Vita e  
Pensie-TO, które redaguje O. Augustyn Gemelli, franciszkanin, wielki tuz  
teologiczny, Rektor  
Uniwersytetu Katolickiego w Mediolanie oraz Prezes Papieskiej Akademii Nauk.  
Della Torre pisze: „Na Zachodzie osąd o postępowaniu kardynała Mindszenteo nie  
zawsze  
wypada przychylnie... Chociaż nie mówi się o nim tego wyraźnie, również po tej  
stronie żelaznej  
kurtyny, tak w Ameryce, jak i w Europie, nie ma nikogo, który by sobie w duchu  
nie powiadał:  
»do pewnego stopnia ma, czego chciał«. Głośno tego nikt nie wypowiada, bo to nie  
byłoby  
szlachetne wobec ofiary ostatecznie bohaterskiej".  
„I ustosunkowując się w ten sposób do tej sprawy, nikt nie pomyślał, że  
wydarzenia dotyczą  
kraju... w którym nigdy Kościół nie został oddzielony od państwa... (dotyczą  
kraju)... w którym  
Kościół pozostał jedną z podstawowych mocy twórczych i zachowawczych narodu i  
państwa. Na  
Węgrzech prymas zachował cały prestiż płynący z faktu, że on to dokonuje  
koronacji króla. W  
parlamencie posiadał stałe krzesło. Był osobistością polityczną drugą po królu.  
Nie mógł więc z  
uprawnień swoich zrezygnować, zwłaszcza w chwili bezkrólewia".  
„...Mówić więc w tym wypadku o politykier-stwie, mówić o biskupach i zakonnikach  
rozpolitykowanych... to nic innego, jak wypowiadać sądy o rzeczach, w których  
nie ma się  
dostatecznego zorientowania. To również zadowalanie się skutkami bez wglądania w  
głębsze  
przyczyny, a ściślej zadowalanie się pozorami z pominięciem istoty sprawy".  
Ciekawe jest, że w tym artykule, którego Della Torre nie zamieścił w Osservatore  
Romano,  
organie półoficjalnym i o dużym nakładzie, lecz u O. Gemelli, w jego elitarnym  
miesięczniku,  
nie broni on Mindszenteo w sposób stereotypowy dla prasy katolickiej całego  
świata. Nie mówi,  
że to, co mu zarzucano, jest nieprawdą. Nie, tak nie robi. Wręcz przeciwnie.  
Łapie byka za rogi.  
Ciekawe też jest rozróżnienie na temat niejako innych obowiązków politycznych  
hierarchii  
kościelnej tam, gdzie nastąpił rozdział Kościoła od państwa, i tam, gdzie ten  
rozdział nie nastąpił.  
Ale najciekawsze dla mnie jest zrozumienie roli politycznej Kościoła wyłącznie  
jako czynnika  
zachowawczego. A więc nie jako czynnika pomagającego kształtować się nowym  
formom, które  
Kościół uznał za przyzwoite. Nie! Nie! Nie! U Della Torre świat jest sformowany



raz na zawsze.

Rzecz Kościoła jest trzymać go w nadanych mu przez Boga i przez historię formach. U papieża

konserwatyzm jest ciekawszy, głębszy. Jest tragicznym poczuciem fermentów i procesów,

nagłych i szalonych, i krańcowych, które należy hamować za wszelką cenę, żeby wszystko się w

sposób nieodwracalny nie pogmatwało. Dla papieża nie tylko to jest straszne, że świat lada

moment gotów się zagalopować. W samym galopie jest dla niego coś niehumanicznego.

Konserwatyzm papieża jest tragiczny. Jest to konserwatyzm katastrofisty.

Rzym, 9 maja 57 r. Wczoraj o godzinie ósmej wieczorem przyjechał kardynał Wyszyński.

Wraz z nim biskup łódzki Klepacz, dwóch sufraganów kardynała Wyszyńskiego, jeden gnieźnieński, Baraniak, a drugi warszawski, Choromański, który jest także Sekretarzem

Episkopatu Polskiego. Wraz z nimi ks. ks. Padacz i Kulczycki, pierwszy kapelan, a drugi

sekretarz kardynała Wyszyńskiego. W Udi-ne, Padwie, Florencji wychodzili na dworzec biskupi

i arcybiskupi. W Wenecji przyszedł kardynał Roncalli, patriarcha Wenecji. Nie wiem, jak było w

Bolonii. Na dworcu w Rzymie skromnie: monsignor Luigi Poggi (Uditor di Nunziatura di 2

Classe) oraz monsignor Giacomo Mantin (Adet-to). O pierwszym wiem, że jest referentem od

spraw polskich. Drugi, mała figura z protokołu.

Pierwszy przywitał się z kardynałem Wyszyńskim arcybiskup Gawlina, który przed wdzianiem sukienki duchowej przez lata chadzał w mundurze. Wagon z kardynałem nie

wycelował akurat-nie tam, gdzie policja i straż kolejowa wybroniły przed naporem ludzi

niewielki placyk dla notabli przybyłych witać kardynała. Powstało grube zamieszanie.

Podziwiałem, z jakim instynktem taktycznym Gawlina przebił się przez tłum.

Jednak co

wojskowy, to wojskowy. Przywitanie ambasadora Druto z Wyszyńskim odbyło się w dzikim

ścisku. Wyszyńskiego pod ręce trzymali Kulczycki z Padaczem, ratując go od wahnień i wirów

tłumu. Kardynał ledwo mógł sięgnąć własnego kapelusza, a ręki do przywitania nie zdołał

wyciągnąć. Wystawała mu ze środka piersi. Stałem o metr za Druto. Pomiedzy nas ścisk

wprasował grupę zakonnic.

Polacy krzyczeli słowa powitalne, Włosi, których też zebrało się na dworcu z dobry tysiąc,

klaskali. Nic dziwnego, że nie słyszałem głosu Turowicza, który jest w Italii od miesiąca, a dziś

przyjechał w tym samym wagonie, co kardynał, wsiadłszy we Florencji. Też był o

metr ode mnie  
i wołał. Dopiero następnego dnia dowiedziałem się, że jest. Prasa dzisiejsza  
pełna wiadomości o  
przyjeździe. A. dzwoni oburzony, że Osservatore Romano podało małą wzmiankę.  
Mówię mu,  
że zasadniczo nie rejestruje ono ruchu kardynalskiego. Wydaje mi się, że w  
ubiegłym roku tylko  
raz widziałem notatkę o przybyciu kardynała Spellmana. Na to powiada, że  
przyjazd  
Wyszyńskiego nie jest seryjnym przyjazdem. Niewątpliwie. Niewątpliwie też, że  
wzmianka nie  
jest spora. Ale z drugiej strony przyjazd i wszystko, co się z nim łączy, to  
wciąż ciężki orzech do  
zgrzyzenia.  
A do tego prasa! Jeden z dzienników lewicowych napisał, że „papież ucałuje  
kardynała  
Wyszyńskiego w jeden policzek za jego niezłomność, a w drugi za to, że umiał w  
państwie  
socjalistycznym uzyskać dla Kościoła wszystko, czego mu potrzeba do życia”.  
Oczywiście  
Osservatore della Domenica oszalało. Ale kiedy już się wyrugało, podaje  
formułę, o której  
wiem, że będzie obowiązująca dla wyjaśnienia ludziom specyficznej sytuacji  
pomiędzy  
państwem i Kościołem w Polsce. Brzmi ona: „Nie obalający reguły wyjątek, wynikły  
ze  
szczególnych względów, które... polski reżym zmuszony był okazać katolicyzmowi.  
Reguła zaś  
w istocie pozostaje dla komunistycznego państwa ta sama: cisnąć katolika”.  
Rzym, 14 maja 57 r.  
Dzisiejsze Osservatore podaje opis niezwykłej poniedziałkowej uroczystości.  
Rzeczywiście, jeżeli się pomyśli, że od czasów Karola Wielkiego do wczoraj ani  
razu głowa  
państwa francuskiego – król czy prezydent – nie złożyła wizyty głowie Kościoła,  
ocenia się  
wyjątkowość wczorajszego wydarzenia. Uroczystość opracowana została z olbrzymim  
zadaniem.  
Plac przed Sw. Piotrem był pusty. Należy on podług Paktu Laterańskiego do  
państwa  
watykańskiego. Normalnie jednak władza nim miasto. Posterunki papieskie zaczynają  
się dopiero  
po obu stronach Bazyliki. W dniu wczorajszym, przynajmniej na czas wizyty  
prezydenta Coty,  
stały u wejścia na plac, pomiędzy ramionami kolumnady Berniniego.  
Coty jechał z willi Buonaparte, gdzie mieści się ambasada francuska przy  
Watykanie.  
Przeniósł się do niej z Kwirynału, gdzie mieszkał od dziewiątego maja, to jest  
od dnia swego  
przyjazdu do Rzymu. Dwunastego wieczorem niejako wyjechał z Włoch i zamieszkał  
na

eksterytorialnym gruncie ambasady. Z tego punktu wypadowego wyruszył na oficjalną wizytę do stolicy apostolskiej. Jest to protokolarny trick wymyślony przez Benedykta XV. Było to w swoim czasie śmiałym wynalazkiem, dyplomatycznym jajkiem Kolumba, pozwalającym w okresie zimnej wojny pomiędzy Watykanem a dynastią sabaudzką składać papieżowi wizyty znakomitościom przebywającym na terenie Włoch. Dziś ten okres zimnej wojny Watykanu z państwem włoskim należy do przeszłości. Nikt już o nim nie pamięta. Ale trick przekształcił się w precedens, precedens przeszedł z zwyczaj, który wyciąga się z lamusa na wielki dzwon.

Wjechałszy na plac, Coty zatrzymał się na granicy państwa watykańskiego. Stał już tam pierwszy rzut dygnitarzy papieskich, z księciem Pacellim na czele. Bratanek papieża – Don Carlo, gubernator państwa watykańskiego – przemówił do Coty'ego. Po czym przedstawił mu pierwszy rzut. Wsiadli do samochodów i pojechali przez plac, przez bramę, przez szereg podwórców i placyków, krótko mówiąc przez całe państwo, aż się znaleźli na podwórku św. Dama-zego. Tu znów wszyscy wysiedli. Podwórzec pełen był wojsk. Trzy wojska rozmieszczono na placyku. Czwarte stało na schodach. Wszystko dla parady.

Co kilkanaście kroków pochód zatrzymywał się dla nowego rzutu dygnitarzy. Nad gradacją, nad ułożeniem wszystkiego na podstawie przesłanek historycznych, heraldycznych, kanonicznych pracowano od miesięcy. Do Świętej Kongregacji Ceremoniału odkomenderowano na długie tygodnie przedtem dziesiątki monsignorów z rozmaitych innych dykasterii i urzędów.

Oni to wraz z urzędem Maestro di Camera di Sua Santità szlifowali i cyzelowali zestawy i kolejności.

Niepodobna wyliczyć wszystkich tych dygnitarzy, których funkcje są przeważnie tytularne, a więc tych różnych koniuszych, podczaszych, poczmistrzów, szatnych, szambelanów rzeczywistych, szambelanów tajnych, szambelanów nadliczbowych, Szambelanów Honorowych w Stroju Fioletowym, o których Annuario Pontificio informuje, że pochodzenie ich funkcji ani zakres nie da się wyśledzić, wiadome jest tylko, że ustają one z dniem śmierci papieża.

Osservatoie wymienia wszystkich. Jeszcze jedna wiązka arystokracji i jeszcze jedna. Margrabiów, hrabiów, książąt. Przewijają się nazwiska historyczne książąt i Massimo, Barberinich, Rovere. Na samym końcu, ale w charakterze bezcennej klamry, jawią

się dwa  
nazwiska: księcia Orsini i księcia Colonna, których rody od czasów Juliusza II  
mają przywilej  
stania przy uroczystościach papieskich tuż przy tronie, i to Orsini po prawym  
jego boku w latach  
parzystych, a po lewym w nieparzystych. Colonna zaś odwrotnie.  
Jest rzeczą dla mnie interesującą, że w takie dni jak wczoraj, w te dni  
wielkiego dzwonu  
Watykan wydobywa na wierzch przede wszystkim właśnie te postaci i te tytuły.  
Monsignorów,  
arcybiskupów, opatów ma na co dzień. Koniuszowie, podczaszowie, szambelanowie są  
od  
święta. Błyska od nich dawną chwałą. Dawną chwałą w dawnej wersji. Nieraz się  
nad tym  
zastanawiałem, ile w tym jest metody. Ten olbrzymi nacisk, który się kładzie na  
te sprawy w  
Watykanie, wydaje mi się świadomy. Ludzie Igną do Kościoła dzisiaj nie dlatego,  
że obiecuje  
wieczność, tylko dlatego, że jest stary. Skołatani, stargani współczesnością  
Igną ku jego  
hamującym murom. Ci oczywiście, którzy Igną.  
Wreszcie po czterdziestu siedmiu minutach wstępowania i witania się z coraz to  
nowymi  
grupami dygnitarzy, Coty zasiadł z Piusem XII w jednej sali, w sali Małego  
Tronu, Pius właśnie  
na tronie. Po jego prawicy Coty na wspaniałym fotelu. Rozmowa trwała godzinę. Po  
czym dalsze  
ceremonie, prezentacje i przemówienia. Motywy przemówień: najstarsza córka  
Kościoła wraca w  
objęcia Kościoła.  
W dniu dzisiejszym prezydent uda się do Bazyliki Lateraneńskiej na mszę .  
odprawioną  
w«dle prastarego rytuału, na mszę pro lelici statu Gal-Hcae nationis'. Zasiądzie  
na zasadzie  
równie prastarego przywileju królów francuskich pośród kanoników bazyliki jako  
protokanonik.  
Będzie obecny również na mszy uroczystej w kościele Sw. Ludwika przy placu  
Navona w dniu  
św. Joanny. Najstarsza córka Kościoła okazuje wiele względów swojej matce.  
Prasa przypomina rok 1904. Odwiedził wówczas Wiktora Emanuela III prezydent  
Francji,  
Loubet. Przy tej okazji nie odwiedził Watykanu. Papieżem wówczas był Pius X,  
żaden polityk.  
Sekretarzem Stanu był kardynał Merry de Val, początkujący dopiero w polityce.  
Obaj wymyślili  
protest przeciwko zachowaniu się Loubeta. Ponadto okazało się, że przed jego  
przyjazdem do  
Włoch naciskali nań przez nuncjusza w Paryżu, żeby nie składał wizyty Sabaudom,  
ponieważ  
będzie to „obrazą stolicy apostolskiej, naruszeniem jej praw i zniewagą w

stosunku do osoby  
samego Ojca Św.". Kiedy fakt tych nacisków wyszedł na jaw, Włochów ogarnęła  
wściekłość.  
Manifestacje ruszyły pod mury Watykanu, łącząc papieża i papieżstwo. Zaledwie pół  
wieku temu, a  
inny świat!  
F. szaleje, że Watykan przy okazji tej wizyty sprzedał Arabów w Algierze,  
Francja zaś  
Watykanowi – szkołę laicką. Oburza się i mówi, że Watykan powinien zorganizować  
– jak  
Mediolan czy Lipsk – doroczne targi watykańskie, kupcząc na nich i frymarcząc.  
Ale nie  
symplifikuj! Pio lelici... – Za szczęście narodu francuskiego.  
my. Zagadnienie szkoły i zawieszenie przez Watykan na terenie Tunisu, Algieru i  
Maroka  
swoich manewrów antykolonialistycznych – to są dodatki, to są drobiazgi. Wymiana  
prezentów  
pomiędzy córą i matką. Sam proces jest czymś nieopisanie znaczniejszym i  
żywiłowszym. A.  
dobrze określił sytuację mówiąc: „Loubet, nawet gdyby chciał, nie mógłby złożyć  
wizyty  
Piusowi X: Coty, nawet gdyby nie chciał, nie mógłby jej nie złożyć Piusowi XII".  
Ta niemożność  
niezłożenia wizyty, ten mus złożenia, rozgryźć to, zrozumieć, to zrozumie się  
jedną z głównych  
kierunkowych współczesności, tak jak się one tu przełamują na terenie rzymskim.  
Nie ma ona nic  
wspólnego z żadną mistyką, z żadną filozofią. Jest tylko naturalnym dążeniem ku  
sobie pewnych  
sił, instynktownym szukaniem się pewnych wartości. A. mówi: – Europy! – Nie jest  
to ścisłe, ale  
nie jest głupie!  
Rzym, 15 maja 57 r.  
S. powiedział, że kiedy prezydent tradycyjnie laickiej i nie mającej konkordatu  
z Watykanem  
Francji, Coty, ukląkł przed papieżem i w tej hołdowniczej pozycji czekał na jego  
błogosławieństwo, na pewno w duchu (trawestując słynne powiedzenie Henryka IV)  
mówił:  
Algerie vaut une messe!  
Rzym, 16 maja 57 r.  
Wczoraj u pp. B. Był tam ksiądz M., którego już raz u nich widziałem. Miły,  
inteligentny  
Francuz, lat około czterdziestu. Podniecony obecnością Coty'ego w Rzymie, gadał  
jak najęty.  
Mówił zresztą wiele rzeczy ciekawych. Zniewalał już sam ton, sama tonacja  
intelektualna.  
Niezależna, szukająca, obiektywna. Opowiadał o przyjeździe Maritain do Rzymu na  
ambasadora przy Watykanie. Składając listy uwierzytelniające, Maritain  
przypomniał słynne w  
swoim czasie zdanie-hasło kardynała Verdier o „osi Francja – Kościół, tej

jedynej osi zdolnej uratować cywilizację". Nie powiedział – Watykan, tylko powiedział – Kościół. Ale wiadome było wszystkim, że tu o Watykan chodzi, jak również wiadome było, czemu się kardynał w swoim haśle przeciwstawia, a mianowicie dotychczasowej osi Watykan – Włochy Mussoliniego, czy osi Watykan – Berlin, jak również zarysowującej się już wówczas osi Watykan – Waszyngton. Wiadomo też było, jaka jest treść ideologiczna zaproponowanej przez kardynała osi Francja – Kościół i jaki byłby w tej osi wkład Francji. Papież też nie miał wątpliwości, o co Maritaino-wi chodzi, gdyż odpowiadając mu nie pominął tej sprawy, zareagował na sondaż Maritaina wyraźnie i pozytywnie. Ks. M. zacytował nawet odpowiedni ustęp. Papież powiedział:

„Nikt nie przyłoży się chętniej niż My dla uczynienia wszystkiego w ramach tego, co jest zgodne z obowiązkami Naszego powołania, żeby przygotować urzeczywistnienie pragnień wielkiego kardynała. Pomiedzy wzniosłymi dążeniami ludzkości złaknięj postępu społecznego i naukami wiary chrześcijańskiej nie może być napięć i sprzeczności".

Zacytował ten ustęp, ks. M. rozglądał się i powtarzał: – Ou sont les neiges d'antan? Ou sont les neiges d'antan! Czyli: gdzie są niegdysiejsze śniegi! Śniegów nie ma, spływały z oficjalnej powierzchni umysłowego życia rzymskiego, zmywając Maritaina, zmywając też pamięć o podobnych słowach papieża, skażonych okropnym wyrażeniem „postęp społeczny", za które dzisiaj można dostać się na listę podejrzanych w takich uczelniach papieskich, jak choćby Univeisitas Gregoriana.

Z pobytu Coty'ego w Watykanie ks. M. opowiadał parę ciekawostek i drobiazgów. Tak na przykład mówił o tym, że po raz pierwszy w historii kapela papieska odegrała Marsylianę i to na domiar wszystkiego wewnątrz murów watykańskich, na podwórku św. Damazego. Zdaje się też, że dotychczas nigdy wszystkich swoich żołnierzy z gwardii szwajcarskiej i z gwardii papieskiej papież nie ustawił na placu św. Piotra. Na pewno też nigdy jeszcze dotąd nie wpuścił do sali Małego Tronu dziennikarzy i telewizji, którzy wkroczyli do niej po zakończonej prezentacji papieżowi przez Coty'ego członków świty. Papież dziennikarzy i pracowników telewizji dostrzegł i każdemu osobno się odklonił.

Z ploteczek opowiadał, że w ostatniej chwili okazało się, że Coty tego ranka, kiedy miał się pożegnać z Gronchim i Italią, żeby zaraz jechać do papieża, wyruszając z willi Buonaparte, nie zmieści czasowo przebrania się ze stroju podróżnego (który obowiązuje przy pożegnaniach) w żakiet (który obowiązuje na audiencjach). Wobec czego błyskawicznie zdecydowano, że będzie żegnał Gronchiego w żakiecie. Coty miał przy tej okazji powiedzieć: – Wszystko się wydało, że ja wcale nie wyjeżdżam. – Do willi Bouna-parte jednak wrócił, a właściwie wpadł tylko na chwilę po to, aby założyć na szyję złoty łańcuch świeżo otrzymanego najwyższego orderu papieskiego, Oidine Supremo del Chiisto, najstarszego też ze wszystkich, bo ustanowionego w 1319 r. przez papieża Jana XXII. Ma go dzisiaj na świecie tylko pięć osób. Gronchi go nie posiada. – Także i z tego względu – zażartował ks. M. – lepiej mu było go nie pokazywać. Chronometraż jest zmorą wielkich ceremonii. Zwłaszcza tych jednorazowych, niepowtarzalnych. Z Coty'm było kilka zahaczeń. Ale grubsze tylko jedno, i to nie z nim, tylko z jego świtą. – Jedno – powiedział ks. M. – ale za to prześmieszne. Nastąpiło ono w momencie, kiedy prezydent ruszył po ceremoniach na podwórku św. Damazego windą na drugie piętro, gdzie mieści się sala Małego Tronu, w której już czekał papież. Ceremoniał przewidywał, że do samych drzwi papieskich prezydentowi towarzyszyć będzie świta i osoby papieskiego dworu. Prezydent przy pomocy windy znalazł się na górze raz-dwa. Ks. M. nie wie, co się tam poplątało. Czy w ogóle coś sknocono z wyprecyzowaniem czasu, czy winda miała zjechać po świtę, a się zacięła, dość na tym, że kiedy prezydent Coty skończył przywitania z dygnitarzami i monsignorami z drugiego piętra, świty i dworu nie było. Poszedł do nich sygnał, żeby szli spieszniej, i potem jeszcze drugi, tak że ostatnie pół piętra musieli przebyć biegiem, sapiąc i pocąc się, zarówno z tego względu, że starzy, jak i z tego, że wszyscy w ciężkich i paradnych kostiumach. Podobno to rwanie w górę coraz szybsze, coraz szybsze, z jednoczesnym salwowaniem swojej godności, miało w sobie coś nieopisanie komicznego, reneclairowskiego. Z innych drobiazgów opowiadał, jak przez lata Watykan męczył siebie i drugich w związku z przyjazdami do Rzymu różnych monarchów i ministrów katolickich w okresie przed

Paktami

Lateraneńskimi. Na początku w ogóle zakazał im przyjazdów oficjalnych do Italii Sabaudów,

ponieważ to by było uznawaniem stanu rzeczy. Następnie pozwolił, ale nie do Rzymu. Dlatego

Franciszek Józef rewizytował króla Humberta I po jego odwiedzinach wiedeńskich nie w stolicy

Włoch, ale w Wenecji, gdyż ona nigdy nie należała do papieża. Potem przyszła faza, którą by

można nazwać dojazdową. Tak więc na przykład księżę Monaco, Albert I, chcąc złożyć wizytę

papieżowi, zatrzymał się w Viterbo. Na audiencję wyjechał z Viterbo i do Viterbo wrócił.

Przewodniczący partii katolicko-zachowawczej Belgii, który przyjechał do Rzymu w sierpniu

1918 r., to znaczy w okresie nasilonych działań na wszystkich frontach pierwszej wojny

światowej, i miał z rządem włoskim ważne sprawy do omówienia, i do tego bardzo pilne, po

rozkręceniu ich musiał się udać na sto godzin do Neapolu i dopiero z tego miejsca i po takim

czasie wyruszył paść do stóp Ojca Świętego.

Niewygodne to było i trochę sztuczne. W rok potem ktoś z Kongregacji Ceremoniału wpadł

na pomysł wyporządkowania jednego z pałaców wewnątrz enklawy watykańskiej, owego „więzienia papieskiego” według ówczesnej oficjalnej formuły kościelnej. Wybór padł na Pałac

Gubernatora. Mieści się on za Bazyliką. Zewsząd otaczają go ogrody. Jest obszerny. Ze swoimi

salami, salonami, apartamentami może stanowić siedzibę godną królów. Odnowiono go,

wyposażono w łazienki i scalono w jeden organizm. Jednocześnie specjaliści od ceremoniałów

opracowywali uzasadnienie prawne i historyczne nowego rozwiązania wizyt u papieża. Formuła

pod względem prawnym miała wiele uroku. Istotnie, przyjechawszy odwiedzić uwięzionego –

słuszne jest mieszkać po tej stronie murów, co uwięziony, a nie po tej, po której mieszkają ci,

którzy go uwięzili. Historycznie rzecz również układała się dobrze. Okazało się, że Watykan

nie raz już gościł królów, a nawet cesarzy. W r. 800 w Watykanie rezydował Karol Wielki,

przybywszy na koronację. Następnie całymi stuleciami pałac watykański był wyłącznie

rezydencyjną siedzibą monarchów odwiedzających Rzym. Papież zaś zamieszkiwał Lateran.

Dopiero od powrotu z niewoli awiniońskiej ten stan rzeczy uległ zmianie. Pod wszystkimi

względami więc koncepcja z goszczeniem wewnątrz Watykanu była udana.



Wzięła jednak ona w łeb z nieoczekiwanych względów. Bo kiedy przystąpiono do opracowywania makiety odwiedzin – okazało się, że nie bardzo było wiadomo, co z gościem robić poza samą audiencją u papieża i ewentualną rewizytą składaną mu w imieniu papieża przez dopasowanego do jego szczebla hierarchę kościelnego. Nawet rozbudowawszy ceremoniał obu tych aktów, trudno było wycisnąć z nich więcej niż zajęcia na dwie godziny. No i co potem? Nie mówiąc już o tym, że co przedtem? Za dawnych czasów, kiedy papież był monarchą, a kardynałowie prałatami o olbrzymich fortunach, królewski przybysz do Rzymu rozrywany był przez nich i przez cały dwór papieski. Sam papież też wydawał uczyty, zapraszał na koncerty, na turnieje, na łowy. Jeszcze w ostatnich dziesiątkach lat przed rokiem 1870, królowie, księżęta, ministrowie odwiedzający Rzym mają ręce pełne protokolarnej roboty. W pięćdziesiąt lat później nic więcej nie można dla nich wynaleźć niż ta jedna audiencja i jedna rewizyta! Dawniej i tych zawsze było więcej niż jedna, a już co najmniej dwie. Jedna audiencjonalna wizyta powitania, po której dopiero następował cały program. Przed wyjazdem zaś audiencjonalna wizyta pożegnalna. Oczywiście i ta teraz odpadała, ponieważ nie było czym przestrzeni pomiędzy wstępną i końcową wypełnić. Pojawiali się wprawdzie na audiencji i obecnie różni poważni, wspaniale poumierani dygnitarze. Ale ten ich ubiór to było wszystko! Naprawdę byli oni prywatnymi ludźmi, czasem nawet bogatymi i utytułowanymi, ale prywatnymi w tym sensie, że nie nadającymi się do oficjalnego goszczenia ministrów i królów przybyłych złożyć uszanowanie i wanie papieżowi. Komplikowało sytuację nie tylko to, że poza fasadą w ich stroju nie było nic realnego, ale jeszcze i to, że zasadniczo cały świat watykański po zaborze przez Sabaudów państwa kościelnego uważał się za będącego w żałobie. Co więc było w tej sytuacji z tym nieszczęsnym paradnym fantem, przywiezionym do ślicznie za miliony odrestaurowanego Pałacu Gubernatora, robić? Najlepiej po prostu nie przywozić. Toteż nigdy nikogo nie przywieziono. Zresztą niebawem wstąpił na tron papieski Pius XI, o którym było wiadomo, że jest zdecydowany rozwiązać „kwestię rzymską”. W r. 1929 została ona rozwiązana. Przebudowany Pałac Gubernatora nie stoi jednak dzisiaj pusty. Z

wspaniałych apartamentów korzysta ktoś. To jest mianowany w tym celu przez Piusa XII gubernatorem jego bratanek, księżę Carlo Pacelli.

Wszystkie te daty, nazwiska, szczegóły pochodzą od ks. M. Na pewno są wspólne całej eklezjastycznej kolonii francuskiej w Rzymie. Ks. M. opowiadając wybuch od czasu do czasu śmiechem. Pewien jestem jednak, że w głębi serca bardzo jest dumny z tej wizyty Coty'ego u papieża. Dumny podwójną dumą katolika i Francuza. Pewnie gadają o niej w swej kolonii od całych tygodni. Stąd ten wylew erudycji protokolarnej, historycznej i kanonicznej. Wylew, który jest produktem wspólnego szperania i lektur.

Rzym, 18 maja 57 r.

Wychodzą tu wielkie tomy Sacrum Poloniae Millenium. Ukazały się już trzy. Ma ich być dwanaście. Redaktorem jest arcybiskup Gawlina. Łoży na nie emigracja, Ameryka i papież, któremu na wstępie Gawlina dziękuje. Celem wydawnictwa jest pokazać, co dał w ciągu tysiąclecia Kościół Polsce i nawzajem, co dała w tym czasie Polska Kościołowi. Osobno też wychodzą odbitki z tomów, różne rozprawy, szkice, materiały. Przesłałem parę kompletów do Warszawy i kilkanaście egzemplarzy odbitek, kierując je podług materiału do ludzi, których mogą zainteresować. Szkic o „Religijności Mickiewicza”, pióra ks. Warszawskiego, posłałem Stefanowi Żółkiewskiemu. Nie tyle dla Mickiewicza i dla religijności, co dlatego, że w szkicu często--gęsto polemika o Żółkiewskim. Żółkiewskiemu szkic przypadł do smaku. Włożyłem do koperty i odesłałem jego list ks. Warszawskiemu. Nawet diabelskie słowo, jeśli miłe, raduje serce autora.

Wczoraj inną rzecz z tej kolekcji skończyłem czytać. A mianowicie „Dziennik. Rzeczy polskie i słowiańskie” ks. Piotra Semenienki. Wyboru tekstów dokonał ks. E. Elter, przypisami opatrzył ks. Piotr Naruszewicz. Kłóciłem się z nim zresztą o te przypisy, bo podając informacje o Matce Makrynie Mieczysławskiej nic nie chce wiedzieć o niej niedobrego, a pracę ks. Urbana ze Zgromadzenia Jezusowego, ostatecznie demaskującego Mieczysławską jako oszustkę, zdaje się uważać za brzydki kawał, zrobiony przez jezuitów zmartwychwstańcom, odkrywcom i impresariom Matki na gruncie rzymskim.

Z „Dziennika” wyjmuję opis audiencji Kraszewskiego u Piusa IX. G. powiedziałby przeczytawszy ten opis, że jak widać nie tylko przed Bogiem, lecz i przed Ojcem

Świętym

wszyscy jesteście równi!

„8 lipca, czwartek, 1848. Wczoraj przyjechał Kraszewski. Dzisiaj byłem u mons. Pocca dla

wyrobienia audiencji Kraszewskiemu. Przyrzekł.”

„27 lipca, piątek, 1848. Wyjechał Kraszewski do Neapolu. Byliśmy dla niego jak można

najprzejmiej. Wyrobiliśmy mu audiencję u Ojca Św. na drugi dzień po przybyciu, aleśmy

uprzedzili Ojca Św., co za człowiek, jak wzięty, jak ma ważne w kraju położenie, ile napisał; że

w pismach swoich szanuje Kościół, że jest dobrym chrześcijaninem itd.; jedno tylko było ale, jak

można najwięcej zmniejszone: że się daje niekiedy zanadto pociągnąć przez to, co nazywają

wymagalnością sztuki, i nie zachowuje niekiedy w opisach tej wstrzemięźliwości, której by

wymagała surowa czystość”.

Mniej, zdaje się, nie można było powiedzieć. Tymczasem Ojciec Św. głównie na to uderzył.

Powiedziawszy kilka wyrazów pochwalnych, że wie, ile napisał, że wie, iż jest dobrym

chrześcijaninem, dodał: „Bonum ex integra causa, ma-lum ex quocumque delectu”;

wy, artyści, zanadto idziecie za sztuką, zanadto wdajecie się w anatomię – anatomia należy do szpitali, tam

wszystkie nagości należy odesłać, jak i wszystkie choroby, ale w życiu potrzeba zdrowia, itd.”

„I tak skończył, że biedny słuchacz został pod

Bonum... – Dobro płynie z całego dorobku, ale zło z każdej, ułomności.

tym wrażeniem. Przykro było nam wszystkim, że w taki sposób papież uczynił; ale potem

zastanowiwszy się rzekliśmy sobie, że zapewne Duch Św. tak natchnął papieża i że tym

sposobem skutek sprawiony na duszy słuchacza będzie korzystniejszy. Zapewne nie stało się to

bez Boga. Zresztą Kraszewski przyjął to bardzo przyzwoicie, nie użalał się;

prosił tylko o tym nie

mówić, czego my ściśle przestrzegamy”.

Rzym, 20 maja 57 r.

Odwiędziłem dzisiaj E. Pracuje znowu nad czym innym. Mówi, że trudno mu jest cokolwiek

skończyć, ponieważ natrafia na trudności. Kiedy zapytałem go, o jakie trudności chodzi, określił

bliżej te trudności, nazywając je drażliwościami. Teraz pisze szkic o

najbliższym otoczeniu

papieskim w przekroju historycznym. O tym, jak organizowało się w ciągu wieków, jak

precyzowały się i definiowały funkcje poszczególnych postaci. Od czasów

Grzegorza Wielkiego

(koniec wieku szóstego i początek siódmego) otoczenie to składa się wyłącznie z duchownych.

Jest to wymóg św. Grzegorza, „aby świadkami życia papieskiego i jego doradcami nie byli ludzie

świeccy”. Wymóg ten stał się wtedy przepisem i wszedł do prawa kanonicznego.

Koło Piusa XII

kręci się sporo ludzi świeckich. Irytuje to kardynała Tisseranta, który powiada, że „w kurii jest za

dużo portek i że należałoby je przepędzić”. Ale według E. nie tylko z tego

powodu temat, który

obrał, staje się w związku z pewnymi niedyskrecjami, przenikającymi z Watykanu coraz szerzej,

niezmiernie drażliwy!

Rzym, 26 maja 57 r.

Byliśmy z Zosią i Zawieyskim na uroczystościach beatyfikacyjnych. Nie na całych, bo to

trwa godzinami, tak że nie tylko celebranci się zmieniają, ale wymieniają się i tłumy. Byliśmy na

kulminacji, to jest na tej fazie uroczystości, kiedy przybywa na nie papież.

Przed tym

uroczystość, a ściślej mówiąc jej faza ranna, odbywa się niejako na szczęblu jednej kongregacji,

to znaczy Rytów, kompetentnej w kanonizacjach i beatyfikacjach. Przychodzą wszyscy

kardynałowie, członkowie tej kongregacji, jej konsulen-ci i wszyscy pracownicy.

Obecni są

również promotorzy sprawy i wszyscy związani węzłami z nową błogosławioną, węzłami krwi –

tych jest niewiele, czy węzłami duchowego pokrewieństwa – tych jest mnóstwo.

Maria Smet była założycielką Sióstr Pomocy Czyścicowej {Religione Ausiliatrici del

Purgato-rio). Zgromadzenie powstałe w połowie XIX w. rozprzestrzeniło się po całej kuli

ziemskiej. Na uroczystość zjechało się sióstr kilkaset. Uroczystość ranna polega głównie na

odczytaniu Breve papieskiego, zawierającego po krótkim uzasadnieniu decyzję wpisania Marii

Smet w poczet błogosławionych. Przed odczytaniem główny po-stulator, który trzyma w ręku

dokument z decyzją, skierowuje się z nim do prefekta kongregacji, prosząc o pozwolenie

odczytania. Prefekt jednak na nią nie pozwala, zanim nie zgodzi się na to reprezentujący papieża

na tej części uroczystości specjalny kardynał. Postulator więc udaje się do kardynała, który czeka

na niego siedząc na tronie. Pozwolenia udziela i Breve zostaje odczytane.

Zaledwie cichną ostatnie jego słowa, rozlega się Te Deum i momentalnie spada welon

okrywający olbrzymi kolorowy portret nowej błogosławionej, uplasowany nad ołtarzem. Taki

sam portret, tylko jeszcze większych rozmiarów, umieszczony jest na zewnątrz Bazyliki, mniej więcej tam, skąd papież po swoim wyborze udziela błogosławieństwa Urbi et Orbi. Z tej podobizny też welon spada. Wtedy również odsłonięte zostają pierwszy raz wystawione na ołtarzu relikwie błogosławionej. Po czym następuje pontyfikalna msza. Myśmy przyszli na uroczystości popołudniowe, zapowiedziane na szóstą. Miejsca dostaliśmy świetne, na trybunie św. Benedykta. Lepsze od naszej są już tylko trybuna dyplomatyczna i naprzeciw niej mieszcząca się trybuna rodziny papieskiej, po naszymu raczej domu papieskiego czy dworu. Ks. P. uprzedził nas jednak, że nawet z takim biletem należy co najmniej na godzinę przed zaczęciem być na miejscu. Przesiedzieliśmy tę godzinę rozglądając się. Każde z nas otrzymało pięknie ilustrowany życiorys nowej błogosławionej, taki, jaki na szczeblu naszej trybuny się należy. Kardynałom, biskupom, ambasadorom rozdawano dwa razy grubszy i oprawny, a nie jak nam, broszurowy. Papież dostaje egzemplarz drukowany na specjalnym papierze, wspaniale opracowany intrologatorsko, z użyciem skóry i safianu. Zwykli ludzie nie dostają nic. Przerzucam moją książeczkę. Jeszcze jedna biografia piękna, ciężka, szamocząca się i pełna okrucieństw wobec siebie i swoich bliskich. Egzystencje świętych i błogosławionych rozbijają mnie zawsze. Kiedy czytam ich żywoty, nie podnosi się we mnie żaden głos protestu. Dopiero potem. Dopiero potem daję ujście uczuciom płynącym z mojego ściśniętego od takich lektur serca. Trybuna nasza już jest pełna. Poniżej naszej widać, jak suną do swoich miejsc biskupi i arcybiskupi. My weszliśmy na teren Watykanu przez Arco delie Campana, a do samej Bazyliki – przez Porta di S. Marta. Przed tę Świętą Marłę zajeżdżały też samochody z ambasadorami. Wyławiali ich zaraz z ludzkiego strumienia monsigno-rowskiego z Sekretariatu Stanu, kierując w specjalny korytarzyk. Wynurzają się teraz z niego we frakach. Wynurzają się również postaci panów poprzebieranych w mundury jak najefektowniejsze – Kawalerów Maltańskich, Szambelanów, Gwardzistów i Rycerzy Konnych Świętego Grobu Jerozolimskiego, oczywiście spieszonych. Na koniec, punktualnie o szóstej, szum, światła, głosy trąb; to niosą papieża.

Przed nim  
kanonicy Bazyliki, za nim kardynałowie. Na samym końcu Wyszyński pomiędzy  
Valerim i Ca-  
nalim. Kiedy przechodzą kardynałowie – jest ich jedenastu – popytują ludzie,  
który jest  
Wyszyński. Jest to bowiem pierwsze jego publiczne ukazanie się w Rzymie.  
Pochód przechodzi wolno. Przed ołtarzem katedralnym rozwiązuje się, wszyscy  
zasiadają na  
swoich miejscach, prócz kardynała Agagianiana, który zamiast nieobecnego  
staruszka Verde,  
pierwszego w stopniu kardynała-kapłana, podaje papieżowi kadzielnicę i asystuje  
mu.  
Uroczystość popołudniowa polega właściwie na hołdzie złożonym przez papieża  
nowej  
błogosławionej i jej relikwiom. Uroczystość wzbogacona jest wystawieniem  
Przenajświętszego  
Sakramentu, błogosławieństwem, hymnami i szeregiem drobnych czynności  
sakralnych,  
zawiłych i prastarych. Jedna z nich polega na wręczeniu papieżowi upominku za  
beatyfikację.  
Wywód tego aktu jest ciekawy. Jest bardzo stary. Dar wyraża wdzięczność  
okazywaną papieżowi  
za kanonizację czy beatyfikację. Czasem okazywały ją rodziny. Najczęściej jednak  
zakony lub  
miejscowości, skąd pochodził albo gdzie zmarł błogosławiony czy święty.  
Na zakony z nowego bożego męża czy niewiasty służyła chwała. Miejscowości zaś  
na  
nowych świętych i błogosławionych bogaciły się, zyskując z nich dodatkowe  
atrakcje dla  
pielgrzymek i pobożnej turystyki. A cóż dopiero, jeśli były dotąd pozbawione  
atrakcji! Tak czy  
owak impuls był do złożenia pięknego daru temu, od którego woli zależały  
kanonizacje i  
beatyfikacje. Bywało to zwykle złoto lub drogie kamienie. Aby je ukryć przed  
okiem  
ciekawskich czy też aby je odmaterializować, wręczano to złoto i te drogie  
kamienie w naręczach  
kwiatów. Później sprawa się uprościła. Składano odpowiednie opłaty do kas. Ale  
kwiaty zostały.  
Z okazji Marii Smet wniesiono olbrzymie bukiety przepięknych białych mieczyków.  
Uroczystość popołudniowa nie trwała długo. Ściśle i zgodnie z zamierzeniem  
Dyrekcji  
Kolegium Mistrzów Papieskich Ceremonii pół godziny, w czym zmieściło się  
dziesięć minut na  
króciutkie rozmówki papieża z postulatorami i autorami publikacji o bł. Marii  
Smet oraz z  
przedstawicielami rodziny nowej błogosławionej. Przybyła ich na uroczystość  
sześćdziesiątka.  
Papież nie rozmawiał ze wszystkimi, widziałem jednak, że doprowadzono mu tam  
całą ich

tródkę, i to w dwu rzutach. Obok nas siedzący ksiądz wyjaśnił, że ten drugi był zapasowy.

Ponieważ papież szybko załatwił pierwszy, znalazł się więc czas jeszcze i na drugi.

Wreszcie pochód powrotny. W tym samym szyku: kanonicy i dygnitarze, papież, kardynałowie. Oklaski i okrzyki. Znam już je. Ale kiedy pochód mija trybuny wybranych i

wchodzi w tłum, okrzyki stają się inne, ostre, syczące. Tłum krzyczy: zy-zy-zy.

Po chwili dopiero

orientujemy się, że to Wy – szyn – ski, tylko wykrzykiwany przez Włochów.

Rzym, 27 maja 57 r. Dziś Osservatore Romano pełne opisów wczorajszych całodziennych

uroczystości. Na zdjęciu 17 – Spiżowa brama 257

ciach papież, papież i jeszcze raz papież. Z przodu, z boku, na klęczkach,

stojąco. Ledwo że

gdzieniegdzie przemknie się nowa błogosławiona czy jakiś kardynał. Nawet żeby w takiej

okoliczności nie ustąpić! To jest dopiero kult jednostki! Zawsze istniał, ale

Pius XII go rozdał,

doprowadzając do gigantycznych rozmiarów. On jest więcej niż Kościół, niż

chrześcijaństwo, niż

wszyscy święci. On, który pozwala sobie nazywać, tak jak dotąd nie pozwalał

sobie nazywać

żaden papież – Piotrem Żywym.

.Rzym, 6 czerwca 57 r.

Rozmowa ks. L. z ks. M., przy której asystuję.

Ks. L. – Co to jest dyktatura proletariatu?! To jest panowanie mniejszości nad większością!

To jest nadużycie! Ludzie pracy chcą po prostu, żeby im było lepiej, a nie

interesują się wcale

żadną rewolucją z przemianami wszystkiego. To tylko część się tym interesuje,

i to część

mniejsza. Jak to może tak być, żeby mniejszość miała prawo narzucać większości swoją wolę?

Ks. M., który studiował marksizm-leninizm i go odrzuca, uważa jednak, że ks. L.

upraszcza

sprawę. Klóć się zapamiętałe o tę mniejszość. Jakże mniejszość może sobie

przypisywać prawo

rządzenia większością – powtarza ks. L. Ks. M. wyjaśnia, że nie jest to

zwyczajna mniejszość,

lecz „czołowy oddział proletariatu”. Zatem mniejszość – to prawda – ale

jakościowo lepsza,

choć ilościowo słabsza.

– No, ale mniejszość! Mniejszość – krzyczy ks. L. – Mniejszość! Mniejszość! A co

mniejszość, to mniejszość, na to się żadnymi kruczkami nie poradzi.

Nagle cichnie od terminu łacińskiego, którego użył ks. M. Termin brzmi: Pars

sanior.

Pytam, co to jest. Teraz obaj mi wyjaśniają na wrywki ten termin z prawa

kanonicznego,

setki razy przez Kościół używany, zwłaszcza w wypadkach, kiedy Watykan nie godzi

się na  
mianowanie biskupa wybranego przez większość kapituły, lecz wypowiada się za  
kandydatem  
mniejszości, podnoszonej wówczas do rangi właśnie zdrowszej części, pars sanior.  
Rzym, 16 czerwca 57 r.  
Byłem dzisiaj z prof. Bronisławem Bilińskim w kościele S, Maria dei Aventino,  
inaczej  
zwanej del Priorato. Jest to mały kościółek wewnątrz ogrodów willi del Priorato  
di Malta.  
Ogląda się je zwykle tylko przez dziurkę od klucza, właściwie dziurzysko, przez  
które patrząc  
widzi się długi szpaler grabowy, a co najważniejsze, na przedłużeniu linii tego  
szpaleru, daleko,  
daleko kopułę Sw. Piotra. Mieliśmy z Bilińskim nadzieję, że prof. Renzo Montini,  
który się  
zaofiarował pokazać willę i który poza tym pochwalił się, że ma Polonię  
Restitute – i to  
przedwojenną! – pokaże nam coś więcej niż kościół. Nie pokazał. Ani wielkiej  
sali zajmującej  
całe piętro willi, sali wyborów wielkiego mistrza, mającej jedne drzwi, które  
się zamyka od  
zewnątrz podczas tego maltańskiego konklawe i zgodnie z prastarymi przepisami  
„pilnuje  
nieprzerwanie”, co zresztą w ostatniej setce lat nie jest męczące, ponieważ  
wybory przeważnie  
trwają około dwu godzin.  
Nie pokazał nam Montini ani tej sali, ani tych drzwi, ani pięciopiętrowych  
piwnic, o których  
mi opowiadał p. C. Pokazał nam, po drodze do S. Maria del Priorato,  
siedemnastowieczny kale-  
haus, czyli padiglione, gdzie po dokonaniu wyboru maltańczycy wzmacniają się i  
przepłukują  
gardła przed odśpiewaniem w kościele powyborczego Te Deum. Pokazał nam też  
studnię dwu-  
nastowieczną, jedyną pamiątkę autentyczną po templariuszach.  
Kościół wart jest widzenia. W roku 1765 Pi-ranesi go wypatroszył i dał mu inne  
wnętrze.  
Fasada też jest jego. Architektura to cukierni-czo-rytownicza, ale dla mnie  
pełna uroku. Pi-ranesi  
również wydekorował plac Kawalerów Maltańskich. Ta dekoracja tej samej ręki i  
tej samej myśli  
artystycznej – mówię o dziwnych kamiennych ni to konchach, ni to jęzorach od  
strony  
zabudowań benedyktyńskich Sw. Anzelma – to coś okropnego. Lecz wnętrze i fasada,  
chociaż  
też ogromnie sztuczne, pełne delikatności i bez wdawania się w wielką awanturę.  
Ołtarz tylko  
trochę zwariowany, ale nie krzycząco.  
Natomiast te dziesięć chorągwi na drzewcach, nowych chorągwi, wielkości dużej  
chustki do



nosa, a zwłaszcza ta profuzja purpurowych poduszek i wałków pod tyłki, kolana i łokcie kawalerów – trochę komiczna. Wnętrze kościoła szczupłe i przede wszystkim bardzo lekkie, bardzo wesołe, rokokowe i bielusieńkie. Z rekwizytami chorągwanymi kłóci się to. Nie kłóci się z tymi purpurowymi miękkościami. Ale znowu te miękkości kłóć mi się ze średniowiecczyną zakonu, który w tej samej siedzibie na Awentynie, odziedziczonej wprost po templariuszach, tkwi tutaj sześćset lat! No, ale te poduchy, te drzewca i te nowe, śliczne hebanowe stalle z inkrustowanym też ponad smak i takt, bo tak często, tak wszędzie, wielkim, białym ośmiokątnym krzyżem maltańskim, wszystko to aż bucha teatrem. I to nawet można określić bliżej, jakim teatrem. Bogatym, przeznaczonym dla publiczności, która nie lubi na scenie tandety. Tak więc u tych maltańczyków, w ich kościele, nie myśli się o wielkich rycerzach, o wojnach krzyżowych, o zamkach kamiennych rozsianych po wyspach Morza Śródziemnego, broniących się całymi wiekami przed Arabami i Turkami. Raczej myśli się o Szyfmanie i jego teatrach, tych z małą sceną, a więc przedwojennym „Teatrze Małym” czy dzisiejszym „Kameralnym”. Prof. Montini jest kawalerem maltańskim di gratia. To znaczy „z łaski”. Nie jest więc kawalerem całą gębą, z wywodem heraldycznym i całą kupą przodków. Takimi kawalerami „z łaski” zostają różni ministrowie, wielcy przemysłowcy, finansisci i nawet głowy państwa. Związek Maltański przyhołubia ich sobie. Zostają też takimi kawalerami ludzie, którzy dla „Malty” – jak to się w tym świecie mówi – czymś się zasłużyli. Montini się widocznie dla związku zasłużył, bo bogaczem nie jest, ministrem też nie był ani żadną głową państwa. Tak czy owak, choć się ten temat ciśnie na usta, nie mówimy z nim o nowej książce Peyrefitte’a – Chevaliers de Malte. Huczy od niej cały Rzym, cały świat watykański i cały maltański światek. Peyrefitte przedstawił w niej pięciolecie bojów pomiędzy Związkiem Maltańczyków z jednej strony i kurią rzymską z drugiej, która postanowiła ubezwłasnowolnić związek. Kawalerów maltańskich i tych „z łaski”, i tych lepszych, heraldycznych, jest na świecie parę tysięcy. Ale oni wszyscy są tylko przybudówką zakonu, przybudówką świecką, chciałyby się rzec – tercjarzami. Właściwym zakonem są kawalerowie proiesi, to znaczy kawalerowie ze

złożonymi ślubami zakonnymi, ślubem ubóstwa, posłuszeństwa i bezżeństwa. Do tego wszystkiego muszą oni również przedstawić, tak jak ci heraldyczni, swój wywód genealogiczny.

Takich jest na świecie zaledwie dwudziestu kilku. Siedmiu w Austrii, reszta w Italii. Nie ma ich

w Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemczech, Portugalii ani nigdzie. Sw. Kongregacja Zakonów,

której „Malta” podlega jako zakon, kuria rzymska, a przede wszystkim kardynał Canali,

wielkordca finansowy Watykanu, uważali, że zachodzi jakiś brak proporcji między

mikroskopijną cyfrą dwudziestu kilku profesów i wielosetmiliardową cyfrą majątku maltańczyków (– Należy do nas połowa Umbrii! – mówi prof. Montini.) i zaczęli samo jądro

zakonu, wielką radę z wielkim mistrzem na czele, oskrzydlać.

Ale znieść wielosetwieczne przywileje nie jest łatwo. Trzeba było znaleźć jakiś punkt

zaczepienia, pretekst. Ten się znalazł. Powołano komisję kardynalską. Jedną, drugą, trzecią.

Najpierw trzech kardynałów, potem pięciu, na koniec sześciu. Ale prolesi, garstka starych książąt

i hrabiów, zaciekle się w obronie. Od powołania pierwszej komisji mija dziś pięć lat. „Malta”

jeszcze się nie poddała. Ze wszystkimi szczegółami pisze o tym Peyrefitte.

Jak to on, połowę zmyślił, druga połowa – to materiał autentyczny. W tym wypadku wydłubany od „Malty”. Nie tylko w Rzymie twierdzi się, że nienawidzący Canalięgo kardynał O.

też Peyrefitte'owi, oczywiście przez podstawione osoby i sposoby, coś ze swoich materiałów

użyczył. Ale oficjalne zdanie kurii jest takie, że przecieki szły tylko z

„Malty”. Kiedy szmerki

poszły po Rzymie o O., natychmiast ściągnięto z Sycylii księcia Paternó (jest on p.o. wielkiego

mistrza, choć na mistrza wybrany, ale papież, podbech-tany przez kardynała Canali, mistrzostwa

mu nie zatwierdził), żeby poobchodził kardynałów z komisji i monsignorów z Sekretariatu Stanu,

których Peyrefitte osmarował, aby im powiedzieć, że książkę Peyrefitte'a potępia i sprawę

przecieków zbada. Musiał również napisać cyrograf (taki jest termin techniczny kurii) z

wyrazami ubolewania. Cyrograf księcia Paternó ogłosiło Osserva(ore Romano.

Nie mówimy o Peyrefitte. Ale w momencie, kiedy nareszcie pojmujemy, czemu prof.

Montini tak parł do tego kościoła i tylko do tego kościoła, Peyrefitte jak gdyby sam się do nas

odzywa.

Pointa całej peregrynacji z Montinim znajduje się za ołtarzem. Jest to wielka płyta

marmurowa, nagrobkowa, nowa, oczywiście z chmarą herbów i maltańskich krzyży.

Montini

nabiera tchu w piersi i widać, że jest przejęty. Bo się okazuje, że gdyby nie jego osoba, płyty by nie było. Pytamy, jak się nazywał nieboszczyk upamiętniony tym papuzim nagrobkiem. Nazywał się Petro Raymondo Zacostae i był wielkim mistrzem Zakonu Maltańskiego. Zmarł lata temu, bo w roku 1567. Pochowano go w grotach watykańskich. Rzymskie groby wielkich mistrzów liczą się na palcach. Umierali oni różnie. Grzebano ich za pradawnych czasów na wyspie Rodos, potem na Malcie. Z późniejszych mistrzów też mało który leży w Rzymie, nawet jak umierali tutaj, często zabierały ich rodziny poza Rzym do grobów rodzinnych. Zacostae należał więc do wiadomych pamiątek maltańskich w Rzymie. Miał jednak w grotach watykańskich tego rodzaju konkurencję, że nawet maltańczycy, zwiedzający groty, bardziej okiem strzelali ku grobom papieży i królów niż ku swojemu mistrzowi, który zresztą kiedyś był zacnym człowiekiem, lecz poza tym niczym się nie zalecał, nawet nazwiskiem, brzmiącym jakoś nijako i dalmacko. Było sobie tak i było, aż pewnego razu, jak opowiada prof. Montini, wyszło na jaw co innego. Tego dnia, w którym to wyszło na jaw, prof. Montini czekał w biurach Sw. Kongregacji Czcigodnej Budowy Sw. Piotra na jakiegoś podrzędnego monsignorka. Biura tej kongregacji mieszczą się za zakrystią Bazyliki. Pełno tu wszędzie szaf, papierzysk, rupieci. Meble liche, tak że Montini zląkł się, że fotel, na którym czekając usiadł, nie wytrzyma, i wziął drugi spod szafy. Aliści naruszył jakąś równowagę, bo szafa się otwarła, na ziemię poleciały z niej pudełka, koperty, paczuszki powiązane sznurkami. Na pierwszym z brzegu pudełku Montini przeczytał, oczom swym ledwo wierząc, po prostu to słowo: Zacostae. W tym momencie nadciągnął monsignorek i wyjaśnił mu, skąd wielki mistrz w szafie. W pudełku były szczątki mistrza, w innym szczątki szwedzkiej królowej Krystyny, w jeszcze innych paczkach czy kopertach szczątki różnych książąt czy kardynałów. Wszystko to dostało się tu na skutek rozpoczętych w r. 1941 robót w kryptach watykańskich. Pius XII zdecydował obniżyć ich poziom. Doprowadziło to od razu do odkryć religijnie i naukowo niezwykle. Watykańscy uczeni rozjedli się, przypuścili szturm szufelkami wielofrontowy. Stąd to przyszło nieboszczykom przeczekiwać niespokojny dla nich czas w pudełkach i kartonach na

półkach  
różnych szaf i po szufladach biur watykańskich. W zasadzie mieli zagwarantowany powrót. Nie wiadomo tylko, kiedy miał nastąpić, z tej jednej szafy widać było, jaki powstał zator. Od pięciu lat przybywali do niej coraz to nowi lokatorzy, ubywało mało kto. Za najbliższej bytności na ulicy Condotti, gdzie mieści się w Rzymie główna siedziba „Malty”, proi. Montini opowiedział o odkryciu. I wnet pojął, że przynosił cenną wiadomość. Był to styczeń 55 r. Zakon osaczony przez ludzi kardynała Canali wciąż oglądał się w poszukiwaniu pretekstu, by czynić szum wokoło siebie. Natychmiast zapadło w maltańskim urzędzie kanclerskim postanowienie pogrzebienia z wielkim hukiem owego Zacostae u siebie. Miała być parada, zjazd międzynarodowy, reklama. Historycy z „Malta” związani udowodnili, że Zacostae to był mistrz bardzo wojenny i obrońca chrześcijaństwa. Tylko trzeba go było teraz z tej szafy wydostać. Zezwolenia musiał udzielić sam papież. On tylko może się zgodzić na to, żeby ktoś leżał w kryptach watykańskich. W świetle prawa kanonicznego tylko on może z raz wydanej zgody zrezygnować. Nieboszczyk, by się tak wyrazić, nie ma tu nic do powiedzenia. Bano się kardynała Canali, bo on zaraz, jak czegoś chcieli maltańczycy, psuł im to. Ominięto go w ten sposób, że sama Sw. Kongregacja Czcigodnej Budowy Sw. Piotra zwróciła się do papieża w tej sprawie, jedna z nielicznych kongregacji, gdzie Canali nie zasiada. Sprawę przedstawiono jako czysto gospodarczą. Jedno pudło z nieboszczykiem z woza, jedno zobowiązanie powtórnego pogrzebu mniej, zawsze lżej. Papież zgodził się. Mon-tini ucałował monsignorka i porwał swoje pudło. Teraz Petro Raymondo Zacostae leży pod swoją cudaczną płytą za ołtarzem, a Montini w dni uroczyste nosi pod szyją otrzymane za tę zasługę maltańskie Pour le Mérite III klasy. Rzym, 17 czerwca 57 r. Dziś rano o dziewiątej wyjechał kardynał Wyszyński. Byliśmy na dworcu, ambasador i ja. Przyszliśmy w momencie, kiedy kardynał i biskupi opuszczali już recepcyjny salonik, z paradą, bo po obu stronach kardynała grenadierzy w gali, zawarowani kardynałom na podobne sytuacje przez Pakty Lateraneńskie. Za kardynałem dwaj mundurowi policjanci z oficerem kwestur w środku. Zna on nas, bo jest członkiem policyjnego rzutu dyplomatycznego, związanego z protokołem. Zawsze ktoś z tego rzutu jest na

wielkich  
przyjęciach dyplomatycznych w Kwirynale, w Palazzo Madama i gdzie trzeba.  
Kardynał szedł  
pod rękę z Gawliną. Za nimi policja. Za policją my. Za nami morze emigracji,  
która zawsze  
odczuwa pewien malaise na nasz widok. Druto uważał, że należy na ostatnie chwile  
przed  
wyjazdem zostawić biskupów z emigracją. Następują w takich momentach pienia  
religijne i  
błogosławieństwo. Część pożegnania więc raczej o charakterze konfesjonalnym niż  
jakimkolwiek innym. W tej konkretnej sytuacji, w tej atmosferze, jaka się  
wytworzyła w  
trójkącie składającym się z ambasady, Wyszyńskiego i emigracji, byłoby coś  
sztucznego w  
naszej obecności na peronie. To prawda. Ale jak zastopować kardynała w jego  
żwawym chodzie  
ku peronowi. Na szczęście protokolarno-dyplomatycz-no-policyjny przedstawiciel  
rzutu  
rozwiązał problem. Tak gromko przywitał ambasadora, że kardynał się obejrzał,  
ujrzawszy Drutę  
zatrzymał się. Gawlina migiem skoczył za plecy kardynała, żeby się z nami nie  
witać. W ten  
sposób dokonało się pożegnanie. Pożegnanie krótkie, ale nie zdawkowe.  
Setki emigracyjnych oczu wpatrywały się w tę parę, połowa ich – duchowni.  
Patrzyły ani  
ciepło, ani wrogo, ani nawet już z ciekawością. Powiedziałbym z zawieszeniem  
sądu.  
Rzym, 18 czerwca 57 t.  
Dziś spotkałem S., który parę miesięcy temu wieścił, że konsystorz to kwestia  
godzin. I nic!  
Natrząsałem się z niego. Tłumaczył mi, że papież w ostatniej chwili jednak się  
nie zdecydował.  
Chce mieć czarnego kardynała. Pierwszy czarny kardynał i pierwszy amerykański  
święty to jego  
szalone pragnienia. Ale ciężko z tym idzie. Nie są to oczywiście błahe sprawy i  
kaprysy. Czarny  
kardynał to potężny krok naprzód w Afrykę. Wyrwanie się z nieszczęśliwej  
przeszłości,  
polegającej na wielowiekowym sekundowaniu kolonizatorom. A przynajmniej  
wielowiekowej  
kolaboracji z kolonizatorami. Oderwać od siebie te dwie siatki, kolonialną i  
kościelną, dać od  
samej góry, poczawszy od Kardynalskiego Kolegium po najlichszą wioskę murzyńską  
w  
dżunglii, jednolity czarny pion, oto zadanie, oto marzenie i rozwiązanie. Na to  
oczywiście  
potrzebny, konieczny wprost jest czarny kardynał. Nie ma go.  
Toż dotyczy amerykańskiego świętego. Pamiętać Irzeba zawsze o tym, że biskupi,  
arcybiskupi, kuria rzymska, wszystkie święte dykas-terie i kongregacje to jest  
administracja.

Boska, niebieska, sakralna, ale wciąż tylko administracja. Przedmiotem tej administracji są wierni. Miliony, miliony wiernych. Są to jak gdyby miliony czytelników. Administratorzy Kościoła to jak gdyby wielkie ministerstwo kultury i sztuki. Na to jednak, aby, prawdę mówiąc, było czym administrować, muszą istnieć artyści. W kościele – święci. Oni podnoszą łonus życia religijnego. Przekładają twórczo tradycję na współczesność. Uniwersalizm na indywidualizm.

Gorące pragnienie Watykanu, aby mieć amerykańskiego świętego, nie jest sprawą ani taktyki, ani ambicji. Może na niższych szczeblach jest taką sprawą. Od góry jest tęsknotą i potrzebą uzyskania testu, że Ameryka nareszcie przestała być przedmiotem administrowania, ale że ma swój własny nurt. Tak jak gdyby nie mając ich dotąd, nareszcie zdobyła się na własnych geniuszy, przedtem swoje życie, na przykład czytelnicze, opierając na przekładach. To jest powiedzenie oczywiście hiperboliczne. Bo artystów ona ma, pisarzy, malarzy, muzyków, naukowców--noblistów. Ma absolutnie we wszystkich dziedzinach, w których twórczo i duchowo ściga się duch ludzki, wspaniałych kandydatów na wszystkie konkurencje. Nie ma tylko świętych!

S. mówi, że największe szanse kanonizacyjne ma Elisabeth Seton z Bailey, zresztą praprapra-ciotka Roosevelta. Przeszła ona na katolicyzm w roku 1805, w dwa lata po śmierci męża, z którym przeżyła dziewięć lat i z którym miała pięcioro dzieci. Rodzina męża zdecydowanie jej nie lubiła i zostawiła ją bez środków na ich wychowanie. Pchnęło ją to ku katolikom. Dziełem jej jest przystosowanie do warunków amerykańskich reguły szarytek od św. Wincentego a Paulo. Szarytki opiekowały się nią i jej dziećmi. Ona nawzajem oddała im wszystko, swoją miłość i inteligencję. S. twierdzi, że nic nie można zarzucić jej kandydaturze. Nic nie można zarzucić jej życiu. Przez szesnaście lat była wzorową katoliczką. Przez dwanaście lat laickim filarem szarytek. Ale taka z niej święta, jak z futerału instrument. Świętość to jest też sprawa bożej iskry!

Ponieważ wpadliśmy w ten, zresztą bardzo chybotliwy, znak porównaniowy, postawiony pomiędzy artystą i świętym, zastanawialiśmy się z S., czy święci też mają swoją formę narodową lub kosmopolityczną. Ale za dużo by trzeba o tym, mówić, żeby coś o tym

powiedzieć. W  
każdym razie, jeśli chodzi o Elisabeth Seton, nie można twierdzić, by jej  
ewentualna świętość  
wyrażała się w sposób specyficznie amerykański. Po prostu nie żarzy się. Rien de  
surnaturel –  
mówi S. Nic zaziemskiego. Ale może świętość amerykańska zasadzałyby się na tym,  
że byłyby to  
świętość bez zaziemskiej muzyki.  
Rzym, 19 czerwca 57 r.  
Kol. D. przyniósł dziś do biura historyjkę krążącą po ambasadach. Usłyszał ją  
wczoraj w Pa-  
lazzo Farnese. A oto ona: Ks. prałat Meysztowicz poprosił o audiencję u  
kardynała  
Wyszyńskiego. Kardynał, orientując się dobrze w osobie prałata, że jest  
przeciwny jego linii, że  
jest wodzem opozycji przeciw niemu w tutejszej duchownej emigracji i że jest  
człowiekiem  
upartym, którego szkoda przekonywać, a poza tym na skutek swojej zaciekłości  
zdolny do  
przekręcania słów, od audiencji się wymówił. Meysztowicz naciskał. Na koniec  
Wyszyński  
ustąpił, zaprosił go na obiad do Sióstr Nazaretanek, gdzie mieszkał. Zaledwie  
jednak  
Meysztowicz, usadowiwszy się po prawicy kardynała, rozpoczął rozmowę, kardynał  
mu  
przerwał, przypominając, że w refektarzu klasztorным podczas posiłków obowiązuje  
milczenie.  
Po obiedzie wstał, prałata pobłogosławił, uprzejmie pożegnał i poszedł na  
wypoczynek do swego  
pokoju. Oczywiście u nazaretanek, bo to nie jest żaden surowy zakon, podczas  
posiłków  
rozmawia się.  
Florencja, 26 czerwca 57 r. Przyjechałem wczoraj dla spraw działu kulturalnego  
ambasady.  
Na dziś zamówiłem się do La Piry. Przyjął mnie ze znacznym opóźnieniem. Raz  
wysła do mnie  
sekretarka, raz szef gabinetu, a za trzecim razem La Pira, przepaszając i  
prosząc, żebym czekał.  
Czekałem więc, usadowiwszy się w olbrzymim, czerwonym fotelu. Czekałem w małym  
saloniku  
za Salą Pięciuset, wszystko to oczywiście w Pałacu Signorii. Przez salonik, w  
którym czekałem,  
przechodzi się do tzw. apartamentów monumentalnych, do których musi zajrzeć  
każdy turysta  
odwiedzający Signorię. Toteż przedefilowała ich z setka. Prócz nich pełno było w  
saloniku  
fotografów i dziennikarzy. Za małymi drzwiami bowiem, z których raz po raz  
wypadał ktoś do  
mnie z uprzejmym słowem, zmierzał ku finałowi pewnego rodzaju może nie tyle akt  
państwowy,

co akt miejski, a mianowicie akt przejęcia z rąk La Piry miasta Florencji przez komisarycznego burmistrza – dr Salazara.

La Pira jest samym czystym dziwem. Wszystko czyni na swój specjalny sposób. Nowa jego kadencja od początku miała skazę w postaci fele-rowego oparcia w radzie miejskiej. La Pira ze swoim blokiem miał trzydzieści głosów, jego kontrkandydat też trzydzieści, ponieważ jednak La Pira był starszy wiekiem od swego przeciwnika, został, z woli odpowiedniego paragrafu ustawy o formowaniu się zarządów miejskich – burmistrzem, Opierając się na tej dziwacznej równej połowie, podniesionej mocą ustawy do roli większości, La Pira żeglował przez czas pewien. Aż pewnego dnia zrzekł się prezydentury miasta, zrzekł się mandatu rajcy. Za nim zrzekli się po jakimś czasie wszyscy chadecy. Kiedy się zrzekli, okazało się, że w radzie miejskiej nie ma quorum. W takim wypadku ustawa każe rozwiązać radę. Tak się stało. Prefekt mianował komisarza. Ustawa jednak milczy o tym, czy komisarz zaraz objąć musi urządowanie, czy też nie. Komisarz, admirał La Pira, nie spieszył się. Mijały tygodnie. La Pira był w zarządzie miejskim nadal. Zgodnie z dobrymi obyczajami, nie mógł pójść sobie do domu, musiał urządowanie przekazać. A dr Salazar, ten komisarz, rąk po berło nie wyciągał. Jest coś dziwnego w aurze koło La Piry. Ludzie odnoszą się do niego jak do cudownego dziecka. Jest postępowy, jest lewicujący, jest pełen serca dla komunistów, jest burmistrzem biednych przeciw bogatym. Budzi irytację, budzi nawet wściekłość. Ale Chadecja pozwala mu na wszystko, tak jak się pozwala na niejedno cudownemu dziecku. Wciąż jest z nim tak, że tego albo jeszcze czegoś tam innego „nie można La Pirze zrobić”.

W końcu Salazar musiał przyjechać. Nacisnął o to La Pira. Jutro przyjeżdża do Florencji Gronchi. Będzie wielka uroczystość, bo nastąpi otwarcie nowego mostu. Most ten zawdzięcza Florencja La Pirze. Wszyscy o tym wiedzą. Do wczoraj było wiadomo, że przyjedzie Gronchi. Nikt nie wiedział, że przed Gronchim przyjedzie Salazar. Może zresztą do wczoraj jeszcze nie miał przyjechać. Ale zdaje się, że prasa opozycyjna popełniła błąd. Zaczęła dokuczać La Pirze, że umyślnie most otwiera z takim hałasem, z Gronchim i z sobą samym, i tak uroczyście, by w ten sposób zbijać sobie propagandowy kapitał do najbliższych wyrobów. Wtedy La



Pira wziął za telefon i zażądał natychmiastowo Salazara. Salazar będzie towarzyszył Gronchiemu na uroczystościach. Salazar będzie reprezentował Florencję. La Pira zniknie. Tak będzie.

Opozycja do żywego dopiekła dumnej duszy La Piry, mieszczącej się w drobniotkim ciełe.

Nie przez przekorę to mówię, ale w tym wszystkim jestem jednego ciekaw, a mianowicie tego, czy La Pira jest świadomym, że teraz dopiero, tym krokiem, ukui dla siebie propagandowy kapitał. Jeden most więcej, jeden most mniej, florentczykom taką sztuką się nie zaimponuje.

Most przysporzyłby głosów w skromnej ilości. Ale nimb krzywdy, aureola zasłużonego, któremu w ostatniej chwili wyrwano z rąk owoc jego starań i jego pracy, z takiej aureoli może urósć góra głosów. Czy on o tym wie? Ten święty burmistrz, wplątany w takie zawsze pokrętne, przyziemne magistrackie intryżki i problemy, gierki, do tego jeszcze w tym konkretnym, włoskim, florenckim, bardzo jadowitym kontrapunkcie politycznym.

Raptem ruch koło drzwi. Dr Salazar wychodzi, wraz z nim La Pira, otoczony wianuszkiem najwyższych urzędników. Fotografowie i dziennikarze rzucają się do przodu. Ja spływam z fotela i wtapiam się w grupkę turystów. Nie należę bowiem do zbiorówki, rozgrywającej się teraz w saloniku. La Pira odprowadza Salazara do progów Sali Pięcuset. Zawraca, wyławia mnie. I po chwili jesteśmy sami. Jego gabinet jest wspaniały. Byłem tu już kilka razy. Jeszcze jacyś urzędnicy, jeszcze jakieś podpisy. Jeszcze ekskuzy z powodu czekania, wynikłego z tego, że Salazar jechał z Mediolanu samochodem. Chronometraż czasu, ułożonego przez La Pirę, na skutek tego nawalił. Nareszcie zaczyna się rozmowa.

Jest ciekawe, do jakiego stopnia dla La Piry rzeczywistość bieżąca, polityczna czy magistracka, to margines. Jeszcze przez chwilę żyje nim. Jeszcze mi tłumaczy sytuację. Jeszcze się trochę skarży. Jest jednak jak uczony, w którego domu wybuchła rodzinna awantura. Otarłem się o nią. Należy o niej powiedzieć parę słów. Wytchnąć z płuc resztkę tchu zamaconego zgiełkiem. Ale dość tego. La Pira uspokaja się. Przekracza próg między marginesem i rzeczywistością rzeczywistą. A co nią jest? Wynurzający się kształt przyszłości. Przyszłości zawiązującej się już dziś dość wyraźnie. Kształt dający się zmacać. Kształt o

wyraż-niejących  
brzegach.

La Pira przekonany jest, że komunizm natknął się na rudę prawdy. Odkrył żyłę  
prawdy  
obowiązującej dziś historycznie. Na żyłę prawdy naszego etapu historycznego.  
Odkrył ją, ale  
rudę nie umie przerobić. Nie uznaje, nie chce, nie widzi Boga. Żelazo ma, ognia  
nie ma. Kościół  
ogień ma, ale ogień ten nie płonie, bo nad tym ogniem nie ma kotła z rudą.  
Kościół jest wielkim  
piecem, pustym i wystygłym. Obok świat komunistyczny zwała w gigantyczny stos  
olbrzymie  
zwały rudę. Chodzi o to teraz, żeby wyjść z tego błędnego koła.  
Uwielbiam tego człowieka. Budzi we mnie przekorę. Ale jednocześnie z serca mego  
płyną  
ku niemu fale serdeczności. Pokazuje mi list Bogomołowa. Nic w tym liście nie  
ma  
szczególnego, ale list przyszedł z Moskwy! Uśmiecha się do mnie, z oczu jego  
leczą skry. Z  
naszej konwersacji nic dla świata nie wyniknie. Ale La Pira odnosi się do mnie z  
całą powagą. Ja  
bowiem też jestem stamtąd, ze świata odkrywców rudę, ze świata budującego  
gigantyczny stos-  
z rudę. List Bogomołowa, moja wizyta – małe skry.  
Wielka skra to bytność kardynała Wyszyńskiego w Rzymie. My w naszym języku  
politycznym powiedzielibyśmy, że są to wszystko przejawy koegzystencji. Dla La  
Piry  
koegzystencja to pojęcie zimne. Nie chodzi mu bowiem o to, żeby ruda z ogniem  
koegzystowała. Ale o to, żeby ogień się zapalił i ruda stopiła.  
List Bogomołowa, moja wizyta i tym podobne rzeczy to dla La Piry skry mistyczne.  
Nie  
objawy normalnego współzycia dwu światów, ale coś, co posiada swoistą dynamikę,  
rozprzestrzenia się, radioaktywizuje. Mówi o kardynale Wyszyńskim z uniesieniem.  
Tak mówi o  
nim jak astronom, który by się doczekał całej ekspedycji z Marsa na Ziemię i z  
powrotem, on,  
który dotychczas prowokował i obserwował małe mrugnięcia do siebie z gwiazdy do  
gwiazdy,  
bardziej zresztą iskierki niż znaki porozumiewawcze.  
La Pira jest Sycylińczykiem. Niski, chuderła-wy, o dużych wyrazistych oczach,  
zdających się  
jeszcze większymi na skutek silnych szkieł. Z Wyszyńskim zetknął się dopiero,  
jak kardynał  
przejeżdżał w powrotnej drodze przez Florencję. Kilka razy mówi o nim – uomo di  
poche parole.  
Zdaje mi się, że słyszę, że widzę, że czuję tę rozmowę. Tysiąc słów La Piry na  
jedno słowo  
Wyszyńskiego. A jednocześnie z tym potokiem tysiąca ;łw przeciw jednemu  
istotna,  
prawdziwa rozmowa dw i par wpatrzonych w siebie oczu, rozmowa najpewniej z serca

do serca.

Niepostrzeżenie nasza wymiana myśli z La Pirą obniża lot, dotyka ziemi. Zaczyna mówić o

kongregacjach, Sekretariacie Stanu, otoczeniu papieża, samym papieżu, Demokracji Chrześcijańskiej, Fanfanim, Rumorze, Paxie i Piaseckim. Pytam o przyczyny kwarantanny.

Pytam La Pirę o wersje La Piry. On mi powiada tylko, że „dużo było początkowo zamieszania z

waszym kardynałem”. Ale to nieważne. Ważny jest finał. Ważne jest to nadganiecie przez

Osservatore Romano, raz po raz podającego wiadomości o Wyszyńskim w ostatnich dniach

przed jego wyjazdem. Oczywiście dla La Piry, że ktoś u góry, in altissimo loco, przekręcił korbkę

z lewa w prawo i w Osservatore zaszumiało od kardynała.

Ale według La Piry kulminantą akceptacji dla Wyszyńskiego było wydelegowanie na dworzec w dniu odjazdu monsignora Dell'Acqua. Jest on bowiem zastępcą zastępcy nie

istniejącego Sekretarza Stanu. Ale to bagatela. Jest on bowiem tym, który chodzi tam, gdzie chce

papież. To jest fakt w eklezjastycznej katolickiej górze całego świata wszystkim wiadomy. A

trzeci zastępca, to dużo, ale jeszcze więcej, kiedy pomyśleć, że to papież mu powiedział: – Synu,

teraz możesz iść!

Papież powiedział to Dell'Acquie nie z natchnienia bożego. Albo też z natchnienia –

poprzedzonego rozległym konsultowaniem i badaniami. W ruch poszły święte kongregacje,

badaly one sprawę polską, namyślały się, opiniowały. Zdaje się, że konsultowani byli również

pozarzymscy członkowie świętych kongregacji czy też Sw. Ofi-Cjum. A z całą pewnością

przynajmniej kardynałowie Siri, Lercaro i Roncalli, pierwszy – arcybiskup Genui, drugi –

arcybiskup Bolonii, trzeci – patriarcha Wenecji. Zwłaszcza ze zdaniem pierwszego papież się

bardzo liczy. Dał on gałkę białą.

W taki to sposób dotykamy ziemi, ale dopiero zaczyna ona pod naszymi stopami dudnić

stukotem, kiedy nagle La Pira pyta:

– Tylko dlaczego wy ciągle jeszcze nie rozwiązujecie Paxu?

– A to wy, to kto?

– Rząd! Partia!

– Nie one go zawiązywały, nie mogą go rozwiązać!

– Ale mu pomagały!

– Tyle co połoźna, będąca zarazem bogatą ciotką. Ja tam nie jestem za Paxem, powiem

jednak tyle, że obrósł on w trakcie swego żywota w kupę ludzi, w mnóstwo młodzieży. Ciachnąc

tego raz, dwa me da się i byłoby z krzywdą. Niech się to wszystko wypraża razem z innymi odłamami działaczy katolickich, aż fusy wypłyną na wierzch, a w garnku zostanie sama kawa.

Poza tym sądzę, że to są wewnętrzne sprawy katolickie. Niech sami z sobą walczą, przenikają się

i sycą nawzajem osmotycznie.

La Pira nie daje za wygraną: – Nie powinniście w niczym teraz drażnić papieża, a jego drażni

Pax i Piasecki.

– Drażni, drażni, ale przecież pamięta pan, jak było. Święte Oficjum wpisało na indeks

książkę Piaseckiego i „Dziś i Jutro”. Piasecki od tego wyroku odwołał się do papieża, do

„papieża lepiej poinformowanego”, zgodnie z kanoniczną formułą. W następnej fazie wpis na

indeks pozostał w rrocy, papież jednak nie eks-komunikował ani Piaseckiego, ani redakcji „Dziś i

Jutro”. To znaczy, że uznał krok Piaseckiego, który zobowiązał się książki nie wznawiać, i krok

„Dziś i Jutro”, które zmieniło nazwę i odtąd bardziej uważało, za wystarczające.

Anatemy papież

na nich nie rzucił, bo się przy swoich błędach dogmatycznych nie upierali.

Niezależnie więc od

pierwszego względu przeze mnie przytoczonego – jakże nasz rząd i partia u nas może być

bardziej katolicka niż papież.

– A kardynał, słyszałem, że się od nich odciął?

– Nie podoba mu się, że sławią go, zawalając reportażami z jego kazań i uroczystości, pisma,

które go potępiały. Ale, jak mi się zdaje, to wszystko razi tylko jego smak, nie jego słuch

teologiczny.

La Pira przygląda mi się uważnie. Ale ja się jemu przyglądam z jeszcze większą uwagą. Bo

na oczach moich jego świętą duszę chwyta mały, żwawy demon, do którego kompetencji należą

wszelkie pokusy polityczne. La Pira myśli głośno, w kategoriach taktycznych.

– Z drugiej strony, przyznać trzeba, zawsze dobrze jest mieć coś na lewo od siebie. Żeby w

Kościele postęp realizować, powinno się bezwzględnie mieć na lewo od siebie jakieś

ugrupowanie progresywniejsze. Ale ten Pax! Ten Pax!

Rozkłada ręce. Szczerze martwi się za kardynała, że ma z lewa źle osłoniętą flankę. A ja

myślę o Piusie X, któremu advocatus diaboli wylykał nieopanowany gust do tabaki. Jak

przyjdzie czas dźwigać na ołtarze La Pirę, advocatus wytoczy przeciw niemu jego żyłkę do gry

politycznej. Taka gra u La Piry to nie jedynie konieczność, to jego namiętność.

I to jaka! Pulsuje  
cały od tego, że się przejął rozgrywką. I to nie swoją! Cudzą! Trzeba mu będzie  
wrozumiałego  
papieża, jak kiedyś przyjdzie pora na jego kanonizację.  
Rzym, 29 czerwca 57 r.  
Monsignoi Giuseppe de Marchi, wyższy urzędnik Sekretariatu Stanu i profesor  
historii  
dyplomacji na Pontificia Accademia dei Nobili Ecclesiastici, wydał interesujący  
spis  
nuncjusów watykańskich pt. Le Nunziature Apostoliche dal 1800 al 1956. Spis  
zaopatrzonej jest  
w przedmowę Sekretarza Sw. Kongregacji dla Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych,  
arcybiskupa  
Antonio Samore, który jest poza tym w Sekretariacie Stanu pierwszym zastępcą  
kierownika tego  
urzędu oraz przewodniczącym małego, powołanego w roku 1930 do życia  
organizmu  
przybudowanego do wspomnianej Kongregacji, nazywanego się Pontificia  
Commissione per la  
Russia. Kiedy t'ni był T., jeszcze przed Październikiem, i w sprawach swojej  
grupy trafił w  
Świętym Oficjum wysoko, bo aż do ks. K., choć francuszczyzna jego całkiem  
niezła, musiał myśleć  
swoją źle sformułować, bo ks. K. zrozumiał, że T. przyjechał z Polski urzędowo.  
Zaraz mu  
wyzначył drugie spotkanie, żeby z nim pójść jeszcze wyżej. Na wstępie tego  
drugiego spotkania  
wnet, się pomyłka wyjaśniła i wtedy to ks. K. zawołał raz i drugi: – A to się  
monsignor Samore  
zmarł! A to się monsignor Samore zmarł! – Ten okrzyk, płynący z głębi  
serca, w  
najwyższym stopniu zainteresował mojego T., który będąc niewątpliwie lepszym  
dyplomata niż  
romanista zrozumiał, że tam wyraźnie na urzędową, upoważnioną osobę z Polski  
czekano.  
Wracając do spisu nuncjatur monsignora de Marchi, z przyjemnością bierze się  
jego  
książeczkę do ręki. Nie dla wstępu, z którego niewiele się można dowiedzieć i  
który tylko  
ostrożnie napomina o sporze na temat początków nuncjatur, nie wdając się zbytnio  
w ten  
delikatny problem, ale dla samego spisu czy raczej spisów, dających okazję do  
różnych refleksji.  
Co do samego sporu, jest on istotnie ciekawy. Jedni bowiem twierdzą, i to jest  
wersja urzędowa,  
że nuncjusze dzisiejsi pochodzą od dawnych apocrisari, ambasadorów papieskich,  
wysyłanych  
do cesarzy i królów. Inni natomiast nie chcą widzieć żadnego związku pomiędzy  
tymi apocrisari  
czy późniejszymi od nich wysłannikami papieskimi pod nazwą legati missi. Wywodzą

ich

natomiast od kolektorów papieskich (collettori papali), których papieże używali do zbierania

dziesięciny początkowo – podobnie jak tych czystych dyplomatów, to jest apokryzjarów i

legatów – od wypadku do wypadku, lecz później rozkazując im stale pilnować interesu na

miejscu. Podług zwolenników hipotezy, nazwijmy ją, kolektorskiej, przemawia za nią charakter

stałości misji kolektorów. Jest to zresztą rzeczą pewną, że z kolei, trzymając już po

najważniejszych stolicach swoich ludzi, papieże zaczęli im polecać załatwianie również spraw

politycznych, zrazu nieoficjalnie. Powoli tracą oni swój charakter czysto fiskalny. Począwszy od

XV wieku stają się przede wszystkim dyplomatami. Z wolna zaczyna ich przyoblekać fiolet, a

nawet purpura. Dla dawnych kolektorii zaczyna się ucierać nazwa nuncjatur. W ten sposób

fiksuje się ostatecznie profil roboczy dzisiejszych nuncjuszy. Średniowieczny nuntius collector et

commissarius decimonim (dziesięcin) przekształca się w klasycznego ambasadora. A kulminantą

tego przeobrażenia jest paragraf 3: Reglement sur le rang entre les Agents Diplomatiques,

podpisany przez osiem mocarstw w Paryżu 19 marca 1815 roku i zatwierdzony na Kongresie

Wiedeńskim tegoż roku, który przyznaje nuncjuszom papieskim zwyczajowe prawo do tytułu i

rangi dziekanów korpusu dyplomatycznego.

Wracając do książki monsignora de Marchi, nasuwa ona sporo refleksji. Podaje on nuncjuszków od roku 1800 do 1956, ponieważ za poprzednie okresy istniały już opracowania. Ale

kiedy sobie uprzytomnić, że tu chodzi o wiek XIX i XX, a więc wieki najnowsze, zaskakują od

razu sposoby, do których się musi brać autor, chcąc ustalić daty nominacji.

Kopii biletów

nominacyjnych często w archiwach brak. Wtedy dla autora źródłem jest Diario di Roma, które

podaje nominacje, ale też nie zawsze. Mogą dostarczyć również wiadomości Breve, przynoszące

poprzedników takich nuncjuszy, o niepewnej dacie nominacji, na wyższe stanowiska, ale wtedy

daty dalekie są od precyzji. Czasem przecież pomiędzy odwołaniem jednego nuncjusza i

mianowaniem następcy mijają miesiące, a nawet lata. Niekiedy więc w bezradności swojej autor

uciekać się musi do ustalenia daty, opierając się na pierwszym raporcie nadesłanym do Watykanu

przez nowego nuncjusza. Ale może najcharakterystyczniejsza ze wszystkiego

wydaje mi się  
metoda ustalenia dat nominacyjnych Sekretarzy Sw. Kongregacji dla Spraw  
Kościelnych  
Nadzwyczajnych. Źródłem jest tu przechowywana w archiwach tejże kongregacji –  
jak informuje  
autor – Lista dei Secretari della Sacra Congregazione degli AA. EE. SS. (Affari  
Eccl. Straord.).  
Jest coś zatraćającego myślką w takim sposobie. Nie można sobie wyobrazić gdzie  
indziej niż w  
Watykanie, aby „z przechowywanej w archiwach listy” należało się dowiadywać,  
kiedy  
mianowany został ten i ów z najwyższych dygnitarzy zagranicznych jakiegoś kraju.  
Owszem, ale  
nie w XIX czy XX wieku! I nie z XIX czy XX wieku również te kłopoty z brakiem  
odpisu bi-  
glietti di nomina, nie istniejących, ponieważ nominacje następowały ustnie! Ale  
również  
niesłuszny byłby wniosek, że w Watykanie i jego roboczych archiwach panuje  
nieład. Ja raczej  
podejrzewam, że ład tam panuje wzorowy, tylko rodzaj tego ładu jest  
niewspółczesny." Kryteria  
tego ładu są nowoczesne. I stąd na przykład ta, o której piszę wyżej,  
„przechowywana w  
archiwach lista", która mogła być chlubą archiwistyki i techniki biurowej dla  
Longobardów czy  
Kape-tyngów, ale już nie dzisiaj.  
Ale to w końcu drobiazg, rzecz formalna. Znacznie ciekawsze śledzić ruch  
nuncjusów w  
tych dwu wiekach. Jakież one dla Kościoła niespokojne. Coraz to zrywają się  
stosunki  
dyplomatyczne stolicy apostolskiej z jakimś krajem. Najgorsza jest pod tym  
względem Ameryka  
Południowa. Ale z Europą też papieże mieli w tych wiekach skarcanie boskie. Nie  
mówię  
oczywiście o naszych czasach i o rewolucjach proletariackich, ale o  
mieszkańskich i  
narodowych. Z tych zrywań i z tych szamotań widać, jak ciężko przyszło  
Kościołowi nałamywać  
się do porządków burżuazyjnych i laickich, a nawet monarchistycznych, jeśli te  
stawały się  
konstytucyjne.  
14 października 1884 r. minister spraw zagranicznych Argentyny pisze do posła  
papieskiego,  
arcybiskupa Matera, by w przeciągu dwudziestu czterech godzin opuścił Argentyne.  
Stosunki  
dyplomatyczne nawiązują się dopiero w szesnastym lat później. W 1880 roku Belgia  
zrywa na  
cztery lata stosunki z Watykanem. Chile na osiemnastym lat. Kolumbia – na  
dwadzieścia siedem.  
Ekwador na trzydzieści pięć, Francja, pomijając czasy Napoleona, na lat

szesnaście (od 1904–1920), Haiti – na lat jedenaście. Italia nawiązuje stosunki z Watykanem dopiero w 1929 r. W roku 1899 Watykan odwołuje internuncjusza z Luksemburga z powodu konfliktów dyplomatycznych. Następcę przyśle dopiero w roku 1917. Holandia nie ma nuncjusza od r. 1899 do roku 1910. Meksyk, odkąd zerwał stosunki w roku 1865, do dziś nie ma normalnego nuncjusza. Stosunki między Paragwajem a Watykanem zrywają się dwukrotnie: od 1884 do 1900 r. i od 1905 do 1919 r. Pomiędzy Portugalią i Watykanem od r. 1833 do roku 1841. Republika Dominikańska z powodu zadrażnień pozostaje bez nuncjusza od roku 1903 do roku 1928.

Dnia 31 lipca 1835 arcybiskup Luigi Amet di San Filippo e Sorso otrzymuje depezę od kardynała Bernetti, Sekretarza Stanu, z nakazem natychmiastowego zażądania paszportu na wyjazd z Hiszpanii. Dopiero po dwunastu latach stosunki się naprawiają. Ale nie za bardzo, bo od 1853 do 1857 r. znowu nie ma w Hiszpanii nuncjusza. Od roku 1869 do 1875 też go nie ma, na znak protestu przeciw przewrotom politycznym i przeciw walce z Kościołem. Nawet spokojna i tolerancyjna Szwajcaria od roku 1850 do roku 1863, a potem znowu od roku 1874 do 1920 doprowadza Watykan do odwołania nuncjusza i z kolei do zerwania stosunków „z powodu bolesnej sytuacji Kościoła w tym kraju”.

Urugwaj od roku 1884 do 1939 ma papieskiego posła tylko przez kilka miesięcy i to takiego, który w tym czasie nie zdążył złożyć listów uwierzytelniających z powodu „nie odpowiadającej temu atmosfery”. W Wenezueli od 1903 r. do 1908 toż samo, tylko krócej. Można więc rzeczywiście na palcach jednej ręki policzyć kraje, z którymi w tej epoce Watykan nie miał kłopotów i nawzajem – one z Watykanem.

Ale żeby w pełni zrozumieć sens tego wszystkiego, należy sobie uprzytomnić, że we wszystkich wyżej wyliczonych krajach (poza jednym upartym Meksykiem) są dzisiaj nuncjusze.

Z pierwszą wojną światową kończy się epoka zmagania, o których mówię. Z końcem drugiej wojny otwiera się epoka nowych. Tym razem pomiędzy innymi państwami i Watykanem. No i oczywiście uwarunkowanych innym typem przemian i rewolucji. Jest zagadnieniem, które rozstrzygnie historia, czy o wiele ciężiej przyjdzie Kościołowi „wpisać się” – jak mówi przemądry



N. •– w porządek proletariacki, niż przychodziło mu „wpisywać się” w porządek mieszczański  
czy laicki, czy jeszcze dawniej protestancki.  
Niedawo zwrócił mi uwagę G. na to, że za Risorgimento w przeciągu kilku lat ośmiu kardynałów aresztowano czy zaskarżono, a wyroków, które w tym czasie spadały na ordynariuszy, skazywanych i zmuszonych do opuszczenia diecezji, trudno się doliczyć. W ostatnim dziesięcioleciu przed 1870 r. w samych prowincjach południowych musiało z nakazu władz powstającego państwa włoskiego opuścić swoje stolice pięćdziesięciu pięciu arcybiskupów i biskupów.  
Ale ich nie maltretowano, nie nękano, powie ktoś. Tak, poza jednym Meksykiem nikt wtedy tego nie uczynił. Krańcowe formy stosowane przy procesie „wpisywania się” Kościoła w nasz porządek nie wynikają z jakiejś specyfiki tego porządku, tylko z obowiązującej w naszych czasach krańcowości. Z przepisów walki obowiązujących dzisiaj, przepisów odrażających, ale ogólnie przyjętych, zupełnie niepodobnych do tych, które stosowano w XIX wieku, zwłaszcza na terenie Europy.  
Przemądry N. przewiduje, a jest znakomitym znawcą historii Kościoła, tak że przy prorokowaniu pomaga sobie informacjami, a ściślej biorąc analogiami, że „wpisywanie się” Kościoła w nasz porządek będzie dla Kościoła imprezą trudniejszą od „wpisywania się” w porządek mieszczański czy laicki, ale za to łatwiejsze od „wpisywania się” w porządek społeczeństw powstałych na skutek Reformy. Dla przykładu podaje on z jednej strony Francję, gdzie po długich mękach Kościół „wpisał się” w jej ustrój całkowicie, i Anglię, w którą „wpisać się” może tylko jako fakt społecznie marginesowy.  
N. twierdzi, że w omawianej problematyce też sprawdza się aksjomat, że najbardziej się nienawidzą frakcje. A ponieważ komunizm nie jest jakąś nową frakcją chrześcijaństwa, tak jak np. protestantyzm, tylko nową koncepcją ustroju o normalnych dla każdej wielkiej myślowej nowości tendencjach uogólniających, które z czasem się zmitygują – zubożętnieją na punkcie religii i Watykanu, tak samo jak po okresie burzliwej negacji zubożętniało mieszczaństwo.  
Na temat tego zubożętnienia nie zabieram głosu, bo albo trzeba o tym książkę napisać, albo zacząć mówić o czym innym. Natomiast co do głębi i niezniszczalności nienawiści frakcyjnej,

przyznać trzeba rację N. zwłaszcza w tym zastosowaniu, w jakim użył tego terminu. Z książeczki ks. de Marchi można się przekonać, jak trudno zarastają rany frakcyjne. Ani razu pomiędzy stolicą apostołską i państwami protestanckimi nie może dojść do normalnych stosunków dyplomatycznych: Z Anglią, z Kanadą, ze Stanami Zjednoczonymi, z państwami skandynawskimi. To jest wielki, wielki ból Watykanu. Uderzające jest, że Indie, Chiny kuomintangow-skie, Egipt, Japonia, Persja, Pakistan czy Syria, a więc państwa mahometańskie, szintoistyczne, buddyjskie czy taoistyczne nie odczuwają żadnych oporów i chcą tych stosunków. Natomiast wymienione państwa protestanckie wykręcają się albo, jak Anglia czy Ameryka, wynajdują formy połowiczne i półoficjalne, nad którymi Watykan cierpi tak ze względów merytorycznych, jak prestiżowych. Nuncjusze są przeważnie narodowości włoskiej. Rekrutują się z ludzi, którzy całą karierę robią w kurii rzymskiej. Pracuje w niej trochę cudzoziemców, ale mało. To znaczy od pięciu do dziesięciu procent, różnie w różnych czasach. W pierwszej i drugiej sekcji Sekretariatu Stanu, z której rekrutuje się służba zagraniczna Watykanu, jeszcze mniej. Ale to oczywiście nie oznacza, by nuncjusz musiał być Włochem. Czasem zdarza się, że ze względów politycznych wygodniej nie mieć Włocha, jak na przykład obecnie w Abisynii, gdzie w ogóle całe przedstawicielstwo papieskie jest niewłoskie. Ale nawet bez tych względów jest dziś trochę nuncjuszków niewłoskich. Na Tajwanie ma Watykan Monegaska, w Irlandii – również, w Niemczech Zachodnich – Amerykanina z Milwaukee, arcybiskupa Muencha (który jest jednocześnie ordynariuszem Fargo w Północnej Dakocie). W Japonii internuncjuszem jest Niemiec, arcb. Maksymilian, książę v. Fiirstenberg. W Indiach – arcb. Knox, Australijczyk. W Liberii Irlandczyk – John Collins. W Pakistanie – Holender nazwiskiem James Cornelius van Miltenburg, który jednocześnie jest arcybiskupem Karachi. Żyjącego Polaka nie ma dziś ani jednego. Mon-signor de Marchi zna jednak dwu zmarłych, i to bardzo wspaniałych. Pierwszy to Włodzimierz hr. Czacki, nuncjusz w Paryżu od 1879 do roku 1882, przedtem sekretarz Sw. Kongregacji dla Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych. Drugi to Mieczysław hr. Ledóchowski, nuncjusz w Brukseli od 1861 do 1866 r., z kolei arcybiskup gnieź-nieńsko-poznański, a jeszcze później kardynał

kurii.

W porównaniu z zagraniczną służbą świecką ciekawe jest, że najczęściej nuncjusz na pierwszej nuncjaturze kończy karierę dyplomatyczną. Jest zjawiskiem rzadkim, by z jednej nuncjatury przechodził co parę lat na drugą, z gorszej na lepszą, a potem na jeszcze lepszą, jak to bywa w dyplomacji świeckiej, gdzie ministrowie pełnomocni czy ambasadorowie zmieniają placówki na coraz ważniejsze. Z nuncjuszami jest inaczej; taki jak zasiądzie na placówce, to siedzi. Powiem nawet, że ich zasiedziałość w naszych czasach wzrosła. A więc na przykład, z dzisiejszych kardynałów kurii: Clemente Micara był nuncjuszem w Belgii od roku 1928 do 1945; Be-nedetto Aloisi Masella spędził w Brazylii dziewiętnaście lat jako nuncjusz; Yalerio Yaleri był dziewięć lat nuncjuszem we Francji; Ciriaci, prefekt Kongregacji Konsyliów, dziewiętnaście lat w Portugalii; inny dzisiejszy prefekt kongregacji (Czcigodnej Budowy Bazyliki Sw. Piotra), Tedeschini, piętnaście lat w Hiszpanii, a prefekt Rytów, Cicognani, w tejże Hiszpanii, oczywiście też jako nuncjusz, również lat piętnaście. Eugeniusz Pacelli, dzisiejszy papież, przesiedział się na nuncjaturach w Niemczech dwanaście lat, od roku 1917 do roku 1929, zrazu jako nuncjusz w Bawarii, a potem na Prusy i całe Niemcy. Inny nuncjusz, arcb. Pasquale Robinson zmarł w 1948 roku w Dublinie na tym stanowisku, które piastował dziewiętnaście lat. Ale niewątpliwym rekordzistą był Francesco Borgon-gini Duca, pierwszy nuncjusz w Italii po Paktach Lateraneńskich, który przetrwał na swojej nuncjaturze dwadzieścia cztery lata. Z nuncjuszów aktualnych natomiast rekordzistą jest arcb. Paolo Giobbe w Holandii, gdzie tkwi od lat dwudziestu jeden. Tak się dzieje nie dlatego, by chciał tego jakiś plan. Są placówki, na których nuncjusze się zmieniają. Tak było na przykład u nas przed wojną, gdzie przeciętnie co pięć lat zmieniał się nuncjusz. Zdaje się, że za przeciętną można przyjąć osiem lat. Jest to rzeczywiście okres czasu, w którym poznać można kraj wszechstronnie, i kraj, i cały jego kler, tak aby być potem w Rzymie specem. Nie jest jednak rzeczą możliwą dla Sekretariatu Stanu trzymać się sztywno tej przeciętnej i kto wie, czy nie idealnej miarki. Dla nuncjuszów bowiem naturalnym i jedynym ujęciem jest, by się tak wyrazić, albo kapelusze i kuria, albo jakieś

arcybiskupstwo, a ponieważ są to przeważnie Włosi, więc włoskie. Tu następuje zator. Niezależnie jednak od tego zamącenia pomiędzy podażą a popytem na miejsca kierownicze w kurii i na stolice wielkich diecezji, Watykan nie zna tej nerwowości świeckiej, która by nie zniosła tego, żeby jacyś ludzie tak trwali i trwali na swoich stanowiskach dziesiątkami lat. Sami ci przeznaczeni na takie trwanie by tego nie zniesli i zwariowali, a cóż dopiero inni, mniej lub więcej sprawą zainteresowani. Należy przy tym pamiętać, że psychologię człowieka, obierającego sobie karierę duchowną, kształtuje w zupełności inne poczucie czasu niż człowieka, który robi karierę świecką. Nie mówię o tym, że duchowni mają czy też mieć powinni przed sobą w perspektywie wieczność, bo ten взгляд nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi mi o to, że duchowni mają przed sobą całe życie. Świeccy do zrobienia kariery o wiele mniej czasu, bo tylko do emerytury. Proszę spojrzeć na takiego kardynała Micare, tego cytowanego nuncjusza z Belgii, który się w niej wysiedział dwadzieścia dwa lata; kiedy go Pius XII odwołał, miał sześćdziesiąt siedem lat. Jako świecki człowiek już by się liczył za skończonego. A tymczasem jako księżę Kościoła dopiero się zaczynał. W Rzymie czekał na niego kapelus, wikariat generalny przy Piusie XII, honory wicedziekana Sw. Kolegium i w ogóle cała kuria rzymska, którą wraz z paroma innymi, podobnymi do siebie starcami, trzęsie. Ale jeszcze jedną rzecz uprzytamnia książka monsignora de Marchi. A i kto wie, czy ta właśnie nie jest największa, najbardziej uderzająca. Pokazuje się z niej, że nieomal wszyscy kardynałowie kurii to dawni dyplomaci. Albo jeszcze ściślej – to ludzie, którzy czy to w Sekretariacie Stanu, czy w Kongregacji dla Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych, czy też na nuncjaturach przepędzili całe życie. W książce monsignora de Marchi nie figurują oni osobno. Tylko że kiedy się ją przegląda, a ma się w pamięci nazwiska tych kardynałów, od razu się spostrzega prawdę, o której mówię. Tych kardynałów jest w tej chwili trzynastu. Z nich jedynie trzech nie pochodzi z papieskiej kariery dyplomatycznej: Piętro Fu-masoni Biondi, Adeodato Giovanni Piazza i Eu» gene Tisserant. Wszyscy inni to ludzie, których uformowała polityka

zagraniczna i którzy na kierowniczych stanowiskach w dyplomacji strawili życie. Pius XII też jest z tej samej formacji. Dyplomacja była jego szkołą życia. Siedzi w niej od 1912 roku najpierw jako Sekretarz Sw. Kongregacji dla Spraw Nadzwyczajnych, potem na nuncjaturach w Niemczech, a w końcu jako Sekretarz Stanu. W sumie więc – dwadzieścia siedem lat! Te dwadzieścia siedem lat myślenia o świecie, myślenia o Kościele i o religii przede wszystkim w kategoriach dyplomatycznych, robi swoje! A tym bardziej, mając otoczenie, które przez niemal całe życie patrzyło na Kościół, religię i świat również pod tym kątem. Ani mi w głowie przedstawiać tę sprawę stronniczo. Ale rzeczywiście warto się nad nią zastanowić po prostu, po ludzku. Czy naprawdę można uwierzyć w to, że takie lata, dwadzieścia, trzydzieści, a w niektórych wypadkach jeszcze więcej, i to w porze, kiedy jednostka ostatecznie się kształtuje, nie wpływają decydująco na formację człowieka. Bez wątplenia, że wpływają. A w tej specyficznej sytuacji sądzę nawet, że można powiedzieć: decydująco wpływają na deformację człowieka. Mówię tak dlatego, że mamy tu przecież do czynienia nie z osobami świeckimi, ale z osobami duchownymi. Z osobami, które czując powołanie poszły służyć religii, to znaczy związywaniu ludzi z Bogiem albo nawet, jeśli to były osoby zakonne, związywaniu siebie samych z Bogiem. Nic bardziej niszczącego dla takiego odczuwania i dla takiego powołania niż praca w dyplomacji. Może ktoś uważać, że tak nie jest, ponieważ życie psychiczne człowieka toczy się na wielu planach jednocześnie. Na pewno się toczy na wielu. Ale praca w dyplomacji, tak jak hazard, tak jak adwokatura, tak jak dziennikarstwo w prasie zaangażowanej politycznie, no i praca w samej polityce również kryje w sobie pewne szczególne niebezpieczeństwo dla życia duchowego, polegające na rozbudowaniu w sobie silnych namiętności do zwycięstw drobnych, fragmentarycznych, i to za każdą cenę, oraz na rozbudowaniu w sobie wskutek ciągle zmobilizowanego wewnętrznego systemu jednostronności. Mnie się wydaje, że w tej okropnej deformacji kurii leży jedna z największych tragedii współczesnego Kościoła. Jest zresztą rzeczą interesującą, że pewien niepokój co do tej sprawy odczuwał sam Pius XII. Słyszałem, że kiedy został papieżem i zobaczył wokół siebie samych dyplomatów,

zadrzał.

Ujrzał wtedy raptem prastarą scholastyczną teocentryczną zasadę, że wszystko jest służką,

czyli ancillą teologii, nawet filozofia, dziwacznie przeobrażona. Teraz wszystko służyło

dyplomacji i polityce: cała kuria, cały Watykan; cały rytm pracy w Watykanie

podporządkowany

był sprawom politycznym, one miały priorytet przy układaniu kalendarza

papieskich zajęć.

Służką polityki i dyplomacji była nawet teologia, o której przypominano sobie w Watykanie

tylko, kiedy należało jakieś tezy polityczne czy dyplomatyczne podbudować

teoretycznie.

Pius XII zaniepokoił się, widząc prawie wszędzie na kierowniczych stanowiskach w kurii

zawodowych dyplomatów. Rządzili oni wszystkim i we wszystkich dziedzinach.

Rozstrzygali o

wszystkich zagadnieniach, znając się właściwie tylko na jednym, a mianowicie na tym, jak się

targować z rządami o różne ustępstwa i wolności dla Kościoła, bo na tym polega

głównie

dyplomacja papieska. Piusa XII przeraziło wtedy zwłaszcza to, że prawie żaden z

tych ludzi nie

był nigdy w życiu ordynariuszem. Nikt z nich prawie nie prowadził żadnego

poważniejszego

organizmu duszpasterskiego w terenie. Można by porównać Piusa XII do generała,

który by

został głównodowodzącym i spostrzegł, że na stanowiskach kierowniczych siedzą

wyłącznie

tylko dawni attache wojskowi, i to tacy, którzy nie mają za sobą ani dnia służby

liniowej, służby

w pułku. Wówczas, jak słyszałem, postanowił, że nie może zostać kardynałem kurii

nikt, kto nie

ma za sobą takiej „pracy w linii”, to znaczy w tym wypadku nikt, kto nie

przepracował pewnej

ilości lat na stanowisku ordynariusza. Ale chyba ta zasada poszła w zapomnienie.

Tak

przynajmniej można sądzić z dzisiejszego zestawu kurii. Poza kardynałem Piazza,

dawnych

ordynariuszy tam nie ma. Jest tylko ten jeden Piazza. Jeden na trzynastu. A

reszta? Owszem, to

biskupi czy arcybiskupi, ale tytularni, pasterze dusz in partibus inlidelium.

Jest to interesujące, że na tę tak paradoksalną sytuację, polegającą na tym, że

drobna grupa

specjalistów wyłącznie od zagadnień polityki zagranicznej nadzoruje i kieruje

całością pracy

wszystkich metropolitów, opatów, superiorów oraz propozytów zgromadzeń

religijnych, Pius XII

nie umiał znaleźć lekarstwa. Nawet nad zakonnikami kontemplacyjnymi o

najsurowszych

regułach, różnymi karmelitami, kamedułami, eremitami, cystersami, trapistami czy kartuzami i tym podobnymi pokutniczymi i mistycznymi mnichami stoi dawny zawodowy dyplomata, tytularny arcybiskup Efezu, kardynał Valerio Valeri, któremu całe życie przeszło na „apostolstwie proszonych obiadów”, jak się mówi o nuncjaturach. To już mi się wydaje w stosunku do tych mnichów przesadą, a nawet, chciałoby się powiedzieć, obrazą. Ravenna, 1 lipca 57 r.

Przyjechałem tu – też dla spraw działu kulturalnego – autokarem. Pchnąłem pewną sprawkę naprzód. Mogłem ją pchnąć dopiero późnym wieczorem. Wobec czego przenocowałem. Jestem po raz piąty w tym mieście, a po raz pięćsetny wyobraźnią. Nie jestem nekrofilem, ale wszelkie umieranie pociąga mnie. Umieranie rodów, umieranie miast, umieranie państw, umieranie cywilizacji. Umieranie też ma swoją budowę, tak jak ma budowę wzrastanie. Swoją budowę i swoją logikę. Umieranie ma swoją dynamikę, która pcha w dół. Mówię oczywiście o umieraniu wzorowym, nie o umieraniu kata-strofowym, lecz tym najbardziej przejmującym umieraniu auralenti.

Przenieść stolicę z Rzymu do Rawenny! W tę pustkę, w tę płaszczyznę, w ten mokry step! Zdawałoby się, że taka zmiana to już koniec wszystkiego. Ale nie, bo oni, ci cesarze zachodni, nowe miejsce kochają, upiększają je. Ale znowu jak dziwnie upiększają, z jaką rezygnacją z wielkości. Tak nie po rzymsku, tak bez pychy. Grobowiec Galii Placidii wygląda jak przybudówka gorzelni gdzieś w Lubelszczyźnie czy na Podlasiu. Skromne to-to, małe, nie rzucające się w oczy. Kościół Sw. Witalisa już nie tak surowy, ale jaki nieduży w porównaniu z cesarskimi budowami Rzymu. Z pałacami, z termami, z mauzoleami. O grobowcu Galii Placidii nie można powiedzieć – nieduży, bo należy powiedzieć – żaden. A wejść do środka – dech zapiera. I tu, i tam mozaiki cudowne jak marzenie. I tu, i tam, zwłaszcza u Witalisa, przepiękne, delikatne, wprost bachowskie rytmy architektoniczne.

Bo też jest ważne dla umierania to owocowanie. Umierające cywilizacje pomimo umierania nadal owocują, a może nawet owocują wtedy. Tak twierdzą niektórzy, ale ja myślę, że owocują wówczas tylko tym, co było w nich, w tych cywilizacjach, zahamowane. Tym, czym nie wypadało owocować za czasów potęgi. A więc owocują wszystkimi nie

przepuszczonymi przez  
cenzurę potęg treściami niepoważnymi, gorszącymi, dziecinnymi, kapryśnymi,  
histerycznymi. To  
jest jednak schemat. Schemat dobry dla naszych czasów. Ale w Rawennie on nie  
wychodzi. Inne  
musiały być zahamowania w cywilizacji rzymskiej niż w cywilizacji naszej. Rzym  
pozwalał  
sobie na wszystko w kulturze.

Może tylko nie pozwalał sobie na sztywność, na mistycyzm, na dreszczyki  
metafizyczne. Nie  
bardzo sobie chyba też pozwalał na figle infantylne, na dziecinnienie. I to  
właśnie widać tu, w  
Rawennie. I to właśnie stanowi jej smak. Widać w natężeniu to wszystko, czego  
cywilizacyjna,  
duchowa cenzura rzymska nie przepuszczała. Ale jakie osobliwe zestawienie treści  
z formą.

Treść jest wszędzie hieratyczna, sztywna, mistyczna. A forma z kolorowych  
kamyczków. Forma  
infantylna, technika wywodząca się z dziecinniej formy. Może to właśnie tak  
wzrusza, to  
połączenie przedziwne powagi z niepowagą, wlotu ducha z tą naiwną  
rzemieślniczo-dziecin-ną  
mechaniką, przy pomocy której on wzlata.

Ravenna, 2 lipca 57 r.

Jest tu cudowne baptysterium, ośmiokątne, za katedrą, które wszyscy zwiedzają.  
Zbudował je  
biskup Neon, a właściwie przebudował w tym celu malutkie pogańskie termy. Woda,  
jak była,  
tak została, pełniąc jednak po tej przebudowie inną rolę, i to rolę innego  
rzędu, rolę liturgiczną w  
miejscu dotychczasowej roli higienicznej. Przebudowa jest z piątego wieku,  
mozaiki też z  
piątego. Jest to moje ulubione miejsce, w którym zawsze spędzam z godzinę  
czasu, będąc w

Rawennie, to wchodząc, to wychodząc, jak już nazbyt dokuczają głosy przewodników,  
recytujących turystom we wszystkich językach świata swoją wiedzę o Neonie i  
przebudowie  
łaźni na kaplice. Dziś musiałem raz wyjść na dłużej, bo podjechało pięć  
autobusów z dwoma  
setkami Portugalczyków, których przewodnicy podzielili na cztery rzuty, bo  
inaczej się nie  
mieścili w baptysterium. Na tę młockę, cztery-kroć powtórzoną, wyszedłem,  
ponieważ  
uniemożliwiała kontemplację. Ale krzywdy nie miałem, bo odkryłem po drugiej  
stronie katedry  
malutki kościółek rotundę, na którego drzwiach przeczytałem następujący napis:  
„Chiesa di S. Giustina. Niente d'arlistico. II Battistero e dietro ii Campanile  
delia  
Catledrale.”

To znaczy: „Kościół Sw. Justyny. Nic artystycznego. Baptysterium znajduje się za



dzwonnica katedry".

Żal mi się zrobiło świętej Justyny i jej małego nieartystycznego kościółka.

Zrozumiałem całą

jego głupią sytuację i całą jego małą tragedię. Bo nie tylko że się ludzie do niego pchają, a on nie

nie ma, ale jeszcze do tego biorą go za słynne baptysterium. Kościółek więc się zirytował i dał

sobie zrobić napis. Taki mi się wydał i ludzki, i sympatyczny przez swój cichy dramat, że

wszedłem. Nie pożałowałem, bo znalazłem przybite na drzwiach od strony wewnętrznej duże

obwieszczenie bolońskiego kardynała Lercaro, w którym widocznie kardynał się wychylił, bo nie

natrafiłem na nie nigdzie indziej, w żadnym z tych licznych kościołów rawennańskich

uczęszczanych przez zagranicznych turystów.

Obwieszczenie dotyczyło udziału stowarzyszeń niekatolickich w pogrzebach katolików i

kończyło się słowami: „Obowiązkiem wiernych jest podać do wiadomości kapłana prowadzącego kondukt żałobny, jeśli by za trumną niesione były nie poświęcone sztandary i znaki

wszelkich organizacji i zrzeszeń czy to protestanckich, czy masońskich, czy komunistycznych i

innych. Po uwiadomieniu, gdyby na polecenie kapłana nie chciały z konduktu się wycofać,

kapłan natychmiast winien kondukt opuścić i to zdjąwszy stulę".

Rzym, 7 lipca 57 r.

Pamiętnikarz rzymski z początku XIX wieku, książkę Chigi, opowiada, że oświecenie i

racjonalizm, dotarłszy do państwa kościelnego, uniemożliwiły w teatrze dalszy żywot konwencji,

na mocy której kobiece role były grane przez mężczyzn. Niedowiarkowie przestali wierzyć, że to

kobiety, i przepadła złuda. Po wielu dyskusjach i staraniach przedsiębiorców teatralnych w końcu

kardynał wikariusz zezwolił na kobiety. Pierwsza pojawiła się w roku 1802 w teatrze Argentina.

Nazywała się Angelini. W zamian za to jednak kardynał zażądał, aby cały balet zmienił trykoty z

dotychczasowego koloru brzoskwiniowego na biały. Poza tym polecił w tych wypadkach, kiedy

by wynikało, że Angelini czy jakakolwiek inna aktorka w przyszłości ma spocząć u boku

partnera, co w sztukach z bogami czy starożytnymi nie należy do rzadkości, umieszczono między

leżącymi przegrody. „Tak więc – pisze Chigi – w pierwszej scenie baletu, na którym byliśmy

wczoraj, pomiędzy Eneaszem a Dydoną, kiedy zasiedli w półleżącej pozycji, natychmiast

wstawiony został rozciągany, niewysoki parawanik, tak aby nie mogło pomiędzy

nimi dojść do  
żadnego, nawet przypadkowego, kontaktu".

Rzym, 14 lipca 57 r.

L. opowiadał mi o swoim pomysle. Jest to pomysł na sztukę. Rzecz dzieje się w muzeum.

Muzeum, jak to muzeum, ma dział sztuki kościelnej. Ozdobą tego działu jest piękny obraz Matki

Boskiej. Stary obraz, na drzewie, anonimowy, interesujący dla znawców.

Pochodzenie jego nie

jest znane. Ale nie w tym kłopot. Kłopot w tym, że obraz zaczyna robić cuda.

Najpierw

dyskretne, potem coraz bardziej pokazowe, coraz bardziej głośnie. W muzeum zamieszanie. Ze

sztabu muzealników jedni wierzą, drudzy nie. Jednak cud czy nie cud, rzecz w muzeum

niespotykana, sprzeczna z klimatem świątyni sztuki. Zamykają dział, żeby się namyślić.

Awantura z wiernymi. Otwierają dział z powrotem, pielgrzymki, modlitwy, klęknięcia, pojawiają

się pierwsze wota. Zapada decyzja oddania obrazu kościołowi. Przenosiny obrazu następują. Ale

w kościele obraz staje się zimny. Prąd z niego nie bije. Cuda się nie

powtarzają. Obraz chce być

w muzeum. Czy to koniec? L. nie wie. Niektóre miejsca historii widzi silnie.

Inne ogólnikowo.

Na zakończenie powiedział, że jak nie napisze sztuki w ciągu trzech lat, pomysł jest mój. Tak

powiedział, ponieważ pomysłem się zachwyciałem.

Wenecja, 18 lipca 57 r.

Wyjechałem z Rzymu czternastego wieczorem, wracam dziś w nocy po kolacji dla teatru

Nowej Huty i Biennale. W Wenecji wszystko idzie jak z płatka. Szło tu już od pierwszej

Genewy, to znaczy od konferencji Eisenhower – Bułganin – Eden – Faure. Ale teraz – po

Październiku – żyjemy tu, my z ambasady PRL, jak w świecie bez oporów. Przed wyjazdem z

Rzymu zwrócono mi pismo nasze, skierowane do ministerstwa delia Pubblica Istruzio-ne, że nie

drogą urzędową przez ich MSZ. Pismo w sprawie zupełnie błahej. Ale na terenie Pubblica

Islruzio-ne zarządzenie z czasów zimnej wojny działa, przynajmniej na terenie tego departamentu,

do którego trafiło pismo. W Wenecji wszystko inaczej. Burmistrz Wenecji, ekscelencja

Togniazzi, przekłada wizytę admirałów goszczącej w Wenecji włoskiej floty, żeby móc przyjąć

ambasadora Drutę. Ja otrzymuję od prezydenta Biennale, Alessi, list na dwie strony, w którym

tłumaczy się, że nie może przyjść na moją kolację, gdyż dziś rano powrócił

pociągiem ze Szwecji  
i jest fizycznie rozbity. To samo wyczuwa teatr z Nowej Huty, wyczuwa na każdym kroku. Przed nimi byli Włosi, po nich Jugosłowianie, po nich Niemcy Federalni z Bochum. Z nikim się tak nie cackano. Nikogo miasto nie zapraszało na lampkę wina. Nikomu nie organizowało nocnych przejażdżek gondolami. Tylko nam, Polakom. Ciekawe, że ten specjalnie przychylny mikroklimat nie ma za przyczynę Października. Październik jest przesłanką, ale bez przesłanki drugiej nikt by nie wyciągnął dla nas pożytecznego wniosku. Tak jak nikt go dla nas nie wyciąga ani w Rzymie, ani we Florencji, ani w Mediolanie, ani nigdzie. Oczywiście że i w tych miastach pewne rzeczy ułatwia Październik, ale nieśmiało, w sposób połowiczny. Nie to, co w Wenecji. Jaka to jest druga przesłanka, prócz Października, która to sprawia? Na imię jej Angelo Giuseppe Roncalli, kardynał patriarcha Wenecji. Liczy on sobie lat niemało, bo siedemdziesiąt sześć. Od roku 1953 jest pasterzem Wenecji, przedtem był nuncjuszem w Paryżu. Jest człowiekiem pełnym energii. Nie są mu obce pewne ambicje i pewne nadzieje. Tak powiadają jedni. Inni twierdzą, że zawsze frondował i nie lubił papieża. Tak czy owak, czy to, że ma nadzieję na tiarę i chce przy swojej kandydaturze skupić głosy antagonistów, czy to, że serce i rozum mu tego rodzaju linię dyktuje, godzi się on, a nawet popiera na terenie swojej archidiecezji rzeczy na innych terenach tępione. Na przykład na korzystanie przez Chrześcijańską Demokrację z głosów socjalistów Nenniego. Chadecja przy formowaniu rządu, a zwłaszcza pi zy formowaniu zarządów miejskich, nie ma sama wraz ze swą najbliższą polityczną klientelą dosyć głosów. Przy tworzeniu większości musi się więc zwrócić albo na prawo, albo na lewo. Ale jest to alternatywa tylko matematyczna. Dla Sekreariatu Stanu, dla kurii, której tubą jest Osservatore Romano, żadnej alternatywy tu nie ma. Istnieje tylko wariant prawy. Kto mówi inaczej, wchodzi w konflikt z encykliką papieską z 49 r., zabraniającą katolikom współpracy z lewicą. Dekret obejmuje casus Nenniego, „którego głowa – jak pisze jeden z dzienników konfesjonalnych – zyskała wprawdzie swobodę ruchów, ale którego doły zrosnięte są z Moskwą”. Tymczasem Roncalli pozwala Togniazziemmu opierać się na głosach Nenniego. Nie ma nen-

nistów w prezydium rady miejskiej, ale nie brak ich w komisjach. Mają więc oni wpływ na rządy.

Nie koniec na tym. Na asesorów rada wybrała dwu członków Związku Nauczycielskiego, członków lewego skrzydła Chadecji, czyli tak zwanej bazy. Jeden asesor liczy sobie lat dwadzieścia cztery. Jest to panna Maria Vingiani, kierownik wydziału sztuk pięknych. Drugi asesor liczy sobie lat dwadzieścia dwa i prowadzi wydział szkolnictwa. Ma również pod sobą uniwersytet wenecki, zwący się od pałacu, gdzie się mieści, Cd Foscari. Asesora Vingiani poznałem. Rozmawiałem z nią godzinę. Przesympatyczna dziewczyna. Ale jak by tu ją określić? Ot, zetempówka z 1950 r. Raczej ze sztuki socrealistycznej niż z życia. No i oczywiście nie pezetpeerowska, tylko chadecka. Podlegają jej obiekty i imprezy kulturalne. A zatem na przykład Palazzo Ducale czy Biennale. Bagatela! Jest więc władzą dla ekscelencji Alessiego, dla Palucchiniego, Zam-pettiego i dwudziestu innych profesorów, brodatych, zasłużonych, udekorowanych i honorowanych na wszystkich akademiach i kongresach. Jakież interesujące analogie. Przy podobieństwach oczywiście różnice.

Moja bohaterka z wyfantazjowanej przeze mnie sztuki nadrealistycznej jest produktem tutejszych stosunków. Jest produktem cichej lokalnej rewolucji, o której w innych wyliczonych przeze mnie miastach się nie śni. W Vingiani nie ma nic z zarozumiałstwa, nic z tupetu, nic z groźnej pewności siebie. Była na dworcu, kiedy Roncalli wyszedł po Wyszyńskiego (ani florencki Dalia Costa, ani boloński Lercaro się nie odważył). Opowiada mi: „Tak rozmawiali z sobą! Tak rozmawiali!”. Oczy jej błyszczą. Wszystkimi fibrami duszy czuje, że to Roncalli podaje Wyszyńskiemu rękę, ale że Wyszyński w jakiś sposób podbudowuje i umacnia wenecką sytuację. Tak ona rozszyfrowuje to spotkanie.

Rzym, 19 lipca 57 r.

W dzisiejszych dziennikach postępowych Et-tore Della Giovanna skarży się na RAI (włoskie Radio), że mu zepsuło reportaż z Kaszmiru. Reportaż miał za motto stare przysłowie indyjskie o tym, że „Trzy rzeczy czynią życie człowieka pięknym: łąki zielone, woda źródłana i piękne kobiety”. Przysłowie to przewijało się również przez sam reportaż. Zostało ono jednak zmienione przez cenzurę radiową, kontrolowaną ze swej strony przez Centro Cattolico Televisivo. W

zmienionej wersji wspomniane trzy rzeczy przedstawiają się następująco: łąki zielone, woda  
źródłana i modlitwa. Ponieważ cenzor się spieszył, przemienił tylko w przysłowiu kobiety na  
modlitwę. W samym tekście reportażu gdzieś tam kobiety zostały. Na skutek tego Hindus  
Della Giovanni zachowywał się przedziwnie. Co zobaczył łąkę zieloną czy popiół wody  
źródlanej, to się modlił, ale na chwilę- nie rozstawał się z piękną kobietą.  
Kiedym czytał skargę  
Gio-wanny, przypomniał mi się Borejsza, który na próbie generalnej „Zakonu Krzyżowego”  
zmienił Morstinowi „Bóg tak chciał” na „Lud tak chciał”. Też zdrowy nonsens! Ale rewolucji  
wybacza się wiele, ponieważ się wierzy, że rzeczy się utra. W Kościele rzymskim jakoś one nie  
mogą się utrzej.

Rzym, 22 lipca 57 r.

Kiedy byłem czeladnikiem pióra, śmierć szambelana Brane z powieści Małte Rilkego  
najczęściej nawiedzała moja. pamięć, ilekroć myślałem o śmierci. Po latach ze śmierci  
szambelana nic mi nie pozostało, nic w nerwach, nic w sercu, w głowie tylko niejasne strzępy z  
książki, z której pochodziła ta śmierć, z powieści Małte. Inna śmierć zajęła jej miejsce. Śmierć  
Jerzego Strzemię-Janowskiego, po kolei: dziedzica małopolskiego, bałagudy, koniarza, bankruta,  
korektora w „Kurierze Porannym”, autora prześlicznych „Karmazynów i żulików”, a na koniec  
męczennika, który pół roku konał na raka. Kiedy pewne było, że to rak, Janowski przeniósł się ze  
swego małego mieszkania, gdzie mieszkał z ostatnią swoją żoną, hr. Mussin-Puszkina, do  
mieszkania Marii Jehanne Wielopolskiej, dawniejszej swojej żony.  
Janowski rozwiódł się z Wielopolską na dobre dziesięć lat przedtem. Kiedy odchodził, nie  
było między nimi goryczy. Kiedy powracał do mieszkania Wielopolskiej, dla ludzi mogło to być  
dziwne, dla nich było proste, tak jak gdyby po latach ochłodzonych stosunków chory brat  
znajdował opiekę pod dachem siostry. Była tam zresztą u Wielopolskiej stara niania  
Janowskiego. Została przy Wielopolskiej, nie pamiętam dlaczego. Teraz we trzy na przemian  
czuwały u jego wezglowia. Najstarsza niania, Wielopolska dziesięć lat starsza od Janowskiego i  
p. Mussin-Puszkina dziesięć lat młodsza.  
Janowski był moim kolegą w „Kurierze”, Wielopolska – ciotką. Zaglądałem do nich często.

Panie chudły z troski i nieprzespania. To było w granicach rzeczy naturalnych, zwykłych.

Przerazający był, nie do zapomnienia, Janowski, który małał. Ręce jego się redukowały, szyja, piersi, głowa. Serce mi się ścisnęło. Nie byłem w stanie patrzeć. Ten człowiek żywy jak skra, zgrabny, gibki, obrotny, wariacki utra-cjusz, szastający pieniędzmi i energią, tkwił teraz, on nie on, nieruchomy, wetknięty w poduszki, mrugający od czasu do czasu oczami, przełykający od czasu do czasu ślinę jako cały przejaw życia.

Rak, cierpienia, silne środki uśmierzające ból nadwreżwały jego pamięć. Nie poznawał.

Pamiętam uśmiech Wielopolskiej, kiedy mi zakomunikowała, że nie poznaje Mussin-Puszkina.

„Teraz już jej nigdy nie poznaje.” Ją poznawał, Wielopolską poznawał, swoją prawdziwą żonę, bo pani Mussin-Puszkina to była tylko „jego pani, z którą mieszkał”. Ale przyszedł moment, kiedy i Wielopolską przestał poznawać. Poznawał tylko starą nianię. A kiedy przestał wiedzieć, kto się nad nim pochyla, kiedy się pochylała ona, przyszła śmierć.

Zanim przyszła, jeszcze na początku, kiedy pamięć mu dopisywała, niania cichcem sprowadzała mu księżę. W sekrecie przed panią Mussin--Puszkina, która była prawosławna, i przed panią Wielopolską, która w swoim, czasie była namiętą wolnomyślicielką.

Janowski oganiał się. Powiedział zaś niani: „Niania ma dwie dusze, którymi ma się zajmować, swoją duszę i duszę od żelazka, do mojej proszę się nie mieszać”. Niania się wtedy strwożyła i przestała.

Zacząła wtedy Wielopolska. Wiedziała ona od początku o zabiegach niani. Udawała tylko, że nie widzi. Co ją pchnęło z kolei do sprowadzenia księżę, trudno zrozumieć, bo nadal trzymała się z daleka od Kościoła. Czy to też było przeciw pani Mussin-Puszkina, z którą wedle innych plotek Janowski miał ślub kalwiński, tego nie wiem. Słyszałem, że chodził do niego słynny ksiądz Kornilowicz z Lasek, który nosił święte oleje Piłsudskiemu. Słyszałem, że przychodzili inni.

Słyszałem, że jeden z nich namawiał panie do wzmocnienia nacisku na Janowskiego przez opóźnianie zastrzyków anestetycznych, licząc, że „cierpienie go zmoże”. On na to reagował głódówką. I tak szła walka o tę duszę, w swoim czasie odebraną przez Wielopolską Bogu, któremu teraz chciała ją zwrócić, nie bacząc na to, że to była dusza harda i honorna, która raz po-pozwoliła sobie wszystko w środku przestawić do góry nogami, ale widać chciała,

żeby to było  
raz na zawsze.

Rzym, 24–26 lipca 57 r.

19 lipca o godzinie 3,48 po południu zmarł w rzymskiej klinice Sanatrix Curzio Malaparte.

Pięć miesięcy temu przewieziono go z Chin tym samym samolotem o napędzie rakietowym, którym Chruszczow i Bułganin jeździli do Indii. Był już w stanie bardzo ciężkim. Musiał z

Włoch wyjechać chory, zresztą chory musiał być od lat, ponieważ rak płuc rozwija się wolno.

Wyjeżdżając nie wiedział o swojej chorobie. W Moskwie zachwycał kolegów radzieckich

zwykłym swoim rozmachem i niez mordowaniem. To samo było w Chinach. Rozpoczął podróż

chińską ubiegłego października, w Pekinie spotkał się z Mao Tse-Tungiem, który sobie

szczególnie cenił i często wracał do jego książki wydanej w Paryżu w r. 1931 pt.

Technique du

coup d'etat.

Z Pekinu wyruszył do Kantonu, z Kantonu do Szanghaju, a z Szanghaju do Czungkingu. Tu

poczuł się źle. Przewieziono go z hotelu do szpitala. Potem z tego szpitala do szpitala w

Kantonie, i w końcu do szpitala w Pekinie, gdzie przeleżał dwa miesiące. W Pekinie zapadła

decyzja przewiezienia go do Rzymu, do którego powrócił 15 marca. Z lotniska przetransportowano go do kliniki, której nie opuścił. Jako młody chłopiec chorował na płuca,

kiedy w Czungkingu poczuł się źle, myślał, że to opóźniona recydywa. Potem myślał, że to

odnowienie się innego procesu chorobowego. W roku 1915 na froncie włosko-austriackim dostał

się w strefę zakażoną iperytem. Chorował potem ciężko.

Kiedy wylądował na lotnisku w Ciampino, powiedział, że jest przekonany, że to resztki

iperytu, który się utaił w organizmie, atakują mu płuca. Tej hipotezy trzymał się kurczowo.

Rozpląkał się więc, kiedy w miesiąc po powrocie Usłyszał słowa zwrócone do siebie i brzmiące:

..Malaparte, nie znasz prawdy. Ukrywają przed tobą, że stan twój jest bardzo poważny. Możesz

sam się domyślić, co to za choroba, skoro ci nie mówią nazwy. Pomyśl teraz o skrusze i pokucie,

na to masz wystarczająco czasu!" Rozpląkał się. Poprosił brata, żeby zamykano drzwi przed

nosem wszystkim takim, którzy z mocy swego boskiego urzędu zechcą przychodzić, żeby mówić

mu podobne rzeczy. Brat drzwi zamknął, ale myśl o śmierci weszła do pokoju. Jej cień pojawiał

się, ilekroć Malaparte tracił siły. Odtąd już nigdy nie był sam. Bo albo byli z nim ludzie, z którymi ożywiał się i rozmawiał, albo był ten cień.

Malaparte urodził się 9 czerwca 1898 r. w Pra-to pod Florencją, z ojca Austriaka i matki Włoszki. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Kurt Suchert. Kiedy pytano go, dlaczego wybrał sobie pseudonim Malaparte, odpowiadał, że Buonaparte już było zajęte. Biografia jego była pełna rozmachu i skoków. Łatwo udzielał kredytu ruchom i ideom. Ale chciał, by ten kredyt użytkowano tak, jak on chciał. Był uparty. Ruchy i idee też były uparte. A ponadto rozporządzały środkami represji. Toteż na przykład za czasów faszyzmu Malaparte albo zajmował najwyższe stanowisko, albo siedział w wyniszczających fizycznie więzieniach, najdłużej liparyjskim, bo pięć lat w słynnym więzieniu dla politycznych na wyspie Lipari.

W roku 1939 Mussolini amnestionuje go. W roku 1941 jedzie więc na front wschodni jako korespondent. Ale na skutek żądań niemieckiej kwatery głównej zostaje odwołany. Pisanie po swojemu jest u niego jak upijanie się u nałogowca. Jak pijak po pijanemu musi narozrabiać, tak Malaparte też musi. Jego . widzenie świata jest stopem humano-anarcho-surrealizmu. Jest tak inteligentny, jak wszyscy dziennikarze świata razem wzięci. Ma pamięć. Jest odczytany. Był też zdumiewająco chłonny. Bergson, Lenin, Nietzsche, Croce, Sorel, wszystko to znał wzdłuż i w poprzek. To samo z literaturą. D'Annunzia chłonał z takim samym impetem, jak Papiniego, Papi-niego z takim samym impetem, jak Pirandella.

Zaczął od komunizmu. Należał do jednej z pierwszych organizacji, nazwijmy je, paleo-komunistycznych, do organizacji kierowanej przez patriarchę włoskich radykałów, Guglielma Lucidi. Organizacja ta przenosiła na Włochy idee Clarte Barbusse'a. Później Malaparte, ile razy się buntował, odszukiwał komunistów. Mimo wszystkich awantur i represji twórczość przynosiła mu miliony. Miliony we wszystkich walutach świata, ponieważ przekładano go na dziesiątki języków. Słynna jego „Skóra”, książka o Neapolu po wejściu aliantów, rozeszła się po włosku i w przekładach w dwu milionach egzemplarzy. Napisano o niej około dziesięć tysięcy artykułów.

Sw. Oficjum wpisało ją na indeks, ponieważ Malaparte napisał, że księża demoralizowali się w tych nieprawdopodobnych miesiącach, a poza tym jednym akapitem uraził osobiście



papieża.

Inne jego książki, z „Kaputt” na czele, rozchodziły się w setkach tysięcy. Z grubsza biorąc, można powiedzieć, że nie służyły żadnej prawdzie. Służyły odkłamywaniu.

Buchało z nich jakąś potężną niezależnością. Rzeczami, które najbardziej go zajmowały, była wojna, władza, aparat państwowy, społeczność ludzka. Nigdy nie miał nic do powiedzenia o religii. Stosunek do Kościoła miał dobrotliwie obojętny. Do swojej moralności miał stosunek

krytyczny. Mówiła mi pani E., że kiedyś powiedział jej o sobie, że jest największą k. wśród nonkonformistów i największym nonkonformistą wśród k. Kiedy jechał na front rosyjski, ktoś z przyjaciół go moralizował. Malaparte powiedział mu wtedy: „Włochy są k., Mussolini jest k., ...jest k., ja jestem k.”

Zdaje się również, że kurewstwo miał za współczesną formę machiawelizmu. Miał je także

za narodową formę obrony przed obcą przemocą, przed najeźdźcami. Ta narodowa forma przez

tysiącletnie szlifowanie, czy to w Neapolu, czy to w Palermo, dochodzi do szczytów

doskonałości. Wszystko tu pcha ku niej i zmusza do absolutu sprostytuowania.

Bieda, głód,

warunki życia, warunki wspólnego bytowania na kupie od rana i od nocy do rana.

Jest rzeczą

niewątpliwą, że reakcja serca u Malapartego jest reakcją normalnego,

pobudliwego, ludzkiego

serca. Ale on jest nie tylko człowiekiem, ale jest Włochem i to Włochem pełnym

patriotyzmu, a

nawet szowinizmu. Patrzy on na ten świat kupczący wszystkim i wszystkimi. Jego

umysł raduje

się aku-ratnością współczesnych skutków wywodzących się z odwiecznych,

historycznych

przyczyn. Ma się wrażenie, że on w tej stężonej atmosferze skurwienia czuje się

odciążony, czuje

się jak Hindus kąpiący się w Gangesie, zmywający swoje brudy w rzece niosącej

gruby, pienisty

kożuch cudzych brudów.

Przed wyjazdem do Chin Malaparte bardziej niż dawniej garnął się do komunistów.

Mówił

im, że powinien być teraz bliżej nich. W 45 t. chciał wstąpić do partii. Ale

sami komuniści od

tego go odmówili. Pomimo wszystko takie wstąpienie wydałoby się wówczas ludziom

czymś

sztucznym, ekwilibrystycznym. Teraz po latach, przed tym wyjazdem do Chin,

wstąpienie

przedstawiałoby się inaczej. Ale na pewno lepiej byłoby, gdyby wstąpił po

powrocie, wszystko

zobaczywszy, wszystko przemyślawszy.  
Małaparte, inteligencja najzupełniej specyficzna, indywidualność wybujała, był  
zawsze  
człowiekiem wrażliwym na tłum ludzki. Na tłum włoskich żołnierzy z pierwszej  
wojny  
światowej. Na tłum biedoty palermitańskiej czy neapolitańskiej, o czym  
wspominałem. Również  
wrażliwość na tłum, na tłum ludzi rosyjskich, „ludzi, prawdziwych ludzi jak  
wszyscy inni ludzie  
w Europie” sprawiła, że generał von Shobert, w którego kwaterze znalazł się na  
froncie  
rosyjskim, zażądał natychmiastowego odwołania go do Włoch. Kiedy Małaparte  
wylądował w  
Chinach, znowu jego serce zadrgało. Intelektualiści mają to do siebie, że  
wzrusza ich masa  
ludzka, składająca się z osobnych jednostek, które nic im nie mówią i którym oni  
nic nie mają do  
powiedzenia. Ale samotność icli w jakiś sposób kruszeje na skutek tłumy.  
Małaparte nie zdążył z Chin napisać wiele. Ale to, co napisał, przesyccone jest  
tkliwością.  
Normalnie, kiedy pisze, ledwie zacznie co chwalić, już go za pióro ciągnie zmysł  
przekory, pasja  
zmacywania podszewki, zagładania za kulisy. Tu nic. Wzruszenie ogarnia go tak  
silne, że jak  
mówią warszawscy wściekli, kupuje wszystko. Rzut jego serca jest potężny.  
Obejmuje  
sześćset milionów ludzi, byt ich ojców i dziadów od tysięcy lat. Nic, w chwili  
kiedy pisze, nie  
jest dla niego ważniejsze od tego, by nie było dla tego ludu więcej już nigdy  
powodzi, głodu,  
pomoru. Wzruszenie to nie mija. W testamencie, kiedy przychodzi mu dzielić swoje  
dobro, wilę  
na Capri zapisuje swoim chińskim kolegom. Z jego artykułów nic nie będę  
przycacał. Wszystko  
bowiem, co napisał, było już nieraz powiedziane. Nawet Małaparte, ten człowiek  
organicznie  
niezdolny do komunału, nie poradził sobie, kiedy chciał mówić o swoim kochaniu.  
Jest ono  
bezapelacyjnie szczere, ale zarazem nieprawdopodobnie niewymyślne.  
Kiedy Małaparte wrócił, poczęli go odwiedzać towarzysze. Zaglądał Palmiro  
Togliatti, Piętro  
Secchia, Longo, de Vittorio. Małaparte lubił ludzi. Potrzebował odwiedzin. Mówił  
o swoich  
planach. Znowu powracał do myśli o ściślejszej współpracy. Przyjmował zresztą  
wszystkich,  
którzy się zgłaszali. Zaczęli się więc zgłaszać księża i zakonnicy. Przychodziło  
ich tylu, że ktoś z  
rodziny zaprotestował. Małaparte wtedy powiedział: „Nic mi złego w życiu nie  
zrobili. Niech  
sobie przychodzą!”.

Przychodził zresztą raczej drobiazg, bo Malaparte nie miał w świecie kościelnym żadnych koneksji. Natomiast ze świata kultury, sztuki, nauki, a nawet polityki przychodził sam kwiat.

Przychodził Fanfani, pokazał się premier Zoli, sekretarz partii monarchistycznej, b. minister dworu, margrabia Lucifero i dziesiątki innych. Mala-parto lubił to i śmiał się, że lada dzień przyjdzie Gronchi.

Od papieża również miał znak, że go papież prosi na audiencję, kiedy Malaparte wyzdrowieje. Pewnego dnia przyszedł w odwiedziny biskup Prato, najmłodszy z ordynariuszów Italii, później tak głośny monsignor Fiordelli. Pogadali sobie z godzinkę czy dwie o miasteczku, z którego obaj byli. Fiordelli w Prato był kiedyś szkolnym kapelanem, chociaż nie w gimnazjum i nie w latach, kiedy do szkoły chodził Malaparte. Ale nawet gdyby szkoła i lata zgadzały się, nic by z tego nie wyszło, gdyż Malaparte nie uczęszczałby na lekcje przyszłego biskupa, bo Sucherto-wie wyznawali luteranizm. Niemniej przeto rozmowa była pełna wspomnień i wzruszeń. Przed wyjściem biskup zauważył, że koło Malapartego pełno kwiatów, a koło obrazka Madonny ich nie ma. Luteranin Malaparte przeprosił za to biskupa. Zadzwoił na siostrzyczkę z kliniki, siostrzyczkę Carmelitę, Hiszpaneczkę, która wzruszała Malapartego tym, że nigdy z nim na tematy religijne nie mówiła i nawet nie ona mu Matkę Boską postawiła. Poprosił ją teraz o przedstawienie kwiatów. Odtąd Malaparte pilnował, żeby Madonna miała kwiaty. Ale nic poza tym. Ci, którzy mu nic złego w życiu nie zrobili – księża i mnisi – zaglądali do niego nadal. Nie zrobili mu nic złego. Nie zamykał więc im drzwi. Aż pewnego dnia zastał go brat Enzo Suchert zapłakanego. Kiedy wchodził, minął się w drzwiach z dominikaninem O. Felice Morlion. On to uświadomił Mala-partemu, że choroba, na którą choruje, to rak. On mu to wszystko powiedział, co kończyło się słowami: „Pomyśl teraz o skrusze i pokucie. Na to masz wystarczająco czasu!” Płacząc Malapar-te krzyczał, żeby mu odtąd żadnej sutanny ani habitu za próg nie puszczać.

Enzo nie wpuszczał. Ale nie mogło się odstać to, co się stało. Ten cień, który przekroczył próg separatki po słowach ojca Morliona, nie chciał się ruszyć. Malaparte czuł go. Nie są to domysły, bo sam Malaparte mówił o nim. Od początku choroby chciał prowadzić dziennik,

czasami zdobywał się, żeby podyktować jedną kartkę czy dwie. Dawał te kartki dziennikom, niektóre czytał przez radio. Z tego źródła wiem o tym cieniu. „Nawet jak jestem sam, jest nas zawsze dwu w pokoju, cień i ja” – powiedział. Inna rzecz warta zanotowania, to że odeszła go ochota do żartów. Przedtem był wesoły. Czasami w sposób spokojny, czasami w sposób nerwowy, ale wesoły i żartobliwy. Śmiał się z komunistów i księży, że „czyhają na jego duszę”. Śmiał się z siostrzyczek szpitalnych ze zgromadzenia św. Marty, które wszystko, co mówił, brały na serio. Przekomarzał się z prof. Frugo-ni, słynnym internistą i ordynatorem kliniki Sanatrix, który na noc polecał nad łóżkiem Mala-partego rozpinąć rodzaj namiotu, pod który napuszczano się tlen. „Dlaczego się pan upiera, profesorze – mówił – żebym ja umarł campingując!”. Teraz Malaparte przestał żartować, tak jak gdyby to nie wypadało w obecności cienia, który się dostał do jego pokoju. W książkach Malapartego, zwłaszcza ostatnich, mnóstwo ludzi umiera i dużo się mówi o śmierci. On też od początku swojej choroby nie unikał tego tematu. Można nawet powiedzieć, że popisywał się tym tematem, to znaczy tematem swojej śmierci. Nie dlatego, że był odważny, po prostu dlatego, że lubił wszelkimi sposobami koncentrować na sobie uwagę nawet za pomocą wyciągania wszystkich wniosków z tej ostatecznej ewentualności, jaką była dla niego własna śmierć. Oczywiście, że wiedział, iż kiedyś umrze. Myślał sobie, że ostatecznie kiedyś tam się umrze. Ale nigdy śmierci nie kojarzył ze swoją chorobą. A mówiąc o niej w tym kontekście, mówił jak o przeciwniku słabym, który świadom swojej słabości sprzymierzył się z chorobą, ciężką, wyczerpującą, ale od której się nie umiera. Tak więc Malaparte droczył się tylko ze śmiercią, tak jak gdyby miał zawarowane, że ten drapieжник siedzi zaryglowany w klatce jak lew czy tygrys z ZOO. Wspomniałem o tym, że Malaparte był odważny. Świadczą o tym wszyscy, którzy stykali się z nim na froncie podczas pierwszej wojny czy podczas drugiej na froncie niemiecko-radzieckim, fińskim czy alianckim na południu Włoch. Jechał przez zaminowane pola, nonszalancki i spokojny, mimo że na prawo i lewo wybuchy zmiatały ludzi, to samo podczas bombardowań czy ostrzeliwań artyleryjskich. Ale wtedy Malaparte był zdrow, silny, w pełnej kondycji. Teraz był chory. Wyraźnie

zaczynał bać się przeciwnika. Nieprzyjemne uczucie ogarniało go, kiedy był sam, bo nie był sam. Tak minęło pięć dni.

Szóstego dnia zdecydował się na rzecz, na którą od dawna namawiali go przyjaciele, a której przeciwny był profesor Frugoni. Rozpoczął kurację cortisonem, którego przyjaciele dostarczyli mu w małej ilości, dwukrotnie następnie odnawianej. Poprawa nastąpiła zaraz. Powrócił apetyt, humor, Malaparte nawet poczuł się na siłach wziąć kąpiel, od miesięcy obmywany przez siostrzyczki. Zdrowiał w oczach. Moravia, który go odwiedził w tych dniach, zastał go przy pięknej porcji abbacchia, po naszymu młodej baraniny, potrawy znakomitej i arcywłoskiej, ale niedie-tetycznej. Humor Malaparte go był wyborny. Żart mu powrócił. Powróciła chęć do robienia planów. Planów podróźniczych, bo podróże były zawsze jedną z głównych pasji jego życia, oraz planów, o których już wspomniałem, planów zbliżenia, zacieśnienia stosunków z komunistami. Mówiąc o komunistach miał na myśli komunistów włoskich, przede wszystkim zaś chińskich. W cytowanym już artykule, pisanym po powrocie z Chin, mówi: „Ja również cierpiałem czytając wiadomości w pismach z Budapesztu, ale do moich cierpień nigdy nie przyłączyły się wątpliwości. Wielkie i pozytywne doświadczenia chińskie rozgrzeszą z każdego błędu, ponieważ jest oczywistym dowodem i poza wszelką dyskusją, że suma faktów pozytywnych na drodze postępu stale przerasta sumę błędów”. Przytaczam ten głos, żeby uprzytomnić, gdzie wtedy był Malaparte. Był cały nastawiony na zaangażowanie się. Nieopatrzny, nieakuratny, nie znający abecadła jak każdy neofita. Nikt jednak nie pisał słowa w druku. Wszyscy respektowali ciężką chorobę. Zwłaszcza respektowali nakaz milczenia komunistów, których chwilowe zniecierpliwienie łagodził szczerze wzruszający fakt, że Malaparte stawał przy nich, można nawet powiedzieć, że stanął na baczność, chociaż w pozycji nieprzepisowej. W takim samopoczuciu, z dnia na dzień coraz lepszym, na takich planach minął miesiąc. Apetyt wzrastał, rumieniec pojawił, cień znikł. Z dawnych dni pozostał ślad w tym, że Malaparte nadal pilnował, by połowa jego kwiatów szła pod obrazek Madonny. Moim zdaniem Malaparte czynił to przez czystą elegancję. Druga pozostałość wydaje mi się

poważniejszą. Nie popisywał się teraz żartami na temat swojej śmierci. Sądzę, iż uznał, że śmierć jest to przeciwniczka, z którą należy się liczyć. Był teraz znowu pewien, że nie umrze. Ale na pewno miał to poczucie, iż z pojedynku z nią wyszedł draśnięty. Niemniej przeto, ponieważ tym dotknięciem się przestraszył, utracił wobec niej dawną swobodę. Może też to była tylko taka elegancja, żeby nie śmiać się z czegoś, co umiało rzucić człowieka na kolana. Nie wiem. Przytaczam tylko fakty, o których wiem od ludzi doskonale poinformowanych. Przez cały miesiąc Malaparte brał cortison. Profesor Frugoni był bezradny. Malaparte wydarł od niego zgodę, w dniach strachu i przybicia. Profesor Frugoni sądził, że kiedy psychicznie Malaparte się dźwignie, odbierze mu lek, do którego współczesna medycyna odnosi się z należytą ostrożnością. Cortison jest wyciągiem z nadnercza, a ściślej z kory nadnercza. Jest lekiem potężnym, działa jak bicz na cały system nerwowy. Potrafi w niebezpieczny sposób zmieniać równowagę jonów w organizmie. Potrafi podnieść pobudliwość nerwową człowieka do granic szaleństwa. Ma swoich obrońców, zwłaszcza wśród psychiatrów. W Ameryce zapewnił mu rozgłos film pod tytułem „Za lustrem”, z James Masonem w roli głównej, grającym skromniutkiego, nieśmiałego nauczyciela ludowego, który pod wpływem cortisonu zmienia się w pełnego pychy nadczłowieka. Psychicznie więc cortison może podźwignąć. Działa jak narkotyk. W bardzo szczególnych wypadkach neurastenii czy melancholii, odpowiednio dawkowany, przydaje się. Ale poza tym organizm musi być zdrow. A zwłaszcza zdrowe musi być serce. Profesor Frugoni wiedział o tym wszystkim. Ale wiedział zarazem, że Malaparte jest nie do uratowania. Był pewien, że cortison skróci mu życie. Rozumiał zarazem, że wyczerpałoby również chorego zwalczanie uporu, z jakim uczepił się i trzymał tego cortisonu, który mu wrócił siły, apetyt i humor, i tak znakomicie załatwił się z prześladowającym go cieniem. Zawał sercowy spadł jak piorun. Była trzecia po południu, 15 maja, Malaparte obudził się po śnie poobiednim, siostrzyczka Carmelita, Hiszpanka, pomagała mu usadowić się wygodnie, miał bowiem ciało w odleżynach, kiedy nagle, podniósłszy głowę, żeby się obejrzeć wkoło po pokoju, padł do tyłu. W saloniku czekali na jego obudzenie goście. Siostra Carmelita

zaczęła alarmować  
dzwonkiem. Zdenerwowana wybiegła na korytarz. Pokój w jednej chwili napełnił  
się. W minutę  
czy dwie wpadł doktor dyżurny, w pięć minut następny, w dziesięć już był u we-  
zglowia  
Malapartego Frugoni. Nie wypraszał nawet ludzi, był pewien, że Malaparte umiera.  
Ale on po  
godzinie odsunął maseczkę z tlenem. Zwyciężył śmierć. To znaczy, w tym wypadku  
jeszcze raz  
ją od siebie odsunął.  
Przyszły dni ciężkie. Frugoni postawił u drzwi ostrą wartę. Znikł cortison,  
znikli goście,  
znikły żarty, znikł stół lepiej zastawiony. Malaparte to, spał, to posypiał, nie  
śpiąc wodził oczami  
-za siostrzyczkami z obsady szpitalnej. Nic się właściwie nie działo w tych  
dniach. Później  
mówił o tych dniach Malaparte, że tak wodząc oczami za siostrą Carmelita i za  
innymi, czekał  
chwili, aż zaczęną mówić z nim o modlitwie czy o Bogu. Wiedział o tym, że one  
wiedzą, iż jest  
luteraninem. Więc myślał również, że o tym zaczęną mówić, że zaczęną napomykać, że  
zaczęną mu  
obrazek z Matką Boską przenosić co dnia bliżej. Odniosłby się do tego  
wszystkiego z  
wrozumiałością. Ale one nic takiego nie zrobiły. Nic takiego nie mówiły.  
Ale za sceną, na korytarzu, nie było tak jak w pokoju, w którym leżał Malaparte.  
Nie było  
dnia, żeby pod sam próg nie podsunął się któryś z głośnych rzymskich księży.  
Przychodzili ci,  
którzy przychodzili odwiedzać innych chorych. Przychodzili i inni specjalnie dla  
Mala-partego.  
W tym momencie dusza Malapartego była no maris landem. Księża i zakonnicy  
obawiali się  
śmielszego kroku. Każdy chciał spróbować, ale każdy bał się. Wiadomo im było, że  
papież,  
któremu w swoim czasie powtórzono wszystko o nieopatrzonym kroku O. Morliona,  
skrzywił się i  
powiedział enigmatycznie: „Malaparte nie jest człowiekiem, którego należy wziąć  
strachem, jest  
duszą, którą należy uratować!“. O tym ostatnim każdy wiedział, każdy z tych  
chętnych. Nie znał  
tylko sposobu. Nie znał czasu. Nie miał wyczucia, czy już, czy nie.  
Malapartego nie odwiedzał nikt z obcych. Odwiedzała go tylko najbliższa rodzina.  
Pewnego  
dnia jego siostra Maria zapytała go, czy nie chciałby napisać listu do  
monsignora Fiordelli,  
biskupa z Prato, z podziękowaniem za miłe odwiedziny. Malaparte powiedział, że  
owszem, ale  
ani tego dnia, ani następnego listu nie podyktował. Minał dzień i jeszcze jeden.  
Marii już trudno

było przypominać. Piątego, ni stąd, ni zowąd, tknięty dziwnym zsynchronizowanym natchnieniem, sam przypomniał o sobie biskup. Z poczty obfitej, której w całości Mala-partemu naw-et nie referowano, siostra Carme-lita wydobyla tomik „Naśladowanie Jezusa Chrystusa” w nowym wydaniu, choć starym tłumaczeniu Cesara Guasti. Nadawcą książeczki był monsignore Fiordelli. Teraz Malaparte musiał zebrać się i podyktować list. List mówił głównie o chorobie. Nie zawierał nic, co by mogło być dla czekających wskazówką. A ściślej mówiąc, nie zawierał nic prawie. Albowiem tam, gdzie była mowa o Wielkanocy, użyte były jednak słowa: „kiedy cały świat cieszył się ze Zmartwychwstania Chrystusa, ja...” W zakończeniu zaś listu Malaparte dziękował za ewentualne modlitwy. „A jeśli Wasza Eksceleńcja modliła się za mnie, jeśli w swej dobroci ojcowskiej przypomniała sobie o mnie, najserdeczniej Jej za to dziękuję”. Przytoczone kawałki nie były mocne. Nie dawały pewności, że wszczepiony przez O. Morliona bakcyl strachu działał w przewidzianym kierunku. Ale oczywiście negatywny to list nie był. Jakieś procesy w uczuciowości Malapartego zachodziły. Dobrze było i to. W tym okresie nie odwiedzał Malapartego nikt z kolegów, ani Moravia, ani Ungaretti, ani Re-paci, nie odwiedzali go członkowie partii, z którymi był bliżej, nie odwiedzali go dziennikarze. Zakaz prof. Frugoni obejmował wszystkich, prócz rodzeństwa, lekarzy i siostr z kliniki. Nie trwało to długo, może tydzień, może dziesięć dni, podczas których nic szczególnego nie zaszło. To znaczy, nic się nie wydarzyło, żaden wypadek. Kiedy jednak Frugoni zdjął klauzulę i z uwagi na właściwości psychiczne czy nerwowe Malapartego, któremu ruch wokoło jego osoby dobrze robił, pozwolił na krótkie wizyty, przyjaciele i literaccy koledzy spostrzegli zaraz, że pewna strzałka wewnątrz Malapartego przesunęła się bardzo wyraźnie. Malaparte nie mówił teraz o księżach i zakonnikach jako o bezosobowej masie, która mu nic złego nie zrobiła, nie mówił o nich z płaczem, tak jak po wizycie O. Morliona, krzycząc, żeby ich za próg nie puszcząć; nie, ani to, ani tamto,- raptem zaczął się zastanawiać, którego z nich wpuścić. Na przyjaciółach zrobiło to wrażenie czegoś raptownego, podjęli oni bowiem rozmowę z Malapartem sprzed tygodnia czy dziesięciu dni, w pierwszej chwili zapominając, że zaszła w ich



kontaktach taka luka. Nikt pewnie nie wykreślił krzywej nastrojów Malapartego w tej luce. Nikt nie opowie, kto podszeptował nazwiska różnych duchownych, kto, w jakiej porze i jak, i czy to jedna osoba podszeptowała, czy dwie, czy jeszcze więcej. W każdym razie takie podszepty były.

Wskazuje na to nie tylko fakt, że się strzałka w Malapartem ruszyła, ale przede wszystkim to, że w słowach Malapartego, zwróconych do przyjaciół, doskonale dawał się wyczuć dialog przerwany z kim innym.

Malaparte mówił:

– Nie, ojciec Capello nie. Prawda, że to ten, co próbował ucałować Marchesiego? Nie wiem, co powiadali o O. Capellim inni, natomiast przyjaciele literaccy Malapartego odpowiadali na jego pytanie, powtarzając mu to, co każdy wiedział w Rzymie, a mianowicie, że O. Felice Capello, jezuita, słynny kanonista, akademik papieski, doradca w siedmiu św. kongregacjach, nie licząc Urzędu Św. Datarii i Trybunałów, mąż cieszący się opinią świętego i Specjalisty od nawracań na pięć minut przed dwunastą, wtargnął do pokoju umierającego prof. Concetto Marchesi, jednego z filarów włoskiej filologii klasycznej i wiceprzewodniczącego Komunistycznej Partii Włoch. Wtargnąwszy zapytał Marchesiego, czy nie chce przyjąć świętych sakramentów i odwalić w ten sposób kłode, która mu tarasuje drogę do nieba.

Marchesi uśmiechnął się z lekka na taki szturm i odpowiedział; Non sum dignus. A więc dosłownie: nie jestem godzien, a w tym wypadku coś jak gdyby: za wysokie progi. O. Capello wziął to jednak za akt skruchy. Następnego dnia Marchesi nie żył, a nazajutrz pisma chadeckie i katolickie podały, że O. Capello na łóżu śmierci Marchesiego nawrócił.

– No, jego to nie wpuszczajcie – powiedział Malaparte. – On nie!

Z tego sformułowania widać też było, że strzałka się przesunęła. Bo „on nie” to nieomal tyle, co „inny tak”. Teraz było pewne, że ktoś z kręcących się po korytarzu przekroczy próg chorego.

Nic prócz tej konsultacji, co do proponowanej mu kandydatury, w rozmowie z Malapartem tego nie potwierdzało. Poza tym mówił o rzeczach, o których mówił zwykle. Mówił o nich w sposób nie zmieniony. Dotyczyło to zarówno ukochanego teraz przez niego tematu Chin czy też odwiecznych dla niego spraw literackich, filozoficznych czy politycznych.

Znowu minął tydzień. Było to, zdaje się, około pierwszego czerwca o godzinie drugiej w

nocy.

Malaparte zwrócił się do brata, który przy nim czuwał, i poprosił, żeby mu przyprowadził O.

Ro-tondi. Ojciec Rotondi, też jezuita, był ongi spowiednikiem papieża. Z kurią nic go nie łączy.

Czas swój poświęca Zgromadzeniu Jezusowemu oraz instytucji zwącej się Per un mondo

migliore, w której jest drugą osobą po O. Lombardim, kiedyś pierwszym kaznodziei Włoch,

zagrzebanym dzisiaj w miliardowych budowlanych i finansowych interesach swojego Mondo

migliore, mającego wykazać, że bez żadnych przewrotów i bez komunizmu, lecz za pomocą

samej miłości można świat ze wszystkich niedociągnięć poprawić.

O. Rotondi, zbudzony, ubrał się natychmiast. Lecz dniało, kiedy przybył na miejsce.

Malaparte kazał go bardzo przeprosić i powiedzieć mu, że się zastanowił, i do pokoju nie

pozwoił go wpuścić. Minał dzień i w dwie noce po tej pierwszej cała scena powtórzyła się

identycznie. O. Rotondi nie powrócił jednak do siebie. Noc przespał w klinice. A na następną

powrócił do pokoiku, który mu siostrzyczki przygotowały na tym samym, co Malaparte, piętrze.

To już nie był szturm niezorganizowany, przeprowadzany łapu-capu. To już było formalne

obleżenie. Kiedy więc najbliższej nocy, może nie następnej, ale w każdym razie którejś z

kolejnych, ogarnął chorego strach nocny, kiedy wysunął się ów straszący go cień, nie do

zniesienia natrętny, O. Rotondi w pięć minut po wezwaniu go był już u wezglowia Malaparlego.

Zostawiono ich samych. Rozmowa trwała trzy godziny.

O. Rolondi przekroczył mury twierdzy i został w niej. Ciekawe, że nie chciał wziąć na siebie

całej pracy. Powracał do Malapartego najpierw co dzień, potem co parę dni, i powracał tak do

niego do końca. Ale zaraz na początku przełamał opór Malapartego w stosunku do O. Ca-pello.

Zgodził on się z nim porozmawiać. Myślał zresztą o nim gorzej, niż, jak się zdaje, O. Capello na

to zasługiwał. Pojawił się w jego pokoju malutki ksiądz, pełen skromności, o twarzy

pergaminowej, bardzo przytomny, ale przytomnością mającą na pewno lepszy obieg na innym

świecie niż nasz. Z Marchesim mogło to być rzeczywiście nieporozumienie.

Zwłaszcza że nie

miął poczucia humoru. Teraz z Malapartem, nie mogącym jednak w żaden sposób przełamać

swojej nieufności, nie poruszył w ciągu całej rozmowy tematyki religijnej. Na

odchodnym tylko

zapytał, czy może Malapartego pobłogosławić.

– Proszę – powiedział Malaparte.

– A czy pan tego chce? – spytał zakonnik.

– Chcę – powiedział Malaparte.

Godził się, chciał, ale wszystko jeszcze było na drugim planie. Było niejako tworem nocu.

Nie znaczy to oczywiście, by obaj ojcowie pojawiali się tylko po ciemku, nie podobnego, sprawa,

zrodzona nocą, miała swoje ekspozyturyienne, to z całą pewnością, niemniej przeto nie można

było mówić o duszy Malapartego jako o duszy opanowanej, a zwłaszcza jako o duszy po

decyzji.

W tym stanie rzeczy to, co się stało ósmego czerwca, a zwłaszcza sposób, w jaki się to stało,

jest oczywiście niezmiernie interesujące. Był to dzień sobotni. W sobotę po południu w Italii się

nie pracuje. W niedzielę wyjeżdża się na świeże powietrze. Toteż soboty po południu były

tradycyjnym dniem odwiedzin przyjaciół Malapartego w klinice Sanatrix. W tę sobotę ósmego

czerwca też było pełno. Zwykła publiczność, trochę pisarzy, trochę dziennikarzy, prócz członków

rodziny i ich bliskich. O godzinie szóstej po południu zajrzał na pół godzinki do chorego O.

Capello. Nikt niczego nie spostrzegł. A tymczasem okazało się, że właśnie wtedy Malaparte z rąk

O. Capello przyjął chrzest, a raczej poprawkę do swego chrztu luterńskiego, który Kościół

katolicki w zasadzie uważa za ważny, bo sama formuła chrztu u luteranów i rzymskich katolików

jest ta sama,- natomiast z pokropieniem wodą, które towarzyszyć winno formułce, u pastorów

lutrańskich bywa gorzej – kropiących niedbale albo czasami nie kropiących w ogóle – dlatego

na wszelki wypadek ceremonię się powtarza.

Powiadam, że nikt z obecnych, dziennikarzy, pisarzy, przyjaciół, niczego nie spostrzegł. I to

jest całkowita prawda. Opowiadał mi dziennikarz T., który był wtedy w pokoju, że przypuszcza,

iż nastąpić to musiało w momencie, kiedy na chwilę wszyscy odsunęli się od łóżka, ponieważ

siostrzyczka robiła Malaparlemu zastrzyk. O. Capello po zastrzyku podszedł pierwszy. Musiało

to być wtedy, bo poza tym stale rozmowa była wspólna i stale po kilka osób siedziało czy stało

nad Malapartem, gadając wszyscy naraz, jak to u Włochów.

Godzinę chrztu, już po śmierci Malapartego, podał później do wiadomości O.

Rotondi. Ten

sam zresztą dzień i godzinę podały siostry i brat zmarłego. Ja też nie myślę podawać jej w wątpliwość. Uderza mnie tu zupełnie co innego. Nie sądzę, by O. Capello ochrzcił Malapartego przez zaskoczenie, tak jak próbował Marchesiego nawrócić przez zaskoczenie. Nie, na pewno musiało być wszystko ułożone. Tylko Malaparte po swojemu w ostatniej chwili się cofnął. Ale miał już siły tylko cofnąć się o pół kroku. Pozwolił się ochrzcić, ale tak, by nikt nie spostrzegł. Tak, by nikt się o tym nie dowiedział. Nikt, to znaczy przyjaciele, koledzy, prasa. Jest ósmy czerwca, Malaparte umiera dziewiętnastego lipca. Można by traktat napisać o tych czterech tygodniach między ósmym czerwca a dziewiątym lipca, to jest dniem, w którym Malaparte wypowiadał się i przyjął komunię. Ja jednak nie będę próbował traktatu. Uciekam od domysłów, zarówno swoich, jak i cudzych. Powtarzam informacje zasłyszane od ludzi, z którymi rozmawiałem na ten temat. . Od ludzi pozostających z kliniką Sanatrix w kontakcie, a więc od znajomych Malapartego i od przyjaciół. Wszyscy oni są zgodni co do tego, że Malaparte był ciągle taki sam. Nie chcę do znudzenia powtarzać tego samego, ale muszę podkreślić, że nawet w prasie chadeckiej czy w prasie kościelnej, czy katolickiej nie natknąłem się ani razu na zdanie, z którego by wynikało, że Malaparte pojęciowo się odmienił. Nie, nikt o tym nie pisze. Prócz jednego człowieka, o którym wspomnę później. Pisma Chrześcijańskiej Demokracji czy konfesyjne stawiają sprawę w ten sposób, że Malaparte umarł jako katolik, ponieważ dokonał wszystkich czynności i wziął udział we wszystkich obrzędach wymaganych przez Kościół od katolika. Tak, to prawda. Dokonał też pewnej czynności specjalnej, którą Kościół chciał, żeby dokonał już jako Malaparte-katolik. Upoważnił O. Rotondi do zakomunikowania Sw. Oficjum, że odżegnuje się od swojej napiętnowanej przez indeks la Pełli. Tak, i to prawda. Ja przynajmniej w to wierzę. Tak samo zresztą, jak wierzy w to Donini czy Moravia, jak najdalsi od Kościoła, ale nigdy nie kwestionujący żadnych faktów, które uznać muszą za prawdę. Powtarzam więc, że jest faktem, iż Malaparte przyjął święte sakramenta, i jest również prawdą, że odżegnał się od swojej książki, z której tak był dumny, tej, która rozeszła mu

się po świecie w czterdziestu siedmiu językach, w dwu milionach egzemplarzy,  
omówiona bodaj  
że w dziesięciu tysiącach artykułów.  
Ale tak samo, jak to wszystko jest prawdą, jest prawdą coś, co do tej pierwszej  
prawdy tak  
nie pasuje. Nazwałbym to nienaruszalnością Malapartego. Chodzi mi o to, co  
wszyscy  
stwierdzają jednogłośnie, a mianowicie, że podczas całej choroby Malapartego i  
nawet podczas  
tych ostatnich dni czterdziestu nie przeszło przez usta Malapartego ani jedno  
słowo, mówiące o  
tym, że się zmienił. Co mówił ojcu Ca-pello, co mówił siostrzyczkom z kliniki,  
co mówił swoim  
siostrom, swemu bratu, tego nikt nie wie. O. Rotondi powtórzył nieco rozmów ze  
swoim  
penitentem. To wszystko. Ale i te rzeczy należą do pewnego układu zamkniętego,  
odseparowanego od reszty życia. Układu, którego nie sposób nie nazwać mi układem  
nocnym.  
Układem zrodzonym z cienia, którego się Malaparte przestraszył. Poza tym układem  
Malaparte  
był ten co zawsze. Jak powiadam, ani jednym słowem tej rzece przyjaciół,  
admiratorów i różnych  
postaci, szczycących się znajomością z wielkim pisarzem, nie zdradził się, że  
staje się inny.  
Po chrzcie następuje okres ciszy. Mam wrażenie, że to, co musiało być dla obu  
ojców  
najtrudniejsze z Malapartem, to to, że nie wyciągnął on konsekwencji z faktu, że  
pozwolił im raz  
i drugi przekroczyć w sobie obronne mury. Normalnie biorąc, człowiek  
niewierzący, który  
wzywa do siebie księdza, już jest do końca zdobyty. Normalnie biorąc, człowiek,  
który godzi się  
przyjąć chrzest, też już jest całkowicie załatwiony. A tymczasem ojcowie raz  
przeszli mury,  
później przeszli następne mury, mury twierdzy jeszcze bardziej wewnętrznej. Ale  
czy mogli  
sobie w tym momencie powiedzieć, że uratowali duszę Malapartego? Na pewno  
uważali  
postępowanie Malapartego za nielogiczne. Niezmiernie musiało być trudno  
wyegzekwować od  
niego elementarne konsekwencje poddania się: musiały być mu one psychicznie  
obce.  
Oczywiście, że bał się śmierci. Od niej nocami uciekał. Uciekając wpadał w  
ramiona ojców, ale  
ich mowa to było dla niego coś tak obcego, że nie rozumiał. Nie wiedział, co z  
tym robić. I oni,  
zdaje się, też nie wiedzieli, co z nim robić dalej.  
Kończył się czerwiec. Nadeszły pierwsze upały. Malaparte cierpiał  
niewypowiedzianie. Rak  
stoczył mu już jedno płuco. Zniszczenie powoli obejmowało drugie. Oddychanie

stawało się  
męką. Odleżyny w podniesionej temperaturze dnia za najłżejszym poruszeniem  
wyciskały mu łzy  
z oczu. Płakał zresztą teraz łatwo. Wspominał, przypominał sobie różności,  
roztkliwił się.  
Złagodniał w stosunku do otoczenia. Frzeciw niczemu nie protestował. Z dala za  
nim były  
wybuchy gniewu i cierpkie wypady przeciw wszystkim, których podejrzewał, że  
myślą, iż umrze.  
„Umrę, umrę – krzyczał jeszcze do niedawna na takich – ale zobaczysz, że umrę  
dopiero w pół  
godziny po tobie!”  
Teraz nie kłócił się, nie miotał. Nie dyktował wywiadów. Nie domagał się  
nagrywania ich na  
taśmę i nie przysłuchiwał im się potem ironicznie, zwłaszcza w tych momentach,  
kiedy taśma  
odtwarzała, jak krztusił się i kaszłał. Wspominał ciągle Prato, Florencję, a  
najchętniej swą willę  
na Capri, którą tak się cieszył i którą zapisał w testamencie przez „wdzięczność  
za ich dobroć  
pisarzom Chin Ludowych”. Wodził przyjaznym wzrokiem za siostrzyczkami z kliniki.  
Znowu  
zaczął pilnować kwiatów dla Madonny. Jedna z nich położyła mu na nocnym  
stoliczku koronkę.  
Zgodził się na nią kiwnięciem głowy. Frugoni nie skąpił mu teraz środków  
anestezyjnych, po  
których zapadał w półsen na całe godziny. Tak przechodziły mu noce. Siostrzyczki  
twierdziły, że  
nocami powtarza często: Rotondi! Ro-tondi! Ale że był półprzytomny, siostrzyczki  
nie  
sprowadzały ojca. Nie przestawał go odwiedzać, nic się jednak nie działo. Chory  
umierał, a ta  
sprawa, o której piszę, stanęła na martwym punkcie.  
Pewnego dnia, widząc, że jest przytomniej szy, pochyliła się nad nim siostra  
Maria, aby mu  
powiedzieć, że dziesiątego ma wyznaczoną u papieża prywatną audiencję. Zapytała,  
czy nie chce  
on czegoś Ojcu Świętemu przekazać. Nic nie odpowiedział, ale się wyraźnie  
ucieszył. Kiedy  
nadszedł dzień audiencji, kazał siostrze z mieszkania wziąć lalczkę, którą  
otrzymał od dzieci  
chińskich z Hong-Kongu, wychowywanych przez włoskie salezjanki. Jeszcze wówczas  
nic nie  
wspominał o książce La Pelle, której pewnymi stronicami papież poczuł się ciężko  
obrażony.  
Maria wróciła z Watykanu poruszona. Malaparte kazał sobie powtórzyć wszystko.  
Maria  
przyniosła mu specjalne błogosławieństwo apostołskie. Papież udzielił go Marii w  
kaplicy przy  
ołtarzu i powiedział, że udziela go jej oraz jej choremu bratu. Malaparte

wszystkiego z uwagą  
wysłuchał. Był wrażliwy na zainteresowanie okazywane mu przez wielkich tego  
świata. Mam  
wrażenie, że w tych kategoriach odczuł całą sprawę. I zdaje się, że nie żywili  
co do tego złudzeń  
ani O. Rotondi, ani zakonne siostrzyczki, bo dopiero w kilka dni potem na nocnym  
stoliczku  
obok koronki pojawiła się podobizna papieża w srebrnej ramce. Dopiero po 12  
lipca, kiedy  
przyszedł drugi zawał i kiedy Malaparte odezwał się do Frugoniego:  
– Profesorze, ona sobie teraz ze mną da radę. Ten Morlion miał rację! – Słowa O.  
Morliona  
musiały w nim stale tkwić!  
Następnego dnia na zapytania O. Rotondi, czy chce się wyświadczyć i przyjąć  
komunię,  
Malaparte odpowiedział twierdząco. Wszyscy wyszli z pokoju. Wyszedł również  
profesor  
Frugoni, prosząc tylko, by przez cały czas spowiedzi ojciec nie wypuszczał  
dzwonka z ręki, tak  
aby w razie czego alarm mógł być natychmiastowy. Ale Malaparte spowiedź  
wytrzymał i nawet  
po sakramentach poczuł się lepiej. W półprzytomności przeżył ostatnie dni przy  
ciągłych  
zastrzykach. 19 lipca, mniej więcej na kwadrans przed czwartą po południu,  
umarł.  
Nie bardzo wierzono w jego nawrócenie. I dopiero O. Rotondi w przemówieniu  
radiowym z  
dnia 25 lipca musiał całego swego autorytetu spowiednika użyć, by rozwiały się  
wątpliwości. O.  
Rotondi mówił o nawróceniu Malapartego szczegółowo i powtarzał swoje rozmowy z  
nim,  
opisywał swoją walkę z Malapartem i również walki, jakie toczyły się wewnątrz  
duszy jego  
penitenta. Spotkałem wielu ludzi, którzy uważali, że nawet jeśli ojcu Rotondiemu  
udało się,  
odwołując się do swojej pamięci, odgrodzić ściśle to, co usłyszał z ust  
Malapartego podczas  
spowiedzi, od tego, co usłyszał od niego podczas rozmów z nim, nie powinien był  
się  
podejmować swego radiowego przemówienia. Uważali że wytyczenie granicy jest tu  
ryzykowne  
i moralnie nie pociągające, a ponoć kanonicznie wątpliwe. Mnie też coś tu  
odpycha. Ale nie  
wypowiadam się, bo się nie znam. Na pewno jednak ze wszystkiego, co od katolików  
słyszałem  
po nawróceniu i śmierci Malapartego, najbliższe mi to, co powiedział La Pira.  
Nie mówi on nic o  
nawróceniu. Pomija je milczeniem. Ale mówi tak: „Śmierć Malapartego, po tak  
przerażająco  
długim okresie niewypowiedzianych cierpień, budzi • w nas, katolikach, uczucie

głębokiego

szacunku. Ciężar i siła tych cierpień każe nam myśleć o jego śmierci jako o śmierci

chrześcijańskiej, ponieważ przyniosły mu one odkupienie win, odkupienie niespodziewane, i

nadały jego życiu inny o ileż głębszy walor".

Neapol, 20 września 57 r.

Istnieje dwadzieścia hipotez wyjaśniających cud z krwią św. Januarego w Neapolu.

E.

interesował się tą sprawą i widziałem u niego całą półeczkę książek, broszurek i teczek z

artykułami na temat powtarzającego się od setek lat upłynniania się krwi

świętego męczennika w

określonych datach. Te daty to pierwsza niedziela majowa i osiem dni następnych,

dziewiętnasty

września i osiem dni następnych, i wreszcie szesnasty grudnia i dzień następny;

w sumie więc

osiemnaście razy.

Hipotezy są różne; folotropiczne, hydrotropiczne i psychiatryczne. Są to

hipotezy operujące

pojęciami z dziedziny nauk ścisłych. Poza ostatnimi dwoma czy trzema, swobodnie

psychologi-

zującymi, z których jedna tłumaczy zjawisko „silnym skoncentrowaniem zgodnej

woli tłumu

składającego się z jednostek gorąco wierzących". Na tej hipotezie kończy się

wachlarz hipotez

naukowych. Zaczynają się metafizyczne.

Jest zresztą rzeczą interesującą, że krew Św. Januarego intryguje nie tylko

uczonych

niewierzących, ale i katolików. Oni się nią kłopotują i wielu z nich wolałoby ten

cud od setek,

setek >lat powtarzający się z natrętną regularnością osiemnaście razy na rok

odstąpić chemii czy

fizyce. E. mówił mi, że jakiś monsignor niemiecki, którego nazwiska nie pamiętam

(Tsenkrahe?),

w książeczce pt. Das neapolitanische Blutwunder wprost błaga, by dać sobie

spokój z

myśleniem, że tu zachodzi cud, i uwierzyć, „że krew ulega upłynnieniu na skutek

przeniesienia z

nyży, stanowiącej jej stałe miejsce przechowania, nyży ciemnej i suchej, w

środowisko kaplicy

nasyconej światłem i wilgotnej od oddechów tłumu".

E. twierdzi jednak, że tak nie jest. W okresie dwudziestolecia między wojnami,

głównie za

Piusa XI, przeprowadzono dziesiątki badań z inicjatywy Św. Oficjum i różnych

uniwersytetów

katolickich, między innymi mediolańskiego, zdecydowanie w tej epoce naukowego i

rewizjonistycznego w stosunku do różnych cudów. Obaliły one hipotezę niemiecką

eksperymentując z dziesiątkami ampulek, napełnionych krwią zasuszoną i innymi

substancjami,



pomieszanych z krwią czy nie pomieszanych. Nic się nie chciało rozpuszczać. Co ciekawsze, że ta sama cudowna krew, która się upłynnia w określone dni, wydobyta dla eksperymentu w inne dni, pozostaje skrzepla. Nic nie można zrozumieć. Fo długim ciągu zmudnych badań zniechęcono się. Machnięto na problem ręką. Zdaje się, że stało się to pod koniec pontyfikatu Piusa XI. Potem przyszła wojna, z kolei powojenne lata, a wreszcie lata dzisiejsze, w których krytyczny di:ch uniwersytetów i nieuniwersytetów katolickich osłabł. Cud św. Januarego zwycięsko przetrwał najgorsze czasy, kiedy nawet katolicy przyglądali mu się podejrzliwym okiem. Dziś odbywa się w spokoju i z wielką pompą, pod egidą najwyższych władz kościelnych i świeckich, i nikt już z patronujących mu osób nie pamięta, że tak niedawno wszyscy we wszystkich kuriach i naukowych instytucjach katolickich zgadzali się, że tego cudu nie można brać poważnie. E. twierdzi, że to, co w swoim czasie budziło największą nieufność w stosunku do niego, to była jego regularność. Automatycznie budziła ona nieufność teologów. Cud jest aktem woli boskiej. Powiedzmy ściślej – jednorazowym aktem. Święty może cud wyjednać. Pielgrzymi czy chcący sobie u Boga wyjednać łaskę mogą się spodziewać cudu, przybywszy do jakiegoś świętego miejsca czy pomodliwszy się pod jakimś cudotwórczym obrazem. Nikt jednak, nawet od największego świętego i od najbardziej renomowanego z cudów miejsca, nie może się automatycznie spodziewać cudu.. Jest to elementem tej sprawy tak podstawowym, że niewykonanie cudu, którego się ktoś spodziewa od jakiegoś świętego, albo też niewy-darzenie się spodziewanego cudu w miejscowości słynnej z cudów, nikogo i niczego nie kompromituje. Ani świętego, ani miejscowości, ani tego, który cudu się spodziewał. Cud w istocie swojej zależy tylko od Boga. Bóg zaś jest pojęciem tak nieskończonym, że instynktownie nikt z wierzących nie podchodzi do niego ze swoim normalnym myśleniem przyczynowym. Dlatego nikt z wierzących nie podchodzi do świętego z tą samą miarą co do adwokata, powiadając, musiał to być niedobry święty, skoro u Boga nie wygrał mojej sprawy. Nie! W sprawie cudów wszystko jest niewiadome, wszystko jest jednorazowe i wszystko jest sprawą łaski. W przeciwieństwie do tego wszystkiego cud św. Januarego wydaje się jakimś

zobowiązaniem. Jeżeli bowiem coś, nawet jeśli istota tego jest niepojęta, powtórzyło się w określonych okolicznościach kilkanaście setek razy, poniekąd staje się prawem. Jak wiadomo, św. January poniósł męczeństwo w roku 305. Został ścięty w Pozzuoli, próżno przedtem rzucały podczas igrzysk na pożarcie dzikim zwierzętom, które go tknąć się nie ośmielały. W parę lat później, ale jeszcze przed edykt-em Konstancyjny, św. Seweryn przeniósł ciało męczennika do Neapolu i pochował je w katakumbach, które następnie od niego wzięły nazwę. Wówczas właśnie krew z torsu i głowy świętego popłynęła na nowo. Została zebrana w dwie ampułki, zamknięta w relikwiarzu i ona to od owej daty do dziś dnia się upływnia. Od roku 1659 prowadzony jest w katedrze, gdzie przechowuje się ta relikwia, specjalny rejestr. Zwie się on „Diariusz Katedry i Skarbca”. Podaje on osiemnaście razy na rok szczegółowy opis cudu, który powtarza się zawsze. Jest to więc cud nie taki, który może się zdarzyć, ale taki, który musi się zdarzyć. W tych warunkach, jak mówiłem, czy wolno tu teologicznie mówić o cudzie? Nawet psychologicznie najpewniej nie odczuwa się tego zjawiska jako cudownego, skoro musi się zdarzyć, a musi, ponieważ regularnie zdarza się od tysiąca sześciuset lat i zdarzył się w sumie trzydzieści parę tysięcy razy. Teraz również przypominam sobie to, co mówił mi E., że ci, co bronią pełnej teologicznej cudowności tego, cudu, podkreślają, że pomimo swojej regularności i charakteru niepokojąco koniecznościowego, cud św. Januarego zachowuje nadal wszystkie cechy zupełnie swobodnego i jednorazowego aktu woli boskiej, a to ze względu na różnorodną jakość upływnienia się krwi męczennika. Powiadają, że to tylko tak się zdaje, że cud musi się zdarzyć, esencją bowiem jego jest jakość, a ta jest za każdym razem inna, niespodziewana i nieprzewidziana. Pełnia wolności boskiej wyraża się więc w tym wypadku za pomocą takich cech zjawiska, jak całkowite czy częściowe wypełnienie ampułek, nabieranie czy tracenie ciężaru, silniejszy czy słabszy stopień upływnienia, a wreszcie silniejsze czy słabsze zakolorowanie się płamy na płycie przechowywanej w Pozzuoli, na której ścięty został św. January i która niejako przy bocznym ołtarzu akompaniuje cudownemu zjawisku, powtarzającemu się przy głównym, z tą samą zresztą

odwieczną regularnością i niezmiennością.  
Tego bocznego cudu nie widziałem. Co do nea-politańskich uroczystości, są one nieporównane. Od wczesnego ranka katedra jest pełna. Moc księży włoskich, cudzoziemskich, w ogóle cudzoziemców. Niektórzy z nich próbują pchać się w różne strony z jakimiś kartonikami, kierującymi ich do lepszych punktów obserwacyjnych. Po pewnym czasie nikt się już nie pcha w żadnym określonym kierunku, wszyscy się pchają we wszystkich, taki jest ścisk. O godzinie ósmej przepiękne brązowe drzwi, zamykające dostęp do kaplicy św. Januarego, otwierają się. Robi się troszeczkę luźniej, ponieważ upchane przy wejściu do kaplicy osobistości i delegacje wchodzą do środka. A więc przede wszystkim prałat kaplicy św. Januarego i skarbcza oraz przedstawiciele prastarej organizacji, zwanej się „Deputacja Kaplicy i Skarbca”, oraz przedstawiciele równie prastarej konfraterni, zwanej się „Krewnymi św. Januarego”. Po odmówieniu litanii prałatowi zostają wręczone dwa klucze. Idzie z nimi za ołtarz, towarzyszą mu dwaj mężczyźni jako przedstawiciele deputacji albo raczej jako trzon deputacji, składającej się z dwunastu mężczyzn, z których każdy jest głową jakiegokolwiek arystokratycznego rodu, byleby ten ród miał tytuł potwierdzony w heraldii dawnego Królestwa Nea-politańskiego. Prałat pierwszym kluczem, otrzymanym od margrabiego Caraciollo, otwiera skrytkę i wydobywa trzynastowieczne srebrne popiersie zawierające cząstkę świętego, drugim kluczem od księcia di Schiavi otwiera skrytkę z ampułkami. Odbywa się to wszystko bardzo wolno, tak że od otwarcia drzwi kaplicy do chwili ustawienia na ołtarzu figury i relikwiarza z ampułkami – mija godzina. Teraz modli się cały kościół. Widać figurę i relikwiarz, i głowy prałata i innych księży oraz panów z deputacji. Kłęczą oni na stopniach ołtarza. Patrzą wszyscy w relikwiarz i modlą się ze wszystkimi. Modlitwa jest głośna. W pewnym momencie, może po dwudziestu minutach, książę wstaje i wielką białą chustką koronkową, bo taki jest odwieczny przywilej panów z deputacji, daje znak, że cud się ziścił. Tłum opanowuje radość. Wszyscy krzyczą i śmieją się. Patrzą sobie w oczy i przesyłają uśmiechy. Nawołują się. Ale ich okrzyki giną, bo zaczynają bić dzwony okolicznych kościołów, skoro tylko usłyszą dzwony katedry, a potem wszystkich innych kościołów w

Neapolu. Kościół,  
który usłyszy w laki dzień dzwonenie, a nie zadzwoni, podpada pod anatemę.  
Z miasta błyskawicznie przenosi się dzwonenie na kościoły podmiejskie i dalej,  
dalej. Na  
granicach archidiecezji neapolitańskiej ustaje Poza granicami archidiecezji,  
choćby najbliższy był  
jego sercu January, żaden dzwonnik nie pociągnie za sznur. Nie ma obyczaju. Nie  
dzwonią też  
dzwony opactw benedyktyńskich oraz wszystkich tych klasztorów, których opat jest  
biskupem.  
Choćby znajdowały się na terenie archidiecezji, są one opactwami nullius, czyli  
– żadnej diecezji.  
W takich okolicznościach nie dzwonią więc dla podkreślenia, że nie podlegają  
kardynałowi  
Neapolu i że są same dla siebie małymi diecezijkami. Natomiast dla podkreślenia  
swojej  
podległości kardynałowi wszystkie fabryki uruchamiają syreny. Toż czynią  
wszystkie statki w  
porcie. Tak wyją z kwadrans.  
W pewnym momencie bucha z organów Te Deum. W katedrze powstaje zamęt, bo jest to  
jednocześnie sygnał, że relikwie przeniesiono z ołtarza na próg kaplicy i że  
można je ucałować.  
Pierwsi całują je księża i panowie z deputacji, następnie „Krewni św.  
Januarego”. Trwa to  
nieskończenie długo, Księża podstawiają do pocałunku srebrne popiersie z czaszką  
świętego i  
relikwiarz z krwią. Wszyscy chcą całować relikwiarz. Srebrne popiersie jest  
silnie spatynowane.  
Ale żeby miało odcień grynspanowy, nie mogą powiedzieć.  
A tymczasem słyszałem, zresztą i Stendhal o tym pisze w swoich Promenades dans  
Rome, że  
kiedy krew długo się nie upłynnia, tłum przynagla: „No! no! zielona gębo; no!  
już! zielony  
pysku”. W tym roku nie nukali na świętego i nie krzyczeli, bo widocznie  
dwadzieścia minut to  
nie jest tyle, żeby nadużyć ich cierpliwości.  
Krzyczą teraz trochę, nie na świętego, jedni na drugich, że przywierają wargami  
za długo do  
kryształowych ścianek relikwiarza. Pośpiech jest wskazany, bo już przy głównym  
ołtarzu zasiadł  
kardynał Mimmi. Formuje się więc procesja od ołtarza bocznego do głównego. Nie  
wszyscy się  
nacałowali. Ale protestują na próżno. „Krewni św. Januarego” uformowali szpaler  
i nie tyle może  
swą siłą, co swą liczbą bronią przed nienasyconą miłością tłumy swojego  
protoplastę.  
Czoło procesji zbliża się do tronu kardynała. Klęka, wstaje, jeszcze raz klęka.  
Wiem, że w  
tym momencie wypowiada ustami wszystkich członków deputacji i prelatyry  
tradycyjną formułę

informującą kardynała o tym, że „cud szczęśliwie się powtórzył”.  
Na wiadomość o tym kardynał klęka, potem wstaje i zapowiada, że celem  
podziękowania  
świętemu odbędą się uroczystości „wewnętrzne i zewnętrzne”. Wewnętrzne polegają  
na mszach,  
litaniach i błogosławieństwach. Zewnętrzne na wspólnym pochodzie przez miasto,  
na  
lampionach i ogniach sztucznych.  
Festeggiamenti Esterni del San Gennaro rozpoczynają się o ósmej wieczór. Runie  
wówczas  
ze wszystkich kościołów, kaplic i miejsc uświęconych szczególnie czczonymi  
podobiznami  
świętego – rzesza ludzka rozczłonkowana na drobne procesje. Ruszają ludzie spod  
barokowego  
Hospicium Sw. Januarego Ubogich, ruszają spod protochrześcijańskiej małej  
bazyliczki S.  
Gennaro extra Moenia, ruszają spod Sw. Katakumb Sw. Januarego i Sw. Agrypina i z  
wielu  
innych miejsc. Każdy neapolitanczyk ma na ten dzień swojego Januarego  
wypadowego.  
W pobliżu naszego hotelu przy ulicy Foria gotycki portal kościoła Matki Bożej od  
Cudów  
przedstawia św. Januarego błogosławiącego miasto Neapol, podległe mu jako  
patronowi. Do  
figury świętego w tym portalu nikt z pewnością się nie modli. Ale od wieków w  
podobne dni i tu  
gromadzi się olbrzymi tłum. W pewnym momencie rusza to wszystko w stronę  
katedry, która stoi  
przy via del Duomo. Lampionów tu pełno. Wszystkie bramy oświetlone są lampkami  
elektrycznymi, okna domów są obramowane różnokolorowymi żarówkami. Kiedy tłum  
wleje się  
już w plac przed katedrą, na jej stopniach ukazuje się mnóstwo panów i pań, jest  
tu kwiat miasta,  
a więc dwunastu książąt i hrabiów z de-putacji wraz z rodzinami, mnóstwo innej  
arystokracji,  
senatorowie i posłowie z Neapolu i prowincji, słynny Achilles Lauri, burmistrz  
miasta, właściciel  
setki okrętów i głowa samodzielnej partii monarchistów, uznającej Sabaudów, ale  
pracującej  
swoistymi metodami.  
Stopnie katedry roją się od mundurów. To głównie admiralicja i generalicja.  
Naraz wchodzi  
to wszystko do katedry dla asysty kardynałowi, który następnie w otoczeniu  
swojego dworu, to  
jest wszystkich wyższych duchownych z kurii i również grupy cywilów, pełniących  
przy nim  
najróżniejsze honorowe funkcje, pojawia się przed katedrą. Tłum śpiewa ku jego  
czci hymn  
pontyfikalny. Kardynał udziela uroczystego błogosławieństwa. Końcowym punktem  
programu są

fajerwerki, piękne i długotrwałe, choć nie tak sztuczne jak te, które rok w rok w dniu 15 lipca na pamiątkę cudownego ugaszenia pożaru dzwonnicy przy kościele Santa Maria del Carmine oplatają ją morzeni bengalskich płomieni, do złudzenia imitujących ogień. Nie wiem, czy Św. Oficjum reguluje sprawę jakości ogni. Najpewniej oczywiście nie wchodzi w szczegóły. Wchodzi natomiast w samą zasadę. W to mianowicie, czy tym, czy innym uroczystościom dla uczczenia cudów winna czy nie winna i może czy nie może towarzyszyć pirotechnica Iestiva. Uroczystościom januariońskim ona towarzyszy. Nie towarzyszy natomiast żadnej z podobnych uroczystości, które z analogicznych powodów mają miejsce w różnych punktach Królestwa Neapolitańskiego. Bo na tym obszarze upłynnia się nie tylko krew św. Januarego. Analogiczne fenomeny zachodzą tu z krwią św. Jana Chrzciciela, z krwią św. Stefana, męczennika z pierwszego wieku po Chrystusie, z krwią św. Pantaleona, z krwią św. Patrycji, z krwią św. Ludwika Gonzagi, z krwią św. Alfonsa de Liguori i innych. Zachodzą rzadziej, prościej, w sposób mniej uderzający, ale zachodzą. W epoce krytycznego podchodzenia do cudów z krwią św. Januarego i one budziły irytacje uczonych katolickich. Budziły nawet irytacje szczególniejsze przez swój charakter epidemiczny i naśladowczy. Ale dziś i im dano spokój. Ani Sw. Oficjum, ani kuria neapolitańska nie mają nic przeciw uroczystościom z ich okazji. Ogranicza się je jedynie pod względem pirotechnicznym i w ogóle stara się, żeby było o nich raczej cicho. Rzym, 27 września 57 r. Książę Luigi P. opowiadał mi wczoraj u pp. M., że jego kuzyn ujrzał raz na jakimś wspaniałym przyjęciu w Paryżu siedzących obok siebie i pogrążonych w ożywionej rozmowie dwu ludzi. Jednym z nich był Aga Khan, drugim kardynał Eugeniusz Pacelli, Sekretarz Stanu Kościoła Rzymskiego, późniejszy papież. Aga Khan corocznie miesiącami mieszkał w Paryżu. Pacelli wracał z Anglii, gdzie jeździł w charakterze legata na jakiś kongres eucharystyczny. Kuzyn księcia P. odczuł nieprzepartą chęć posłyszenia, o czym mówią z sobą takie dwie osoby: prawa ręka zastępcy Chrystusa na ziemi z potomkiem i następcą Mahometa. Okazało się, że nieomal głowa i w przyszłości pełna głowa czterystu milionów katolików i głowa stu

milionów mahometan-izmaelczyków mówiły o koniach i o czyszej krwi.  
Aga Khan twierdził, że istnieje duża przesada z tą krwią i że on wygrywał na wyścigach  
miliony końmi bez pochodzenia, mającymi za to talent, iskrę i szkołę. Pacelli uważał natomiast  
wszystkie te przypadki za fuksy. Uważał pozytywy dobrej krwi, dobrego pochodzenia, dobrego  
gniazda za prawdy potwierdzone tysiącnymi doświadczeniami historii. Zwłaszcza gdy idzie o  
gatunek ludzki.  
Rzym, 15 listopada 57 r. Ukazała się w Osservatore Romano na pierwszej stronie wzmianka,  
że pisarze polscy opuszczają PZPR. Wzmianka jest ciepła. Nazwiska; Miecisław Jastrun, Wawryniec i Paulo Herz, Sta-nislao Diget oraz – na pierwszym miejscu –  
Jedźy Andrejewski. Ten Andrejewski na pierwszej stronie, ciepło podany w dworskiej urzęd-  
dówce watykańskiej, obudził we mnie wspomnienie pewnej rozmowy sprzed lat chyba dwudziestu, to znaczy z roku, w którym ukazał się jego katolicki „Ład serca”. W rozmowie tej  
Cz. powiedział mi, że o niczym Andrejewski tak nie marzy, jak żeby się o nim ukazała  
serdeczna wzmianka w rzymskim Osservatore Romano. Nie pochwalili go wówczas w Osseivatore, nie zauważyli. Trzeba było na to aż tylu rzeczy i tyle, tyle czasu!  
Jest w tym jakiś paradoksalny proustowski temps retrouve.  
Rzym, 17 listopada 57 r.  
Zdaje się, że pogarda dyplomatycznych urzędników do kultury nie zależy od ustroju.  
Młodziutkiego L. przeniesiono z Palazzo Chigi do Palazzo Firenze, z departamentu politycznego  
do kulturalnego, i L. siedzi teraz za swoim nowym biurkiem nadęty i niegrzeczny.  
W ten sposób wyraża się jego smutek i upokorzenie.  
L. pochodzi z prastarej rodziny książęcej z jednego z tych rodów, których genealogia sięga  
czasów rzymskiego imperium. L. jest prawnukiem owego księcia, który Napoleonowi pytającemu, czy rzeczywiście pochodzi od Mucjusza Scewoli, odpowiedział, że jest to  
najpewniej legenda, ale stara bardzo, bo utrzymująca się w jego rodzinie już od dwu tysięcy lat.  
Wczoraj rozgadaliśmy się. Wyraziłem mu współczucie,- nieraz w życiu musiałem się zajmować rzeczami, które mnie nie interesowały, i wiem, jaka to męka. Nie całkiem odtajał,  
nadał cedził przez zęby, tyle że szczerze. Powiedziałem wtedy, że stosunki kulturalne są  
namiastką prawdziwych, politycznych, ponieważ zaś obecnie pomiędzy wszystkimi państwami  
na świecie stosunki się polepszają, niebawem dyplomaci nie będą potrzebowali zajmować się

odcinkiem kulturalnym, gdyż artyści i naukowcy zajmą się nim sami. Taka perspektywa  
wprawiła go w dobry humor. Stał się z powrotem grzeczny, jakby się znowu znalazł  
w Palazzo  
Chigi. Dał mi nawet książkę. Jest to Mondo Valicano pióra jego stryja. Zdaje  
się, że ten stryj –  
autor w rodzaju Chłędowskiego i bardzo płodny – obdarza go wciąż swymi utworami,  
z którymi  
L. nie wie, co robić. Zdradziłem się, że lubię takie książki, i oto wracam z  
jedną pod pachą.  
W domu przerzucam Mondo Vaticano. Jest interesująca. Czasem zdobywa się na  
sformułowania żartobliwe i pełne mądrości. Dodam nawet – politycznej; tak że  
może L.  
niesłusznie się z nią rozstał. Oto próbka:  
„Watykan jest państwem w państwie. Jest terytorium niezależnym w sercu stolicy  
Włoch.  
Posiada panującego, zamek królewski, dwór, przedstawicielstwa dyplomatyczne. Ma  
swoje  
muzea, swoje archiwa tajne, swoje obserwatorium astronomiczne, zupełną autonomię  
w leczeniu  
swoich chorych, ponieważ posiada swoich lekarzy, swoją aptekę i swój szpital.  
Może nadawać  
tytuły i order. Może drukować, co sam uzna za stosowne, i to we wszystkich  
językach.  
Posiadając własnych strażaków, może również ugasić każdy pożar, byle tylko był  
to pożar  
nie duży.”  
Rzym, 20 listopada 57 r.  
Pokazywano mi dzisiaj miejsce w La rdle Malapartego, którym papież poczuł się  
tak dalece  
urazony, że jego zausznicy zaraz kazali ją wpisać na indeks. Figuruje ona  
rzeczywiście w  
najświeższym dodatku do indeksu opublikowanym przed paru laty przez przybudówkę  
Sw.  
Oficjum, zwąca się Sezione delia Censura dei Libii, którą J. nazywa „ichnim  
biurem kontroli  
prasy i publikacji”. Z książek Malapartego figuruje w tym dodatku tylko jedna.  
Za to: Gi-de –  
opera omnia, i Moravia również – opera omnia. Ten ostatni nawet dwukrotnie. Raz  
jako Alberto  
Moravia (pseud. Pincherle), drugi raz jako Pincherle (pseud. Moravia). Moravia  
pod swoim  
prawdziwym nazwiskiem – Pincherle – nigdy nic nie wydał. Istnieje dla swoich  
czytelników i w  
literaturze jedynie jako Moravia. Nie wiem więc, po co było potrzebne ks. .1. D.  
Kut-nemu,  
redaktorowi dodatku, przypominanie ży-dostwa Moravii. Albo raczej wiem.  
Wracając do miejsca w książce Malapartego, które dotknęło papieża, jest ono tak  
niewinne,  
że nawet uwzględniając absolutny brak poczucia humoru u papieża i jego



drażliwość, nie można  
nie odczuć zdziwienia. Miejsce to znajduje się w rozdziale pt. La Bandiera. Jest  
to jeden z  
najlepszych tej swoiście pysznej książki. Opisuje ostatnie godziny przed  
wejściem wojsk  
alianckich do Rzymu oraz z tego wkroczenia, tylekroć potem cytowany krótki  
dialog między  
dowódcą Amerykanów, generałem Cork, i towarzyszącym mu jako oficer łącznikowy  
Malapartem:  
„Z przerażającym hałasem gąsienic skręciliśmy wprost na Palatyn, zgarbiony pod  
ciężarem  
ruin Pałacu Cezarów, i zaczęliśmy się wznosić powoli Drogą Tryumfów, kiedy nagle  
wyrosła  
przed nami olbrzymia w ciszy księżycowej masa Koloseum.  
– Co to? – spytał generał Cork próbując zagłuszyć chór gwizdów, które wydawała z  
siebie na  
znak wrażenia podążająca za nami kolumna.  
– Colosseo! – odpowiedziałem.  
– Jak?  
– Koloseum! – krzyknął towarzyszący nam Jack.  
Generał Cork wstał i ze swego jeepa długo i w milczeniu przyglądał się  
gigantycznemu  
szkieletowi Koloseum, po czym, zwróciwszy się do mnie, nie bez akcentów dumy w  
głosie  
zawołał:  
– Piękna robota! Nasze bombowce ładnie tu popracowały.  
Po czym chcąc mnie jak gdyby za to przeprosić, wyciągnął ku mnie ramiona i  
rzekł:  
– Niech pan się nie martwi, Malaparte, to jest wojna!"  
Papieskie miejsce jest wcześniejsze. Wiąże się z przygotowaniem i atmosferą  
przed  
wkroczeniem do Rzymu – miasta otwartego i miasta świętego. Chcąc temu momentowi  
nadać  
rozgłos, dowództwo zastanawiało się, kto i na czele jakich oddziałów ma do  
miasta wkroczyć. W  
Watykanie zaś zastanawiano się raczej nad tym, jakie oddziały n i e mają  
wkroczyć. Zwłaszcza  
oddziały kolorowe wyrobiły już sobie dostateczną opinię swymi nieokiełznanymi  
apetytami na  
kobiety, żeby święte miasto zaniepokoić. W kurii również dobrze wiedziano o tym,  
że trzeba  
było wszędzie używać najróżniejszych wybiegów i uciekać się do  
najparadoksalniej-szych  
tłumaczeń, by kobiety chronić przed tymi apetytami. Do takich tłumaczeń na  
przykład musieli się  
uciec ci, którzy obronili wszystkie kobiety z miasteczka Caslel Gandolio,  
rozciągającego się u  
stóp słynnej willi papieskiej, wspaniałego pałacu, otoczonego kilkusethektarowym  
parkiem,  
gdzie papież spędza lalo.

A oto ten nieszczęsny ustęp.

„– Przykro mi – rzekł Jack – muszę się z wami rozstać. Ale jest już późno i poza tym generał

Cork na mnie czeka.

•– Piąta armia amerykańska przy zajmowaniu Rzymu da sobie radę bez was... tak samo, jak

da sobie radę bez nas – powiedział generał Guil-laume, dowódca Marokańczyków, z odcieniem

bolesnej ironii w głosie. Po czym już innym tonem, bo zarazem drwiąco i z uśmiechem dodał: –

Zje pan z nami śniadanie, a potem już pana puszczę. I tak kolumna generała Córka nie ruszy się

wcześniej z miejsca, za pozwoleniem Ojca Świętego, niż o drugiej czy trzeciej.

Chodźmy, panowie, kuskus już na nas czeka i stygnie.

Stoły do śniadania ustawione były rzędem w wąskiej przestrzeni między dwoma ścianami

olbrzymich dębów, zaludnionych ptakami. Gou-wiers generała Guillaume ściągęli je tutaj z

domów pobliskiej kolonii całkowicie opustoszałej. Zasiedliśmy, a generał

Guillaume, pokazując

na dwu braciszków franciszkańskich, wychudłych jak jaszczurki i czarnych, którzy kręcili się

między Marokańczykami, opowiedział, że kiedy po okolicy rozeszła się wiadomość o przybyciu

kolorowych, wszyscy chłopci, żegnając się znakiem krzyża świętego, jak gdyby już ich zaleciał

zapach siarki, uciekli: zostali tylko braciszkwowie, którzy całą chmarą przybiegli z pobliskich

klasztorów nawracać goumiers'ów na wiarę Chrystusową. Generał Guillaume posłał do nich

oficera z prośbą, aby nie naprzykrzali się Marokańczykom. Braciszkwowie jednak odpowiedzieli,

że otrzymali rozkaz ochrzczenia wszystkich Marokańczyków, ponieważ papież nie chciał mieć

żadnych Turków w Rzymie. Ojciec Święty rzeczywiście zwrócił się z apelem do Dowództwa

Wojsk Alianckich, wyrażając w nim pragnienie, aby Dywizja Marokańska zatrzymała się u wrót

Wiecznego Miasta.

– Papież nie ma racji – dodał śmiejąc się generał Guillaume. – Jeśli godzi się na to, by zostać

wyzwolonym przez oddziały protestanckie, nie widzę żadnej przyczyny, dla której nie chce

przystać na to, by wśród jego wyswobodzieli znajdowali się również muzułmanie.

– Ojciec Święty – rzekł Lyautey – okazałby się może w stosunku do nich mniej surowy,

gdyby wiedział, jaką wspaniałą opinię mają Marokańczycy o jego potędze.

I powiedział, że trzy tysiące kobiet, które schroniły się na teren willi

papieża, zrobiły na

goumiers'ach kolosalne wrażenie. – Trzy tysiące żon! – powtarzali. I papież w ten sposób stał się dla nich bez wątpienia najpotężniejszym monarchą świata.  
– Mnie zaś przypadł obowiązek – rzekł generał Guillaume – porozstawiania wart wokół murów otaczających willę, aby uniemożliwić goumiers'om asystowanie żonom papieża.  
– Teraz zrozumiałem – powiedział Jack – dlaczego papież nie chce Turków w Rzymie."

Rzym, 28 listopada 57 r.

Wczoraj uroczysta audiencja prezydenta NRF Heussa u papieża. Prezydent przyjechał do Włoch tydzień temu. Trzy dni był gościem Kwirynału. Potem na trzy dni wyjechał na Sycylię.

Przez tę podróż nabrał charakteru nowego, świeżego przybysza, który prosto z drogi zgłasza się do Ojca Świętego. A więc nie w charakterze gościa z drugiej ręki, zużytego już przez państwo włoskie.

W porównaniu z honorami dla Coty'ego, pompa mniejsza. Ale Coty to była supergala, coś na sto pięćdziesiąt procent. Heuss zaś to było coś na sto dwa. Też pojechały po niego pod Grand

Hótel, do którego się przeniósł z Kwirynału dla tej audiencji, „samochody świętych pałaców apostolskich", też czekali na niego pośrodku placu Sw. Piotra bratanek papieski, ksiązę Carlo

Pacelli, i najwyżsi cywilni dygnitarze państwa Watykanu. Plac tak samo był zdobny w bukiety z „oranżerii apostolskich". Ale wojska było mniej. Dla Coty'ego wyszło ono na plac całe, prócz

oddziałów, które ustawiły się na podwórku Sw. Damazego. Heussa witały pluton żandarmerii papieskiej, kompania honorowa Gwardii Pałacowej oraz szwadron Gwardii Szwajcarskiej.

Do prezydenta Heussa ksiązę Pacelli zwrócił się z przemówieniem po niemiecku. Było ono

króciutkie. Następnie wszystko poszło podług uświęconego protokołu. Po labiryncie uliczek,

zaułków, kryptoportyków, podjazdów i objazdów, Heuss po raz drugi wysiadł z samochodu i

odtąd co parę minut musiał przystawać najpierw u progu samego pałacu, a potem na progu coraz

to innych sal, gdzie mu przedstawiano grupki coraz to nowych dygnitarzy dworu papieskiego. Na

te uroczystości ściągnęła z różnych miejscowości włoskich, ale także i spoza Włoch, spora ilość

ludzi z arystokracji niemieckiej, piastującej tutaj różne funkcje honorowe. Jak się zdaje, więcej

się tu zbiegło nazwisk dziwacznych niż wielkich. Wśród nich najosobliwsze to

chyba v.

Jordanow-Osnobichino. Hrabi tego nazwiska przypadł honor, jako ponadliczbowemu, ale widać z

łaski papieskiej w tym dniu urzędującemu szambelanowi, otwarcia drzwiczek samochodu

odjeżdżającego Heussa. Zamknął je zaś z tytułu odwiecznego przywileju (wydanego dla karet,

ale Benedykt XV rozciągnął go na samochody) Wielki Koniusz Świątyni Pałaców Apostolskich, którym obecnie jest margrabia Giovanni Battista Sachetti.

Jeśli chodzi o samą audiencję u papieża, bo w istocie o nią chodzi, wszystko inne jest tylko

wspaniałą oprawą, trwała ona nie dwadzieścia minut, jak przewidywał protokół, ale pół godziny.

Co na niej mówiono, nie wiadomo, bo zgodnie z ceremoniałem rozmowa toczyła się w cztery

oczy. Ale na pewne domysły pozwolić sobie można, a to w oparciu o słowa papieża wzięte z

krótkiego przemówienia, które wygłosił po części sekretnej audiencji, już w obecności całej

świątyni Heussa i swojego własnego, dworu. Słowa, które mnie w tym przemówieniu uderzyły –

słowa dotyczące nowych Niemiec, mających już poza sobą „tragiczny okres rozpaczliwego

nacjonalizmu”, i roli tych nowych Niemiec w stosunku do krajów Europy „kompletnie

hołdujących materializmowi” – brzmią następująco:

„Również te potęgi, które grożą kulturze i wolności Europy, mają swoją ideologię,

wyrastającą z pewnych założeń intelektualnych. Tylko więc tym, którzy podobnym ideologiom i

podobnym założeniom przeciwstawiają swoje kateryczne »nie« i z tego »nie« wyciągają

logiczne konsekwencje tak dla swojej myśli, jak i dla swego działania, można powierzyć z

zaufaniem losy wolności Europy, tej jeszcze wolnej, i losy wyzwolenia tej części Europy, którą z

wolności obrabowano. (Freiheit des noch ireien und um die Belreung des der Freiheit beraubten

Euiopas.)

Wypowiadamy te słowa... ponieważ jesteśmy pewni, najczcigodniejszy panie prezydencie, że

znajdą one współbrzmienie z pańskimi przekonaniem”.

Rzym, 30 listopada 57 r.

Prezydent Heuss był wczoraj u maltańczyków. Wielkie z tego u nich zadowolenie.

Ciągle

znajdują się oni w fatalnej sytuacji, napastowani pożądlivością kardynała

Canali, twórcy potęgi

finansowej Watykanu. Nadal papież nie zatwierdza im Wielkiego Mistrza. Nadal wybrany przez

nich książe Ernest Paternó nosi tylko tytuł zastępcy (iuogofenenfe di Gran

Maestro). Wizyta

Heussa nie miała charakteru oficjalnego i Heuss nie złożył jej w pałacu oficjalnym rządu

maltańskiego, tylko w ich willi na Awentynie. Ale za to poszedł nie sam, lecz w otoczeniu świty,

a przede wszystkim w towarzystwie swego ministra spraw zagranicznych v. Brentano.

Niewątpliwie w emocjonującej rozgrywce, którą prowadzą z Canalim, dla maltańczyków

taka wizyta to karta atutowa. Interesujące w tym, że trudno sobie wyobrazić prezydenta innego

państwa niż niemieckie, który by się zdecydował na taką wizytę. Maltańczycy są symbolem

czegoś tak archaicznego, że niezależnie od własnych ciągost snobistycznych każdy polityk ze

względu na opinię publiczną w swoim kraju bałby się podobnego kroku. Z tego względu również

ta wizyta jest ciekawa. Dla Niemców Heussa nadal herby, rody, rycerskie zakony są rzeczą

państwową i poważną. Trzeba dla sprawiedliwości dodać, że i Coty zaglądał do maltańczyków,

ale z wyraźnym zaznaczeniem, że jako turysta. Bez świty, bez ministra spraw zagranicznych u

boku, bez ceremonii z prezentowaniem mu wysokich dostojników związku. Z okazji pobytu

Bernarda, holenderskiego księcia-małżonka, też w „Malcie” był jubel. Ale on sam jest szyszką

maltańską, a po drugie nie jest głową państwa, wizyta jego więc nie ma tej wymowy, co Heussa.

Rzym, 1 grudnia 57 r.

Zmarł wczoraj kardynał Piazza. Liczył sobie lat osiemdziesiąt trzy. Był karmelitą. Całą

pierwszą wojnę przebył na froncie, w pierwszej linii w okopach, jako kapelan.

Przed przejściem

do kurii był patriarchą Wenecji. W kurii piastował niezmiernie wysoką godność Sekretarza

Kongregacji Konsystorza, mianującej wszystkich biskupów. Prefektem jej jest papież. Podobno

nie był niezbyt przyjemny dla kardynała Wyszyńskiego podczas jego bytności rzymskiej. Był

zaciekle antyfaszystą i w czasie faszyzmu był z ramienia Piusa XI patronem włoskiej Akcji

Katolickiej. Od paru dni ukazywały się w Osservatore Romano wzmianki o jego chorobie.

Połowę z nich zajmowały zapewnienia o tym, ile radości i pokrzepienia czerpie z przesyłanych

mu przez papieża błogosławieństw. Z jego śmiercią uwalnia się trzynasty kapeluszy w kolegium

kardynalskim, a liczba kardynałów kurii schodzi również do trzynastu.

Rzym, 4 grudnia 57 r.

Ostatni konsystorz, na którym papież ogłosił nowych kardynałów, miał miejsce 12 stycznia 1953 r. Od tego czasu zmarli: Massimi (kuria), Schuster (Mediolan), Borgongini Duca (kuria), Jorio (kuria), Bruno (kuria), Guevara (Lima), De Jong (Utrecht), Innitzer (Wiedeń), Griffin (West-minster), Saliege (Tuluza), Segura (Sewilla), Mercati (kuria) oraz Piazza (kuria). Dla stolic biskupich czy arcybiskupich, nawykłych do kapelusza, rzecz jest raczej prestiżowa. Funkcjonować bez niego mogą. Natomiast cierpi na tej kapeluszonej blokadzie kuria. Nie może ona funkcjonować bez dostatecznej ilości kardynałów, tak samo jak żaden „gmach” nie mógłby funkcjonować bez dostatecznej ilości członków biura politycznego. Normalnym zaradzeniem brakom byłby nowy konsystorz. Pius XII odwleka go i odwleka. Wybiegami i sztukowaniem ratuje sytuację. Ściągnął na przykład do Rzymu wspianego Ormianina, którym się zawsze zachwycam na uroczystościach u Sw. Piotra, bo na purpurę narzuca niezmiernie efektowny biały płaszcz. Jest to patriarcha ormiański z Bejrutu, kardynał Grzegorz Piotr XV Agagianian, jedna z najtęższych głów Kościoła. Zalicza się on wśród kardynałów do średniego pokolenia. Liczy sobie lat sześćdziesiąt dwa. Kardynałem został za Piusa XII, w młodym wieku. (Mając o rok mniej, niż miał zostając kardynałem Wyszyński.) Na cały rok święty 1950 osadzono go w Rzymie, podobnie jak kardynała Tien Kenhsin, arcybiskupa Pekinu. Przez Rzym owego roku przewalało się mnóstwo kolorowych katolików. Miło im było widzieć wśród najwyższych dostojników Kościoła jednego prawdziwego małażja-tyckiego brodacza i drugiego skośnookiego żółtego. Chińczyk, odegrawszy swoją rolę, opuścił Rzym, do Pekinu nie wrócił, krąży odtąd pomiędzy Taihoku, stolicą Formozy, Canberra w Australii i Waszyngtonem. Natomiast w Agagiania-nie papież zasmakował. Kiedy bowiem inni kardynałowie pod miażdżącą codzienną porcją ceremonii i czynności związanych ze świętym rokiem ledwie dyszeli, Agagianian na wieczór brał sobie potężną dawkę akt kongregacyjnych do poduszki i na rano odsyłał je do odpowiednich biur ze znakomitymi uwagami. Członkami kongregacji bowiem (kongregacji w węższym rozumieniu tego słowa) są nie tylko kardynałowie kurii, ale również, by się tak wyrazić, terenowi. Członkostwo

to ma charakter  
nie tyle honorowy, co iluzoryczny. Kardynał zamieszkały czasem o setki kilometrów od Rzymu  
nie może brać udziału w posiedzeniach plenarnych, a jak przyjeżdża do Rzymu, to ma dosyć  
spraw swojej diecezji do załatwienia, by miał czas wciągać się na serio w maszynierię kongregacji. Akia przeczytać – przeczyła, przyjść do sali kongregacji na posiedzenie – przyjdzie,  
bo to i grzeczne, i honor, ale po trosze w charakterze martwej duszy. I biada mu nawet, jeśli  
spróbuje wyjść poza ten charakter i wplątać swoje trzy grosze w mistrzowsko-zawodowe szermierki kardynałów kurii. Natnie się jak prowin-cjusz-ryzykant, co zasiadł do bridża przy stole stołecznych wygów.  
Ale co jest prawdą dla Monachium, Madrytu, Lizbony, Londynu, Chicago, Kolonii i innych  
bez mała czterdziestu kardynalskich miast-siedzib, bynajmniej nie okazało się prawdą dla Bejrutu. Grzegorz Piotr XV pysznie radę sobie dawał za stołem w sali Sw. Kongregacji, tak jak  
gdyby trzydziestu trzech lat swego życia eklezjastycznego nie spędził objając się po probostwach i seminariach Bagdadu, Konstantynopola, Aleppo, Aleksandrii, Cezarei, Erzerum  
czy Jerozolimy, ale w tych kilku wspaniałych rzymskich pałacach, więc Sw. Kaliksta,  
Gubernatora, Sw. Oficjum, dei Coiweitenti, a przede wszystkim w monumentalnej Cancelarii, w  
której mieści się trzy czwarte Kongregacji, Trybunały Świętej Roty i Sygnatury oraz rezyduje  
kilku kardynałów; obecnie zresztą tylko jeden – Micara, reszta jego sąsiadów kardynałów  
wymarła, ostatnio właśnie kardynał Piazza.  
Po tak świetnym wstępie Agagianian na życzenie papieża powtarzał swoje rzymskie pobyty  
tak cenne dla kurii. Zaczęto go w niej traktować jako jej normalnego kardynała.  
Jest to i  
fantastyczny wół roboczy, i człowiek subtelnego umysłu i szerokich horyzontów.  
Poza tym  
znawca Bliskiego Wschodu absolutny i autentyczny, podczas gdy największy w tej mierze  
autorytet kurii, kardynał Tisserant, jest bądź co bądź tego Wschodu znawcą z drugiej ręki. Pius  
XII zresztą z różnych względów nie lubi Tisseranta.  
To też może przyczyniło się do rozkwitu Agagianiana na terenie kurii. Z tego rozkwitu  
zdano sobie sprawę .w roku 1955, kiedy Pius XII był w takim stanie, że z dnia na dzień

oczekiwano jego śmierci. Zaczęto wtedy na mieście i w kurii zastanawiać się, kto będzie jego następcą, i wtedy ku zdumieniu całego Rzymu okazało się, że w tej szeptanej ankiecie wysuwa się na czoło nazwisko Ormianina z Bejrutu. Jest on obecnie członkiem trzech kongregacji: Sakramentów, Propagandy Wiary i Kościoła Wschodniego. W tej ostatniej jest pierwszą osobą po Tisserancie, który jest trochę przygasłą gwiazdą. Poza tym obrosły tyłoma godnościami – Dziekan Świętego Kolegium, ostatnio po śmierci kardynała Mercatiego Bibliotekarz i Archiwista Świętego Kościoła Rzymskiego – Tisserant nie ma już w sobie dawnego ognia. Tak więc w Palazzo dei Coiwertenti przy via delia Concilliazione bejrutczyk dowodzi armią mającą do Kościoła rzymskiego przyciągać cały Bliski Wschód w oparciu o setki wiernych Rzymowi wysepek Koptów, Maronitów, Syryjczyków, Melchitów, Chaldejczyków, Syro-Malaberejczyków oraz Ormian. Innym kardynałem spoza kurii, który ją wspomaga, jest kardynał Siri, najmłodszy z kardynałów. Jest on arcybiskupem Genui. Ale Pius XII wciąż go ściąga do Rzymu. Jest on pupilem papieża, który ponoć chciałby w nim widzieć na-słępcę. Jest on też członkiem kilku kongregacji i też po trosze, aczkolwiek w stopniu o wiele mniejszym, funkcjonuje w kurii jak gdyby – mówiąc z warszawska – czasowo w niej zameldowany. Ale oczywiście z tymi kardynałami „dojeżdżającymi” czy „czasowo zameldowanymi” są to wybiegi i łatanina. Kuria, aby dobrze funkcjonować, winna mieć około dwudziestu kardynałów. Ma zaś trzynastu, w czym pięciu liczących sobie ponad osiemdziesiąt lat. W tym stanie rzeczy wszystko w kurii krzyczy o konsystorz. Rzym, 10 grudnia 57 r. Piano nobile Gregoriano to halle, sale, biura oraz po prawej stronie od wejścia małe saloniki, w których ojcowie i profesorowie przyjmują gości z miasta na rozmówki. Saloniki umeblowane są skromnie. Gdyby wzrok roztargniony prześliznął się po obrazach i sztychach na murach, nie biorąc pod uwagę ich treści, można by pomyśleć, że się jest w gmachu hipotecznym czy wielkim kantorze bankowym ze specjalnymi pomieszczeniami dla załatwiania grubszych spraw nie na oczach ludzkich. Mnie trudniej tak pomyśleć było wczoraj, zaproszony bowiem zostałem do



najlepszego saloniku, do tego, w którym umieszczono teraz popiersie kardynała Ehrle, i to w taki sposób, że gdziekolwiek się siedzi, ciągle się go widzi. To nie moja ranga, to ranga mojego rozmówcy domagała się tego saloniku. Przyznam się, że byłem wzruszony, kiedy zasiadł naprzeciw tego człowieka. Tyle o nim słyszałem. Tyle o nim czytałem. Mój przyjaciel, Belg S., największy jąkała, jakiego w życiu słyszałem, który mnie do niego przyprowadził, raz jeszcze i drugi się zająknął i zniknął, żeby nas zostawić samych. Teraz ja się zacząłem jąkać. Nie mogłem zrozumieć, co zdołało skłonić tego człowieka do powiedzenia, że chce mnie widzieć. Nawykłem na terenie Rzymu do żelaznej kurtyny, którą pomiędzy nami a ludźmi takimi, jak mój rozmówca, zaciągnął Watykan. Nawykłem zresztą też, tyle o nim słysząc, do tej myśli, że mój rozmówca z uwagi na swój charakter nigdy, nigdzie, pod żadnym pozorem nie styka się z obcymi. Należy do małego kółka najbliższych – acz nazwijmy to prywatnych, bez rangi, bez szczebla – współpracowników papieża. Jest z nim ciągle, i to od lat. Strzeże się ludzi, bo każde jego słowo może przerodzić się w plotkę. Jest dla wszystkich wcieleniem nieobecności i wcieleniem milczenia. Los, który go związał lata, lata temu z Eugeniuszem Pacellim, tak postanowił. Ściśle to samo, co wobec innych, najgłośniejszych z grupy, to znaczy O. Roberta Leibera czy O. Wilhelma Hentricha. Wszyscy trzej, a teraz świeżo wymieniono mi czwarte nazwisko, są jezuitami, wszyscy są Niemcami z Południa. Najmłodszym z nich jest mój rozmówca wczorajszy, liczący lat sześćdziesiąt siedem. Z papieżem zetknął się, kiedy Pius XII nie był nawet biskupem. Za moim rozmówcą wyrasta czarny, marmurowy biust wirtemberczyka, kardynała Franza Ehrle. Jest to wielka sława u jezuitów. Ostatni jezuita kardynał. Wielki uczyony, najpierw Prefekt Biblioteki Watykańskiej, które to stanowisko przejął Achilles Ratti, późniejszy Pius XI, kiedy Ehrle poszedł, otrzymawszy kapelusz, szczebel wyżej, zostając Bibliotekarzem i Archiwistą Kościoła Rzymskiego. Chwałę jego wspierały wspaniałe dzieła, pełne wiedzy. Najśłynniejsza to chyba Historia Bibliothecae Romanorum Pontificum tum Bonifatianae tum Avenionensis oraz Beitrage zur Geschichte und Reform der Armenpflege. Pełna bibliografia jego druków zwartych, więc bez szkiców czy artykułów, składa

się ze stu  
dwudziestu pozycji. Kiedy pojawiał się w tejże Pontificia Universitas  
Gregoriana, zasiadał na  
uroczystościach w pierwszym rzędzie jej wspaniałej Aula Magna jako  
Eminentissimus Princeps.  
Mój wczorajszy rozmówca nie jest ani princeps, ani nawet excellentissimus, ani  
reverendis-  
simus dominus, jest zwyczajnie jednym ze stu pięćdziesięciu profesorów  
Gregoriana. Nie  
piastował nigdy uniwersyteckich godności. Jego nazwisko tylko co kilka lat  
pojawia się w piśmie  
zwanym Publicationes Universitatis, zarówno w dziale Scripta Professorum jak i w  
Publicationes Periodicae. Najczęściej w Analecta Gregoriana, tym wielkim worze,  
do którego  
wchodzi wszystko. Ale i tu rzadko, bardzo rzadko. Mój rozmówca na działalność  
naukową, tak  
zresztą i na pedagogiczną, nie ma właściwie czasu.  
Jest mały, raczej sztywny, przystrzyżony, powolny. Wymawia moje nazwisko krótko,  
twardo. Jest bardzo opanowany. Ale nie dlatego, myślę, że rozmawia ze mną. Jest  
to człowiek na  
pewno opanowany zawsze. A dokładniej mówiąc, sędzę, że nawet nie opanowany, bo  
to zakłada  
narzucanie sobie obcej formy, ale – taki już z natury. Rzecz prosta, że funkcja,  
którą pełni,  
duchowego czy mózgowego rękodajnego, wydoskonalila jeszcze jego przyrodzoną,  
charakterologiczną tendencję. Ale on zawsze musiał być taki, jaki jest. Dlatego  
wybrał go sobie  
Pacelli, który całe życie szukał dla siebie ludzi amplifikujących i  
precyzujących jego własne  
możliwości i jego własne myśli, a nie ludzi o odmiennych możliwościach i o  
odmiennym  
sposobie myślenia. Nie należy oczywiście z tego wywodzić, że szuka on sobie  
tylko  
potakiewiczów. Nie, tak dalece nie. Ale i to byłoby nieprawdą, gdybyśmy  
powiedzieli, że szuka  
sobie ludzi, którzy by mu – jak Fryderyk 11, aby czuć, że nie jest sam w pokoju!  
– zaprzeczali.  
To już stanowczo nie.  
Pierwsze dziesięć minut naszej rozmowy mijają na równie uciążliwej pracy oczu, co  
na  
uciążliwym wysiłku nerwów. Co do nerwów, ja, który wierzę w wagę pierwszego  
wrażenia,  
chciałbym w ciągu tych wstępnych minut przyhołubić sobie, oswoić tego człowieka.  
Co do pracy  
oczu, jest ona równie intensywna. Bo to się cały patrzę, to się znowu hamuję w  
moim patrzeniu.  
Mój rozmówca ma oczy doskonale mądre. Ich ogień jest bardzo spokojny. Nie może  
być co do  
tego żadnej wątpliwości, że przebywanie z nim przez lata po parę godzin musi na  
każdego

wpływać i każdego kształtować. Przypominam sobie zresztą to, co się często o Piusie XII słyszy,  
że jest on raczej osobą upartą, raczej osobą o swotstym stylu i do tego stylu ogromnie przywiązaną, niż indywidualnością. Niewątpliwie więc nasiąka on tą grupą ludzi, z którymi stale pracuje, tą małą słynną ekipą niemiecką, nawet jeżeli wszyscy w jej skład wchodzący są tak powściągliwi, tak stuszowani jak mój rozmówca. Jest to przecież stuszowanie formalne, zewnętrzne. W codziennej pracy przez różne pory oraz szczeliny tej formy przenikać musi na zewnątrz istota tego człowieka i wpływać na swoje święte i znakomite słońce. Zaczynam rozmowę od tego, że zabieram mu czas i że się tym kłopotę.  
– Przygotowany byłem na tę rozmowę – odpowiada.  
Niemniej przeto dziękuję za to, że znalazł czas, i właściwą rozmowę zaczynam od tego, że spotykam się z nim jako najzupełniej prywatna osoba.  
– Ja nie potrzebuję robić tego zastrzeżenia – odpowiada – bo ja jestem tylko prywatną osobą.  
Niemniej przeto, chociaż on prywatny, ja prywatnie, od razu przystępujemy do zagadnień publicznych. Interesuje go, co naprawdę „wasi ludzie myślą o Watykanie”.  
– Kto? – pytam. – Ludzie na górze?  
– Na samej górze.  
– Nie są nim zachwyceni. Poza tym nie znają go bliżej.  
– A czy wiedzą, co Watykan o nich myśli?  
– Nie.  
– To dlaczego nie pytają swojego kardynała?  
– Kardynała Wyszyńskiego?  
– Oczywiście.  
– A czy kardynał Wyszyński wie, co Watykan o nich myśli?  
– Wie z całą pewnością. Jeżeli ci ludzie chcą coś wiedzieć o Watykanie, on może być dla nich autorytatywnym źródłem wszystkich informacji.  
Wyjaśniłem, dlaczego sprawa nie jest prosta. Dla Watykanu komunizm jest najgorszym nieszczęściem naszych czasów, z którym dzień i noc należy walczyć na wszystkich frontach.  
Jeden z bardzo wysokich dowódców, kardynał Wyszyński, zawarł na swoim odcinku rozejm. Na tym odcinku zapanowały takie warunki, że to się okazało wskazane i konieczne. Ten rozejm ma szanse przerodzenia się w stały pokój. Nie można jednak żądać, zwłaszcza nie można żądać dzisiaj, by dowódcy z drugiej strony frontu chodzili do kardynała dla rozeznania się w zamierzeniach Watykanu w stosunku do nich.  
– Ale przecież mają do niego zaufanie.  
– Owszem.

– No więc?  
– On zawsze pozostanie stroną w sporze z drugim brzegiem.  
Mój rozmówca mówi:  
– Najważniejsze jest, czy w Warszawie wiedzą, że Ojciec Święty zaakceptował linię postępowania waszego kardynała bez zastrzeżeń.  
– Nie, nie wiedzą i nie wierzą.  
– A tymczasem zaakceptował ją bez żadnej reservatio mentalis, zaakceptował jako linię mądrą i jako linię, której kardynał może się trzymać stale. On też, to znaczy papież, zaakceptował ją na stałe. To jest bardzo ważne, żeby sobie zdawano z tego sprawę w Warszawie.  
Mówię mu, że to, co powiedział, mnie nie zaskakuje. Ale w Warszawie nikt z ludzi u góry temu nie uwierzy. Codzienna praktyka watykańska poucza ich bowiem o czym innym. Ta praktyka, która wyraża się w inspirowanych politycznych wypowiedziach, wypowiedziach oficjalnych, publicystyce watykańskiej. Negatywne są one w stosunku do Polski, tak jak były, nie różnicujące sytuacji religijnej u nas, tak jak jej nie różnicowały dawniej.  
– Jest to problem niełatwy – odpowiada. – Nie byłoby chyba bezpieczne, gdyby zaczęli zachwycać się Gomułką jako nowym myślicielem i odnowicielem marksizmu.  
– Ale za to byłoby bardzo wskazane, gdyby Watykan nie zatajał tego, co zaszło pomiędzy Kościołem i państwem w Polsce. A tymczasem nie tylko, że zataja, ale przedstawia rzecz nieprawdziwie, i to ustami jak najbardziej autorytatywnymi. Myślę o ostatniej modlitwie za „Kościoł Milczeriia” czy o przemówieniu z okazji otwarcia nowej stacji watykańskiej.  
– A dlaczego sądzi pan, że należy, by Ojciec Święty mówił inaczej?  
– Ponieważ sam fakt, że podobnie delikatne stosunki, jak te, o których mówimy, znormalizowały się, jest ważny. Każde bowiem normalizowanie się stosunków, każdy przykład, najogólniej mówiąc, lokalnego rozwiązania antynomii, wydawałoby się nierozwiązywalnych, posuwa i nas, i was na drodze do ocalenia się przed katastrofą, która może zniszczyć ziemię.  
Milczy, a raczej namyśla się.  
– Nic dziwnego potem – mówię – że polityczny publicysta Osservatore Romano, Alessandrini, powtarza te same zarzuty.  
– Nie mówmy o drobiazgach.  
– Ja mówię o tym piśmie, bo ojciec pytał, dlaczego Warszawa nie wierzy w zaakceptowanie linii kardynała przez papieża. Nie wierzy, bo czyta Osservatore Romano, tak jakby czytała

Timesa i co z Osserva(ore wyczyta, analogicznymi metodami interpretuje.  
– Połowa nakładu tego pisma idzie do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki Południowej, do Afryki, do Azjatów. A zwłaszcza Amerykanie północni to nie są Europejczycy, rozumiejący powikłania i odcienie. Dla Ameryki wszystko musi być albo białe, albo czarne. Komunista musi być cały zły i prześladować Kościół. Napisać o was prawdę byłoby dla tego terenu równoznaczne z robotą prokomunistyczną.  
– Ale kiedyś trzeba będzie – mówię.  
– - Jak najpóźniej. Ja nigdy nie wierzyłem w upadek komunizmu. Dziś nie wierzę, by dał się ograniczyć i zamknąć żelaznymi kurtynami, łańcuchami gór i oceanami. On przecież to wszystko przenika i postępuje stale. Chodzi o to, aby jego postęp uczynić jak najpowolniejszy. On bowiem ze swojej istoty nie jest antyreligijny, on jest areligijny. Jest antyreligijny w okresie swego Sturm und Drang Periode. W swoim ostrym okresie, w swoim okresie wojennym. W następnym okresie, kiedy już staje się panujący, w stosunku do religii obojętnieje. Trzeba nam ten najgorszy okres przetrwać. A kiedy przeminie, z tego, co po nas pozostanie, uczynić drożdże dla całej nowej epoki.  
Pytam go, czy czytał w wrześnieowych i październikowych Etudes, miesięczniku francuskich jezuitów, pracę pt. La Pologne en quete de son equilibre J. J. Baumgartnera, który dowodzi, że stosunki pomiędzy Kościołem i państwem ułożyły się w Polsce jak najpozytywniej. Pod pewnym względem ułożyły się one dla Kościoła w sposób, który mógłby być nawet generalnie płodnym. Przez fakt, że Kościół w Polsce nie jest wielkim posiadaczem ziemskim i nie jest potęgą finansową, znikła pomiędzy nim i światem robotniczym ta szczególna kurtyna, która doprowadziła do tego, co Pius XI nazwał skandalem XIX wieku, to znaczy do utraty proletariatu przez Kościół.  
Nie, nie czytał. Co do końcowej, cytowanej przeze mnie tezy, twierdzi, że jest ona prawdziwa, zwłaszcza w perspektywie historycznej. Francuscy jezuici są do niej dojrzałi intelektualnie, duchowo, a poniekąd materialnie, jako z prowincji jezuickich najuboższa. Dla amerykańskich jezuitów natomiast, a jest ich jedna trzecia wszystkich jezuitów na świecie, teza byłaby niepojęta. Byłaby, w najlepszym razie, donkiszoterią i czystą demagogią. Nie dlatego, że

są prowincją miliarderską, lecz dlatego, że pracują wyłącznie w oparciu o swoje olbrzymie dochody. Pracują dynamicznie i zdobywczo, z niesłychanym rozmachem organizacyjnym. Afryka, Azja, Oceania, Filipiny, Taiwan, Korea, Japonia pełne są ich misji. Wchodzą w każdą dziurę po Anglikach, Francuzach czy Holendrach. Jako katolicki misjonarze na tereny postkolonialne, które uważają za tereny postprotestanckie czy postlaickie. Pracują oczywiście dla Ameryki w tym samym stopniu, co hiszpańscy jezuici Filipa II czy portugalscy jezuici Avizów pracowali jedni dla Hiszpanii, drudzy dla Portugalii. Mówić im o tym, że Kościół czy ich zakon powinien być biedny, nie ma sensu. Zwłaszcza że o ile prawdą jest, że biedny kler łatwiej nawróci robotnika niż kler bogaty, nie jest prawdą, że będąc biednym łatwiej by na łono Kościoła sprowadził człowieka kolorowego. Mówię mu, że na pewno umysłowo bliżsi mu są jezuici Irancuscy niż amerykańscy. – Nie mnie jednemu – odpowiada. – Obawiam się jednak, że jezuici amerykańscy bliżsi są współczesności. Kiedy w przyszłości powstaną jezuici sowieccy, też bliżsi będą oni współczesności niżeli jezuitom-Francuzom. Niestety świat współczesny to nie jest świat upadającego cesarstwa rzymskiego, spragniony humanistycznej i mistycznej nowiny. Współczesny świat to dorabiające się wielkości cesarstwa, może trzy, może cztery, może pięć: sowieckie, amerykańskie, chińskie, indyjskie, indonezyjskie nie licząc mniejszych narodów i państwowości afro-azjatyckich. Wszystko to chce potęgi, zachwyca się techniką, przejawami modernizacji, kultury materialnej. Kościół współczesny, a więc i nasze zgromadzenie, musi się do tego stylu współczesności dostosować. W przeciwnym wypadku usłyszą go tylko mieszkańcy Europy, którzy od setek lat o nim słyszeli. Ja więc nie mówię, że pański Baumgartner nie ma racji, ma rację. Ale przy rozstrzygnięciu codziennych zagadnień Kościoła, tych zagadnień, które stawia przed nim życie katolickie całego świata, przeważa i decyduje racja wręcz odwrotna. Dlatego kuria rzymska nie może w pełni podzielać radości, którą odczuwają Etudes, widząc Kościół w Polsce pozbawiony swoich bogactw. Powtarzam, że jestem doprawdy daleki od tego, bym miał uszy zamknięte na argumenty J. J. Baumgartnera. Być może, że dalsza przyszłość do nich należy, najbliższa jednak należy do jezuitów amerykańskich.

Wyrażam powątpiewanie. Niecierpliwi się.

– Ja jestem Europejczyk – mówi. – Z krwi, kości, wychowania, odruchów należę do tego

zaścianka świata. Ale na skutek tego, że widzę, co się dzieje gdzie indziej, na przekór swoim

przyrodzonym tendencjom muszę myśleć inaczej. Przytoczę jeden przykład, przyznaję, że

najefektowniejszy, przykład Japonii. Przed wojną istniało tam kilka gmin rzymskokatolickich.

Dziś Japonia liczy sobie katolików trzy miliony. Na Filipinach, w Indonezji, w Indiach, zresztą w

samej Ameryce katolicyzm z roku na rok potężnieje. To są fakty decydujące dla myślenia

politycznego kurii. Ja myślę, że i – Ojca Świętego.

Nagle on sam powraca do naszego, polskiego podwórka.

– Wieści pochodzące z Polski są bardzo piękne. Jezuici, którzy przyjechali na nasze

Nadzwyczajne Zgromadzenie, mówili same dobre rzeczy o waszym rządzie i o waszych komunistach. Mówili, że nikt im nie przeszkadza w pracy. Wzruszyli wszystkich.

Ja z jednym z

nich również długo mówiłem. Wiem dobrze, co się u was dzieje. Wydaje mi się również, że

wiem, dlaczego się tak dzieje. Wiem na przykład, że u was uważa się monsignora Baraniaka za

konkurenta Wyszyńskiego. To jest głupstwo. Jest on jeszcze bardziej na linii Wyszyńskiego niż

sam Wyszyński. Kuria i papież absolutnie nie pójda na rozbijanie jedności biskupów polskich.

Tym więcej, że dla was różni – dla kurii są oni absolutnie jednakowi. Są wszyscy szowinistycznie patriotyczni. Wszyscy mają – by się tak ogólnie wyrazić – te same urazy i

wszyscy mają słabości do tych samych ludzi i do tych samych idei w Polsce. Jest to wszystko dla

kurii rzymskiej tak paradoksalne, że nigdy nie stawiałyby ona bardziej na jednego biskupa niż

drugiego, ponieważ bałyby się zgubić w odcieniach. Tego może być pan pewien, że nic bardziej

obcego dla kurii, niż przykładanie ręki do rozbijania biskupów w Polsce na jakieś grupy. Pobyt

ich zresztą pod pewnym względem nie/miernie uspokoił kurię. Wszyscy oni bowiem: i ci, którzy

przyjechali, i ci, którzy przyjadą, łączą paradoksalność linii politycznej z pełną orlodoksyjnością,

z zupełnym brakiem dobudówek filozoficznych czy społecznych do swojego postępowania, z

zupełnym podporządkowaniem się w tych sprawach obowiązującym społeczno-teologicznym

poglądom Kościoła.

– Nawet jeżeli – mówię – pomiędzy linią ich postępowania i tymi obowiązującymi poglądami zachodzi sprzeczność i zdrowy rozsądek aż woła, żeby jakąś teorią tę

sprzeczność  
wy tłumaczyć.

– Nawet wtedy. Tak, jak wasi biskupi robią, jest dobrze. Trzeba robić i nic nie tłumaczyć.

– Tak samo – powiadam – jak kurii rzymskiej i papieżowi trzeba godzić się na to, co w

Polsce się dzieje, a nawet temu przyzwalać bez żadnej *reservatio mentalis*, ale zarazem przed

całym światem o tym milczeć, a nawet dawać w tej sprawie mylne odpowiedzi. Mówię o owej

modlitwie, o której już wspominałem, mówię o owym przemówieniu radiowym, mówię o Os-

servatore.

– Któż je u was czyta? Tylko parę kurii biskupich abonuje to pismo, no i kilkanaście

klasztorów. A tam już się umie je czytać.

– No i nasze ministerstwa, i my również dla ambasady bierzemy dziesięć egzemplarzy.

– To stanowczo za dużo!

Po tym okrzyku chwilę się zastanawia i dodaje:

– Ani wy nie jesteście dyktaturą, wbrew temu, co się mówi, ani my nie jesteśmy dyktaturą,

wbrew temu, co się mówi. To, co się u was pomiędzy państwem a Kościołem wydarzyło, jest

taktem. Jest faktem, w którym papież nie znalazł grzechu. Ustami najautorytatywniejszymi

wyraził to człowiekowi, który wziął na siebie odpowiedzialność za ten fakt. Pan ma za złe

Kościółowi, że wyraził to tylko ustami, a nie ogłosił wszem wobec i na piśmie. Jest pan

niecierpliwy. I nie jestem pewien, czy jest pan sprawiedliwy wobec Kościoła, który przełamuje

się teraz przez jeden z najtrudniejszych okresów w swojej historii, tak samo jak przełamuje się

przez ten okres cała ludzkość i cała jej cywilizacja. Są odcinki, na których Kościół odnosi

wspaniałe zwycięstwa. Ale wielkość tych zwycięstw nie stoi w żadnym stosunku do ogromu

niebezpieczeństw, które Kościółowi zagrażają. Wynik walki z tymi niebezpieczeństwami

zadecyduje o samym życiu, o samym istnieniu Kościoła, a przynajmniej o jego istnieniu w ciągu

najbliższych wieków. Niech pan nie myśli, że jedynie komunizm zagraża Kościółowi dzisiaj. A

jeżeli komunizm, to niech pan nie myśli, że – jedynie komunizm europejski, a już zwłaszcza nie

tylko komunizm polski. Niemniej przeto – choć to we współczesnych zagrożeniach nie

wszystko, a raczej tylko tyle, ile rzeczywiście ta sprawa dla świata waży,

Kościół przyjął z



ulgą do wiadomości to n o- w e, które stało się w Polsce. Pana dziwi, że nie umiał ani sam sobie, ani swoim organom nakazać dania świadectwa światu o odczutej przez siebie uldze. Proszę mi jednak wierzyć, że tak jak wy, tak samo i Kościół nie jest dyktaturą, wbrew temu, co się mówi. Zwłaszcza nie jest dyktatorski wtedy, kiedy nakazywać ma coś przeciw tradycji, nawykowi, precedensowi, przyzwyczajeniu. Wtedy nawet dyktat Ojca Świętego tępieje, nawet dzisiejszego Ojca Świętego, Piusa XII, autorytatywniejszego od wielu swoich poprzedników. Tępieje jego dyktat, zwłaszcza w wypadku, gdy ma się skierować przeciw nawykowi i przyzwyczajeniom własnym.

Rzym, 15 grudnia 57 r.

W czwartek papież przyjął na audyencji uczestników posiedzenia Międzynarodowej Rady Łowieckiej. Przemówił do nich po francusku. Opis audyencji oraz przemówienie podało piątkowe Osservatoie. Ale ponieważ wymieniło tylko członków zarządu Rady, hrabiego Boislambert, barona Meinhof, barona de Cognac oraz paru włoskich gospodarzy i organizatorów posiedzenia, powstał wśród reszty zagranicznych gości (którzy zjechali do Rzymu) gwałt i sobotnie Osservatore, jak gdyby nigdy nic, jeszcze raz opisało audyencję i tym razem wyliczyło wszystkich. Jak widać, jest to pismo bardzo uprzejme i dokładne. Ale jest też dla kogo. Nazwisko w nazwisko – wszystko z Gothy. A jak nie, to na inny sposób okazujące swą dobrą wolę, jak na przykład nazwisko wymienionego na końcu pewnego belgijskiego delegata, który chociaż ani książę, ani hrabia, ani baron, przynajmniej nazywa się – Graf.

To są wszystko głupstwa. Mnie zainteresowała audyencja z innych względów. Ze względu na przemówienie. Jest ono najkrótsze, jakie czytałem. Chcę je przytoczyć w całości. Jest typowym przemówieniem okolicznościowym. Przemówieniem grzecznościowym, jakich papież nie odmawia tym, których chce sobie zjednać i dla których nie ma za dużo czasu. Niemniej przeto jest niezmiernie dla umysłowości Piusa XII charakterystyczne. Tak jak w tym przemówieniu, tak w innych, i to znacznie poważniejszych, Pius XII najprostszą sprawę, najoczywistszą, przewraca do góry nogami.

Na mnie nieraz jego przemówienia robią wrażenie parodii. Nie wszystkie oczywiście i nie gdy te, które wypowiada z musu. Czy to z musu politycznego, czy to z przymusu

grzecznościowego. Wtedy bucha z nich sztuczność i jakiś surrealizm, a przede wszystkim nieznośna chęć przypodobania się. Powracając do jego łowieckiego wystąpienia, ciekawe jest, jak nagle z łowiectwa w ujęciu papieskim niknie wszelka pukanina, wszelkie zabijanie, a nawet wszelka rozrywka i wszelki sport. Misją staje się ono, i to – wniosła. Osservatore pisze o „wniosłych słowach”, które „wywołały w słuchaczach uczucie synowskiego przywiązania i wdzięczności”. We mnie wywołałoby uczucie niesmaku, gdyby mi się ktoś, a zwłaszcza w takiej sytuacji i przy takiej okazji, podobnie przypodchlebiał. Przemówienie brzmi następująco:

„Międzynarodowa Rada Łowiecka, do której Panowie należą, stawia sobie od dziesiątków lat. zadanie roztoczenia opieki i właściwego rozmnożenia zwierzyny w całym świecie. Zawiązanie tego rodzaju stowarzyszenia narzucało się jako konieczne, aby wcielić w życie Wasze ideały. Należało bowiem skoordynować z sobą liczne dane naukowe i przesłanki praktyczne bardzo różne i okazujące dużą skłonność do podlegania zmianom w zależności od kraju, gdzie powstały. A te przesłanki i dane to informacje o położeniu samej zwierzyny, o jej warunkach życia, o ruchach migracyjnych, o jej mnożeniu się. A z kolei również informacje dotyczące praw, których zwierzyna jest przedmiotem w poszczególnych krajach. A dalej informacje o czasie i sposobie polowań, jak również o środkach służących ku jej ochronie i rozwinięciu jej rezerw. Współpraca przedstawicieli prawa i nauk przyrodniczych nie mogła stać się prawdziwie skuteczna bez rozstrzygnięcia interesującej Was problematyki w planie międzynarodowym. To właśnie, Panowie, od dawna czynicie. Stawiając sobie Wasze cele, spotykacie się często ze zdaniem niemałej ilości ludzi, którym one się wydają pomniejszego znaczenia. A tymczasem przecież ochraniać w rzeczywistości prawdziwie cenne\* elementy ojcowizny człowieka na ziemi, z tego też tytułu jest Nam miło cieszyć się ze znaczenia, którego od dawna nabrała Wasza Rada dzięki wysokiemu protektoratowi licznych patronujących Wam osobistości. Zanim weszła w skład zasobów żywnościowych człowieka, zwierzyna była i pozostaje nadal częścią nie byle jaką naszej fauny ziemskiej. Im więcej pogłębiają się studia uczonych, tym bardziej również pogłębia się przekonanie o potrzebie, a nawet konieczności

bardzo wielu gatunków, tradycyjnie uważanych dotąd za szkodliwe. Niestety zdarzały się wypadki, że opierając się na fałszywych sądach, polowanie, któremu nie nałożono pęt, wygubiło kompletnie pewne zwierzęta, nad których ubytkiem smucić się należy nie tylko dla prac przyrodników, które nie znajdują odtąd potrzebnego materiału, ale również i przede wszystkim dla tak boleśnie zakłóconej harmonijnej równowagi pomiędzy fauną i florą okaleczonego w ten sposób regionu. Przez okaleczenie takie niewątpliwie też habitaculum człowieka doznaje mniejszych czy większych zmian, a nawet zdolnych wpływać na kulturę, a nawet na życie odpowiednich społeczności. Biorąc to wszystko pod uwagę, nietrudno uchwycić ogromne znaczenie tej metodycznej opieki organizowanej przez Was, i to w planie międzynarodowym, oraz wielkie znaczenie właściwych tu prawnych tekstów. Te kilka refleksji krótkich niech wystarczą Wam, Panowie, dla okazania Wam, jak dalece interesujemy się Waszymi zebraniem i jak bardzo My osobiście życzymy Waszej pracy owocnych rezultatów. Wasze przybycie do Rzymu staje się dla Nas prawdziwie miłą okazją dla przyjęcia Was, jak również dla zwrócenia się do naszego Stwórcy, aby zlał na Was wszystkie łaski, na Was, na Wasze rodziny i na wszystkie osoby, które chcecie polecić Naszym modlitwom. Wszystkim Wam udzielamy jak najchętniej Naszego ojcowskiego Błogosławieństwa Apostolskiego". Audiencja zakończyła się uroczystością tzw. „łaskawego przypuszczenia do ucałowania ręki Jego Świątobliwości". Rzym, 20 grudnia 57 r. Dziś papież zamianował kardynała Marcelega Mimmi Sekretarzem Kongregacji Konsystorza na miejsce zmarłego kardynała Piazza. Stało się więc tak, jak P. przypuszczał, wyklócając się ze mną, że papież i tym razem nie zwoła konsystorza. Odgadł jednak prawdę do połowy, bo twierdził, że papież powoła na to stanowisko Siriego, Lercarę albo Roncalliego, to znaczy jednego z kardynałów północnych Włoch, którzy z różnych powodów są, a przynajmniej są uważani za książąt Kościoła myślących kategoriami współczesnymi. Zdaje się, że byt w dużym stopniu określa świadomość kardynałów. Wielkimi zacofańcami są Ruffini i właśnie Mimmi,

pierwszy z Palermo, drugi z Neapolu, czyli arcypas-terze stolic, których całe bogactwo zabezpieczone jest w olbrzymich obszarach ziemi. Stąd ich mentalność feudalna; podczas kiedy północni to oświeceni kapitaliści, inwestujący, industrializujący, lokujący dochody swoich kurii w zakładach przemysłowych czy bankach. W kurii rzymskiej żałoba. Liczono tam na trzy kapelusze albo nawet na cztery. Na kapelusz liczyła Sygnatura Apostolska, którą od paru lat prowadzi w zastępstwie kardynał Cicognani, mający swoją własną kongregację, której jest prefektem, a mianowicie Kongregację Rytów. Tak samo na giubilazione liczyła Kongregacja Kościoła Wschodniego, kierownikiem jej jest Tisserant. Ale ponieważ papież dał mu po Mercatim również kardynalski urząd Bibliotekarza i Archiwisty Kościoła, przypuszczano, że uwolni go z jego macierzystej kongregacji, ma on bowiem na całym Bliskim Wschodzie fatalną opinię jako klasyczny reprezentant kolonializmu europejskiego, i na czele jej postawi asesora, słynnego bazylianina z Aleppo, O. Achacego Coussa, świątobliwego człowieka, mieszkającego w jednym z najpiękniejszych i najbogatszych apartamentów w Rzymie, a to dlatego, że inaczej różni Chaldejscy czy Melchiccy patriarchowie lub też Exarchowie czy korepiskowowie nie chcieliby go słuchać. Wreszcie i Sw. Rota myślała o kapeluszu dla swojego dziekana, monsignora Andre Jullien, Francuza, co by również otworzyło w tym trybunale dla wszystkich drogę do awansu. Tymczasem nic z tego. Papież jeszcze raz załatał dziurę, a ponieważ uciekł się do tego sposobu, polegającego na wypełnieniu palących luk gotowym kardynałem, przeniesionym z terenu, w kurii obawiają się, że to mu wejdzie w krew i nie zwoła konsystorza nigdy. Zwłaszcza że większość terenowych we Włoszech liczy sobie mniej lat niż ich koledzy z kurii. W miarę więc jak kurialni będą wymierać, teren będzie z kapeluszy pustoszał. – Taka wściekłość panuje – mówi P. – że głośno się mówi w kurii o tym, o czym się mówiło cicho, i mali mówią o tym, na co sobie dotąd pozwalali wielcy, mianowicie, że winna jest wszystkiemu Teresa z Konnersreuth, którą kiedyś odwiedził biskup Pacelli pod Monachium i która mu przepowiedziała tiarę oraz tylko trzy konsystorze! Dwa już papież zwołał. Trzeci musiałby być ostatni. Niechby więc nastąpił jak najpóźniej. Prawda to czy

nieprawda, ciekawe jest tylko to, że jest autentyczną wersją kurii.  
Co do kardynała Mimmiego, wiem o nim tyle, że urodził się siedemdziesiąt pięć lat temu w Pog-gio di San Piętro pod Bolonią. Był biskupem najpierw w malutkim miasteczku Crema, potem arcybiskupem w Bari, na koniec w Neapolu. W. zna kogoś, kto go stale widuje, więc jak tu był kardynał Wyszyński, jacyś dziennikarze uprosili W., żeby pojechał do Neapolu zasięgnąć języka co do tego, jak przyjmują Wyszyńskiego w kurii. W. wrócił z niewiarygodnymi plotkami, że papież pieni się na Wyszyńskiego. Kto napłótl, nie wiadomo, sama eminencja czy jego dobry znajomy, czy też może W. Jak to zwykle w takich wypadkach, tego się nie dociecze.

Natomiast przypominam sobie inną historię z Mimmim, prawdziwą w każdym szczególe, a mianowicie historię jego interwencji przeciw występom Folies Bergeres w Neapolu i w Rzymie. Było to jeszcze w roku 1955. Przyjechały Folies bodajże ze Skandynawii. Zaczęły od Neapolu, tournée potem obejmować miało Rzym i Mediolan. Nagle w Osservatore Romano gruchnął grom anatemy. Spektakl zakwalifikowano jako ohydny. Możliwość pokazania go w Rzymie, siedzibie głowy całego Kościoła, uznano za niedopuszczalną i bluźnierczą. Dziennik papieski ostro przypominał, że fakt taki byłby złamaniem Paktów Lateraneńskich, które gwarantowały zachowanie sakralnego charakteru Rzymowi. Os-servatoie nie chciało wchodzić w szczegóły, „ponieważ nie można by o nich mówić, nie obrażając czytelnika przedstawianymi obrzydliwościami”. Ale dla scharakteryzowania programu podawało jedno, a mianowicie, że w pewnym numerze tancerki wychodziły na scenę, „mając za cały kostium trzy – wyraźnie trzy! – pocztowe znaczki”. Osseivatore dodawało, że tego rodzaju potraktowanie samego pojęcia znaczka wywołało najwyższe oburzenie urzędników pocztowych w Neapolu. Dziennikarze rzucili się do tego miasta. Poczęły napływać wiadomości. Okazało się, że już po pierwszym spektaklu zaalarmowany nim został kardynał Mimmi. Posłał więc na drugi swego eksperta, hrabiego di Santa Fiore, szambelana papieskiego i wielką figurę w neapolitańskich charytatywnych organizacjach katolickich. O wydelegowaniu osoby duchownej na spektakl nie mogło być mowy. Ale i dla świeckiego di Santa Fiore wysiedzenie do końca okazało się ponad siły, tym więcej, że hrabia w czas przypominał sobie, że jest tercjarzem zakonu

św. Franciszka.

Doszedział do pierwszego antraktu, ale kiedy po zapaleniu się świateł spostrzegł utkwiony w sobie wzrok mnóstwa znajomych, zdumionych jego obecnością na tego rodzaju widowisku,

umknął, unosząc z sobą doświadczenie zaczerpnięte z pierwszych dziesięciu numerów oraz

ilustrowany program całości. Z tym udał się do kardynała. Kardynał kazał mu opisać, co widział,

a także napisać o tym, czego oglądania sobie oszczędził. Zaopatrzył to wszystko komentarzem

prawnym, kanonicznym i teologicznym i kazał zaraz nocą przetelefonować do Osservatore

Romano.

Tej samej nocy poszły również wiadomości do Paryża. Jakaś dobra dusza z kurii neapolitań-

skiej zdradziła biednym tancerkom z Folies Bergeies, co się szykuje.

Natychmiast

powiadomiony o tym- został dyrektor generalny teatru. Rano wziął samolot i w południe był w

Rzymie. Poleciał do Prezydium Rady Ministrów, do Direzione Generale delio Spettacolo. Tam

jeszcze nie zapadło żadne postanowienie co do sprawy. Ale prognozy były najgorsze. Do

ministra spraw zagranicznych Martino dzwonił już nuncjusz Fietta z prośbą o audiencję. Nie było

wątpliwości, o co mu będzie chodzić. W Direzione Generale przyjął pana z Paryża poseł

Brusasca, szef resortu. Pa-ryżanin próbował mu uprzytomnić, że przecież spektakl, który

Osservatore sponponowało, od paru lat jeździ po Europie i nigdy nikt na niego palca nie

zakrzywił: ani Londyn, ani Dublin, ani Sztokholm, ani nawet świątobliwa Lizbona.

Brusasca,

człowiek, inteligentny, ale rozumiejący, że dla Watykanu nigdy nic nie ma żadnego znaczenia,

jeśli Watykan nie chce, żeby miało znaczenie, rozkładał na te gadania ręce.

Nagle zadzwonił telefon. Ministerstwo Spraw Zagranicznych informowało Brusascę, że

Fietta prosił, by powiadomić Martino, iż jego prośba o audiencję jest na razie nieaktualna.

Następnie zadzwonił prefekt z Neapolu, komunikując, że miał telefon z kurii, która wyjaśniła mu,

że nie powinien z dzisiejszego artykułu Osservatore wyprowadzać wniosków, które by mogły

„wywołać jakieś zamieszanie w planie pracy teatrów neapolitańskich”. Co innego bowiem jest

Rzym i sakralny charakter tego miasta, co innego zaś Neapol czy inne, chociażby katolickie,

miasto. Paryżanina, który przestępował z nogi na nogę, bo rwał się do Neapolu,

by tam również  
interweniować i podierać walącą się imprezę, Brusasca pożegnał słowami: – Ktoś  
sprawę  
odkręca. Nic nie rozumiem.  
Z całą pewnością znał zaciekłość i pychę swoich kardynałów, którzy, jak się  
uczepią czego,  
nie popuszczą. Doskonale również rozumiał, że o zakulisowych wpływach  
francuskich balet-  
niczek też nie mogło być mowy. Do żadnego z tych kilkunastu świętych starców,  
którzy o  
wszystkim decydują w Watykanie, bakcyl erotyczny nie ma przystępu, a już  
zwłaszcza pod  
postać kobiecą. Tym więcej że nie do pomyslenia było, aby ta czy inna z  
tancerek mogła  
zetknąć się z którymś z tych najważniejszych kardynałów czy arcybiskupów,  
choćby tak  
przelotnie, by mu wpaść w oko i pozostać zapamiętana. Nie, nie tędy prowadziła  
droga do  
wy tłumaczenia sobie wyraźnie zachodzącej przemiany. Ale którądy, nie miał  
pojęcia ani  
Brusasca, ani tym więcej paryżanin.  
Ale choć zdumiony, ten ostatni pojął dopiero, czym może być zdumienie,  
następnego dnia  
około dwunastej, to znaczy w tym czasie, kiedy zaczynają na mieście sprzedawać  
pierwsze  
egzemplarze Osservatore Romano, będącego po-południówką. Pismo wracało do sprawy  
„baletu  
przybyłego do nas w odwiedziny z Francji” raz jeszcze, ale w tonie tak miłym,  
tak uprzejmym,  
tak eleganckim, że dyrektorowi Folies Ber-geres połały się z oczu łzy. Rzucił  
się do numeru z  
poprzedniego dnia. Nie, pamiętał wszystko znakomicie. Nie zwariował. Artykuł z  
poprzedniego  
dnia pisany był jak gdyby piórem Tor-quemady. Dzisiejszy zaś jak gdyby piórem  
anielskim,  
które by sobie wyrwał któryś z cherubinów ze swego niepokalanego skrzydła, tak  
był  
wystylizowany tkliwie i miękko. Nawiązywał do wczorajszych słuchów, które z  
Neapolu doszły.  
Rozwodził się nad tym, że często nawet świętym imprezom zdarza się potknąć i  
przekroczyć  
pewne granice. Przypominał „rzecz, której może nasi goście z Paryża nie są  
świadomi, że  
momenty pod inną szerokością same w sobie nie zdrożne, w Rzymie mogą co  
wrażliwsze  
katolickie dusze zasmucić”. Wyrażał na koniec ufność, że w tym stanie rzeczy  
goście francuscy  
zechcą zrozumieć konieczność pewnych złagodzeń, a zrozumiawszy, zechcą sobie  
zadać ten trud,  
by podobne retusze przeprowadzić. Taki mniej więcej był tenor i ton artykułu,

nie zawierającego  
ani kruszynki z wczorajszych pomstowań, złorzeczeń, pogrózek i rozkazów.  
Nie wiem, czy dyrektor generalny Folies Ber-geies padł na kolana, czy nie padł,  
dziennikarzom oświadczył jedynie, że przeczytał watykańskie upomnienie z wielkim  
wzruszeniem. Zaraz potem rzucił się w taksówkę i raz jeszcze popędził do  
Brusasci. Czy ten mu  
wyjaśnił mechanizm całego zdarzenia? Najpewniej nie, nie tylko ze względu na  
delikatność  
sprawy, ale również dlatego, że przecieki z Watykanu są zawsze powolne.  
Natomiast z innych  
względów wizyta u niego była dla paryżanina cenna. Bez niej na pewno  
przewróciłby do góry  
nogami cały program. Po niej zrozumiał, że im mniej pozmienia, tym więcej  
ukontentuje kurialne  
czynniki, którym wyraźnie chodziło o to, żeby program na Rzym został zmieniony,  
ale zarazem  
żeby nikt nie mógł konkretnie powiedzieć, gdzie i w czym.  
Nawet słynny taniec znaczków nie miał być wyrzucony, pomimo tego że paryżanin  
uważał  
jego sprawę za przesądzoną, ponieważ imiennie zaatakowało go wczorajsze  
Osservatore. Nie, i  
ten miał zostać. Brusasca zainteresował się jedynie, czy prawdą jest, że taniec  
ten wchodzi do  
żelaznego repertuaru Folies, z którym jeżdżą one po całym świecie od trzech lat.  
Wchodził.  
Zdaniem Brusasci absolutnie nie mogło więc być mowy o tym, by go ruszać. Ale  
przyznać  
trzeba, że z ulgą dowiedział się od paryżanina o tym, iż owe znaczki nie są  
żadnymi znaczkami  
autentycznymi, ale znaczkami w przenośni, a ściślej mówiąc w powiększeniu i to  
tak dużym, że z  
całą dokładnością zakrywają, co trzeba. Na pewno hr. di Santa Fiore do nich nie  
dosiedział.  
Wyczytał o nich z programu i nie przyszło mu do głowy, że może tu chodzić nie o  
znaczki  
dosłownie.  
Jeżeli tego dnia Brusasca nie wiedział wiele, to przypuszczalnie po paru dniach  
wiedział  
wszystko. Zdumiewający bowiem powstał ruch koło sprawy. Jednego i tego samego  
dnia, to  
znaczy tego, w którym ukazał się pierwszy artykuł w Osservatore Romano, siadły w  
pociąg, żeby  
natychmiast interweniować w Watykanie, różne ważne kościelne tuzy. Siadł w  
pociąg monsignoi  
Montini, arcybiskup Mediolanu, żeby się zjawić u monsignora Dell'Acqua, który o  
każdej  
godzinie dnia ma wolny wstęp do papieża. Wsiadł również w pociąg opat Monte  
Cassino, O.  
Ildefons Rea. Ten spieszył do głowy swojego zakonu, benedyktynów kassyneńskich,  
opata-in-



fułata Bazyliki Sw. Pawła w Rzymie, O. Cezarego d'Amato. Benedyktyni wszyscy zresztą byli poruszeni sprawą. I ci główni, najliczniejsi, skonfederowani, których protektorem jest sam papież; i ci, a primaeva observantia, nieliczni, ale reguły najczystszej; i wreszcie ci z mnóstwa odmian, zwący się różnie: Vallobrosani, Silvestrini, Oliyatani, Beuronensi, nie mówiąc już o odgałęzieniach narodowościowych, o licznych gatunkach benedyktynów, posiadających w Rzymie jeżeli nie swoje kierownictwo, to z reguły swoich reprezentantów. Wszyscy oni tego dnia pospieszyli do Watykanu. Każdy miał tam jakąś figurę bliżej znajomą, nie mówiąc już o benedyktynach zajmujących w Watykanie wysokie stanowiska. Tych jest wielu po różnych kongregacjach i trybunałach, bo zakon jest uczony, żeby wymienić choćby tylko Prefekta Apostolskiej Biblioteki Watykańskie-j, opata Anzelma Albareda. Jaki mechanizm poruszył ich wszystkich, nie wiadomo. Ale dali oni tego dnia, chociaż rozbici na tyle linii i odłamów, dowód niezmiernie wyczulonego ambitnego esprit de corps. Przypuszczać należy, że alarm wyszedł od tych kilku, którzy współpracują z Kongregacją Rytów. Wśród jej konsulentów jest ich aż sześciu. Musieli oni wszyscy ze szczególną troską śledzić przebieg beatyfikacyjnego procesu ich wielkiego konfratra, benedyktyna kassyneńskiego, zmarłego na rok przed tym in odoie sanctitatis, Alfreda Ildefonsa Schustera, kardynała i arcybiskupa Mediolanu. Jego kandydatura na błogosławionego oraz in spe świętego nie tylko im była bliska. Bliska ona również była ich kongregacyjnemu szefowi, Prefektowi Rytów, mającemu w swojej kompetencji wszelkie tego rodzaju procesy, kardynałowi Cicognaniemu. Nie dlatego, by specjalnie nosił on w sercu zmarłego kardynała Schustera. Ale znał w tej sprawie nastawienie papieskie: pchać naprzód i finalizować beatyfikowanie i kanonizowanie biskupów, kardynałów i papieży na dowód, że Kościół nie tylko w swoich członkach potrafi być święty, ale również w swoich głowach. Dałoby to należyłą odpowiedź różnym artykułom, publikacjom i książkom, które świętości każą chronić się po klasztorach i na probostwach, widząc na stolicach biskupich czy apostolskich ludzi tak zajętych doczesnością, że na jakąkolwiek świętość najzwyczajniej brak

im czasu.

Watykan jest zespołem naczyń niezależnych, ale zarazem z sobą połączonych. Sieć ich obejmuje biuro, dwór papieski, kurie generalne zakonów, rezydujące w Rzymie, i sięga hen, aż po wszystkie wielkie metropolitalne stolice Italii, gdzie nie brak osób związanych z kurią rzymską, choć mających stałe miejsce zamieszkania poza Rzymem. Nikt nie dojdzie, kto pierwszy spostrzegł, że grom kardynała Mim-mi uderzał w reputację Schustera. Mógł to być promotor beatyfikacji zmarłego kardynała, najpewniej jednak zorientował się w tym ktoś w kurii mediolańskiej, kto przypomniał sobie, że na dwa lata przed śmiercią świętobliwego kardynała te same Folies Bergeies, z tym samym programem, z tymi samymi pocztowymi znaczkami tańczyły w Mediolanie bez krzyków, bez protestów i bez żadnej reakcji ze strony kurii. Dla człowieka myślącego świeckimi kategoriami fakt, że jeden kardynał w ten sposób, drugi zaś w sposób inny zareagował na balet, tańczący po jego archidiecezji, mógłby się wydać bez konsekwencji. Ale dla eklezjastycznych mentalności wynikający z tego faktu dowód, że w Mediolanie za czasów Schustera kuria pozwalała na publiczne zgorszenie, wymaga ustosunkowania się. Albo uznać trzeba, że jest prawdziwy, i wtedy z beatyfikacją kłopot. Albo uznać trzeba, że jest fałszywy. Ale na to sam fakt musi doznać odmiany. A jak nie fakt, to jego interpretacja. Dla wszystkich zainteresowanych sprawą, poza oczywiście kardynałem Mimmi oraz oczami i uszami jego czujności moralistycznej, to jest hr. di Santa Fiore, jasne było, że Osservatore Romano zbłądziło co do faktu i co do jego interpretacji. Pomyłka wymagała natychmiastowego włączenia tylnego biegu, czyli inaczej mówiąc kontrakcji. Przez promotora poruszony czy przez mediolańską kurię, obojętne, kto skrzesał pierwszą iskrę, rzucił się, kto w świętość Schus-tera wierzył, kontratakować w rzymskiej kurii. Cicognani z pałacu św. Kaliksta, gdzie zamieszkuje, pospieszył z protestem. Na szerokim froncie gęstą tyralierą nacierali benedyktyni. Operację duchowną wspierała świecka. Schuster był w wielkim poważaniu u faszystów. On to z loggii katedralnej w Mediolanie błogosławił wojskom Mussoliniego, udającym się na front abisyński. Toteż teraz ruszył mu w odsiecz książę Borghese, główny dowódca milicji faszystowskiej. Pobiegnął do książąt Pacelli, do margrabiego Sacchetti, do hrabiego Galeazzi,

którzy dzierżą w  
swoich rękach finanse Watykanu. Arcybiskup Montini zaś naciskał Dell'Acque. Ale  
dnia tego  
papież czuł się źle. Deli'Acqua wolał przełożyć swoją interwencję w sprawie,  
którą zresztą miał  
za arcycyślną, na drugi dzień. Na razie jednak obrońcy czci Schustera uzyskali  
tyle, że poszła  
wszystkimi kanałami, którymi trzeba, informacja, że kuria nie życzy sobie w  
sprawie baletu  
paryskiego żadnych faktów dokonanych. Wtedy to oczywiście Fietta odprosił się u  
Martino, a  
Mimmi kazał poradzić prefektowi w Neapolu, by nie zawieszał spektaklu. Jest dla  
mnie rzeczą  
pewną, że tego wieczoru wszyscy zainteresowani, a więc i Mimmi mający też swoją  
ambicję, z  
którą należało się liczyć, godzili się na formułę pojednawczą: co dobre dla  
Mediolanu czy  
Neapolu, nie jest jeszcze dobre na Rzym, który należało przed nie licującym z  
jego powagą  
spektaklem uchronić. Taka formuła byłaby nieszkodliwa dla beatyfikacji, a  
zarazem oddawałaby  
sprawiedliwość czujności Mimmiego.  
Wszyscy zadowoleni z siebie poszli spać, a na rano Dell'Acqua zamówił się do  
Piusa XII.  
Zaledwie jednak dotknął sprawy, kiedy papież mu przerwał. Skupił się i po chwili  
dał znowu  
dowód swej nieomyślnej i zadziwiającej pamięci, która na hasło Folies Bergeres  
jak przepysznie  
funkcjonujący mechanizm wyciągnęła na wierzch fiszkę z nazwiskiem Josephine  
Backer wraz z  
informacją, że była ona i do dzisiaj pozostaje filarem tychże Folies Bergeres, a  
na koniec ze  
ściśłą datą jej audjencji. Nikt tego w całej kurii nie pamiętał, tylko jeden  
papież, że udzielił jej  
osobistego posłuchania. Oczywiście w tym stanie rzeczy Dell'Acqua nie skończył  
swego  
wywodu. Ustalona formuła z wczorajszego wieczoru była stanowczo za skąpa. Na  
balecie nie  
można się było dopatrzeć ani skazy, skoro papież przyjął jego protagonistykę.  
Wtedy to Os-  
servatore Romano wydrukowało ojcowską troską nacechowany felieton o swoich  
nadziejach,  
wiążących się ze spektaklami rzymskimi. Ale ponieważ nie można było przejść  
całkowicie do  
porządku nad wiekiem, przystano na minimalne, niepostrzegalne zmiany. Wszystkim  
bowiem  
teraz szło o to, żeby owieczki były całe. Owe owieczki, które wzięła pod swój  
patronat Josephine  
Backer, a raczej fakt, że tak się ona umiała utwierdzić w papieskiej pamięci.  
Rzym, 27 grudnia 57 r. Ksiądz M. O. Hallosan, Irlandczyk, mówi: – „Wy, Polacy,

to

jesteście tacy jak my, Irlandczycy. Sami nie wiecie dobrze, o co wam chodzi, ale gotowi jesteście za to umrzeć".

Rzym, 2 stycznia 58 r.

Byłem przedwczoraj po południu na mieście po zakupy, kiedy deszcz lunął.

Schroniłem się

do Canovy na Piazza del Popolo, gdzie spotyka się okoliczna cyganeria. Żadnego znajomego

cygana nie było, za to piękna i urocza pani T., wielka szyszka ze Związku Nauczycielstwa Szkół

Średnich, z którą zaprzyjaźniłem się wyprawiając ją dwa lata temu do Polski.

Deszcz leje, ja wściekły, ona wściekła, każda chwila droga, za kilka godzin

Sylwester, a tu

traci się czas na rozmowy ani zaplanowane, ani konieczne, bez których moglibyśmy się obejść.

Siadłem obok niej na kanapie. Wystarczy nam się wychylić, żeby sprawdzić, co tam na dworze.

Na przemian to ja się wychylam, to ona. Ale jak to nigdy nic nie można

przewidzieć! Kiedy w

godzinę potem rozstawaliśmy się, ulica od dawna była sucha; nikt o deszczu już nie pamiętał.

Takeśmy się niesamowicie zagadali o sprawie młodocianych bluźnierców z Terni, która od

paru dni zaczęła przenikać na łamy prasy, ale która targnęła nauczycielstwem naturalnie o wiele

wcześniej.

Sprawa jest zresztą świeża. Liczy sobie wszystkiego dwa tygodnie. Dwa tygodnie temu

mianowicie zaszły wypadki, które rozpętały całą historię. Terenem wypadków było mieszczące

się na drugim piętrze budynku Liceum imienia Tacyta, audytorium klasy drugiej A. Grudzień to

pora deszczowa, lało tego dnia i w Terni, młodzież więc nie zaryzykowała wyjścia na dwór,

kiedy na zakończenie lekcji matematyki zadzwonił dzwonek. Ale żeby się odprężyć, zachciało

się im psich figłów. Zaczęli się łoić paskami od książek. Ci zaś, co mieli paski gumowe, zaczęli

się pojedynkować. Stawał jeden pod jedną ścianą, drugi pod drugą i z pasków robiąc rogatki,

kropili do siebie kawałkami kredy i kasztanami.

Jeszcze zabawniejsze od tego okazało się jednak strzelanie do celu, do głośnika, który za

każdym trafieniem wydawał z siebie dźwięk i wytrząsał chmarę kurzu. Głośnik umieszczony był

na ścianie frontowej audytorium, to znaczy na ścianie za katedrą, nieco mniej niż pół metra od

drewnianego krucyfiks. W pewnym momencie Chrystus dostał. Spadł na ziemię i od tego odla-

mała mu się ręka. Chłopcy rzucili się, w ciszy posprzątali odpryski, rękę jakoś umocowali ugniecioną naprędcę śródką chleba. Ledwo zdążyli powiesić krzyż na miejscu, w drzwiach ukazał się profesor. Na następną pauzę wyszli z sali i na następującą po niej – również. O incydencie ze sobą nie mówili. Tak minęło dwa dni. Nikt nic nie wspominał, jak to u młodych, fakt do tego stopnia został zepchnięty z proscenium pamięci, że na najbliższej lekcji religii dopiero kiedy katecheta, salezjanin O. Paolone, przystawiwszy sobie krzeselko, sięgnął po krucyfiks na ścianie, zrozumieli, że dobrze nie jest. Salezjanin bez słów przytulił krzyż do piersi i wyszedł z sali. O niefortunnym strzale kasztanem czy kredą powiadomiony został anonimem telefonicznym. Wychodził właśnie do liceum, ale nie poszedł od razu do dyrektora, ani do sali drugiej A, tylko tam, gdzie mu nakazywał plan lekcji. Dopiero trzecią z kolei godzinę miał w sali z rozbitym krucyfiksem. Kiedy przyszła na nią pora, przyszedł. Zdaje się, że do wypadku przykładał właściwą miarę. Rzeczną uznał za godną ubolewania i potępienia, ale zwłaszcza w potępieniu nie przesadzał. Niósł krucyfiks dla okazania go dyrektorowi i najprawdopodobniej sądził, że należytą sankcją będzie tu msza z ukorzeniem się przed Chrystusem za okazane nieposzanowanie oraz jakaś grubsza reprimenda. Brak natychmiastowej i gwałtownej reakcji ze strony salezjanina uważa pani T. za dowód, że nie był on instygatorem późniejszego, tak ostrego kursu. Jej zdaniem nadał go sprawie dopiero dyrektor Arcangelo Petrucci. Ten jak gdyby tylko czekał na podobny surowiec, natychmiast wziął się do przetworzenia go. Uświadomił salezjaninowi, że powinien niezwłocznie biec do swego klasztoru powiadomić ojca przełożonego, ten zaś z kolei powiadomić winien ordynariusza. Rozesłał też zaraz kurendę po nieobecnych profesorach, a obecnych zawiadomił podczas najbliższej pauzy ustnie, że nikomu z ciała pedagogicznego nie wolno opuszczać gmachu, gdyż zaraz po lekcjach odbędzie się zebranie. Zdaje się też, że od razu tego samego ranka zasygnalizował rzecz kwesturze, czyli policji. Przez Terni przejeżdżałem parę razy. Ostatnio, jadąc do Asyżu, zatrzymałem się godzinę. Miasteczko jest ładne, na połowie drogi między Perugia a Rzymem, leży w Umbrii.

Jest prastare.

Założone właśnie przez tych Umbrów. Kiedyś nazywało się Interamina. Było ojczyzną Tacyta.

Toteż wszystko jest tu Tacytowe: oprócz wymienionego już liceum, plac największy w mieście,

Piazza Tacito; najpiękniejsza ulica, Corso Cor-nelio Tacito; kinematograf jego imienia, a raczej

dwojga imion: Modernissimo-Tacito oraz restauracja Zi Tacito, co byłoby po naszymu Pod

Wujkiem Tacytem. Starożytności do oglądania tu jednak niewiele. Pałac książąt Spada podług

rysunków Sangallo młodszego, krypty piękne pod katedrą oraz ładny drobiazg mego ukochanego

Benozzo Gozzoli w Miejskiej Pinakotece. To, zdaje się, wszystko.

Jest tu też cała część miasteczka nowa, nad rzeką Nera, dobudowana do znanych w Italii

wielkich pieców i stalowni. Jeśli chodzi o profil polityczny, miasto jest czerwone. Podczas

ostatnich wyborów komunalnych dwie trzecie głosów padło tu na listy komunistyczną i

socjalistyczną. Jeśli chodzi o ordynariusza, nie wiem o nim nic poza tym, że urodził się w 1902

roku i że nazywa się Jan Baptista Dal Pra. Mieć czerwoną diecezję nie musi być rzeczą miłą.

Patrzą na ciebie w kurii rzymskiej z wyrzutem. A w Kongregacji Konsystorza, od której we

wszystkim jako ordynariusz zależysz, nie tylko patrzą, ale przemawiają.

Pocieszać się nie można,

że się nie jest samemu w tym przykrym położeniu, ale że i kardynałowie, jak Lercaro z Bolonii, i

arcybiskupi, jak Mosconi z Ferrary, w nie popadają. Nie mówiąc już o licznych terenowych

biskupach, jak głośny biskup z Prato i tylu innych.

We wszystkich tych miastach większość głosuje na czerwone listy. Nieznośne to, obrażające

i nawet w takim drobiazgu, jak coroczne dane statystyczne z diecezji dla Watykanu, z tym

kłopot. Bo jak tych czerwonych zapisywać: jako katolików czy jako niekatolików. Prawie

wszyscy oni są chrzczeni, ale od lat swoim głosowaniem jasno wyrażają, że od Kościoła odpadli.

Spisać ich na straty ordynariusze jednak nie chcą. Spisują co najwyżej minimalny procent. Stąd

w statystykach te paradoksy. W takiej Bolonii na przykład jest 233 000 mieszkańców, większość

jest komunistyczna, ale tylko 750 bezwyznaniowych i niekatolików. To samo mniej więcej we

wszystkich wyliczonych miastach. Z wyłączeniem Terni, gdzie biskup nic i nikogo nie chce

przekreślić, a nawet przeciwnie. Podaje on w swojej statystyce, że ma w diecezji

116 007

mieszkańców, z czego 116 012 katolików. Jak on to robi, że ma więcej tych katolików niż  
mieszkańców, nawet o tę trochę, nie wiem. W każdym razie tak oficjalnie Sw.  
Kongregację  
Konsystorza informuje. Sam te cyfry w Annuario Pontificio sprawdzałem. Oczywisty  
lapsus  
statystyczny. Ale na skutek naciągania statystyki. Naciąga się ją, naciąga, w  
końcu pęka i  
wychodzi dziwoląg.  
Feralnego dnia, kiedy już zebrali się profesorowie, dyrektor Arcangelo Petrucci  
musiał ich  
przeprosić, wezwany do biskupa. Po południu zebrali się po raz wtóry. Petrucci,  
niezły numer,  
wrócił z kurii rozfanatyzowany. Od biskupa dowiedział się, że sprawa, sama w  
sobie groźna, ma  
jeszcze groźniejsze tło. W ostatnim kwartale wybuchł pożar w katedrze. W  
pomieszczeniu za  
zakrystią, używanym jako składzik rupieci, do którego się nigdy nie wchodzi.  
Musiał jednak  
zajrzeć ktoś, bo powstał ogień. Nie wiadomo co, kto, papieros rzucony  
przypadkiem, ale jeśli nie  
papieros i nie przypadkiem, niewątpliwie akt wandalizmu. Nie dość na tym. W  
malutkim  
oratorium św. Franciszka wybito szybę. W pobliskim starożytnym opactwie św.  
Piotra z Valle  
skradziono dwa złote ex vofo. Wydarzenia w szkole nie sposób z tymi faktami nie  
powiązać, a  
faktów tych – z naciskiem atmosfery fanatyzmu materialistycznego, który sprawia,  
że  
mieszkańcy Terni w większości uchylają się od wyboru katolików do zarządu  
miejskiego,  
głosując na komunistów.  
Nauczyciele w Italii nie są zahukani, mają swój związek zawodowy dość  
energiczny,  
niezależny, dyskusja więc na zebraniu była żywa. Ale dyrektor otrzymał od  
biskupa wytyczne  
wiązące. Operował zresztą argumentem silnym, a raczej chwytem operatywnym. –  
Jeśli nie  
chcemy na terenie liceum policji – mówił – musimy sami pokazać, że potrafimy  
rzecz  
potraktować zgodnie z normami prawa, które z całą surowością karze wszelkie  
świętokradcze i  
bluźniercze wybryki. – Tak ich urabiał i straszył, tych profesorów, że wyłonili  
na koniec komisję  
z wszelkimi pełnomocnictwami. Weszli do niej dyrektor, salezjanin i jeszcze  
trzech innych  
panów, jeden z Akcji Katolickiej, drugi z Chrześcijańskiej Demokracji, a trzeci  
jeszcze z czegoś  
takiego.

Następnego dnia zaczęły się przesłuchania. Bez policji fizycznie nieobecnej, ale obecnej swym policyjnym duchem. Drzwi szczelnie zamknięte, żaluzje spuszczone, zaciągnięte kotary. Na katedrze lampa stuświecowa z abażurem ustawionym tak, by światło padało na twarz przesłuchiwanego. Za katedrą – przesłuchujący. Po bokach przesłuchiwanego pozostali członkowie komisji. Do konfrontacji uruchomiony był telefon i głośnik, który bez szwanku przeszedł próbę ogniową kasztanowych i kredowych strzałów. Telefon i głośnik połączone były z pokojem dyrektora. Tam siedział pełnomocnik komisji. Od czasu do czasu posyłał on do audytorium drugiej A po któregoś z uczniów. Sadzał koło siebie. Z sali, gdzie przesłuchiowano, otrzymywał pytanie drogą telefoniczną. Zadawał je chłopcu wyciągniętemu z klasy. Ten odpowiadał również telefonicznie. Ale na czas jego odpowiedzi włączany był mechanizm z głośnikiem. Skomplikowany sposób, ale ponoć skuteczny. Osaczony przez komisję przesłuchiwany, słysząc przez głośnik kolegę, który ten czy inny szczegół przedstawiał inaczej niż on, do reszty się tracił. Dla przesłuchujących dwie rzeczy były najważniejsze. Pierwsza dotyczyła ustalenia, kto wycelował w krucyfik fatalny kasztan. Druga – jak powiązany jest kolejno przesłuchiwany chłopiec z ogólnym materialistycznym tłem miasta Terni. Co do pierwszej wątpliwości nie było żadnych danych, by ją rozstrzygnąć na sto procent. Wchodziło w grę czterech chłopców. Co do wszystkich czterech komisja zdecydowała, że nie zostaną pod koniec roku dopuszczeni do egzaminów. Drugi problem był niemniej zawiły. Przede wszystkim należało ustalić, co jest kryterium powiązania z tym tłem nagannym. Kryterium to ustalało się w trakcie przesłuchiwań. W ustalaniu go pomagały również miejscowe katolickie gazety. Przez cztery dni trwały przesłuchiwanie. Przez cztery dni pisała wspomniana prasa. Coraz ostrzej, coraz gwałtowniej, ponieważ udało się jej w dwadzieścia cztery godziny po wypadkach wpaść na ślad istniejącego na terenie Terni młodzieżowego klubu bluźnierców. 2e taki klub został zawiązany, dla nikogo z zainteresowanych nie ulegało wątpliwości. Ani dla biskupa, ani dla Petrucciego, ani dla ojca Paolone, ani dla pozostałych członków komisji ani dla prasy. Dowody na istnienie były, ale



ponieważ informacja miała charakter konfidencjonalny, nie nadawały się do druku. Celem klubu było bluźnić. Warunkiem należenia do klubu było bluźnienie nie jednorazowe, ale metodyczne. Przy czym metodycznie, to nie tylko stale, ale podług planu. Niejako z planem w rękę, a ściślej biorąc, z kalendarzem. Po prostu bluźnierstwami i ordynarnymi wyrazami obrzucało się co dzień innego świętego, tak jak wskazywał kalendarz. W niedzielę, poza przypadającym na nią świętym, pod ostrzał bluźnierstw i wymysłów dostawał się kolejny dogmat. Ponieważ gra była niebezpieczna, wolno było i zupełnie wystarczało głośno rzucić przekleństwo czy brudny wyraz, w duchu sobie dośpiewując adresata, to znaczy danego świętego czy dogmat. A więc jeśli jakiś chłopiec kłął, mógł być podejrzany. Dla komisji wręcz stawał się podejrzany. Przesłuchiwanym bez końca maglowano, czy klną, a jeśli nie, to czy używają ordynarnych wyrazów. Jeśli tak, komisja wiedziała, co o tym sądzić. Jeśli nie, niejasna sprawa, bo trudno jej było uwierzyć w tak świętego chłopca, który by nigdy nie zaklął czy też brudnego słowa nie rzucił. Przesłuchiwania trwały niemiłosiernie długo. W wypadku chłopca najmocniej podejrzanego o odbicie gipsowemu Chrystusowi ręki – pełne cztery godziny, od dziewiątej do pierwszej. Chłopiec jakoś je przetrzymał, mimo całej scenerii, ciemności, światła, głosów z głośnika oraz ciągłego przypominania, że za straszny czyn znieważenia obiektu kultu grożą lata więzienia. Przesłuchująca komisja nie mogła nikomu dowieść przynależności do klubu. Gdyby dowiodła, wylałaby z liceum. Uznała jednak następnym czterech uczniów za uprawiających działalność peryferyjną, których najprawdopodobniej istotne sprężyny klubu przygotowywały do przekroczenia jego progów. Chłopcy ci przyznali się, że zdarzało im się zakląć lub rzucić słowo, od którego uszy puchną. Nic więcej nie powiedzieli niż to, nic więcej nie wiedzieli. A więc najpewniej tylko – osądziła komisja – kandydaci klubu. Na dwa tygodnie zawieszono ich w lekcjach. Ostatnią z ukaranych była dziewczyna, uczennica innej szkoły, na której świadectwo powołał się maglowany przez komisję chłopiec, że podczas feralnej pauzy do niej od pedła licealnego dzwonił, a więc podczas wypadków nie był na sali. Świadectwo okazało się kłamliwe. Alibi sfalszowane. Komisja spowodowała zawieszenie dziewczyny na dziesięć dni w

prawach  
uczniowskich.

Miejscowa prasa katolicka nadal szalała. O klasie drugiej A pisano jak o wylegarni „iko-

noklastów". Potępiono „fanatyków materialisty-cznych", którzy doprowadzili do tego, że

młodzież wzięła w rękę miecz obrazoburczy. To określenie rogatki gumowej jako obrazoburczego miecza podobało się tak, że przejęła je prasa stołeczna, rządowe Messaggero, a

nawet watykańskie Osservatore Romano. To ostatnie pismo potępiło fakt sponiewierania

krucyfiksu ze swą zwykłą i tępą gwałtownością. Pisało o „potencjalnych gangsterach",

„wykolejeńcach bez serca i bez Boga" oraz tym podobne rzeczy.

W takim nastroju młodociani obrazoburcy – gangsterzy wojujący mieczem z elastyki

–

spędzili święta. W Terai przez te parę dni niektórzy z protagonistów całej awantury trochę

oprzytomnieli. Pierwszy oprzytomniał salezjanin, z natury niezły człowiek, który przez kilka lat

swoich lekcji w „Tacycie" nigdy na nikogo dyrektorowi nie poskarżył, na nikogo nie doniósł,

nikogo nie zawiesił, nikogo do dziennika nie wpisał. Oprzytomniał też to ten, to ów z

profesorów, którzy tak dalece dali się zawojować fanatykowi spi-rytualizmu, Arcangelowi

Petrucciemu. Zaczęli sobie bowiem ludzie w Terni uprzytamniać, że coś tu nie klapuje w całej

sprawie. Na ośmiu chłopców, których tak bezceremonialnie prze-mełł młyn komisji, pięciu

należało do różnych przybudówek Akcji Katolickiej. Zawieszona dziewczyna miała też

nieskazitelną reputację religijną. Póki sprawa była czysto szkolna i lokalna, rodzice stanęli po

stronie szkoły. Ale kiedy zaczęto ich dzieci osmarowywać w prasie stołecznej, i to coraz

brutalniej, stracili cierpliwość. Zdaje się też, że w pewnym momencie zadał ktoś potężny cios

prześlance, na której komisja oparła cztery wyroki – mówię o „Klubie Błuznier-ców" – pełne

światło rzucając na jej filiacje. Pochodziła ona z raportu, który na miesiąc czy dwa przed

wypadkami rozesłało kuriom całej Europy hiszpańskie stowarzyszenie zakonne Opus Dei.

Stowarzyszenie jest nowe i ze wszystkiego, czym dzisiaj rozporządza Hiszpania, chyba

najbardziej zaciekle i wsteczne. Na prawo od siebie nie ma nic, na lewo – jezuitów, z którymi jest

na noże, uważając ich za kryptokomunistów. Do swego trzeciego zakonu przyjmuje tylko ludzi z

pozycją. Statut tego trzeciego zakonu, zatwierdzony przez Rzym niedawno, bo w roku 1950, ma punkt ciekawy: „o przynależności czyjejs do trzeciego zakonu Opus Dei mogą wiedzieć tylko trzy osoby, Ojciec Święty, Prezydent Generalny Stowarzyszenia i miejscowy superior, innym wolno się przynależności domyślać”, Przynależni zaprzysięgają . superiorowi pełne posłuszeństwo. Jest to więc rodzaj katolickiego Ku-Klux-Klanu i po cichu, jak nikt nie słyszy, tak się o nim w Hiszpanii mówi. Co do rozesłanego przez Opus Dei raportu, dotyczył on nacisku wrogich sił na religię, Kościół i katolicyzm w Hiszpanii. Wśród narzędzi walki, którymi się posługuje wróg, wyliczał różne So-dalitia Blasphematorum, a więc właśnie „Kluby Błuznierców”. Raport był ściśle tajny. Otrzymał go do rąk własnych ordynariusz, wprowadził w kilku egzemplarzach, którymi wedle swego sumienia gospodarował. Przypuścić, że wydostał się poza kurię i ledwo wysiawszy zło, już zaowocował, wydało się nieprawdopodobne. By niezależnie od raportu, a więc nie na zasadzie naśladownictwa, powstał w Terni podobny klub, osądzono za jeszcze mniej możliwe. Zwłaszcza że ponoć twór tak skonstruowany pasował świetnie do mentalności hiszpańskiej, a do włoskiej absolutnie nie. Wyczytał więc ktoś po prostu o takich klubach w raporcie, jakiś ksiądz czy zakonnik, powtórzył drugiemu, ten dalej. W jakimś momencie informacja o klubach dojdź musiała do jakiegoś członka komisji. Ten przyjął ją za hipotezę roboczą. A następny już za pełnokrwistą, przeraźliwą, wszczepioną korzeniami w grunt miasteczka prawdę, której tylko naiwni nie dostrzegają i w którą tylko zaślepieni nie wierzą. Ale teraz, po odkryciu jej źródła, nieszczęsna hipoteza odbywała drogę powrotną, i to z tym skutkiem, że już nie tylko żaden poważniejszy umysł w Terni nie wierzył w istnienie podobnego miejscowego klubu, ale nawet powątpiewał, by istniały w Hiszpanii. Biskup jednak nadal gorzał. Na dzień 29 grudnia, na niedzielę, zarządził w całej diecezji nabożeństwa ekspiacyjne z Przenajświętszym Sakramentem i z ustawieniem poniżej stopni ołtarza jak największych krucyfiksów, żeby się wiedziało, o co chodzi. Jeszcze silniejszym wstrząsem był jego list pasterski, który kazał odczytać również po wszystkich kościołach. Mówił

w nim, między innymi: „Epizod, sam w sobie groźny, staje się jeszcze groźniejszy, jeżeli spojrzeć na niego jako symptomat. Oto okazuje się, że do tego rodzaju wypadku może dzisiaj dojść wszędzie, i bez trudności. Może on w środowisku młodzieżowym wybuchnąć łatwo i bez specjalnej przyczyny, ot, jak czasem bez specjalnej przyczyny początkowa zabawa przeradza się w bójkę. Ale właśnie ta łatwość sprawia, że należy bić na alarm. Bo tylko nienawiść do Boga od dawna trawiąca środowisko i od dawna trawiące je fermenty przeciw Kościołowi, jeśli tego rodzaju były uczucia, które pchnęły sprawców świętokradczego aktu do zadania ciosu krucyfiksowi, doprowadzić mogą do czegoś podobnego. Może nastąpić taka rzecz tylko w środowisku przesyconym materialistycznym, amoralistycznym duchem, tylko w środowisku zatruwanym niechęcią do religii, niezależnie od tego, czy maskowaną, czy nie. Znieważony krzyż wyciąga do nas ramiona, wołając o ratunek. Nie wolno nam zlekceważyć jego głosu, tak samo jak nie wolno nam przejść do porządku nad najsmutniejszą poniesioną przez krzyż obrazą i nad istotnymi monstualnymi przyczynami samego zdarzenia". Natomiast dość rozsądnie zachowała się w tej sprawie policja. Pani T. wyjaśnia, że nie jest to na terenie szkolnictwa rzecz rzadka. Tłumaczy to dość paradoksalnie, mówiąc, że stara kadra policyjna jest faszystowska, uformowana w czasach, kiedy istniało przekonanie, że państwu zagrażają dwie potęgi: komuniści i Kościół. Kwestorzy, oficerowie sicurezzy, a nawet niejeden stary ma-resciallo nasiąkł tą doktryną i jest w stosunku do Kościoła czołobitny, ale czujny. Również więc i w tym wypadku kwestor otrzymawszy doniesienie od dyrektora liceum, przesłał informacje wyżej, powiadamiając swoje władze, że sprawa pozostaje w jurysdykcji szkolnej. Zdecydowany był trzymać się od afery z dala, także ze względu na zdrowy rozsądek policyjny, który go ostrzegał przed wprowadzeniem policji do szkoły i przed czynieniem z policji straszaka młodzieży. Od czasu do czasu też wypuszczał z siebie oświadczenia obronne. W rozmowie z dziennikarzami stwierdzał, że na terenie mu podległym nigdy nikt nie dopuścił się żadnej religijnej obrazy, jeśli więc starsi tego nie czynią, skąd by miała brać przykład młodzież. Absolutnie nie wierzył, by z premedytacją odłupano Chrystusowi rękę. – Zwykle

szczeniackie

łobuzerie – mówił. – Szczeniacka historia rozdęta przez kilku starych koni!  
Kiedy biskup łupnął swój list, kwestor przycichł. Ale głos mu wrócił, odkąd  
posypały mu się  
na stół skargi od rodziców; w pewnym momencie ci bowiem nie wytrzymali. Podobno  
nawet w  
liście pasterskim biskupa jakiś ojciec dopatrywał się cech zniewagi w stosunku do  
swoich dzieci.  
Prasa miejscowa, II Messaggero, członkowie komisji w pewnym okresie sprawy  
wypisywali,  
wygadywali niestworzone rzeczy o chłopcach i dziewczynach z Terni, i to z  
nazwiskami. Powiał  
inny wiatr, rodzice przystąpili do kontraktaku. Nikt nie tyka Osservatore Romano.  
Jeśli chodzi o  
biskupa, rodzice wyobrażają sobie, że wystarczy pójść z delegacją do papieża,  
żeby biskup  
skruszał i odwołał. W całej aferze nie ma najslabszych przesłanek umyślności  
czynu, zwłaszcza  
obala tezę umyślności sam wyrok komisji oskarżającej aż czterech chłopców o  
celowanie w  
krucyfiks, podczas kiedy klasa jednogłośnie zaświadcza, że odchylił się w  
kierunku Chrystusa  
tylko strzał jeden. Tak czy owak trzynastego stycznia rozpoczyna sędzia śledczy  
z Terni  
dochodzenie z kilkunastu oskarżeń o kalumnie, oszczerstwo, rozsiewanie  
szkodliwych i  
fałszywych wiadomości tak w słowie, jak w druku. Niektórzy rodzice żądają też  
grubszych  
pieniędzy tytułem odszkodowania.  
Oczywiście najmniej jest zainteresowana w stwarzaniu takich sytuacji kuria  
rzymska.  
Państwo włoskie powstawało w walce z Kościołem i tradycje tej walki są świeże.  
Od wojny  
Watykan podbija Włochy, proces postępuje nieuchronny, nieubłagany. Nic  
szkodliwszego dla  
niego, jak tego rodzaju przebudzające dreszcze z Terni. Nie Watykan więc  
mobilizuje biskupa z  
Terni, tak samo jak tego drugiego z Prato. Wewnętrznie pieni się na tych obu  
monsignoreów,  
zwłaszcza że bronić ich będzie do upadłego. Nie zdezwuuje ich nigdy. Nie może,  
i to jest  
właściwie zrozumiałe. Najciekawszą dla mnie rzeczą w takich sprawach jest  
powolne narastanie  
tego grubego byka, którego na koniec Kościół strzela. Ten byk oczywiście nie  
wyskakuje gotów  
jak Wenus z pianki morskiej. Też wyrasta z jakiejś atmosfery. Potem nadarza się  
sposobność i  
następuje wyładowanie. Nie rozumiem tylko jednego, że w tej całej maszynierii  
kościelnej nie ma  
sznurka z ostrzegawczym dzwonkiem, który by zaalarmował. Ale widać nie ma.

Rzym, 12–15 stycznia 58 r.

Na dwudziestego stycznia wyznaczono rozprawę przeciwko biskupowi Pietro Fiordelli z

Prato. Od roku 1929, to jest od podpisania Paktów La-teraneńskich, będzie to pierwszy biskup na

ławie oskarżonych. Wraz z nim zasiądzie proboszcz parafii kościoła pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, ksiądz Danilo Aiazzi. O ile oczywiście zasiądną.

O sprawie tej, która rozbiła Wiochy na dwa obozy, pisano bardzo wiele.

Natrafiłem również

na jej echa w katolickiej prasie francuskiej, angielskiej, niemieckiej. W Italii ludzie mówią o niej

dużo. Jedni potępiają, drudzy bronią biskupa, ale i jedni, i drudzy nie mogą oprzeć się

zdziwieniu, że do niej doszło.

Kiedy chce się o niej opowiedzieć komuś od nas, komuś, kto nic o niej nie słyszał, nie

wiadomo, od czego zacząć. Od aktorów, od tła czy od problemu. Na dobrą sprawę trzeba by

puścić naraz trzy strumienie informacji, ponieważ wszystkie są potrzebne zaraz na wstępie. Ale

ponieważ tak nie można, kto wie, czy nie najlepiej będzie zacząć od tła. To znaczy od miasteczka

Prato.

Znajduje się ono na połowie drogi pomiędzy Florencją a Pistoją, trochę bliżej Pistoii. Ma

kilka słynnych zabytków, i to tak wyposażonych, że ilekroć robi się jakąś większą wystawę

malarstwa włoskiego, i to niezależnie od szkoły i epoki, niepodobna się obyć bez obrazów z

Prato. Można by więc pomyśleć, że galerie są tutaj ogromne. Ale nie, są małe, ściśle nawet biorąc

jest jedna, komunalna, w pałacu pretora; inne zabytki to parę kościołów; tylko że i w niej, i w

nich obrazy są doskonałe. Prato również posiada głośną relikwię Pasa Jezusowego.

Przechowuje

się ją w kaplicy Świętego Pasa, najwspanialszej kaplicy trzynastowiecznej katedry. Kaplicę

oddziela od nawy lewej przepiękna brązowa krata z XV wieku, której arabeski wzorowane są na

elementach Świętego Pasa. Kaplicę zdobią gotyckie freski Gaddiego przedstawiające historię

Pasa. Na tę samą historię, tym razem pędzla nieznanego Toskańczyka, natrafić można w

muzeum. Natomiast kazalnica w katedrze, tak zwana kazalnica Świętego Pasa, nie jest

anonimowa. Zgadzą się wszyscy, że autorem jej jest Michelozzo; co zaś do aniołków czy może

amor-ków, tańczących koło Świętego Pasa, że są dłuta Donatella.

Pałac zaraz na prawo od katedry jest pałacem biskupim. Do bardzo niedawna biskup w nim

nie mieszkał. Pałac jednak zawsze zwał się biskupim, ponieważ biskup z Pistoji zatrzymywał się w nim, ilekroć jeździł do Prato na wizytację. Rzeczywistym biskupstwem Prato nie było dotąd nigdy. Podobno na wiosnę w roku 1653 tutejsi mieszczanie wywalczyli sobie ten honor. Ale tylko honor, bez własnego biskupa, bo po paru miesiącach, na jesieni, musiał powiać inny wiatr, skoro we wrześniu tegoż roku złączono nowe biskupstwo z Pistoją unią personalną. I tak pozostało. Z tym że miasto Pistoją było siedzibą tej podwójnej diecezji. W styczniu 1954 roku rozdzieliły się one. Pistoji przypadło sto siedemdziesiąt parafii, dwustu księży i pięćdziesiąt siedem klasztorów. Nowej diecezji Prato – pięćdziesiąt jeden parafii, sześćdziesięciu czterech księży i trzydzieści siedem klasztorów. Jedni mówią: nowe biskupstwo, inni powiadają: stare, od dawna nie obsadzone, problem zaś nie jest natury czysto historycznej. W Paktach Lateraneńskich jest paragraf, który przewiduje powolne zmniejszanie się ilości biskupstw, tak by liczba ich pokrywała się z liczbą prowincji. Mus-solini przywiązywał do tego paragrafu wielkie znaczenie. Chciał, aby na jednego prefekta przypadał jeden ordynariusz, a to dla zrównoważenia wpływów obu władz, władzy kościelnej i władzy państwowej. Uważał on, że w wypadku jakichś sporów staną naprzeciw siebie przeciwnicy tej samej wagi. Nie chciał zaś mieć, by się posłużyć naszą terminologią, biskupów na powiatach, w obawie, że jak przyjdzie co do czego, władze powiatowe nie dotrzymają ekscelencjom placu i zostaną zjedzone w kaszy. Kardynał Gaspari, watykański Sekretarz Stanu i kontrahent Mussoliniego co do paktów, zgodził się z nim. Wytargował tylko od niego to, że diecezji nie będzie się kasować za życia ordynariuszy, a tylko po śmierci biskupów stolic skazanych na przepadłe. Paragraf więc w ten sposób wyprecyzowano, do paktów włączono i podpisano. Ale od czasu kiedy w Italii doszły do władzy rządy katolickie, puszczono go w niepamięć. Biskupstwa mnożą się. Prze do nich i Watykan, i Chadecja. Tam gdzie wpływy komunistyczne i w ogóle laickie są silne, tworzy się biskupstwa. Zwłaszcza w miastach, gdzie burmistrz jest czerwony, uznano, że taktyka wymaga ordynariusza. Wymaga go często. Tak przynajmniej wnosić należy ze statystyki. W roku 1929 Italia liczyła sobie dwieście diecezji, dzisiaj liczy ich sobie dwieście

osiemdziesiąt.

Z tych względów i w tych warunkach pałac biskupi otrzymał w początkach roku 1954 stałego lokatora. Imię jego i nazwisko już znamy. Na świat przyszedł on w Citta di Castello w

roku 1916. Sakrę biskupią otrzymał w trzydziestym ósmym roku życia, a więc niesłychanie

młodo. Do dziś zresztą jest najmłodszym ordynariuszem na terenie Włoch. Kiedy pojawił się w

Prato, powitano go tryumfalnie. Wysoki, żywy, o łatwym uśmiechu, zrobił na wszystkich

najlepsze wrażenie. Prato w ostatnim dziesięcioleciu wykonało ludnościowo olbrzymi skok.

Rozbudowało się fabrycznie. Stało się jednym z największych centrów włókienniczych Italii. Ten

rozrost obudził w miasteczku należyłą ambicję. Stać się stolicą prowincji, oto o czym marzyło

Prato. Toteż kiedy młody biskup w odpowiedzi na powitanie burmistrza Roberta Giovannini

oświadczył: „Dziś diecezja, jutro prowincja” – nie tylko biała mniejszość, ale i czerwona

większość Prato rozentuzjasmowana była obrotem rzeczy.

W Prato większość czerwona jest przygniatająca. Dwie trzecie głosów idzie w tym mieście

na listy Togliattiego i Nenniego. Oczywiście burmistrz jest czerwony, związki zawodowe są

czerwone, święta robotnicze i różne rocznice, gdzie indziej stuszowane, tu są obchodzone z

rozmachem. Na pewno te elementy przynagliły arcybiskupa Florencji, kardynała Dalia Costa, do

poszperania w starych papierach, by znaleźć w nich, że kiedyś Prato miało, czy też raczej miało

mieć, swojego ordynariusza. Jest też pewne, że żyjący jeszcze wówczas kardynał Piazza,

sekretarz kon-systorza, wielki personalnik Kościoła, dobrze się zastanowił nad dopasowaniem do Prato odpowiedniej kandydatury. Nie konserwatywny – monsignor Fiordelli

nie był konserwatystą; zarazem nie populistyczno-neochrześcijański, jak bywają różni Francuzi,

uważający siebie za speców od robotników – Fiordelli nie był takim mętniakiem.

Nowoczesny, z

dużym drygiem organizacyjnym, nieskazitelnym obyczajów, mistyk na własny użytek, o swoich

owieczkach myślał wyłącznie w kategoriach aktywistycznych, kazania wygłaszał dobre,

rachował wyśmienicie, pisał Z werwą, miewał łatwo za sobą młodzież, cóż można żądać więcej

od biskupa rzuconego w dzisiejszych czasach na rewolucyjny odcinek frontu.

Odpowiadając na przemówienie czerwonego burmistrza monsignor Fiordelli oświadczył

również: „Chcę być dla wszystkich biskupem!” Należy przypuścić, że znał



statystyki i dobrze się orientował w tym, że odkomenderowany został na trudny posterunek. Ponieważ aksjomatem kurii w Italii jest, że komunista to tylko zaniedbany katolik, a więc ktoś, kto jeno przez księża nie-dbałość zrobił się czerwony, monsignor Fiordelli, obiecując być biskupem dla wszystkich, dawał w ten sposób wyraz nadziei, że naprawi zło wyrządzone miejscowemu proletariatu i postępowej inteligencji. Pierwsze miesiące minęły mu w euforii, w euforii fioletów i w euforii wysokiego i samodzielnego stanowiska. Posłuch, władza, pałac, samochody, wspinała katedra, wszystko wokół na skinienie! Kiedy te przestały działać, zastąpiły je inne. Euforia organizowania niezorganizowanego i reorganizowania zorganizowanego. Wreszcie euforia wielkich sum pieniężnych. Samo biskupstwo dawało małe dochody, ale młody monsignor miał pieniądze w bród. Częściowo pochodziły z różnych budżetów watykańskich, a częściowo były pochodzenia miejscowego. Fabryki, przemysł, banki, majątki, wszystko chciało biskupowi Fiordelli pomóc. Opracował on plan ataku na czerwonych. Plan przewidywał szereg wielkich budynków dla organizacji katolickich, katolickich-robotniczych, katolickich-młodzieżowych, katolickich-kobiecych. Przewidywał również budownictwo mieszkaniowe, z mieszkaniami w nagrodę za aktywność w organizacjach. Biskup kupował, przesuwiał, osiedlał, przenosił. Przy probostwach kazał zawiązywać koła, kółka, związki, kluby. Nie żałował na świetlice. Po dwóch latach mógł sobie powiedzieć, że odwalil piękny kawał budowlano-organizacyjnej roboty. Czy odczuwał pełne zadowolenie, wątpię. Podwaliny bowiem podwalinami, gmach jednak, który miał na nich powstać, gmach wielkiej du-chowo-politycznej przemiany diecezji Prato, wcale się nie zarysowywał. Teren święte pieniądze czy też w świętym celu dawane chłonał, lecz wcale się nie zmieniał. Wstrząs u księdza Fior-delli przyszedł z wiosną 1956 roku, kiedy w kilku gminach, w których się zmieniał zarząd, po staremu – jak za dawnych czasów zaniedbania – wyszli z urn komuniści. Monsignor posmutniał. Po raz pierwszy od dwu lat, to znaczy od czasu kiedy objął diecezję, nic nie rozkazał. Spróbował posłuchać, co inni mówią. Dopuścił do głosu

zauszników, którzy  
otworzyli mu oczy na krecią robotę różnych sił i osób na terenie jego diecezji,  
to jest na rzeczy, o  
których nie miał pojęcia. To one i to oni, te siły i ci ludzie, sprawiali, że  
teren, o który zadbał, dla  
którego tyle się naharował, odpłacał mu niewdzięcznością. Biskup zmienił się.  
Mniej się miotał.  
Zresztą pieniędzy było mniej. Źródła, z których dotąd czerpał pełnymi garściami,  
zrobiły się  
mniej hojne. Tłumaczono mu, że początkowo otrzymywał o tyle więcej, ponieważ  
otrzymywał na  
zagospodarowanie się. Ale on sam to sobie interpretował inaczej. Nie dają, bo  
się zniecierpliwili.  
Zdaje się, że w tym czasie zaczęły biskupa Fiordelli drażnić pewne rzeczy, nad  
którymi  
dotąd przechodził do porządku dziennego. Między innymi te śluby cywilne, o które  
potem poszła  
cała awantura. Istniały one na całym terenie Italii przed Paktami  
Lateranensкими. Po paktach ta  
klasyczna zdobycz laicka dziewiętnastego wieku pozostała pod względem prawnym  
nie  
naruszona, tyle że odtąd proboszcz był również urzędnikiem stanu cywilnego.  
Można więc od  
roku 1929 brać ślub cywilny w czystej formie w urzędzie stanu cywilnego lub też  
jako dodatek  
do ślubu kościelnego. W praktyce oznaczało to, że ludzie przestali zawierać ślub  
i tu, i tu, to  
znaczy i w urzędzie, i w kościele, lecz zawierali go wyłącznie w kościele, za  
jednym zamachem  
zadowolając i kościół, i państwo. Tak czyniło 95% ludności. 5% brało czyste  
śluby cywilne.  
Pałac biskupa Fiordelli mieści się naprzeciw pałacu zarządu miejskiego. Kto w  
ten sposób  
mieszka, nie może nie zauważyć, jak spod arkad tego ostatniego pałacu po parę  
razy na tydzień  
wynurzają się charakterystyczne grupy, których ośrodkiem jest zawsze para  
ludzka, on w  
ciemnym ubraniu, ona w białej sukni, z mirtem na głowie; reszta osób również  
odświętna czy  
wręcz w gali. Ten mirt i ta biel panny młodej, cywilnej, nie występuje we  
wszystkich miastach.  
W niektórych zarządach o większości chadeckiej z rozmysłu upokarza się pary  
biorące ślub  
cywilny, udzielając go w brudnych i ciemnych klitkach. Nie ma się więc po co  
specjalnie  
świętecznie ubierać. W Prato jest inaczej, podobnie jak w Bolonii, w Ferrarze  
czy Pistoii, gdzie –  
zarząd czerwony. Inaczej jest również w licznych miastach na północy z mocną  
tradycją laicką,  
gdzie sobie nikt nie pozwoli na postponowanie ślubów cywilnych. Albo też we

Florencji, gdzie franciszkański La Pira oddał na pastwę takich ślubów przepiękną Salę Audiencji w Pałacu Signorii, uważając, że jak Pan Bóg zechce kogoś oświecić i sprowadzić z manowców materializmu, zrobi to bez pomocy ludzkich szykan. La Pira sam ślubów nie udzielał i raz na zawsze zwolnił od ich udzielania wszystkim asesorów katolickich; miał od tego republikanów i socjaldemokratów. Natomiast szafował kwiatami i nawet raz pogniewał się na niego Dalia Costa, że odmówił miejskich lilii na jakieś święte przedstawienie, a nazajutrz zarzucić nimi kazał wspomnianą przed chwilą salę w Palazzo dalia Signoria, ponieważ się zapowiedziało kilka ślubów. La Pira wytłumaczył staremu kardynałowi, że tak właśnie jest najlepiej, i wszystko skończyło się dobrze. Nie takie zresztą rzeczy umiał mu wytłumaczyć. Że doszły plotki o tym uszu biskupa z Frato, to pewne. Ale jeśli doszły do niego w okresie, kiedy już zaczęły go jątrzyć śluby cywilne, bez wątpienia tylko dołały oliwy do ognia. Niepowodzenie obudziło w nim fanatyzm. A na fanatyków nic tak nie działa rozpalająco, jak pobłażliwość na grzech czy błąd. Ostrzejsza to nawet dla ich fanatyzmu ostroga niż sam grzech. Pewnej niedzieli na początku 1956 roku biskup Fiordelli wstąpił na kazalnicę i wygłosił kazanie przeciw „tak zwanym ślubom cywilnym”. Rzeczą pasterzy jest czuwać, podobnie jak rzeczą magistratu jest żenić ludzi, którzy wyrażą to życzenie. Nic się więc po kazaniu biskupa nie zmieniło, mimo że je zamieścił w diecezjalnych Richiami, czyli „Wezwaniach”. Każdy dobrze rozumiał, że biskupowi wypada założyć veto. Poradzić na samą rzecz ani jemu, ani nikomu nie sposób, ostatecznie jak ustawa o ślubach cywilnych istnieje, to co kto może zrobić, biskup czy nie biskup; najwyżej zaznaczać od czasu do czasu, że jest przeciw. Ale okazało się, że biskupowi nie wystarczało samo zaznaczenie. Zdecydował się na próbę sił. Najpierw jednak długo przebieirał. Może chciał, może musiał, nikt nie dojdzie. Meldowano mu o różnych parach, gotujących się do cywilnego ślubu, ale albo to byli komuniści, albo przedstawiciele radykalnej inteligencji, albo znowu za biedni, albo na odwrót: za bogaci i skoligaceni. Wciąż więc jakiś szkopuł, wciąż jakieś a I e. Dlaczego w końcu wybrał tę parę, to znaczy Lorianę Nunziati i Maura Bellandi, absolutnie nie wiadomo. Może

przestraszył się, że jak  
będzie za długo wybredzał, nigdy nie pociągnie za dzwonek alarmowy. A może  
uprosił go o ten  
wybór ksiądz Danilo Aiazzi, którego parafianami była rodzina panny młodej.  
Aiazziego biskup  
lubił. Jak się zdaje, był to nawet jego ulubiony proboszcz. Na wspólnych  
fotografiach wyglądają  
trochę jak Don Kichot z Sancho Pansą. Jeden astenik, drugi, mówię o Aiazzim –  
pyk-nik. Pyk-nik  
miał również, jak mówią, dobrą głowę do interesów, a ściślej mówiąc, głowę do  
rachunków.  
Biskup jej nie miał. Bez wątplenia ten kontrast na dodatek do tylu różnych  
zgodności sprawił, że  
i żyli z sobą blisko, i ufali sobie. Zresztą nie trzeba było aż tego  
wszystkiego, by wybór  
przykładowej pary dokonany został w parafii najlepszego z proboszczów. W każdym  
razie tak się  
stało. Kuszący również w tym wyborze był fakt, że o ile panna była katoliczką,  
pan młody  
komunizował. Przy tej proporcji pół na pół o interwencję aż się prosiło. Wynik  
jej zdawał się  
łatwy. A w tym wypadku i rozgłos zapewniony. Rozgłos o doskonałym, i pod  
względem  
religijnym, i politycznym, wydźwięku.  
Pierwszą rozmowę przeprowadził z Lorianą proboszcz. Znał ją od dziecka. Lepiej  
nawet z jej  
dziecinnych czasów niż z czasów, kiedy podrosła. Bo dosyć rzadko chodziła do  
kościółka. Nie  
lubiła tego. Pracowała w barze kawowym ze sprzedażą pap;rosów i bilardami,  
który należał do  
jej ojca. Klientelę bar miał dobrą. Gdyby Prato było wielkim miastem,  
powiedziałyby się:  
wielkowiejską. Sympatycznej i ładnej Lorianie naprzykrzali się wszyscy, i  
młodzi, i starsi, z  
chęcią zawarcia bliższej znajomości. Niemniej przeto reputację miała jak  
najlepszą. Zawsze  
jednak w niedzielę czy w święta zarysowywało się coś bardziej pociągającego niż  
nabożeństwo.  
Jeśli chodzi o jej profil polityczny, nim zbliżyła się z Bellandim, nic się nie  
da powiedzieć, z  
czego by wnieść można, że ją ciągnęło do lewicy. Co prawda w trzy lata po wojnie  
na święcie  
Unity wybrana została „Gwiazdką Prato” i w związku z tym otrzymała od redakcji  
nurki. Ale był  
to rok 47, nie było jeszcze tej wrogości, mogła więc dziewczyna katolicka i  
pójść na zabawę  
organizowaną przez komunistów, i przyjąć z czystym sumieniem futro zakupione z  
funduszy  
partyjnych. Nikt się nie gorszył: ani prawomyśl-ni rodzice, ani jeszcze  
prawomyślniejsze ciotki--

bigotki, które później, to znaczy na wiosnę roku 1956, biegały po całym Prato z lamentem, że narzeczony Loriany nie chce brać ślubu w kościele. Bellandi rzeczywiście nie chciał. Był to mężczyzna olbrzymi, lat trzydziestu trzech, wagi stu kilogramów. Nie utrzymał jej wywieziony przez Niemców do Dachau. Spadł wówczas do połowy tej wagi. Na jesieni 43 roku porzucił dom i poszedł do partyzantów, którzy całą dywizją, nazywaną się Arno, pozajmowali okoliczne góry, głównie stoki Morello. Pół roku był partyzantem. Wzięty przez spadochroniarzy, skazany zostaje na śmierć. Postawiony pod mur żegna się z życiem, kiedy przychodzi mu w sukurs nalot. Na alarm Niemcy sprowadzają go do piwnicy, wyprowadzają, sprowadzają i znowu wyprowadzają; powtarza się to wszystko trzy razy. W końcu, chcąc spokojnie rzecz przeprowadzić za miastem, ładują go wraz z innymi skazańcami na samochody. Ale los uparł się im przeszkadzać. Z powodu nowych nalotów nie mogą dalej dojechać niż do stacji. Zniechęcają się. Na stacji stoją wagony. Ładują do nich i skazańców, i siebie. I stąd w biografii Bellandiego to Dachau. Stąd również na pośladkach i łydkach ślady głębokich poorań, to od psów obozowych. Następnie powrót, po roku. Wagę powoli odzyskał. Jeszcze się potem trochę poszwendał z Amerykanami. Na koniec jednak i do sklepu ojca, hurtowni spożywczej – powrócił. Kiedy go dzisiaj pytać, czy jest komunistą, zaznacza jedynie, że jest byłym partyzantem. Kiedy zaś naciskać, odpowiada, że nie jest zobowiązany do żadnych wynurzeń w sprawie przekonań osobistych. Tą powściągliwością nie obejmuje jednak swoich poglądów w sprawach religijnych. Nie jest wierzący. Nigdy nie był. Ani on, ani ojciec, ani matka; wszyscy tacy ze starej rodzinnej tradycji, jeszcze z czasów walk Mazziniego o republikę i włoskie państwo oświecone i laickie. Z takimi tradycjami ani słyszeć nie chciał o ślubie w kościele. Toteż ksiądz proboszcz Aiazzi nie próbował nawet go do siebie wezwać. Ale kiedy spróbował pogadać z Lorianą, zaniepokoił się, że nie da rady. Dawniejsza „Gwiazdka Prato” rozwinęła mu się w piękną i hożą gwiazdę pierwszej wielkości. Gadała sobie z księdzem jak równy z równym. Za całe wykształcenie miała parę lat spędzonych za kontuarem w barze. To w różnych sytuacjach daje dużo. Bez męki na przykład odpierała teraz ataki proboszcza. Z

prześlicznym uśmiechem na szerokich ustach uprzytamniała księdzu, że w takich rzeczach, jak ślub, wesele i we wszystkim, co za tym idzie, mężczyzna winien decydować.

Proboszcz Aiazzi zaklął ją, żeby poszła do biskupa.

Ale i na tym szczeblu Lorianą umiała się upierać przy swoim.

– Czy wierzysz w Boga? – spytał ją biskup.

– Wierzę – powiedziała.

– A czy twój narzeczony wierzy?

– Mój narzeczony dużo ksiązek czytał i podług niego, proszę Waszej Ekszelencji, wynika z nich, że Bóg nie istnieje.

– A czy wiesz, że ślub cywilny jest grzechem?

– Owszem. To jest grzech śmiertelny!

– A zatem chcesz się wyrzec Boga?

– Nie wyrzekam!

– Jakżeż więc, moja córko, możesz się godzić na taki ślub!

– Bo to jest też ślub prawdziwy.

– Jak to prawdziwy?

– Zobowiązujący małżonków do wierności. Zabezpieczający wszystko dzieciom.

– Ależ, dziecko – zakrzyczał biskup – tak stawiać sprawy nie można. Prawo kanoniczne jest pod tym względem nieubłagane. Dla prawa kanonicznego ślub, jaki ty chcesz wziąć, jest jedynie wstępem do jawnego, publicznego konkubinatu.

– Jak? – roześmiała się Lorianą.

– Dla prawa kanonicznego będziesz konkubiną, nie żoną, ale konkubiną, publiczną konkubiną.

Lorianą pobladła.

– To ładne prawo – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Biskup Fiordelli poczuł, że ją dotknął. Ani o włos nie przekonał. Ale głęboko i śmiertelnie dotknął. Z prawa kanonicznego przerzucił się na aspekt moralny. Lorianą Nunziati nie spuszczała z niego niechętnych oczu. Tyle o tej rozmowie napisano, tyle o niej słyszałem, że nieomal każde jej słowo dzwoni mi w uszach. Rozumiem też oba stanowiska. Zwłaszcza jednak stanowisko dziewczyny, przyzwoitej i zakochanej dziewczyny, która niedługo będzie miała męża, normalnego męża, i której tłumaczą, że nie będzie jego żoną, tylko kochanicą.

– Jesteś katoliczką – rzekł biskup. – Jesteś z katolickiej rodziny. Ja jestem twój pasterz i nie dam cię porwać z mojej trzody. Odkąd się dowiedziałem o twoim postanowieniu, modlę się za ciebie co dzień.

Mówił dalej górnolotnie i panna Nunziati mu nie przerywała, ponieważ zgadzała się z nim, że musi mu być przykro i że ma prawo kłopotać się o nią i nawet gniewać. Ale kiedy nagle z tego

górnolotnego i mistycznego Parnasu zaczęły wylaniać się groźby, zeszywniała znowu.

– Jeżeli się nie cofniecie – rzekł biskup –  
każę was ogłosić z ambony za jawnogrzeszników i za cudzołózców.

Dziewczyna bez jednej kropli krwi w twarzy odpowiedziała:

Jak Wasza Ekszelencja uważa. Po czym wsiada:

– To ja już pójdę – rzekła.

– Tylko proszę cię, dziecko, dobrze się namyśl. I wróć!

Biskup twierdził potem, że Lorianą na zakończenie rozmowy obiecała wrócić. Być może, że

coś takiego bąknęła. Ale nie wróciła. Biskup wezwał wówczas jej ojca. Tu natrafił na teren

podatny. Pan Nunziati przestraszył się słysząc, co biskup zamierza uczynić.

Nigdy nie słyszał o

czymś podobnym, żeby ludzi za takie rzeczy wypominać w kościele po nazwiskach.

Nie

rozumiał, dlaczego ma to spotkać akurat jego rodzinę, jego córkę. Ale zrozumiał, że biskup mówi

serio. Wzdrygnął się cały, kiedy biskup zaczął wchodzić w szczegóły werdyktu i w różne jego

bliższe i dalsze konsekwencje. Przysiągł, że uczyni wszystko, by odwrócić bieg wypadków.

Wyszedł, lecz natrafił na grunt tak nieprzychylny dla swojej pojednawczej akcji, że machnął

ręką, zdał się na bieg wypadków i nawet w pałacu biskupim więcej się nie pokazał.

Zbliżał się dzień ślubu. Ponieważ i biskup, i ksiądz wzięli duży przedbieg, na ostatnie dwa

tygodnie przed samą datą zapadła cisza: wystrzelone zostały już wszystkie ostrzegawcze rakiety.

Nikt już sobie nie miał nic do powiedzenia. Nie było żadnego crescendo.

Przeciwnie, raczej

myśleli ludzie, że ksiądz czy biskup przy okazji palnie sobie znowu kazanie przeciw „tak

zwanym ślubom”, i na tym rzecz się skończy. Toteż każdy, kto poszedł w niedzielę 12 sierpnia

na którąś z głównych mszy do któregoś z parafialnych kościołów Prato, a więc i do katedry,

zdziwił się usłyszawszy, co się tam czyta. Zdziwił się podwójnie, bo myślał, że biskup już się z

faktem pogodził. A poza tym zdziwił się, bo niczego podobnego nigdy nie słyszał. W kościele

Nieustającej Pomocy tekst przeczytano trzy razy. Z bliższej rodziny tak Nunziatich, jak Bel-

landich nikt go tego dnia nie usłyszał. Owszem, ten i ów na mszy był, ale wszyscy na cichej. Im

kto bliższy, tym więcej miał tego przedpołudnia roboty. Ślub był wyznaczony na jedenastą.

Po ślubie bomba też zaraz nie wybuchła. Państwo młodzi wyjechali do Cortina d'Ampezzo.

Powrócili w pierwszych dniach września. Ledwie rozpakowali kuferki, zadzwonił ktoś u drzwi.

Pan Bellandi poszedł otworzyć. Przed progiem stał chłopiec, który podał mu kopertę i – zniknął.

W kopercie był numer diecezjalnych Richiami z zakreślonym listem biskupa Fiordelli do

proboszcza Aiazzi, to znaczy tekstem, który po kościołach w dzień ślubu Bellandich

odczytywano. W liście tym, dotknąwszy wprzód różnych klawiszy, tak dogmatycznych, jak

uczuciowych biskup Fiordelli powiadał:

„W dniu dzisiejszym dwoje twoich parafian obchodzi wesele w zarządzie miejskim, odmówiwszy przedtem ślubu religijnego. Ich gest, wyrażający otwarte i pełne pogardy

wyrzeczenie się religii, jest przyczyną ogromnego bólu tak dla kapłanów, jak i dla wierzących.

Małżeństwo tak zwane cywilne dla obojga ludzi ochrzczonych nie jest absolutnie żadnym

małżeństwem. Jest co najwyżej początkiem skandalicznego konkubinatu. Imiona i nazwiska tych

ludzi brzmią następująco: Lorianą Nunziati i Mauro Bellandi. Ponieważ postanowieniem ich jest

żyć w publicznym, jawnym cudzołóstwie, stają się oni w świetle praw i moralności Kościoła

jawnogrzesznikami i odtąd mają im być odmówione sakramenty święte, nie mogą nikomu służyć

za rodziców chrzestnych tak przy chrztach, jak i bierzmowania, domy ich mają pozostawać

bez błogosławieństwa, w razie śmierci mają być pogrzebani na miejscu nie poświęcanym, bez

udziału księdza. Wolno się za nich jedynie modlić, aby ubłagać Boga, by ich oświecił i zdjął z

nich co prędzej zmoreę wywołanego okropnego skandalu".

Tekst kończył się przypisem odnoszącym się do rodziców Loriany: „Ich domowi też odmówione ma być błogosławieństwo oraz przed najbliższymi świętami Wielkanocy odwiedziny

proboszcza i pokropienie święconą wodą, ponieważ przez dopuszczenie do bezgranicznie

skandalicznej i grzesznej ceremonii pseudoślubu zaniedbali swoich najelementarniejszych

obowiązków rodzicielskich".

Na drugi dzień Bellandi wsiadł w samochód i pojechał zaskarżyć obu kapłanów o obrazę

czci. Do oburzenia jego wmieszało się sporo pogardy. Włączenie do sprawy starych Nunziatich

wydało mu się obrzydliwe. Uważał za małostkową mściwość ze strony biskupa karanie rodziców

za grzech córki. Dla Nunziatich represja biskupa była istotnie bolesna. Na msze, na wszystkie

nabożeństwa uczęszczali regularnie. Od urodzenia nieomal płacili składki na



najróżniejsze duchowe kasy. Na kilka miesięcy przed wypadkami odbyli wraz z monsignorem Fiordelli i pod jego przewodnictwem pielgrzymkę do cudownego Sanktuarium Madonny pod Pompeą, gdzie nawet podczas procesji Nunziati prowadził pod ramię biskupa z Przenajświętszym Sakramentem. I nagle taki afront! W kilka dni po Bellandim Nunziati udał się do tego samego adwokata we Florencji, Mario Bocci, przyłączając się do skargi zięcia. Kiedy jego ekscelencja dowiedział się o skardze oniemiał. Zawołał: „Swojego biskupa zaskarża do sądu? Niebywała rzecz!” Po przyjeździe, odwzajemniając powitanie, z którym wystąpił komunistyczny burmistrz miasta Giovan-nini, czyż nie zapowiedział, że chce być biskupem dla wszystkich? Cóż z tego, że tę jego formułę rozumiano w swoim czasie inaczej, to znaczy w kategoriach ugodowo-koegzystencjalistycznych! Nie prostował, a przynajmniej nie prostował słowem, lecz przeciwnie działalnością stwierdzał, jaką treść wkładał w to swoje oświadczenie. Nie żadną uprzejmościową i ustępliwą, ale treść prawną, opartą na paragrafach odwiecznej kościelnej jurysprudencji, która oddaje pod formułę ordynariusza wszystkie dusze diecezji i czyni go odpowiedzialnym za ich zbawienie. Wszystkie bez wyjątku! Nawet takie, które od jego owczarni odbiły się w sposób beznadziejny. Nawet takie, które oderwały się od niej nie tylko pod względem religijnym i światopoglądowym, ale na dodatek pod względem geograficznym. Czy monsignor nie pospieszył do umierającego Malapartego, który wyfrunął z Prato przed czterdziestu laty i nawet według przepisów od dawna mógł być uważany za parafianina nie związanego niczym z diecezją Prato? Ale biskup i z takiego nie chciał zrezygnować, na którego miał kanoniczne prawo machnąć ręką. A cóż dopiero mówić o Nunziatich czy Bellandich. A oni za jego troskę odwdzięczyli mu się skargą! Że biskup poczuł żal, to pewne. Psychicznie nie był w tym momencie w najlepszej kondycji. Z obiecaną obywatelom miasta Prato prowincją przesadził. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych sprawa się zaklinowała na amen. Ludziom, którzy otworzyli przed nim swoje mieszki, powiedział, że zepchnie komunistów z ich pozycji; nic z tego nie wyszło. Co gorzej, podobne rzeczy zapowiedział w Watykanie, zagalopował się! Z Bellandimi też się

przeliczył  
fatalnie. Najpierw myślał, że cofną się, potem myślał, że przełkną obrazę. Ich  
miesiąc miodowy  
utwierdził go w tym mniemaniu. A tu nagle taka bomba!  
Biskup był młody. Nie miał taktycznego doświadczenia. Nie miał wyczucia w  
palcach, jak  
daleko można było pójść w konflikcie z Bellandimi. Ale miał dostateczne wyczucie  
tak zwanego  
„stylu kurii”, oczywiście rzymskiej, by wiedzieć, że Watykan w sprawie, którą  
sprowokował,  
całym swym autorytetem poprze go, lecz zarazem, że to poparcie mocno obciąży  
jego karierę.  
Nie oznacza to, by należało uważać Fior-dellego za karierowicza. Nie, to nie  
byłoby słuszne. Ale  
reprezentował on pewną specyficzną formację, pewną szkołę: należał do młodych.  
Kongregacja  
Konsystorza zaryzykowała jego nominację na ordynariusza. Kilku kardynałów tej  
kongregacji  
zgodziło się, by spróbować młodych biskupów na odcinkach specjalnie zagrożonych  
przez  
komunizm. Zamianowano Fiordellego na Prato. Niejako na próbę, ad experimentum. W  
zasadzie  
dotąd wszystko szło dobrze, więc z dziesiątek monsignorów z tej samej generacji  
czekało, by  
podskoczyć do różnych innych biskupich pałaców, w miarę jak się będą opróżniać.  
A tu nagle ta  
awantura z Bellandimi. Jak nic mogła się na skutek niej wahać wskazówka na  
cyferblacie  
nominacji, kres kładąc kandydatom młodym, bijąc na zmartwychwstanie starym.  
Tak więc,  
jeśli nawet biskup Fiordelli nie zgryzł się tym, że na pewno na dłuższy czas  
zabarykadował sobie  
drogę do dalszych szczebli, zdenerwować się musiał, że rzucił kłodę pod nogi  
swoim kolegom,  
którzy z jego winy nawet pierwszego kroku kariery nie uczynią jako młodzi, tylko  
znowu będą  
musieli czekać i czekać. Nie miał bowiem biskup Fiordelli wątpliwości, że skarga  
Bellandich  
rozwinie się zaraz w zdrową awanturę.  
Tego Rzym nienawidzi! Nie dlatego, by był instytucją rozspaną i pragnącą  
świętego  
spokoju. Nic podobnego. Jest instytucją zajadłą, charak-terną i bojową. Lecz o  
dużym instynkcie  
taktycznym. E. mówi: „O instynkcie doświadczonej kobiety, która wie, czym może  
zdobyć, a  
czym wystraszyć!” Otóż na terenie Włoch za świeże są tradycje walk Garibaldiego,  
Mazziniego i  
wojsk Sabaudów, które się wdarły przez słynną dziurę koło Porta Pia przepędzać  
papieża z  
Rzymu, aby nie należało uważać. Można by na ten temat tomy pisać. Tak jak nie

można nasycić się przypatrywaniem tej grze, tym różnym posunięciom i wycofywaniami się, usztywnianiami i złagodzeniami, na przemian uśmiechom i grymasom pod tym samym adresem. Z pozoru problem bojowy jest prosty. W roku 1946 znikł z powierzchni politycznej Włoch przeciwnik, który w roku 1870 pokonał Kościół. Kiedy po referendum kładącym kres koronie Humbert pierwszy raz jako były król pokazał się na terenie Watykanu, żeby się pożegnać z papieżem, cała kuria rozumiała, że przyszedł przeprosić stolicę apostolską za dziadka i wyznać papieżowi, że rodzina jego popełniła błąd. Kardynał Pignatelli di Belmonte, dziekan Sw. Kolegium, miał się o tej wizycie wyrazić: „Canossa Sabaudów!” W rzeczywistości zaś Humbert żegnał Piusa XII chłodno, grzecznościowo, podobno nawet w ogóle nie chciał do niego iść, oburzony, że Kościół nie przyszedł z pomocą dynastii w okresie referendum. Bo to prawda, że nie przyszedł. Zaryzykował narodzenie się republiki. Nie należy jednak przypuszczać, że uczynił to dla czystej pomsty nad Sabaudami. To tylko po trosze, przy okazji. Ale głównie zdecydował się na republikę, czyniąc tę koncesję nowym czasom. Powiedziałbym – formalną. Miał wszelkie prawo sądzić, że tę formę uda mu się nasycić własną treścią. Po wojnie pozostał na terenie Włoch jedynym starym autorytetem, jedyną organizacją. Rozumiał, że partię musi wygrać. Niewątpliwie szansą ma znaczną. Ale oczywiście o szybkim opanowaniu sytuacji nie może być mowy. Mimo coraz lepszych pozycji, partia przeciąga się. Przeciągają ją nie tylko komuniści i socjaliści. Przeciąga się ona również nierzadko z winy drugiej strony. Czasem z winy różnych przesadnych katolików, którzy domagają się „ukoronowania papieża na króla Włoch”, od czego sam Watykan musi odżegnywać się jako od „poglądów nie na czasie”. Ale to rzadkie wypadki. O wiele częstsze wynikają z oświadczeń różnych polityków chadeckich czy kościelnych, którym marzy się „państwo totalnie katolickie”; czy też z posunięć na wzór biskupa z Prato. Znowu wtedy podnosi się alarm, podnosi się na niebezpiecznie szerokim froncie, od komunistów poprzez radykałów i socjaldemokratów do liberałów, pobudzając do odzewu wciąż jeszcze nie uśpione struny każdej niezależniejszej duszy włoskiej, strunę nienawiści do odwiecznej nietolerancji Kościoła i strunę wolnościową.

Po kilku dniach wiadomość o skardze rozeszła się po całym Prato. Biskup pojechał do Florencji, ponieważ jej podlega. Stary Dalia Costa nic mu nie poradził. Za przykładem La Piry gotów był kochać komunistów, jeśli się to mogło na co Panu Bogu przydać. Ale biskupowi Fior-delli co z tego? To znaczy w konkretnej sytuacji, w jakiej się znalazł, jaka z tego nastawienia pomoc? Żadna. Wikariusz generalny Dalia Costy, monsignor Tirapani, nie lubił go. Miał w swoim czasie na Prato innego kandydata. Zbył go więc teraz. Arcybiskup tytularny Gerapolis w Syrii, Ermenegildo Florit, suiragan Florencji, pił wody w Fiuggi. Fiordelli wyruszył do Watykanu. Tam, jak tego oczekiwał, powitano go bez entuzjazmu, i tak jak powinien się spodziewać, kazano się trzymać. W powrotnej drodze polecono mu zatrzymać się we Florencji. Kuria kardynała Dalia Costy była już w posiadaniu instrukcji. Miała uczynić wszystko, by skargę Bel-landich wymiar sprawiedliwości uznał za bezprzedmiotową. A jak nie, żeby ją wkręcił w takie sądowe kółko, by nigdy na wokandę nie wyszła. Mózg Kościoła więc wiedział. Po przyjeździe do Prato biskup Fiordelli przekonał się, że zaczął działać nie tylko mózg. W małym świątku jego własnego pałacu i własnej kurii wrzało. Ze świątka tego szły iskry do probostw, do kółek, do związków, do sekretariatów, wszystko, rzecz prosta, katolickich. Osobne iskry z sykiem wylatywały w świat z zakrystii parafialnej kościoła pod wezwaniem Nieustającej Pomocy. Z zakrystii iskry przeskoczyły na łamy katolickiej miejscowej prasy. Najpierw aluzyjnie, kiedy jednak prateńska mutacja Unity wywaliła kawę na ławę, zapanował w tej sprawie istny sądny dzień. – Stało się! – musiał sobie powiedzieć biskup Fiordelli. – Stało się! Zalać ognia już nie mógł. Zresztą sam po części gorzał tym samym ogniem, co jego rozpasane owieczki. Dla nich targnięcie się na ich biskupa było czymś strasznym. Nauczono odnosić się do niego jak do lokalnego papieża, krok Bellandiego uważali za równoznaczny ze świętokradztwem czy bluźnierstwem. Zresztą Kościół sam stawia sakrę biskupią na wielkich wysokościach. Jak papież jest następcą Chrystusa, tak oni są następcami apostołów. Nie byle śmiałość to ciągać więc po sądach następcę, przypuśćmy, świętego Jana, Łukasza czy Mateusza, nie byle jaka śmiałość i nie byle jaka obraza boska. Skoro tak, w stosunku do podobnego bluźnier-cy porządny katolik ma rozwiązane

ręce;  
wolno mu wszystko: a nawet winien on zdobyć się na zademonstrowanie swego zdania. Zaczęto więc je demonstrować różnie. Na pierwszy zab poszła drobnica: bojkot, pikietowanie, przechodzenie na drugą stronę ulicy oraz grubsze afronty, jak nieoddawanie ukłonu czy umykanie ręki. Następna faza: banki. Grosista Bellandi miał dwa kredyty handlowe, każdy od wysokości dwu milionów lirów, jeden w Prato w Banco d'Italia, drugi we Florencji w Banco di S. Spirito. Wymówiono mu w obu. Trzecia faza: rękoczynny i napaści. W pojedynkę, parami, ale kiedy pewnej nocy Bellandi, stukilowy olbrzym, rozpędził kułakami i kopniakami pięcioosobową bandę, przynajmniej to ustało. Jednocześnie działała prasa. Od lokalnej przejęła sprawę florencka, od florenckiej rzymska. Pisma katolickie pisały o niej pod takimi tytułami: „Niesłychany wybryk antyreligijnej nietolerancji” lub „Biskup Prato przed sądem za wypełnianie swoich obowiązków duszpasterskich”. Popolo, Quotidiano, Messaggero i w ogóle wszystkie pisma i tygodniki katolickie, chadeckie, Akcji Katolickiej i watykańskie raz po raz zamieszczały wypowiedzi wielkich teologów, wykazujące, że biskup miał absolutną rację. Pisma laickie, komunistyczne i niekomunistyczne, pienily się z oburzenia. Wydawało się niepojęte, że w wytworzonej sytuacji można jeszcze wykręcać się od uderzenia się w pierś. Watykan podpisał Pakty Lateraneńskie i konkordat. Oba te dokumenty w materii małżeńskiej są wyraźne. Odczytując je nikomu nie może przyjść do głowy, że Kościół nie przyjął istnienia ślubów cywilnych do wiadomości, skoro zgodził się na zasadę, że nikomu nie udzieli ślubu kościelnego, kto nie przedstawi dowodu, że wziął ślub cywilny, lub nie wyrazi zgody, by ksiądz, mający mu udzielić ślubu kościelnego, nie dokonał przed tym odpowiednich czynności w charakterze urzędnika cywilnego. W tym stanie rzeczy żaden ksiądz, biskup czy arcybiskup nie może udawać, że spadł z księżycy. Zwłaszcza że od podpisania wyżej wymienionych dokumentów upłynęło blisko trzydzieści lat. Od tego czasu setki tysięcy ludzi wzięło ślub cywilny, na pewno tym sposobem budząc ból Kościoła, ale nic poza tym, ponieważ za wszystkimi tymi małżeństwami stało prawo państwowe, które Kościół zgodził się respektować. I jakże zresztą postąpić miał inaczej. Mógł

milczeć albo zerwać konkordat. Ale nazwać wszem wobec, słowem i drukiem, „publicznymi cudzołózcami” parę, która w tej mierze zaufała przepisom państwowym, wydawało się, że nie mógł. A to dlatego, ponieważ będąc nadto doświadczoną instytucją rozumie, że żadne państwo nie zgodzi się, by mu publicznie lekceważyć jego prawa i obrażać jego obywateli, którzy są z punktu widzenia państwowego w najzupełniejszym porządku. Na to teologowie z niezmałym spokojem odpowiadali, że z punktu widzenia prawa kanonicznego, które nie uznaje ślubów cywilnych, taki ślub jest równoznaczny z aktem mającym zapoczątkować zwykłe cudzołóstwo, tyle tylko, że dokonywane z większą stałością i uporem. Cytowali Piusa IX, który mówił: „Nie usankcjonowany sakramentem małżeństwa wszelki związek tego rodzaju pomiędzy dwojgiem chrześcijan jest zwykłym cudzołóstwem”. Lub też jeszcze w tej materii jaśniejsze zdanie: „Jakikolwiek bądź związek pomiędzy chrześcijanami poza sakramentem małżeństwa, nawet jeśli dokonany na podstawie jakiegoś przepisu cywilnego, nie jest niczym innym niż obrzydliwym i śmiertelnie grzesznym konkubinatem, przez Kościół potępionym”. Cytowali dalej instrukcje Sw. Kongregacji Sakramentów z tego samego okresu co pakt, powiadające: „Katolików zamierzających wstąpić w związki małżeńskie zobowiązuje się jak najsolennie, by brali tylko ślub kościelny, zważywszy bowiem na to, że z takiego ślubu wynikają również wszelkie skutki cywilne, nie mogą mieć oni żadnej przyczyny ani wymówki czy pretekstu, żeby się od niego uchylać. O ile by więc tacy ośmielili się wziąć ślub cywilny, nawet w wypadku gdyby nosili się z zamiarem wzięcia następnie ślubu kościelnego w najbliższej przyszłości, mają być przez władze kościelne traktowani jako publiczni grzesznicy”. Takie ustępy z różnych encyklik, listów pasterskich, z różnych Bieve i cyrografów cytowali w nieskończoność. Tyle teologowie. Kanoniści też mieli co cytować. Na przykład z artykułu pierwszego konkordatu: „Włochy zapewniają Kościołowi katolickiemu swobodę w sprawowaniu jego władzy sądowej w przedmiocie spraw kościelnych”. Lub też z artykułu drugiego: „Zapewnia się biskupom ordynariuszom swobodne publikowanie jak również zawieszanie, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz drzwi, prowadzących do budynków poświęconych kultowi czy też

zajętych przez  
urzędy kościelne, wszelkich pouczeń, zarządzeń, listów pasterskich, biuletynów  
diecezjalnych i  
innych dokumentów wpływających z ich władzy duszpasterskiej nad wiernymi,  
dotyczących  
spraw, co do których uznają się za kompetentnych pod względem jurysdykcyjnym". I  
wiele  
innych podobnych miejsc tak z konkordatu, jak z paktów czy z prawa kanonicznego.  
Wszystkie one pasowały do sprawy Bellandich znakomicie. Każdy jednak, nawet  
zakamie-  
niały i wiernopoddańczy katolik, wyczuwał tu jakieś ale. Ludzie we Włoszech  
grzeszą ciałem na  
potęgę, ludzie świeccy i duchowni, nikt im za to nie powie złamanego słowa na  
głos, tylko na  
ucho, w konfesjonałach. A tym dwojgu, przyzwoitej z każdego punktu widzenia  
parze, wyrąbano  
taką rzecz publicznie! Jasne, że uczyniono im krzywdę. Co zaś do skargi, wyskok  
rzeczywiście  
niesłychany – powiadał niejeden z takich katolików, lecz zaraz dodawał: – Co  
mógł innego  
uczynić mężczyzna, mąż, a do tego Włoch, któremu zniesławiono kobietę. Musiał  
jej bronić!  
Mijały tygodnie; wrzawa nie ustawała. Pieniły się gazety chadeckie i kościelne,  
pieniły się  
gazety lewicowe i laickie. Teologowie i kanoniści nacierali. Do drzwi co  
słynniejszych  
prawników pukali reporterzy z prośbą o wywiad czy wypowiedź. Jedni spełniali  
prośbę  
dziennikarzy, inni nie. Kto przeglądał prasę w tych czasach, zgodzi się ze mną,  
że prawnicy nie  
szli do tego boju ławą. Mówili, że nie wypada im osądzać, skoro sprawa jest w  
toku. Ci zaś,  
którzy godzili się i zabierali głos, nakładali na swoje słowa tłumik. Nie należy  
jednak z tego  
wyciągać pochopnych wniosków, że w tym kraju wielkie autorytety prawnicze  
pozbawione są  
kręgosłupa. Tak nie jest. Jest wśród nich cała masa lwów. Nie chcą tylko  
pogarszać szans  
poniewieranej sprawiedliwości, ujadając się o nią publicznie. Upierają się przy  
jej obronie w  
gabinetach czy za stołem sędziowskim, co jak wiadomo jest dla łamiących prawo  
zawsze  
łatwiejsze do przełknięcia niż wywlekanie sprawy na światło dzienne.  
W wypadku naszym sytuacja magistratury była tym delikatniejsza, że pozostawała  
sama.  
Wiedziała, że nikt jej nie pomoże, nikt za nią nie stanie, nikt jej nie osłoni.  
Z prawnego punktu  
widzenia nie ulegało dla niej wątpliwości, że Bellandi ma rację. Chciała mu więc  
ją przyznać.  
Nie ugiąć się. Tylko cisza, tylko wielka dyskrecja mogła być jej

sprzymierzeńcem. Stąd przez długi czas nic się nie wydobywało na zewnątrz z flon nckiej prokuratury. W światku prawniczym lego miasta wiadomo było tylko, że z pałacu ptzy Piazza San Giovanni idą wściekle naciski i że magistratura florencka targuje się i broni. Pałac arcybiskupi domagał się odrzucenia skargi z całą ostentacją. Prokuratura wykręciła się. Wykręcała się jakoś od dalszych warunków i propozycji. Machina, która maglowała sąd, była ogromna. Kuria obrabiała zwłaszcza prokuraturę, a w jej łonie przede wszystkim dra Giuseppe Ognibene, wiceprokuratora generalnego, w którego rękach spoczywała sprawa. Jednocześnie z tą obróbką szła robota oddolna. Przekonywanie poszczególnych osobistości o racjach Kościoła. Wytwarzanie odpowiednich nastrojów w kołach prawniczych miasta. Coraz też rozchodziły się po Florencji, a z Florencji zaraz przepływały do Prato informacje o tym, że sąd skargę odrzucił. Nie ustawał też w swojej akcji Fiordelli. Działał on, działali wszyscy proboszczowie, koła, kółka, związki, a przede wszystkim klasztory; więc karmelitanie bosci św. Franciszka, karmelitanki z domu przy ulicy Della Robbia oraz tercjarki z ulicy Galileusza, oblaci Matki Bożej, domini-kanki z Fundacji Kardynała Nicolo, bracia mniejsi z Galceti oraz od niedawna osiedlone w pięknej siedzibie przy ulicy Sw. Katarzyny Córki Dobrego Miłosierdzia. Wszystko to od rana do wieczora miotano się po całym Prato, naszeptując, namawiając, nacierając, ze słowem to groźby na ustach, to łaskawości. Pewnego dnia zgłosił się do starego Nunziatego, najsłabszego ogniwa ze skarżących, nieznany mu augustianin z placu Św. Ducha we Florencji i pokazał decyzję prokuratora odrzucającą wszystkie pretensje do biskupa i do proboszcza z Prato „z uwagi na to, że ich czyny nie stanowiły przestępstwa”. Stary Nunziati widząc, że nic nie może uzyskać, i pragnąc przynajmniej odzyskać serce biskupa „choćby w ostatniej chwili”, jak radził zakonnik, wycofał skargę. Emisariusz w habicie nie oszukał go. W kilka dni później prasa podała do publicznej wiadomości znamienne postanowienie dra Ognibene. Teraz przyszły na Bellandich najgorsze czasy. Ludzie bowiem są ludźmi, a tym bardziej Włosi Włochami, nawet jak są komunistami. Na wielki dzwon się zapalą, ale jak dźwięk jego ucichnie, puszczają wszystko w niepamięć. Tak i w tym wypadku coraz mniej osób



nakładało  
drogi, by poprzeć Bellandiego takim czy innym zakupem. Boykot natomiast nie  
ustawał.  
Pilnowały pikiety, ale jeszcze skuteczniejsi konkurencyjni sklepikarze, którzy  
przejawszy katolicką  
część klienteli grzesznego Bellandiego warowali teraz nad jej duszą. Na  
szczęście ludzie to nie  
tylko tłum, ale i jednostki. Znalazło się ich kilka i jedynie dzięki nim  
Bellandi przeżywał przez te  
najgorsze miesiące i żonę, i siebie.  
Musiało mu być w tym czasie niewypowiedzianie ciężko. Przyzwoity katolik w tym  
okresie  
progu jego sklepu nie przestąpił, ale po domu kręciło się ich wciąż za dużo.  
Kiedy wchodził,  
wymykali się, a jak nie, to cichli. Motali coś za jego plecami, klarowali i  
klarowali coś jego  
żonie. Bellandi zaciskał zęby. Nie przeganiał ich, gdyż był zawsze za tym, żeby  
każdy miał  
swobodę wypowiedzenia swojego zdania. Na zebraniach, w prasie, w rozmowach z  
ludźmi, a więc  
także i w jego domu.  
Lęk go brał, że ta swoboda może się obrócić przeciw niemu. Tym więcej, że żona w  
związku  
z jej stanem nie panowała nad wszystkimi swoimi władzami, to znaczy nie panowała  
tak, jak  
zwykle. Odebrać takiej kobiecie spokój, nastraszyć ją przychodzi łatwo. Wojna,  
choroba, pełne  
morze i brzemienność to nieporównani apostołowie. Od skargi, którą wraz z mężem  
podpisała,  
Loriana nie chciała odstąpić. Na żaden krok dezawuujący męża nie dała się  
namówić. Ale na  
jedno zgodziła się. Na rozpoczęcie starań o tak zwany powrót in sanctis. Jest to  
termin na  
postępowanie, które wdraża ekskomunikowany, pragnący wrócić na łono Kościoła.  
Oczywiście,  
póki istniał ten szkopuł ze ślubem, nic nie mogło być załatwione. Toteż nie  
chodziło  
namawiającym o rezultaty. Chodziło tylko o to, aby Loriana „wyraziła odpowiednią  
wolę”.  
Teraz była już między nimi ta cienusieńka przegroda. Hałas wokół sprawy z wolna  
ustawał.  
Burza przeszła. Już można było osądzić, czego dokonała. Nieskończenie dużo  
naniszczyła. Jeżeli  
się chciało poprawy i zmiany, trzeba się było temu przeciwstawiać zwykłymi,  
codziennymi  
środkami. Wielkie moce już odstąpiły Bellandich, już władza, już ambicje  
wielkich tego świata  
się nimi nie interesowały. Nikt o nich nic nie słyszał przez kilka miesięcy.  
Lecz tylko przez kilka.  
Okazało się bowiem, że ta cisza, która zapanowała nad ich nazwiskami, to był

tylko antrakt.

Jeszcze w jej strefie, w strefie ciszy, Loriana rodzi dziecko. Ani rzymskiej, ani florenckiej, ani nawet lokalnej prasie nie przychodzi do głowy powiadomić czytelników, że Bellandim w małej klinice Villa Floriça na przedmieściu Prato urodził się synek. Jest szesnasty października 57 roku. Bo dopiero dziesięć dni później, a dokładnie mówiąc dwudziestego piątego tegoż miesiąca, raptem znowu właściciel skromnej hurtowni spożywczej z Prato oraz jego żona stają się głośni.

Wiadomość podana na pierwszych stronach wszystkich pism włoskich brzmi:

„Apelacja uznała

zasadność skargi Bellandich na biskupa z Prato. Biskup Fiordelli i proboszcz

Aiazzi zasiądą 26

stycznia 58 roku na ławie oskarżonych przed sądem we Florencji”.

Tymi tytułami oraz wiadomością zaskoczeni zostali wszyscy. Z wyjątkiem dra Aldo Sica,

kierownika Wydziału Dochodzeń (Sezione Istrutto-ria) w Apelacji, który

przygotował wniosek i

podpisał, nikt się czegoś podobnego nie spodziewał. Jedni po orzeczeniu dra

Ognibene uważali

kwestię za załatwioną, inni – utracili nadzieję. Aldo Sica, opracowując sprawę na nowo, miał

więc poniekąd pewnego sprzymierzeńca, a mianowicie tę ciszę, która wokół historii w Prato

zapanowała. Cisza ta uspiła czujność kurii, która najpewniej sfolgowała w swoich naciskach. Dr

Sica zresztą pracował powoli. Zapaliwszy się do zagadnienia, zgłębiał problem teoretycznie.

Rozczytywał się w najróżniejszych tekstach. Szukał dla niewątpliwej, acz

zamglonej racji Bellan-

dich naukowego uzasadnienia. Stanął na stanowisku, że rzeczą państwa jest bronić majątku,

zdrowia, życia i czci obywatela. Z samej natury swoich praw i obowiązków państwo nie może

więc zrzec się podobnej obrony czy umówić się z jakąś organizacją czy

instytucją, że krzywd

swoich obywateli nie będzie dochodzić.

Orzeczenie napisane przez dra Sica jest bardzo długie. Rozwija on i uzasadnia swoją tezę na

całych dziesięciu stronach. Powiada na wstępie tego dokumentu, że rzeczywiście na podstawie

artykułu siódmego konstytucji państwo i Kościół mogą się uważać we Włoszech za absolutnie

wolne, każde na swoim podwórku. Na mocy tego paragrafu nie będzie wolno państwu ustalać

liczby świec, które mają zapłonąć przy wielkim ołtarzu w zależności od tego, czy ślub bierze

szlachcic, czy mieszczanin, tak jak to ustalało państwo Józefa II. Z drugiej

strony Kościół nie będzie ustalał podatków, tak jak je ustalał w państwie Burbonów Neapolitańskich, żywo nimi zainteresowany, ponieważ od wszystkich obciążeń brał dziesięcinę. Na mocy konstytucji kompetencje będą rozdzielone. Nie będzie miało znaczenia prawnego, jeśli państwo wypowie się w zakresie świec czy w zakresie czegoś podobnego. I odwrotnie. Działa ta zasada nie tylko wtedy, kiedy w grę wchodzi zakresy wyłącznie interesujące czy to państwo, czy to Kościół. Nie tylko kiedy materie są exclusivae, ale także kiedy są commixtae, to znaczy mieszane. Jeśli chodzi o sprawę Prato, materia, z którą mamy tu do czynienia, jest typową materią mieszaną. Dawniej, za wszechwładzy Kościoła, automatycznie grzech mógł pociągać za sobą konsekwencje karne. Jeszcze za Piusa IX ukarano trzema latami galier pewnego piekarza nazwiskiem Antonio Pedicini za to, że w Wielki Piątek nie pościł. W tych czasach zwyczajną rzeczą było skazanie na utratę czci za takie czy inne grzechy. Na podstawie wspomnianego paragrafu granica przebiega w ten sposób, że orzeczenia co do grzechu należą do Kościoła, orzeczenia co do czci – do państwa. No i oczywiście do państwa należy ochrona czci. Pod koniec swojego uzasadnienia dr Sica rozważa, czy- słowa użyte przez biskupa i proboszcza stanowiły obrazę czci małżonków Bellandich i pisze: „podług przeciętnej moralności bieżącej, konkubinat jest rzeczą w wysokim stopniu naganną. Zaklasyfikowanie więc dwojga ludzi jako publicznie żyjących w konkubinacie jest równoznaczne z ciężką obrazą ich czci”. Sąd Apelacyjny całe to orzeczenie przesłał zainteresowanym: biskupowi, proboszczowi i Bellandim. W dwadzieścia cztery godziny później ponownie zadzwonił ktoś do ich drzwi z kopertą. Bellandi poczuł ukłucie w sercu, ponieważ chłopiec, który mu ją podał, podobnie jak kiedyś rozpląnął się zaraz po jej doręczeniu. Otworzył ją i znalazł w niej fotokopię aktu chrztu swego syna. Ochrzczono mu go bez jego wiedzy w kaplicy Villi Floridy zaraz po urodzeniu. Na akcie widniały podpisy świadków: położnej signory Diddi, dwu starych ciotek Loriany, które nie kłaniały się Bellandiemu, oraz w dole już mniej czytelne podpisy siedmiu osób, nazwanych w tym akcie „obserwatorami z ramienia kurii”. Bellandi zapytał żonę, czy coś o tym wie. Wiedziała. Na drugi dzień po porodzie,

kiedy była  
jeszcze bardzo słaba, przyszedł do niej kapelan obsługujący kaplicę kliniki, ks.  
Mauro Stefanac-  
ci, i spytał, czy ma ochrzcić dziecko, bo wygląda słabe. Zachnęła się i  
odwróciła do księdza  
tyłem. Pod wieczór przyszedł drugi ksiądz, ksiądz Nesi, proboszcz parafii, na  
której terenie stała  
klinika, i oświadczył, że kapelan źle się wyraził. Chciał powiedzieć: „w  
wypadku, gdyby było  
słabe”. Męczył ją. Rzekła mu więc na koniec: „Możecie, ale przecież ono słabe  
nie jest, więc po  
co to wszystko”. Ksiądz Nesi odpowiedział na to, że wszystko jest w ręku Boga,  
nie powinna  
więc się niepokoić.  
Następnego dnia po tej wiadomości Bellandi, rano biorąc kąpiel, zemdlął w  
wannie. Na  
szczęście weszła żona. Po pół godzinie odzyskał przytomność a nawet siły, tylko  
głowa go trochę  
bolała. Po południu i to przeszło. Czuł tylko niepokój. Wsiadł w samochód i  
pojechał do jednego  
z przyjaciół, który w tych smutnych czasach podtrzymywał go na duchu i na  
kieszni. U tego  
Luciana Galii też jakoś nie mógł wysiedzieć. Tym chrztem się zgryzł ponad miarę.  
Krewnymi,  
żoną, ludźmi, wszystkim. Był nieomal sam na świecie przeciw całej machinie.  
Wierzył w  
sprawiedliwość. Ale ta sprawiedliwość nie musiała należeć do najmocniejszych,  
skoro kuria  
zdecydowała się rzucić Bellandiemu nowe wyzwanie, chrzcząc mu bez pozwolenia  
syna. Czują  
się wówczas mocna, bo to było, zanim się odezwał głos dra Alco Sica. Chrzest był  
jej do  
szczęścia potrzebny jako dalszy krok na drodze rewanzu za afront. Rewanz,  
którego pierwszy  
krok polegał na zgodzie wyrażonej przez Loria-nę na powrócenie in sanclis; a  
drugi – na tym  
chrzcie, także w końcu za jej cichą zgodą. Tak mu było źle z tymi wszystkimi  
myślami, że kiedy  
przyjaciel poradził przejażdżkę, Bellandi zaraz się zgodził.  
Galii, znając go dobrze i wiedząc, że nie lubi kręcić się bez celu, zaproponował  
skok do  
Florencji, do adwokata, z którym rozmowa zawsze Bellandiego uspokajała. Ale do  
adwokata nie  
dojechali. Nie zajechali w ogóle daleko. Na piątym kilometrze od Prato Galii w  
ostatniej  
sekundzie uratował sytuację, chwyciwszy kierownicę. Zatrzymał samochód. Jakiś  
człowiek,  
którego Bellandi o mało co nie wgniótł w szybę wystawową, przybiegł ze  
złorzeczeniami. Za  
nim właściciel zagrożonej szyby. Też z całą litanią przeciw pijakom. Ale

uspokoili się  
spojrzawszy na kredową twarz Bellandiego. Galii siadł za kierownicą. W szpitalu  
na  
przedmieściu Prato lekarz stwierdził paraliż: encephalitis haemorrhagica ex  
malitia intectiwa.  
Po klasztorach diecezji monsignora Fiordelli rzucono się do klęczników, żeby  
podziękować  
Bogu za znak nieomylny niezadowolenia. Jak się zdaje, w pałacu biskupim też  
niejeden na  
wiadomość, że Bellandi został porażony paralizem, odczuł wdzięczność połączoną z  
dreszczem  
grozy. Ktoś z tej okazji przypomniał słynny wypadek z życia św. Jana Kapistrana,  
któremu  
przyniesiono w trumnie studenta, aby go wskrzesił. W rzeczywistości student nie  
był umarły, a  
ci, co go przynieśli, byli niedowiarkami, którzy chcieli sobie zadrwić z Jana  
Kapistrana. Ale  
święty skupił się tylko i rzekł, wyciągając palec w kierunku studenta: „Skoroś  
wszedł pomiędzy  
umarłych, pozostań między umarłymi!" Niedowiarkowie rzuciwszy się do trumny i  
znalazłszy w  
niej prawdziwego trupa, nawrócili się; tak oni, jak i wszyscy inni  
powątpiewający całego tego  
miasta, w którym zaszedł ów cud z uśmierceniem człowieka. Reszta zaś ludności,  
ta religijna,  
radowała się i dziękowała niebu za zesłanie jej takiego Bożego człowieka.  
Ledwo w Prato wybuchł podobny entuzjazm, z Rzymu przyszedł naglący rozkaz  
nałożenia  
nań surdyny. Nie doszło więc do nabożeństw. Prasa katolicka też starała się  
pisać o nowym  
wydarzeniu w sprawie Bellandiego jak najpowściągliwiej. Niemniej trudno pisać  
powściągliwie,  
kiedy piersi nabrzmiewają tryumfem, toteż różne rzeczy w tej prasie się  
podówczas spotykało.  
Rozważania o naturze Opatrzności pomocnej, ale karzącej. Nawiązywania do  
Ananiasza z  
Dziejów Apostolskich, spiorunowanego za negowanie władzom kościelnym tego, do  
czego one  
miały prawo. Nie kończące się cytaty z Laktancjusza, apologety z IV wieku po  
Chrystusie, który  
w dziele pt. De mortibus persecutorum przeprowadza dowód, że poczawszy od Nerona  
każdy z  
prześladowców Kościoła źle kończył. Ale ponieważ żyjemy w XX wieku i teologowie  
też  
nadażają, nie brakowało nowocześniejszych metod dowodzenia i autorytetów. Na  
przykład  
Freuda z jego teorią zahamowań, prowadzących nieraz do formalnego paraliżu na  
tle  
zepchniętego w podświadomość poczucia winy. Albo Junga, w którego dziełach roi  
się od

wypadków apopleksji na skutek zdławionych wyrzutów sumienia. Artykuły sypały się. Bellandi nic o nich nie wiedział. Leżał nieprzytomny w szpitalu. Kilka wielkich sław zainteresowało się jego wypadkiem, między nimi profesor Lunedei oraz profesor Frugoni, lekarz Malapartego. Nic głębinowego ani nadnaturalnego w nim nie dostrzegli. Pęknięcie żyłki w mózgu i wylew krwi miał swoją przyczynę w grypie, którą Bellandi zaniedbał. Odegrały swoją rolę i nastrój duchowy, i nerwy, ale głównym powodem była infekcja, a raczej stosunek do niej chorego, stosunek bardzo lekkomyślny, jeżeli lekkomyślnością nazwać można stan psychiczny człowieka pod prężeniem publicznym, bojkotowanego, zaszczuwanego, który nie ma nastroju do kurowania się i leżenia w łóżku. Pod piórem katolików Bellandi zawsze zmienia się w komunistę. On jednak komunistą nie był. Nie chciał ślubu w kościele ze względu na rodzinne tradycje, które były wolnomyślnie i laickie. Bellandi nie był żadnym wrogiem, żadnym wojującym antyklerykałem. Nie wierzył w te rzeczy i uważał za niegodne siebie, by wymawiać słowa i wykonywać gesty, nie mające dla niego sensu. Negował. Nie afirmował natomiast niczego. Nie żądał też od żony żadnych afirmacji. Nigdy też od niej nie zażądał, żeby wyrzekła się Boga. Nie istniał on dla niego. Można by powiedzieć, że Bellandiemu całkowicie wystarczałyby obojętność na cały kompleks tych spraw, gdyby nie fakt, że o prawo do tej obojętności trzeba było walczyć. Bez uwzględnienia, że w zakresie tych spraw miał predylekcję do obojętności, nieraz łatwo było posądzić Lorianę Nunziati o nieojalność w stosunku do męża. Że w najcięższych czasach wyrosła pomiędzy nimi cieniutka kurtynka, to pewne. To pewne, że Loria-na pozwoliła się nachodzić, i to pewne, że księdza nie wyprosiła, kiedy przyszedł do niej wyciągać zezwolenie na chrzest. Przez to jednak nie oszukiwała męża. Nie łamała zakazu, którego on jej nigdy nie wydał. Że napelniała jego duszę zmartwieniem, to nie ulega wątpliwości. Ale w żadnym razie – goryczą. Ta kurtyna więc, o której wspomniałem, utkana była z bólu, ukryć się tego nie da. Ale podkreślić również warto, że chociaż cierpiał, mógł Bellandi nie żywić do żony żadnych pretensji. Tak czy inaczej wszystko to należało już tylko do historii ich życia. Nadeszła nowa epoka. Choroba męża, przyczyny,

okoliczności, sposób, w jaki ją przyjęła bogobojna część miasteczka, zmieniły Lorianę.  
Mąż jej leżał nieprzytomny. Czekala chwili, by mu powiedzieć słowa, od których by w jednym mgnieniu oka zniknęła dawna k\_rtyna. Ale mąż leżał nieprzytomny. Uczyniła jedno dla okazania, jak bardzo teraz zrozumiała go. Kiedy w pokoju chorego pokazała się pierwsza sutanna z najróżniejszymi aluzjami do sposobów uratowania męża „poprzez uzyskanie przebaczenia boskiego i jego ekscelencji”, Lorianą ucięła rozmowę z miejsca. Następny ksiądz znalazł już przed drzwiami separatki szpitalnej pikietę. Tym razem pikietę „czerwonych”, do których Lorianą zwróciła się, żeby bronili jej męża.  
W miasteczku nastroje zmieniły się. Na początku wszyscy mówili: „Bóg go skarał!”, teraz ludzie mówili: „Zaszczuli człowieka!”. Mówili, wzruszali się, wściekali i przyznawali rację Unicie, która sobie używała. Biskup kręcił się po swoim pałacu i denerwował. Nie wiedział już sam, co robić; ani on, ani jego Aiazzi, ani miejscowy sekretarz Chadecji, ani sekretarz Akcji Katolickiej. Zdaje się, że z tych dni pochodzi memoriał, który mi pokazywał D. Jest ogromny, skierowany do wszystkich ordynariuszy i poważniejszych członków kurii rzymskiej. Zaopatrzone w załączniki: kopię anatemy biskupiej wydrukowanej w Richiami, kopię metryki noworodka Bellandich, no i, najciekawszą, kopię wyjaśnienia złożonego przez biskupa sędziemu we Florencji.  
Ton pierwszego dokumentu, na pewno pióra biskupa, co do tego wszyscy są zgodni, jest minorowy. Czasownik „musiał”, „zmuszony był” powtarza się w nim dziesiątki razy. Nie podobał się on w kurii głównie dlatego, „że – jak się wyraził pewien monsiynor w rozmowie z D.– odkrywał rzeczy, z którymi od szeregu lat Kościół walczy”. W wyjaśnieniu dla sądu nie znalazłem nowych elementów. Zapamiętałem tylko, że ciągle pojawia się w nim słowo „kara” czy „ukarać”. „Od razu w pierwszej rozmowie zapowiedziałem jej, że ją ukarzę”. „Dla przykładu musiałem ją ukarać” itd.  
Rozesławszy ten memoriał biskup znowu zaczął czekać. Z obu kurii, którym podlegał, florenckiej i rzymskiej, nie przychodziły żadne wskazówki. Dziennikarze nachodzili go, nie wiedział, co im mówić. Pewnego dnia adzielił wywiadu, który zdradził istotny stan jego ducha,

nieco zachwianego w przekonaniach o swojej słuszności. Pomędzy innymi w tym wywiadzie monsignor Fiordelli wskazywał, że w tekście listu do proboszcza Aiazziiego wszędzie słowa „publiczni grzesznicy” i „publiczni cudzołózczy” brał w cudzysłów dla podkreślenia, że to są cytaty z prawa kanonicznego. Zdawał się w ten sposób zrzucić z siebie winę na prawo kanoniczne, że takich wyrażen używa. Podchwyciły to pisma lewicowe. Przyszło wtedy upomnienie z Rzymu, żeby milczał. Był czas najwyższy na ten zakaz, bo biskup wahał się w jedną stronę, z kolei przechylił się w drugą. Powróciła mu pewność. Rozkaz z kurii rzymskiej minął się z jego artykułem w miejscowej prasie, w którym dowodził, posługując się porównaniem nieco ryzykownym, że „na przykład jeśli jakiś myśliwy nie szanuje przepisów łowieckich, kółko myśliwskie, do którego należy, ma prawo go skarcić czy usunąć i nie zdarzyło się jeszcze, by za to zostało przez takiego myśliwego pociągnięte do odpowiedzialności”. Artykuł kończył się zapewnieniem: „Niech mnie skazą na więzienie, na galery, odsiedzę, przetrzymam, wycierpię; na wolności jednak, przy pierwszej nadarżającej się okazji, postąpię tak samo, jak postąpiłem, i powtórzę te same słowa potępienia, które wypowiedziałem”. Bellandi przytomności nie odzyskiwał, towarzysze z miejscowej federacji go pilnowali, w kurii rzymskiej łamano sobie głowę, jak delikatną rozgrywkę prowadzić dalej; w świecie katolickim zaś, politycznym, intelektualnym, organizacyjnym raz po raz wyskakiwał ktoś na front sceny, żeby popisać się niezłomnością. Dla wielu podobne sprawy, jak ta z Prato, to manna. Pozwalają przypomnieć o sobie, zaliczować wyżej niż koledzy, oczyścić się z podejrzeń o chłodny stosunek do religii, niekiedy nawet całkiem wyleczyć się politycznie. Oświadczeniem, wystąpieniem, protestem, indywidualnym czy zespołowym, którego przeprowadzanie trzeba wziąć na siebie, aby mieć prawo zapisania na swoim koncie płynącego z takiego protestu politycznego zysku. Manną stają się również takie sprawy dla różnych zakonników i księży, specjalistów od dociskania chwiejących się i niezdecydowanych, takich oczywiście, którzy zdecydowali się poddać we wszystkim, tylko nie mogą zdecydować się na okoliczności.



Czytając prasę z tych czasów dla przyjrzenia się takim zjawiskom natrafia się na nazwiska oczekiwane i na nie oczekiwane. Natrafia się na przykład na nazwisko La Piry, na które wolałoby się nie natrafić. Na pewno jednak bardzo trudno mu było nie zabrać głosu. Był na sali – chyba można tak powiedzieć – kiedy to się stało w Prato. Mieszka we Florencji, jest profesorem prawa, jest specjalistą od cienkich zagadnień stosunku Kościoła do państwa. Tysiąc par oczu na niego patrzyło, musiał się więc odezwać. Powiedział jednak tylko tyle: „Leon XIII w swojej Encyklice Immortale Dei mówi: Bóg podporządkował rodzaj ludzki dwu władzom, kościelnej i świeckiej. Każda z nich jest w swojej dziedzinie niezawisłą. – Artykuł 7 naszej konstytucji, określający wzajemne stosunki Kościoła i państwa, opiera się na tej formule, i to świadomie. Wynika z tego, że jeśli zachodzi konflikt, jak w wypadku z Prato, nie może on być rozstrzygnięty wyłącznie na jednej płaszczyźnie magistratury... lecz... jedynie na płaszczyźnie bilateralnej, konkordatowej, regulującej stosunki między państwem a Kościołem. Innymi słowy mówiąc, zachodzi tu spór – jeśli przyjąć, że spór zachodzi – pomiędzy dwoma organizmami suwerennymi, Kościołem katolickim a państwem włoskim, który nie może nie spowodować interwencji dyplomatycznych". Inni korzystali z manny z większym impetem. Z największym chyba minister finansów, Giulio Andreotti, który parokrotnie na różnych publicznych zebraniach zaatakował sąd we Florencji za samo wpisanie skargi Bellandich na porządek dzienny. „Fakt – oświadczał – niesłychany, niepojęty, nie do przyjęcia... i przerażający przykład antyklerykalnej nagonki, z którą winno się walczyć z nie mniejszą nieustępliwością niż z komunizmem". Ciekawe jest śledzić, jak w atmosferze skażonej przez podporządkowanie się państwa Kościołowi nikt z rządzących, nikt z tych, co się dotkną sprawy Prato, nie umie zachować postawy. Paragraf 7 konstytucji mówi o Kościele i państwie, „z których każde w swojej dziedzinie jest niezależne i suwerenne". Ale w praktyce jedna z tych suwerenności okazuje się tu ustępliwą, suwerennością lżejszej wagi, suwerennością służebną. W Italii państwowość wydaje się niekiedy zaledwie formą, pustą formą. Podporządkowawszy sobie suwerenność państwową, Kościół powoli, wlewa się właśnie w tę pustą formę, przesyca ją. Przez wieki

wypracowywał w sobie odpowiednią wolę i ideologię, żeby być lokatorem głównym na ziemi. Nie może być na całej, to staje się nim wszędzie tam, gdzie może.

Na Andreottiego zareagowali komuniści i socjaliści. Senatorzy Donini z KPW i Busoni z partii Nenniego wystąpili z interpelacjami, prezes ministrów, Zoli, naciskany o niego odparł, że „nawet jeśli chce się uznać wystąpienie Andreottiego za nieprawidłowe, należy przyznać mu okoliczności łagodzące, bo przecież każdy katolik, minister czy nie, ma chyba prawo bronić napadniętego biskupa”.

Adone Zoli jest prawnikiem. Jest wybitnym adwokatem z Florencji. Podczas wojny był poważną osobistością w ruchu oporu. Gestapo poszukiwało go zaciekle. W Chadecji zawsze wojował z konserwatystami, bigotami i klerykałami, i to w imię państwowości i demokracji. Jest z niego mówca świetny i człowiek wygadany. Ale kiedy mu przyszło odpowiadać na interpelacje Doniniego i Busoniego, „wyglądał – jak pisze korespondent Times'a – nieco zaambara-sowany”.

I z całą pewnością nie był z siebie zadowolony. Po cichu musiał w diabły posyłać niefortunnego biskupa. Lecz na mównicy brnął, jak umiał. Cała jego odpowiedź jest nieprzyjemna. Nie tylko dlatego, że z lekka uszczypliwa pod adresem Bellandiego i przedstawiająca fakty pod specyficznym kątem biskupim („zważywszy na wielką popularność obojga młodych i na rozgłos wywołany ich decyzją, biskup...”), ale również ze względu na odwracanie oczu od tego, co stanowi esencję sprawy i na co mu interpelanci pokazywali palcem. W pewnym momencie Zoli użył wyrażenia: „tak zwane małżeństwo cywilne”. Na zwróconą mu uwagę odparł, że cytował biskupa. Nie cytował jednak, tylko się tak zawikłał. „Nie rozumiem – mówił – z jakiego powodu katolik, dlatego że jest ministrem, miałby być pozbawiony prawa zaprotestowania przeciwko dziennikarskiej kampanii, zwróconej przeciwko biskupowi”.

– Dlatego napada na sąd – odezwał się głos – że na biskupa napada prasa! Przecież nie sędziowie redagują dzienniki!

– Nie jest ministrem sprawiedliwości. Sądy są poza jego pionem.

– W pańskim gabinecie, podobnie jak w poprzednich, na porządku dziennym są przesunięcia.

Minister Andreotti może jak nic zostać jutro ministrem sprawiedliwości. Nie potrzeba było aż takiej zmiany. Najpewniej już wtedy, podczas tej debaty,

powziął swoją  
decyzję inny członek gabinetu Zoli, właśnie ten od sądowego pionu, Gonella. Po  
kilku dniach z  
ministerstwa przyszły do Florencji dekrety. Same dobre, same awanse. Tyle że  
zwolenników tezy  
dr. Sica, tezy, że w sprawie biskupa sąd winien się wypowiedzieć, te nominacje  
usuwały z  
Florencji. Zwolenników zaś tezy dr Ognibene, tezy odrzucającej skargę Bellandich  
jako  
beprzedmiotową, ustawiały tak, żeby mogli zadokumentować ten swój pogląd w  
odpowiedniej  
instancji.  
Zdaje się jednak, że sprawa nie jest taka prosta. Jak już raz dostała się na  
wokandę, nawet  
przegrana w pierwszej instancji będzie powracała i powracała. Najlepszą rzeczą,  
właściwie  
jedyną zwycięską dla biskupa, byłoby, gdyby Bellandi wycofał skargę. Na obie  
rodziny w tym  
kierunku szły naciski. Niedawno senator Donini powrócił w senacie do tej sprawy  
i podał sumę,  
którą prateńska Akcja Katolicka zaproponowała Lorianie za przekabacenie męża.  
Suma jest  
olbrzymia. Złożona jest w jednym z tych banków, które odmówiły kredytu  
Bellandiemu. Trudno  
nie uznać tej propozycji za równie odpychającą, jak też, z punktu widzenia  
założeń, które sobie  
postawił biskup Fiordelli, bardzo nierozsądną. Jeśli za odstąpienie od tego  
rodzaju skargi będzie  
można otrzymać kilkadziesiąt milionów lirów, na pewno znajdą się tysiące par,  
które już nie ze  
względów ideowych, ale pieniężnych zechcą się pod takie same anatemy podstawić.  
Rzym, 23 stycznia 58 r.  
Umarł nasz miły ksiądz Szczepan Mancini. Był Kanonikiem Regularnym  
Lateraneńskim.  
Jego klasztor mieścił się przy Bazylice Sw. Agnieszki za Murami. Lubiliśmy go i  
on nas lubił,  
Zosię i mnie. Lubiliśmy go odwiedzać z butelką starego miodu, którą pośpiesznie  
chował w  
przepastne kieszenie habitu zakamuflowane fałdami. Najczęściej czekaliśmy na  
niego, aż  
wyjdzie z katakumb, malutkich, zgrabnych, chociaż dosyć późnych, lecz dzięki  
temu znakomicie  
zachowanych katakumb, po których oprowadzał turystów. Ustawialiśmy się z boku, a  
złowiwszy  
jego spojrzenie przesyłaliśmy mu uśmiech. Wtedy on włączał trzeci bieg. Z dużym  
przyspieszeniem zegnał się z grupą, którą wyprowadził z katakumb, z jeszcze  
większym zabierał  
się do następnej. Ale nie była ona na tym pośpiechu stratna, bo co jej uskapił  
na czasie, zwrócił  
jej w animusze, z którym zapoznawał ją z dziejami -i sekretami świętego miejsca.

Nie myślę,  
byśmy byli dla niego, Zosia i ja, kimś indywidualnie bliskim. Byliśmy tylko  
Polakami, i to  
Polakami – stamtąd. Widział w nas jaskółki, za którymi spodziewał się  
przychodzącej wiosny.  
Wiosny wyrażającej się w rzece pielgrzymów, pielgrzymek z Warszawy, Krakowa,  
Poznania czy  
Częstochowy, pielgrzymek, które stanowiły treść jego życia, odkąd wrócił z  
Polski, to znaczy od  
1923 roku.  
Na skutek wojny rozwiały się, na skutek zmian po wojnie nie nawiązały kontaktu.  
Teraz  
widział w nas zapowiedź jakiejś zmiany. Rozmawiałem z nim dużo i wytłumaczyłem  
niejedno.  
Potem nastąpił przyjazd kardynała, z którym się nie widział, bo leżał cały czas  
chory, ale którego  
obecność w Rzymie była dla niego samą czystą radością. Miał namiętność do  
Polski. Mówił  
wszystkimi językami znakomicie, to znaczy prócz ojczystego i łaciny jeszcze po  
francusku,  
angielsku i po niemiecku. Ale jak tylko pojawiło się któreś z nas, porzucał te  
wszystkie  
środkowoeuropejskie języki i z ferworem zaczynał mówić naszym, nie bacząc na to,  
że ze  
słuchających go osób rozumiały go tylko jedna czy dwie, to znaczy my, czy  
najczęściej ja sam,  
ponieważ w odwiedzaniu go byłem bardziej uparty od Zosi.  
Zdumiewał nas swoją polszczyzną tym więcej, że na :c/ył się jej w ciągu półtora  
roku. W  
kilka lat po pierwszej wojnie światowej ściągnął go Sapieha do Krakowa na  
profesora do  
seminarium. Kanonik Stefano Mancini nie wytrzymał klimatu. Trafił, zdaje się, na  
wyjątkowo  
ciężką zimę. Nie zamieszkał też najlepiej. Zdaje się, że nawalił sobie na barki  
za dużo  
obowiązków. Między innymi i tę ambicję, by w ciągu roku nau-•czyć się perlect  
polskiego.  
Nauczył się. Przełożeni jego jednak doszli do przekonania, że dalszy pobyt w  
Polsce może się dla  
niego okazać zabójczy. Więc wrócił, ale już jako Szczepan Mancini. Mówił o  
swojej miłości  
do Polski jako o chorobie. A ponieważ z polszczyzny swojej wiedział, że się mówi  
„złapać  
chorobę”, więc i o swojej miłości do Polski, tej miłości, która była jego  
chorobą, mówił, że  
„złapał ją od razu, jak przyjechał do Polski”.  
Nieduży, nieładny, zaniedbany, załatywał nie tylko katakumbami, ale i  
niedbalością o swoją  
osobę. Był jednak stary i pewnie trudno mu było chodzić koło siebie, a ponieważ  
w klasztorze

nie zawędrował na wysoki szczybel, a jeżeli nawet w swoim czasie zawędrował, to z niego się zesunął, nie zatroszczył się o niego nikt inny. Mówił mi mnóstwo o swojej bazylice. Zaorani w niej byli wszyscy. Nie tylko turystami i nabożeństwami, ale również robotą parafialną, ponieważ w pewnym momencie wlepiono im tę parafię. Od niego i nie od niego wiedziałem, co to za koszmar dla zakonów czy zgromadzeń taka parafia. Nie że zaraz chrzciny, śluby, ostatnie namaszczenia, pogrzeby i tym podobne, „bo to żadna robota – jak mówił ks. Mancini – to są głupstwa!” Ale kółka, związki, zebrania sportowe, dziecinne, zawodowe, kobiece, robotnicze, cały młyn organizacyjny, „który ci nie zostawia – jak mówił – pięciu minut na modlitwę i odrobiny przytomności na skupienie!”. Znałem problem z różnych lektur i rozmów doskonale. Tu widziałem na przykładzie ks. Manciniego, jak działa ta centryfuga. Pilnowani i popędzani przez wikariat, to znaczy przez ten urząd, który za papieża, biskupa Rzymu, pełni obowiązki ordynariusza, biedni kanonicy dwoili się i troili, by podołać wszystkim wymaganiom. Stary, biedny Mancini ze swymi siedmioma językami, odczytaniem i przygotowaniem historycznym nie nadawał im się w tej konstelacji do niczego. W parafii z jej nowoczesną maszyną, składającą się z kilkunastu jak najaktywniej obracających się kółek, ani na poliglotę, ani na erudyte nie było miejsca. Na szczęście istniały przy parafii te katakumby, więc skierowano go do nich. Nużyły go, nudziły. Wspominał czasy przedwojenne, czasy masowych pielgrzymek z Polski albo też niedużych, ale zestawionych z pątników wyborowych. Pielgrzymkami takimi opiekował się, jeździł z nimi nie tylko po Rzymie, ale i po Italii, od Wenecji do Syrakuz. Był wtenczas ważny. Nikomu by wówczas nie przyszło na myśl, żeby mu kazać od ósmej do dwunastej i od trzeciej do siódmej dreptać w kółko pod ziemią za sto lirów pobieranych od osoby na cele parafii. No, ale takimi drogami pokierowała historia, że nic innego nie pozostało księdzu Szczepanowi, jak tylko święte i przeklęte złażenie, łażenie i wyłażenie z tych katakumb. Kiedyś u siebie w celi popłakał się przede mną ze zmęczenia i rozgoryczenia. Zdaje się, że przebrała się w nim miarka, ponieważ nie chciano go przenieść z katakumb do również podlegającego św. Agnieszce zabytkowego kościółka św. Konstancji na taką samą, tyle że mniej

męczącą fizycznie robotę.

Ale „Konstancję” z tysiącem różnych piękności obsługiwał Belg, który, zdaje się, w

mechanizmie parafialnym musiał pełnić inne czynności, ponieważ rzadko kiedy, wychodząc od

ks. Manciniego i chcąc rzucić okiem na resztki słynnych mozaik pogańskich w formie i

chrześcijańskich w treści, mogłem się go dostukać. Forma ta zgubiła je, zgubiła te jedyne w

swoim rodzaju mozaiki z okresu przełamywania się sztuki pogańskiej w chrześcijańską, nie

posiadającą jeszcze swojego języka i symbolów.

Toteż później, kiedy już się to wykrył, potraktowano mozaiki odpowiednio do

ich niejasności ideowo-religijnej. Niektórym nawet wydały się one zwykłym podstępem

pogańskim, by pod pozorem hołdu Chrystusowi w rzeczywistości uczcić Bachusa. Przetrwały

one jednak w swych zasadniczych partiach zdumiewająco długo. Dopiero cenzura kontrreformy

kazała skreślić z kopuły i podpierającego ją bębna większość scen. Rozkazodawcą był kardynał

Ve-ralli. Po upadku Napoleona Grzegorz XVI jeszcze raz wziął je pod lupę. Ten znowu był

zdania, że symbolika pogańska, nawet w zbożnych celach użyta, podnieca rewolucjonistów do

zatwardziałości.

Wyłamać kazał wtedy resztę klatek z niepokojącymi go mozaikami i cudowny szlak, który

otaczał biblijne sceny, szlak niebieskiego koloru z przewijającymi się ptaszkami, amorkami,

gałązkami, delfinami, kariatydami i wśród nich barankami; barankami na linii, na chrześcijańskiej linii ikonograficznej, to znaczy z proporcjami jak nasze

wielkanocne. Te się

uratowały. One jedne z całego towarzystwa, które znamy z kopii. Z biblijnych klatek ocalały zaś

tylko bardzo jednoznaczne i pewne. To znaczy z kilkudziesięciu – dosłownie kilka. A i wśród

nich zadźwięczy czasem coś na pewno umysłem teologicznym obcego. Nie pogańskie to, ale i

nie chrześcijańskie ikonograficznie, jak ów paralelizm szczególnie podkreślony na dwu

klatkach, paralelizm pomiędzy Bogiem Ojcem wręczającym tablice Starego Prawa Mojżeszowi a

Jezusem Chrystusem wręczającym taką tablicę z Nowym Prawem św. Piotrowi. Nie jest on

błędny liturgicznie, lecz nosi na sobie to nieznośne dla pu-rystów indywidualne piętno artysty.

Ale jakoś ocalał i jest, słabiutko tylko bardzo odrestaurowany.

Mozaiki jednak nie są jedynym skarbem kościołka. Są jeszcze inne rzeczy w tym budynku, będącym w istocie mauzoleum córek Konstantyna, z których żadna nie wiodła przykładowego życia, zwłaszcza starsza, Konstantyna, chociaż była to i chrześcijanka, i skora do stawiania świętych budynków. Niemniej przeto zdaje się, że to ona jest de lacto patronką kościołka--mauzoleum. Ustalić nie można, od kiedy zaczyna się on nazywać kościołem św. Konstancji. Jeszcze zaś trudniej dobrać mu odpowiednią chronologicznie Konstancję, która byłaby zarazem świętą. Myślano już o wielu kandydatkach, koncentrując się głównie na księżniczkach z rodzin cesarskich, jako że to jest jedną z nielicznych wskazówek, przy których się upiera legenda. Ale żadna się w końcu nie nadawała z obyczajowych względów. Patronuje więc nadal kościołkowi Konstantyna, której prawdziwy sarkofag z porfiru znajduje się w Watykanie, zaś imitacja z pokolorowanego gipsu w kościółku. Oto na czym chciał gospodarzyć ks. Mancini. Ale nie udało mu się. Ostatni raz, jak do niego poszedłem z butelką miodu, nie mogłem czekać, on był zajęty turystami. Zeszliśmy pierwsi po schodkach i tam pogadaliśmy z minutką. Dałem mu butelkę, schował do kieszeni. Ale zaraz wyjął. Niewygodnie by mu było z nią wędrować. Zostawił mnie na moment ze świeczką, a sam poszedł w boczny korytarz, w jedną z tych setek odnóg, w które się nie ryzykuje zapuścić nikt obcy. Wrócił. Już się zgromadzili jego turyści. Mrugnął więc do mnie okiem, zadowolony z prezentu. Pocałowałem go w ramię; tak się witałem i żegnałem z nim zawsze. To pamiętam jeszcze, że przeszedł wtedy z polskiego, który zawsze go wprawiał w euforię, na cichszy i wolniejszy angielski i zaczął recytować swój wstęp do oprowadzki po katakumbach. Wtedy go widziałem po raz ostatni. Miał więc jedną namiętność ks. Mancini, Polskę, miał i drugą, była nią św. Agnieszka. We wszystkich możliwych hipostazach: więc najpierw jako taka, to jest jako młodziutka, pełna uroku męczenniczka, a potem jako jej legenda, jako jej katakumby, jako jej Bazylika za Murami przy drodze Nomentańskiej i wreszcie jako jej święto, słynne święto z błogosławieństwem ba<sup>62</sup> ranków dokonywanym przez opata bazyliki. Ks. Mancini mógł mówić o tych rzeczach godzinami. Kiedy zaczynał, nie kończył. Musiałem ja przerywać, chwyciwszy moment

wstać,  
ucalować go w ramię i zmykać, zanim mnie dościgła propozycja opowiedzenia nowego  
szczegółu, nadzwyczaj mało znanego.  
Polubiłem i ja jego świętą jedenastoletnią dziewczynkę, ofiarę jednej z  
ostatnich fal  
prześladowania przed edyktem mediolańskim. Sw. Ambroży mówi o niej, że kiedy kat  
pierś jej  
obnażył, by zatopić miecz, zakłopotał się znalazłszy ją tak drobną (Fuitne in  
illo corpusculo  
vulneri locus? El quae non habuit quo lenum recipeiet, habuit quo ienum  
vinceret\*). Tak więc  
jednak znalazł sposób! W dziełku, z którego ks. Mancini cytował mi to miejsce De  
Vir-ginibus,  
mnóstwo jest jeszcze innych pięknych szczegółów. Mówi o Agnieszce dużo również  
papież  
Damazy, poeta żarliwy i słaby, nieomalże jej współczesny. Kult dziewczynki od  
razu był  
kolosalny.  
Ale zdaje się, że ks. Mancini zagalopowuje się twierdząc, że w czwartym, piątym  
czy nawet  
szóstym stuleciu stawał się tak silny, że nawet zagrażał zepchnięciem Matki  
Bożej na plan drugi,  
upierał się jednak zawsze przy tym, twierdząc, że kiedy prześladowania ustały,  
nikt nie mógł  
pretendować do pierwszych miejsc w panFultne... – Byłóż w tym ciałku miejsce,  
gdzie można by  
zadać raną? I ta, która nie miała gdzie przyjąć ciosu miecza, miała czym miecz  
zwyciężyć.  
teonie chrześcijańskim, kto by nie był umęczony. Fodobnie dla tych wieków  
porywający był  
kult czystości. Najczystsza z czystych była dziewczynka, o której męczeństwie  
nie tylko miecz  
stanowił, ale fakt, że publicznie obnażono jej corpusculum. Sw. Ambroży nawet na  
pierwszym  
miejscu je stawia, powiadając o niej, że poddano ją podwójnemu męczeństwu:  
Duplex martyrium  
pudoris et religionis.  
Matka Boska zaś nie była męczennicą, nie mogła również być symbolem  
niepokalania. Dla  
wyobraźni ówczesnej, przesyconej jeszcze mitologią klasyczną, bliższa była  
boginek,  
nawiedzanych przez bogów i mających potomstwo, niż tego, czym jest dzisiaj dla  
nas, samą  
kwintesencją czystości, reprezentowaną przez wieki, o których mówię, właśnie  
przez Agnieszkę.  
W nią wcieliły się wszystkie elementy maksymalne.  
Słuchając tego, nie przeczyłem, nie wysuwałem nawet wątpliwości. Nie tylko z  
braku  
kompetencji, ale zafascynowany pewnym szczególnym fenomenem, zdającym się  
polegać na



żału, a może nawet cichej pretensji księdza Manciniego do postaci, która na dłuższy dystans musiała pozostawić Agnieszkę w tyle, tak dalece, że nawet dzisiaj, można powiedzieć, pozostaje poniekąd w cieniu.

Ks. Mancini pasjonował się opowiadaniem legend, ja mniej. Lektorem ich jestem zamiłowany, ale w słuchaniu, kiedy odpada największy ich urok starych tekstów, niepojęty sposób widzenia i formułowania szczegółów, te same historyjki, przepuszczane przez współczesną stylistykę i mentalność, nudzą mnie. Natomiast nie nudziłem się nigdy, kiedy ks.

Mancini oprowadzał mnie po „Św. Agnieszce”, po bazylice. Wędrowaliśmy więc sobie,

wziąwszy się pod rękę, po trzech nawach od kolumny do kolumny, oglądając je za każdym razem

od góry do dołu w całej ich piękności i różnorodności z uwagi na to, że pozabierane zostały dla

św. Agnieszki z różnych cesarskich i republikańskich monumentów.

Polem szliśmy od obrazu do obrazu i od rzeźby do rzeźby, przy czym z tych ostatnich

najbardziej fascynowała mnie Izyda, przez jakiegoś Francuza-barbarzyńcę w roku 1605, jak się

eufemistycznie wyraził ks. Mancini, „odrestaurowana na Matkę Boską”. Francuz, zwał się

Nicolas Cordier, przybrał figurę w mnóstwo fałd i dokonał operacji kosmetycznej oprawy oczu.

Ale pozostały one trochę kose. Zaglądałem w tę kosość z uporem, który ks.

Manciniemu

wydawał się najpewniej natrętny. Nie lubił on mojego przystawiania przy tej Izydzie. Wydawało

mu się, że postępując tak, czynię Bazylicę Św. Agnieszki za Murami lekką wymówkę. A jeżeli

nawet nie czynię, to podkreślam pewną skazę na niej.

Lubiłem z nim chodzić po bazylice. Pokazywał mi w niej co najstarsze i najcenniejsze.

Objasniał początkowe założenia z IV wieku, z których nic nie pozostało, następnie architekturę z

VII wieku zaplanowaną za papieża Honoriusza i różne dalsze przeróbki. Uważał mozaiki swojej

św. Agnieszki za najpiękniejsze w Rzymie, i rzeczywiście są one jedne z najpiękniejszych. Nie są

one tak fantastyczne, jak te od św. Konstancji, ale też jest na co patrzeć.

Najlepiej widać na nich

wielkie trzy osoby. Środkowa to święta Agnieszka we wspaniałej, cesarskiej, wschodniej szacie;

po bokach ma ona dwu papieży: Symaka, który w V wieku odnowił pierwszą kapliczkę świętej, i

Honoriusza, którego mozaika przedstawia pokazującego świętej makietę bazyliki.

Ks. Szczepan zwracał mi uwagę na różne różności na tych mozaikach, ale ja tylko

w części  
je dostrzegałem z powodu kiepskiego oświetlenia i mego nie najlepszego wzroku.  
Zresztą ksiądz  
sam przyznawał, że niewielu jest ludzi, którzy wszystko to widzą, tyle zależy od  
światła. Mówił,  
że wciąż jeszcze zdarza mu się, chociaż bardzo rzadko, ujrzeć coś, czego nigdy  
nie widział,  
wydobyte przez jakiś bardzo akuratywny promień słońca. Twierdził, że potem już  
widzi to zawsze.  
Granica pomiędzy widzeniem a wiedzeniem, gdzie coś jest, zamazywała mu się.  
Pokazując mi  
jakiś szczegół w drugim planie, zwierzątko czy epizod, złościł się, że go nie  
dostrzegam. Był w  
tym jak astronom, który orientuje się w tłumie gwiazd od pierwszego rzutu oka.  
Nie mogłem z  
nim konkurować. Ale ja też naturalnie miałem swoje radości wzrokowe, tyle że  
były to radości  
człowieka nie wtajemniczonego w szczegóły. Uważałem za przepiękne, że prawie  
wszyscy na  
tych mozaikach poubierani są na fioletowo. Fiolet na nich był cudowny,  
wysmakowany,  
spatynowany, rzucony na tło złote.  
Ks. Szczepan brał mnie z sobą na matroneum. Jest to nazwa galerii przeznaczonej  
dla kobiet.  
Można się z takimi galeriami spotkać jeszcze w innych prastarych kościołach tak  
w Rzymie, jak i  
poza Rzymem. Dziś utraciły one swój użytek. Najczęściej nie ma w ogóle do nich  
dostępu, a to  
dlatego, że nie odnawia się ich, nie restauruje, nie wzmacnia stropów. Po prostu  
jeden kłopot z  
głowy. Czasami, jak się na nie dostać, spotkać można historyków, którzy coś tam  
dłubią, czy  
fotografów, którzy mogą z takich miejsc zdjąć coś lepiej czy w sposób bardziej  
interesujący.  
U Św. Agnieszki też lepiej jest stąd widać niekiedy elementy mozaik. Ks.  
Szczepan jednak  
zabierał mnie tu, żeby mi z góry pokazać, jak się odbywa najgłośniejsze  
nabożeństwo w jego  
bazylice, a mianowicie w dzień św. Agnieszki. Jest to rzeczywiście wspaniałe  
nabożeństwo i  
bardzo dziwne, ponieważ uczestniczą w nim dwa baranki, dwa ozdobione wstążkami  
młodziutki  
baranki, które się obnosi w uroczystej procesji po całej bazylice, a potem,  
ustawiwszy je oba na  
głównym ołtarzu, przed figurą Matki Boskiej, tej przerobionej z Izydy,  
błogosławi.  
Błogosławieństwa dokonuje opat kanoników regularnych. Następnie procesja zostaje  
wznowiona; po czym baranki, którym tylko główki wystają z unieruchamiających je  
kobiełek z  
łoz, dostarcza się do Watykanu.

Kobiółki umieszczone są na tragach, wąskim, długim podium, przypominającym to, na którym bussolanci obnoszą papieża po Bazylice Sw. Piotra. Baranków nie obnoszą oni, obnoszą je dziewczyny w długich białych szatach, których biel symbolizować ma dziewictwo tych panienek. Dawniej przenosiły one procesjonalne baranki do Watykanu, przechodząc przez całe miasto, przy czym co sto kroków panienki zmieniały się wciąż na inne i wciąż na inne. Dziś baranki od św. Agnieszki przejeżdżają na podwórzec św. Damazego w Watykanie samochodami. Nie dlatego jednak, by nie można było znaleźć dostatecznej ilości dziewic, lecz po prostu ze względu na ruch w mieście. S. zresztą twierdzi, że od bardzo dawna poniechano przenoszenia baranków procesjonalnie przez miasto, a to w związku z zabobonem, że dotknięcie ich przynosi szczęście, a co gorsze dla procesji i całości baranków, że kawałek wstążki czy trochę wełny jest talizmanem zabezpieczającym przed intrygami i w ogóle przyspieszającym karierę duchowną. Że każdy stara się ich dotknąć, sam to widziałem w bazylice. Przeważnie zresztą pcha się do nich młodzież i dzieciarnia, dorośli mniej, księża i zakonnicy z pewnością nie. Ale na terenie bazyliki straż ich pilnuje. Składa się z dwunastu chłopców, których przed samym świętem musztruje się i przygotowuje. Tak czy owak, jedno pewne, że obecnie czy to ze względu na współczesne wymagania wielkomięjskiego ruchu, czy ze względu na stary zabobon, zniesiona została procesja z barankami przez cały Rzym. Świeżutkie, nie zabrudzone i wystrojone dostają się one wprost od Sw. Agnieszki na salę św. Jana Chrzciciela apartamentów papieskich, gdzie czeka na nie papież w otoczeniu kilkudziesięciu wyższych duchownych i urzędników swojego dworu. Jeśli nawet uszczknie tam kto szczypkę wetny i kawałeczek wstążki, nie ma nieszczęścia, ponieważ osób jest na sali ostatecznie niewiele. Z tej sali w Watykanie po krótkiej ceremonii baranki przeniesione zostają do klasztoru benedyktynek Sw. Cecylii na Zatybrzu, gdzie czeka je nowa msza święta, błogosławieństwa i kadzidła. Żyją one potem jeszcze przez dziesięć do dwunastu tygodni, to znaczy od 21 stycznia, który jest dniem św. Agnieszki, aż do najbliższej Wielkanocy. W Wielki Piątek zostają uroczyście

przez swoje mniszki poświęcone (immo-lati), jak nazywa tę rzecz użyty do jej określenia termin liturgiczny, czyli mówiąc zwyczajnie – zabite. Czy wstążki je w tym momencie ozdabiają, tego nie wiem. Wełna z pewnością nie. Wszystko ona zostaje starannie zebrana. Z tego runa bowiem benedyktynki tkają mię-ciotki i cienki pas szerokości pięciu centymetrów, z którego zszywa się parament liturgiczny, nazywający się pallium, dla papieża i dla nowych arcybiskupów na znak ich jurysdykcji. Ponieważ i to pallium poprzez baranki, nieszczęsne baranki, których błyskawiczna kariera dachowa kończyła się tak prędko i tak smutno, wiązało się ze św. Agnieszką, ks. Szczepan nie szczędził mi szczegółów o tym paramencie. Opisywał mi wygląd jego, a raczej pokazywał na sobie, jak jest zrobiony i jak leży. Wkłada się go na kapę czy na ornat podczas wielkich uroczystości. Wygląda trochę na dziwaczną białą stułę, którą by się nosiło nieco poniżej ramion. Ma ona do tego wszystkiego jedną odnogę na plecach, a drugą na piersi. Obie są jednakowe i sięgają do kroku. Na jego powierzchni jest naszytych osiem krzyży z czarnego jedwabiu. Pochodzenie tego paramentu jest prastare. Kiedyś był to rodzaj wielkiej chusty znanej jeszcze Etruskom, przejętej potem przez Rzymian, okrycia wygodnego, ale uważanego za mało ceremonialne. Oczywiście ten dzisiejszy, liturgiczny, jest tylko symbolem czy skrawkiem dawnego. Dawny był w pewnych epokach kompletnym wierzchnim strojem, konkurencyjnym w stosunku do togi, wspaniałej, ale dosyć niepraktycznej w codziennym użytku. Stąd pokusy używania pallium nie wszystkim sympatyczne, ze względu na jego plebejską aurę. Oficjalniejszych wizyt nikt nikomu w pallium składać nie mógł. Klient u swego pana na codzienną ranną wizytę, salutatio matutina, też nie zjawiał się w pallium. Tertulian w De pallio opowiada, że używali tego stroju chętnie filozofowie, na przykład cynicy, dla ostentacji i dla łatwiejszej gestykulacji. Zaczęły go też, nie wiadomo czy z tych, czy z innych względów, używać kobiety. Ale przerobiły go po swojemu. Nabrał on wówczas kształtu bardziej szalowego. W IV wieku stał się już tylko szalem. Noszenie go było dowodem elegancji. Fóżniej jeszcze przeniknął na dwór papieski i dostał się do liturgii. Ale nie poprzez plebejuszów, lecz raczej poprzez panie,

na co zdaje się wskazywać jego dzisiejsza forma, która oczywiście wywodzi się z szala, a nie dawniejszej ludowej kwadratowej chusty. Stawszy się pallium sacrum palusz od razu stanął w pierwszym szeregu stroików liturgicznych. Powyżej niego stoi już tylko grupa paramentów wyłącznie noszonych przez papieża, jak na przykład klasyczna tiara. Palusza też nie może nosić każdy książe Kościoła zaraz, jak zostanie arcybiskupem. Nie, nie zachodzi tu taki automatyzm. Arcybiskup musi czekać, aż papież mu przyśle upoważnienie. Nie wszyscy arcybiskupi je otrzymują, zwłaszcza nie wszyscy tytularni. Po zezwoleniu okazuje się też, że palusza nie można nosić przy każdej sposobności i w byle jakim kościele. Nic podobnego. Czas i miejsce noszenia są ściśle określone. Ale, moim zdaniem, czcigodny jego charakter może najlepiej podkreśla to, że nowe palusze, przygotowane dla przyszłych papieży i arcybiskupów, przechowuje się w puzdrze pod centralnym ołtarzem u Sw. Piotra (tym, przy którym tylko papież celebruje) składając puzdro w niszy e corpore sancti Petri, tego miejsca przez tyle wieków uważanego za najświętsze w bazylice z uwagi na grób apostoła. „Rzadko grób ten dostrzec może oko ludzkie – mówi Grzegorz z Tours, dziejopis z VII wieku – toteż ten, kto chce się zwrócić z modlitwą do apostoła, uprasza albo inaczej powoduje, że otwierają mu kratę, która otacza to miejsce, i wtedy, zbliżywszy się do grobu, wsuwa głowę do środka przez malutkie okienko, również umyślnie otworzone, i przedstawia św. Piotrowi swoje konieczności i racje". Wszystkie te rzeczy umiał ks. Szczepan na pamięć. Umiał mnóstwo wierszy łacińskich, tych najstarszych, związanych z kultem św. Agnieszki i św. Konstancji. Chodził po bazylice i dotykał różnych kamieni i tablic, i to stawało się dla niego pretekstem do recytacji. Najczęściej były to Iragmenty tasiemca poświęconego przez wspomnianą już Konstancję Agnieszce: „Cons-tantina Deum... victricis virginis Agnes...” Znał też na pamięć mnóstwo wierszy polskich. Dziwnie go było słuchać, jak raptem pośród tych zabytkowych niezrozumiałości wybuchał nagle Tetmajerem, Wyspiańskim, Słowackim. Sam też pisał i miał nawet jeden sonet wydrukowany przez jakąś dobrą polską duszę z drukarni polowej wojsk Andersa, która widać do księdza Manciniego miała taki sam stosunek, jak my z

Zosią.

Oto koniec tego sonetu, zatytułowanego: „Wieczorem w Bazylice św. Agnieszki”.

Hen, na dalekim pustym oceanie wzdycha stęskniony żeglarz, ja do ciebie tulą się,

wzdycham z głębi duszy, Panie, tęsknię za Tobą, Ojczy, któryś, w Niebie. Życie to czarna noc,

burzliwe morze, Tyś mi tą gwiazdą, ciszą ducha, Boże.

Miał jeszcze inne wiersze polskie, włoskie, łacińskie. Zbierał mi się ciągle pokazać je.

Czekały na poprawki, inne nie przepisane. W końcu nie doczekałem się ich.

Przynosiłem mu

trochę polskich książek. Przynosiłem zwłaszcza naszych katolików, kiedy się okazało, że dobrze

znał i samą osobę, i dzieła Rostworowskiego. Com więcej z tej parafii miał, tom mu przynosił.

Wiersze Iłakowiczówny i ks. Twardowskiego, dramaty Zawieyskiego, „Tygodnik Powszechny”

z felietonami Kisielewskiego. Wszystko to mu się podobało. Gorzej wyszło z powieściami,

przyniosłem mu dwie, rzeczywiście nietęgę. Drugiej nawet przeczytać nie chciał i skrzyczał

mnie, że mu zabieram czas „taką słabizną”. Wypowiedział przy tej okazji myśl trafną, którą

można zastosować równie dobrze do twórczości katolickiej, jak i nie do katolickiej: „Ja bardzo

nie lubię takich pisarzy katolickich, o których by się nic nie słyszało jako o pisarzach, gdyby nie

byli katolicycy”.

Ostro też zabierał się zawsze do tematów politycznych. Zwłaszcza na początku nasłuchiwałem

się od niego na temat komunistów. Rozumiałem, że musi być to wszystko dla niego jednym okrop-

niem, tym więcej że przez ten komunizm nie nadciągały z Polski do Rzymu pielgrzymki i

nie zwracały się do niego osobistości ze świata ziemiańskiego i wyższego mieszczaństwa o

załatwienie różnych różności w kurii, tak jak to było przed wojną. „Jesteście w szponach

okropnych ludzi” – mówił. Na początku starałem mu się wytłumaczyć to i owo na temat

komunistów i ich ideałów. Uzyskałem tyle, że pewnego razu oświadczył mi: „No dobrze, wierzę

panu, że oni są porządni ludzie, ale tak czy owak przecież wy jesteście w ich szponach!”

Na tej kompromisowej formule stanęło. On nie atakował więcej, ja nie starałem się

wyjaśniać, jak jest naprawdę. Zresztą tyle mi zawsze miał do powiedzenia nowego o św.

Agnieszce, o św. Konstancji, o swoich malutkich katakumbach i na tym podobne tematy, że

poniechaliśmy wszelkiej polityki. Bardzo nam go będzie brakować w Rzymie.  
Rzym, 6 lutego 58 r.

C. T., święty włoski aktor i gorący wielbiciel Padre Pio, opowiadał mi dzisiaj o nim różne wzruszające rzeczy. Mówił, że przed paru laty jego kolega, słynny komik Carlo Campa-nini, zwrócił się do Padre Pio z listem, w którym pisał: „Pragnąłbym należeć do Twojej rodziny duchowej, Przewielebny Ojczy, ale jakżeż mogę się do niej przyłączyć, jeśli nieomal co wieczór z wypacykowaną twarzą muszę na scenie robić z siebie błazna!”. Padre Pio odpowiedział: „Synu mój, twoje skrupuły nie są uzasadnione. Każdy z nas przecież – jak świat długi i szeroki – robi z siebie Ważna na tym miejscu, gdzie go postawiła Opatrzność”. Jest to zdanie wielkie. Dla Padre Pio, tak jak dla całego mnóstwa jego wielkich poprzedników, od św. Hieronima poczynając, na św. Filipie Nereuszu kończąc, być poważnym to nie jest rzecz na miejscu dla człowieka, istoty skażonej grzechem pierworodnym. Niewątpliwie tu tkwi jedno ze źródeł chrześcijańskiego egzysten-cjalizmu. Źródłem tym jest przecucie pewnego zawstydzienia, pewnego zakłopotania wywołanego w rodzaju ludzkim na skutek upadku w raju.

Jak każde piętno, nawet najokropniejsze, ośmiesza ono zarazem upadłego.  
Rzym, 15 lutego 58 r.

Wczoraj w Kongregacji Rytów zapadła decyzja obrania dla telewizji patrona. Patronem, a raczej patronką, będzie święta Klara, jedna z najprzyjemniejszych świętych średniowiecza, ta od św. Franciszka.

Interesujące jest obserwować starania Kościoła o to, by powiązać się ze wspaniałościami drugiej rewolucji przemysłowej. Ze wspaniałościami pierwszej rewolucji przemysłowej, tej, która wzięła świat pod koniec osiemnastego wieku i przeniosła go w miejsce, skąd go potem na początku dwudziestego wzięła druga rewolucja przemysłowa – Kościół nie czynił takich prób.

Nie mają więc swoich patronów koleje parowe czy gazownie, ale mają ich i radio, i telekomunikacja, i telewizja. Nie jest to ostatni przydział. W Kongregacji Rytów rozpatruje się jeszcze z dziesięć podobnych spraw. Toczą się tam spory o to, kto ma zostać patronem od mózgow elektronowych, kto od fizyki jądrowej, kto od automatyzacji i tak dalej. Jeśli jednak mówię, że warto obserwować te rzeczy, to nie dlatego, że są to ciekawostki liturgiczne. Przede wszystkim bowiem warte są uwagi, ponieważ podkreślają takt

charakterystyczny dla dzisiejszego Kościoła. A mianowicie, że on w dzisiejszej dobie dobrze się czuje. Nie tak dobrze jak w średniowieczu. Ale o wiele lepiej niż w dziewiętnastym wieku. Stąd w dziewiętnastym ta jego nieśmiałość. Nigdy by on się wówczas nie narzucił z patronowaniem czemukolwiek bądź z zakresu wynalazków. Wyśmiano by go bowiem. Tym hałaśliwiej, że dla dziewiętnastego wieku „wynalazki” i „Kościół” to były pojęcia wykluczające się, sprzeczne. Dziś pod tym względem jest całkiem inaczej. Wyraża się to między innymi w tym, że nie ma nic bardziej obcego dla umysłowości współczesnej niż ironia w stosunku do religii czy Kościoła. Jedni mogą mówić – tak, bo to fundament moralny społeczeństwa; drudzy mogą mówić – nie, bo to opium; ale i jedni, i drudzy nie śmieją się. Zawsze miałem dla św. Klary ciepłe uczucia. Ale od czasu, jak poznałem bliżej Asyż, lubię ją jeszcze bardziej. Cieszę się więc dla niej, że oddano pod jej patronat telewizję. Będzie ona ją, telewizja świętą Klarę, przy tej sposobności popularyzować. Skądkolwiek by płynęła na świat słodycz, tolerancja, dobroć, zrozumienie dla drugiego człowieka, nich co prędzej płynie. Powiem jednak szczerze, że wolałbym, gdyby wybranym świętym przydzielali odpowiednie wynalazki bez tego całego scholastycznego gadania, a raczej naciągania, które z tak widocznym wysiłkiem przychodzi Kongregacji Rytów. Niechby raczej przydzielali świętym nowe wynalazki i wielkie działy nowoczesnych nauk bez szczegółowego uzasadniania. Na pewno byłoby lepiej. Po włosku spiker w radio nazywa się annunzia-tore, święto zaś Zwiastowania (Marii Pannie) – Annunziato, stąd więc – po prostu na zasadzie gry słów – Archanioł Gabriel, ten od Zwiastowania, został niedawno patronem radia. Co do świętej Klary natomiast, przydzielono jej telewizję z powodu cudu, który na pół roku przed śmiercią Klary uczynił dla niej Jezus Chrystus. Dokonał się cud wieczorem roku 1252, w wigilię Bożego Narodzenia. Sw. Klara była już wtenczas bardzo chora. Tej nocy leżała w klasztornej celi sama. Nie było przy niej żadnej z siostrzyczek. Wszystkie poszły na nabożeństwo do kościoła oddalonego od klasztoru o dwa kilometry. Kiedy zbliżyła się dwunasta, Klarze zrobiło się ogromnie żal, że nie może być na pasterce. Poskarżyła się wtedy na swoją krzywdę Bogu. Ledwie to uczyniła, usłyszała głosy, a



potem na ścianie naprzeciw swego wezgłowia zobaczyła jakieś widoki. Po paru sekundach zgrało się to wszystko i zestroiło w dokładne słuchowo-wzro-kowe odbicie nabożeństwa. Kiedy siostrzyczki wróciły z kościoła, św. Klara powtórzyła im swoje widzenie. Po jej śmierci, która nastąpiła dnia 11 sierpnia 1253, nieomal zaraz rozpoczął się proces kanonizacyjny i one wtedy opowiedziały duchownej komisji o tym wszystkim. Siostrzyczka Filipa powiedziała:

„Zaledwie westchnąwszy, usłyszała raptownie i organy, i głos celebranta, i dawane mu odpowiedzi, i w ogóle nabożeństwo w całości z kościoła Sw. Franciszka tak dobrze, jak gdyby była przy nim obecna”. A siostrzyczka Amata do tej relacji dodała jeszcze, że „od samej Madonny Klary słyszała ponadto, że tej samej nocy Narodzenia Bożego żłóbek Pana Naszego Jezusa widziała ona również”.

Wreszcie przy zgłębianiu tej materii został też uwzględniony przez Kongregację Rytów pewien epizod z życia św. Franciszka. A mianowicie, że pewnego razu ujrzał on na wodzie odbitą twarzyczkę Klary, i to niesłychanie dokładnie, pełną lśniącego blasku. Zważywszy to wszystko, kongregacja uznała, że na siedemset lat przed wynalezieniem telewizji św. Klara była nie tylko podmiotem, ale i przedmiotem widzenia na odległość. Nie tylko – jak się wyraża dekret proklamacyjny – telespektatorką, ale i obiektem cudownie zrządzonego telewizyjnego. Stwarza to pomiędzy świętą Klarą a „jednym z najcharakterystyczniej-szych dla cywilizacji nowoczesnej narzędzi nierozzerwalny związek istotny, naturalny i nadnaturalny, jeden z tych, które jedynie Kościół, rozważający rzeczy pod kątem ich wartości najgłębszych i najprawdziwszych, może spostrzec”.

Rzym, 1 marca 58 r. Dziś zapadnie wyrok w procesie przeciw biskupowi Fiordelli i proboszczowi Aiazzi, pozwanych przez Bellandich. Proces trwa od dwudziestego czwartego. Bellandiemu lekarze zakazali przyjścia na rozprawę. Fiordellemu i Aiazziemmu zakazał Watykan. Jeszcze w przededniu rozprawy gazety pisały, że biskup zjawi się manifestacyjnie, odprowadzony do sądu przez tysiące zmotoryzowanych księży, zakonników i działaczy z Akcji Katolickiej. Tymczasem nie zjawił się. Przesłał list, że nie może. Tu wolta zdumiała wszystkich, ponieważ dotychczas pomiędzy zaskarżonymi a sądem wszystko toczyło się normalnie. Biskup i proboszcz zeznawali u sędziego prowadzącego dochodzenie. Kiedy z sądu otrzymali

pozwanie,  
przyjęli je najspokojniej. W ostatniej chwili Watykan polecił zmianę taktyki.  
List do sędziów florenckich wydrukowało zresztą Osservatore Romano, dawszy mu od  
siebie  
następujący tytuł: „Un chiaio e nobile docu-mento”. List zaczyna się od  
grzeczności i na  
grzecznościach się kończy. Te opuszczam. Tłumaczę tylko tę część, gdzie jest  
argumentacja.  
„Z tych wszystkich przyczyn jest zrozumiałe, że winienem unikać wszystkiego, by  
moje  
zachowanie wydało się albo mogło być zinterpretowane jako krok uznający, że może  
być  
poddany sądownictwu cywilnemu akt dotyczący sprawowania władzy duchowej nad  
wiernymi,  
władzy, której wolność gwarantują Pakty Lateraneńskie i która również została  
uroczyście  
potwierdzona przez siódmy paragraf Konstytucji Republiki Włoch!”  
„Za moją działalność w zakazie sprawowania władzy duchowej nad wiernymi  
winienem  
odpowiadać przed własnym sumieniem biskupa, przed Ojcem Świętym, przed Bogiem.  
Nie  
chciałbym w żadnym wypadku wziąć na siebie ciężkiej odpowiedzialności, nie  
zachowawszy się  
w sposób taki, aby temu przeszkodzić, jeśli o mnie chodzi, by poniosła szkodę  
wolność Kościoła  
oraz zadany został vulnus (rana) konkordatowi.”  
Pierwszego dnia rozprawy przewodniczący odczytał ten list, nie komentując go. Po  
czym  
przesłucha! kilku świadków na różne okoliczności uboczne. Ciekawszą z tych  
okoliczności była  
tylko jedna, a mianowicie dotycząca godziny pierwszej lektury pisma biskupa do  
proboszcza  
Aiaz-zi, w którym biskup potępił Bellandich. Chodziło o to, k i e d y, ściśle,  
o której  
godzi-n i e biskup ustami proboszcza pierwszy raz obraził Bellandich. Jeśli  
przed ich ślubem,  
to w takim razie nawet ze swojego punktu widzenia – duszpasterskiego – nie miał  
prawa o nich  
mówić jako o cudzołózcach i publicznych grzesznikach, skoro jeszcze nimi  
kanonicznie nie byli.  
Okazało się z ustaleń przewodu, że rzeczywiście biskup i proboszcz pośpieszyli  
się. Ale ten  
element nie odegrał roli. Trzeba przyznać sądowi, że minimalny nacisk położył on  
na uboczne  
okoliczności sprawy, zarówno te, które dopomagały oskarżonym, jak i obronie. Od  
razu z  
prokuratorem i adwokatami obu stron chwycił byka za rogi, to znaczy chwycił się  
za sam  
problem sprawy. Uderzył w ten punkt graniczny, gdzie stał się konkordat z  
ustawodawstwem

państwowym, i z tego punktu się nie ruszył.

Sala sądu we Florencji była malutka. Niepotrzebnie malutka, ponieważ proces prowadzony

był w trybie niesensacyjnym. Po kolei adwokaci obu stron wygłaszali kobylaste przemówienia i

to raczej o charakterze traktatów naukowych niż sądowych oracji. Przez pięć dni ludzie czytali te

sążniste mądrości, z których wynikało, że biskup obraził ludzi i za to powinien przed sądem

cywilnym stanąć; ale zarazem, że upoważniały go do tego kanony, a także poniekąd państwo,

ponieważ w najważniejszym swoim dokumencie, to jest konstytucji, zgodziło się na pełną

wolność Kościoła w dziedzinach, w których uzna się on kompetentnym. Dwa przemówienia

zrobiły na wszystkich największe wrażenie: profesora, słynnego kanonisty, adwokata obrony,

Piętro Agostino d'Avack. Walnął on czterogodzinny wykład o prawie kanonicznym. Świat tego

prawa integralny, logiczny, konkretny aż do okrucieństwa, żądał od biskupa kroku, którego

dokonał, a od państwa, które zdecydowało się dać Kościołowi swobodę, żądał konsekwencji pod

grozą ruiny tego prawa, którego geometryczna natura nie znosi kompromisów i ekscypcji.

Słuchając przemówienia profesora robiło się zimno. Było ono całe zbudowane z cegiełek.

Cegielkami tymi były kanony. Z kanonów tych powstawała katedra, gigantyczna, gotycka,

strzelista, podstemplowana wewnątrz i na zewnątrz kolosalnej wytrzymałości i znaczenia

kariatydami, którymi okazywali się biskupi. Aby pojąć ich gruntowny sens funkcjonalny, nie

należało spoglądać na ich oblicza, na oblicza tych kariatyd w mitrach, pełne dobrotliwości,

zarazem ojcowskie i dziecinnie, ale – na ich barki i na to, co na tych barkach dźwigają.

Dźwigały one na sobie odpowiedzialność za wszystko, co dotyczyło wiernych. A jeśli taka była

odpowiedzialność biskupów, jaką ma każdy pasterz za swoją trzodę, zrozumiałe się stawało, że

winni byli oni posiadać pełnię praw i pełnię władzy. Tej władzy natchnionego prawodawcy,

absolutnego sędzi i bezwzględnego wykonawcy udzielają biskupom kanony. Tak stawiając

sprawę profesor d'Avack pokazywał, że państwo nie może tknąć biskupa, jeśli nie chce, by

gmach zgody się zawalił. Nie na skutek jakichś ambicji czy uporów, ale na skutek takiej, a nie

innej struktury Kościoła i struktury jego więzi prawno-organizacyjnej.

Najbardziej komentowane ze wszystkich było przemówienie prokuratora. Również naukowe, również wysokiej klasy, ale paradoksalne w swoich wnioskach. Zdaniem prokuratora biskup niesłusznie uczynił uchylając się przed sądem świeckim, ponieważ podlega mu jako obywatel państwa włoskiego. Podlega temu sądowi również z tego względu, że popełnił czyn stanowiący obrazę czci ludzkiej. Zdaniem prokuratora użyte przez biskupa wyrażenia były niewątpliwie obraźliwe. Ale pomimo tego wszystkiego – nieoczekiwanie konkludował prokurator – sąd nie jest władny skazać biskupa, ponieważ biskup nie wykroczył poza granice ustalone konkordatem i siódmym paragrafem konstytucji.

Mała salka we Florencji, gdzie toczył się proces, wypełniona była głównie przez prawników i adwokatów, sędziów, profesorów, kanonistów. Ława podsądnych była pusta. Na ławie oskarżycieli siedziała nieprzerwanie Lorianą Nunziati--Bellandi, pilnie słuchając. Na jej twarzy jawił się uprzejmy uśmiech, ilekroć adwokaci oskarżenia wypowiadali jej nazwisko lub leż nazwisko jej męża. Twarz jej przybierała ponury wyraz, ^82 ilekroć wypowiadali je obrońcy biskupa i proboszcza. W ostatnich dniach procesu twarz jej nie reagowała, nie tyle z powodu wielkiego zmęczenia, ale dlatego, że nie było na co. Zasady, kanony, paragrafy, kodeksy oraz duch praw wyparły z przemówień nazwiska ludzi, nazwisko Loriany Nunziati i Maura Bellandi, przyzwoitej pary, która nic nikomu nie zrobiła i z punktu widzenia ludzkiej moralności przedstawiała się nie tylko przyzwoicie, ale nawet wzorowo.

Wyparły tak dalece, że ktoś nie znający sprawy, kto by trafił na te ostatnie dni do salki sądowej we Florencji, ujrzawszy na lewo od sędziów samotną na ławie, na wpół przytomną z szalonego zmęczenia kobietę – mógłby się zapytać, co ona ma z tym wszystkim wspólnego.

Rzym, 1 marca 58 r., wieczorem

Biskup skazany na grzywnę. Proboszcz uniewinniony. Radio podaje następujące szczegóły: o godzinie czwartej po południu przewodniczący sądu zamknął posiedzenie i sędziowie udali się na naradę. Trwała ona pięć godzin. Parę minut przed dziesiątą wieczorem wyrok został ogłoszony.

Biskup skazany został na zapłacenie czterdziestu tysięcy lirów grzywny oraz kosztów sądowych.

Ma również zapłacić Bellandim odszkodowanie, którego wysokość ustali sąd osobno.

Zapłacenie grzywny sąd mu zawiesił na przeciąg pięciu lat, uwzględniając niekaralność i

pobudki.

Proboszcza sąd uniewinnił, ponieważ działał on „w mylnym przekonaniu wytłumaczalnym, choćby nawet prowadzącym do popełnienia winy, że wypełnia swój obowiązek”. Kodeks włoski przewiduje za zniesławienie karę aresztu lub karę grzywny. Jeśli chodzi o

grzywnę, waha się ona od ośmiu tysięcy do osiemdziesięciu. Ponieważ biskup nie założył sobie zniesławienia, tylko zniesławił okazjonalnie, sąd wybrał grzywnę. A ponieważ wyrazy, których użył, nie były sobie byle jakie, sąd dopasował mu grzywnę nie za dużą i nie za małą.

Na sali nikt nie spodziewał się wyroku skazującego, zwłaszcza po wniosku prokuratora o uniewinnienie. Prognozyki szły w kierunku jego tezy: biskup wszedł w konflikt z kodeksem, ale

czyn jego jest niekaralny. Spora część opinii przypuszczała, że nastąpi uniewinnienie bezwarunkowe z motywacją, że biskup nie znieważył działając w ramach swoich uprawnień. Na

skazanie nie stawiał nikt. Poza salą nie stawiał nikt, ponieważ nikt nie zdawał sobie sprawy, że narada sędziów coś za długo się przeciąga. Na sali zaś nikt, bo ludzie byli zanadto zmęczeni.

Kiedy przewodniczący skończył czytanie, To-riana nic nie zrozumiała. Trzeba jej było

tłumaczyć długą chwilę, aż nagle zrozumiała i się roześmiała. Kiedy zadzwoniono do biskupa,

za-cichł przy telefonie, a potem rzekł: „Niech się dzieje wola boska”. Adwokat, który dzwonił,

zdziwił się: „Nie będzie Jego Ekscelencja apelował?” „Apeluję!” – odparł biskup. Kiedy

wiadomość o wyroku doszła do Bellandiego, nic nie powiedział, choć cały jarzył się

wzruszeniem. Dopiero kiedy zgromadziła się pod oknem cała masa ludzi, znajomych i

nieznajomych, z okrzykami: „Niech żyje Italia! Wiwat sprawiedliwość! Wiwat magistratura!

Niech żyje wolność!” – wyszedł na balkon i podziękował. Podnosił od czasu do czasu lewą rękę

do góry, pozdrawiając zebranych, prawą bowiem w dalszym ciągu ma bezwładną po ataku

paraliżu. Wszystkie te szczegóły mam od B. z Unity, do którego dzwoniłem cztery razy, nie

mogliśmy bowiem, Zosia i ja, zasnąć długo w noc z wrażenia.

Rzym, 2 marca 58 r.

W Watykanie po wyroku burza i zamieszanie. Radio papieskie daje brutalny komentarz i

atakuje sędziów. Kardynał Florencji, Dalia Costa, składa biskupowi Fiordelli „wizytę

solidarności". To samo czyni kardynał Bolonii, Lercaro, który ponadto ogłasza dla swojego kleru żałobę, „zważywszy na nieznośne i paradoksalne warunki dla wolności i godności Kościoła, które wytworzyły się ostatnio w Italii". Mają też na terenie archidiecezji bolońskiej co dzień o szóstej z rana, aż do świąt Wielkanocy, dzwonić dzwony na żałobę przez pięć minut. Do tego czasu winny być również wszelkie odrzwia kościelne ozdobione żałobnie. Depesze solidarności wysyłają Ruffini z Palermo, Siri z Genui, Roncalli z Wenecji i Micara, wikariusz papieski z Rzymu. Ton wszystkich depesz dramatyczny. „A więc wojna przeciw religii? – woła tak rozsądny skądinąd kardynał Roncalli – dobrze! Niech jednak wiedzą wrogowie, że jesteśmy gotowi do męczeństwa." Cały szereg diecezji zarządza na przeciąg postu po każdej mszy modlitwę Contra persecutores Ecclesiae. Niewątpliwie jednak bije wszystkich sam Fior-delli, który w kazaniu trwającym czterdzieści minut, w niedzielę następnego dnia po wyroku, powiedział między innymi takie rzeczy: „Księża oraz przedstawiciele Akcji Katolickiej mojej diecezji zwrócili się do mnie, abym odprawił dzisiejszą wieczorną mszę świętą dla nich. Zgodziłem się bardzo chętnie, ponieważ rzeczywiście tutaj przed ołtarzem odtwarza się na nowo naruszona jedność społeczności chrześcijańskiej i jej pasterzy. Mszę odprawię z sercem pokornym, ale radosnym i poruszonym, ponieważ dziś mogę swój krzyż, który dźwigam, postawić obok krzyża Jezusowego". „Biskup wasz – mówił z kolei płacząc – oświadcza wam, diecezji, całym Włochom i światu, że całkowicie i ojcowsko przebacza wszystkim, którzy nie chcąc tego, przez przypadek wyrządzili mu zło. Wy również winicie im przebaczyć. Odpuszczenie czynu, który był świętokradczy i grzeszny, tego czynu, aby zawlec przed sędziów waszego biskupa, nie zależy ode mnie, - ale jeśli o mnie chodzi, zaniósę modlitwy o przebaczenie do Jezusa." A dalej: „Bóg widać nie chciał, aby została w sposób nie budzący żadnych wątpliwości stwierdzona wolność Kościoła katolickiego w Italii, ale w zamian za to obdarzył mnie darem nieskończonej wspaniałości, pozwalając mi się przyłączyć do Jezusa i jego męki". „Byłem w mojej kaplicy – mówił jeszcze biskup – i modliłem się, kiedy zadzwonił telefon z Florencji, którym powiadomiono mnie o wyroku. Wróciłem do kaplicy i podziękowałem Jezusowi.

Poczułem radosną dumę, bo wyrok, który na mnie spadł, pozwalał mi się postawić obok biskupów, księży i działaczy katolickich, którzy za żelazną kurtyną skazywani są na okropne kary. Nie jestem godzien tego nawet, by ucałować łańcuchy kardynała Mindszenteo, niemniej przeto choć w drobnusieńkiej mierze wolno mi się przyłączyć do tych osób, ponieważ ja również zostałem skazany z powodu przywiązania do Kościoła i do moich wiernych". Najdalej jednak posunął się w tym kazaniu, oświadczając: „Kiedy podczas mszy pontyfikalnych zasiadam na tronie biskupa, radują oczy moje przepiękne freski mistrza florentyńskiego Filippo Lippi, przedstawiające życie św. Jana Chrzciciela. Wprost przed moimi oczyma znajduje się jeden, od którego nie mogę oderwać spojrzenia. Jest to «Uczta w domu Heroda», do którego zbliża się Salome trzymająca w ręku misę z uciętą głową świętego. Cóż za przedziwny zbieg okoliczności! On również, mówię o św. Janie Chrzcicielu, rzucił przeciwko Herodowi oskarżenie o cudzołóstwo".

Rzym, 3 marca 58 r.

Papież na znak protestu i żałoby po wyroku zawiesza zapowiedziane na dwunastego marca uroczyste nabożeństwo w rocznicę swojej koronacji, które co roku odbywa się u Sw. Piotra.

Decyzję uzasadnia „dzisiejszymi warunkami goryczy, żałości i zniewagi wyrządzonej w Italii Kościołowi wraz z jego Sw. Kolegium, Jego Episkopatem, jego klerem i jego wiernymi".

Jednocześnie Osservatore Romano w oficjalnym pochodzącym od redakcji oświadczeniu powiada, że biskup „nie mógł być zasądzony przez sąd świecki bez naruszenia świętych praw Kościoła i praw ordynariusza do wolności w korzystaniu ze swojej władzy duchownej, i wobec czego – bez naruszenia odpowiednich ustaleń konkordatu".

Toż samo pismo przypomina w zakończeniu oświadczenia dwie normy prawa kanonicznego, z których jedna powiada, że ipso facto podpada pod ekskomunikę każdy, kto pociąga swojego biskupa przed sąd świecki „w związku z czynnościami związanymi z urzędem ordynariusza".

Druga mówi, że ekskomunikowani są również wszyscy, i to latae sententiae (mniej więcej to samo, co ipso facto), którzy czynią przeszkody bezpośrednio czy pośrednio jurysdykcji kościelnej przy wykonywaniu jej czynności zarówno w zakresie forum wewnętrznego, jak i

forum zewnętrznego. Oczywiście pierwszy kanon stosuje się do Bellandich, drugi – do sędziów biskupa.

Pod wieczór tegoż dnia jednak – najwidoczniej na skutek wysokich chadeckich interwencji w

Watykanie – urzędowa agencja włoska ogłasza, że „jest upoważniona przez najbardziej autorytatywne źródła” do stwierdzenia, że „ta druga norma nie odnosi się do sędziów z

Florencji... Została ona jedynie przytoczona w charakterze wskazówki, a nie dlatego, aby

uważało się, że zaszła okoliczność, w której winna być zastosowana; a jeśli, to co najwyżej jako

zaostrożąca poprzednio przytoczony kanon. Tak więc – nieoczekiwanie konkluduje komentarz –

sędziowie oraz adwokaci oskarżenia w najgorszym razie podpadaliby pod sankcję mającą

charakter ostrzeżenia”.

Rzym, 5 marca 58 r.

Dziś rano dostałem do ręki poniedziałkowe // Quotidiano z artykułem pt.

„Gorycz”, nie

podpisanym, ale o którym wiadomo, że jest pióra naczelnego kapelana włoskiej Akcji

Katolickiej, arcb. Mario Castellano. U Quolidiano jest pismem Akcji, a ponieważ w poniedziałek

Osservatore nie wychodzi, na ten jeden dzień w tygodniu, w zastępstwie watykańskiego kolegi,

staje się tubą kurii. Artykuł jest niezręczny w swojej ostrości. Znieważa

sądownictwo. Stawia

najparadoksalniejsze znaki równania. „Jako katolicy i jako Włosi nie możemy bez okropnego

dreszczu zgrozy znieść myśli, że w naszym kraju jak w komunistycznych Chinach oskarża się i

skazuje biskupów”.

„Jawi się wielki biskup, którego styl pracy duszpasterskiej ma w sobie coś ze stylu pracy

samego Chrystusa, który skończył na krzyżu, ponieważ nie chciał milczeć” – cytuje kanonika

Antonio Frati z Osservatore Toscano.

Ale jednocześnie z tymi osobliwymi wybuchami – dowodzącymi zamącenia elementarnego

poczucia rzeczywistości i równowagi – jacyś ludzie za „brązowymi drzwiami” najwyraźniej

gwałtują o oprzytomnienie. Już we wtorkowym Osservatore widać działanie mitygującej ręki. W

dzisiejszym, środowym, tym bardziej. Zresztą z prowincji dochodzą różne głosy arcybiskupów –

spokojniejsze. Na przykład arcybiskupa Pisy, Ugo Camozzo, który wyraźnie nawołuje do

szacunku dla magistratury, na której wspierać się musi każda demokracja, nawet



chrześcijańska.

Najciekawsze jest jednak przemówienie arcybiskupa Mediolanu. Chciałoby się je w całości

przeczytać. Montini, który spędził tyle lat w kurii, wszystko wie i w tym wypadku nawet tej

swojej niebezpiecznej wiedzy nie potrafi ukryć: „Serce Ojca Świętego

przepełnione jest goryczą

z tego powodu, że umyślnie pewni ludzie jak gdyby na pokaz popisują się tym, że go nie

rozumieją. Również Ojciec Święty jest rozgoryczony, ponieważ od czasu do czasu, i to bez

większego szacunku, stawia się nad jego cudownym ojcowskim uczuciem znak zapytania”.

Wyczuwam w tych słowach wiedzę o psychologii papieża i jego drażliwości tak precyzyjną,

że aż niszcząca. Po tym psychologicznym wstępie, który ma tłumaczyć, dlaczego papież

zareagował na wyrok tak gwałtownie i nerwowo, Montini analizuje konflikt w jego istotnym

znaczeniu.

„Winniśmy wszyscy, w chwili kiedy rozgrywają się te pożałowania godne wypadki, okazać,

że nie wyczerpują one naszych zasobów dobroci, zrozumienia, cierpliwości i wielkoduszności.

Wypadki te, które rozgoryczają i jednych, i drugich, nie powinny w żadnym razie naruszyć

naszych uczuć miłości, lojalności, szacunku dla naszego życia narodowego i jego instytucji, które

po ciężkich wstrząsach naszej najnowszej historii powoli i z trudem odnajdują swoją właściwą

strukturę duchową i prawną. Właśnie w takiej chwili winniśmy się przypomnieć społeczeństwu,

my, katolicy, z naszym umiłowaniem zgody i pokoju, przypomnieć się z nimi tym, którzy są

zdolni pojąć nasze umiłowanie, rozumiejąc, ile dać może dodatniego katolicyzm i jego ideały

naszemu wspólnemu bytowaniu włoskiemu. Uprawnienia naszego świata religijnego są określone bardzo rygorystycznie. Nie powinniśmy poza nie wykraczać, nie chcąc

powodować

obrony i wiedząc, że nie wynagrodzą nam ataków panujące dzisiaj prawa.

Pamiętajmy, że pewne

formy ostrożności i cierpliwości okazywane przez Kościół w stosunku do przykrych objawów

świeckiej sfery naszego życia są, jeśli się wmyślić w te formy, wyrazem przebaczenia

chrześcijańskiego i zgody na tę prawdziwą wolność, którą Opatrzność chce pozostawić każdemu

sumieniu ludzkiemu, często ze szkodą dla porządku doskonałego. Pamiętajmy wreszcie, że

zdążyć do niego nie sposób na tej ziemi – będącej polem, na którym dobre ziarno

pomieszane jest z niewrażliwym kłosem – nie rozumiejąc, że dobro otoczone jest na niej i częstokroć obrażane przez swoje przeciwieństwo".

Żałuję, że tekst ten jest tak zawiły, gdyż jest przemądry. Zakreśla granice zgody na „przykre objawy świeckiej sfery życia", zarazem ukazując teoretyczne zasady, na których taka zgoda się opiera. Zasady ontologiczne, teologiczne i psychologiczne. Niezwykle ciekawa jest dla mnie owa przedziwna „zgoda pozostawiona każdemu sumieniu ludzkiemu, często z uszczerbkiem dla porządku doskonałego". Wielka to szkoda, że ten człowiek odszedł z kurii. Ale jednocześnie z tym głosami i z ogólnym nakazem odwrotu na pozycje mniej szalone, raz po raz wyskakują na front sceny różni biskupi nie zorientowani, że nastąpiła zmiana kursu, i łupią swoje w szczególnie wyostrzonej akustyce. Wychodzą też na jaw inne głupstwa, popełniane przez kurię w poprzedniej fazie. I tak na przykład okazuje się, że ów *Chiario e nobile do-cumento*, który biskup Fiordelli wysłał do sądu, wysmażony został w Sekretariacie Stanu. Jego osnowę prawną skonstruował nie byle kto, bo monsignor Francesco Roberti, radca prawny Sekretariatu Stanu, który zresztą figuruje w spisach konsulentów nieomalże wszystkich kongregacji, nie mówiąc już o najróżniejszych papieskich komisjach. Jest też mocnym kandydatem na kardynała, ponieważ w Kongregacji Konsylium pełni funkcję sekretarza, a więc najwyższego jej urzędnika.

O wiele nieprzyjemniejsza rzecz wyszła na jaw z okazji cytowanych przez *Osservatore Romano* kanonów, z których wynikało, że Bellandichowie są ekskomunikowani *ipso lacto*, a adwokaci i sędziowie zmonitowani. Ktoś bowiem zajrzał do tekstu kanonów i stwierdził, że drugi został przemyślnie urwany w połowie, tak aby nie znajdujący się na prawie kanonicznym czytelnicy zinterpretowali go jako godzący w sędziów i adwokatów. Tak się też stało. A tymczasem kanon ten powtarza myśl pierwszego kanonu, gdyż kończy się słowami: „*e ricorrono ad una qualsiasi potesta laica*". Co znaczy; „i odwołuje się do jakiegokolwiek bądź władzy świeckiej".

Ponieważ i ten kanon, zacytowany w całości, odnosiłby się do Bellandich, *Osservatore Romano* ucięło mu koniec. Co gorzej, uczyniło to nie w tekście artykułu redakcyjnego, ale w tekście olicjalnego oświadczenia. Nawet na biednym V., który ma strusi żołądek i

wszystko  
przełyka, co wyjdzie zza watykańskich murów, finta zrobiła naj przykrzejsze  
wrażenie. Zgryzł  
się tym nieładnym wybiegiem niegodnym przyzwoitej instytucji ludzkiej, a cóż  
dopiero boskiej; i  
co gorzej, jak się to zaraz okazało, niesłuchanie naiwnym.  
Rzym, 9 marca 58 r. Przed Bożym Narodzeniem zadzwonił do mnie P., że ma wielką i  
niedobłą nowinę. Kiedyśmy się spotkali, powiedział mi, że kardynał Spellman  
zostaje  
Sekretarzem Stanu. Było to w okresie nasilonych plotek o konsystorzu i wiązało  
się jedno z  
drugim. Nie wierzyłem w konsystorz, więc tym bardziej nie uwierzyłem w tego  
Spellmann. Ale  
okazuje się, że w tej „wielkiej i strasznej” nowinie P. było nieco więcej prawdy  
niż w plotkach o  
bliskim konsystorzu. Wprawdzie nie kardynał Spellman, tylko kardynał Stritch, i  
nie Sekretarzem  
Stanu, tylko Proprefektem Sw. Kongregacji Krzewienia Wiary, ale rzeczywiście  
pierwszy w  
historii Kościoła amerykański kardynał zostaje członkiem kurii. Wiadomość ta  
jest już dzisiaj  
oficjalna.  
Jest to bez wątpienia duża nowina. I również bez wątpienia nowina, którą  
niepodobna się  
entuzjazmować. Amerykański katolicyzm jest za młody, za ciasny, za mało  
uniwersalistyczny i  
zanadto przesycony pragmatyzmem, aby bez strachu można było patrzeć na jednego z  
jego  
klasycznych przedstawicieli, osadzonego na stałe w kurii.  
Samuel Alfons Stritch jest z pochodzenia Irlandczykiem, lecz urodził się już w  
Ameryce. W  
Rzymie skończył seminarium prowadzone zresztą przez tę samą kongregację, na  
czele której  
staje. Oczywiście jedno z drugim nie ma związku. Prześlicznie położone i  
prastare to  
seminarium, a właściwie kolegium, kończą tysiące zamorskich kleryków. Wracają  
oni potem z  
tej rzymskiej edukacji do swoich krajów. Dla ich eklezjastycznej kariery w ich  
dalekich i  
najczęściej niekatolickich ojczyznach jest ona aż nadto wystarczająca. Ale w  
porównaniu z  
edukacją, przez którą przechodzą ci, którzy myślą o karierze w kurii, jest ona  
oczywiście  
sumaryczna.  
Prócz tego paroletniego okresu w przepięknym siedemnastowiecznym Collegio Urbano  
de  
Propaganda Fide, na drodze do Janiculum, Stritch całe życie spędził w Ameryce.  
Księdzem  
został mając dwadzieścia trzy lata, biskupem mając trzydzieści cztery,  
arcybiskupem –

czterdzieści trzy, kardynałem – pięćdziesiąt dziewięć. Dziś liczy sobie lat siedemdziesiąt jeden.

Do Rzymu przenosi się z Chicago, potężnej i przebogatej diecezji, którą zarządzał od roku 1939.

P. ocenił wiadomość o tych przenosinach jako niedobłą. W tej ocenie jest oczywiście skrót

całego szeregu doświadczeń i przemyśleń. Nie sądzę, by one wszystkie były własnością P. P.

powtarza to, co słyszy, a słyszy dużo. Pesymistyczną ocenę informacji, którą mi przyniósł, też

oczywiście usłyszał. Usłyszał ją od różnych ludzi w kurii, niezadowolonych z zamianowania

Stritcha. Na pewno jest ich nie mała grupa, ale całe skrzydło.

Skrzydło to jest w mniejszym czy większym stopniu przekonane, że Kościół winien jak

najprędzej odrobić swoje zapóźnienia. Nie wierzy ono, by świat mógł wrócić na swoje dawne

historyczne pozycje. Wierzy w nieodwracalność przewrotów proletariackich. Wierzy w teorię

powolnego „wpisywania się” Kościoła w społeczeństwa powstałe na skutek tych przewrotów.

Uważa Amerykę z jej dzisiejszą polityką za siłę niebezpiecznie mącą sprawę wszystkich tych

procesów. A katolików amerykańskich za najbardziej zacofany rodzaj Amerykanów. Potężna jest

ich siła tak pod względem ilościowym, jak organizacyjnym i finansowym. Ale jest to siła ślepa.

Należy ją kształtować, należy się nią posługiwać. Ale niebezpieczną rzeczą byłoby sadzać ją za

kierownicą. Teraz w osobie Stritcha Pius XII do kierownicy ją dopuścił.

Jest to wydarzenie niepośledniej miary. Już sam fakt mianowania nie-Włocha jest zawsze w

tej dziedzinie sensacją. Bo to rzadkość. Prócz Tisseranta wszyscy dzisiejsi członkowie tego

zespołu kardynałów kurii to Włosi. Taka jest zresztą mniej więcej proporcja: na czternaście

miejsc jedno, czasem dwa obsadzone bywa cudzoziemcem. Żaden klucz narodowościowy nie

wchodzi tu w rachubę. I nie może wchodzić, ponieważ stając się kardynałem kurii już się

powinno mieć poza sobą tego rodzaju zwięzającą, antyuniwersalistyczną formę jak forma

narodowa. Można ją jeszcze wybaczyć u kardynałów terytorialnych, ponieważ są oni przywódcami duchowymi określonych narodów, ale w zespole przywódców całego universum

jest ona niewybaczalna. Toteż kiedy Stritch na wiadomość już oficjalną o swej nominacji

oświadczył prasie, że jest „z niej dumny jako Amerykanin” i że „dzięki niej w kurii będzie

reprezentowany katolicyzm amerykański, który dzisiaj posiada niemałe znaczenie”

– powiedział  
horrendum. Po tym jego oświadczeniu kardynał C. miał się jakoby wyrazić: „Zdaje się, że Jego Eminencja kardynał Stritch uważa trzydzieści milionów katolików amerykańskich za pakiet akcji”.

Że zrobił gafę, to pewne. Ale nie on pierwszy sychnął się w zetknięciu z kuria rzymską i nie on ostatni. Ta kuria jest terenem niezmiernie trudnym. O jej stylu stanowią ludzie jednorodnej formacji, ludzie, którzy sobie tę formację kształtują przez kilkadziesiąt lat. Pamiętać również trzeba, że gafy i zgrzyty nie przerażają w kurii nikogo. Na los Stritcha one nie wpłyną. On już jest i będzie do końca życia członkiem kurii. Będzie nawet, jeśli się nie zmieni. Co najwyżej będzie kardynałem kurii tym, co robi gafy. Też dla rzymskiej kurii nie żadna nowość. Ale, rzecz prosta, wcale nie jest powiedziane, że się nie zmieni. Może się więc z łatwością zmienić w tym, że nie będzie robić gaf. Może też doskonale wyrosnąć ze swojej narodowej formy. Może nawet wyrosnąć ze swojej amerykańskiej mentalności, która tylu ludzi w Watykanie przeraża. Jeśliby nie wyrósł, byłoby to doprawdy smutne. Bo jeśliby się tu z niej nie wyrastało, to gdzie? Zwłaszcza że chyba nie można do tej mentalności, mówię o mentalności amerykańskich katolików, podchodzić w sposób tak kategorycznie pesymistyczny jak P. i ludzie ze wspomnianego „skrzydła”. Czyż jednego z najgłębszych zdań nie wypowiedział właśnie katolik-Amerykanin, biskup Fulton Scheen. Brzmi ono: „Ameryka wzięła Chrystusa bez krzyża. Rosja Sowiecka wzięła krzyż bez Chrystusa”.

Rzym, 10 marca 58 r.

Jeszcze o Stritchu. Zostaje on proprefektem swojej kongregacji, ale w rzeczywistości będzie nią kierował. Nominalny jej kierownik, kardynał Fumasoni Biondi, ma bowiem osiemdziesiąt sześć lat i nie widzi; co gorzej, władze umysłowe też wypowiadają mu posłuszeństwo. Stritch zamianowany został również eon successionem. Mówi się, że bez tej gwarancji nie chciał się z Chicago ruszyć. Jeśli tak było, jeszcze jeden dowód, że dla Stritcha kuria to terra incognita. Po pierwsze dlatego, że bez gwarancji zostałby pre-lektem, bo taka jest tu pragmatyka. A po drugie, że żadne gwarancje papieża nie obowiązują, nawet tego, co je dał, a cóż dopiero jego następcę.

Ale tak czy owak kongregacja, na której czele staje, jest jedną z najpotężniejszych. Jest to ta, od której w dużej mierze zależy przyszłość Kościoła. Jest to ta sama kongregacja, której podlegają tereny z jeszcze nie ukształtowanym życiem katolickim i oczywiście – tereny misji.

Liczbowo podlega jej około dziewięćdziesięciu arcybiskupów i biskupów, dwustu wikariuszy apostolskich i stu takichże prefektów. Geograficznie zaś – cała Australia, Oceania, Azja (prócz Bliskiego Wschodu, nad którym czuwa Kongregacja Wschodniego Kościoła), Afryka, Skandynawia, Alaska, spory procent diecezji w Kanadzie, Meksyku i jeszcze większy na terenie całej Ameryki Południowej; w Europie zaś tu i ówdzie różni ordynariusze: w Bułgarii, Rumunii, Albanii, Jugosławii, a nawet w Niemczech. Ma to wszystko swoje uzasadnienie historyczne, o którym pisać byłoby za dużo.

Istotną rzeczą jest, że podpadają pod zarząd Propaganda Fide wszystkie terytoria kolonialne i postkolonialne. Propaganda Fide nad katolikami tych obszarów ma nieomalże pełną duchową władzę, a to z tego powodu, że została na nią przelana znaczna część kompetencji innych kongregacji. Jeśli więc dla przeciętnego ordynariusza kuria to cały szereg biur, kongregacji i urzędów – dla ordynariusza z wyliczonych obszarów kuria rzymska to tylko też prawie tylko Propaganda Fide. Dla takiego ordynariusza jej szef jest jak papież. Z tego powodu o prefekcie tej kongregacji mówi się: Czerwony Papież.

Jej też podlega cała armia misjonarzy, chociaż to przeważnie zakonnicy i powinni podlegać Kongregacji Zakonów. W jakiejś mierze i jej podlegają, ale jako misjonarze – tylko Propagandzie, której zresztą wszyscy lubią podlegać, bo rozporządza kolosalnymi sumami i w swojej gospodarce finansowej nastawiona jest nie na zbieranie, ale na wydawanie. Oczywiście, że bierze i ona, ale nie od drobnych wiernych, lecz od państw, od wielkich instytucji, od wielkich organizacji, no i z samej kasy Watykanu. Podlegający jej ordynariusze, wikariusze czy prefekci w zasadzie niczego sami nie są zobowiązani wygospodarowywać. Od tego, by je strzyc i by z nich pompować, są tereny z ukształtowanym już życiem katolickim. Dziewiczych, misyjnych terenów oczywiście Kościół nie opodatkowuje. Na to nigdy by nie pozwoliła właśnie Propaganda.

Omawiając nominację Stritcha prasa zapewnia, że jest on pierwszym nie-Włochem, kierującym tą kongregacją. Nie jest to ściśle. Poprzednik kardynała Fumasoni Biondi był Holendrem, a w latach od 1892 do 1902 kierował nią Polak kardynał Mieczysław Ledóchowski, ten, który był przedtem arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim i którego Bismarck za Kulturkampfu trzymał dwa lata w areszcie. Był to okres ustabilizowanej potęgi kongregacji, która potężna jest i dziś, tylko że jej działalność obecnie jest pod względem politycznym niezmiernie zobowiązująca i trudna. Chodzi w niej o to, aby ostać się na wszystkich tych terenach, na których katolicyzm w swoim czasie zakorzenił się jako zjawisko powiązane z kolonializmem i europeizowaniem.

O ile się można zorientować, nominacja Stritcha była niespodzianką dla politycznych i kościelnych kół związanych z Watykanem. Od lat istniał wprawdzie nacisk amerykańskich katolików o jakiś ważny fotel w Watykanie. Ale ponieważ od tylu lat nic z tego nie wychodziło i ponieważ w samej kurii nie było Amerykanina nadającego się, by go wysoko dźwignąć, monsignorowie nastawieni antyamerykańsko spali spokojnie.

Apetyty, o których mowa, szły zresztą w kierunku Sekretariatu Stanu i powiązanej z nim Kongregacji dla Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych, jeśli nawet nie na stanowisko kierownicze, to na stanowisko w nich zastępcze. To znaczy – tak czy owak – na odcinek spraw zagranicznych. Pius XII jest jednak wytrawnym graczem i umiał się bronić. Zresztą czyż po to od wielu lat nie obsadzał stanowiska Sekretariatu Stanu, by oddać je jakiemuś Amerykaninowi?

Nieco lepsze szanse mieli Amerykanie w zgromadzeniu jezuitów. Ale i na tym terenie nic nie wyszło z ich starań o zastępstwo czy następstwo po generale zakonu O. Jansensie, który ostatecznie po ostatniej kapitule ani nie odszedł, ani nie otrzymał zamorskiej „prawej ręki”.

Amerykański kandydat O. Naughton, tak jak był dotąd sekretarzem Towarzystwa Jezusowego, tak nim bez zmian pozostał. Niewątpliwie jednak nacisk nie ustawał, aż wreszcie otrzymał satysfakcję, i to bardzo poważną, chociaż zaskakującą i nieoczekiwaną choćby z tego względu, że dla Stritcha kuria z całym jej osobliwym stylem pracy, polegającym na kierowaniu się tysiącami precedensów nie zapisanych i płynnych, jest czymś obcym.

P. uważa nominację za klęskę, za przegraną i za wielki wstyd dla kurii. Sprawa

nie jest tak prosta. Naturalnie, że kuria wolałaby sto razy rządzić się sama w tej kongregacji, ale widać nie może. I myślę, że nie tyle nacisk tu zdecydował, co różne obrachunki, z których wynikało, że trzeba sobie na teren pracy tej kongregacji wziąć sprzymierzeńca. Bo zważmy, że pomiędzy Watykanem a Waszyngtonem, na wszystkich tych rozległych ziemiach, które kompetencyjnie obejmuje Propaganda Fide, nie istnieją sprzeczności, a nawet istnieje zbieżność interesów. Warto natomiast przypomnieć, że na te tereny pchają się ze swymi misjami amerykańscy protestanci, stanowiąc dla katolicyzmu konkurencję. Danie katolikom tych terenów oraz wszystkim katolickim misjom tamże pracującym amerykańskiego szefa nie jest bynajmniej pomysłem czysto defensywnym. Niewątpliwie, że i ten взгляд zdecydował o nominacji, ale w znacznie większej mierze konsy-deracje natury finansowej. Jeśli tak było, należy podziwiać zręczność Watykanu, który za jednym zamachem nasycił ambicje amerykańskie dając Amerykaninowi miejsce w kurii i pomógł sobie w walce z amerykańskim protestantyzmem pieniędzmi amerykańskich katolików, na których teraz przerzucił gros kolosalnych wydatków Kongregacji Krzewienia Wiary. M. natomiast twierdzi, że Pius XII, godząc się na Stritcha, jeszcze jedno mógł mieć na myśli. A mianowicie swoją odwieczną troskę o nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych z Ameryką. Marzy on o tym od wielu lat. Marzenie to jest tym dokuczliwsze, że dwa razy było o krok od ich zrealizowania. Po raz pierwszy tuż po wojnie, kiedy Roosevelt chciał zrealizować swój plan jednej Europy zachodniej, złączonej jakąś wspólną ideologią, a więc najlepiej katolicyzmem. Mianował wtenczas Myrona Taylora swoim osobistym reprezentantem przy Piusie XII. Był on doskonałym naśladownictwem normalnego ambasadora, ale formalnym ambasadorem nie został nigdy. Pod koniec prezydentury Trumana po raz drugi sprawa nawiązania upragnionych stosunków zdawała się przesądzona. Truman nawet upatrywał sobie osobę – generała Clarka, b. dowódcę wojsk amerykańskich na terenie Włoch w czasie wojny. Ale się rozwiało. Administracja demokratyczna się nie zdecydowała; republikańska z Eisenhowerem na to by z powodu swoich zasad nie poszła. Protestanci, ich organizacje i kościoły mają na republikanów o



wiele większy wpływ niż na demokratów. Są też w stosunku do Rzymu o wiele bardziej nietolerancyjni niż protestanci angielscy czy niemieccy. Zawsze byli, a tym więcej od wojny, w miarę wzrastania sił amerykańskiego katolicyzmu, co nakazuje im być jeszcze ostrożniejszymi w stosunku do „watykańskiego niebezpieczeństwa”.

Potem przyszedł okres pani Luce, ambasadora przy Kwirynale, która była równie gorącą, co świeżą katoliczką i w tym charakterze, katoliczki, miała też przy okazji załatwiać polityczne interesy amerykańskie w Watykanie. Pomysłem tym poczuła się kuria do głębi obrażona. Toteż powitała ona następcę pani Luce, Jamesa Zellerbacha, ortodoksyjnego Żyda, z radością, ponieważ jego wyznanie kładło kres poprzednim ekwiwokom.

Nie oznaczało to wcale, by sprawa wymarzonych stosunków posunęła się dalej. Katolicy amerykańscy mieli na terenie Rzymu paru mon-signorów, ale pomniejszych – monsignora Landi od dobroczynności i monsignora O'Connor, rektora Amerykańskiego Kolegium i dyrektora watykańskiego radia. Nazywano ich grzecznościowo amerykańskimi ambasadorami, co im jeszcze bardziej utrudniało załatwianie czegokolwiek bądź na terenie kurii, nawet jeśli ich sam Waszyngton o coś prosił.

W jakiej mierze Stritch będzie miał możliwość doprowadzić do zrealizowania marzeń Piusa XII, trudno powiedzieć. Ale jeśli poprzez niego i poprzez jego kongregację rzeczywiście sypną się na wszystkie tereny misyjne tysiące amerykańskich misjonarzy, żeby wspiąć się po pewnym czasie i zająć siatkę różnych stanowisk arcybiskupów, biskupów i wikariuszy apostolskich, którymi rozporządza Propaganda Fide i na które jeszcze się nie nadają kolorowi, a już się nie nadają biali z Europy, kto wie, czy Waszyngton nie zechce Watykanowi wywdzięczyć się jakąś grzecznością.

Rzym, 12 kwietnia 58 r.

Przypuszczałem, że konflikt pomiędzy Watykanem a Zakonem Maltańskim załagodził się.

Tymczasem N. szczegółowo mi przedstawił obecny stan tej afery, istotnie interesującej. Ja o maltańczykach wiem tyle, co z różnych rodzinnych opowiadań i anegdot, no i oczywiście tyle, co z powieści-reportażu Feyrefitte'a pt. Les Chevaliers de Malte. N. zaś wie mnóstwo, nie tylko dlatego, że sam jest kawalerem maltańskim, ale również stąd, że jest prawnikiem

i doradcą  
różnych komisji na via Condotti 68, to znaczy w Palazzo di Malta, gdzie mieszczą się władze  
y<ikonu.  
Potwierdza on to, co zresztą mówią wszyscy, że Peyrefitte materiał do powieści otrzymał od samych maltańczyków; od tych, którzy wojują z Watykanem. Otrzymał go oczywiście nieoficjalnie i nie za zgodą wszystkich, i również nie na mocy jakiejś sztabowej decyzji. Ktoś mu je dał, za cichym przyzwoleniem innych, tych naj-czynniejszych. Sam konflikt wybuchł pod koniec 51 roku, kiedy na skutek skargi złożonej na zakon przez jednego z braci, hr. T. von Thum und Hohenstein, usuniętego z wysokiego stanowiska w Palazzo di Malta, Watykan powołał komisję kardynalską do zbadania sprawy Thuna oraz całości spraw zakonu. Przez pięć lat zakon zmagał się z komisją i na zalecenia Sekretariatu Stanu, pozbawiające go niezależności, odpowiadał zręcznymi unikami, raz po raz ściągając do Rzymu delegatów kilkunastu narodowych oddziałów Związku Maltańskiego na nadzwyczajne zjazdy. Ci delegaci, przedstawiciele różnych rodów królewskich i arystokratycznych, poprzez uchwały i osobiste stosunki w Watykanie szachowali posunięcia kardynalskiej komisji oraz Montiniego i Tardiniego. Konflikt zakończył się kompromisem, a raczej zawieszeniem broni na przeciąg trzech lat. Mianowicie pod koniec 56 roku Pius XII opublikował bulę, w której ogłosił tymczasową konstytucję zakonu, mającą obowiązywać przez trzy lata. Okres ten, trzech lat, poświęcony miał być na opracowanie w spokoju i bez zadrażnień podstawowych dokumentów, na których odtąd miałoby się opierać życie zakonu, a więc stałej konstytucji Związku Maltańskiego, reguły zakonu i nie wiem już tam czego. Pod koniec tegoż 56 r. Pius XII wyraził zgodę na przeprowadzenie wyborów nowego namiestnika związku. Został nim kandydat opozycji, magnat sycylijski, książe Ernesto Paternó-Castello. Watykan przyjął ten wybór chłodno, ale nie zaprotestował. Samo jądro konfliktu nie jest zresztą jasno przedstawione u Peyrefitte'a, gubiącego się w przebogatym i fascynującym materiale. Przedstawia on całą sprawę jako intrygę kardynała Canali, pragnącego dobrać się do majątków zakonu. Ale to nie jest ściśle. Przede wszystkim dlatego, że majątek zakonu, aczkolwiek niemały, nie jest aż tak znaczny, by

Canaliemu, temu Schachtowi watykańskiemu, spędzał sen z powiek. N. oblicza, że dochód zakonu z jego domów i posiadłości nie sięga pięciuset milionów lirów. Obracamy się zatem mniej więcej w granicach rocznego dochodu Giny LoUobrigidy. Ale oczywiście zakon ma mnóstwo różnych wydatków i zobowiązań, których Lollobrigida nie ma. Utrzymuje rząd, licznych dygnitarzy, kapelanów, no i na terenie Włoch kilka szpitali.

N. podkreśla, że żadnej ze swoich tajemnic zakon tak nie strzeże, jak właśnie tajemnic majątkowych. Tak więc sumę, którą N. podaje, należy traktować z dużą ostrożnością. Poza tym, jak się zdaje, zakon nie jest najlepszym finansistą. Na majątkach rolnych gospodaruje dobrze, na niektórych nawet – pokazowo. Ale jego operacje finansowe są przeważnie nieszczęśliwe. Poza tym, jak twierdzi N., nie puszcza się na żadne spekulacje terenami budowlanymi, mając na to wszelkie dane. Posiada dziesiątki terenów budowlanych po różnych miastach, które dzierżawi przeważnie ogrodnikom. Jest to tym dziwniejsze, że we władzach zakonu siedzą ludzie, którym nieobce są różnego rodzaju śmiałe kombinacje. Ale jeśli chodzi o tereny zakonne, podchodzą do nich niedynamicznie i po bożemu. Peyrefitte powiada, że właśnie to doprowadzało Canalię do szału.

N. twierdzi stanowczo, że to przesada. Nie przeczy temu, że Canali był specjalnie zainteresowany w zawojowaniu zakonu przez Watykan. Ale raczej kierowały nim względy ambicyjne niż materialne. Canali jest Wielkim Mistrzem Rycerskiego Zakonu Świętego Grobu Jerozolimskiego. Zakon to całkiem nowy, całkiem biedny i całkiem mieszczański. W porównaniu z maltańskimi Himalajami – zupełnie zakopiańskie Lipki. Animusz Canalię – według N. – brał się więc stąd, że myślał on doprowadzić do zlania się obu zakonów. Może też planował sobie, że po śmierci księcia Chigi Albani zostanie wielkim mistrzem takiego zjednoczonego zakonu.

Niewątpliwie te wszystkie względy miały swoje znaczenie. Ale zdecydował o zaatakowaniu zakonu w końcu nie Canali, lecz Montini, który w 51 roku był jeszcze w Sekretariacie Stanu.

„Malta” ze swoimi fumami arystokratycznymi nie była mu sympatyczna. Marzył on zresztą w ogóle o tym, aby odfeuda-lizować Kościół, oderwać go od różnych jego

średniowiecznych  
koneksji i pchnąć na nowoczesne tory. Za to wszystko został w końcu wygryziony z Watykanu.

Zanim Thun und Hohenstein wystąpił ze skargą, kłopotano się zarówno w Sekretariacie Stanu, jak i w Kongregacji Zakonów sprawą maltańczyków. Zarówno tym, że tracili oni coraz wyraźniej cechy zakonników, stając się organizacją świecką, jak i tym, że jeszcze pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat, a najprawdopodobniej przestaliby nim rządzić Włosi. Jeśli chodzi o pierwszy problem, polegał on na tym, że po prostu zakon przestawał być zakonem. Istniało wprawdzie jeszcze dwudziestu kilku starszych panów z najwyższej, przeważnie włoskiej i po trosze austriackiej arystokracji, którzy poprzedzali swoje nazwiska słówkiem Im (brat) i zwali się „profesami”, ponieważ złożyli w zakonie śluby „bezżeństwa, ubóstwa i posłuszeństwa”; korzystali jednak z tylu dyspens, że nikt nie mógł uważać ich za zakonników. Dyspensy zresztą dotyczyły wyłącznie owego ubóstwa, bo jeśli „brat” chciał się żenić, po prostu doczekał końca roku i ślubów nie odnawiał. Co do owego ślubowania wielkiemu mistrzowi posłuszeństwa, nikt w tym względzie nie brał dyspens, gdyż z ducha starych ustaw maltańskich wynikało, że chodziło tu o posłuszeństwo wojskowe, a ponieważ maltańczycy już się od stu siedemdziesięciu lat nie bili ani z Arabami, ani z Turkami, ani z żadnymi korsarzami, czy przysięgali na nie, czy nie przysięgali, wychodziło na jedno. Co do dyspensy od ubóstwa, Sw. Kongregacja Zakonów musiała rzeczywiście udzielać jej większości „braci”. Udzielała jej z nielekkim sercem, zwłaszcza że w pewnych wypadkach chodziło o ludzi o fortunach niemal królewskich, jak i w wypadku wzmiankowanego wyżej ks. Chigi Albani, po którym teraz spadkobiercy sprzedają otoczoną parkiem wspaniałą willę rzymską za sumę paru miliardów lirów. Ale rodzina Chigi wydała papieża, szef Chigich podczas wyborów papieża pełni funkcje marszałka koriklawe, jakże takiemu, dyspensy odmówić. Toż samo zresztą wszystkim innym, choćby z mniej efektownych przyczyn.

Ponadto bracia-profesi nie mieszkali wspólnie. Jak rozlecieli się z Malty na wszystkie strony świata za Napoleona, tak nie pozbiali się w jedno miejsce do dzisiaj. Nikt zresztą tego od nich

nie żądał, ani wielki mistrz, ani papież, ani ich reguła, o której z dumą mówili, że wywodzi się z prastarej czwartowiecznej reguły augustianów. Przełożone na język praktyczny oznaczało to, że z zespołu modlitw, przepisanych na dzień przez tę regułę, odmawiali kilka. Szczęśliwie się również tym, że oprócz ślubów zwykłych, tych odnawianych corocznie, mogą również składać śluby solenne, czyli wieczyste. Ale śluby takie składali możliwie rzadko, i to w jak najpóźniejszym wieku.

Ilość braci malała i to było denerwujące. Ale może jeszcze bardziej od tego Watykan denerwowało, że oszalałymi wzrastała ilość kawalerów świeckich. Ci ostatni, też z rodzin arystokratycznych, z drzewem genealogicznym na schwał, przez samą masę blisko sześciotysięczną zaczęli ciążyć na swojej rzymskiej centrali, naciskając o udział we władzach i honorach. Watykan przyglądał się temu stanowi rzeczy z troską, tym bardziej że większość tej masy nie była włoska.

Żeby zrozumieć mechanizm i konflikt tych trosk, należy pamiętać, że Watykan może się do maltańczyków wtrącać tylko o tyle, o ile są oni zakonem. Dla Watykanu więc jedynie pierwsza grupa, ta składająca się z braci-profesów, jest „Malta”. Po pierwsze dlatego że tak od wieków stanowią wszystkie konstytucje, które nakazują wyłącznie profesami obsadzać stanowiska w zakonie. A po drugie dlatego że z myślą o tych braciach, a nie o świeckich kawalerach, Watykan przed wiekami zrzekł się na rzecz „Malty” majątku po templariuszach; tak samo zresztą jak tylko z myślą o tych braciach setki różnych fundatorów obdarzało ich i zapisywało im dobra. Cóż z tego, że z bogactw potemplariuszowskich została tylko willa na Awentynie, a z nieprzeliczonych majątków – tylko resztki; nie zmienia to faktu, że należały one do zakonu, wyłącznie w tym węższym znaczeniu, to znaczy do zakonu składającego się z braci.

Kościół trzymał w garści zakon wyłącznie przez profesów. Zwykli kawalerowie, ci świeccy, też mu podlegali, ale tylko w tej mierze, w jakiej podlegają mu zwykli katolicy. Natomiast ci zakonnicy, ci profesy, w zasadzie podlegają Kościołowi bezapelacyjnie, tak jak wszystkie osoby zakonne. Władzą dla nich nadrzędną i absolutną jest Kongregacja Zakonów. Jej rygory są twarde.

Łatwo wdraża postępowanie, które grozić może różnymi sankcjami natury dyscyplinarno-

kanonicznej. Na zeświecczenie „Malty” nie mógł się więc Watykan zgodzić. Jeśli chodzi o aspekt powolnego dezitalianizowania się zakonu, jest on dla kurii z tego względu niepokojący, że poprzez włoską arystokrację zawsze było łatwiej Watykanowi poradzić sobie z zakonem niż przez cudzoziemców. Ma się ją na miejscu, jest ona w stosunku do Watykanu o wiele potulniejsza, jest ona z nim powiązana tysiącem węzłów. Watykan ma więc setki sposobów naciskania na tę arystokrację w o wiele wyższym stopniu niż na francuską, niemiecką, a nawet hiszpańską. Książka Feyrefitte'a zamyka się opublikowaniem wspomnianej bulli i wyborem namiestnika. W tym momencie konflikt ulega zawieszeniu, kończy się kompromisem. Zwycięstwem Watykanu nie jest; nie jest też zwycięstwem „Malty”. Na punkty jednak niewątpliwie wygrał zakon. Wprawdzie nadal w bulli Pius XII stwierdzał, że stan rzeczy w zakonie jest odległy od normalności i w związku z tym nie pozwalał na wybór wielkiego mistrza, a tylko jego namiestnika, ale z drugiej strony w czasowej konstytucji sankcjonował znaczny krok naprzód w obu procesach tak mu nienawistnych. Mianowicie zezwalał na to, że w skład siedmioosobowej Wielkiej Rady Zakonu, czyli wraz z Wielkim Mistrzem jego naczelnej władzy, wchodzić będzie dwu kawalerów świeckich oraz jeden zastępca – również świecki. Wszyscy trzej teraźniejsi są cudzoziemcami. Jeden z nich jest Holendrem, drugi – Niemcem, trzeci – Polakiem, nazywa się Stefan Tyszkiewicz. Czyniąc z nie najochotniejszym sercem koncesje, Watykan wszakże przekonany był, że „Malta” uszanuje podstawową myśl bulli, to znaczy powstrzyma się od jakiegokolwiek bądź aktywności politycznej i dyplomatycznej przez te trzy lata, przez które tymczasowa konstytucja miała obowiązywać. Myśl ta w bulli nie była wyrażona ani dosłownie, ani jasno, ale dla Watykanu zdawała się wynikać bezspornie z ducha układów. Przez trzy lata zakon miał tylko w komisjach mieszanych i własnych koncipować projekty podstawowych ustaw, które papież po upływie okresu poświęconego namysłom prawniczym, teologicznym i historycznym gotował się przyjąć. Błąd Watykanu polegał na myśleniu niedialektycznym. Przypuszczenie tego, że roznamienieni walką kawalerowie przez trzy lata będą jedynie wertować kodeksy i annały, okazało się

nieuzasadnione. Do takiego wertowania oddelegowali kilku wielkich panów, którzy przygadali sobie kilkunastu najtęższych prawników i historyków włoskich, zamigotawszy im przed nosem sperandą na maltańskie krzyże. Reszta zaś kawalerów kombinowała nad umocnieniem pozycji zakonu. Poczuli się oni zachowywać tak, jak zachowywali się ich pradiadowie, różni maltańscy wojownicy, jeśli zawieszenie broni zastało ich w twierdzy, którą próbował zdobyć wróg. Czas zawieszenia broni zużywali na podstemplowanie, wywanie, podmurowywanie, obwarowywanie i tym podobne czynności umacniające. Przede wszystkim zaczęli podbudowywać dyplomatycznymi konkretami niebezpieczną dla Watykanu tezę o własnej kompletnej suwerenności. Jest to pod wszystkimi względami zawiła sprawa. Jeżeli zaś chodzi o różnicę poglądów, to w dwu słowach zasada się ona na tym, że dla Watykanu suwerenność „Malty” jest jedynie suwerennością „funkcjonalną”, to znaczy jedynie aktualną w ramach funkcji zleconych zakonowi przez Kościół. Natomiast dla zakonu jego suwerenność jest suwerennością pełną. Tyle że ograniczoną stosunkiem zakonu do Kościoła, który jest stosunkiem wasala do suwerena. A więc w tym konkretnym wypadku – do zatwierdzenia przez Kościół wybieranego przez zakon Wielkiego Mistrza oraz do zatwierdzenia ewentualnych zmian w regule i konstytucji zakonu. Poza tymi ograniczeniami – natury satelickiej w wersji feudalistycznej – zakon w swoim rozumieniu był i miał być organizmem tak suwerennym, jak każde inne państwo na świecie. Ponieważ jest to newralgiczny punkt, zakon rozwinął koło niego znaczną aktywność. Przed okresem konfliktu, traktując zakon jako swego rodzaju ciekawostkę historyczną pewna ilość państw jeszcze przed wojną udzieliła mu uznania suwerenności. Były to, prócz stolicy apostolskiej, Hiszpania, Austria, Węgry, Francja, Rumunia oraz San Marino. Uznanie polegało na tym, że – czy to w Madrycie, czy w Budapeszcie na przykład – pojawiała się w spisie ambasadorów czy ministrów pełnomocnych nazwisko jakiegoś miejscowego księcia czy hrabiego jako akredytowanego przedstawiciela zakonu. Wynikało z tego trochę obowiązków towarzyskich. W Rzymie, gdzie mieści się siedziba związku, rzecz przedstawiała się jeszcze prościej. Zwykle bowiem przedstawicielem państwa, które nawiązało stosunki z „Maltą”, był albo poseł tego państwa przy Watykanie, albo radca takiego poselstwa czy nawet

sekretarz.

Oczywiście żadna kancelaria dyplomatyczna, nawet nawiązawszy stosunki, nie zaprzętała sobie głowy sprawą.

Ale teraz od czasu konfliktu zakonu z Watykanem, dla całego szeregu państw na Zachodzie,

przede wszystkim tych, które nie miały stosunków z zakonem, zaczynał się w tym miejscu rodzić

problem. A to z tego względu, że wszędzie miejscowe Narodowe Związki Kawalerów Maltańskich naciskały o uznanie zakonu. Co gorzej, równoległe do ich akcji nuncjusze rozwijali

swoją, podkopując się pod kawalerów i domagając się wstrzymania z tymże uznaniem aż do

ostatecznej likwidacji konfliktu pomiędzy Watykanem i zakonem.

Zważywszy, że boje głównie toczą się w państwach mniej lub więcej katolickich, ciekawe

jest, że w tych rozgrywkach dyplomatyczno--teologicznych najczęściej zwycięża zakon. Z

roczników Bulletin Oligicli du Grand Magi-slere de l'Oidre Souverain et Militaire de St. Jean de

Jerusalem dit de Malte można się dowiedzieć, w ilu państwach położył on ostatnio nuncjuszy na

łopatki. Oto wymienił on przedstawicielstwa dyplomatyczne, został uznany czy za zgodą

odpowiednich rządów akredytował swoich agentów dyplomatycznych w Brazylii, Argentynie,

Kolumbii, Costa Rice, Peru, Libanie, Egipcie, Niemieckiej Republice Federalnej oraz – co

najważniejsze i najbardziej zaskakujące – w Italii.

Ta akcja irytuje watykański Sekretariat Stanu. Ale nie tylko ona. Jak wiadomo, zakon ze

swoich dochodów utrzymuje gdzieś szpitale czy inne tego rodzaju placówki.

Otóż teraz

nie tylko wzmógł aktywność na tym polu, co by Watykan ostatecznie zniósł, ale ponadto obsyła

wszystkie kongresy lekarskie delegatami, a także, co jeszcze dla Watykanu dotkliwsze, szuka

oficjalnych umocnień przy różnych międzynarodowych organizacjach naukowych czy sanitarnych, głównie na razie w Genewie.

Watykan również czuje się upokorzony tym, że właśnie od czasu, kiedy wybuchł konflikt,

utarıł się obyczaj odwiedzania siedziby zakonu przez wielkich tego świata, przybywających z

oficjalnymi wizytami do Rzymu. Zwłaszcza irytuje się on w wypadku, kiedy są to głowy

państwa, jak prezydent Coty czy prezydent Heuss. Odwiedziny takie są określone przez

urzędowy komunikat jako prywatne, ale ponieważ niekiedy „głowom" w takim wypadku towarzyszą ministrowie spraw zagranicznych i często wszystko odbywa się z wielką pompą,



której punktem kulminacyjnym jest przyjmowanie gościa przez Namiestnika zasiadającego na tronie w najwspanialszej sali rezydencji Wielkich Mistrzów na Awentynie, wizyty takie nie mogą być w Watykanie traktowane jako dyplomatycznie bez znaczenia. Przed okresem konfliktu poza Wielkim Mistrzem czy czasami Namiestnikiem Wielkiego Mistrza i czteroosobową Suwerenną Radą istniał jeszcze kanclerz i wicekanclerz, - ten ostatni zajmujący się sprawami zewnętrznymi. Teraz w Palazzo di Malta przy ulicy Condotti 68 pracuje ogromne biuro. Jest to całe ministerstwo spraw zagranicznych. Dzieli się na trzy departamenty: departament pierwszy (Europy), departament drugi (Śródziemnomorski i Wschodni), trzeci (obu Ameryk, Filipin i Australii) oraz dwa generalne sekretariaty: pierwszy – Spraw Zagranicznych Ogólnych i drugi – Komitetu Doradczego dla Organizacji Międzynarodowych. Na czele wszystkich tych biur i komitetów stoją zawodowcy, emerytowani włoscy i niewłoscy dyplomaci, członkowie związku, fachowi i ustosunkowani po całym świecie. Wśród nich jest i Polak, hr. Emeryk Hutten-Czapski, który w najostrzejszej fazie konfliktu piastował nawet godność kanclerza. N. twierdzi, że jest nieprzejednanym bojownikiem o pełną suwerenność zakonu, a poza tym tęgą dyplomatyczną głową. Podczas konfliktu sueskiego zakon za zgodą Anglii i Egiptu przejął na siebie opiekę nad poddanyymi brytyjskimi, pochodzącymi z Malty. Obecnie – można to uznać za pewne – pertraktuje we włoskim MSZ o eksterytorialność dla pałacu przy Condotti i dla willi na Awentynie, jak również o prawo bicia monet i drukowania znaczków. Mówi się też, że kawalerowie o te znaczki sondują Międzynarodową Unię Poczтовую, od której zależy, by znaczek był nie tylko zjawiskiem graficznym, ale walorem międzynarodowego pocztowego obrotu. Ponieważ o tych znaczkach trąbi prasa i nawet dyplomaci spotkawszy się na przyjęciach zwierają sobie na ucho ich tajemnice, zapytałem R., czy myśli, że sprawa jest rzeczywiście załatwiona. Odparł, że nie i nie będzie prędko, i dodał, iż wie o tym z najlepiej poinformowanego źródła, a mianowicie od chłopca, który mu dostarcza znaczki, jak tylko jest jakaś nowa emisja. Wie on o tym zawsze naprzód, tak samo jak setki podobnych chłopców, którzy na wystaniu się przez połowę nocy za nowymi znaczkami, nim się otworzą okienka, zarabiają od

czasu do czasu  
tysiąc czy dwa tysiące lirów. Otóż ani on, ani jego koledzy nic na razie nie  
wiedzą o maltańskich  
znaczkach. „A przecież oni muszą wiedzieć” – rzekł.  
Ale że spowite najgłębszą tajemnicą toczą się pertraktacje, to pewna. O te  
znaczkę i o te  
różne uprawnienia typowe dla ciał suwerennych. Nie są to oczywiście uprawnienia  
epokowej  
wagi, ale niemniej przeto wszystkie razem wzięte mogą się przyczynić do pewnego  
faktyczno-  
pra-wnego stanu, niewygodnego dla Kościoła. Dzięki nim oraz dzięki wszystkim tym  
dyplomatycznym uznaniom, o których już wspominałem, Watykan po trzech latach  
„zawieszenia  
broni” musi się znaleźć w niemożności prowadzenia ostrego kursu w stosunku do  
zakonu, nie  
chcąc urazić dziesiątków różnych rządów oraz międzynarodowych instytucji, które  
potraktowały  
Związek Maltański na serio.  
Podczas naszej rozmowy o maltańczykach od czasu do czasu podśmiewałem się; M.  
zresztą  
także, lecz w pewnym momencie powiedział mi, że takie podśmiewanie jest trochę  
banalne.  
Śmieszni oni są, naturalnie, ci kawalerowie, tak samo jak kapłani obrządków nam  
obcych czy  
produkty obcych nam estetycznie prądów. Może nawet zabawna jest także ich wojna  
z  
Watykanem, zwłaszcza kiedy się ją zestawi z podstawowymi zmaganiem dzisiejszego  
świata w  
całej ich rozciągłości globalnej.  
Ale jeżeli wejrzeć w tę wojnę baczniej, a zwłaszcza jeżeli wejrzeć w mechanizm  
powolnie  
ponoszonej przez Watykan klęski, można dojść do ciekawych refleksji. Można nawet  
dzięki tym  
refleksjom zrozumieć głęboką gorycz, która przepaja Watykan na skutek owej  
klęski. Nie o  
majątki „Malty” chodzi, bo z całą pewnością w późniejszych fazach konfliktu  
przystały one  
odgrywać rolę zagoryczającego bodźca. Niezmiernie przykry był dla Watykanu w  
tych  
rozgrywkach aspekt prestiżowy. Zwłaszcza dla jego Sekretariatu Stanu,  
chlubiącego się swoją  
dyplomacją „najlepszą w świecie”, a teraz bez miłosierdzia kiwanego przez  
kilkunastu starych  
panów tak na terenie Rzymu, jak na terenie licznych stolic Ameryki i Europy.  
Ale jeszcze nie to było najboleśniej. Najboleśniej było wyraźne  
zobaczenie, że we  
wszystkich wypadkach, gdzie rząd musiał wybrać między interesem Kościoła i  
interesem  
czołówki miejscowej arystokracji, wybierał interes tej czołówki. I to w krajach  
tak katolickich,

jak Portugalia czy Italia. Czasem Budzi się w Watykanie wątpliwość, czy nasilenie się wpływów katolicyzmu na różnych terenach, to ostentacyjne zwrócenie się rządów do krzyża są aby bezinteresowne. Negatywny dla Sekretariatu Stanu i dla tylu nuncjatur wynik opisywanych rozgrywek nie przyczynił się do rozproszenia tych wątpliwości.

Rzym, 2 czerwca 58 r.

Byłem dziś w Grotach Watykańskich oglądać kaplicę Matki Boskiej Częstochowskiej, którą wczoraj konsekrował kardynał Tedeschini. Kaplica jest ładna i spokojna. Kopię Madonny Częstochowy wykonały zakłady mozaikarskie Watykanu. Płaskorzeźby, przedstawiające polskich świętych, są dłuta Michała Paszyna. Jest ich osiem. Po prawej stronie Matki Boskiej – św. Wojciech, po lewej św. Stanisław Szczepanowski. Resztę świętych rozmieszczono po bokach kaplicy. Są to: św. Stanisław Kostka, św. Jadwiga, św. Jan Kanty, św. Kazimierz, św. Jacek Odrowąż i św. Andrzej Bobola. E. mówił mi, że Paszyn jest z nich bardzo dumny, a to głównie z tego powodu, że jest jedynym rzeźbiarzem, który „ma osiem rzeźb w Bazylice Sw. Piotra, podczas gdy, na przykład, taki Michał Anioł tylko jedną”. Czy z ich jakości inspirowanej gotykiem jest równie dumny, nie wiem, osądzając je należy jednak pamiętać, że z kościelną rzeźbą i malarstwem sprawa się przedstawia tak, jak z socrealistyczną rzeźbą czy malarstwem w najgorszej epoce, kiedy jedynym ratunkiem było stylizowanie i korektura smaku. E. pokazał mi, że św. Wojciech ma rysy kardynała Wyszyńskiego. Rzeczywiście! Paszyn doskonale uchwycił podobieństwo. Stanisław Szczepanowski natomiast ma rysy Gawliny, którego nie znam, ale E. osądził, że też jest bardzo podobny. Fundator kaplicy, która go kosztowała miliony, stanowiące oszczędności całego życia, ksiądz A. Skoniecki, Amerykanin polskiego pochodzenia, proboszcz kościoła Sw. Piotra i Pawła w Three Rivers w Massachusetts, chciał też mieć swoje rysy uwiecznione, ale zarząd Bazyliki się nie zgodził. Ciekawe jest również, że władze kościelne nie zgodziły się na sprzedaż fotografii tych świętych, którzy mają rysy Wyszyńskiego i Gawliny. Byłem ciekaw, co za władze o tym zdecydowały i na jakim szczepku. Nie wiadomo i o zakazie dowiaduje się upoważniony fotograf i dowiadują się również dozorczy pilnujący Grot, że nie mają dopuszczać do fotografowania św.

Wojciecha i św.  
Stanisława Biskupa. Ale czy tak jest z polecenia Sw. Oficjum, czy na prośbę  
Gawliny, którego ta  
rzecz krępuje, czy na skutek sumki wpłacanej do odpowiednich rąk przez  
rozżalonego księdza  
Skomeckiego, tego nikt nie wyświetli.  
Rzym, 22 czerwca 58 r. Wioch, który chce jechać na wycieczkę turystyczną do  
Hiszpanii,  
musi do podania o wizę dołączyć zaświadczenie, że nie należy do żadnego  
ugrupowania  
lewicowego. Zaświadczenie takie wydaje mu jego proboszcz, a poświadcza biskup.  
Jest to z  
punktu widzenia stosunków międzynarodowych praktyka dziwaczna. Tym więcej, że od  
turysty  
angielskiego czy amerykańskiego Hiszpanie nie żądają takiego dokumentu, ponieważ  
państwowe  
władze ich krajów nigdy by się na wydanie czegoś podobnego nie zgodziły. Może  
zgodziliby się  
w ten sposób zaświadczać pastorzy i protestanci biskupi, ale znowu nie byłoby  
to w smak  
Hiszpanom. Powstaje więc dziwaczna sytuacja, że do Hiszpanii mogą w zasadzie  
jechać włoscy  
turyści tylko katolicy, natomiast z krajów protestanckich – wszyscy. Oczywiście  
tu w Italii, tak  
jak każde głupie rozporządzenie, i to się omija. A mianowicie przynosi się  
Hiszpanom  
zaświadczenie, że się jedzie w sprawach handlowych czy przemysłowych. Takie  
zaświadczenie  
przynoszą socjaldemokraci, komuniści czy socjaliści, a także członkowie różnych  
drobnych partii  
czy ugrupowań laickich, którzy nie chcą nic zawdzięczać proboszczom.  
Rzym, 24 czerwca 58 r.  
Osservatore Romano prowadzi rubryczkę, w której dzieli filmy wyświetlane w  
Rzymie na  
różne kategorie. Rubryczka nazywa się: Osady Komisji Cenzury Katolickiego  
Centrum  
Filmowego. Kategorie są następujące: W. (wszyscy), Wzz. (wszyscy z  
zastrzeżeniem), D.  
(dorośli), Dzz. (dorośli z zastrzeżeniem), O. (odradza się) i Wk. (wykluczone).  
Zastrzeżenia  
dotyczą w pierwszym wypadku (Wzz.) – dzieci; w drugim (Dzz.) – chodzi o to, żeby  
widzowie  
odnosili się do filmu z ostrożnością, ponieważ zawierać może w dialogach,  
scenach czy tezie  
pewne elementy niebezpieczne. Interesujące jest, że nawet kategoria najlepsza,  
pierwsza, dlatego  
jest najlepsza, „że nie zawiera elementów negatywnych”.  
Rubryczka pojawia się dwa razy na miesiąc, a czasami trzy. Nie istnieje  
natomiast taka sama  
rubryczka poświęcona książkom. Z rzadka Sw. Oficjum potępi jakąś książkę. Na

pewno czuwa  
ono nad całością książkowej produkcji całego świata, ale nie walczy z nią z tak  
skrupulatną  
zapamiętałością, jak walczyło jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu. Wydaje mi się,  
że dla Kościoła  
dzisiaj książka nie jest tą formą, którą obecnie zło posługuje się najchętniej i  
w sposób  
najniebezpieczniejszy. Taką formą, takimi narzędziami naszej doby jest natomiast  
film i radio  
oraz od niedawnego czasu telewizja.  
Istnieje teraz cała maszyneria w kurii, żeby sobie z tym radzić. Załączki tej  
maszynerii  
powstały w roku 1948. Watykan myślał wówczas o stworzeniu gigantycznej wytwórni.  
Była to  
myśl śmiała, ale chyba trochę szalona. Potworne komplikacje ideologiczno-  
cenzuralne musiałyby  
dławić produkcję takiego papieskiego Hollywoodu, nie mówiąc już o innego  
rodzaju łatwych do  
przewidzenia figlach, które by mon-signorom-producentom płatał przy tej okazji  
szatan.  
Kiedy w roku 1952 ostatecznie porzucono ten pomysł, powstała „Apostolska Komisja  
Kinematograficzna”, której w roku 54 dodano jeszcze kompetencyjnie radio i  
telewizję. Ma ona  
swoją radę naczelną, swoich doradców i ekspertów, różnych uczonych mnichów i  
monsignorów  
rozsianych po całym świecie. Warto dodać, że Pius XII wielokrotnie w sprawach  
filmu zabierał  
głos. Jest on w pełni świadom, że istotnie to film jest inżynierem dusz  
dwudziestego wieku.  
Podobno raz wyraził się, że sale kinowe w tym samym stopniu i w taki sam sposób  
kształtują  
dzisiaj ludzi, co w dawnych wiekach kościoły. Jest to oczywiście paradoks,  
niemniej tkwi w nim  
ziarnko prawdy, i to gorzkiej. Jakież tedy wyjście z sytuacji? Najlepszym byłoby  
samemu, i to na  
prawie wyłączności, produkować filmy, dla seansów rezerwując sobie kościoły. Ale  
jest to  
nieziszczalne marzenie! Skoro tak jest, skoro problemu nie można chwycić od  
strony produkcji,  
spróbował go Watykan pochwycić od strony konsumenta.  
Około roku 1950 poczęły tedy powstawać po całym świecie takie różne katolickie  
filmowe  
centra jak to, które do dzisiaj publikuje swoje osądy w *Osseivatore Romano*.  
Miały one na celu,  
naciskając na opinię katolicką, wywoływać te i inne efekty w filmowej produkcji.  
Twórcy tej  
koncepcji sądzili, że tamując katolikom drogę do pewnych filmów i skłaniając do  
innych –  
zawładną producentami. Ale ta przebiegła koncepcja nie wypaliła na sto procent.  
Przede

wszystkim dlatego, że innowiercy i poganie całego świata nie słuchali wcale katolickich centrów.

A poza tym dlatego, że katolicy nie słuchali ich bezapelacyjnie. To znaczy słuchali w małych miasteczkach, ale w wielkich – minimalnie. W przeliczeniach kasowych wyglądało to jeszcze gorzej, ponieważ ceny biletów w wielkich miastach są o wiele wyższe. Troszkę więc te katolickie centra, ich osady i rubryczki, nakręcały koniunkturę w myśl papieskich życzeń, ale bardzo nie mogły. Wtedy to zabłysnął geniusz kardynała Canali, który poradził komisji działać przez banki.

To znaczy przeprowadzić, by banki udzielające kredytów producentom domagały się od nich zaświadczenia, że film nie będzie budził oporów komisji. Konstrukcja prawna tego żądania nie jest ibez zarzutu. Ale też nie jest całkowicie nonsensowna. Banki stają na stanowisku, że nie mogą awansować pieniędzy na filmy, które następnie tak potężna organizacja jak Kościół każe bojkotować. Banki dodają, że nic ich nie obchodzi aspekt światopoglądowy i polityczny tego problemu, po prostu będąc instytucjami finansowymi nie mogą wchodzić w operacje, których prognozy zarobkowe są niepomysłne. Takimi wyjaśnieniami ratują swój honor. W rzeczywistości po prostu najpoważniejszym ich klientem na terenie Włoch, no i w ogóle, jest Watykan. Wypada im spełniać jego wolę. Poza tym powiązania personalne wielkich finansów włoskich są takie, że trudno czasami wytyczyć granice pomiędzy sztabem finansów watykańskim i sztabem finansjery włoskiej.

O tych zaświadczeniach można tomy pisać. Biorą je wszyscy, nawet wielcy producenci, jak Laurentis czy de Ponti, nie potrzebujący kredytów. Ale biorą, żeby nie drażnić ambicji mon-signorów z komisji. Ponieważ w sprawę wchodzi tu zawsze grube pieniądze, czasami miliardowe, naturalnie nie obywa się przy tych zaświadczeniach bez pewnych grzeszków.

Dodają też rumieńców całej tej kwestii walki w łonie komisji i raz po raz powstające sekcje czy instytuty przy różnych wielkich ciałach katolickich, które też chcą wystawiać zaświadczenia.

Ponieważ nie reguluje tego problemu żadna bulla, żaden paragraf żadnego prawd, w ogóle żadna urzędowa enuncjacja kurii, przed każdym śmiałym i pleczystym organizatorem katolickim droga tu otwarta. Wiem też, że i wielkie zakony, jeśli pretekst się nadarzy, nie wahają się wydawać

zaświadczeń. Tak samo jak różne pozarzymskie kurie, oczywiście takie, jak bolonska czy mediolańska, to znaczy kurie najcięższej wagi. W takich zaświadczeniach mówi się tylko, że kuria nie ma zastrzeżeń co do scenariusza i sądzi, że film po wyprodukowaniu będzie mógł być wyświetlany w kinowych salach parafialnych jej diecezji. Ale nawet jeśli producent, któremu spodoba się scenariusz, ani od komisji, ani od żadnej z odpowiednich sekcji, ani od żadnej z kurii zakonnych czy kurii diecezjalnych nie uzyska zaświadczenia, nie powinien tracić nadziei. Istnieje jeszcze ostatnia droga, to znaczy indywidualnej aprobaty jakiejś pierwszoplanowej osobistości kościelnej. Zwłaszcza jeśli przedtem sondowano różne ciała zbiorowe i im się scenariusz nie podobał, wydaje się, że iść warto tylko do jakiegoś kardynała lub jednej z tych kilku osób, które, chociaż nie w purpurze, mają nie mniejszy walor. W ten sposób, na przykład, mógł nareszcie przystąpić do nakręcania swoich „Nocy Cabi-rii” Fellini. Po nieskończonej ilości negatywnych sondaży (podobno było ich osiemnaście) poszedł do kardynała Siri. I – wygrał! Tak dalece, że filmem zachwyciła się po wyprodukowaniu Civiltà Cattolica, która widzi w Sirim przyszłego papieża. Na skutek sugestii tego pisma, jakże autorytatywnego, „Noce Cabirii” otrzymały nawet poważną katolicką nagrodę. To już chyba była nadgorliwość. Ale i tak lepsza ona niż nadgorliwość Osądów Komisji Cenzury Katolickiego Centrum Filmowego, które siecze różnymi „odradza się” i „wykluczone” każdy film niezależnie od tendencji czy wartości, gdzie się na przykład – jak mówi egze-geta pewnego przemówienia Piusa XII na temat filmu – „ukazuje szczegóły nędzy bez jednoczesnego ukazywania wyższych zamysłów boskich” lub „pocałunki pomiędzy mężczyzną i kobietą, którzy nie mogą mieć uzasadnionych podstaw do wiary, że w przyszłości zawrą związek małżeński”. Rzym, 26 czerwca 58 r. Ciekawa sprawa to studia w Rzymie naszego kleru, który przybywa z Polski. Byłem kilka dni temu u pp. R. On dobrze zna zagadnienie i dużo mi o nim opowiadał. Ma ono dwa aspekty. Pierwszy to dwuznaczność sytuacji tych księży i zakonników, ponieważ Watykan nie uznaje państwa, z którego przyjechali. Nie uznaje jego ustroju, jego granic i jego rządu. Uznaje

natomiast Polskę londyńską, która ma przy papieżu przedwojennego ambasadora. Do tego ambasadora księży z Polski nie chodzą, ponieważ nie jest to ambasador Polski Ludowej. Do ambasadora Polski Ludowej nie chodzą, ponieważ nie uznaje go Watykan. Zachodzą na parter, gdzie mieści się konsulat, ale nie ryzykują wizyt na wyższych piętrach, gdzie mieszczą się inne biura tej ambasady, która dla ich watykańskich gospodarzy jest trefna. Nie chcą drażnić papieskich uniwersytetów, na których studiują, ani też rektorów kolegiów, gdzie mieszkają. Te kolegia też są papieskie, jedno nazywa się Pontificio Collegia- Polacco, drugie Pontificio Instituto Ecclesiastico Polacco. Nastroje w nich dla Polski Ludowej nie są bezapelacyjnie wrogie. Ale nie w nastrojach rzecz, lecz z zależności tych kolegiów od odpowiedniej kongregacji kurii rzymskiej, która prowadzi w stosunku do nas określoną politykę. Jeszcze gorzej układa się sytuacja, jeśli przybysz z Polski zamieszka w domu zakonnym. Tam jeszcze mniej o nas wiedzą i jeszcze skrupulatniej trzymają się przepisów. P. opowiada, że pewnemu młodemu księdzu z Polski, który zamieszkał w konwikcie Filiorum S. Cordis Je-su przy ul. Sw. Pankracego, przygotowano cywilne ubranie słysząc, że idzie dopełnić normalnego obowiązku zameldowania się w naszym wydziale konsularnym. „W komunistycznej Polsce – upierał się superior konwiktu – nie wolno chodzić księżom w sutannie! Po co się narażać!” Zależność od kurialnej Kongregacji Seminariów i Studiów poprzez uniwersytety, na których się studiuje, to nie wszystko. Jeszcze istnieje inna zależność; nie naukowa, ale kościelna. Jak wiadomo, każdy ksiądz zależy od swego ordynariusza; w pewnym sensie też, pośrednio czy bezpośrednio, zależy od ordynariusza diecezji, gdzie mieści się jego dom klasztorny, każdy zakonnik. Ale kiedy ksiądz czy zakonnik przybywa na teren Rzymu z Polski, ta zależność zostaje zerwana czy zawieszona. Na mocy odpowiednich zarządzeń papieskich, a ściślej mówiąc na mocy bulli z r. 1952 pt. Exsul Familia, zostaje on podporządkowany Summum Consilium de Emigratione, co dla niego w praktyce oznacza, że jego ojcem duchownym i rozkazodawcą kościelnym zostaje na cały czas studiów rzymskich ks. arcybiskup Gawlina, pełnomocnik tego



Summum Consilium do spraw polskich.

R. twierdzi, że kiedy tu był kardynał Wyszyński, kardynał Piazza, ówczesny kierownik

Kongregacji Konsystorza, której przyporządkowane jest Consilium de Emigratione, obiecał mu

taki sam status dla jego kleru, jaki mają przeważnie wszystkie narody. To

znaczy, że będzie on

na terenie Rzymu podlegał osobie duchownej, którą Wyszyński wyznaczy. Natomiast ks.

Gawlinie podlegać będą jedynie księża pełniący funkcje duszpasterskie w polskich ośrodkach

emigracyjnych. Taki jest zresztą normalny układ spraw. I logiczny, ponieważ

przybywający na

studia do Rzymu duchowny ani sam nie jest emigrantem, ani nie pracuje wśród

emigracji, zatem

żadne Consilium de Emigratione nie powinno się nim zajmować.

Ale kiedy kardynał Wyszyński wyjechał, jeszcze raz zaczęto rozważać tę sprawę.

Uznano w

końcu, że efekty danej mu obietnicy mogą się okazać ideowo-pedagogicznie

wątpliwe. Jeżeli

chodzi o ten ostatni problem, R. jest zdania, że młodzi duchowni z Polski

zrobili w Rzymie

doskonale wrażenie, które byłoby jeszcze lepsze, gdyby nie utopijność ich

politycznych

poglądów. Rzym wolałby, aby ci młodzi ludzie mówili o Polsce z takim akcentem, z

jakim

mówią o Dachau czy Oświęcimiu kapłani, którzy się uratowali z tych obozów. A

jeśli nie w

sposób absolutnie tożsamy, to zbliżony, a przynajmniej podkreślający dla

katolika niemożność

życia w tych warunkach na stałe. A tymczasem oni cały akcent kładli właśnie na

możność. W

konkluzji więc podporządkowano ich ostatecznie Gawlinie.

Jest to dla nich kłopotliwe, ponieważ Gawlina ma różne swoje zobowiązania i

powiązania.

Jego emigracyjna sieć duchowna, złożona z polskich księży i zakonników, pracuje

mając na oku

określony cel polityczny. Gawlinie i jego mecenasom chodzi o to, aby polskich

emigrantów – od

Australii idąc aż po Kanadę i od Patagonii aż po Norwegię – strzec przed

uczuciowymi

zamąceniami w stosunku do dzisiejszej Polski. Ma on rękę już włożoną do tej

roboty, którą

wykonuje z dużą fachową sprawnością.

Nawet więc jeśli mu Wyszyński coś niecoś rozklarował w głowie, kiedy tu był, i

nawet

jeśliby nie chciał wchodzić z nim w konflikt, dostawszy pod swoją komendę

trzydzieści nowych

polskich sutann i habitów, w praktyce dołączył je do swojej starej kadry. Od

czasu do czasu w

tutejszej prasie kościelnej czyta się tedy, że wzięły one udział w tej czy innej manifestacji o charakterze o wiele bardziej politycznym niż kościelnym. Najczęściej są to różne msze i nabożeństwa za „Kościół Milczenia”. W fotelu przed ołtarzem siedzi ambasador Papee oraz jego litewski kolega i inni. Za nimi cały kwiat naszego białego duchowieństwa, z ks. Meysztowiczem na czele. A na chórze śpiewają alumni z obu polskich kolegiów; wśród nich i tych dwudziestu czy trzydziestu z Polski, którzy przyjechali tu za normalnym ludowym paszportem. Jest zresztą interesujące, że od czasu Października, a ściślej biorąc od czasu umocnienia się sytuacji Kościoła w Polsce, na górze w Watykanie nasz Kościół wyłącza się z „Kościołów Milczenia”. R. wie o tym na pewno, jak również o tym, że na początku bieżącego roku Sekretariat Stanu rozesłał do nuncjatur notatkę o sprawach polskich, gdzie sytuacja Kościoła u nas określona jest jako tolerabilis (znośna). R. twierdzi też, że kiedy u duchownych z Polski budzą się opory przed braniem udziału w pewnych nabożeństwach, wyjaśnia się im, że nie chodzi tu o Kościół w Polsce, ale o inne, i że właśnie księża z Polski, gdzie Kościół odzyskał głos, winni się za nie modlić, ponieważ jeszcze nie korzystają z wolności. Idą więc się nasi modlić. Tym więcej, że idą wszyscy koledzy, że idzie cała góra, rektorzy i nierektorzy, a także wszyscy polsko-rzymscy księża i również wielu niepolskich, a między nimi choćby taki, jak O. Antonio Preseren, asystent na kraje słowiańskie generała jezuitów, tych jezuitów od Uniwersytetu Gregoriańskiego, na który połowa przyjeżdżających z Polski uczęszcza; tych jezuitów, do których należy wzmiankowany wyżej Pontificio Collegio Polacco, gdzie co najmniej połowa przyjeżdżających z Polski księży mieszka. Nie należy z tego wyciągać wniosku, że to jezuita kręcą całą maszyną, kręcą i pilnują, żeby dobrze maglowała przybyszów z Polski. I że tacy oni właśnie są, i że takie właśnie jest ich nastawienie do naszej dzisiejszej Polski. Wniosek taki byłby pochopny. Na pewno w tym wypadku nie są bez winy pewni przedstawiciele tego zgromadzenia i na pewno nie robią tego na własną rękę, tylko za aprobatą swojej góry. Ale zarazem ta góra wie o innych działaniach, nie pokrywających się z wyżej scharakteryzowanymi, i przeciw nim nie protestuje, a nawet je ośmiela. W ten sposób spod

stempla jezuickiego, to znaczy spod ich wychowawczego stempla, mogą wychodzić księża niesłuchanie zacofani i księża o szerokich horyzontach, nowoczesnych i postępowych. Zdaje się, że dzieje się to dlatego, że i tacy, i tacy potrzebni są Kościołowi, i to z różnych względów; przede wszystkim w zależności od tego, w jakich krajach, w jakich diecezjach i na jakich odcinkach będą pracować. Nie można też zapominać, że za takim czy innym faktem z życia Kościoła, i to nawet faktem natury czysto duchowej, stoją zawsze jakieś pieniądze. Publikacje, konferencje, nowe instytuty, uruchamianie nowych katedr na uniwersytetach, budowanie nowych kaplic czy kościołów, a nawet cykle nabożeństw – to wszystko kosztuje. Na to wszystko trzeba znaleźć pieniądze; ktoś to musi wstawić do swego budżetu czy do budżetu instytucji, której finansami zawiaduje. Tego kogoś trzeba jakimiś argumentami pozyskać do podobnego wydatku czy zgody na wstawienie odpowiedniej pozycji do takiego czy innego budżetu. Czasami chodzi tu o sumy jednorazowe, a czasami o stałe subwencje, coroczne. Te ostatnie są warte osobnego studium. Płyną automatycznie na jakiś cel, pomimo zmienionej sytuacji. Klasycznym takim przykładem jest Russicum, kształcące rosyjskich księży rzymskokatolickich. Powstało po pierwszej wojnie światowej, wtedy kiedy w Watykanie i nie tylko w Watykanie przypuszczało się, że rewolucja się zawali i że wtedy łatwo będzie nawrócić Rosję na katolicyzm. Dziś wszyscy zdają sobie sprawę, że to mrzonka, ale automatyzm różnych budżetów, głównie kanadyjskich i amerykańskich, działa. Russicum żyć musi, skoro płyną na niego pieniądze. Obawiam się, że na terenie Rzymu zachodzi dzisiaj coś podobnego w zakresie spraw polskich. Wszyscy tu uważają, poza paru jednostkami, że pewnego rodzaju kierunek wychowawczy, pewnego rodzaju manifestacje i pewnego rodzaju nabożeństwa są dzisiaj anachronizmem. Niemniej przeto wszystko trwa po staremu, wszystko musi być, ponieważ płyną pieniądze. Z tych pieniędzy się żyje. Na rok przyszły znowu ich będzie trzeba. Trzeba więc mnożyć dokonania, żeby podkładka pod wnioski o zatwierdzenie budżetu na rok przyszły była przekonująca. W kierownictwie tych banków i różnych instytucji finansowych, które dają pieniądze, też może myśleć o Polsce popaździernikowej inaczej. Ci, którzy te pieniądze dostaną i znowu zaczną je wydawać podług starego szablonu, również myślą inaczej, niż myśleli

parę lat temu; wiem o tym bardzo dobrze.  
Ale póki ktoś nie wynajdzie nowego pretekstu dla ściągania pieniędzy, nic się w praktyce nie zmieni. Raz powołane do życia placówki muszą z czegoś żyć. Zrozumiawszy to, choć oczywiście się obruszam, przestałem się pewnym rzeczom dziwić. Nie zdziwię się więc i w przyszłym roku, kiedy w Osseratoie Romano, jeśli jeszcze będę je czytał, wyczytam, że odbyło się w Rzymie zorganizowane przez Polaków nabożeństwo za „Kościół Milczenia”, w którym wziął udział polski chór, złożony z duchownej młodzieży, przybyłej na studia do Rzymu, i że to nabożeństwo „pokrzepiło serca przymusowych emigrantów i tułaczy bez ojczyzny”. Istnieje jeszcze inny pasjonujący element tej sprawy, o którym wczoraj mówiłem z R.; to znaczy sprawy studiów naszych młodych księży i zakonników, którzy tu przyjeżdżają z Polski. Studiują oni przeważnie w Gregoriana. Jest to fabryka magistrów i doktorów teologii czy prawa kanonicznego, nastawiona na produkt masowy. W roku bieżącym uczy się na niej dwa i pół tysiąca alumnów. Wśród jej profesorów nie brak wielkich uczonych i wśród jej wychowanków ludzi, którym zapewniała i do dziś zapewnia głębokie i wszechstronne wykształcenie. Ale w zasadzie ordynariusz czy prowincjał, który wytypowuje dla niej słuchaczy, myśli o doskonałym, zawodowym wykształceniu, które ten uniwersytet daje. To znaczy o wykształceniu typowo wykonawczym, a nie badawczym, zbudowanym na nauce zastanej i wypróbowanej, stroniącej od nowinek i eksperymentów. R. uważa, że dzieje się to dlatego, że Universitas Gregoriana ma właśnie na taki towar obstalunek. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest, że również wykłady z zakresu socjologii, a zwłaszcza te, które mają ustawić alumnów wobec zagadnienia komunizmu, są dosyć rudymenarne. R. twierdzi, że tych wykładów jest mnóstwo. Widząc, jak mnie zainteresował, przysłał mi nazajutrz po naszej rozmowie spis, dwie bite strony maszynopisu. R. uważa, że ich treść jest przeważnie strasznie uproszczona i że z całą pewnością nowi alumnowie, a pizede wszystkim ci, którzy przybyli tu z Polski po wyższych studiach, muszą być tymi uproszczeniami przerażeni, mając w pamięci poziom wykładów z marksizmu na uniwersytetach polskich. Ja tej pewności nie miałem, ale nie chcąc wdawać się w dyskusje odparłem ugodowo, że niestety od

wielu wieków nie było teorii, która by się tak mało nadawała do uproszczeń jak marksizm, i że to jest jego nieszczęście. Ale tak czy owak, mniej lub bardziej uproszczony, ten marksizm na Universitas Gregoriana to istotnie ciężki orzech do zgryzienia. Myślałem również przez moment, że on jest tematem marginesowym studiów duchownych na Gregoriana; tak nie jest. Okazuje się, że piłuje się na nim zagadnienia socjologiczne, i to właśnie w kontekście antymarksistowskim, całymi godzinami. To znaczy po dwie, trzy albo cztery godziny tygodniowo w zależności od roku studiów.

W wielkiej fabryce kościelnych magistrów i doktorów, o której mówiliśmy z R., kształci się tego roku pięciuset Włochów, trzystu pięćdziesięciu Amerykanów, stu pięćdziesięciu Meksykańczyków, dwustu pięćdziesięciu Hiszpanów, stu dwudziestu Niemców, trzystu przedstawicieli Ameryki Południowej. Za studia płacą kurie i zakony, wysyłające alumnów, niezależnie od ryczałtowych pomocy wyjednywanych dla Uni-versitas Gregoriana w znajomych sobie źródłach. R. twierdzi, że to właśnie te kurie i te zarządy prowincji zakonnych z wyliczonych krajów i ładów naciskają o ilość i określają jakość i typ wykładów z marksizmu, tak aby po powrocie do swoich ojczyzn młodzi magistrzy i doktorzy potrafili ruszyć w bój skutecznym z komunizmem, „tą morową zarazą naszych czasów” – jak go określił świeżo kardynał Carmelo de Vasconcellos Motta, arcybiskup Saó Paolo w Brazylii.

Jest rzeczą bajecznie interesującą śledzić tę kwestię, to znaczy obkucia w marksizmie – na poszczególnych uniwersytetach papieskich w Rzymie. Tak więc na przykład całe wykształcenie socjologiczno-polityczne wychowanków jezuickich odbywa się na terenie wrogim i uzbraja ich w broń, być może rudymenarną, ale ofensywną; inaczej przedstawia się rzecz w Angeli-cum, słynnym i starym uniwersytecie dominikańskim, który całość udzielanego wykształcenia wywodzi ze św. Tomasza z Akwinu. Dominikańscy wychowankowie znają jego doktrynę na pamięć, równie dobrze jej ducha, jak i jej literę. Uniwersytet ten sądzi, że pozytywne znawstwo własnej katolickiej doktryny wystarczy, i nie kładzie nacisku na negatywną znajomość doktryn obcych. Toteż młodzi wychowankowie Angelicum tyle wiedzą o marksizmie, co o buddyzmie, islamizmie czy protestantyzmie; i z tym minimalnym rynsztunkiem ofensywnym

ruszają w świat.

A i do tego jeszcze ten rysztunek, jeśli chodzi o zagadnienia socjologiczne, otamowany jest skrupułami, które określa zasada, że przy badaniu od tej strony nauk św. Tomasza należy

nieustannie zgłębiać je „habito quoque respectu ad modum incrementum et hodiernum statum aeconomicum, sociale, politicum inter nationes vigentem”.

Wszystko to razem – a zwłaszcza to korygowanie Akwinaty i ten respekt dla nowych rzeczywistości politycznych, ekonomicznych i socjalnych – robi z alumnów teoretyków i

rozwijając w nich zmysł krytyczny i zmysł godzenia doktryny z rzeczywistością w wielu

wypadkach umniejsza praktycznie korzyść, jaką by można z nich mieć, gdyby posiadali

wykształcenie mniej skomplikowane. Toteż chociaż wykładają na nich wielkie sławy, a wśród

nich O. Reginald Garrigou-Lagrange, uważany za największy umysł teologiczny naszych

czasów, Angelicum liczy sobie tylko siedmiuset uczniów, to znaczy jedną trzecią tego, co

Gregoriana.

Na obu uniwersytetach, tak samo zresztą jak na wszystkich tego rodzaju uczelniach całego

świata, podstawowe dyscypliny to teologia i prawo kanoniczne. Przez lata po parę godzin

dziennie piłuje się, i tu, i tam, te dyscypliny wraz z dodatkiem filozofii, etyki, biblistyki, historii

Kościoła, wraz z szeregiem nauk pomocniczych. Fundamenty więc, i tu, i tam, są takie same.

Ale różnice tonu, treści i poziomu są bardzo znaczne. Prócz różnic w gatunku i jakości niejedno

jest tu odmienne w samej strukturze studiów... – Uwzględniając również współczesny rozwój

dzisiejszy stan ekonomiczny, społeczny i polityczny w poszczególnych krajach. I tak na przykład Angelicum ma pewien wydział, którego Gregoriana nie posiada i

który trudno by sobie nawet na niej wyobrazić.

Nosi on nazwę Institutum Spiritualitatis. Studiuje się na nim zagadnienie ascezy, mistyki i w

ogóle wszystkich form uduchowienia i świętości. Studiuje się je nie tylko od strony teoretycznej,

teologicznej i historycznej, ale poprzez studia próbuje się wejść w praktykę tych stanów

psychicznych. Oczywiście też po łacinie. Na tym wydziale wyklada Garrigou-Lagrange i mówi

„O oczyszczeniu biernym zmysłów i ducha”. O. M. Philipon „O naszym utożsamianiu duchowym z Chrystusem” i „O drodze do świętości” oraz P. Philippe, sekretarz Św.

Oficjum, „O

dydaktyce uduchownienia”. Słyszałem, że wykłady tych trzech dominikanów są

szczególnie interesujące. Dlatego tylko to cytuję. Ale oczywiście wydział czy raczej instytut posiada ich znacznie więcej.

W gigantycznej maszynerii Universitas Gregoriana nie ma miejsca na takie rzeczy.

Mnóstwo tu przybudówek, jak Wydział Misjologiczny, Wyższa Szkoła Łaciny Klasycznej, Instytut Bibliistyki czy Instytut Wschodnioznawczy. Istnieje też na tym uniwersytecie Instytut Wyższej Kultury Religijnej. Rozpracowuje się jednak na nim naukowo zagadnienia natury konkretnej. A więc na przykład zagadnienie doktryny socjalnej Kościoła na tle naszych czasów czy też stosunków pomiędzy Kościołem i państwem oraz ich władzy w świetle Paktów Laterańskich. Pewne problemy teologiczne czy filozoficzne rozpatruje się tu również. Niczego, co by zatracało o mistykę. Zgodnie zresztą z dosyć ekscentryczną, lecz trafiającą w sedno metaforą R. na temat Gregoriana, że ten uniwersytet jest i chce być „Politechniką Teologii”, a nie „Akademią Sztuk Pięknych Teologii”.

Ale chyba nigdzie różnice pomiędzy obiema uczelniami nie zarysowują się silniej niż w Instytutach Nauk Społecznych, które posiadają. Oba powstały po wojnie z impulsu Piusa XII, który uznał, że duchowny bez wykształcenia socjologicznego nie da sobie rady w dzisiejszych czasach. Dominikanie powołali wtedy do życia swój instytut i przyłączyli go do Wydziału Filozoficznego. Uczą na nim o chrześcijańskiej etyce społecznej i o doktrynie św. Tomasza na temat własności prywatnej. Sięgają też do Crocego i do jego poglądów na temat niezmienności praw naturalnych. O marksizmie można się w tym instytucie dowiedzieć tylko z ogólnej historii doktryn politycznych i ekonomicznych. Dominikanie uważają, że takie trochę socjologii powinno normalnemu księdzu czy zakonnikowi wystarczyć. Ale najwyraźniej nie jest to zdanie przybywających do Rzymu po wykształcenie alumnów czy też zdanie tych, którzy ich do Rzymu wysyłają, bo dominikański instytut nie cieszy się frekwencją. Uparcie studiuje na nim od paru lat trzech ojców-Chińczyków: Cheng, Feng i Tsu oraz jeden Hiszpan, jeden Portugalczyk, jeden Włoch i jeden Islandczyk. O ile mi wiadomo, jest to wszystko. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa na Piazza delia Pilotta, gdzie się mieści Gregoriana. Ale bo tutaj byka chwycono za rogi. Pod względem organizacyjnym chwycono

byka w ten sposób, że wykłady tego instytutu uczyniono dla alumnów obowiązkowymi. Następnie zdecydowano, że z przedmiotów wykładowych na nim można się doktoryzować, podobnie jak z teologii czy prawa kanonicznego. Jest to decyzja kapitalna. Za specjalistami od nauk społecznych rozbijają się dzisiaj wszystkie kurie całego świata. Kto ma takie wykształcenie, i to na bazie teologicznej, może spokojnie stawiać stopę na pierwszym szczeblu kościelnej drabiny, wiedząc, że jego specjalność wyniesie go w górę błyskawicznie. Ciągnie więc do siebie instytut wszystkich fanatyków, wszystkich dynamicznych, wszystkich gorących, no i przede wszystkim wszystkich karierowiczów – jak magnes. Jest to całkowicie zrozumiałe i ludzkie. Ale bo chwycono tutaj byka za rogi również i pod względem merytorycznym.

Gregoriański Instytut Nauk Społecznych wniknął w myśl Piusa XII jak najakuratniej. Uczy tego, czego trzeba, i tak, jak trzeba, bez zbytecznych abstrakcji i mistycznych zahamowań. Ponieważ powstał z potrzeb praktycznych, na skutek kościelnego zamówienia społecznego, postanowił nie tracić tych potrzeb z oczu. Nie wstydzi się też ich. Rozumie, że chcą od niego, by możliwie jak najszybciej dostarczył oficerów na front całkowicie konkretnej i pod względem historycznym wyraźnie określonej i zlokalizowanej walki. Rozumie, że nie chcą od niego abstrakcji, tylko aktualności. Toteż po tej linii poszedł ustalając treści naukowe, które będzie swoim alumnom kładł do głowy, oraz dobierając do postawionego sobie celu odpowiednią dydaktykę.

Z maszynopisu, który mi dostarczył R., wybieram parę tytułów, choć chęć bierze wydrukować te dwie kartki in extenso. Oto na przykład wykłady O. Jarlot: De valore humano laboris diversae doctrinae: liberalium, socialistarum et Christiana"; „De indole socialium laboris et consociationibus, tum operariorum, tum conductorum" \*- „De quaestione syndicali: de unitate aut pluralitate"; „De pugna classium"\*; „De pace socialium et collaboratione classium abtinenta"; „De instituendo quodam regimine corporativo in quo omnia membra communitatis aeconomicae, unumquodque in suo ordine, pacifice cooperari possint".

Albo tytuły wykładów O. Naber: „Materialismus praesertim dialecticus et historicus: De valore... – Humanistyczna wartość pracy w różnych doktrynach: liberalnej, socjalistycznej i chrześcijańskiej.

De indole... – Społeczny charakter pracy a związki robotnicze i stowarzyszenia przedsiębiorców.



De guesfione... – Kwestia syndykalna: jedność i rozbitcie.

De pugna... – Walka klas.

De pace... – O konieczności utrzymania pokoju społecznego i współpracy między klasami.

De instituendo... – O utworzeniu swojego rodzaju porządku koorporacyjnego umożliwiającego

nie zakłóconą współpracę wszystkich jednostek gospodarczych z zachowaniem ich hierarchii.

K. Marks, Engels et Lenin" lub „De ethica marxismi". Czy też tytuły wykładów O. Olsr:

„Organisatio et activitas ecclesiae Russicae in Unione Sovietica", „De cultu divino in Stati-bus

Sovieticis", „Problema de Deo coram marxismo hcdierno". Prócz nich Gregoriana ma jeszcze

innego specjalistę od marksizmu-leniniz-mu, a mianowicie O. Wettera. Wykłady jego ciągną się

przez wszystkie lata studiów, a ich tytuły brzmią: „Brevis conspectus

evolutionis phiiosophiae

Marxistice in Russia antę et post revolutionem"\*, „Conceptus phiiosophiae in Unione

Sovietica", „Leges dialecticae materiali-sticae", „Theoria cognitionis apud Marx et Lenin" ,

„Conceptio materialistica historiae", „Doctrina de statu et dictatura proletariatis" \* i wreszcie

„De suprastructuris ideologicis: de iure, philosophia, scientia, arte, religione" \*.

Materialismus... – Materializm, ze szczególnym uwzględnieniem materializmu dialektycznego i historycznego: K. Marksa, Engelsa i Lenina. De ethica... – Etyka marksizmu.

Organisatio... – Organizacja i działalność Kościoła prawosławnego w Związku Sowieckim.

De cultu... – Służba boża w republikach sowieckich.

Problema... – Problem Boga w obliczu dzisiejszego marksizmu.

Brevis... – Krótki przegląd ewolucji filozofii marksistowskiej w Rosji przed i po rewolucji.

Conceptus... – Pojęcie filozofii w Związku Sowieckim.

Leges... – Prawa materializmu dialektycznego.

Theoria... – Marksistowska i leninowska teoria poznania.

Conceptio... – Materialistyczne pojęcie historii.

Doctrina... – Nauka o położeniu i dyktaturze proletariatu.

De suprastructuris... – Nadbudowa ideologiczna: prawo, filozofia, nauki ścisłe, sztuka,

religia.

Jeśli chodzi o prace doktorskie, R. twierdzi, że obecnie przygotowuje się ich szereg. Nazwisk

nie znał. Znał tylko tytuły. Oto kilka z nich: „Die bolschewitische Revolution ais Folge

zaristischen Kiichenpolitik", „Uateismo militante sovietico e ii Papato",

„Christentum in der So-

wietunion", „Le Chiese ortodosse e ii commu-nismo", „De pace sociali et

collaboratione classium obtinenda" i jeszcze parę innych obracających się w kółko koło takich tematów.

Na jakim poziomie są te prace młodych teologów doktoryzujących się z marksizmu i sowieto-znawstwa, nie wiem. Co do wykładów – to jest zdanie R. – podobno są one okropne. R.

zwraca przy tym uwagę na smutny fakt, że prawowierni marksiści, kiedy zabierają głos w

sprawach watykańskich czy w ogóle katolickich, też nie starają się wzlecieć wysoko. Jeśli to

rzeczywiście prawda, pociecha z tego niewielka, gdyż na pewno wzajemne traktowanie siebie

poważniej i obiektywniej w niejednym mogłoby pomóc. Powracając do poziomu kursów,

zwróciłem R. uwagę na to, że w Instytucie Nauk Społecznych Gregoriana, jak słyszałem, jest

profesorem O. S. Grundlach, jeden z najbliższych współpracowników Piusa XII, o którym wielu

ludzi mi mówiło, że jest człowiekiem wybitnym. R. temu nie zaprzeczył. Wyjaśnił jednak, że

Grundlach, zagrzebany po uszy w pracach zleczanych mu przez papieża, nie bardzo ma czas na

wykłady, które zresztą dotyczą socjologii ogólnej i na których Grundlach nie porusza problemów

aktualnych. „De variis statibus aeconomicis hominum”, „Jus Sociale philosophice considera-

tum” – oto tytuły jego wykładów. Podług opinii R. bez wątpienia i do tych wykładów można

mieć mnóstwo pretensji natury merytorycznej, ale nie \* natury metodologicznej.

Natomiast z

metodologią i dydaktyką dopiero wtedy wynikają kłopoty, kiedy tematyka wykładów dotyka

teraźniejszości. Wtedy ich poziom obniża się przeraźliwie. Zwłaszcza że, zdaniem R., Gregoria-

na do tego rodzaju wykładów dobiera odpowiednich profesorów, którzy godzą się mówić o

komunizmie i związanej z nim tematyce w sposób symplicystyczny, inaczej – nie potrafią.

Dla Kościoła komunizm jest herezją. Wepchnął on go w tę formułę w braku lepszej. Z

punktu widzenia teologicznego takie zakwalifikowanie nie tylko że jest wątpliwe, ale jest

nonsensem. Heretycy to przecież religijni rewizjoniści, którzy do tematycznej treści dogmatów

wprowadzają poprawki albo czasem odrzucają pewne dogmaty w całości lub zakładają nowe.

Wszystko w zakresie określonej aksjomatyki, ściśle określonej tak pod względem historycznym,

jak genetycznym, bo przecież zawsze chrystologicznej. Z tego też powodu nigdy by żaden teolog

nie nazwał buddyzmu czy islamizmu – herezją. Jeśli więc inne religie nie są herezjami ani też inną odmianą chrześcijaństwa, tym mniej zaliczyć można do herezji marksyzm-leninizm czy w ogóle komunizm. Tak by się przynajmniej zdawało.

De variis... – O różnych ustrojach ekonomicznych ludzkości.

Jus... – Prawo socjalne filozoficznie ujęte.

Ale widać to zaliczenie jest do czegoś potrzebne. Cóż z tego bowiem, że jest metodologicznym nonsensem, kiedy w walce pomaga. Takie zaliczenie komunizmu w poczet herezji sprawia, że się o nim przestaje dyskutować. Zagrzewa ono do boju.

Pozwala czerpać z bogatego arsenału argumentów, środków i postaw psychicznych, ukształtowanych przez wieki.

Zwalnia i rozgrzesza z niejednych skrupułów. Komunizm pojęty jako herezja, jako summum herezis, jako ostateczny atak szatana na religię, szatana, który natężył wszystkie swoje siły i wcielił się w tę kontrreligię, jest z punktu widzenia teologicznego, jak powiedziałem, absurdem;

nie mówiąc o tym, że z tegoż punktu widzenia taki manicheistyczny pogląd na komunizm zalatuje herezją. Ale taktycznie jest owocny, więc cenny. A ponieważ ostatecznie sam Kościół jest władny określać, co jest herezją, a co nie jest, nic w tym wypadku nie wskórają zastrzeżenia historyków czy filozofów, a nawet kłopoty poszczególnych teologów. Skoro więc Kościół tego chce, komunizm będzie dla katolików synonimem herezji.

Ale czy jest herezją istotnie, czy tylko przez analogie, ten, kto wychodzi z Uniwersytetu Gregoriańskiego, na pewno wierzy, że wszystko, czego się komunizm dotknie, jest zakazane i że wszystko, co wyhodował, jest do odrzucenia; i to od korzeni aż po owoc. Z takim nastawieniem opuszcza mury Gregoriany każdy alumn: Hiszpan, Włoch, Francuz, Niemiec, Amerykanin czy Polak. Niechęć, pogarda, sfalszowana znajomość – oto naukowy i duchowy bagaż w tej sprawie.

Jest to duży kłopot, przynajmniej jeśli o nas chodzi. I to kłopot nie tylko poważny, ale niezmiernie delikatny i skomplikowany. Z jednej strony bowiem nie można od kościelnych uniwersytetów żądać, by zachęcały do marksizmu. To byłoby naiwne. Z drugiej strony, skoro nasi młodzi księża i zakonnicy przybywają z kraju, gdzie obowiązuje socjalizm i gdzie z obopólną męką wykrystalizowuje się jakaś forma współzycia pomiędzy państwem i Kościołem, uzbrajać ich w taki sam sposób, w jaki się zbroi duchownych przeznaczonych do

krajów, gdzie niczego podobnego nie ma, jest rzeczą nieco szaloną. R., który, jak powiadam, zna ten problem dobrze, mówi, że zastanawiał się nieraz nad nim, nie znajdując rozwiązania. Twierdzi, że niewy-syłanie naszych młodych duchownych do Rzymu byłoby błędem. Kościół lokalny, który nie posiada dostatecznej ilości ludzi znających centralę, ma potem różne kłopoty. Zęby zaś znać centralę, to znaczy kurię rzymską, generalne kurie zakonne i Watykan, trzeba w Rzymie posiedzieć parę lat, no i postudiować. Należy pamiętać, że ścierają się tu różne interesy, interesy różnych państw, nie mówiąc o tym, że w końcu tutaj, a nie poza Rzymem, decyduje się stosunek Watykanu do poszczególnych Kościołów, a więc i do ich linii politycznej. Na decyzje te można wpływać. Ale na to, aby można wpływać, trzeba mówić tym samym językiem. Jest w tym dużo prawdy. Ci, którzy studiowali w Rzymie, mają tu potem mnóstwo powiązań, tak poprzez kolegów, jak poprzez profesorów; trzeba bowiem pamiętać, że połowa szyszek we wszystkich kongregacjach, no i w ogóle w kurii, rekrutuje się z wykładowców wielkich uniwersytetów papieskich, takich właśnie jak Angelicum czy Gregoriana. R. mówił mi, że zastanawiał się, czy słuszne byłoby bojkotowanie Giegoiiiany na korzyść właśnie Angelicum lub innych tutejszych wyższych uczelni papieskich, choćby benedyktyńskiego Ateneum Sw. Anzelma, franciszkańskiego Ateneo Antoniano czy lateraneńskiego Ateneum papieskiego, które przed paru laty wchłonęło „Sw. Apolinarego”, najsłynniejszą rzymską uczelnię utiisque iuris. Jest tu zresztą tego rodzaju placówek cały szereg. Jest więc z czego wybierać. Ale R. twierdzi, że ominięcie najważniejszej z nich, i do tego prowadzonej przez jezuitów, „czołowego zakonu naszych czasów” – jak powiada – nie byłoby mądre. Jego zdaniem były uczeń Giegoiiiany wie wszystko o kurii, co wiedzieć należy, i ma dostęp do wszystkich drzwi w kurii, do których warto pukać. Wszystko to oczywiście za cenę, że mu nafaszerują głowę tym farszem, o którym wspomniałem. Warto to, nie warto, jakże trudno ocenić, zwłaszcza że szale te ustawicznie od różnych wstrząsów i podmuchów się chwieją. Ja mam wciąż opory. R. kładzie na szalę pozytywów argument dziwaczny. Nie jest to w istocie argument.

Jest to  
refleksja. „Poza tym dzisiaj wcale nie jest powiedziane – mówi – że ci wasi  
młodzi z Polski  
zniechęcą coś dlatego, bo się ich przeciw temu szczuje; tak samo jak nie jest  
powiedziane, że  
pokochaliby coś dlatego, bo się ich do tego zapędza,"  
Rzym, 15 lipca 58 r.  
Kiedy bytem na wakacjach, zmarł kardynał Stritch. Mianowany Proprefektem  
Kongregacji  
Krzewienia Wiary (Propaganda Fide) z prawem następstwa po jej prefekcie, w ogóle  
nie objął  
swojego stanowiska. Zachorował na statku w drodze z Ameryki do Europy. W Rzymie  
podał się  
operacji. Poszło o skrzep, ale tak groźny i groźący gangreną prawej ręki, że mu  
tę rękę należało  
amputować. Wydobył i już w kurii zastanawiano się nad konsekwencjami  
liturgicznymi i  
ceremoniałowymi takiego braku, kiedy zawiązał się nowy skrzep i dotarł aż do  
serca.  
Oczywiście poszły po Rzymie plotki, że został otruty przez swoich przeciwników,  
a raczej  
przeciwników tego, by na tak wysokie stanowisko w kurii mianować cudzoziemca:  
człowieka nie  
obeznanego z jej praktykami. Klinicznie jednak biorąc, sprawa choroby była tu  
tak jasna, że –  
niezależnie od innych względów – plotkę uznać trzeba za jedną z najgłupszych,  
jakie ostatnio  
krążyły po Rzymie na tematy watykańskie. To prawda, że nie wszyscy byli  
zadowoleni z jego  
nominacji, a nawet niektórzy byli nią zrozpaczeni. Podobno dla wydziału  
chińskiego tej  
kongregacji postawienie na jej czele Amerykanina było czymś przeokropnym.  
Słyszałem, że  
największy autorytet od spraw chińskich w Propaganda Fide, mons. Tissot (biskup  
Cheng-chow,  
usunięty przez Chińczyków), kiedy dowiedział się o nominacji, zawołał: „No, to  
już koniec!”  
Zupełnie zrozumiale. Chińczycy z nieufnością odnoszą się do wszystkich wyznań  
chrześcijańskich, ponieważ z tym chrześcijaństwem powiązane są potęgi, które po  
dziesiątkach  
lat najcięższych walk dopiero rewolucji udało się z terytorium chińskiego  
wyrzucić. Biskupi  
rzymskokatoliccy tę nieufność próbowali rozpraszać, tłumacząc, że katolicyzm  
idzie z Rzymu,  
który nigdy na Chińczyków nie nastawał. Nie był to potężny argument, ale  
ostatecznie można  
nim było operować. Aż tu nagle ten Stritch na czele Kongregacji Krzewienia  
Wiary, kongregacji,  
której podporządkowane są Chiny. Rzeczywiście, widząc tego wynurzającego się  
Amerykanina

w Propaganda Fide można było zakrzyknąć: „To już koniec!” Ale od takiego okrzyku do trucia jest bardzo daleko. Powtarzam więc, że z tym otruciem to absolutny wymysł. W kurii opowiadano sobie, i to nie bez lekkiego zgorszenia, że kiedy przyszła recydywa, zaraz w klinice, gdzie leżał Stritch, pojawił się kardynał Fumasoni Biondi i do tego Stritcha, przytomnego, zwrócił się z następującymi słowami: „A więc odchodzisz! Opuszczasz mnie Ty, który miałeś być moją podporą, opuszczasz mnie, zostawiasz!” Oczywiście, że z punktu widzenia ludzkiego, a nawet czysto towarzyskiego, nie bardzo taktowne odezwanie. Pamiętać jednak trzeba, że Fumasoni Biondi to bardzo stary człowiek. Podobno zresztą choroba, a potem śmierć Stritcha wpłynęły na niego mobilizująco. P., który wszystko wie i wszędzie nos wtyka, opowiada, że kiedy na terenie papieskiego kolegium amerykańskiego grzebano w ziemi amputowaną rękę kardynała Stritcha, rękę dwukrotnie konsekrowaną, kardynał Fumasoni Biondi urządził nad nią coś w rodzaju malutkich egzekwii i że to na zebranych zrobiło wrażenie zabiegu magicznego. Nie wiem, czy to prawda, i raczej czuję opór, by uwierzyć. Myślę, że ta gadanina wynikła z niezwykłości faktu grzebania samej ręki, właśnie tej prawej, dwukrotnie pomazywanej olejami świętymi w czasie dwu konsekracji; ręki, z którą wskutek tego trudno było postąpić tak, jak się postępuje ze zwykłą amputowaną kończyną. Należało jej się coś więcej niż zwykłe zakopanie czy spalenie. Nikt jednak nie wiedział, co mianowicie, i dlatego ludzie zaczęli gadać, zwłaszcza że wolno również przypuścić, że nieco zdziecinniały kardynał rozkazał się nad nią modlić, co jeśli rzeczywiście miało miejsce, mogło się wydać i liturgicznie dziwaczne, a nawet odrobinę podejrzanе. Ale prawda to czy nieprawda, miejsce osierocone po kardynale Stritchu nie mogło pozostać puste, zwłaszcza że siły, które wstąpiły w kardynała Fumasoni Biondi w związku z chorobą i śmiercią kardynała Stritcha, wstąpiły w niego i na krótko, i nie zawsze wyładowywały się w sposób, który by nie budził dyskusji, jak to widać z tych pseudoegzekwii nad amputowaną ręką. Przyszedł więc na miejsce Stritcha inny kardynał, a mianowicie Grzegorz Piotr XV Agagia-nian, patriarcha Ormian, największy znawca prawa kanonicznego Wschodnich Kościołów,

człowiek,  
który wprawia wszystkich w podziw zdolnościami, a na dodatek jakimś zagadkowymi  
właściwościami, które powodują, że na terenie kurii nie ma wrogów i nikt sobie  
tamże nie strzepi  
na nim języka, co podobno jest rzeczą bezprzykładną.  
Słyszałem, i to nie od jednego, ale od kilku monsignorów, pewną informację o tym  
kardynale, informację udzielaną poufnie i szeptem, ale zawsze z wielką powagą i  
naciskiem,  
informację, że „kardynał Agagianian jest rodakiem Stalina”. Z tonu, którym to  
mówiono,  
odczytać było można, że ta zbieżność to nie tylko ciekawostka, ale coś  
istotniejszego i głębszego,  
aluzja do siły tkwiącej w glebie, która wydała obu tych ludzi. Chyba że tak. bo  
rodakami nie byli,  
jeden Ormianin, drugi Gruzin, urodzeni jednak obaj na Kaukazie.  
Ma tam rodzinę, i to bliską, braci. Do Rzymu go ściągnął Benedykt XV z probostwa  
na  
terenie Gruzji. Było to w rok czy dwa po rewolucji październikowej w Rosji.  
Agagianian już  
wtedy Rzym znał i jego tu też znano w kręgach nie tylko zbliżonych do  
papieskiego kolegium  
ormiańskiego na vicolo San Nicola da Tolentino, ale i szerzej, to znaczy w  
środowisku  
monsignorów i ojców Kongregacji Propaganda Fide i Kongregacji Kościoła  
Wschodniego. W  
uczelnianach związanych z tymi kongregacjami studiował i pracował przez dziesięć  
lat. Ze swojego  
Kaukazu, przeznaczony przez rodzinę do stanu duchownego, przyjechał mając  
dziesięć lat. W  
kolegium ormiańskim ze względu na wiek go nie przyjęto, ale przed odesłaniem do  
domu  
zaprowadzono do papieża, wtedy Piusa X, żeby małemu Ormianinowi było mniej  
smutno wracać  
z niczym. Na audiencji, kiedy na Agagianiana przyszła kolej ucałowania ręki  
papieskiej, rektor  
kolegium, który z nim był, powiedział papieżowi, co to za chłopiec i jakie są  
jego losy. Piusa X  
nudziły audiencje jak mało którego papieża, więc ucieszył się z dystrakcji,  
pożartował sobie,  
zadał kilka pytań i wysłuchał odpowiedzi, które były bystre. Po audiencji już  
wychodził z sali,  
kiedy się odwrócił i polecił rektorowi zatrzymać Agagianiana w Rzymie. „Ten  
chłopiec odda  
Kościołowi – rzekł – wielkie usługi.”  
Być może, że przyszedł moment, by się ta przepowiednia spełniła. Na olbrzymich  
obszarach  
podległych Propaganda Fide katolicyzm walczy z trudem o utrzymanie pozycji  
uzyskanych w  
epoce kolonializmu. Jak nie komunizm, to kolorowy nacjonalizm ruguje go,  
otamowuje.

Utrudnia sytuację konserwatyzm i schematyzm Kościoła w sprawach mniej istotnych lub takich, które na terenie Europy mają inny sens niż w Afryce, Azji czy Oceanii, a do których Kościół przykłada tę samą miarę. Z Watykanu idą milionowe sumy dolarów na misje, na szkolnictwo, na administrację, na pracę charytatywną, ale wciąż z rezultatem marginesowym, wciąż bez istotnego na jakimś terytorium przełomu, z tego typu przełomów, jakie przez wiele wieków rzucały do stóp katolicyzmowi i Kościołowi całe narody. Teraz w tym względzie cała nadzieja Watykanu w Agagiananie.

Rzym, 16 września 58 r.

Dziś byłem u pp. L. S., którego tam zastałem, opowiadał, że czytał w pamiętnikach, nie

przypomina sobie czyich, że w rok czy dwa po swoim pierwszym wyborze na prezydenta Stanów

Zjednoczonych Abraham Lincoln, naciskany przez przyjaciół i wyborców katolickich, zwrócił

się do kardynała Antonelli, Sekretarza Stanu Piusa IX, o kapelusz dla Ameryki. Z prośbą tą

wydelegował do kardynała pewnego księdza, Amerykanina. Antonelli odparł petentowi:

„Gdybym skądinąd nie wiedział, że mam do czynienia z wysłańcem prezydenta Lincoln,

byłbym pewien, że mam do czynienia z wariatem. Prezydent Lincoln ma pełne prawo, nie znając

Kościola, nie orientować się w niesłychaności takiej prośby, ale ksiądz, jako ksiądz katolicki,

powinien wiedzieć, że jest to prośba dzika”.

S. przypomniał to oczywiście w związku z niedawną nominacją Stritcha, który tak prędko

zmarł po przyjeździe do Rzymu. Od przytoczonej rozmowy minęło prawie sto lat i o mało co

Ameryka nie uzyskała swego przedstawiciela w kurii. Kardynałów zaś ma dzisiaj trzech, a ze

Stritchem było czterech. Wiadomo też, że napiera na Watykan jeszcze o dwa dodatkowe

kapelusze i o miejsce w kurii, a naprawdę to marzy o tiarze.

S. opowiedział jeszcze jedną ciekawostkę. Mówił, że śmierć Stritcha nappełniła zmartwieniem

serca wszystkich zakonnic w Rzymie. Wiadomo było, że Stritch u siebie w kurii zatrudniał

mnóstwo siostrzyczek, głównie w charakterze stenotypistek i stenografek.

Istniało więc

przekonanie, że przed ich koleżankami rzymskimi otworzy drzwi swojej

kongregacji. Zwłaszcza

że zainicjował już w tej mierze nieśmiałe próby kardynał Valerio Valeri, Prefekt Kongregacji



Zakonów, który do podległych mu biur w Palazzo delle Congregazioni na Piazza S. Calisto wprowadził żeńską zakonną pomoc kancelaryjną. Umieścił je osobno, do swoich biur miały wejście osobne. Zadbał też o to, żeby do pokoi, gdzie pracują monsignorowie, nie dochodziły głosy zakonnice. S. podkreślił to, że nawet swój własny gabinet kardynał zabezpieczył, żeby nie było w nim słycać, kobiecego stukania na maszynie.

Rzym, 26 września 58 r.

W przemówieniu swoim w Brukseli, gdzie odbywały się „Dni Katolickie”, słynny monsignor

Fulton Sheen, jeden z siedmiu sufragonów arcybiskupa Nowego Jorku Spellmana, powiedział:

„Koegzystencja to wcale nie jest kompromis z nieprawdą, koegzystencja to tylko miłosierdzie w

stosunku do nie znających prawdy. W stosunku do prawdy powinniśmy być metolerancyjni, ale

w stosunku do tych, którzy jej nie posiadają, powinniśmy być pełni tolerancji”.

Rzym, 27 września 58 r.

Byłem wczoraj na cocktailu u Ch., odwołanego do kraju. Mało kto przyszedł. Nie wiem, czy

dlatego, że pamiętają mu ludzie historię z mons. Brunellim. Czułem, że było mu przykro. A i bez

tego na pewno niewesoło mu wyjeżdzać. Ch. jest sekretarzem tego poselstwa, które zadało

śmiertelny cios owemu monsignorowi, informując władze włoskie. Ch. zresztą inaczej to

przedstawił. Dość, że na nich się Brunelli potknął. Przypomniałem Ch. wczoraj, jak do niego

zaszedłem, kiedy sprawa była gorąca. Oczywiście nie miał wątpliwości, że przychodzę zasięgnąć

języka. Mylił się. Nikt z moich kolegów nie znał ks. Brunelli, nikt nie stykał się z ludźmi,

którymi monsignor się posługiwał. Chciałem się wówczas od Ch. dowiedzieć tylko, jaką mark<sup>^</sup>

ma pewien pianista, jego rodak, proponujący nam koncerty. Oto wszystko.

Ale Ch. wziął to za pretekst i zaczął skomplikowanie kluczyć, chcąc ode mnie wydostać,

czyśmy też maczali palce w bigosie, którego sobie nawarzył nieszczęsny Brunelli.

Zaprzysięgłem

na wszystkie świętości, że nie. Począł wtedy sam o sprawie mówić, wciąż jeszcze spodziewając

się, że d titre de reciprocite coś ode mnie wyciągnie. Jest to okropny zawód, mówię o tym

dypłomatycznym, gdzie wszyscy wszystko wiedzą, a nikt nikomu nie wierzy. Ten Ch. i to

wczorajsze pożegnanie przypomniało mi całą sprawę. Jest stara, sprzed dwu lat, ale warta

zanotowania. O niej jednej podobnej słycałem, ale ta najmocniej przemówiła do

mojej wyobraźni.

Była pierwsza, która mi się obila o uszy. Sporo też o niej rozmawiałem. Z senatorem D.

najwięcej, który częściowo wyjaśnił mi jej mechanizm.

Aby zrozumieć przygodę ks. Brunelli, trzeba znać Rzym, a zwłaszcza znając Rzym pamiętać

o niektórych stronach tutejszego życia. Pełen on jest po brzegi księży, zakonników, monsignorów

i braciszków. Kto w Boga wierzy, a raczej kto w siebie wierzy i w swoje siły, wali z całego

świata do centrali. Zwłaszcza prą na Rzym księża i zakonnicy włoscy. Każdy ma tu w kurii wuja,

kuzyna, bliższego czy dalszego kolegę, czy chociażby krajana. Każdy więc ma się o kogo

zaczepić. Każdy ma tu jakąś odskocznnię. A przynajmniej wydaje mu się, że ma.

W zasadzie nie wolno do Rzymu przyjeżdżać na dziko. Zakonnicy muszą mieć nn to zezwolenie prowincjała, a jeśli są z zagranicy, to nawet generała czy prepozyta zakonu. Księża

świeccy muszą mieć analogiczne zezwolenie od swego ordynariusza. Lecz to jest teoria albo

raczej przeszkoda, którą łatwo ominąć. A i o pozwolenie normalnie też nie jest trudno. To jedno,

o czym trzeba pamiętać. A po drugie – Rzym jest Rzymem, olbrzymim miastem, w którym

zakonnik czy ksiądz ginie. Pokus mnóstwo, pułapek jeszcze więcej, demoralizujących

przykładów – wiele. Na prawo i lewo setki niebieskich ptaków w czarnych sutannach czy

brunatnych habitach nie siejących, nie orzających, a żyjących dostatnio i otaczanych poważaniem i

klientela. Jaką? A najróżniejszego rodzaju. Orowadzanie, wyjednywanie, przyspieszanie, oto

wszystko żyły złota. No i na koniec ta migotliwa brylantowa żyłka, którą początkowo nie bez

pewnego powodzenia próbował eksploatować również mon-signore Brunelli.

Nad zagadnieniem podaży i popytu na materiały watykańskie można się długo rozpisywać.

Że istnieje popyt na nie, rzecz naturalna. Że tu na terenie Rzymu podaż takiego materiału, to też

rzecz ludzka. A że te materiały najczęściej bywają lichego autoramentu, to również sprawa

życiowa. Bo kto je wynosi na rynek? Przecież nie kardynałowie i nie monsignorowie z wielkich

kongregacji zajmujących się politycznymi sprawami. Wynoszą je na rynek przedstawiciele tej

magmy, nigdzie nie zadomowionej, nigdzie nie zaczepionej, tego lumpenkleru, co zna po trosze

klimat kurii, bo bądź co bądź należy do środowiska, ale konkretnie nie zna żadnych faktów,

żadnych dokumentów, żadnych ustaleń, bo to wszystko albo się znajduje, albo się

dzieje za  
drzwiami zamykanymi przed nosem wszystkich niepowołanych.  
Nazwać kogoś lumpenksiędzem czy lumpenza-konnikiem – to obowiązujące. Trzeba na  
to  
przeświadczenia i dowodów. Ja ich nie mam w stosunku do mons. Brunelli. Może  
nawet nie tyle  
dowodów nie mam, bo te, kto wie, czyby się nie znalazły, co właśnie  
przeświadczenia, a jeszcze  
dokładniej – nie mam wizerunku psychologicznego, nie jestem przekonany, czy to  
jest typ upadły  
i ponury, pozbawiony pewnych elementarnych cech przyzwoitości, i to do tego  
stopnia, by  
należało monsignora, o którym mowa, zaliczyć do lumpenkleru.  
Kiedy Ch. na mnie nacierał, chcąc coś ode mnie wydobyć, zapewniłem go, że postać  
Bru-  
nelliego jest mi obca. Obca ona mi jest, ale nie w tym sensie, abym nigdy dotąd  
o nim nie słyszał.  
Słyszałem bowiem o pewnej książce jego pióra, a nawet miałem ją w ręku. Wydał ją  
w 1953.  
Tytuł jej: „Kościół Milczenia”. Nie jest to jedyna rzecz, którą w życiu  
opublikował. Ma on  
również za sobą inne: „O naszych braciach rozdzielonych ze Wschodu” oraz pracę  
doktorską:  
„Neofita Rodino, misyjny pisarz kościelny grecki z XVII wieku”. Ponadto ma na  
swoim  
koncie przekład włoski dzieła pod tytułem „Aby poznać komunizm”, którego autorem  
jest O. P.  
Delaye.  
Kiedy wokół osoby mons. Brunelli zrobił się szum i prasa zaczęła o nim źle  
mówić, agencja  
zblizona do Watykanu, Urbe, rozesłała trzy sprostowania. W pierwszym stwierdziło  
się, że mon-  
signor Brunelli nigdy nie miał rangi monsignora oraz że wprawdzie jest księdzem,  
ale zasuspen-  
dowanym. W drugim rektor tzw. Russicum (Pon-tilicio Collegio Russo de S. Teresa  
del Bambino  
Gesù) ks. Teofil Horacek, oświadczał, że „ks. Arystydes Brunelli nie był nigdy  
pracownikiem ani  
wykładowcą Russicum, w którym również nigdy stale nie zamieszkiwał, odwiedzając  
jedynie  
sporadycznie bibliotekę tej instytucji”. Wreszcie trzecie sprostowanie,  
pochodzące ze Sw.  
Kongregacji Kościoła Wschodniego, zaznaczało, że ks. Brunelli nigdy nie  
wchodził w skład jej  
urzędników.  
Różnie o tym mówią, ale ja osobiście wierzę słowom zwłaszcza tego trzeciego  
sprostowania.  
Wszedłszy raz w skład jakiejś kongregacji jest rzeczą prawie niespotykaną, by  
zdradzać jej  
tajemnice. A to ze względu na niezwykle pieczołowitą rekrutację, jak również na

to, że należenie  
do kongregacji to niezmierny honor, a także na to, że wszyscy wybrani powoli,  
powolutku, ale  
niezmiennie posuwają się ku szczytom; nie mówiąc już o tym, że po wejściu do  
kongregacji  
bierze ich w ryzy tryb życia, w którym każdy krok, każda godzina, każdy wydatek  
znany jest  
przełożonym. Ale co innego jest wchodzić w skład kongregacji, a co innego się  
wokół niej  
kręcić. Wokół wszystkich kongregacji różni księża i zakonnicy się kręcą.  
Kongregacja Kościoła  
Wschodniego należy do tych, wokół których kręci się ich szczególnie dużo. Jedni  
się tak kręcą z  
powodu prac zleconych, wykonywanych dla tejże kongregacji, drudzy znowu – dla  
prac  
wykonywanych w jej licznych bibliotekach i przybudówkach dla innych instytucji  
kościelnych,  
trzeci wreszcie – z myślą o osobistych studiach.  
Do jakiej kategorii kręcących się zaliczyć należałoby mons. Brunelli, nie wiem.  
Bo że kręcił  
się, jest to bezsporne. Wynika to z kierunku jego literackich zainteresowań.  
Zarówno z tych  
bezinteresownych, jak i z tych zaangażowanych. Bezsprzecznie bowiem po materiały  
i  
dokumentację nie tylko do swego „Neofity Rodino z XVII wieku”, ale i po  
materiały i  
dokumentację do prac o „Braciach rozdzielonych ze Wschodu” oraz o „Kościele  
Milczenia”  
chodził i do różnych bibliotek Kongregacji Kościoła Wschodniego, i do Russicum;  
może też do  
instytucji zwanej się Pontificia Commissione per la Russia, która firmuje  
teksty katolickie  
liturgiczne w języku rosyjskim, ale musi mieć jeszcze inny kierunek  
działalności, i to pewnie  
główny, skoro podlega Kongregacji Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych, to znaczy  
papieskiemu  
ministerstwu spraw zagranicznych.  
Myślę też, że nie tylko po dokumentację, ale i po nastawienie chodził pod te  
wszystkie  
adresy ks. Brunelli. Wydedukowałem to sobie ze słów autora przedmowy do jednej z  
książek  
monsignora, tych zaangażowanych, że pragnął on wejść do czołówki  
antykomunistycznych  
publicystów. Mówił mi ów autor, pan r. G., przyzwoity człowiek (w tym sensie, że  
przeciwnik,  
ale pragnący walczyć za pomocą prawdy), kiedy mu wyrażałem zdziwienie, że  
opatrzył  
przedmową książkę tego pokroju (i nawet nie o to mi szło, że antykomunistyczna,  
ale że mierna,  
bez polotu, jarmarczna), mówił mi, że uczynił to, ponieważ ks. Brunelli ujął go

wewnętrznym  
ogniem, inteligencją i ambicją, które zdawały się zapowiadać, że podciągnie się  
on do dobrego  
poziomu, zwłaszcza jeśli mu się zaufa i poda dłoń pomocną.  
Nie wiem, co zaszło potem. Mam powody przypuszczać, że ambitnego Brunellięgo  
pociągnęły inne zainteresowania, ponieważ jego antykomunistyczne książki nie  
bardzo się  
rozchodziły.  
Nie dlatego, że były jarmarczne, bo i takich trzeba, ale dlatego, że nie miały w  
sobie nic  
nadzwyczajnego i że na rynku natknął się na wielką i lepiej wprowadzoną  
konkurencję. Nic to  
zresztą dziwnego. Z przeciwstawiania się komunizmowi żyją przecież dzisiaj na  
świecie tysiące  
ludzi, mówiąc już choćby tylko o samych ludziach pióra, tak że podaż tego  
rodzaju twórczości  
jest olbrzymia. Piękne czasy, kiedy niczego poza dobrą wolą i pewną ilością  
skrzesanego w sobie  
świętego krzyżowego ognia nie było potrzeba – minęły. Inny cień tego rodzaju  
ideologicznej  
działalności, to słaba jej popłatność. Jest to żelazne i niemiłosierne prawo  
podaży i nic nie może  
go złamać. W ostatecznym więc rozrachunku po paru książkach antykomunistycznych  
sytuacja  
ks. Brunelli musiała się przedstawiać słabo, zarówno pod względem prestiżowym,  
jak i  
finansowym. Przedmowa r. G. do „Kościoła Milczenia” niewiele pomogła. Oczywiście  
trudno  
było w tym wypadku mówić o zupełnej plajcie. Ostatecznie na tych kilka swoich  
książek ks.  
Brunelli znalazł nakładcę. Jakies tam honorarium za nie wziął. Kontynuować  
robotę było można.  
Ale pod warunkiem rezygnacji z wielkich planów, z wielkich ambicji, a przede-  
wszystkim z  
wielkich finansowych apetytów.  
Są to rezygnacje bolesne. Zwłaszcza jeśli marzenia i rojenia były inne. W  
wypadku, o którym  
mówię, prawdopodobnie ból był jeszcze zaostrzony tym, że oczywiście, mimo  
olbrzymiej  
podaży, nadal było można na antykomunizmie wysoko zajechać. Podaż sprawiła tylko  
to, że  
chcąc się wybić należało dać coś uderzającego, specjalnego tak pod względem  
gatunkowym, jak  
pod względem, atrakcyjności. Ilość zmuszała do podciągnięcia jakości. Tego ks.  
Brunelli nie  
potrafił. Ambitny, musiał to ciężko odczuć. Jest to zaś odczucie szczególnie  
bolesne dla każdego,  
kto sobie obrał stan duchowny. Nie jest on na nie przygotowany. Na ubóstwo, na  
różne prywa-cje  
i wyrzeczenia, owszem,- ale nigdy na upokorzenie.

Kiedy przyszło na myśl monsignorowi Brunelli, że istnieje jeszcze inny sposób wykorzystywania swoich koneksji z Russicum, Kongregacją Kościoła Wschodniego i Komisją

dla Rosji, nie orientuję się. W r. 1954 ukazała się ostatnia z jego książek, które wymieniałem.

Istnieją przesłanki, by sądzić, że niebawem po jej opublikowaniu ks. Brunelli przeczucił się w

sferę nowych poczynań. Było to również zdanie sekretarza Ch., sekretarza tego poselstwa, które,

jak wspominałem, zadało Brunelliemu cios śmiertelny. Twierdził on, że właśnie w owym to roku

zaproponowano mu po raz pierwszy materiały, na które skusił się dopiero w dwa lata potem.

Oczywiście nie te same materiały, ale takie same, to znaczy z tego samego źródła.

Z tego, co mi wtedy w rozmowie, kiedy sprawa była gorąca, powiedział, zrozumiałem, że

jest w obrót takimi materiałami dobrze wprowadzony. Domyślać się tego mogłem choćby z

faktu, że po dwu latach potrafi zidentyfikować, że nowe materiały są z tego samego źródła, co

jakieś inne, których nota bene wtedy nie kupił. Są to dla mnie niedostępne i niepojęte zawilości.

Ale Ch. mówił o tym w taki sposób, że chociaż nio dowiódł czarno na białym, wierzę mu na

słowo. A ściślej mówiąc zakładam, że już w roku 1954 ks. Brunelli puścił się na fale nowych

doświadczeń. W marcu 1956 został przez włoski kontrwywiad zdekonspirowany.

Z tego, co powiedział Ch., i z tego, co pisała prasa, mogę sobie mniej więcej odtworzyć

przebieg wypadków. Kiedy ks. Brunelli zorientował się, że o wiele lepiej może zarobić na cudzej

twórczości niż na własnej, przede wszystkim poszukał sobie pomocnika, który by się lepiej

nadawał niż on sam do plasowania uzyskiwanego materiału. Tym pomocnikiem był również

ksiądz, ten już niewątpliwie zasuspendowany, i to od kilku lat. Brunelli był jego profesorem.

Kiedy ów jego uczeń, nazwiskiem Valentino Coftanaro, się wykoleił, Brunelli nie opuścił go, to

znaczy od czasu do czasu dawał mu zarobić parę lirów w związku z własną produkcją literacko-

antykomu-nistyczną.

Słyszałem też, że właśnie ten Costanaro jest rzeczywistym autorem książek mon<sup>^</sup>ignora

Brunelli, dla którego pracował jako biały murzyn. Nie mam o tej wersji swojego zdania. Notuję

ją dla tych, którzy lubią, jak czarna postać odmalowywana jest w jak najczarniejszych barwach.

Ale jeżeli nie jest dla mnie bynajmniej pewne, by mons. Brunelli okradał swego

ucznia, i do tego upadłego, z jego twórczych wzlotów, niestety wszystko zdaje się wskazywać, że wciągnął go w handel tajnymi dokumentami, czerpanymi z wyżej wymienionych trzech kluczowych, jeśli chodzi o sprawy informacyjne z Bliskiego Wschodu, kościelnych instytucji. Z całą pewnością nie wszystkie, które ks. Brunelli wynosił na rynek, były autentyczne. Prasa zbliżona do Watykanu stawia nawet tezę dość krańcową: że ks. Brunelli sprzedawał tylko fałszyfikaty. Ja raczej bym się opowiadał w tym wypadku, jak przeważnie i w wielu innych, za wersją pośrednią. To znaczy, że na początku chwycił on coś niecoś z autentyków, w następnej fazie, jak już interes się rozkręcił, coraz bardziej fantazjował. Właśnie coraz bardziej. Użyłem tego wyrażenia umyślnie. Oznacza to, że materiały, które w późniejszej fazie oddawał do uplasowania ks. Costanaro, miały mieszaną naturę, trochę tam było z prawdziwych raportów, pochodzących z nuncjatur na Bliskim Wschodzie, ale równie dużo, a czasami o wiele więcej, z głowy ks. Brunelli.

Zanim w roku 1956 ks. Brunelli został ostatecznie zdekonspirowany, pod koniec 1955 otrzymał od losu pierwsze ostrzeżenie. Przybiegł do niego wówczas ks. Costanaro, zaalarmowany przez niejakiego Tsopo, którym posługiwał się do kontaktów z wielkimi tygodnikami, również zainteresowanymi w raportach nuncjatur, że materiał, który otrzymują, jest fałszywy. Pewien tygodnik, który kupił raport za pół miliona lirów i reflektował na dalsze, rezerwując na ten cel po dwieście tysięcy miesięcznie, narobił szumu. Kiedy bowiem raport dostał się w redakcji na stół fachowca, ten w oka mgnieniu zorientował się, że coś tu się nie zgadza. Rzeczywiście, podrabiając raport ks. Brunelli się potknął. Nie znał się on bowiem na technice służby zagranicznej, chociaż znał się na tylu innych rzeczach, i swój elaborat, który miał być raportem pewnej nuncjatury małoazjatyckiej, wypisał na papierze urzędowym Sw. Kongregacji Kościoła Wschodniego.

Ostatecznie papier z nagłówkiem kongregacji można sobie było wytłumaczyć tym, że zrobiono w niej odpis raportu. Ale mons. Brunelli w swej nieszczęśliwej ambicji, żeby cały dokument wyglądał jak najautentyczniej, i do tego ambicji źle poinformowanej, opatrzył go pieczęcią i podpisami pracowników kongregacji. Kiedy ks. Costanaro na niego naskoczył, ks.

Brunelli wyjaśnił, że rzeczywiście materialnie rzecz biorąc, raport nie jest prawdziwy, to znaczy sam papier, pieczęć, podpisy i to wszystko. Jest natomiast prawdziwy, i to co do słowa, jeśli chodzi o jego treść. Wyjaśnił, że początkowo brał on autentyki. Z kolei porzucił tę metodę nazbyt niebezpieczną i przeszedł na metodę odtwarzania ich z pamięci. Że posiadał taką, służył dowodami, to znaczy proponował, by z nim przeprowadzić odpowiednią próbę. Co zaś do papieru podebranego w Kongregacji Kościoła Wschodniego celem odtwarzania na nim raportów, no i co do pieczęci i podpisów wyjaśnił, że posłużył się tym wszystkim, by uczynić swój towar jeszcze apetyczniejszy dla laików. Co zawierały te raporty, nie wiem. Nigdy w życiu nie miałem w ręku raportu dyplomatycznego, który by zawierał informacje o charakterze – jak to uparcie specyfikuje i to prasa wszystkich odcieni – technicznym, politycznym i religijnym. Mniejsza o informacje o charakterze religijnym i oczywiście politycznym, bo te sobie mogę wyobrazić; ale co się kryło za owymi, tak eufemistycznie nazwanymi wiadomościami o charakterze technicznym, nie śmiałem się nawet domyślać. Ale to chyba na nich polegał powab owych raportów, za które placówki zagraniczne, redakcje wielkich dzienników oraz – też wciąż o tym mówi prasa – różne towarzystwa handlowe i przemysłowe gotowe były płacić tyle pieniędzy. Pisząc o nich prasa mówi, że zawierały „szereg precyzyjnych informacji” i „pełne były danych i wiadomości dostarczanych przez szeroką sieć organizacji, które zwykle otaczają każdą nuncjaturę”. Powiem szczerze, że aczkolwiek drygu nie mam do tych rzeczy, na myśl o tych raportach aż mi ślinka do ust płynie. Tak że rozumiem nawet tego mojego biednego kolegę, tego sekretarza Ch. z owego poselstwa, szczególnie interesującego się problemem Małej Azji, bo rzeczywiście dla jego kraju to są problemy życiowe, że w końcu po tylu wahaniach skusił się na taki raport. Nazywam go biednym kolegą, biedny on bowiem jest rzeczywiście, gdyż przejął się bardzo, że w środowisku dyplomatycznym bardzo się krzywiono na jego krok. Bowiem Ch., kiedy się zorientował, że zapłaciwszy słono kupił falsyfikat, dał o tym znać Włochom. Jaki urząd wybrał sobie, żeby się pożalić, tego nie wiem. Jakiej formy użył, to znaczy, czy wybrał jako sposób półoficjalną niedyskrecję, czy też wprost poinformował policję, tego również nie



wie nikt.

Mówią, że poszedł wyzalić się przed komendantem Nucleo Speciale dei Carabinieri di S. Tolentino in Lucina. Jest to oddział policji podległy włoskiemu ministerstwu spraw zagranicznych, a ściślej biorąc protokołowi dyplomatycznemu tego ministerstwa. Oddział ten mieści się przy ulicy św. Wawrzyńca i stąd jego nazwa, zresztą oficjalna, o zacięciu świątobliwym. Opiekuje się on placówkami. Zdewają swoje wysiłki w tym zakresie z okazji przyjęć na placówkach, a także baczy, aby na dworcu czy na lotnisku panował porządek podczas odjazdów czy przyjazdów ambasadorów lub posłów. Przypuszczam, że oczy ma otwarte i na sprawy nie tylko czysto porządkowe. Jeżeli rzeczywiście Ch. zwrócił się do nich, żeby się poskarżyć, nie można wątpić o tym, że swoją skargę złożył w odpowiednie ręce. Ale czy tam ją złożył, czy gdzie indziej, we własnym imieniu czy w imieniu swego poselstwa, przyznać trzeba, że postąpił ekscentrycznie. To prawda, że naciął się, i to prawda, że musiał mu natrzeć uszu jego szef, człowiek, jak się zdaje, rachunkowy, ale ostatecznie kupując towar jak najbardziej nielegalny powinien się był przygotować na wszystko, a zwłaszcza na to, że znajdzie się na takim terenie, na którym będzie rzeczą i dziwną, i wstydliwą prosić o opiekę gospodarzy. Poza tym skoro się zdecydował zaawanturować aż na ten teren, na który się zaawanturował, śmieszną rzeczą jest robić z siebie niewiniątko nieświadome praw i reguł tego terenu, gdzie przecież rozwadnianie prawdy oraz kontrprawdy, czyli tak zwane dezinformacje, no i oczywiście normalne kanty są na porządku dziennym. A jeszcze ściślej mówiąc należą do chwytów bardzo nieprzyjemnych, ale naturalnych i uświęconych wiekową tradycją tego terenu. Ch. w rozmowie ze mną nie posunął się tak daleko, by powiedzieć, że poszedł się poskarżyć. Powiedział tylko, że „nie ukrywał”, iż wpakowano mu podrobiony raport. Twierdzi również, że nigdy nie puścił pary co do nazwiska osoby, która go nacięła. Uważa, że postąpił słusznie i po koleżeńsku, ponieważ „nie ukrywał” swego handlowego potknięcia przed kolegami. W związku właśnie z tymi kolegami jest mu szczególnie przykro, że krytykują go, bo o tym wie, i że się od niego odsuwają. Może to i ładnie z jego strony, że chciał kolegów ostrzec. Ale znowu psuje sobie w moich oczach sylwetkę, dyskretnie insynuując, że to pewnie ktoś z tych kolegów

dalej puścił w

kurs jego informacje, aż do-toczyła się do policji. Nieprzyjemne to wszystko razem i dosyć śliskie.

Jeśli chodzi o monsignora Brunelli, dla niego to oczywiście rzecz obojętna, kto i jak, i jaką

drogą, i za pomocą jakiej dyplomatycznej fiori-tury doniósł włoskiej policji, że na rzymskim

rynku informacyjnym pojawiły się raporty nuncjatur z Bliskiego Wschodu i że te raporty są

fałszywe. Dość że to się do niej doniosło w związku z feralną transakcją sekretarza Ch. I

owiadomiła ona zaraz kontrwywiad. Na zasadzie odpowiednich paragrafów jednego z aneksów

do Paktów Latefaneńskich włoski kontrwywiad zobowiązany jest do służenia Watykanowi

wszelką potrzebną mu pomocą na całym terytorium Italii. Kontrwywiad nacisnął właściwe

guziczki z tym Większym zdenerwowaniem, że państwo włoskie ma również swoje interesy na

Bliskim Wschodzie. Zdaje się, że kontrwywiad nie od razu i nie całkiem był przekonany o

fałszywości raportów, tak samo jak później nie przemawiało mu w zupełności do przekonania

sprostowanie Sw. Kongregacji Kościoła Wschodniego stwierdzające, że „się wyklucza, i to w

sposób absolutny, by ks. Brunelli miał kiedykolwiek bądź dostęp do raportów i innych

dokumentów, a nawet w ogólności dostęp do biur tejże kongregacji". Nieszczęsny pomysł

wypisywania swoich kompozycji na papierze urzędowym kongregacji w tym wypadku sprawił,

że kontrwywiad potraktował je bardziej na serio, niż były tego warte, bo nigdy w pełni nie

uwierzył, by ks. Brunelli mógł mieć do rozporządzenia tyle papieru urzędowego z biura

kongregacji, którego progów miał jakoby nigdy nie przekroczyć.

W pierwszej fazie jednak ani kontrwywiad, ani wydział polityczny rzymskiej kvestury nie

wiedzieli jeszcze nic o istnieniu monsignora Brunelli. Wiedzieli tylko o istnieniu tych raportów i

o propozycjach handlowych z tymi raportami związanych. Zapewne próbowano rozszyfrować ich

zagadkę różnymi sposobami. Po trzech miesiącach jeden z tych sposobów zaowocował.

Kontrwywiad polecił pewnemu dziennikarzowi, który pozostawał na jego usługach, rozpuścić w odpowiednich kołach wieść, że szuka dla pewnego towarzystwa

przemysłowego

konsystent-niejszych materiałów z Bliskiego Wschodu. Wpadł w pułapkę znowu najbliższy

współpracownik ks. Brunelli, a mianowicie ks. Costanaro. Ten chwyt, tak zwany „na klienta”; nie tylko sprawił, że kontrwywiad miał teraz w swoim ręku raport, ale również nawiasowo wyjaśnił kontrwywiadowi, że Costanaro przypuszczalnie otrzymał swój towar wprost ze źródła.

Bowiem cena, której zażądał, była o połowę mniejsza niż ta, której w swoim czasie zażądano od owego poselstwa, tak bardzo niedyskretnego. Kazaio to przypuszczać kontrwywiadowi, że w wypadku owego poselstwa wchodził w grę łańcuszek pośredników, w wypadku ks. Costanaro nie wchodził. Myślę, że następnie poddano obserwacji ks. Costanaro. Ale tego się tylko domyślam, bo na ten temat nie mam żadnych informacji ani z gazet, ani z plotek. Co do owego szczegółu z ceną, jakiej zażądał ks. Costanaro za raport, przyznam, że dosyć mnie on zaciekawił. Gdyby zażądał wyższej, może by jeszcze odwłókł swój upadek, no i upadek ks. Brunelli. Może by nie skoncentrował na sobie tak szczególnej uwagi kontrwywiadu. Ale ostatecznie, tak czy owak, była to już przecież tylko sprawa czasu.

Został zaarrestowany, kiedy kontrwywiad uzyskał pewność, skąd towar, i kiedy policja, opierając się na tej pewności, wtargnęła do mieszkania ks. Brunelli. Znalazła tam materiału obciążającego pod dostatkiem. Zdaje się, że poszli pod klucz nie tylko obaj księża, ale również różni pośrednicy. Po ustaleniu jednak, że treść raportu jest imaginacyjna, a notatki ks. Brunelli mają tylko charakter, powiedzmy, erudycyjny i nic w nich nie wskazuje, by to były kopie czy wyciągi cennych i tajnych autentyków, księży wypuszczono. Mówiło się, że będą odpowiadać z wolnej stopy za oszustwo. Ale nikt na razie nic nie wie o podobnym procesie. W kołach dziennikarskich i ponoć również w sądowych i adwokackich nikt nie słyszy, żeby się coś takiego zapowiadało.

Najpewniej siedzą gdzieś obaj na pokucie w jakimś klasztorze zabitym deskami. Władze sądowe idą w takich wypadkach na rękę Kościołowi. Sprawę tuszuje się, odwleka, przenosi z płaszczyzny karnopaństwowej na kanoniczną. Po latach, być może, znów wypływa na powierzchnię rzymską. Najpewniej znowu zdani na ten sam los, to znaczy los lumpenkleru, powiększą jego grono, chociaż, być może, nie przekraczając więcej niebezpiecznej granicy. Co do pośredników, raczej wolno przypuszczać, że w związku z potraktowaniem sprawy

obu księży  
w sposób specjalny – i im się upieczę. Za pośrednictwo nie spotka ich nic złego,  
przynajmniej na  
razie, najwyższej sąd im za nie dołoży, mocą nie pisanego układu, przy następnej  
wypadce. Chyba  
że po raz wtóry im się poszczęści, to znaczy, że po raz wtóry zahandlują towarem  
z podobnie  
bło-gosłowionego źródła.  
Rzym, 6 października 58 r.  
Z samego rana – na Piazza delia Pilotta. Do rozmowy nie doszło. Telefonowano z  
Castel  
Gandolio, ściągając najbliższych współpracowników, gdyż papież poczuł się źle.  
Nic  
poważnego, niemniej zarządzono ostre pogotowie. Najważniejsze, żeby nie  
wygłaszał  
ogromnych przemówień. Dwa czy trzy są gotowe. Napisane. Trzeba je poskracać.  
Zrozumiałem,  
że tylko dlatego mój rozmówca musi wracać. Nie puszczał mnie od siebie, był  
podenerwowany,  
nie rozmawialiśmy więc naprawdę. Nareszcie dano znać, że podjechał po niego  
samochód, i –  
pożegnaliśmy się.  
W południe – M. Też wie, że od rana w Castel Gandolio alarm. Sytuacja jednak nie  
jest  
alarmująca, tak mówi. Wiek jest poważny, lecz organizm, mimo pozorów  
eteryczności – z  
żelaza. Podziwia ekspansywność Piusa XII, zarazem ona go irytuje. Powiada, że  
gdyby kto  
potrafił skłonić Piusa XII do rozsądniejszego gospodarowania starymi siłami,  
panowałyby jeszcze  
długo. Nie wyklucza, że alarm, o którym słyszeliśmy e baj, nie został zarządzony  
przez papieża,  
lecz przez otoczenie, żeby poczuł obawę i zgodził się na trochę odpoczynku. Ale  
oczywiście  
jakiś pretekst musiał zaistnieć.  
Salerno, 9 października 58 r. Miałem do załatwienia pewne sprawy w Neapolu i  
Salerno.  
Wyjechałem więc wczoraj i co miałem załatwić, to załatwiłem. Klasztorzki O.  
Gianlorenzo, ten  
górnym i ten dolnym, są od Salerno godzinę drogi samochodem. Chciałem z tej  
bliskości skorzystać i  
w drodze powrotnej go odwiedzić. Jest ze mną Zosia. Cieszymy się na tę wizytę.  
Zatrzymujemy  
się w malutkim hotelu nad morzem. Przynoszą nam śniadanie do pokoju, ubieramy  
się,  
pakujemy, schodzimy, płacimy. Przy płaceniu rachunku pytam portiera o papieża,  
bo prasa  
wczorajsza podawała, że stan się pogorszył. Od niego dowiaduję się, że papież  
umarł. Dziś w  
nocy o świcie.

Nie możemy jechać do Gianlorenzo. Przykro mi. Ale nic się nie da zrobić. We wszystkich klasztorach, kościołach, kuriach i zakonach na pewno teraz straszne urwanie głowy z organizowaniem uroczystości. Decydujemy się na wypad do Paestum. Po południu wracamy. Jest ten O. Gianlorenzo o godzinkę drogi. Kusi nas to. Postanawiamy w końcu spróbować. Pochmurno. Leje. Jedziemy jednak. Ale zajeżdżamy do Tor-chiati, gdzie jest klasztor dolny, kiedy już się zaczyna ściemniać. Do tego wszystkiego okazuje się, że O. Gianlorenzo jest na górze, w Sanktuarium. Telefonu nie ma. O tym, żeby do niego dojechać samochodem, nie ma mowy. Z dolnego klasztoru do górnego prowadzi zakosami nędzna, kamienista droga górską. Przyjmuje nas braciszek niezmiernie zaciekawiony naszą wizytą i w miarę serdeczny. Zostawiamy nazwisko i informację, że postaramy się nazajutrz ponowić odwiedzinę. Robi się ciemno. Coraz ciemniej. Jak to w górach, chociaż to góry nieduże, zmierzch zapada szybko. Wyruszamy. Na prawo i lewo kłębią się gigantyczne, niedźwiedziowate, mastodontowate kształty. Ponure te ich góry tutaj. Strasznie ponure. Zarysy Torchiati jeszcze widzimy. Zarysy następnego miasteczka ledwie--ledwie. Nikłe latarnie. Nikłe światła w oknach, i to z tym, że rzadko kiedy oświetlone. Nieoczekiwanie tylko na rynku trochę jeśli nie jaśniej, to kolorowiej, bo gdzieś tam świecą się lampki takie jak na choinkach w wielkich miastach. Nie wiadomo, co to takiego. Jakaś zabawa miała być i ta zabawa z powodu śmierci Piusa XII odłożona, czy co?

Salerno, 10 października 58 r.

O dziewiątej wyruszamy. Dzień przepiękny. Błękitny i lekki. Mam wielką ochotę na to Torchiati. Zosia mnie odmawia. Bezwzględnie ma rację: krępujące akurat dzisiaj odwiedzać O. Gianlorenzo. Ale jestem tak blisko niego i nie wiem, kiedy znowu tu będę i w ogóle czy będę. Godzę się w pełni z tym, że to może niedelikatnie, bo w klasztorze na pewno urwanie głowy i nastrój nie do gości. Ale upór, upór przeklęty pcha mnie do tej wizyty. Ostatecznie więc postanawiamy jechać. Zwłaszcza że na miejscu zorientujemy się zaraz, czy przeszkadzamy. Jeśli tak, zwijamy manatki i walimy do Rzymu. Nałożymy trochę drogi, stracimy dwie godziny. Ot, i tyle. Oczywiście w tym wypadku, gdyby się okazało, że przyjeżdżamy nie w porę.

Nasz hotel stoi nad morzem. Od frontu ma plażę. Z tyłu i z boków ogrody. Cała dzielnica jest taka. Kiedy się kończy i wjeżdżamy w śródmieście, zewsząd rzucają nam się w oczy wielkie afisze-klepsydry o śmierci Piusa XII. To są zarządzenia ogłaszające żałobę narodową. Kupujemy gazety. Pierwsze strony w czarnych obwódkach. Same wiadomości i artykuły związane z chorobą i śmiercią papieża oraz sytuacją, która powstała w kurii, ponieważ papież w swoim czasie nie zamianował camerlenga. Czarne afisze się, kończą, miasto się kończy, jedziemy przepiękną drogą. Domy, ogrody, osiołki, wozy o dwu kołach, ale za to gigantycznych; podniebne parasolowate pinie, wszystko miesza się, łączy, rozdziela, kojarzy. Szosa raz po raz zakręca, to wspina się, to opada. Te jej zakręty i to wspinanie i opadanie miesza poniekąd naturalny porządek rzeczy. Osiołki i dwukółki zamieniają się na miejsca z koronami drzew i dachami budynków. Co powinno być wyżej, wypada niżej; co niżej, wypada wyżej; i tak w najróżniejszych kombinacjach całymi godzinami. Ale na koniec rzeczy, stworzenia, wegetacja porządkują się. Krajobraz staje się równiejszy. Wjeżdżamy w świat alei, szpalerów i żywopłotów. Szosa, którą jedziemy, jest obsadzona. W bok od niej rozchodzą się drogi i – również obsadzone. Prześwitują wille. Więcej i coraz więcej. Jakaś miejscowość willowa. Potem coraz mniej ich, aż nikną. I teraz nowy krajobraz. Olbrzymich, łagodnych wzgórz, które wczoraj wydały się nam takie ponure i niedźwiedziowa-te. Teraz patrzymy na ich kształt i na ich kolor z zachwytem. Zachwyt nasz wzrasta, kiedy dowiadujemy się od kierowcy-Włocha, że to są lasy kasztanowe. Zatrzymujemy się. Jest to ta sama miejscowość, przez którą przejeżdżaliśmy poprzedniego dnia; ta złożona z samych ciemnych domów rozświetlonych kilkunastoma kolorowymi lampeczkami. Do Torchiati stąd najwyżej trzy kilometry. Ogarnia nas pragnienie kawy tak silne, że musimy je zaspokoić zaraz. Kawa, jak to na południu Włoch, mocna. Ale placyk, gdzie stanęliśmy, uporządkowany i czysty, co znowu na południu nieczęste. Jest to zresztą placyk centralny miasteczka. Rozglądamy się. Na środku – podium dla orkiestry. Ulice, które rozchodzą się z placyku – ozdobiono papierowymi girlandami

i lampionami; z jednej strony na drugą przechodzą górą druty z poprzyczepianymi kolorowymi zaróweckami. Pod ścianami domów na placu, i nie na placu, porozstawiane stoły. Wyruszamy. Jedziemy teraz wśród szpaleru stołów, które towarzyszą nam do rogatek miasteczka. Sprawdzam na mapie. Miejscowość nazywa się Piazza di Pentola. Nareszcie stajemy w Torchiati. Klasztor jest taki sam ogromny jak wczoraj. Ale dzisiaj i on nie wydaje mi się ponury. Idę na górę. Otwiera mi ten sam brat, co wczoraj. O ile wczoraj był szalenie ciekawy i po trosze serdeczny, dziś zastaję go szalenie serdecznym i po trosze ciekawym. To O. Gianlorenzo widać w znacznej mierze uspokoił jego ciekawość i tak go miło nastroił do nas. Okazuje się, że wczoraj w kwadrans po naszym odjeździe zszedł z góry. Dziś znowu musiał wrócić, bo się coś tam muruje. Ale czeka na nas. Mamy zaraz do niego iść. Zaraz, jak najprędzej. Przed tym jednak w klasztorze winniśmy się napić kawy. Następnie ja mam obejrzeć tę część gmachu, gdzie dzisiaj mieszczą się franciszkanie; Zosia nie – a to z powodu klauzury. Resztę gmachu możemy zwiedzić oboje, gdyż gmach jest stary, więc ciekawy. Wszystko więc szczegółowo przewidziane i zarządzane. Czeka też już na nas młodzieńcy służący klasztoru, Francesco, a zdrobniale Ciecici, żeby nas zaprowadzić na górę. Pijemy kawę, bo oczywiście nie ma mowy, żeby się od niej wymówić. Jest znowu diabelnie mocna. Salonik, w którym braciszek nas częstuje, jest malutki i skromny. Mieści się poza klauzurą. Zostawiam w nim Zosię. A sam z bratem idę najpierw zajrzeć, jak mieszkają, a potem dalej – zobaczyć resztę gmachu. Celek jest dziesięć. Lecz w tej chwili jest w klasztorze tylko jeden ojciec, starszy, chory, którego zostawiać samego nie można. Braciszek mówi to z żalem, bo gdyby nie ta choroba, i on by z nami na górę poszedł. Celki, refektarz i cała reszta wzruszająca, bo bardzo biedne i bardzo czyste. Schodzimy do kościoła. Jest barokowy. Nie mam o nim nic do powiedzenia. Teraz idziemy oglądać gmach. Wielki, postawiony w czasach kontrreformacji. Ma trzy piętra, w środku chiostru w opłakanym stanie. Wchodzimy na pierwsze piętro i na drugie. Wszystkiego tu po trochu. Trochę biur kwestury, trochę biur zarządu miejskiego, trochę siedzib różnych organizacji. W wielkich salach – albo oświata, albo sprawiedliwość. Wychodząc spoglądam na biedne chiostru, potrzaskane, zaśmiecone. Braciszek idąc za moim

spojrzeniem

wyjaśnia, że zniszczenie wynikało z tego powodu, iż gmach nie ma jednego gospodarza.

Obrzucam wzrokiem klasztorzysko z zewnątrz. Widzę wtedy, że jeszcze nie wszystko wyliczyłem, co gmach mieści. Jeszcze parę sklepików. Na rogu też wisi jakiś szyld na wysokości

pierwszego piętra. To szyld adwokacki: Studio Penale Avv. Elvio Occhiuto. Za rogiem zwraca

moją uwagę długi rząd okien parterowych i suterenowych zakratowanych. To areszt.

Wyjaśnia

nam to Cieci.

Po godzinie dostajemy się do Sanktuarium. Spoceni, zadyszani, zmęczeni. Szliśmy wolno,

powstrzymywani przez Cicciego, któremu nakazał to Gianlorenzo. Ale zgrzaliśmy się, bo słońce.

Czasem trochę cienia od kasztanów, więc przystawaliśmy. Widok coraz piękniejszy i

piękniejszy. Za każdym przystankiem Cieci trącał mnie w łokieć. Najpierw raz, a potem drugi.

– II convento, eh! – mówił i wskazywał w dół.

– // santuario, eh! – mówił następnie.

Dolny klasztor oddalał się i malał. Górny, owo santuario, ogromniał. Jawił się bardzo

rzadko, bo stok, po którym prowadzi! nas Cieci, był stromy.

Wreszcie dobrnęliśmy. Pięknie tu było bajecznie. Byliśmy oboje zachwyceni miejscem. Ale

czuliśmy ogromną potrzebę cienia i wypoczynku, żeby w nas mógł ten zachwyt dojść w pełni do

głosu. Znałem miejsce już dobrze z opowiadań O. Gianlorenzo. A więc rozpoznawałem

kapliczkę postawioną w miejscu, gdzie Incoro-nata cudownie ocalała przed bykiem dziecko,

które przyszło w dzień, kiedy to ojcowie franciszkanie udzielają błogosławieństwa zwierzętom.

Rozpoznałem następnie tak zwaną starą kaplicę, która stanęła tu pierwsza, zanim zbudowano

górną klasztor i kościół. Wreszcie rozpoznałem sam górny klasztor i kościół oraz olbrzymią

lorestierię, dom gościnny dla pielgrzymów, którego parter przeznaczony był dla koni i krów, a

pierwsze piętro dla ludzi. To piętro składało się z samych refektarzy, to znaczy z salek, gdzie

można było, zasiadłszy przy stołach na ławkach i krzeselkach, zjeść i napić się po zakończonych

uroczystościach, i to zjeść i napić się pod dachem. Niewielki procent mógł oczywiście korzystać

z tej forestierii, bo na sam główny dzień błogosławieństwa, to znaczy w poniedziałek po

Wielkanocy, potrafiło przyjść i dziesięć, i piętnaście tysięcy pielgrzymów. A lorestieria mieściła



najwyżej trzy setki ludzi oraz, w najlepszym razie, pięćdziesiąt koni i pięćdziesiąt krów. Tak że w forestierii gościł tylko sam kwiat pielgrzymstwa. Tyle razy mi opowiadał O. Gianlorenzo o wspaniałym tarasie przed kościołem i teraz stoję na tym tarasie, i podziwiam przepiękny widok. Wokół niezmierzone pagóry o miękkich liniach, porośnięte kasztanowymi lasami. Naprzeciw nas, ale niewidoczne, bo za górą, najsłynniejsze tutejsze Sanctuarium Montevergin*i*. Na prawo jeszcze jakieś inne, pomniejsze. Na lewo w gąszczu kasztanowych borów chatka pustelnika, o którym nam opowiada Cieci. Jest jedyny w swoim rodzaju, przynajmniej dla mnie, bo nigdy o takich pustelnikach nie słyszałem. Ma wielką drewnianą wannę, którą sam zrobił, zapewne z pnia drzewnego, ale tego Cieci nie jest pewien. Ma też wielki sagan, w którym zagrzewa wodę. Woda jest wyborna, bo do kąpieli dodaje ziół, a kąpie tych, którzy o kąpiel proszą. I tak żyje. – 7/ convento eccolo! – trąca mnie w łokieć Cieci. Rzeczywiście, teraz widzę klasztor. Widzę doskonale cały jego czworobok pusty w środku. Wygląda stąd prześlicznie, bo i zgrabnie, i składnie. Ten budynek klasztoru, w którym jest wszystkiego po trochu i z którego murów nie wychodząc można tyle różnych rzeczy i zaznać, i nauczyć się. Widzę mikroskopijne kraty, widzę szyldzik adwokata, widzę okna kwestury i okna klasztoru. A przynajmniej tak mi się wydaje. Prosił mi Cicciego o wodę. Nie przyniósł nam jej. Przyniósł za to likier. Przysłała nam ten likier O. Gianlorenzo, który myje się i ubiera, bo zajęty był z murarzami. Jesteśmy zmęczeni, więc przysiadamy na murku, który stoi sobie sam, nie wiadomo czemu służąc, na prawo od wejścia do kościoła. Kościół rzuca cień na ten murek. Przyjemnie się na nim siedzi. Taraz też jest okolony murem, ale tam słońce praży. Pijemy likier słodki i zielony. Patrzą na Torchiati, które ciągnie się w lewo od klasztoru. Potem kończy się. A po długiej zielonej przerwie widzi się jakąś miejscowość. – Piazza di Pentola? – pytam Cicciego. – Sì, signore – potwierdza Cieci. Ale oto O. Gianlorenzo. Jakże miło go zobaczyć. Ciepło mi się robi na jego widok. On śmieje się i, jak to on, taki ożywiony, taki ruchliwy, że wydaje się, że tańczy. Wybuch od razu zarzutami, dlaczego teraz przyjeżdżamy, a mieliśmy już tak dawno przyjechać. A

jak już  
przyjechaliśmy, to dlaczego przyszliśmy tak późno, nie wcześniej. Dialog, a  
raczej trialog, jest  
tak szybki, że raz po raz odpowiedź wyprzedza pytanie. Ja wiem, o co on mnie  
będzie pytał. On  
wie, o co ja będę. Więc mówimy, zanim padnie pytanie. Uśmiechy, wyrzuty,  
informacje,  
wyjaśnienia. Ciesi tylko milczy i wodzi za nami oczami.  
– Jeszcze trochę – O. Gianlorenzo namawia nas na drugi kieliszek likieru.  
Chwałę likier i przyznaję, że świetnie mi zrobił.  
– Oczywiście! – śmieje się Gianlorenzo. – Nic tak nie stawia na nogi po  
zmęczeniu, jak  
kropla nalewki. My, zakonnicy, dobrze wiemy, czego pielgrzymowi potrzeba, kiedy  
się do nas  
wydrapie na górę. Zresztą nie tylko my, ale i benedyktyni, i kartuzi, i  
cystersi. Stąd się właśnie  
wywodzą te słynne klasztorne nalewki i likiery. Przy zmęczeniu fizycznym – nigdy  
woda, nigdy  
wino, tylko likier! likier!  
– Jeszcze trochę – powtarza.  
Ale już nie chcemy. Idziemy teraz za nim. Nie pozwala się zatrzymać w kościele,  
bo  
chłodno. Ale pozwala czy nie pozwala, w przejściu do zakrystii staję jak wryty.  
Cała ściana  
pokryta malutkimi' repusowanymi konikami, krówkami, pieskami z blachy, przeważnie  
w kolorze  
srebrnym.  
– To wota – mówi Gianlorenzo.  
Zapala światła. Odkrywam teraz wszędzie mnóstwo koników, baranków, piesków,  
byczków i  
ptaszków. Jest co prawda trochę rączek, nóżek, główek, jest trochę i całych  
człowieczków, ale  
przygniatająca ilość to właśnie nie te wota, które się spotyka w niejednym  
kościelnie i przed  
niejednym cudownym obrazem, ale wota przedstawiające zwierzątka. Idę za tymi  
wotami jak  
uręczony, i oto teraz stoję przed ołtarzem głównym. Wokół cudownego obrazu z  
Matką Boską,  
którą Bóg Ojciec i Jezus koronują tiarą, też mrowią się. Lecz w bliskości  
świętych osób i w  
sąsiedztwie z cudownym obrazem rzadsze stają się wota stworzeń, a częściej  
przedstawiające  
ludzi. Jeżeli fiawet nie całkowitych, to przynajmniej częściowych: a więc różne  
ręce, nogi,  
głowy, uszy oczy. Wota tego rodzaju spychają wota zwierzęce na drugi plan. Ale  
im dalej od  
głównego ołtarza, tym więcej stworzeń. Przechodzimy do zakrystii. Tutaj to już  
ich absolutne  
królestwo.  
Na ścianach wiszą obrazki i fotografie. Błaszane wota znikają. Najciekawsze są

obrazki.

Rzadko przedstawiają osobno jakieś zwierzę, które zostało cudownie uratowane.

Przedstawiają

sam moment cudu. A jeżeli nie da się go ująć w jednej scenie, opowiadają historię cudu od

początku do końca za pomocą skrótów i sposobów, które zna się z różnych obrazów poświęconych świętym. Tak samo jak tam, tak i tu obraz dzieli się na dwie klatki albo na cztery,

a niekiedy na sześć lub osiem, kiedy chodzi o wypadek bardziej skomplikowany.

Najzawilszy z

nich jest poświęcony waśni dwu rodzin, dwu hrabskich rodzin, hiszpańskiej de Mendonca i

neapolitańskiej Ripacandida, które miały tu w pobliżu zamki.

– Pewnego dnia – wyjaśnia Gianlorenzo – konie poniosły Hiszpana i o tej samej godzinie

konie poniosły Neapolitańczyka. Co gorzej, Mendonca jechał do Salerno, z którego Ripacandida

wracał. Powozy więc na siebie wpadły, a ponieważ okolica tu górzysta i pełna dróg wiodących

stokami; kiedy hrabiowie wpadli na siebie, zwalili się w przepaść. Konie im się pozabijały, sporo

służby, ale oni sami wyszli bez najmniejszego szwanku. Był to więc istny cud.

I tak też interpretuje sprawę centralna scena obrazu, przedstawiająca dwu panów klęczących

przed głównym ołtarzem Sanctuarium. Przygotowują się do przyjęcia Najświętszego Sakramentu, przy czym ręka jednego hrabiego jest związana z ręką drugiego hrabiego, i to stulą.

Wygląda, jakby brali z sobą ślub. Tak nie jest, bo związanie rąk stulą pokazuje tylko, że zawarli

Z sobą zgodę, a nawet przyjaźń po wieczne czasy. Historia cała rozbita jest na pięć scen.

Środkową, największą, opisałem. Dwie u góry przedstawiają zamki obu hrabiów, dwie boczne

poświęcone są zobrazowaniu waśni.

Przełożona na język malarski wygląda ona 5B3

zresztą niewinnie: oto więc rynek w Salerno, po jednej stronie stoją reprezentanci rodu

Mendonca, po drugiej rodu Ripacandida, obróceniu do siebie tyłem. Druga scena, odmalowująca

waśń, ukazuje także rynek, ale jakiś inny, w okolicy jeszcze bardziej górzystej niż nadmorskie

Salerno, które ma góry tylko z jednej strony. Na rynku widać dwa kościoły. Do jednego

wkraczają Mendoncanie, do drugiego Ripacandidanie, aby nawet w wypadku, kiedy chodzi bądź

co bądź o dom Boży, nie znaleźć się pod jednym dachem. Ostatnie dwie sceny, umieszczone na

dole, mówią o samym wypadku. Pierwsza przedstawia, jak powozy wpadają na siebie.

Druga, jak

hrabiowie powstają spośród szczątków karet i trupów, zwierzęcych i ludzkich,

cali i żywi, i  
spoglądają na siebie, oszołomieni.  
Jest to typowy cud hrabski, ale znaleźliśmy z Zosią i inne. Mieszczkańskie i  
chłopskie są  
prostsze. Perypetie ich niewyrafinowane i nie wymagające relacjonowania  
precedensów, stąd i  
kompozycja prostsza. Przez to czasem narracja zyskuje, jak w wypadku zakonnicy  
Fabioli Zu-  
garo, której tu poświęcono tryptyk. Na pierwszym obrazku zakonnicy jeszcze nie  
ma na świecie,  
jej rodzice, dotąd bezdzietni, modlą się o potomstwo. Na centralnym obrazku  
Fabiola jest na  
świecie i właśnie wpada pod konie. Na trzecim jest już zakonnicą, która Bogu  
poświęciła cudem  
uratowane życie. Koni tu zresztą, tak na obrazach, jak i fotografiach, pod  
dostatkiem. Występują  
również byki, ale nieco rzadziej. Ciekawe, że jeżeli już bawić się w  
rozdzielenie typologicz-  
ne, to w wypadkach cudów, które nazywam hrabskimi czy mieszczańskimi, cuda  
wydarzają  
się zawsze po coś. Koń czy byk występuje na nich z reguły jako narzędzie, za  
pomocą którego  
Bóg coś chce od człowieka uzyskać.  
Kiedy się to dokona, schodzą na drugi plan, giną albo po prostu znikają z  
dalszych scen  
kompozycji. W cudach chłopskich nie tylko kompozycja, ale i teologia jest  
prostsza. W cudach  
konie, krowy, byki, kozy chorują czy zawisa nad ich życiem inne  
niebezpieczeństwo i po prostu  
Najświętsza Panna je ratuje. W tych cudach stosunek boski do zwierząt jest  
bardziej ludzki, a  
stosunek do ludzi – jakiś bardziej bezinteresowny. W zamian za swe cuda nic Bóg  
od człowieka  
nie chce. Żal mu się robi czy człowieka, czy zwierzęcia i ratuje je od choroby,  
od ognia, od  
wody, od pioruna czy od walącego się drzewa.  
Artystycznie obrazki są interesujące. Panującym stylem jest tu naiwny realizm,  
niekiedy z  
lekkimi ciągotami surrealistycznymi. W ostatnich czasach jawi się fotografia  
jako konkurentka  
tego malarstwa. Nie wypiera go jednak, bo mniej do wyobraźni przemawia. Do  
narracji się nie  
nadaje ani do wyrażania treści dramatycznej, zarówno ze względu na swoją  
autentyczność, jak i  
na swoją statyczność. Konie występujące na obrazkach są zawsze ogromne,  
zwłaszcza jeżeli  
biorą udział w akcji. Zosia zwróciła mi uwagę na przepiękny obrazek, gdzie pod  
nogami jednej  
pary koni, które poniosły, kłębi się pięciu człowieczków. W rzeczywistości  
najpewniej

przejeżdżały tych ludzi po kolei. Tu ich wszystkich malarz zebrał na kupę w kulminacyjnej scenie, a na to, żeby ich zmieścić, porobił z nich ligurki, a wyolbrzymił konie. Tego fotografia nie potrafi. Dlatego też pod obrazami albo nie ma wyjaśnień, albo są bardzo krótkie. Obrazy mówią same z siebie i zaledwie spojrzysz, wiesz, na czym polegał mechanizm cudu, o którym opowiadają. Natomiast pod fotografiami ciągną się opisy, najczęściej wyblakłe. Dedykacje są czytelniejsze, bo krótsze, a więc pisane większymi literami: „Za wyratowanie mi tego konia, to jest wałacha Nerino, z ciężkiego przypadku zołzy, wobec którego weterynarze okazali się bezsilni, ofiarowuję Najświętszej Paniencie Ukoronowanej fotografię Nerino w otoczeniu mojej rodziny, dwie msze ciche, jedna śpiewana i cztery świece frontowe u Jej Ołtarza. Costanza Rosselli Turco, 13 sierpnia 1925".

Albo inny podpis pod fotografią przedstawiającą piękną czwórkę koni, zaprzęgniętą do landa: „Najświętszej Pannie Marii z Cudownego Obrazu Sanktuarium Montoro Torchiati w podzięce za cudowną opiekę nad naszym inwentarzem, Agnese i Giacomo Colacicchi, Torchiati, ul. Monte Brianzo 7 (mieszkanie 3), 7 października 56". Istotnie, patrząc na piękne konie o cudowności opieki wątpić nie sposób. Ale oczywiście w grę tu wchodzi nie cud typu interwencyjnego, tak jak we wszystkich poprzednich wypadkach, lecz raczej typu przewencyjnego. Przypomnieć zresztą warto, że o taką opiekę codzienną, zwykłą i zapobiegawczą proszą tu pielgrzymi przychodzący ze swoimi zwierzętami. O nią się modlą w Sanktuarium przed obrazem Ukoronowanej, ponieważ taka opieka jest specjalnością tego obrazu. – Basta! – woła Gianlorenzo. Nasza fascynacja tymi rzeczami zaczyna go nużyć. – Basta!

Zakrystia jest dosyć duża. Obrazów i fotografii mnóstwo. Na jednej ze ścian ich nie ma, ponieważ ta ściana przeznaczona jest na ladę i okienko do zbierania ofiar w owe dni, kiedy przychodzą do Montoro pielgrzymi na błogosławieństwo ich dobytku. Lada wmurowana jest w ścianę, w którą wmurowane jest również okienko. Pielgrzymi składają ofiary w naturze, w produktach rolnych: winie, oliwie, owocach, drobiu. Ojcowie stają w okienkach, a ponieważ niektórzy z nich są bardziej popularni, pielgrzymi chętniej by składali na ich ręce ofiary niż na

ręce ojców mniej lubianych. Dlatego też okienka zaopatrzone są w żaluzjki, w saracinesci, które ojcowie opuszczają do połowy. Pielgrzymi nie widzą ich twarzy. Opowiadając o tym O.

Gianlorenzo żartuje, że w okienkach widać podczas składania ofiar tylko ręce ojców, jak biorą i biorą.

Za ojcami stoją braciszkwowie i w ogóle ile tylko można zmobilizować na ten dzień służby.

Ofiary płyną wartko i trzeba je z tyłu plasować taśmowo, i szybko, i z rozwagą, żeby się nie dać

ponieść łatwiznie w szufladkowaniu. Na przykład, śmieje się O. Gianlorenzo, nic fałszyw-szego

niż przypuszczenie, że można kasztany zsypywać do kasztanów, nie oglądając się na jakość.

Rośnie ich w okolicy kilka gatunków i jedno z nich pieką się i gotują wolniej, a drugie szybciej,

nie mówiąc o tym, że jedno doskonale się nadają do gotowania z troszeczką czosnku, a inne – za

Boga nie.

Toż 2 wełną, która bywa różnego rodzaju. Toż z oliwą, którą przynoszą chłopci, zwłaszcza

jeśli proszą o zwrot blaszanki. Ale nic to wszystko w zestawieniu z kłopotami, a przede

wszystkim z zamieszaniem, wywoływanym przez ofiary upierzone. Choć braciszkwowie zręczni, a

służba szybka, coraz to wyrwie się im z ręki gęś czy kura, czy gołąb. Lata to i trzepocze, brudzi

na potęgę, naruszając godność momentu, zwłaszcza że nieraz ptak taki wpadnie do którejś ze

skrzyneczek pełnej obrazków świętych i rozpędzi ich chmurę na całą zakrystię.

– Ot, takich – mówi O. Gianlorenzo. – Dam wam ich potem więcej i różnych lepszych

pamiątek, które rozdzielamy pielgrzymom w podzięcie za ofiary.

Oglądam obrazek. Jest to podobizna świętego obrazu Ukoronowanej.

– Nie, tego panu nie dam – mówi Gianlorenzo – bo pognieciony. Dam panu i pani inne, ile

tylko będziecie chcieli.

– Ze zwierzętami?

O. Gianlorenzo zasmuca się.

– Chciałbym obrazek ze zwierzętami – powtarzam – z inwentarzem, krowami, koźmi.

– Obawiam się, że nie mamy – mówi Gianlorenzo.

– Rozdali ojcowie wszystkie? – pytam.

– W ogóle nie mamy.

– Dlaczego! Takie obrazki mogłyby być prześliczne.

– Pewnie – wzdycha Gianlorenzo.

– No i charakterystyczne dla waszej Madonny, bo tylko wasza tak się opiekuje zwierzętami.

– Tylko nasza.

– Więc dlaczego nie ma obrazków z Madonną i zwierzętami?

– A bo nie ma – wzrusza ramionami O. Gianlorenzo. – Niechże pan da temu spokój. Ale jak to on, nachmurzył się i już się śmieje.

– Mówię państwu – cały weseleje – jak tu przychodzą te ofiary składać, a my w tych

okienkach się ustawimy, z prawej strony braciszek z obrazkami, z różańczykami, figurkami i

innymi różnościami, które się rozdaje w zależności od ofiary, z lewej strony drugi albo jaki

służka do odbierania ofiar, to roboty się ma pełne ręce. Patrzę ja się, co dostaję, i od razu się

powiniennem zorientować, jakie za to wypada ofiarować pamiątki. Prędko musi to iść, żeby ludzie

nie za długo czekali, ale nie za prędko, żeby nie narazić godności. Czasem jednak inaczej nie

sposób, tylko raz dwa, raz dwa, boby ludzie stali do nocy. Wtenczas to już szybko, szybko;

bierzesz, dajesz i niech będzie pochwalony; bierzesz, dajesz i niech będzie pochwalony, wr! wr!

wr!!!

– Wr! wr! wr! – mówię – jak te msze w Vj/l;no Santa Chiara.

Nie pamięta.

– Te msze, o których ojciec opowiadał we Fiuggi, nie pamięta ojciec?

– A, w tym naszym pensjonacie dla duchow< nych!

Teraz wszystko sobie przypomina. W Santa Chiara było kilkanaście pokoi.

Wszystkie po-

zajmowane przez księży i zakonników. Rano każdy spieszył się ad aquas; a do tego kaplica

pensjonatowa miała tylko jeden ołtarz; tym bardziej więc przy odprawianiu mszy pośpiech był

nakazany.

– Oczywiście – uśmiecha się O. Gianlorenzo – tak, tak, tam też pośpiech musiał być. Każdy

się przy ołtarzu związał. I szły te msze raz dwa, raz dwa, wr! wr! wr!

– Tak samo wtenczas ojciec powiedział.

– Jak to pan pamięta.

– Wszystko pamiętam, i poznanie, rozmowy.

Patrzę na niego i myślę sobie, że trochę przytył. On patrzy na mnie i myśli sobie, żem trochę

przytył. Dwa lata przeszły od tego pierwszego wr! wr! do tego drugiego wr!

wr! Też swoją

drogą tak przeleciały raz dwa, raz dwa, szybko, szybko! wr! wr! Spoglądam w okno zakrystii.

Niebo niebieskie, niebieskie. W nieporównanie włoski sposób niebieskie!

— A nasze dyskusje ojciec pamięta – mówię – nasze spory o papieża i moje krytyki?

Biorę jego rękę w swoje ręce i ściskam. To ma być moja kondolencja. Stać by mnie było i na

więcej, ale nie bardzo wiem, czy to wypada. Więc tylko akcent kładę specjalny na ostatnich

słowach i ściskam rękę Gianlorenza w sposób znaczący. Ale on nie chwyta tego

akcentu i tego  
znaczenia. Bez wątpienia się przejął śmiercią papieża ogromnie, ale z pewnością  
jedynie w  
godzinach, w miejscu i, by się tak wyrazić, w odpowiedniej do przejmowania się  
takimi dalekimi  
i wielkimi rzeczami chwili. A więc podczas mszy czy modlitw, u siebie w celi czy  
w kościele,  
przed ołtarzem czy na klęczniku; jest za żywy, żeby tę śmierć nosić w sobie bez  
ustanku. Jest za  
skromny, żeby cały się nią napęlnić. Myślę, że w tym samym stopniu co wszelkimi  
innymi  
wydarzeniami w życiu Kościoła, wydarzeniami wielkich wymiarów, jak na przykład  
uchwalenie  
nowego dogmatu czy nowa kanonizacja. Jest to dla mnie jasne, z pytania, które  
teraz mi zadał.

—r Pan wie, że papież umarł? – pyta.

– Ależ wiem, właśnie z żoną krępowaliśmy się...

– Czym?

– Czy wypada w takim momencie...

– Z wizytą do mnie?

– Tak, właśnie zastanawialiśmy się.

– Ej, chyba tak.

Jest wzruszający. Jest prosty i dobry. Nie rozcina włosa na czworo. Ale ma cały  
respekt dla  
takich, co go rozcinają. Ten respekt wyraża się między innymi w pauzach,  
którymi, jak pamiętam  
z Fiuggi, punktował zawsze . w rozmowie wszystkie moje skrupulatności. Tak i  
teraz jeszcze  
stoimy chwilę w ciszy. Ale kiedy mija, budzi się Gianlorenzo z tej pauzy czy też  
ze swojej  
refleksji. Powraca zaraz do poprzedniego nastroju.

I Odwzajemnia mi uścisk. Ściska potem rękę Zosi.

– Dobrze, że państwo przyjechali. Chodźmy teraz, pokażę państwu refektarz, w  
którym

przyjmujemy naszych szczególniejszych gości. Państwo sobi« w nim trochę  
odpoczną, a ja

tymczasem coś przygotuję, bo to i pierwsza się zbliża, czas coś zjeść.

Przechodzimy z zakrystii do refektarza po schodkach. Jest to nieduża salka  
jadalna,

przypominająca jadalnię na małym probostwie. Stół, krzesła, bufecik zastawiony  
kryształami. Na

ścianach święte obrazki i kilka fotografii biskupów i opatów z dedykacjami dla  
ojców z

Sanktuarium. O. Gianlorenzo sadowi nas na krzeselkach i znika. Wstaję,  
przechadzam się po

salce. Przez okno widać pracujących murarzy. Są popačkani wapnem, ale kolorowi.  
Portki,

bluzy, mycki na głowach albo papaliny, wszystko różnobarwne. Gościnnie O.

Gianlorenzo wraca

po chwili, bo przypomniał sobie, że może chcielibyśmy się w oczekiwaniu na obiad



obmyć z  
potu i podróznego kurzu. Przyjmujemy propozycję.  
Z refektarza przechodzimy do toalety. Jest tam umywalnia. Ale rezerwuar do niej  
znajduje  
się za ścianą. Przy tym rezerwuarku staje Ciecici i z konewki leje wodę. Kurek  
przy umywalni nie  
ma zakrętki. Z Ciccim, lejącym wodę, trzeba się porozumiewać za pomocą pukania w  
ścianę.  
Sygnalizacja jest prosta. Puka się w ścianę raz, żeby się woda lała. Puka się  
parokrotnie, żeby  
ustała. Ten, co leje wodę z konewki, oczywiście przez ścianę nie widzi tego,  
który się myje. O.  
Gianlorenzo podkreśla ten ostatni element, ponieważ w klasztorach ważną rzeczą  
jest  
zachowanie całej przyzwoitości przy'myciu.  
Pierwsza myje się Zosia. Potem ja. Kiedy kończę, bierze mnie ochota, żeby  
jeszcze raz  
obejrzeć sobie obrazki w zakrystii. Otwieram drzwi, ale zatrzymuję się na  
schodkach, bo  
zakrystia nie jest pusta. W środku widzę Gianlorenza, którego otacza kilku  
mężczyzn. Są zgrzani  
i spoceni, tak jak my. Musieli świeżo przyjść z dołu. Cofam się. Wpadam na  
Cicciego, który  
skończywszy czynności kąpielowego biegnie do kuchni. Na widok Gianlorenza i  
otaczającej go  
grupy przystaje. Zdaje się, że i on nie może zrozumieć, o co chodzi, bo wszyscy  
mówią naraz i  
szybko. Ale widać, że sprawa jest ważna i ciekawa, bo po chwili otwiera się  
reszta drzwi do  
zakrystii; to znaczy te ze dworu i te z kościoła. W drzwiach ze dworu pokazują  
się głowy  
murarzy w kolorowych myckach i papalinach. W drzwiach z kościoła głowy różnych  
klasztornych braciszków i ojców. Z członków grupy wyróżniam wyraźnie dwóch.  
Jednego  
starszego, siwego, barczystego, o twarzy skłopotanej, i drugiego, młodego,  
czarniawego, o  
szczególnym wyrazie oczu, spłoszonych i wściekłych. Ci dwaj co kilkanaście  
sekund zwracają  
się ku sobie i z jednakową zaciętością i pasją wymieniają wciąż te same okrzyki.  
– E lutto nazionale! – krzyczy spłoszony i wściekły.  
– Ma che c'entra ii lutto! – krzyczy skłopo-tany.  
Po tych okrzykach następują fragmenty argumentacji i znowu, i znowu:  
– Ma e lutto nazionale!  
– Ma che centra ii lutto!  
Z fragmentów argumentacji i z wyjaśnień Cicciego rozumiem na razie tylko tyle,  
że ci ludzie  
to delegacja z miasteczka Piazza di Pen-tola. Patronem miasteczka jest św. Roch,  
którego święto  
przypada dzisiaj. Tymczasem z policji przyszedł nakaz zabraniający święta,  
ponieważ rząd w

związku ze śmiercią Piusa XII ogłosił trzydniową żałobę narodową.

– Ma che c'entra U lutto! – martwi się skło-potany siwy, barczysty delegat.

– To jest burmistrz z Piazza di Pentola! – tłumaczy Cieci. Nawet nie szeptem, bo w zakrystii

jest taki zgiełk, że moglibyśmy do siebie z Ciccim krzyczeć, a nikt by nie zwrócił uwagi.

– A ten drugi?

– U segretario democristiano.

Ale z dalszych objaśnień wynika, że burmistrz jest demochrześcijaninem. Spór więc jest

wewnątrzpartyjny i dotyczy, jak zinterpretować i jak się ustosunkować do nakazu policji.

Burmistrz twierdzi, że należy przejść nad nim do porządku dziennego, natomiast ii segretario jest

zdania, że należy mu się podporządkować.

I znowu więc:

– E lutto nazionale!

– Ma che c'entra ii lutto!

Sprawa o tyle nie jest prosta, że tradycyjny obchód św. Rocha w Piazza di Pentola ma trzy

fazy, z których ostatnia nosi charakter w znacznej mierze świecki. Po prostu ludzie jedzą i piją

zasiadłszy przy stołach porozstawianych na ulicach, a przygrywa im muzyka. W iestynie biorą

udział psy, na pamiątkę psa, co uratował życie świętemu, kiedy to święty, który życie swoje

poświęcił trędowatym, spostrzegłszy, że i on zapadł na tę chorobę, uszedł na miejsce odludne, by

tam umrzeć, nie zarażając nikogo. Ale święte jego plany pokrzyżował pies, który natrafiwszy w

odludnym miejscu na chorego człowieka sprowadził do niego pana. Ten wziął chorego do domu,

gdzie święty powrócił do zdrowia. Toteż teraz w dzień św. Rocha psom stawia się miski przy

stołach. Na pamiątkę choroby świętego i umiłowanych przez niego trędowatych zasiada też przy

każdym stole maskara. Twarz ma pomazaną na różne kolory i ubranie cudaczne i poszarpane.

Muzyka gra, psy się najadają, maskary stroją miny. Oczywiście więc, że ta ostatnia faza dnia

poświęconego św. Rochowi, faza polegająca głównie na wyżerce i wypitce, nie ma właściwie

charakteru sakralnego; ale bez niej nie może sobie żaden parafianin Piazza di Pen-tola wyobrazić

rzetelnego Rochowego święta, zwłaszcza że w jego odczuciu i to karmienie psów, i to figlowanie

z maskarami jest jakimś aktem liturgicznym i aktem hołdu w stosunku do świętego, którego by

nawet mogło dotknąć, gdyby dzień mu poświęcony zubożyć o te tradycyjnie wiążące się z jego

osobą elementy.

Problem łatwy nie jest ani dla przedstawiciela władzy wykonawczej, ani dla przedstawiciela

władzy ideologicznej, to znaczy dla segictaria.

Bo z jednej strony jest św. Roch, patron miasteczka, nabożeństwo i dwie procesje. Z drugiej

strony ta wieczorynka, która komplikuje sprawę. Nabożeństwo już się odbyło i pierwsza

procesja. Druga procesja ma się odbyć po południu, no i oczywiście wieczorynka.

Ze zgiełku

informacji, inwektyw i docinków wyłania się również, że w zasadzie istnieje co do wieczorynki

projekt rozwiązania kompromisowego, który nie zadowala nikogo.

– Ale co tu ma do rzeczy żałoba narodowa! – wrzeszczy po raz nie wiadomo który skłopotany burmistrz.

– A eksportacja!

Na godzinę trzecią po południu dzisiaj wyznaczona jest eksportacja zwłok Piusa XII z Castel

Gandolfo do Rzymu.

– Ma che c'entral – krzyczy burmistrz. – To ludzie dlatego nie mają zjeść?

– Niech więc jedzą, ale bez muzyki!

– Bez muzyki! – purpurowieje burmistrz. – I trzysta tysięcy lirów w błoto!

Nic znowu nie rozumiem. Ale to tak jest, kiedy się słucha dyskusji włoskich.

— Co to za trzysta tysięcy? – pytam Cicciego.

– Dla muzykantów z Bari!

– Sprowadzonych specjalnie?

– Specjalnie!

– Nie można ich zatrzymać?

– Ale trzeba by im dopłacić. Za każdy dzień biorą trzysta tysięcy. A komitet świętego nie ma

tyle pieniędzy.

W tym momencie jeden z przybyłych przypomina się ze swoim wnioskiem kompromisowym, który nie zadowala nikogo. Proponuje, żeby muzyka została i grała, ale same

rzeczy o zacięciu kościelnym albo nawet żałobnym.

– Pan chyba żartuje – oburza się burmistrz. – I co ludzie? Mają jeść przy takiej muzyce!

Segretario też jest przeciwny:

– Nie upilnuje się muzyki – mówi. – Będą nieprzyjemności.

Gianlorenzo stoi wśród tego rwetesu. Przyszli tu do niego jako do wysokiej instancji

duchowej. Jest superiorem ojców franciszkanów i raz po raz jeździ do Rzymu.

Miasteczko od

miesiąca przygotowuje się do swego święta. Może więc O. Gianlorenzo przypomni sobie jakiś

paragraf kanoniczny, który by uwzględniał podobną sytuację. A może nawet takiego kanonu nie

potrzeba, gdyż wystarczy sam rozsądek. Najpewniej taką nadzieję żywi burmistrz i trzej delegaci

z grupy, gdyż czwarty, ii segretario, jak wiadomo, stawia na niezłomność.

– Mnie samemu niemiło – mówi – ale żałoba to jest żałoba. Trzeba orkiestrę rozpuścić.

– A procesja? To święty ma wrócić do kościoła bez muzyki?

– Jaka znowu procesja? – pytam.

– Ta druga – mówi Ciecici.

Dowiaduję się teraz szczegółów o tej drugiej. Mianowicie po samym nabożeństwie procesjonalnie przenosi się figurę świętego z kościoła do kaplicy za miastem, kaplicy

wyobrażającej ustronne miejsce, które wybrał sobie święty na 59?

skonanie. Ta procesja jest cicha. Natomiast popołudniowa jest paradna i z muzyką, i to

radosną. Święty bowiem odnaleziony został i obecnie wiedzie go do swego domu gościnny i

miłosierny pan, który się zajmie jego kuracją.

Teraz, jak sądzę, wszystkie elementy sprawy wyszły na jaw. Wszystkie przesłanki potrzebne

do wyciągnięcia ostatecznego wniosku. O. Gianlorenzo stoi milczący i skupiony.

Zastanawiam

się, co można w tej sytuacji wykombinować. Na koniec Gianlorenzo orzeka:

– Bisogna parlare con i musicisti!

– Ja już z nimi mówiłem – powiada burmistrz.

– I ja również – dodaje drugi członek delegacji. – Nie chcą się zgodzić na nasze warunki.

– Zostawcie to mnie – uśmiecha się teraz pewien swego Gianlorenzo.

Przyglądam mu się. Wesołość wróciła na jego twarz, przed chwilą tak namarszczoną. Nie

ma, zdaje się, wątpliwości, że uda mu się namówić orkiestrę. Krakowskim targiem skłoni ich do

pozostania. Coś im bez wątpienia komitet świąteczny dorzuci. A resztę

Gianlorenzo wypłaci

muzykantom w pewnej walucie, walucie kościelnej przychylności. To waluta dla takiej orkiestry

wartościowa. A zresztą przyjąć ją wypada, gdyż nieprzyjęcie bywa w tym kraju nieraz rozumiane

jako jej zlekceważenie.

Głowy zakonników i braciszków z jednych drzwi, głowy murarzy w papalinach z drugich –

nikną. Zakrystia pustoszeje. Gianlorenzo woła Cicciego do kuchni. Ja wracam do Zosi, którą

zastaję w leżaku. Drugi leżak stoi obok, przygotowany dla mnie. To w

międzyczasie wykonano

polecenie O. Gianlorenzo, który pomyślał o nas, że zmęczymy się na krzeselkach, i przysłał

leżaki przez jednego z braciszków. Rozkładamy się i wypoczywamy. Jest cudownie.

Przez

otwarte okno napływają zapachy. Słysząc różne światekowania. Czuję się przyjemnie zmęczony.

Od czasu do czasu otwieram szeroko oczy na przeczyste niebieskie niebo. Otwieram zresztą

coraz rzadziej i w końcu, zdaje się, że nawet zasypiam. Śniadanie, które

przygotowuje nam O.  
Gianlorenzo przy pomocy Cicciego, jest wspaniale. Gościnność O. Gianlorenzo jest nienasycona i przy tym śniadaniu narasta z chwili na chwilę. Ciecici przynosi dymiącą misę pasłasciuty eon sugo. W tym momencie Gianlorenzo przypomina sobie o rybakach. Zrywa się od stołu i biegnie do pokoju obok, gdzie mieszka i gdzie ma podręczną spiżarnię. Zjawia się wnet z pudełkiem sardynek. Błagamy, żeby ich nie otwierał. Ale Ciecici już się do nich zabiera z kluczem, któremu pudełko nie chce się poddać. Ciecici szamocze się, z pudełkiem. O. Gianlorenzo szamocze się z pudełkiem. My szamoczemy się z Gianlorenzo i z Ciccim, tłumacząc, że wystarczy nam pastasciuta. Nic z tego. Gianlorenzo zapamiętały w gościnności nie chce nas słuchać. Ledwie otworzył sardynki, już biegnie z powrotem do swojej spiżarni, która okazuje się również piwnicą, i przynosi wino, zamieniając zwykle beczkowe, które Ciecici już postawił na stole, na inne, o wspaniałej etykietce i równym etykietce smaku. Jemy i pijemy. Po pastasciucie z sardynkami pojawia się na stole inna ryba. Tym razem nie z pudełka. Ale słodkowodna, tutejsza, przepyszna. Po rybie – sałatki. Po sałatkach normalnych – sałatka z kasztanów przyrządzonych metodą, o której wspominał Gianlorenzo w zakrystii, to znaczy z ociupinką czosnku. Następnie przychodzi kolej na sery. Potem na owoce. Więc gruszki i jabłka, figi, winogrona. A wreszcie na Irutta secca, to znaczy na orzechy, no i raz jeszcze na kasztany, tym razem na słodko. Po owocach O. Gianlorenzo zrywa się od stołu po raz ostatni. Wraca z szeregiem zakonnych likierów i nalewek. Zmusza nas do kosztowania wszystkich, a to po to, żartuje, żeby sobie wyrobić sąd, i to porównawczy, o poszczególnych regułach. Nareszcie ucztę kończy kawa. Ociężali wracamy na leżaki. Gianlorenzo nie idzie jednak do swego pokoju. Wraca do zajęć. Franciszkańska reguła zabrania mu, tak jak zresztą czynią i inne zakonne regulaminy, sjeisty po jedzeniu. Kiedy w godzinkę później budzę się, a i Zosia przeciera oczy, jest trzecia. Wstajemy z leżaków. Drzwi do pokoju O. Gianlorenzo są otwarte. Pokoik jest nieduży. Żelazne łóżko, stoliczek, krzesło, szafka na książki, szafka na rzeczy i większa z drzwiami również na oścież I o spiżarka. Z pokoju Gianlorenzo prowadzą dalsze drzwi na spory taras. Na tym

tarasie widzę  
również kilka leżaków. Ogarniam jednym rzutem oka to wszystko. Ale dopiero  
później, kiedy O.  
Gianlorenzo prowadzi mnie na ten taras, spostrzegam na nim jeszcze i klęcznik.  
O. Gianlorenzo  
wyjaśnia mi wówczas, że tu najchętniej się modli. Zwłaszcza wieczorem. Musi być  
wtedy na  
tarasie rzeczywiście bardzo pięknie w tym bezkresie światełek ziemskich i  
niebieskich. No i  
trochę straszno od widoku gór, kiedy w mroku nabiorą swego niedźwiedziowatego,  
mastodontowego wyglądu.  
Na razie jednak góry przedstawiają się pogodnie. Jest nam wesoło. Wypoczęliśmy.  
Zapachy i  
ptasie śpiewy oszałamiają nas. Schodzimy do zakrystii. Pusto tu. W kościele  
pusto.  
Przechodzimy przez kościół i zatrzymujemy się na placyku przed kościołem.  
Przeciągając się,  
niespiesznym krokiem podchodzi do nas biały kotek połasić się. Zosia bierze go  
na rękę, kot  
odsuwa główkę i wpatruje się w nią uważnie. Wydaje się, że rozważa, czy zna  
Zosię. Od gór  
napływa cisza. Taras, ten dolny, przed kościołem, ma kształt ogromnego kwadratu,  
od strony  
stoku okala go mur. Spad stoku jest ostry. Patrzę w dół, patrzę w dal. W dali, w  
dali na lewo –  
Piazza di Pentola, miasteczko spowite mgłą leciutką jak tiul, miasteczko  
pogrążone w strapieniu  
o swoje doroczne święto, które skomplikowało się.  
Bliżej, to znaczy pomiędzy Piazza di Pentola a Torchiati – szosa, którą  
przyjechaliśmy. Suną  
po niej żuczki samochodów. Ulicami Torchiati też przemykają się żuczki. Pomimo  
odległości da  
się również na ulicach i placach wyróżnić ludzi. Odległość sprowadza ich do  
mikroskopijnych  
rozmiarów. Niektórzy ruszają się. Inni stoją, zbici w grupki. Nie mogę się im  
napatrzeć, nie  
mogę się im nadziwić, że to takie małe. W obu rogach tarasu, tych od strony  
spadu, mur spiętrza  
się w rodzaj konch. W konchach mieszczą się święci. Dwie wielkie kamienne figury  
świętego  
Józefa i świętego Jana. Mają głowy lekko skłonięne w dół i też się patrzą w  
dolinę rozciągającą  
się u ich stóp, pełną zabudowań, ścieżek, dróg, zwierząt, samochodów. Muszą mieć  
za sobą  
dobrych paręset lat takiego stania, bo tu i ówdzie pokryci są pleśnią.  
Zjawia się Ciecici ze swoim nieodmiennym:  
– Eccolo il convento to vedono?  
A w chwilę po nim O. Gianlorenzo, roześmiany, że cały klasztor chodzi na palcach  
koło  
refektarza, myśląc, że my śpimy, a my tu. Wyjaśniamy, że zbudziliśmy się

niedawno. Po tych wyjaśnieniach ruszamy, żeby teraz wszystko zwiedzić dokładnie. Najpierw więc starą pierwotną kapliczkę, która robi na nas wielkie wrażenie. Przypomina sklep ze starzyzną, a częściowo antykwariat. Wota, te pierwsze, są tu wzruszająco proste. Kubrak, para chodaków, kij pasterski, fajka. Mnóstwo tego. Są i lepsze rzeczy: suknie ślubne, szale, męskie i damskie kapelusze, świecidełka, korale, tornistry, pałasze, kule, lampy, figurki porcelanowe. Czego tu w ogóle nie ma! Aż gęsto od tych różnych rzeczy. Na podłodze mnóstwo monet. Zbiera się je z ziemi tylko raz na rok, zgodnie z bardzo starym zarządzeniem Sw. Kongregacji Konsytorza, która musiała wtargnąć pomiędzy franciszkanów i potomków fundatora kaplicy i zawyrokować w sprawie obowiązków i praw wiążących się z utrzymaniem i dochodami z Sanktuarium. Wyrok odczytać sobie można z marmurowej tablicy, wmurowanej w zewnętrzną ścianę starego Sanktuarium. Zaczyna się ten wyrok-rozstrzygnięcie od słów: „Dubium an... et quibus conditioni-bus...” i kończy nazwiskiem ówczesnego szefa „konsystorialnej”, a mianowicie kardynała księcia d'Hohenlohe. Idziemy dalej. Zwiedzamy i oiestieię. Za nią rozciąga się łąka. Otacza ją półkolem lekko falujący teren porośnięty kasztanami. Na tej łące i pod tymi kasztanami rozsiadają się pospolici pielgrzymi. Obchodzimy naokoło lorestierię. To tutaj pracują murarze. Powiększają ją o nowe skrzydło z arkadami, o którym O. Gianlorenzo mówi, że będzie się zwało Casa del Pelegrino. Znowu biały kot Zosi, która schyla się po niego. A on, wzięty na ręce, w swój specjalny sposób odchyła głowę i wpatruje się w Zosię z całym skupieniem. Zaglądamy do gościnnych stajni i obór, teraz pustych. Następnie O. Gianlorenzo prowadzi nas przez podwórze w stronę kościoła. Przez wejście boczne, wąskimi schodkami dostajemy się do amfilady pokoiów z żelaznymi łózkami, prostymi stołami i stołkami, i umywalkami. Można by pomyśleć, że to jest część klasztoru, ale od Gianlorenzo dowiadujemy się, że jest to lorestieria wewnętrzna, przeznaczona dla letników. Da się w niej pomieścić z dziesięć rodzin. Na tym odludziu, bez szczególniejszych turystycznych po-Wdbów, spędzają one swoje skromne i podniosłe wakacje w pobliżu Sanktuarium. Czas przechodzi im na spacerach po

klasztornych

lasach, na leżakowaniu i na uczestniczeniu w życiu liturgicznym Sanktuarium. Słońce jest tu cudowne, powietrze przeczyste, cisza panuje niezmacona. Latem wszystkie

pokoje są zajęte. Są rodziny, które przyjeżdżają stale. Z Avellino, z Grottaminarda, z Benevento,

nawet z Campobasso. Na pierwszego września, to znaczy na początek szkół wracają ludzie do

swoich miast pokrzepieni na ciele i na duchu. Wracają z worami orzechów, suszonych grzybów,

jagód i różnego kwiatu, a także wiązkami najróżniejszych ziół leczniczych i do przypraw. Pokoje

pachną tym wszystkim i teraz, chociaż letnicy opuścili je przed paru tygodniami.

Po pokojach

krząta się Ciec i w zaafierowaniu przesuwają łóżka. Ze składziku wyciąga olbrzymie worki z

plastyku przeciw molom, wydobywając z tych worków koce. Nie chcemy przeszkadzać w tych,

jak się domyślamy, generalnych porządkach przed zimą i ruszamy korytarzem dalej.

Wiedzie on

nas do sali wąskiej i długiej, refektarza dla letników. Z niej schodkami wydostajemy się na taras

nad głównym portykiem prowadzącym do kościoła.

Przed nami dalekość. Ta sama dalekość, którą podziwialiśmy z dolnego tarasu przed

kościółem. Ta sama, tylko oglądana z większej wysokości. Widzimy mur, o który opieraliśmy się

patrząc w dół. Widzimy świętego Józefa i świętego Jana z góry, wpatrujących się w dół. Ich

postaci z tej perspektywy wydają się zgarbione. Figura świętego Józefa ma na ramieniu głęboką

smolną bliznę. To od pioruna, który uderzył w nią parę lat temu. Zabił wówczas pielgrzyma koło

tej figury i zabił jego konia. O. Gianlorenzo nie wie, dlaczego się tak stało.

Nikt nie wie. Bóg

jeden wie. Ten wie. O. Gianlorenzo nie ma co do tego wątpliwości. Człowieka, którego piorun

zabił, nał. Najlepszy nie był, ale i nie najgorszy; tak jak większość tutejszych ludzi. Do kościoła

chodził i spowiadał się dosyć re-ularnie. Do Sanktuarium też chodził i składał fiary. Po ludzku

sądząc, jeżeli gorsi od niego yją, należałoby się i jemu zwykła ludzka mierć, która by przyszła w

swoim czasie. Ale jak sprawa się przedstawia, jeżeli ją brać na udzki rozum.

Inaczej przedstawi

się wzięta na ozum boży, który zna wszystkie niewiadome, ysiące i tysiące niewiadomych, mówi

O. Gianlorenzo. Gdyby człowiek umiał sobie przedsta-ić ilość tych niewiadomych, przestałby się

nie-ednemu dziwić. Ale tego nie można nawet sobie yobrazić. Dlatego w takich



wypadkach naturalnym odruchem jest zdziwienie. Nie należy ednak się w nim zapamiętywać. A sposobem, aby zapanować nad swoim zdziwieniem, jest omyśleć, że jeżeli ogromu i zawłości przeszła-ek nie znamy, jakże nam nieufnie nastawiać się przeciw wyciągniętemu z nich wnioskowi. Lubię Gianlorenza, kiedy tak wykłada. Na początku w Fiuggi złościł mnie. Złościł mnie, że tak się obracał jak ślepy w swoich formułkach. Złościł mnie, kiedy recytował argumenty, zawsze apowiadając naprzód, ile ich będzie. Tyle a tyle, żeby dowieść takiej prawdy; tyle, i ani jednego argumentu więcej, ani jednego mniej, żeby dowieść innej. Złościł mnie, że niczego nie chciał szukać. Że wszystko miał za znalezione i skodyfikowane. Że do wszystkich tajemnic, problemów i antynomii odnosił się jak do eksponatów w gimnazjalnym gabinecie nauk przyrodniczych. Ale potem złość mi przeszła. Nadal na wszystko odpowiadał, tak jak go nakręcili. Nadal w głowie miał ten sam wieczny mechanizm zazębiających się kółek. Nabrałem jednak jakiegoś estetycznego stosunku do tego mechanizmu. A może po prostu jego lubiłem jako człowieka i ta sympatia promieniowała na mechanizm, chociaż nadal beznadziejnie było z nim dyskutować, tak jak z silnikiem czy zegarkiem. Ten pielgrzym, którego wraz z jego koniem zabił piorun, przyszedł do Sanktuarium z tysiącem innych ludzi w główny dzień błogosławienia zwierząt, to znaczy w kwietniowy poniedziałek in albis. 2 górnego tarasu widać drogę, która prowadzi od starego Sanktuarium do tarasu przed kościołem. O. Gianlorenzo wyjaśnia teraz dokładnie, jak się cała ceremonia toczy: oto powolutku procesję nadciągają pielgrzymi z ogromnego placu wokoło starego Sanktuarium: kto z koniem, kto z krową, kto z owcą. Doszedłszy przed kościół procesja rozdziela się na tyle strumieni, ilu jest zakonników błogosławiących. Za każdym z nich stoi ministrant z niewielkim miedzianym naczyniem, napełnionym poświęconym olejem. Pielgrzym ze swoim zwierzęciem zbliża się. Przystaje. Wtedy należy wypowiedzieć błogosławieństwo, a następnie na czole zwierzęcia nakreślić znak krzyża.

- Jak brzmi błogosławieństwo? – pytam.
- O Vergine Santissima, eon aletto di madre, non isdegnale lar discendere anche

su quesla

creatura irrazionale la vostra celeste benedi-zione .

– Jest to stara formuła?

– Bardzo. Nikt już nie wie, czyja.

O. Gianlorenro mówi następnie, że kto ma trzodę owiec, nie przyprowadza jej całej, tylko

kilka sztuk, coś w rodzaju delegacji. Toż dotyczy całości stajen czy obór. Nie ma zresztą na to

żadnych reguł. Jeden więc przychodzi z jedną owcą, inny z paroma. Nierzadko też pielgrzymi nie

przyprowadzają najśłabszych sztuk, ale właśnie przychodzą z najbardziej okazałymi. Co do

samego znaku krzyża nie ma reguły, żeby go kłaść na czole zwierzęcia. Owcom trudno go

położyć na czole, bo się kręcą, nie to co krowy, kładzie się więc go na runie, ot, gdzie popadnie.

Koniom też, a już z reguły ogierom kieśli się go na kłębach, ponieważ straszą się, gdy się do oczu

zbliżyć z pędzlem nasyconym olejem.

– Właśnie ten murek – pokazuje O. Gianlorenzo na zagadkowy murek, który zwrócił naszą

uwagę zaraz po przyjsciu -.- służv dla koni.

Pielgrzym podprowadza konia z jednej strony tego muru. Z drugiej stoi ojciec.

Inaczej koń

mógłby kopnąć.

i) Vergine... – Najświętsza Panno, z radością matczyną tacz też pobłogostawić z nieba i temu

nierozumnemu .stworzeniu.

– A pędzle, jakich się używa?

– Jakich kto chce. Też reguły nie ma. Może być i stary pędzel do golenia, bo specjalnych się

nie wyrabia. W każdym razie musi być mocny. Bo to idzie tych bydlątek, idzie! idzie! Czasem

wypada po pięćset na jednego błogosławiącego zakonnika. Musi więc być fest pędzel, żeby tyle

wytrzymał.

Po bokach dolnego tarasu, tego, który okala mur z narożnymi kamiennymi figurami świętego

Józefa i świętego Jana, rosną gigantyczne pinie. Mają pnie strzeliste jak sosna, z koronami jak

jodły; tylko że w olbrzymim wymiarze. Rzucają teraz wielkie cienie. Cienie pinii, cienie

świętych przecinają taras, a cienie koron kładą się na ścianach lorestierii i arkadach powstającej

Casa del Pelegrino. Późno się robi. Trzeba wracać.

Schodzimy do refektarza, gdzieśmy jedli obiad, żeby zabrać rzeczy. O.

Gianlorenzo

przygotował dla każdego z nas, no i dla włoskiego szofera, w podarunku po sporym woreczku

kasztanów. W zakrystii zatrzymuje nas. Znika, żeby po chwili pojawić się po

drugiej stronie lady,  
przy której stoją pielgrzymi, składając dary. Podnosi saracineskę okienka. Ręce  
ma pełne  
różnych pamiątek do wyboru: pocztówek, różańców, obrazków świętych, figurek,  
kubków i  
budzików z podobizną Madonny Ukoronowanej; kul kryształowych z reprodukcją  
cudownego  
obrazu; nożyków do przecinania papieru z oczkiem, w którym spojrzawszy pod  
światło zobaczyć  
można Sanktuarium. Gianlorenzo jest serdeczny i hojny. Nie chcemy go jednak  
obrabowywać.  
– Czy ojciec nie ma pamiątek ze zwierzętami? – pyta Zosia. – Sanktuarium jest  
poświęcone  
N. M. Pannie opiekunce zwierząt, chcielibyśmy pamiątkę ze zwierzętami.  
– Con le bestie – mówię.  
– Con le cieatuie inazionali – Zosia ucieka się do formuły bardziej grzecznej i  
bardziej  
teologicznej.  
Ale takiej pamiątki O. Gianlorenzo nie ma. Są w projekcie, lecz brak na nie  
imprimatur.  
Przypominam sobie to, co słyszałem w Rzymie o Kongregacji Rytów, że nie bardzo  
ona wie, co  
począć z różnymi prastarymi lokalnymi praktykami liturgicznymi, a ponieważ  
stłumić ich nie  
może, nakłada na nie surdyne. Może więc ten wzgląd tu wchodzi w grę, a może  
opory do  
sposobów reklamy. To są domysły. Nie chcę jednak prosić Gianlorenza o  
wyjaśnienie.  
Stanowczo już trzeba się nam żegnać. O. Gianlorenzo zapuszcza saracineskę.  
Dziękujemy  
sobie nawzajem. On nam za odwiedziny. My jemu za taką gościnność i taką  
serdeczność.  
Wychodzimy z zakrystii. Przy dużym Sanktuarium żegnamy się raz jeszcze. Mało co  
mówimy do  
siebie. Ale nie możemy się rozstać. Przy kapliczce, gdzie Incoronata cudownie  
ocaliła dziecko  
przed rozszalałym bykiem, rozstajemy się ostatecznie. O. Gianlorenzo nie rusza  
się z miejsca.  
Ale wnet za tą kapliczką jest ostry zakręt. I tak niknie on nam z oczu.  
Wraca z nami Ciecici. Niesie nasze kasztany Raz po raz schyla się i starannie  
wybrawszy  
podnosi z drogi co ładniejszy kasztan i upycha nasze worki. Zanim włoży,  
przygląda mu się,  
więc na pewno nie myli gatunków. Kasztanów jest tu bez liku. Wystarczy, że  
trochę zaszumi, już  
sypią się z drzew. A szumieć zaczyna coraz częściej, jak to pod wieczór w  
górach. Trochę nawet  
się robi szaro. Przy następnym zakosie jeszcze raz zwycięża światło dzienne.  
Przez przełęcz  
pomiędzy dwoma olbrzymimi, puszystymi wzgórzami przedostaje się jeszcze raz

wspaniałym,  
jasnym snopem, trochę tylko czerwonym. Przystajemy na chwilę. Z miejsca, gdzie  
jesteśmy,  
widać dużą część drogi łamiącej się w zakosy, którą będziemy schodzić.  
Trochę ruchu na drodze. Większość to ci, którzy schodzą. Przeważnie wracają ze  
zbiorów  
kasztanów, z osiołkami obciążonymi nieproporcjonalnym do ich wielkości  
brzemieniem.  
Osiołki stąpają delikatnie. Dwa czy trzy zakosy przed nami widać teraz wyraźnie  
jakiś szereg  
ludzi, który ciągnie pod górę. Kiedy wchodzę w strefę przedostającego się przez  
przełęcz  
czerwonego światła, nagle ten ludzki szereg zaczyna błyszczeć. Pobłyskuje tak  
i pobłyskuje.  
To orkiestra! Wchodzą na górę ze swoimi trębami, klarnetami, bębnami, mosiężnymi  
talerzami i  
czym tam jeszcze. To widać dla nich przygotowywał Ciesi w wewnętrznej  
loiesterii pokoje,  
żeby mieli gdzie się przytulić do zakończenia żałoby.  
Rzym, 12 października 58 r.  
Wczoraj wróciliśmy do Rzymu okrężną drogą, bo przez Foggię, S. Giovanni Rotondo,  
Pescarę i Avezzano. Rzym – w żałobie! Czarny od klepsydr, czarny od zarządzeń,  
oświadczeń,  
wezwań .w żałobnych obwódkach. Flagi państwowe, flagi obcych placówek, sztandary  
i  
chorągwie najróżniejszych organizacji i związków opuszczone do połowy drzewców.  
Parlament  
zamknięty i senat zamknięty. Przed ich gmachami, tak samo zresztą jak na placu  
Weneckim i  
przed Kwirynałem, paradne maszty ze złotymi orłami. Przygotowano je na przyjazd  
szacha  
perskiego. Wizyta jego została odłożona na nieco późniejszy termin, ale  
zdecydowano  
olbrzymich słupów nie demontować. Przewiązano je tylko czarnymi kokardami.  
Miasto, w ten sposób przyciemnione, huczy od plotek, niedyskrecji i  
nieoficjalnych relacji.  
Mam po kilkudniowej nieobecności kilka pilnych spraw do załatwienia. Ale od razu  
po pierwszej  
wizycie we włoskim MSZ i po pierwszym spotkaniu z S. w kawiarni widzę, że  
niczego nie  
popchnę naprzód. Jak powódź porywa mnie to powszechne gadanie. Każdy powtarza  
mi, co wie,  
co widział, co słyszał. Każdy ma kogoś w Watykanie, jakąś osobistość, która jest  
poinformowana  
o wszystkim najlepiej. Ja nie wiem nic, przyjechałem świeżo do Rzymu. Toteż  
nadaję się, żeby  
wpompowywać we mnie wiadomości, ponieważ nie przeszkadzam mówiącym i nie  
przerywam,  
żeby uplasować swoje trzy grosze.  
Rozumiem zresztą podniecenie moich rozmówców. Przez wieki życie Rzymu

koncentrowało się wokół jego papieży. Rodzina Sabaudzka czy Mussolini zmacili ten geometryczny układ. Ale przeminęli. Papież został i znowu stał się tym centrum. Władczy i ogarnięty namiętnością narzucenia się wyobraźni rzymian i wszystkich przybyszów zdawał się chwilami wypełniać to miasto ponad miarę. Może w swoim przekonaniu wyrównywał w pojęciach rzymian tę skazę, która w nich pozostała po całej epoce, kiedy Rzym był bicentryczny; bo i w ten sposób sobie tłumaczono dynamiczność Piusa XII. Może tak, a może inaczej. A może to właśnie, z dodatkiem innych, równie istotnych przyczyn. Ale tak czy owak, wyczuwa się w całym nastroju miasta, w napięciu ludzkim, że osiągnął cel, który sobie postawił. Admiratorzy jego czy przeciwnicy, oddani mu duszą i ciałem czy sceptycy, wszyscy są podenerwowani i przejęci. Od wszystkich słyszę tyle najróżniejszych rzeczy, ale wśród nich zawsze powtarza się jak refren jedno i to samo sformułowanie: pewna epoka się kończy. Początkowo próbuję pytać. Próbuję wydobyć jakieś sprecyzowanie. Wiem, że pontyfikat Piusa XII i sposób sprawowania przez niego władzy miał swoje specyficzności. Czy to o koniec tych specyficzności chodzi tym, którzy mówią o kresie pewnej epoki? O tę koncentryczno-centralistyczną jego władczość? Czy o ten mechanizm, automatycznie potem działający, mechanizm autodeifikacji własnej osoby? A może o rzeczy w innym rodzaju i w innej skali? O te formy polityczne czy społeczne, do których starał się przymuszać świat? Pytam tak, ale nie otrzymuję odpowiedzi. Orientuję się wtedy, że jest na wszelkie precyzowanie za wcześnie. Sam uderzający fakt tego kresu epoki narzuca się z taką siłą, że wszystkim sam ten nagi takt jako pożywka dla ich wrażliwości i dla ich umysłów całkowicie wystarcza. Ja czuję te rzeczy nieco inaczej. Ale i ja się nie bardzo zastanawiam, co to właściwie za epoka się kończy. Moja wyobraźnia jest pełna po brzegi wszystkiego, co wiem o chorobie i śmierci Piusa XII. Dla moich rozmówców są to już sprawy przegadane. Dziś żyją perypetiami następnych aktów. Jeżeli chodzi o dzień dzisiejszy, o plotki dnia, o niedyskrecje i informacje najaktualniejsze, dotyczą one tego nieopisanego zamieszania, które powstało w Castel Gandolfo i w Watykanie po śmierci. Pustka, którą Pius XII stworzył wokół siebie, pustka

wypełniona  
mnóstwem malutkich szarych eminencji, pustka wytworzona przez fakt vacatów na  
trzech  
najważniejszych w podobnym momencie stanowiskach, zablokowała sytuację na szereg  
godzin.  
Małe szare eminencje przestawały istnieć; one przecież niejako umierały wraz z  
Piusiem XII.  
Wielkich purpurowych eminencji, którym kanony odpowiednich konstytucji zalecają  
w takiej  
chwili pewne odwieczne działania, nie było, bo ich Pius XII nie zamianował. A  
więc nie było  
komu decydować w sytuacji bez precedensów. A tymczasem naglące sprawy piętrzyły  
się i  
szturmowały o decyzje. Nikt nic nie chciał decydować obawiając się  
odpowiedzialności albo  
tego, że kiedy wreszcie się rozstrzygnie, kto włada, to, co zostałyby zrobione,  
trzeba by odrabiać.  
Dopiero w dziesięć godzin po śmierci papieża sytuacja się wyklarowała na  
pierwszej generalnej  
kongregacji kardynałów. Na kongregacji tej kardynałowie wybrali camerlenga, to  
znaczy coś w  
rodzaju interrexa, w osobie kardynała Aloisi Masella. I sytuacja, z olbrzymim  
opóźnieniem,  
ruszyła z martwego punktu.  
Słucham o tym zamieszaniu, którego obraz poprzez mnóstwo relacji i szczegółów  
staje się  
co-rać pełniejszy. Rzeczywiście zamęt musiał być wielki. Myślę jednak głównie o  
dniach, które  
go poprzedziły. O dniach, które były przesłanką do tego zamętu. Przypominam  
sobie rozmowę z  
M., którą miałem w przeddzień naszego wyjazdu do Neapolu i Salerno, i do O.  
Gianlo-renzo.  
Tak jak zawsze M. wyrażał się o Piusie XII z mieszaniną podziwu i irytacji.  
Wiedział o tym, że  
od ostatnich dni września Pius XII czuł się źle. Wróciła czkawka, która go  
nękała w 54 r.  
Najbliższe otoczenie niepokoiło się, ale Pius XII nie chciał się nią  
zatroszczyć. Nie chciał o włos  
zmienić planu zajęć. A kiedy go nagabywano o czkawkę, odpowiadał: „Mówmy o czym  
innym”.  
Tkwił przy opracowywaniu swoich przemówień całymi godzinami. W ostatecznej  
redakcji  
przepisywał je na maszynie sam, bo się ich w ten sposób uczył na pamięć. W  
czwartek drugiego  
października wygłosił półgodzinne przemówienie po łacinie do seminarzystów  
amerykańskich,  
którym przewodził Spellman. W sobotę przemawiał do uczestników kongresu  
chirurgii  
plastycznej. Wreszcie w niedzielę, w przeddzień pierwszego ataku miał długą mowę  
do

międzynarodowego kongresu notariuszy. Mówił ze czterdzieści minut po francusku. Poza tym przyjmował ludzi na indywidualnych audiencjach. Ostatnim człowiekiem przyjętym na tego rodzaju audiencji był Alec Guinness, znakomity aktor angielski, który świeżo przeszedł na katolicyzm. Co parę dni wreszcie wielki zamkowy podwórzec Castel Gandolfo wypełniał się zwartą masą wiernych czy tylko ciekawych. Pius XII pojawiał się wtedy na balkonie i wypowiadał pod adresem przybyłych różnojęzyczne powitania. W ostatniej grupie, którą przyjął w niedzielę po południu, byli również uczestnicy wycieczki klubu inteligencji katolickiej z Polski.

A przecież poza tymi obcymi byli jeszcze swoi. Z roku na rok coraz ich było mniej. Z coraz mniejszą ilością ludzi Pius XII godził się pracować. Ale przez to pracy nie ubywało. Do ostatniej godziny życia trzymał w rękach ster swojej wszechwładzy. Ster, cugle i wszystkie nici. Ci, którzy z nim pracowali, upadali pod brzemieniem, które ich przygniatało. On jeden wytrzymywał wszystko. Kiedy pojawiali się u niego monsignoriowie Tardini czy Dell'Acqua, wieszono za nimi wózki z aktami. Pius XII chciał wszystko wiedzieć. Chciał decydować o wszystkim. Uczestnicy kongresu notariuszy, których przyjął w niedzielne przedpołudnie, powiadają, że zwłaszcza w końcowej partii przemówienia nie wszystkie słowa były zrozumiałe. Zamazywało je zmęczenie i walka z czkawką, a ściślej mówiąc ukrywanie tej czkawki. Pod koniec audiencji zaszedł też fakt, który ich zadziwił. Pius XII podniósł rękę, żeby wykonać znak krzyża. Ale go nie wykonał. Później, następnego dnia, było dla wszystkich jasne, że był to króciutki, zapowiedni moment afazji; ale w danej chwili nikt tego tak nie zinterpretował. Pius XII stał więc ze sztywną ręką o palcach nieruchomych. Wreszcie opuścił ją żegnając zebranych słowami: „Z Bogiem”.

Mimo takiego sygnału trwał w swoim uporze. Po południu wyszedł do grupy wiernych i turystów, o której wspominałem. Kiedy opuścili Castel Gandolfo, wyruszył na swój codzienny spacer. A powróciwszy ze spaceru zasiadł przy biurku. Pracował do późna. O doktorach nie chciał słyszeć. Domownicy powiadomili jednak przybocznego lekarza Piusa XII, profesora Riccar-do Galeazzi-Lisi, o tym, co zauważyli. Siostra Pasqualina zadzwoniła

również do Wenecji  
po profesora Gasbarrini, kardiologa, pod którego opieką pozostawał papież. Nie  
mogąc go  
znaleźć, połączyła się z kurią patriarchalną Wenecji. Kuria ze swojej strony,  
policja ze swojej  
poczęły szukać kardiologa po restauracjach, ponieważ ustalono, że umówił się z  
przyjaciółmi na  
obiad na miasto. Zatrzymano samolot, który o szesnastej odlatywał z Wenecji do  
Rzymu. Ale nie  
można było dłużej odwlekać, bo zbierała się mgła. Gęstniała i gęstniała. Tak że  
w końcu samolot  
odleciał bez Gasbarriniego. Profesor zdążył dopiero na pociąg i o północy  
znalazł się w Rzymie.  
Połączył się z Castel Gandolfo. Powiedziano mu: „Pius XII upiera się, że czuje  
się dobrze”.  
Zdecydowano ponowić próbę przełamania oporu tej jego przysłowiowej *santa*  
*testardaggine*  
następnego ranka.  
Był bowiem uparty i w sprawach swojego zdrowia. Pasjonował się medycyną. Do  
kongresów  
i konferencji medycznych wygłosił mnóstwo przemówień. Ponieważ przed każdym  
przemówieniem dokładnie studiował kwestie, obracał się w końcu w tej  
problematyce z dużą  
swobodą. Leczyć się jednak nigdy nie lubił; jako pacjent był zaprzeczeniem  
rozpieszczenia.  
Zdaje się również, że jeżeli jeszcze wytrzymał chorobę, nie znosił  
rekonwalescencji.  
Słyszałem raz na ten temat dziwne sformułowanie, a brzmiało ono, że „jako  
papież miał do niej  
wprost moralny wstręt”. Zdaje się, że wiązało się to u niego z pojęciem  
połowicznej,  
niepełnej aktywności, co uważał na swoim urzędzie za, chciałoby się powiedzieć,  
teologicznie  
niedopuszczalne. Podobnie nie wyobrażał sobie jakiegoś złagodzonego na skutek  
wieku reżymu  
pracy. Na taką rzecz nawet teoretycznie nie chciał się zgodzić. Na żaden  
półemerytalny stosunek  
do swego stanowiska. Zdaje się, że uznawał tylko dwie ewentualności: albo pełnia  
władz  
umysłowych i pełnia aktywności, albo śmierć. Oczywiście nie była to dyrektywa  
dla zwykłych  
śmiertelników, ale przesycona dumą dyrektywa na własny użytek, na indywidualny  
użytek  
namiestnika Boga na ziemi, zastępcy czy następcy Chrystusa. Tak więc jeśli już  
miał chorować,  
wolał chorobę gwałtowną, silną, jak najmniej rozwlekłą i mijającą bez śladu.  
Najwięcej miał  
serca do terapii chirurgicznych. Miał w ogóle pasję do chirurgów i lubił  
chirurgię. Odcinała ona  
chore od zdrowego w sposób zdecydowany i w ogóle szybka była w swoich



interwencjach. Jeśli jednak te sympatie w nikim nie budziły sprzeciwów, inna jego słabostka medyczna wprawiała nawet zwolenników Piusa XII w zakłopotanie. Myślę o jego słabości do różnych traktamentów hormonalnych i metod z przeszczepianiem żywych komórek. Miał do nich słabość, ponieważ wierzył, że utrzymają one jego władze umysłowe i fizyczne w pełnej kondycji. N. twierdził, że zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa pewnych metod. To znaczy z tego, że zmuszają one człowieka, który się im poddał, by żył z kapitału swoich sił niejako na awans. Ale właśnie w swoim indywidualnym wypadku uważał, że tak jest dobrze. Uważał, że winien być albo w pełni sił, albo winno go w ogóle nie być. To była jego bezapelacyjna alternatywa. Trzecie wyjście, poza pełnią i śmiercią, również uznawał teoretycznie, to znaczy ustąpienie. Może myślał o nim w ostatnich latach wojennych. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy i za dowód podają, że w konstytucji opracowywanej w tych latach i ogłoszonej już po wojnie uwzględnia taką ewentualność, pomijaną od setek lat przez innych papieży w podobnych dokumentach. Lecz jeżeli rzeczywiście rozważał ją sobie w tych gorzkich latach, chyba później nie brał jej pod rozwagę. Myślał już tylko o swoim trwaniu i jak najintensywniejszym działaniu. Było ono czymś zadziwiającym. Przemówienia z największym staraniem przygotowywane płynęły jedno za drugim, w pewnych okresach dzień po dniu. Sypały się encykliki; gigantyczne ora-cje beatyfikacyjne czy kanonizacyjne nie mniejszych rozmiarów; orędzia z okazji różnych okoliczności i świąt. Żaden papież nie wyniósł tylu osób na ołtarze, co on. Żaden nie wydał tylu encyklik. Żaden nie wypracował tylu przemówień. Dla kardynała Spellmana był pod tymi wszystkimi względami „papieżem – rekordomanem”. To jest fakt bezsporny. Sporny natomiast pozostawał dla ludzi obserwujących go, tak w kurii, jak i poza kurią, sam mechanizm tej rekordomanii. Niepokoila ona nawet pewne najbliższe mu osoby. Zastanawiała ta niemożność odprężenia się, wypoczynku, bezinteresownej refleksji. Ta bezlitosna konieczność na przemian wysnuwania z siebie najróżnorodniejszych nitek elokwencyjnych albo demonstrowania się. Człowiek ten wiecznie dłuwał coś przy swoim biurku albo pokazywał się; pokazywał się albo dłuwał. Używam umyślnie tego, może szokującego, słowa dłuwał, bo właśnie takiego określenia używał, mówiąc o Piusie XII, pewien człowiek mu

bliski. Dłubał tak,  
jak gdyby nie chciał podnieść oczu i popatrzeć powyżej tego dłubania. Pracował w  
ten sposób nie  
uznając wolnych dni ani wakacji, tak jakby bał się takiego czasu, w którym myśl  
człowieka  
odrywa się od określonego, konkretnego zadania. Jest to wrażenie, które  
zostawiał na wielu  
ludziach znających go bliżej. Z roku na rok się to też nasilało.  
Rzym, 13 października 58 r.  
W poniedziałek o godzinie piątej rano zbudził Piusa XII rozsadzający ból głowy.  
Miał  
jeszcze siłę zadzwonić. Pojawili się w jego małym, skromnym pokoiku domownicy:  
kamerdyner  
Mario Stoppa, siostra Pasqualina i prałat szambelan Nasalli Rocca di Corneliano.  
Papież był  
blady, spocony i oddychał ciężko. Po pół godzinie jednak zasnął i kiedy w  
godzinę później  
nadjechał do Castel Gandolfo jego lekarz domowy, stan Piusa XII wydawał się  
normalny. Chciał  
wstać jak zwykle; niecierpliwił się, że ma pilną pracę. Zgodził się tylko na to,  
że nie odprawi  
tego dnia mszy. Przyjął komunię z rąk O. Leibera. Zjadł swoje zwykłe  
skromniutkie śniadanie i o  
ósmej trzydzieści zasiadł przed biurkiem.  
Niektórzy jednak mówią, że atak przyszedł, kiedy właśnie kierował się do  
gabinetu, gdzie  
miał biurko. Tak czy owak, nagle podniósł rękę do oczu i zawołał: „Nie widzę,  
nic nie widzę!”.  
Omdlał zaraz, przeniesiono go na łóżko. Natychmiast ściągnięto profesora  
Gasbarriniego, który,  
czekając na wezwanie, nie powrócił do Wenecji. Ten wziął z sobą jeszcze innego  
profesora,  
również wielką znakomitość, Corelliego. Skonstatowali oni „zaburzenia krwiobiegu  
w mózgu na  
tle arteriosklerotycznym”. Zaburzenia wywołane jednak były nie pęknięciem, lecz  
skurczem  
naczyńka. Zrobiono odpowiednie zastrzyki celem zniesienia skurczu. Ściągnięto  
również z  
Rzymu słynnego urologa, profesora Min-gazziniego, obawiając się komplikacji  
nerkowych.  
Sprowadzono z najbliższego miasteczka, Rocca di Papa, bo w Castel Gandolfo jej  
nie było, butlę  
z tlenem.  
W zamieszaniu nikt nie spostrzegł młodziutkiej pary nowożeńców, chłopca w  
zakiecie i  
dziewczyny w welonie, krewnych kamerdynera Stoppy, którzy mieli umówioną  
audiencję u  
papieża bezpośrednio po ślubie. Ślub wzięli w pobliskim Frascati. Zajechali  
przed zamek  
papieski i pełni tremy zdążali przed siebie trzymając wielką, paradną, białą

przepustkę.

Zatrzymano ich dopiero na progu sypialni papieskiej. Od tej pary przedostały się do Rzymu, na

miasto, pierwsze wiadomości o chorobie papieża.

Jeśli chodzi o Watykan, dowiedział się on o chorobie od książąt Pacellich, do których

zadzwoiła siostra Pasqualina. Przekazali oni wiadomość, którą otrzymali od niej, kierownictwu

Sekretariatu Stanu. Ono z kolei zgodnie z obowiązującymi regułami powiadomiło o sytuacji

kardynała Micarę, wicedziekana kolegium kardynalskiego, którego w nieobecności samego

dziekana, Tisseranta, należało uważać za pierwszego kardynała kurii. Micara tego dnia sam też

czuł się źle. Bynajmniej nie zlekceważył informacji. Polecił przekazać ją iskrówką kardynałowi

Spellmanowi, który ze swoimi amerykańskimi pielgrzymami znajdował się już w drodze do

Nowego Jorku. Transatlantyk Olympia, o którym Spellman mówił: „pływająca katedra”,

ponieważ cały był zajęty przez pielgrzymkę i do tego miał na pokładzie kardynała, minął już

Azory. Otrzymawszy iskrówkę Spellman z tych Azorów ściągnął helikopter i następnego dnia

samolotem wrócił do Rzymu.

Kuria rzymska była w swoich reakcjach wolniejsza. Ale bo też jej kardynałowie nauczyli się

pod autokratycznym panowaniem Piusa XII niejednego. Między innymi tego, żeby bez papieskiego wezwania nie pchać się przed jego oblicze. On tego nie znosił. Nie że niecierpliwiał

się i wypraszał; ale przyjmował tych, których uznał za intruzów, kardynał to był, patriarcha,

arcybiskup czy metropolita, w sposób tak zabójczo chłodny, że odzwyczaiał w końcu ludzi od

zaskakiwania go wizytami. Nikt się też z wielkich hierarchów tego pierwszego dnia choroby

papieskiej nie przełamał. Nawet ostatniego namaszczenia, kiedy około dziesiątej rano sytuacja

wydawała się katastrofalna, nie udzielił papieżowi żaden kardynał czy biskup, tylko nie

zajmujący żadnego oficjalnego stanowiska jezuita O. Hentrlich.

Rodzina nie miała tych zahamowań. Kolejno przyjeżdżali książęta Carlo, Giulio i Marcantonio Pacelli. Mniej więcej w tym samym czasie pojawili się monsignorowie z

kierownictwa Sekretariatu Stanu: Tardini, DeH'Acqua, Samore, Grano. Wtedy też zatelefonował

z Nancy kardynał Tisserant, że za pół godziny odlatuje umyślnym samolotem do Rzymu.

Monsignorowie z Sekretariatu Stanu odetchnęli z ulgą. Nie tylko dlatego, że Tisserant był

energiczny, ale że miał w tym momencie konstytucyjne prawo działania. Sytuacja na skutek choroby nadal była arcy-smutna, ale z przyjazdem Tisseranta normalizowała się. Mijały godziny. Powoli poczęły się rodzić nieśmiałe nadzieje. Oddech chorego stawał się coraz równiejszy. Bładość twarzy ustępowała. Wreszcie o czwartej po południu przytomność powróciła. Papież począł się rozglądać po pokoju. Poznawać ludzi. Zdziwił się, że nie leży w swoim łóżku. Z polecenia lekarzy przeniesiono go bowiem na rodzaj dormeuse'y. Mógł leżeć na niej wysoko i lekarzom dzięki temu łatwiej było wykonywać zabiegi. Z niezmierną uprzejmością, w tonie wyrafinowanej kurtuazji, którą stosował do określonych kategorii, między innymi do doktorów, a także do osób zajmujących przy nim skromne stanowiska, zapytał, czy nie mógłby wrócić na swoje normalne łóżko. Lekarze wyrazili na to zgodę. Ponowiono badania. Skurcz ustępował. Serce pracowało w sposób wyśmienity. Niepokoiły nerki i trzeba było raz jeszcze ponowić zabieg, po którym chory poczuł się jeszcze lepiej. Ale dopiero koło ósmej wieczorem urolog Mingazzini mógł wreszcie uznać, że nerki pracują normalnie. Pożegnał się z papieżem; Gasbarrini i Corelli pożegnali się wcześniej. Wracali wszyscy spokojnie i bez tej asysty policyjnej po bokach, z tyłu i z przodu, która towarzyszyła im przez całe rano. Wszystko się normalizowało. Opuścili również zamek księżęta i większość monsignorów z Sekretariatu Stanu. Komunikat prasowy, który wieźli z sobą dla radia i dzienników, był uspokajający. Przed wyjazdem polecieli monsignorowi Nasalli Rocca di Corneliano, by przygotował księgę, do której mogłyby się wpisywać osobistości pytające o zdrowie papieża. Już bowiem z Włoch i ze świata poczęły napływać do Sekretariatu Stanu i do Castel Gandolfo depesze. Od następnego dnia należało oczekiwać protokolarnych wizyt. Noc zapadała. Papież przełknął trochę kolacji. Pogawędził z domownikami. Posłuchał swojej ulubionej muzyki z płyt. To znaczy tak jak zwykle: trochę Verdiego i trochę Beethovena. Około północy zasnął. Noc przespał spokojnie. Zbudził się osłabiony, ale zdrowiejący; tak się wszystkim wydawało. Wtorek więc, nieomal w całości, był dniem nadziei. Papież przyjął komunię z rąk O. Leibera. Zjadł śniadanie. Porozmawiał wesoło z lekarzami. Dell'Acquę zapytał, czy mu

przywiózł materiały z bibliotek do przemówienia, nad którym pracował. Chciał je przejrzeć, ale lekarze oparli się. Zainteresował się wtedy odwiedzinami i księgą wyłożoną do składania podpisów. Dowiedziawszy się, że przychodzą depesze od królów, królowych i prezydentów, napierał się, że sam zajmie się stylizacją odpowiedzi. Potem upierał się, że pobłogosławi tłumy, które gromadziły się przed zamkiem. „Przecież mógłbym, to tylko chwilka” – powtarzał. Ale lekarze i na to się nie zgodzili. Miał małą temperaturę. Trzydzieści siedem z kreskami. Za każdym razem, kiedy mu ją mierzono, przyglądał się bacznie słupkowi rtęci i mówił: „Widzicie, panowie, nic takiego”. Ale na koniec pogodził się ze swoim losem, to znaczy z tym, że musi pozostać beczynny. Obecny wydawało się, że może zrozumiał jeszcze więcej. Posmutniał bowiem i w pewnej chwili kazał sobie podać z biurka dużą, składaną teczkę, do której chował wszystkie papiery po pracy. Byli wtedy przy nim dwaj monsignorowie z Sekretariatu Stanu. Życzenie papieża zbudziło w nich przekonanie, że w tej teczce ma on również dokument, który przygotował na jakąś ostateczną ewentualność. To znaczy na śmierć czy na jakąś trwałą niemoc. Tymczasem przez plac wypełniony wiernymi, turystami, gapiami, jak również dziennikarzami, z wielkim trudem przebijały się samochody. Ogromne czarne limuzyny kardynałów, ambasadorów przy stolicy apostolskiej, włoskich ministrów. W paradnej Sali Halabardników, przytykającej do Sali Szwajcarów, gdzie wyłożono księgę, panował nastrój rautu. Złożywszy podpis, odwiedzający zatrzymywali się w tej sali. Towarzystwo było najświetniejsze. Można tu było spotkać wśród znakomości rzymskich pierwszej wody także i tych, którzy unikając światowego zgiełku nie pokazują się prawie nigdzie. Na placu dziennikarze polowali na maszyny. Było ich mnóstwo. Krążyli po placu z aparatami fotograficznymi. Niektórzy spędzili noc w Castel Gandolfo. Burmistrz pozwolił im korzystać z sal małego magistratu. Okna jednej z nich, a mianowicie sali rady miejskiej, wychodziły na facjatę zamku. Tu dziennikarze założyli główną kwaterę. Na dachach magistratu umocowano jeszcze wczoraj wielkie jupitery do zdjęć telewizyjnych. Naprzeciw iskrzyły się jupitery kroniki filmowej. Radio watykańskie ustawiło swoje wielkie wozy techniczne przy kościółku Sw.

Tomasza da Villanova. Ich obsługa oraz ojcowie--dziennikarze z tegoż radia spali i żywili się na probostwie. Dziennikarze świeccy założyli sobie biwak w magistracie, jedli, gdzie popadło, myli się też, jak Bóg zdarzył, nie gardząc fontanną pośrodku placyku przed zamkiem, której wody oblewają obelisk z tablicą ku czci Piusa XII, „obrońcy Caslel Gandollo w krytycznych momentach drugiej wojny światowej”. Krytyczne momenty to bombardowania alianckie, które papież starał się odwrócić od Castel Gandollo, a które tyle szkód sprawiły w innych okolicznych miejscowościach; jak również gościnność, której udzielał na rozległych terenach swojej willi mieszkańcom miasteczka w dniach decydującej ofensywy. Dziennikarze czatowali u wejścia do zamku. Wjazd do wnętrza zamykał łańcuch. Zdejmowano go dla każdego samochodu. Te chwile wykorzystywali reporterzy dla zrobienia fotografii. Ale i w innych punktach placu było ich pełno. Obsadzili też wejścia boczne: od strony Rocca di Papa i od strony Marino. Tym ostatnim nadjechali właśnie we dwójkę kardynał Siri z Genui i Lercaro z Bolonii. Nie chcieli robić koło swoje) wizyty żadnego hałasu. Stało się inaczej, ponieważ chwycił ich u wjazdu na teren parku tylko jeden fotoreporter, mógł więc za swoje zdjęcie żądać każdej ceny; podczas gdy za inne – za księcia d'Aosta z córką, za wielkiego namiestnika maltańczyków, księcia Paternó, czy za wysłannika Umberta II, margrabiego Lucifero, lub za profesora Niehansa (profesora od hormonów i żywych komórek, który leczył papieża w 54 roku, a potem poddawał go raz po raz różnym kuracjom), nie mówiąc już o zdjęciach kardynałów kurialnych – należało ceny stosować do mniej lub więcej obfitej podaży. Ponieważ tego ostatniego towaru było więcej, bogatsze agencje mniej się nim interesowały, żądając za to rzadkiego zdjęcia z Lercaro i Sirim. Stąd ich przyjazd był na ustach wszystkich dziennikarzy. Placyk, tak zwykle spokojna i szanująca się Piazza delia Liberta, stał się teraz giełdą również na niedyskrecje, informacje z pierwszej ręki, wiadomości pochodzące z kół zwykle dobrze poinformowanych, a wreszcie na zwyczajne, "aby tylko jako tako pomysłowe, plotki. Pieniły się one zresztą w sposób zatrwajający. Sprzyjała też im atmosfera pewnej niefrasobliwości. Zdaje się, że tego dnia, to znaczy we wtorek, zwłaszcza jeżeli chodzi o godziny ranne

i popołudniowe,  
jedynie lekarze, i to z wyłączeniem profesora Ga-leazzo-Lisi, zdawali sobie  
sprawę z powagi  
sytuacji. Wszyscy inni uważali, że kryzys minął, i czekali tylko na jakies  
efektywne  
potwierdzenie tej powszechnej diagnozy. Stąd to raz po raz kamery  
fotoreporterów, a także  
turystów, podnosiły się, koncentrując na tym czy innym oknie zamkowym, gdzie  
dostrzeżono  
ruch, w przypuszczeniu, że ukaże się za nim całkiem już ozdrowiały papież, Od  
czasu do czasu ta  
fala podnieconego optymizmu mąciła się gwałtownie. Oto na przykład ujrzano  
oficjalnego  
fotografa papieskiego, de Felici, że wchodzi do zamku w czerni. Zanim się  
wyjaśniło, że strój  
jego nie jest strojem żałobnym, ale przepisowym przy robieniu fotografii  
papieża, poszły już do  
Rzymu, no i z Rzymu na świat, alarmy. De Felici nie dostał się jednak do  
papieża. Dobrnął do  
antykamery, gdzie sfilmował siostrę papieża, donnę Elisabetę Pacelli, i kilku  
monsignorów;  
dano mu również sfilmować księgę oraz parę podpisów.  
Poza tym obfotografował raz jeszcze stiuki Berniniego i „Zdjęcie z Krzyża”  
Guerchina,  
jedyne arcydzieło zamkowe, setki razy zresztą reprodukowane, i z tym łupem  
opuścił zamek.  
Dziennikarze i przedstawiciele agencji obsko-czyli go, nie chciał z nimi  
traktować. Na jego  
zdjęcia czekały już dwa samoloty, jeden z Londynu, drugi z Nowego Jorku, oba  
przysłane przez  
telewizję: angielską i amerykańską, którym de Felici sprzedał swoje zdjęcia na  
wyłączność.  
Tymczasem w zamku debatowano nad zagadnieniem przewiezienia papieża do Rzymu.  
Parła  
do tego rodzina, a ściślej mówiąc bratankowie Piusa XII, trzej książęta Pacelli,  
oraz paru  
monsignorów z Sekretariatu Stanu. Monsignorom chodziło o to, że papież umierają  
w  
Watykanie. Umierali wprawdzie poza Watykanem, bo i w Kwiry-nale, ale wtedy kiedy  
Kwirynał  
był jeszcze papieski. Umierali również poza Rzymem: przyczyną tego jednak było  
zawsze jakies  
tło historyczne. A jeżeli nawet nie, to wypadki podobnych śmierci należały do  
epok  
zamierzchłych, do epok, które nie miały formuły papiestwa wypracowanej  
należycie, ponieważ  
w papieżach widziały ludzi doczesnych, podczas kiedy oni są zjawiskiem przede  
wszystkim  
mistycznym.  
Podług nowej formuły śmierć papieża jest apoteozą. Winna ona nastąpić w

Watykanie, w tym sercu chrześcijaństwa, tam winna nastąpić, jeżeli już ma nastąpić, a nie w Castel Gandolfo, niejako na bocznym torze; na domiar wszystkiego poza własną, papieską diecezją, która obejmuje tylko sam Rzym. Zdaje się, że podobnymi przesłankami w swoim rozumowaniu kierowali się książęta Pacelli, może tylko przekładając je na język mniej mistyczny, a bardziej protokolarny. A., z którym rozmawiałem o tej sprawie, twierdzi, że nie przewidywali szybkiego końca. Nie należeli do optymistów. Uważali tylko, że choroba potrwa długie tygodnie. Nie wierzyli, by papież mógł się z niej dźwignąć. Ponieważ lekarze opierali się stanowczo pomysłowi Pacellich i paru monsignorów, książę Car-to, najważniejszy z bratanków, zażądał, by rozstrzygnął to papież. Ale papieżowi nie można było postawić tego pytania tak, by nie błysnęła z niego okrutna prawda. Wyczuwało to z całą jasnością najbliższe otoczenie, Pasqualina i obaj ojcowie jezuici, Hentrich i Leiber, i chociaż przyjaźni książętom, absolutnie się oparli przed takim sondażem. Front jednolity tych osób wraz z profesorami sprawił, że projekt ostatecznie upadł. Być może, że zwolennicy tej myśli odstąpili od niej tymczasowo, licząc, że powrócą do projektu nazajutrz, ale już nie powrócili. Następnego ranka o godzinie siódmej trzydzieści przyszedł nowy atak. Przypominał atak poniedziałkowy; był jednak cięższy. Nie oczekiwano go, ponieważ papież noc przespał spokojnie. Alarm, który około dziesiątej wieczór poprzedniego dnia zaostrzył czujność dziennikarzy, jak się zdaje, nie był żadnym szczególnie niepokojącym faktem, uzasadniony. Uspokoiли się oni po pewnym czasie, widząc, jak kolejno opuszczają zamek dygnitarze i lekarze. Przy papieżu został tylko Galeazzi-Lisi, bratankowie i domownicy. Dziennikarze próbowali się dowiedzieć czegoś bezpośrednio z zamku. Poczta przez cały dzień montowała w malutkim urzędzie dodatkowe kabiny telefoniczne. Przybywało telewizji i wozów radiowych. Amerykanie, Niemcy, Anglicy, Francuzi, Belgowie zbierali teraz sami materiał, nie kupując go od Włochów czy od Watykanu. Radio watykańskie ojców jezuitów przeniosło zresztą swój park techniczny spod kościoła Św. Tomasza do środka zamku, a ściślej na podwórzec zamkowy. Kiedy się uchylała brama



zamkowa, widać byto ich wozy. Operatorzy i radio-kronikarze z konkurencyjnych sieci patrzyli na nie z zazdrością. Mitygowała tę zazdrość uprzejmość młodziutkich jezuitów z obsługi, którzy zajmując tak doskonale pozycje topograficzne i nic od nikogo nie potrzebując, bezinteresownie przychodzili z pomocą kolegom świeckim. Od nich to pochodziły różne drobne wiadomości, które agencje rozsyłały w świat. Już to, że papież tym razem słucha nie Beethoyena, lecz na przemian z Verdim Wagnera. Już to, że po wyjeździe profesorów, z którymi bardziej się liczył niż ze swoim lekarzem domowym, zażądał dzienników, obiecując, że przejrzy tylko pierwsze strony. Zajmował w nich wszędzie naczeln-e miejsce. Drugi atak rozwiął wszelkie nadzieje. Pius XII stracił przytomność, odzyskał ją po paru godzinach. Niecierpliwił się, pytał, kto był zamówiony tego dnia na audiencję, znowu prosił o dzienniki, kazał sobie podać teczkę z dokumentami, coś chciał z niej wyjąć i przekazać monsignoro-wi Dell'Acqua, na koniec jednak nic nie dał, zmęczył się i rzekł tylko: „To może później”. To były przedostatnie słowa, jakie wyrzekł. A ostatnie brzmiały: „Czy nie sprawiłbym kłopotu ojcu Leiberowi, prosząc go, by mi udzielił komunii świętej?” Ten ton wyszukanej kurtuazji był dla niego zwyczajny, kiedy zwracał się do swoich wieloletnich podwładnych, zwłaszcza gdy zajmowali niskie stanowisko hierarchiczne. Wnet potem omdlał i już komunii nie przyjął. Było to około jedenastej. Następnego dnia o świcie umarł. Przez te piętnaście godzin od chwili utraty przytomności do chwili zgonu niewiele się już wydarzyło, chociaż nie wszystko, co się wydarzyło, było na miejscu. W zamku nie władał już nikt. Dla siostry Pasqualiny i dla obu ojców jezuitów, dla tych trzech osób, z którymi nie rozstawał się co najmniej od czterdziestu lat, ze śmiercią, która nadchodziła, kończyło się wszystko. Odchodzili oni w cień. Jak powiedziałem: umierali razem z papieżem. Nie że tracili uprzywilejowane stanowisko szarych watykańskich eminencji. Pewnie, że i to ich mogło paraliżować. Ale przede wszystkim paraliżowało ich co innego. Zdumiewająca pustka i nicość, ku której zdążali, z godziny na godzinę bliżsi jej; pustka i nicość egzystencji za jednym zamachem pozbawionej wszystkiego, co stanowiło sens, cel i treść tej egzystencji. Ponoć

ostatnim przejawem władztwa siostry Pasqualiny był opór, który stawiała arcybiskupowi Mediolanu, Montiniemu, kiedy chciał wejść do pokoju, gdzie leżał papież. Nie lubili się oni nigdy i kiedy Pius XII oddalił go po kilkunastu latach najściślejszej współpracy w watykańskiej kurii, powszechnie przypisywano tę decyzję naciskowi Pasqualiny. Teraz nie chciała go wpuścić, zasłaniając się tym, co zostało ustalone z lekarzami, iż przed oblicze chorego, by go nie męczyć i nie prowokować wysiłku, nie będzie się wprowadzać obcych. Pius XII w swoim czasie rozstawał się z Montinim ciężko. Niewątpliwie więc Pasqualina miała rację, nie chcąc mu pozwolić na wejście do papieża, dla którego ujrzenie Montinie-go musiałoby być pewnego rodzaju wstrząsem. Ale jeśli prawdą jest, jak twierdzi S., że nie puszczając użyła w rozmowie z Montinim właśnie zwrotu: „żadnych obcych twarzy”, przesadziła. To był ostatni jej wybuch. Wszystko inne niepotrzebne, a nawet gorszące niektórych, nie było przez nikogo specjalnie chciane. Klimat tylko był taki, klimat kurii z mnóstwem nie obsadzanych urzędów doprowadzał chwilami stan rzeczy do ostatecznego bezhołwstwa. Kiedy wiadomość o drugim ataku papieża przedostała się na Piazza della Lettera, skoczył na nogi cały olbrzymi aparat prasowy. Skoczyła też temperatura w wyścigu tego aparatu o wiadomości. Syty on już był kardynałów, książąt, dygnitarzy, sław lekarskich i ministrów. Przez chwilę jupitery i kamery skupiły swoją uwagę na pewnych obyczajowych przemianach, które zachodziły na placu. Bary, tawerny i restauracje zwinęły wielkie kolorowe parasole, rozstawiona po chodnikach; ścigały też do wnętrza stoliki. Widać nie wypadło w atmosferze wytworzonej przez posępną wiadomość jeść sobie i pić na dworze. Kiedy się tego dziennikarze nafotografowali, spostrzegli ciągnące ku zamkowi ciężarówkę ze znakami watykańskimi, załadowane wielkimi kuframi. Podręczni rzeczoznawcy, różni dawni współpracownicy biur czy instytucji watykańskich, najczęściej zeświecczeni – bo i w takich rzeczoznawców najpoważniejsze agencje się zaopatrzyły – prędko rozpoznali się w tych kufrach. Nosiły monogramy kwatermistrzostwa gwardii pałacowej i gwardii szwajcarskiej; bez wątpienia wypełniały je galowe mundury. Z tych mundurów dziennikarze odczytali, że sytuacja w zamku musi być zła. I nagle wówczas raptem zadziałała sygnalizacja, obgadana oczywiście przedtem,

może nocą, a może poprzedniego dnia; obgadana i, rzecz prosta, opłacona, a polegająca na tym, że pewna osoba ze służby otworzy określone okno, kiedy papież umrze. Było to, jak się zdaje, okno korytarza przy sypialni papieskiej. Wychodziło na plac. Póki by papież żył, nikt by się go nie ważył otworzyć z obawy przed przeciągiem w pokoju chorego. W pewnym momencie ono się otwarło, bo właśnie chciano przewietrzyć pokój papieża, nie otwierając jednak okien wprost u niego. Przedstawiciele agencji odczytali ten sygnał po swoim. W godzinę i dwadzieścia minut później ukazały się na ulicach Rzymu dodatki nadzwyczajne. Doniosły one o śmierci Piusa XII. Nieprawda wydała się nieomal zaraz. Radio watykańskie sprostowało wiadomość. Prostowało ją, i to parę razy, radio włoskie na wszystkich falach. Na ulice wyruszyły też natychmiast oddziały policji, żeby konfiskować dodatki po kioskach i łapać gazeciarzy. Policja musiała ich zresztą bronić przed publicznością. A przecież ci byli rzeczywiście całkiem niewinni. Agencja nawaliła. Dzienniki też się nie popisały. Wydaje mi się również, że gdyby sobie ktoś przypomniał na czas, że Watykan posiada swoje biuro prasowe i swojego prasowego rzecznika, i przerzucił go z Rzymu na te dni do Castel Gandolfo, może by to było lepiej. A tak cały ten kolosalny aparat prasowy zdany był na siebie, na komunikaty lekarskie, które wychodzili czytać na plac lekarze; na koleżeńską młodzież ojczyków-jezuitów, którzy pokazywali się, kiedy chcieli; no i na najróżniejsze plotki, niedyskrecje i informacje, których, mając nawet najlepszą wolę, nie było gdzie sprawdzić. Zresztą nie o samo przypomnienie sobie o istnieniu tego biura prasowego szło. Nie na braku pamięci polegał kłopot. Nie było tylko komu wydać odpowiednich zarządzeń. Szczeble najwyższe w hierarchii kurialnej od lat nie były obsadzone. A jedynie te szczeble w obecnej sytuacji miałyby odpowiednie kompetencje i autorytet. To, co się działo, działo się samoczynnie. Miejsce rzecznika prasowego zajął radiokronikarz watykański, jezuita, ojciec Francesco Pelegrino. On teraz od czasu do czasu czytał komunikaty dziennikarzom. Był to człowiek pomysłowy i energiczny. Niewątpliwie radiokronikarz doświadczony. Nadto jednak gorliwy i bez wyczucia miary. Jeśli je nawet miał początkowo,

stracił je. Z upływem godzin jego aktywność nabierała akcentów coraz wątpliwszych. Nie wiadomo było, czego się właściwie słucha, komunikatów czy sprawozdania z jakichś zapasów.

Weisnął się ze swoim mikrofonem nieomalże na próg pokoju, w którym umierał papież, i wchodził w szczegóły terapeutyczne i fizjologiczne, sycąc nimi ciekawość niektórych, ale zarazem gorsząc większość. Papież leżał teraz znowu na dormeuse'ie, innej niż poprzednio, specjalnie dla niego wykonanej w porannych godzinach przez stolarzy watykańskich. Pozwalało mu to zająć pozycję, która ustawiała oddech. Temperatura podnosiła się z godziny na godzinę.

Puls pogarszał się. Oddech stawał się coraz cięższy i, aby przytoczyć choćby jedno z określeń O.

Pełgrino „coraz bardziej chrapliwy”. W pokoju modlono się. Przez pewien czas grano po

cichutku z płyt ulubione przez Piusa XII Beethovenowskie symfonie, drugą i szóstą. Domagali

się tego najbliżsi papieżowi, upierając się, że słyszy. Tak nie było, ale jest zrozumiałe, że

trzymali się kurczowo tej myśli. O północy muzykę przerwano, bo w kaplicy przylegającej do

pokoju, gdzie leżał, poczęto odprawiać msze. Jedną po drugiej msze pro iniitmo. Trzymało się

jeszcze tylko serce chorego, pomimo niezmiernie wysokiej temperatury, sięgającej czterdziestu

jeden stopni. W płucach powstały procesy zapalne, nerki wypowiedziały posłuszeństwo, członki

nie reagowały na bodźce. O. Pełgrino chodził od lekarza do lekarza, zbierając prognozy. Z

uwagi na nie naruszoną pracę serca profesorowie przypuszczali, że papież dożyje do rana. Umarł

jednak wcześniej.

Przez te ostatnie godziny na Piazza delia Libelta wrzało od ruchu i głosów.

Słyszałem od

dziennikarzy, którzy spędzili tę noc na placu, że była ona nie do zniesienia.

Przez tę śmierć za

murami, już teraz pewną, zapowiedzianą, a także przez poczucie, że jest się za kulisami jakiejś

olbrzymiej sceny. Z Watykanu nadchodziły nadal kufry za kufkami. Paramenty, stroje

pontyfikalne, paradne kapy, insygnia, łańcuchy przewozili monsignorowie z Kongregacji

Ceremoniału i z Kolegium Mistrzów Ceremonii Papieskich rozkładając je na kolanach. Z

przewiezieniem trzech trumien: ołowianej, mosiężnej i cyprysowej, jak tego wymagają przepisy,

czekano tylko na samą śmierć. Czekają również na ten moment wieko kryształowe,

które miało przykrywać zwłoki przy przewożeniu ich do Rzymu. Wszystko to czekało w warsztatach watykańskich, tylko wieko czekało w szklarni. Gdyby śmierć nastąpiła w Watykanie, nie oglądałby nikt tych przygotowań. Było w nich coś w najwyższym stopniu przejmującego. Niektórzy dziennikarze, tak słyszałem od pewnego angielskiego korespondenta, czuli się nimi zażenowani. Czuli się nie na miejscu. Czuli się jak ktoś, kto wtargnął do garderoby teatralnej nie zauważony, nie proszony. Ale oczywiście nikt się z placu nie ruszył. Trzymała dziennikarzy ciekawość, no i zawód, w którym popłaca taka ciekawość. Nie można mieć do nich o to pretensji. Ani do nich, że czując się tu nijako, przyglądali się, a nawet podglądali. Ani do monsignoiów z protokołu i ceremoniału nie można mieć pretensji, że tak przygotowywali wszystko na oczach ludzkich. Tak się to złożyło. Rzym, 14 października 58 r. Wczoraj tumulazione zwłok Piusa XII w kryptach Sw. Piotra. W godzinach kiedyśmy byli z Zosią u O. Gianlorenzo w Torchiati, zwłoki przewieziono z Castel Gandolfo do Rzymu. Przewieziono je w trumnie zapieczętowanej i starannie zabezpieczonej od dopływu powietrza, bo z zabalsamowaniem coś nie poszło. Żałuję, że będąc poza Rzymem, nie widziałem tej niezwyklej eksportacji. P. jednak twierdzi, że los mnie w tym wypadku szczególnie nie pokrzywdził. Tak mówiąc ma oczywiście widowiskową stronę eksportacji na myśli. Nie przeczy jednak, że dwa strumienie mnichów, zakonników, księży, że ta dwudziestotysięczna rzesza w komżach, kornetach, habitach – wygląda imponująco. Krzywi się na karawan. Nie podoba mu się, że wzięto go z Verano, z cmentarza, który po 1870 roku został Watykanowi odebrany i przekazany miastu. Uważa za gorszące, by papieża przewoził karawan miejskich zakładów pogrzebowych, a nie własny, papieski, watykański. Chociaż wie o tym, że państwo papieskie go nie posiada, sądzi, że było dosyć czasu, by którąś z paradnych landar z wozowni watykańskiej, na przykład olbrzymią landarę zapisaną Piusowi IX przez kardynała Bonapartego czy jakąś inną, odpowiednio przysposobić. Opowiada również o jakimś samochodzie sześciometrowej długości, ofiarowanym przez automobilklub mediolański Piusowi XI. Zachwyca się tym wozem, w kolorze

„dyskretnie purpurowym”, mającym zamiast tylnego siedzenia coś w rodzaju tronu. Z słów P. wynika, że ani Pius XI, ani Pius XII nie posługiwali się tym autem, nie dzieląc widać admiracji P. Był czas przerobić czy nie było czasu, kto to może ex post na pewno wiedzieć. Bardziej już wierzę natomiast, że monsignorowie od ceremoniału szukali innego wyjścia niż komunalny karawan. Ostatecznie zgodzili się nań, przybierając go jedynie od góry purpurową nadbudówką, zdobną w złociste amorki i tiarę. Ponieważ kondukt przeciągał terytorium włoskim, za karawanem szło tylko kilku wysokich urzędników z Sekretariatu Stanu oraz grupa mon-signorów z ceremoniału. Kardynałów było tylko dwu, Tisserant – dziekan, i Aloisi Masella – procamerlengo. Jechali w samochodzie. Za nimi w dalszych samochodach księżęta Pacelli i jeszcze trochę duchownych dygnitarzy. Natomiast świeckich włoskich jechało i szło mnóstwo. Na ich czele premier Fanfani, który prowadził oficjalną reprezentację. Przekroczywszy granice państwa watykańskiego, wchodząc zatem na plac Sw. Piotra, stawała się ona natomiast delegacją. Był to wynalazek monsignorów z watykańskiego ceremoniału, dzięki któremu znalazło się wyjście z sytuacji, podobno, protokolarnie biorąc, bardzo trudnej. Kondukt wyruszył z Castel Gandolfo o godzinie czternastej trzydzieści. Przekroczywszy bramę zamkową na Piazza delia Liberta, zatrzymał się. A raczej zatrzymał go proboszcz parafii Castel Gandolfo, ksiądz z kościoła Sw. Tomasza da Villanova. Okazało się, że ks. biskup Piętro Canisio van Lierde, tytularny zakrystian papieski, prowadzący kondukt, siedł bez krzyża. Ceremonierzy o nim zapomnieli. Proboszcz pobiegł do swego kościoła i pożyczył. Za miasteczkiem wszyscy wsiedli do samochodów i ruszyli ku Rzymowi przez via Appia Antica. Jechano pomału, około dwudziestu kilometrów na godzinę. Przed Ciampino zwolniono jeszcze na prośbę pasażerów tranzytowych różnych linii lotniczych. Władze portu lotniczego pozwoliły im na opuszczenie pomieszczeń, poza które normalnie nie wolno im się ruszyć. Pilnowali ich jednak karabinierzy. Koło Cinecitta wyległy na ulice tysiące starożytnych Rzymian w togach i półnagich barbarzyńców, aktorów i statystów z właśnie kręconej nowej wersji Ben Hura. Następnie

kondukt zatrzymał się przed Bazyliką La-teraneńską, która jest właściwym katedralnym kościołem biskupa Rzymu. Wnętrze kościoła przybrane było w purpurę i złoto, szafran, biel i fiolety z minimalną ilością czerni, bo tej nie stosuje się, grzebiąc papieży, by nazbyt nie podkreślać żałobnego charakteru ceremonii, która winna nosić w istocie cechy apoteozy. Wnętrze wypełniały dziesiątki aparatów do zdjęć telewizyjnych i filmowych, których obsługa nawoływała się w różnych językach, kiedy była niezadowolona z ustawienia albo też stwierdzała, że wszystko jest w porządku, jednakowym okrzykiem: okey! okey! Wreszcie prefekt ceremonii monsignor Enrico Dante ją uspokoił.

Sama ceremonia w Lateranie trwała krótko. Po ukończeniu jej opuszczano nad tronem papieskim pośrodku Bazyliki tak zwane celetto, czyli tak zwane podniebie, na znak osierocenia katedry. Kto w kondukcie nie pełnił określonych funkcji, a miał naturę nabożną czy ciekawą, podchodził do grobowca Sylwestra II, papieża roku tysięcznego. W tym momencie pogrzebowym od setek lat postument grobowca zwykł zgrzytać. Ale niczego nie dawało się ustalić. Panował zgłęb, chociaż Bazylika była prawie pusta, zgodnie z wolą Kongregacji Ceremoniału, która ograniczała ilość osób uczestniczących czy zaproszonych do kilkudziesięciu.

Przeszkadzało też echo.

Od Lateranu do Watykanu kondukt posuwał, się wolnusięńko, krok za krokiem. Dotarł na plac Sw. Piotra, kiedy już ciemniało. W przedsionku kościoła czekali na trumnę kardynałowie.

Wstawiono ją tu nie na ziemi, jak w Lateranie, ile na katafalku. Egzekwie nie potrwały długo, godzinie szóstej zamknęły się wszystkie drzwi Bazyliki. We wnętrzu zostali tylko oficerowie Apostolskiej Gwardii Szlacheckiej, którym Drzypadała warta przy katafalku.

Mówiono również, że zostali wówczas także profesor Galeazzi--Lisi oraz jego asystent Oreste Nuzzi. fnni utrzymują, że pojawili się oni w Bazylice w parę go-Izin później, zbudzeni w domu i wezwani pilnie do przybycia. Jeszcze inni twierdzą, że obie wersje są prawdziwe. To znaczy, że lekarze byli w Bazylice dwa razy.

Rzym, 15 października 58 r.

Secie Vacante to termin kanoniczny na okres od śmierci jednego papieża do wyboru następnego. Kościół starał się zawsze, by był jak najkrótszy, bo przez cały ten okres podstawowa

łączość ziemi z niebem jest zerwana. Łączy niebo z ziemią papież. Przez niego przemawia Duch Święty. Z tego względu papież jest nieomylny. Ze śmiercią papieża ten kabel mistyczny zostaje strzaskany. Dlatego też w Watykanie w tym okresie dzieć się winno tylko to, co najkonieczniejsze. Nie mogą być wprowadzane żadne zmiany. *Secie vacante nihil innovatur*. Aby to zapewnić, odpowiednie konstytucje od wieków wysilają się, by doprowadzić do doskonałości stan letargu, w który podówczas zapada Kościół. Ideałem byłoby, aby natychmiast ze śmiercią papieża wybierany zostawał jego następca. To jednak ze względów technicznych jest niemożliwe, ponieważ papieża wybierają kardynałowie rozsiani po całym świecie. Nim się zjawia, mija sporo czasu, sporo tego czasu, w którym mogą się kryć najróżniejsze niebezpieczeństwa. Omawia je najszczegółowsze rozporządzenie, dotyczące tego okresu, suma wszystkich podobnych zaleceń wydawanych przez różnych papieży. Jest to *Constitutio apostolica de sede apostolica vacante et de Romani pontificis electione* promulgowana przez Piusa XII w grudniu 1968 r. Konstytucja ta „w swoim majestacie apostolskim”, jak powiada jej autor, stara się poprzez setki przepisów, norm, obostrzeń zniweczyć niejako fizyczny czas feralnego okresu i sprawić, by nowo obrany papież przejął z rąk zmarłego ster władzy przez nikogo nie tknięty. Aby to zagwarantować, Pius XII nieomal wszystkich strąca z ich stanowisk w kurii na cały ten okres. Pustoszy kurię jak żaden z poprzednich papieży. Wszyscy są niczym. Prefekci i asesorowie kongregacji przestają być prefektami i asesorami. Biura wszystkich sekretariatów – Stanu, Breviów do Książąt i Listów Łacińskich – zamykają się. Z wielkich dygnitarzy kurialnych pozostaje na placu tylko Wielki Penitencjariusz dla odpuszczania grzechów, których odpuszczanie zawarowane jest dla papieży, i jeszcze paru pomniejszych. Z kolegów kurialnych działa tylko Kolegium Mistrzów Apostolskich Ceremonii. Nie tracą swej rangi kardynałowie, którym winien przewodzić kardynał camerlengo. Ale rola ich jest ograniczona żelaznymi rygorami *Constitutio*. Winni zadbać o zapieczętowanie apartamentów papieskich; dopatrzeć zabalsamowania zwłok i pogrzebania ich oraz ogłosić testament; uczynić wszystko, co należy, dla zabezpieczenia majątku stolicy apostolskiej; a po



uczynieniu tego wszystkiego – zebrać się i wybrać nowego papieża. Oto lista ich zadań, której pod żadnym warunkiem nie wolno im wzbogacić. P. twierdzi, że kiedy Pius XII dogorywał, kto żyw z dygnitarzy w kurii odświeżał sobie w pamięci tę Constitutio, żeby wiedzieć, co dalej i co się zachowało z jego dotychczasowych kompetencji. Wrażenie tego dokumentu musiało być wtedy zdumiewające. Drobiazgowo przepisy Constitutio trafiały bowiem w próżnię. Dokument mówił, że te czy inne winien wykonać kardynał camerlengo i tylko on, a takiego ca-merlenga nie było. Inne winien wykonać maggiordomo, a takiego też nie było, bo go papież nigdy nie zamianował. Coś było złośliwego w tej sytuacji, zwłaszcza jeżeli uprzytomnić sobie atmosferę kurii po rządach absolutnych i apodyktycznych, które odzwyczały ją od wszelkiej inicjatywy. Ledwie papież zmarł, a już powstał pierwszy kłopot. Należało oficjalnie skonstatować śmierć papieża. Od wieków czyni to camerlengo i Constitutio potwierdza mu ten posepny przywilej. Zdejmuje białą chustę, którą domownicy mają przykryć twarz zmarłego, i trzykrotnie uderzając srebrnym lub kościanym młoteczkim w jego czoło, wzywa go imieniem chrzestnym. Użycie w tym momencie imienia chrzestnego, nie ponty-fikalnego, jest przejmujące. Uczyniwszy to, camerlengo zwraca się do obecnych w prastarej formule, która zabrzmiałaby w tym wypadku: Vere Papa Pius XII moitus est\*. Nie wiadomo było, kto to ma uczynić w braku camerlenga. Teoretycznie winna o tym zdecydować kongregacja kardynałów. Ale zwołać ją można było dopiero po skonstatowaniu śmierci. W końcu kardynał Tisserant, dziekan kolegium kardynalskiego, zdecydował się stworzyć fakt dokonany, chociaż już w myśl Constitutio nie był dziekanem. Ale kiedy raz już się zdecydował, musiał brnąć dalej. Sporządzono odpowiedni akt notarialny. To było łatwe. Istniały wzory. Ale z opieczętowaniem apartamentów powstały trudności. Kiedy papież umiera w Watykanie, po ubraniu zwłok w szaty pontyfikalne przenosi się je do Kaplicy Sykstyńskiej. Apartament jest pusty. W wypadku Castel Gandolfo nie wiadomo jeszcze było, kiedy zwłoki opuszczą apartament zamkowy. Poza tym wciąż jeszcze roiło się watykańskim dygnitarzom, że Pius XII pozostawił jakieś dodatkowe rozporządzenia albo że komuś coś zwierzył niejako in articulo morlis, co wyklaruje sytuację, która pomimo śmiałości

Tisse-ranta wciąż jeszcze pozostawała zagmatwana. Poczęto przepytować domowników i  
zauszników: ponoć zmarły miał dać na przechowanie jakieś zapieczętowane koperty  
kardynałom  
Micarze czy też Canaliemu. Czekano na nich, bo po śmierci Vere... – Zaprawdę  
papież Pius XII  
umarł.  
papieża, zbudzeni, mieli zaraz nadjechać. Kopert jednak nie mieli.  
Z duszą na ramieniu, ponieważ nic łatwiejszego jak w takim wypadku narazić się  
na  
ekskomunikę ipso facto, i to najcięższą, której nawet samo Święte Oficjum zdjąć  
nie może,  
poczęto przeglądać papiery zmarłego. Są wśród nich owe słynne dokumenty  
zastrzeżone Pro  
Pontilice Maximo individualiter, salva excommunicationis pro aliis qui legunt  
extia pontilicem. A  
jakże było szukać, jakże się było zorientować, czy to te, czy inne, ani zdania z  
nich nie czytając.  
Na biurku papieża stała mała skrzynka z tabliczką: Secretum S. Ollicii. Kluczyk  
się znalazł.  
Zajrzano do niej. Nie znaleziono nic prócz niezwykłego w swoim pokornym tonie  
testamentu,  
niezwykłego również w swoim zewnętrznym wyglądzie. Papież napisał go na  
odwrotnej stronie  
używanej koperty. To było wszystko, co znaleziono. Testament wzięto. Resztę  
papierów oraz  
teczkę z papierami, którą miał przy łóżku, zgromadzono w biurku stojącym w  
gabinecie, gdzie  
zwykł pracować zmarły, i gabinet opieczętowano. Opieczętował Tisserant.  
Przez ten czas za Tisserantem snuł się Ga-leazzi-Lisi, żeby mu się dał zająć  
zwłokami  
zmarłego. Czynił on od pewnego czasu eksperymenty i propagował własną metodę  
balsamowania, wzorującą się na prastarym paleochrześcijańskim sposobie, który  
zwał  
aromatyzacją. Pierwsi chrześcijanie owijali swoich zmarłych w chusty nasyczone  
olejkami.  
Metoda profesora Galeazzi--Lisi przewidywała namaszczenie podobnymi olejkami  
zwłok oraz  
różne zastrzyki. Ponieważ tego roku październik był gorący, niektórym wydawało  
się, że  
słuszniejszy byłby powrót do tradycyjnej rzymskiej metody, stosowanej przy  
balsamowaniu  
papieży, przypominającej mumifikowa-nie. Usuwano wówczas wnętrzności  
umieszczając je w  
urnach. Był nawet kościół Sw. Sw. Anastazego i Wincentego, który miał przywilej  
przechowywania tych urn.  
Ale z nastaniem XX wieku porzucono tę metodę. Zwolennicy przypominali, bo w  
Watykanie  
wszystko się pamięta, że nie posłużono się nią nie dlatego, by uznano ją za  
barbarzyńską, lecz

dlatego, że ostatni papież umierali zimą, to znaczy na przykład w lutym, jak Pius XI, czy w styczniu, jak Benedykt XV. Z Piusem XII była teraz inna sprawa. Ale Galeazzi-Lisi wysuwał wówczas argument, że zmarły szczególnie się interesował jego metodą. Domownicy potwierdzali, że uznawał ją za piękną ze względu na jej paleo-chrześcijańskie początki. Kongregacja kardynałów miała się dopiero zebrać za parę godzin. Czas pilił Camerlengo, który i w tej sprawie miałby głos decydujący, nie istniał. Tisserant przystał. Teraz jednak mistrzowie ceremonii papieskich zastąpili profesorowi Galeazzi-Lisi drogę do zwłok. Nie o jego system im szło. Zawadzał im. Musieli papieża ubierać i zdążyć z tym, zanim zaczną się zjeżdżać wielcy tego świata, aby złożyć hołd zmarłemu i kondolencje kardynałom. Papieża przystrajał ubiór przepisany starożytnym ceremoniałem. Spoczywając w tym stroju na łożu śmiertelnym przypominał swoich średniowiecznych czy renesansowych poprzedników, głównie dzięki kapiszonowi z purpury obszytemu sobolami, którego noszenie za życia papieża porzucili dwieście lat temu, ale który się zachował do dziś jako ich przybranie głowy pośmiertne, i to tylko do czasu wystawienia zwłok na widok publiczny, kiedy to z woli ceremoniału głowę ich musi przystrajać złota infuła. Galeazzi-Lisi próbował przełamać opór mistrzów z apostolskiego kolegium. Przekonawszy się, że to się na nic nie przyda, poszedł raz jeszcze szukać ratunku do Tisseranta, ale tego już nie było w Castel Gandolfo. Wyjechał do Rzymu opieczętować apartament papieski w Watykanie. Towarzyszyła mu grupa osób, aby dokonać tych samych czynności, które dokonane zostały w gabinecie papieża. Jeżeli chodzi o samo pieczętowanie, było ono ułatwione przez fakt, że apartament stał pusty. Składał się on z dwudziestu pokojów, licząc w tym pomieszczenia służbowe, a więc również pokoje zajmowane przez siostrę Pasqualinę i trzy przydane jej do pomocy zakonniczki. Tisserant kazał ich skromne mienie spakować i wynieść. Po czym na wszystkich drzwiach wejściowych przystawił pieczęcie. Były one zgodne z przepisami poczwórne. Najpierw bowiem przymocowywano do drzwi woskiem dwa kawałki jedwabnego sznura, składając je na krzyż, następnie każdy z końców lakowano i wyciskano na nim pieczęcie. Czas upływał na tych czynnościach koniecznych i poszukiwaniach jałowych. Nie wyjaśniły one niczego. Należało sądzić, że żaden nowy element nie rozświetli położenia. Trzeba było

myśleć o kongregacji plenarnej i Tisserant, acz niechętnie,, umacniał się teraz z wolna w roli interrex. Ale kiedy po tylu aktach wszedł w nią, okazało się, że niektórzy z kardynałów, przebywający w Rzymie, nie uważają, by z sytuacji wytworzonej przez vacat na stanowisku camerlenga nie było wyjścia. Proponowali oni, by po prostu sami kardynałowie spośród swego grona wybrali camerlenga.

F. twierdzi, że myśl ta zrodziła się w łonie słynnej piątki kardynałów, którzy dotychczas trzęśli kurią. Jeden z nich był nawet kandydatem na to stanowisko, a mianowicie Ottaviani, zwłaszcza że piastował inne, o ludzaco podobnej nazwie, stanowisko camerlenga Collegium Kardynalskiego, podczas kiedy ten drugi, ten istotny, o którego chodziło, zwie się cameilengo Św. Kościoła Rzymskiego. Pierwsze stanowisko, acz skromne, jest ważne, chodzi w nim o zarządzanie majątnościami, należącymi wspólnie do wszystkich kardynałów, czyli do kardynalskiego kolegium. Drugie stanowisko natomiast jest olbrzymie, aczkolwiek za życia papieża pozbawione treści. Ale kiedy ten umiera, godność camerlenga Sw. Kościoła staje się pierwszą godnością w Watykanie, równą godności regenta w królestwach. Pomysł zamianowania camerlenga przez kardynałów z punktu widzenia Conslitutio był bardzo śmiały. Wiązała ona kardynałom ręce w drobiazgach, a cóż dopiero w takiej sprawie.

Przysięgali oni, że będą jej się trzymać inviolabilmente e perletamente, i zaraz z miejsca mieliby ją pogwałcić? Wprawdzie i w niej, jak to we wszystkich dokumentach prawniczych, nawet najświę-tobliwszych, były szczeliny, lecz czyż postać ca-merlenga-iegenta można było przez nie precyzyzować? Tak na przykład punkt G artykułu drugiego Conslitutio pozwalał kardynałom „zaaprobować również lub zamianować tych, których służby z jakiegokolwiek bądź powodu okazały się konieczne dla conclave". Nie było to rzeczą właściwą pod pojęcia „służby" i „jakiegokolwiek bądź powodu" podciągać camerlenga, ale zwolennicy obrania go przez kongregację przechodzili nad tym do porządku dziennego. Inny punkt Constitutio opowiadał, że in rebus gravioris mo-menli kardynałowie mogą podjąć odpowiednie decyzje. Litera tego punktu w zasadzie lepiej odpowiadała sytuacji, chociaż kontekst, w którym punkt był zamieszczony, z

nią się kłócił. Kontekst mówił o decyzjach zewnętrznych, politycznych. Ale ostatecznie punkt nie był do pogardzenia. Sama sprawa błaha nie była i bynajmniej nie czysto formalna. Oczywiście, że i prestiżowe kwestie wchodziły tu w grę, ale przede wszystkim konkretnie realne. Mając wprawdzie związane ręce Constitutio-interrex coś jednak znaczy. Zwłaszcza jeśli jest człowiekiem obrotnym i energicznym, jakim był Tisserant, który, o ile by się In rebus... – W rzeczach poważniejszych. wyjście z sytuacji nie znalazło, koniec końcem pełniłby funkcje regenta. Niechętni mu na wszystkie strony przewracali Constitutio, szukając jeszcze jakichś paragrafów. Przewracali ją sami, a także przy pomocy zaufanych monsigno-rów-prawników. Czas pilił, bo nie można było w nieskończoność odwlekać kongregacji. Zebrała się ona na koniec. Teraz mianowicie camerlenga zwyciężyło. Ci, którzy się przeciw temu wypowiedali, przeprowadzili, że nie będzie on pełnym camerlengo, lecz piocameilengo. Ale kiedy wybór padł na sympatycznego wszystkim Benedykta Aloisi Masella, biskupa Palestryny i Prefekta Kongregacji Sakramentów, owo pro wprędce odpadło i po dwudziestu czterech godzinach nie pozostało z tego prefiksu, nawet w najbardziej oficjalnych dokumentach, ani śladu. Zasmakowawszy w tym mianowaniu kardynałowie wybrali również na tej samej kongregacji sekretarza Sw. Kolegium w osobie monsignora Alberta di Jorio, podporządkowując mu ad interin wszystkie kongregacje, biura i urzędy watykańskie. Zanim załatwiono najpilniejsze sprawy, a przede wszystkim przejrano akta i nominacje opatrzone podpisem Piusa XII – które jednak winny być ogłoszone, nim zmarły papież spocznie w grotach watykańskich, w przeciwnym razie się dezaktualizują – upłynęło sporo czasu. Posegregowano je, kierując nominacje do Ossorvatore Romano, a dokumenty o charakterze rzeczowym do Acta Apostolicae Sedis, z poleceniem natychmiastowego opublikowania, i posiedzenie zamknięto. Przez ten czas w Castel Gandolfo zamieszanie sięgało szczytów. Gorszyły się nim nazajutrz pisma, nawet te w sprawach watykańskich zawsze dyskretne. Z boleścią przypominały ów renesansowy czy poreformacyjny, a nawet późniejszy, carnevale della canaglia, szalejący po ulicach Rzymu na wieść o śmierci papieża, śmierci, która pociągnęła za sobą

upadek jego nepo-  
tów i w ogóle otaczającej go kamaryli. Rabowano wówczas pałace tych, co się  
skończyli, i pito  
na umór oblewając i tę śmierć, i ten upadek, i ten rabunek. Nic podobnego się  
nie zdarzyło w  
Castel Gandolio; a jeśli się nawet kto cieszył z różnych upadków, to ani w tej  
formie, ani tak  
zaraz. Dzienniki więc przesadzały. Po prostu zapanował nieporządek, co prawda  
szalony.  
Zarządzenia krzyżowały się.  
To wpuszczano wszystkich, to nie wpuszczano nikogo przez bramę zamkową.  
Ambasadora  
japońskiego tak zaklinowano, że musieli go karabinierzy włoscy podawać papieskim  
szwajcarom  
górną ponad głowami tłumu. W pokoju zmarłego, dusznym od mocnych i kłiwych  
olejków  
profesora Galeazzi-Lisi, który nie mogąc się dostać do ciała zmarłego skrapiał  
nimi szaty  
papieskie, mdleli gwardziści, którzy tu stali jeszcze z nocy, ponieważ  
zapomniano ich zluźnić.  
Grupa najbliższych zmarłemu zdolna była tylko się modlić. Siostra Pasqualina do  
niczego się już  
nie chciała mieszać prócz tego, by przebrać papieża ze stroju pośmiertnego o  
purpurowym  
kapturze w strój pontyfikalny, w którym miał być pogrzebany. Czekwała tylko na  
to, aby opuścić  
Castel Gandolio.  
W wielkiej Sali Szwajcarów przyjmowali goście monsignorowie z Kolegium Mistrzów  
Ceremonii. Goście wpisywali się do tej samej księgi, do której już raz się  
wpisywali, to znaczy  
do księgi przeznaczonej na życzenia powrotu do zdrowia. Podobno Hindus się w tym  
spozstrzegł,  
ambasador Sonha Mehta Mohan, i cofnął się przed złożeniem podpisu, zasłaniając  
się przepisami  
swojej liturgii czy religii, nie wiem, czy buddyjskiej, czy bramińskiej, które  
nie pozwalały mu  
łączyć w jedno „księgi żywych i księgi zmarłych”. Natychmiast wyłożono nową  
księgę;  
niezależnie bowiem od poglądów wschodnich liturgii czy religii, zabrania  
podobnych połączeń  
dyplomatyczny protokół. Kiedy karabinierzy opanowali sytuację na placu i tłumy  
ustawiły się w  
kolejkę, raptem zamknięto bramy ze względu na to, że Kwirynał zapowiedział  
przyjazd  
Gronchiego. Ale ponieważ kongregacja nie skończyła obrad, Aloisi Masella i  
Tisserant nie mogli  
zaraz przybyć, żeby przyjąć prezydenta tak, jak tego wymagała jego ranga; więc  
bramę otwarto.  
Po jej zamknięciu szereg się rozpadł, kiedy ją znowu otworzono, tłum poirytowany  
tymi

ciągłymi zmianami ruszył szturmem. Składał on się wyłącznie z wiernych, z dużym procentem siostrzyczek, zakonnic, mnichów i księży. Ci zresztą czuli się szczególnie pokrzywdzeni, nie pojmując, jakie mogą być przyczyny, żeby do zamku nie puszczają duchownych, którzy w zgodzie ze swoimi obowiązkami i przywilejami pragnęli złożyć hołd swemu zmarłemu najwyższemu pasterzowi. Ale ci, chociaż się oburzali, niecierpliwili, mogli czekać. Czekać nie mogli dziennikarze. Całe chmary ich kłębiły się przed zamkiem. Kiedy za łańcuchami odgradzającymi piazzę od podwórza zamkowego pojawiał się uczynny O. Pe-legrino, niedawny speaker i radiokronikarz agonii papieskiej, dziennikarze próbowali zwrócić na siebie uwagę, potrząsając w powietrzu wzniesionymi aparatami fotograficznymi. Uczynny jezuita wybierał wtedy jednego czy dwóch na chybił trafił, i zaleciwszy zostawić w kordegardzie aparaty u Szwajcarów, brał ich na górę. Szli z nim na drugie piętro, majestatycznymi, olbrzymimi schodami, a następnie amfiladą salonów aż na próg pokoju, gdzie leżał zmarły. Po drodze trzeba się było dziesiątki razy zatrzymać dla przepuszczenia różnych osobistości i towarzyszących im małych orszaków. Tak samo się trzeba było zatrzymać po odejściu od progu. W kordegardzie odszukanie aparatów ciągnęło się w nieskończoność, bo już Szwajcarzy byli inni. Nawet więc ci dziennikarze, którym udało się dotrzeć na górę, wracali niezadowoleni. Rzym, 16 października 58 r. Byliśmy wczoraj na kolacji u państwa R. Usłyszawszy, że wracamy do Polski, zapowiedzieli, że musimy się teraz często widywać, i zaprosili nas na wieczór. Lubimy ich, są mili, serdeczni i inteligentni. Mieszkają przy ulicy Gregorlana. Z ich okien widać Piazza di Spagna i spory kawałek cudownych schodów wiodących z placu do kościoła Trinita dei Monti. Widać też prześlicznie oświetlone tarasy luksusowego hotelu Hasslera, który był skromnym zajazdem przed stu trzydziestu laty, kiedy się w nim zatrzymywał Stendhal, uparty i nie mający rozgłosu pisarz. Kolacje u R. są zawsze świetne. Ciągną się tylko za długo. Do stołu też się zasiada, jak na moje zamiłowania, trochę za późno, bo o dziewiątej. Głowa też puchnie od tego, co się u nich słyszy. Ściągają ludzi ciekawych i gadatliwych, którzy, zgodnie z tutejszym obyczajem, mówią

wszyscy naraz. Na szczęście wczoraj wszyscy mówili o jednym i tym samym. O nieszczęsnej sprawie profesora Galeazzi-Lisi. Mówi o niej zresztą cały Rzym. Chodzi o to, że się podjął zabalsamowania i że się ono nie udało. Państwo R. są katolikami, ale nie miota nimi mistycyzm. Są dumni z tego, że w Rzymie mieści się Watykan, „najstarsza instytucja kulturalna świata”, i do nieszczęsnego zabalsamowania odnoszą się jak do gafy. Monsignore M., Francuz, którego u B. widziałem, jak był w Rzymie prezydent Coty, oburza się na byłego przybocznego lekarza papieskiego! ciska złośliwości umyślnie niecelnie; tak by godziły nie tylko w samego profesora, ale w podłoże, na którym wybujała jego osoba. Naprawdę cierpi tylko G., wielki świecki teolog, który do Piusa XII odnosił się z weneracją. Jego wiara jest po średniowiecznemu niesłychanie uczona i zarazem żarliwie naiwna. Przez cały wieczór nie zabiera głosu, ponury i obolały. Dopiero po wyjściu Francuza użala się. Nie tylko na to zabalsamowanie, ale i radio watykańskie, że odarło śmierć świętego człowieka z całego uduchowienia. Najwięcej ze wszystkich mówi stary C, świetny dziennikarz, który dziś rano przyleciał samolotem z Turynu, żeby być na konferencji prasowej, zwołanej przez profesora Galeazzi-Lisi i dr Oreste Nuzzi. Był na tej konferencji, która trwała trzy godziny, i zna dobrze stronę faktyczną. Nie gorszy się, a kiedy gorszą się inni, na przykład któreś z państwa R., wzrusza ramionami. Ale stosunek jego do całej sprawy bynajmniej nie jest chłodny. Opowiadając zwraca się raz po raz w moją stronę. Jestem cudzoziemcem. Mam pytać i prosić o dodatkowe wyjaśnienie, jeśli czegoś nie rozumiem. Oczywiście Francuz nie jest tutaj cudzoziemcem, ponieważ jest monsignorem. Nie pytam o nic, by nie przerywać. Nie potrzebuję zresztą. Stary, wrażliwy na każdego ze słuchaczy C. sam opatruje swoją relację przypisami, gdzie trzeba. Dowiaduję się z nich dużo o samym Galeazzim-Lisim. O jego początkach na dworze papieskim. O tym, że Pius XII ściągnął go sam do Watykanu, nie znanego, żadnych specjalnych uzdolnień nie przejawiającego okulistę. Przypadek sprawił, że kazał go wezwać, kiedy stłukł rękę, potknąwszy się na progu Kaplicy Sykstyńskiej podczas conc/ave, z którego wyszedł papieżem. Tak samo jak przedtem przypadek sprawił, że się z Galeazzim-Lisim zetknął. Nie był



wówczas nawet kardynałem. Na ulicy R55  
ujrzał wywieszkę okulisty, a że potrzebował się poradzić lekarza co do okularów,  
czy je  
zmienić na silniejsze, wszedł.  
W następnych latach może raz, może dwa razy go odwiedził. Po conclave uczynił z  
niego  
swego przybocznego lekarza. Czemu okulistę, do tego miernego, nie sposób pojąć.  
Zawsze był  
dziwny, kiedy szło o wybór ludzi, z którymi miał się częściej stykać. Nie  
znosił, by mu kogoś  
podsuwano. Nie chciał mieć przy sobie nikogo, kto by taki awans zawdzięczał  
innym; tak samo  
jak nikogo nie chciał po nikim dziedziczyć. Za to sam wybrawszy osobę,  
przyzwyczajął się do  
niej tak dalece, że można było nawet sądzić, że się do niej przywiązał. W ten  
sposób doktor Ga-  
leazzi-Lisi spędził u boku Piusa XII dziewiętnaście lat. Obrósł w honory.  
Piastował różne urzędy  
i na paradach papieskich pokazywał się w coraz to innych mundurach. Zasiadał w  
Apostolskiej  
Akademii Nauk w towarzystwie różnych matadorów nauki, a nawet laureatów Nobla.  
Okulistą  
nie stał się lepszym. Przerzucił się na terapię hormonową i inne odmładzające  
kuracje. Pieniądzy  
nie miał. Stanowisko w Watykanie nie daje bowiem pieniędzy, daje szansę.  
Galeazzi-Lisi  
spróbował ją wyzyskać, powołując do życia różne sanatoria dla starców z wielkiej  
finansjery,  
przemysłu czy arystokracji. Nic na tym nie zyskał, natomiast pieniądze stracili  
inni. Wtenczas  
zainteresował się tą aromatyzacją, będącą odmianą balsamowania. Zdaje się, że  
wciągnął go do  
tego doktor Oreste Nuzzi.  
Jest prawdą, że przeprowadzał różne eksperymenty w Rzymie i u Nuzziego w  
Neapolu. Tak  
samo jak, zdaje się, jest prawdą, że doszedł w tej nowej dla siebie dziedzinie  
do rezultatów. Na  
konferencji prasowej nie chciał się wypowiedzieć, dlaczego się nią  
zainteresował. Pytanie padło  
pod koniec zebrania, kiedy zapanowała atmosfera nieznośna. Ktoś mruknął, że  
zainteresował się  
tak samo, jak przedtem zainteresował się hormonami. Ktoś inny na głos  
powiedział, że ponieważ  
w okulistyce Galeazzi-Lisi ma przed sobą długą listę lepszych od siebie, szukał  
więc dziedziny,  
w której byłby pierwszym. Ale i to mu się nie udało. Co do zarzutu, że z pewnym  
określonym celem uczył się balsamowania, nie jest on miażdżący, aczkolwiek w  
takiej  
przyczynie studiów tkwi coś nieprzyjemnego.  
Jeszcze nieprzyjemniejsze, że rozmawiał z Piusiem XII o tym balsamowaniu, z

człowiekiem,  
który oddał mu się pod opiekę jako lekarzowi, sondował go jak gdyby z  
premedytacją, żeby się  
potem na tę rozmowę powołać. Taktowne to nie było ani ludzkie. Pewnie, że  
nielekkko musiało  
być chwilami temu lichemu doktorowi, obarczonemu wspaniałym tytułem papieskiego  
archiatry,  
przybocznego lekarza, pozbawionemu praktyki, któremu i na terenie watykańskim  
raz po raz  
sprzed nosa porywali wszystkie laury inni ratując Piusa XII, ilekroć prawdziwie  
zapadł na  
zdrowiu. Nawet po kuracji Niehansa, przeprowadzonej na Piusie XII przed czterema  
laty, było o  
szwajcarskim specjaliście i o jego metodach hormonoterapii sto razy głośniejsze na  
świecie niż o  
tylolelnych próbach Galeazziego czynionych przedtem i potem. Pozostało mu tylko  
to  
balsamowanie. Czepił się go. Zapewnił sobie przychylność papieża. Na konferencji  
prasowej  
bronił się niesłychanie umiejętnie. Może tam i kogo przekonał. Ale na takich jak  
G. nie znajdzie  
rady. Oni nadal będą pozostawać pełni żalu.  
Mówił C, że jeszcze jedno robiło nieprzyjemne wrażenie na tej konferencji.  
Przypierany do  
muru pytaniami o nową technikę balsamowania Galeazzi-Lisi wciąż zasłaniał się  
sekretem. W  
sytuacji dla siebie krytycznej – i szczerze dramatycznej dla wielu osób na sali  
– pamiętał o tym,  
żeby się nie zdradzić z metody, której jeszcze nie opatentował. Żonglował danymi  
his-  
torycznymi, mistycznymi i teologicznymi, bronił się pogrzebowymi obyczajami  
pierwszych  
chrześcijan, z rzadka tylko ryzykując wypady na tereny chemii czy medycyny.  
Cytatami z  
ewangelistów dowodził, że Chrystus został zabalsamowany w sposób „zbliżony do  
praktyki  
stosowanej przez rosyjskiego Worobiewa, z którego doświadczeń korzysta się  
obecnie na  
Kremlu”.  
Nie tracił kontenansu atakowany coraz sarka-stycznie. Na sali było kilku  
dziennikarzy o  
wykształceniu lekarskim, którzy zdecydowanie zamienili lancet na pióro, ale coś  
niecoś pamiętali  
jeszcze z dawnego fachu. Galeazzi-Lisi wywijał im się jak piskorz. Prawił o  
olejkach, balsamach,  
maściach i substancjach o wielkiej energii osmo-tycznej, które raz wprowadzone  
do żył, czy też  
zastosowane zewnętrznie, balsamują i aromatyzują ciało automatycznie. Nie mogąc  
nic więcej od  
watykańskiego lekarza wydobyć, wspomniani dziennikarze-lekarze machnęli ręką.

Jedno im  
musiał przyznać, co do tego zresztą nikt w Rzymie nie miał wątpliwości, że jego  
metoda w  
wypadku papieża nie dała spodziewanych rezultatów.  
Przyznawszy to w końcu, Galeazzi-Lisi powołał się na okoliczności łagodzące.  
Wybuchnęły  
one z niego niepowstrzymanym strumieniem. Poskarżył się naprzód na te  
nieszczęsne godziny, w  
których się nie mógł doprosić o decyzję; potem na to, że uzyskawszy ją, nie mógł  
jej wprowadzić  
w czyn, ponieważ papież przed opuszczeniem Castel Gandolfo był przebierany  
trzykrotnie.  
Robił, co mógł. Ale jeśli chodzi o skrapia- nie olejkami i balsamami, musiał o  
każdą kroplę  
walczyć z mistrzami ceremonii i siostrzyczkami, gdyż substancje plamiły stroje.  
Kiedy zmarłego  
przeniesiono do Sali Szwajcarów, skierowano nań światło jupiterów. To światło  
wielusetświe-  
cowe dokonywało spustoszeń. Oba dni, które papież przeleżał w Castel Gandolfo,  
były zresztą i  
bez tych światłał gorące. Temperaturę podnosiły również tłumy ludzkie. Otwierano  
okna,  
wietrzono salę, co także wpływało na procesy rozkładowe przyspieszająco.  
Przypominał wciąż, że dopiero po dwunastu godzinach od zgonu mógł przystąpić  
poważnie  
do swojego dzieła. Dano mu wtedy godzinę czasu, chociaż zażądał trzech. Potem  
miał parę  
nocnych godzin dla siebie. Ale coś nie szło, bo następnego dnia, to znaczy w  
dzień eksportacji,  
zauważywszy, że twarz papieża uległa zmianom, obrzmiała i w plamach, zrozumiano,  
że o  
transportowaniu go pod przygotowanym już kryształowym wiekiem nie może być mowy.  
Nie  
mogło też być mowy o wystawieniu go, starożytnym zwyczajem, w Kaplicy Sw.  
Sakramentu  
Bazyliki Sw. Piotra, ze stopami przy kracie kaplicy, tak aby przesuwający się  
wierni mogli je  
ucłować.  
Ponieważ metoda profesora Galeazzi-Lisi wymagała, by zwłoki pozostawały możliwie  
długo  
w jednakowej temperaturze i w zamkniętym pomieszczeniu, nasyconym eterycznymi  
substancjami, wewnętrzną trumnę cyprysową, w której wieziono Piusa XII,  
hermetycznie  
zalakowano. W Bazylice Sw. Piotra zdjęto lak. Zdaje się, że wstrząsy drogi i  
wysoka temperatura  
dnia zniweczyły do reszty pozytywne rezultaty zabiegów profesora. Pracował on  
przez kilka  
godzin i zdawało mu się, że coś działał. Z dwudziestu czterech świec u trumny  
miały się na  
żądanie profesora palić tylko narożne cztery. W Bazylice panował chłód, noc

również  
zapowiadała się chłodna. Sądzić również wolno, że zmysły lekarza od olejków i  
maści silnie  
pachnących były znieczulone. Galeazzi-Lisi wrócił do domu uspokojony. Zbudzono  
go o  
czwartej rano, kiedy dwu kadetów szlacheckiej gwardii pałacowej, pełniących  
wartę, zemdlało.  
Była to sobota. Przez ten dzień, potem przez niedzielę i przez poniedziałek rano  
zwłoki w  
Bazylice wystawiono możliwie wysoko. Świece rozmieszczono tak, aby wierni  
musieli katafalk  
możliwie jak najdalej obchodzić. Przyczyny tego stały się od razu wiadome.  
Ciekawsi  
przypatrywali się badawczo, prości wierni – z boleścią rysom zmarłego, notując  
zniekształcenia  
w linii i kolorze. Na wspomnianej konferencji Galeazzi-Lisi zapewniał, że ani  
on, ani Nuzzi  
żadnych zabiegów kosmetycznych na zmarłym nie dokonywali. Plotka mówi inaczej.  
Być może  
zresztą, że jeżeli jedni widzieli twarz szarą, inni kredową, a jeszcze inni  
lekko różową, była to  
sprawa światła albo normalnych zabiegów, które lekarze na twarzy ponawiali,  
ilekroć drzwi  
Bazyliki się zamykały.  
Stary C. kończy swoje opowiadanie. Mon-signor Francuz wychodzi. W salonie panuje  
atmosfera ciężka. Nawet gdyby kto je znalazł, nie mógłby tu powiedzieć słowa na  
obronę  
profesora Galeazzi-Lisi. Cóż z tego, że mu przeszkadzano, że żar na zwłoki lał  
się z jupiterów, że  
zmarłego przebierano i że trumna w drodze z Castel Gandolio do Sw. Piotra  
narażona była na  
wstrząsy. Czy tego nie można było przewidzieć? Podobnie jak wszystkich wymogów  
ceremoniału i liturgii, które nie pozwalały okryć zwłok całunem nasyconym  
olejkami i okrywszy  
tak oddzielić na zawsze od świata żywych? Atmosfera w salonie staje się coraz  
bardziej ponura.  
Nastrój pani R. przypomina mi nastrój pani Chochłakow, a nastrój G. – nastrój  
Aloszy po śmierci  
starca Zosimy, kiedy rozeszła się wieść o zaduchu. Ale to nie jest u nich  
wewnętrzny protest  
przeciwko naturalnemu procesowi, którego się w tym wypadku nie spodziewali.  
Padają z ich ust  
gorzkie słowa nie tylko pod adresem profesora Galeazzi-Lisi. Sami już właściwie  
nie wiedzą, na  
kogo są źli.  
Rzym, 17 października 58 r.  
U Sw. Piotra przez dziewięć dni uroczyste msze żałobne za papieża. Celebrują je  
wielcy  
dygnitarze kurii, a ostatnie celebrować będą kardynałowie. Celebrują je zgodnie  
ze starą tradycją

w Kaplicy Sw. Sakramentów, gdzie ostatecznie spoczął papież. Przy innych ołtarzach msze pomniejsze, ale niemal wszystkie za duszę papieża. Na środę wyznaczono główną uroczystość pogrzebową. Zjazd jest wielki. Katolickie domy królewskie delegują następców tronu. Królewskie domy protestanckie – marszałków dworu. Republiki – ministrów spraw zagranicznych. Nawet Ameryka przysłała Sekretarza Stanu, Dullesa, co w kurii komentuje się jako ostatni wielki sukces polityki zmarłego. Zjeżdżają też zagraniczni kardynałowie. W Osservatore Romano, skoncentrowanym dotychczas wyłącznie na papieżu, pełno fotografii kardynałów. Są teraz najważniejsi. Pisma codzienne i ilustrowane tygodniki też wypełniają całe strony ich zdjęciami. Sympatyczny książę L. z włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który dał mi książeczkę swego stryja o Watykanie, gorszy się, że pur-puraci wszędzie mają wyraz twarzy pogodny, jeżeli się wręcz nie uśmiechają. Dodaje filozoficznie: – Cest la vie! – Cest la mottl – mówię. Rzeczywiście, uśmiechają się albo mają miny zaaferowane. Myślę, że uśmiechają się w obiektyw, bo to jest u nich zawodowe. Zaaferowani zaś są niesłychanie. Zbliża się conc/ave. Udział w nim jest to najważniejszy ich przywilej i obowiązek. Przygotowują się do niego spotykając się i naradzając. Prasa jest pełna plotek na ten temat. Na mieście i w Watykanie ludzie jednak bardziej zajmują się tym, który odszedł. Kiedy zmarł Pius XI, biura kurii rozbrzmiewały okrzykiem: via i milanesi! Precz z mediolańczykami!, których papież Ratti, mediolańczyk, jeżeli nie z urodzenia, to z licznych innych danych biografii, nasprowadzał do Rzymu. Po śmierci Piusa XII nie wiadomo było, przeciw komu krzyżeć. Przeciw pięciu kardynałom „pentagonu” dlatego tylko, że papież godził się ich od czasu do czasu widywać, a innych w ogóle nie? Przeciw paru siedemdziesięcioletnim jezuitom, nie piastującym żadnych godności, i przeciw starej zakonnicy tylko dlatego, że się do nich zmarły przywiązał jako do domowników? Byłoby grubą przesadą przeciw nim krzyżeć. Nie było więc przeciw komu, a krzyżeć ludziom kurii na pewno mocniej się chciało niż po śmierci Rattiego. Najchętniej krzyzeliby przeciw pustce, którą wokół siebie wytworzył. Ale pustka to abstrakcja. Jakże przeciw niej krzyżeć. Krzychało się tedy po śmierci Piusa XI via i milanesi, ale z conclave wyszedł

papieżem Pa-  
celli, którego sobie na następcę upatrzył Ratti i za życia lansował, jak mógł.  
Teraz nic takiego nie  
zajdzie. Pius XII nikogo sobie nie upatrzył.  
Nic pozytywnego pod tym względem nie uczyniwszy, negatywnie zaciążył nad  
przyszłym  
con-clave. Przede wszystkim nie mianując arcybiskupa Mediolanu Montiniego –  
kardynałem,  
tego Montiniego, uważanego za taką samą gwiazdę, jaką był w swoim czasie  
Pacelli, któremu  
jednak Pius XI nie zagroził drogi do tiary. Dla kurii Montini był kandydaturą  
tak doskonałą, tak  
zdawałoby się nieuniknioną, że przez pierwsze dni wciąż liczono się z jego  
pośmiertną  
nominacją.  
Nie było jej. Do kompletu kolegium brakowało zresztą mnóstwo kardynałów. W kurii  
mon-  
signorowie nad tym ubolewali, rozumiejąc, że conclaviści będą mieli ciężki, bo  
mały wybór. W  
stosunku do zmarłego nastroje nie były najlepsze. Wyraziły się one też na  
pierwszej kongregacji.  
Wybrano na camerlenga kardynała, który stronił od Piusa XII i ze swego pałacyku  
przy ulicy  
delia Scrofa czynił jak najradsze wypadki do Watykanu. Tak twierdzi P. i dodaje,  
że wybór  
monsignora de Jorio na sekretarza kolegium miał akcenty jeszcze bardziej anty-  
pacelliańskie.  
Papież Pacelli nie lubił go i ze szczególnym uporem odsuwał się od tego  
monsignora.  
Rzym, 18 października 58 r.  
Czy książęta Carlo, Giulio i Marcantonio Pacelli ostaną się na swoich  
stanowiskach w  
Watykanie, to w Rzymie pasjonuje wszystkich. Jeśli tak, ostaną się na  
stanowiskach prezesów i  
członków rad nadzorczych całego mnóstwa prywatnych i państwowych kolosów  
przemysłowych  
i finansowych. Jeśli nie, urwą się im ich olbrzymie dochody. Książę Giulio nie  
płacił od nich  
podatków, ponieważ był ambasadorem państewka Costa Rica przy Watykanie. Przez  
sześć lat  
kuria dusiła rząd włoski o-tę ulgę, aż na koniec w osobie ministra finansów  
Andreottiego znalazła  
uległą duszę. Gorszyli się wszyscy, bo Giulio odtąd nie płacił nawet podatków od  
swoich  
zarobków adwokackich. Costa Rica nie przeciążała go. Oprócz rozległych  
interesów, prowadził  
na terenie Rzymu normalną kancelarię. Urwie się to teraz czy nie urwie.  
W kurii nie lubiano nepotów. Ubolewano, że odżywa w nich zły obyczaj renesansowy  
i  
refor-macyjny, skompromitowany przez historię, i wydawało się odłożony do

lamusa. Nie lubiano ich również, bo byli dumni i nie starali się o względy kurii. Ciekawe też, że sam papież trzymał ich z dala od siebie. Nie mieli łatwego wstępu na jego pokoje. Raz na rok w dzień swoich imienin gromadził u siebie całą rodzinę. Urządzał rodzaj podwieczorku, czekoladę roznosiły siostrzyczki. Papież na tych imieninach rozmawiał przeważnie z dziećmi. Ale chłodny i utrzymujący dystans, nie przeszkadzał nepotom w robieniu fortuny. Sam jako Pacelli niewiele posiadał, wszystkiego dwa parohektarowe folwarki z winnicami i gajami oliwek; kiedy został papieżem, nadal utrzymał ich własność. Nepotowie jego zdani byli na własną przedsiębiorczość. Ale oczywiście nie przydałaby się ona na wiele, gdyby nie potężny, choć nie angażujący się protektor w Watykanie. Ród Pacellich nie był znany rocznikom wielkiej, czarnej watykańskiej arystokracji. Pierwszy, o którym się słyszy, to niejaki Asprilio, muzyk najpierw w rzymskim Collegia Genna-nico, a potem w Warszawie na dworze Zygmunta III Wazy. Urzędnikami byli, drobne to jednak były urzędy, syn jego i wnuk. Z nich też pochodził Marcantonio, którego ojciec osiedlił się w Acquapendente. Tym Marcantoniem, młodym, zdolnym chłopcem, zaopiekował się wuj Caterini, zostawszy kardynałem. Umarł on niebawem. Ale Marcantonio, uczepiwszy się pierwszych stopni kariery w papieskich trybunałach, piął się teraz sam w górę. Liczył lat trzydzieści, kiedy został adwokatem Sw. Roty. W roku 1849 Pius IX, uciekając przed rewolucją do Gaety, bierze go z sobą. Po powrocie papież mianuje go członkiem Trybunału Dziesięciu, którego zadaniem jest oczyścić Rzym z rewolucjonistów. Trybunał urzęduje w Palazzo della Cancellaria, na którego schodach w pierwszych dniach rewolucji zamordowany został papieski prezydent ministrów, Rossi. Marcantonio piastuje coraz to inne urzędy, które powołuje do życia Pius IX po zniesieniu Konstytucji. W roku 1861 Marcantonio zakłada Ossevatore Romano. Synów ma dwóch. Filipa, ojca przyszłego papieża, i Ernesta, obu adwokatów, tak przy Sw. Rocie, jak i przy trybunałach państwowych; obaj są bowiem cywilistami. Adwokatem również zostaje brat Eugeniusza (papieża), Francesco. W żmudnych latach przygotowań do Paktów La-

teraneńskich odgrywa pierwszoplanową rolę. Pius XI mianuje go nawet pełnomocnikiem stolicy apostolskiej do tego traktatu. Po jego podpisaniu daje mu tytuł margrabi i powołuje na stanowisko prezydenta komisji dla opracowania statutów malutkiego, nowego watykańskiego państewka. Kiedy brat jego, Eugeniusz, zostaje papieżem, Wiktor Emanuel III w roku 1940 obdarza go dziedzicznym tytułem książęcym. Jego synami są właśnie ci nepotowie, to znaczy Carlo, Giulio i Marcantonio. Ojca ich, stryja Ernesta i dziada znały dobrze Instytucje fi-nasowe i przemysłowe powoływane do życia przez watykański kapitał. Podobnie jak przedstawiciele innych tego rodzaju rodzin – nazwijmy je: wielkiej czarnej burżuazji, a więc na przykład Corsanego czy d'Amico – zajmowali w takich instytucjach kierownicze stanowiska. Natomiast ci wielcy oficerowie ekonomicznej potęgi watykańskiej oficjalnie nie odgrywali żadnej roli w instytucjach finansowych czy przemysłowych państwa włoskiego. Dopiero Carlo, Giulio i Marcantonio przełamali tę barierę, szokując tym wielu ludzi uważających nadal Watykan i Italię za dwa odrębne organizmy. Przed śmiercią Piusa XII mówiło się o tym na ucho; prasa też pisać o tym otwarcie nie mogła; teraz wywała się całą prawdę, dodając, że bez cichej zgody wielkiego stryja nie mogło dojść do takiej inwazji.

Rzym, 19 października 58 r.

Dziesięć dni temu umarł papież. W Bazylice Sw. Piotra żałobne, coraz pompatyczniejsze no- vendiales, na mieście coraz więcej gadaniny, prasa coraz bezceremonialniejsza. Nie mówię o lewicowej, bo ta widząc, co się dzieje, miesza się jak najmniej. Nazajutrz po śmierci papieża w Unicie napisał artykuł Togliatti. W zestawieniu z tym, co dzisiaj zamieszcza się nieomal w całej prasie mieszczańskiej, wypowiedź Togliat-tiego zdaje się panegirykiem. W pierwszym rządzie przez poważne traktowanie zmarłego, poważne i pełne szacunku. Wszyscy teraz mają jakieś zastrzeżenia. Wierne mu pozostają tylko pisma konfesjonalne. Ale piszą o papieżu Pa-cellim coraz mniej, nastawiając się na concJave i na tego niewiadomego, co przyjdzie. Zresztą nie mogą znaleźć tonu. Za życia Piusa XII był on tak wysublimowany, że podniesienie go o rejestr wyżej, co czyni się zawsze mówiąc o zmarłym, jeżeli chce się go uczcić, jest niemożliwe. Ludzie czytają na szpaltach Osservatore Romano w opisie pogrzebu, że



gwardziści unieśli ciało Piusa XII „anielskiej lekkości”, i krzywią się. Czytają w 7/ Quotidiano, organie Akcji Katolickiej, że w wypadku Piusa XII słusznie brzmiał jego tradycyjny tytuł Sommo Pontifice, ponieważ sumował w sobie najwyższe cnoty poprzedników. Rzecz prosta, że jest to przenośnia, ale klimat się zmienił, nikt już znieść nie może takich przenośni na wyrost. Nawet życiorys Pacellego, atut w rękach pro-pagandystów i źródło nieustannego podziwu dla jego admiratorów, nie podoba się dziś. Za łatwy jest. Znadto wszystko, co najlepsze, jest w nim zagwarantowane i znadto wszystko w nim idzie jak z płatka. Papieże podają go sobie z rąk do rąk, Pius X Benedyktowi XV, a Benedykt XV Piusowi XI. Kardynałowie i sekretarze stanu przychodzą do niego do domu prosić go, by postąpił wyżej. Przychodzą do domu jego rodziców, bo Pacelli po skończeniu seminarium mieszka u nich; tak samo jak mieszkał za lat dziecińczych, gimnazjalnych, uniwersyteckich; a nawet przeważnie, uzyskawszy na to zezwolenie – za lat kapłańskiego seminarium. Ten ostatni przywilej był czymś niesłychanym. O pracę na paralii otarł się tylko. Nie pracował w diecezji. Nie był ordynariuszem. Życie dla niego to był dom rodzinny, nuncjatury i kuria rzymska. Zostawszy papieżem wydał zarządzenie, że nie może zostać kardynałem ten, kto przez pewien okres nie kierował diecezją. Odczuwał ten brak i kiedy umarł, zaczęto jemu samemu to wytykać. Całe życie jak w wacie, oto co się słyszy. W wacie, w bezkrytycznym, opiekuńczym cieple. Z rąk matki pod opiekę owej zdumiewającej bawarskiej zakonnicy Pasqualiny Lehnert, którą poznał w roku 1917. Miała wtedy lat dwadzieścia trzy, on – czterdzieści jeden. Po wypadku samochodowym, niegroźnym zresztą, powróciła mu nerwica żołądka, na którą niekiedy cierpiał. Pracował wówczas w Kongregacji dla Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych. Był już nawet jej sekretarzem. Wziął urlop zdrowotny i spędził go w klasztorze sióstr od Sw. Krzyża w Einsiedeln. Ponieważ bóle nie przechodziły, zwrócił się do przełożonej, by przydzieliła jego osobie siostrę, która by specjalnie czuwała nad przepisaną dietą. Przełożona przydzieliła mu jedną z sióstr pracujących w infirmerii. To była Pasqualina. Kiedy niebawem otrzymał nominację na nuncjusza w Monachium, Benedykt XV udzielił siostrze Lehnert dyspensy i Pacelli wziął ją ze sobą. Odtąd nie rozstawał się z

nią. Kolejno  
prowadziła mu ona dom w Berlinie i w Rzymie, zanim został sekretarzem stanu.  
Kiedy  
stanowisko to otrzymał w roku 1929, Benedykt XV już nie żył, toteż jego następcą  
Pius XI  
musiał rozszerzyć siostrze Pasqualinie dyspensę na zamieszkanie w pałacach  
watykańskich,  
gdzie się tradycyjnie mieszczą apartamenty sekretarzy stanu. By wziąć ją z sobą  
na conclave,  
kardynał Pacelli nie potrzebował dyspensy od nikogo, piastował bowiem wtedy  
urząd  
camerlenga. Kiedy został papieżem, siostra Pasqualina przeniosła się do  
apartamentów  
papieskich. Przestano ją nazywać siostrą, zaczęto o niej mówić matka Pasqualina.  
Ponieważ  
apartament był olbrzymi, poczęła ona ściągać z Einsiedeln inne siostry.  
Czuwała nad kuchnią i garderobą papieża. Dbała o tę garderobę bardzo. Minęły  
lata zata-  
baczonych sutann papieża Sarto i źle skrojonych płaszczy papieża Rattiego, który  
nie znosił  
przymiarek. Nastąpił pod tym względem czas wyrafinowania i utarczek z wiernymi  
na  
publicznych audiencjach, nazbyt nieogłędnych w wylewie uczuć i nazbyt często  
pozostawiających na białej sutannie plamy śliny, potu albo, co gorzej, szminki,  
jeśli usta całujące  
szatę papieską były ukarminowane. Nie znosiła tego wszystkiego siostra  
Pasqualina. Mówiono o  
jej intrygach nazywając ją virgo potens; nikt o tym nic nie wie pewnego. Kanarki  
i inne ptaszki,  
których sporo było w apartamentach papieskich, to natomiast był z pewnością jej  
gust i jej  
pomysł. Nosiły one nazwy przeważnie niemieckie.  
Na mieście nie widywano jej nigdy. Do ogrodów watykańskich nie wychodziła.  
Apartament  
papieski opuszczała tylko, by zejść do magazynu przy podwórku Sw. Oficjum,  
niewielkim  
placyku, przez który trzeba przejść czy przejechać chcąc się dostać na słynny  
podwórzec Św. Da-  
mazego od strony Bramy Sw. Anny. Jeśli po Rzymie rozchodziły się plotki o  
oddaleniu Pas-  
qualiny z Watykanu, zorientowanym w stosunkach wystarczyło zajrzeć późnym  
popołudniem na  
Cortile di S. Uilizio. Jeśli przed drzwiami magazynka stał czarny, lśniący  
Plymouth ze znakami  
watykańskimi, oznaczało to, że plotka nie odpowiada prawdzie.  
Nie odpowiadała zresztą prawdzie nigdy. Wewnątrz magazynka w tych godzinach  
Pasqualina wraz z którąś z siostrzyczek od Sw. Krzyża z Melzingen przygotowywała  
paczki dla  
biednych, „wspieranych – jak mówił termin kurialny – prywatnym miłosierdziem  
papieża”. Na

półkach magazynu piętrzyły się stosy ubrań, bielizny, butów, lekarstw, a nawet zabawek. Gotowe paczki kładło się do limuzyny. Rozwoził je szofer sam albo w towarzystwie siostrzyczki. Kiedy sobie pojechał, Pasqualina zostawała jeszcze w magazynku, żeby wpisać do rejestru ubytki i nazwiska obdarowanych. Zostawała też, żeby trochę pobyc z kotami, które pilnowały rzeczy przed myszami. W Watykanie opowiadali sobie, że matka Pasqualina przemawiała do nich i że te monologi czasami zatrzymywały ją przy kotach długo. Były to koty rasowe, dwa wspaniałe persy. Imiona nosiły też niemieckie: Peter i Mitzi. Kiedy siostra Pasqualina w dniu dziesiątym października po raz trzeci przebrała do trumny papieża, uznając swoją rolę za skończoną. Z zakończeniem tej czynności skończyło się jej całe życie. Poszła na górę, w Castel Gandolfo mieszkała również w pokojach nad papieżem, spakowała w kuferek rzeczy, z zamku zabrała jedynie klatkę z parą kanarków, kanarzącą Grethel i kanarkiem Dompfaff, i odjechała. Opuściła Castel Gandolfo na parę godzin przed wyruszeniem pogrzebowego konduktu. Plymouth, który zmarły oddał kiedyś do jej dyspozycji, minął główną zamkową bramę i skierował się do bocznego wyjazdu, tego od strony Marino. Do Watykanu nie zajechała. Apartament był opieczętowany. Razem z pozostałymi siostrzyczkami ze swojego zgromadzenia zajechała na Janiculum, gdzie jej zakon miał swój rzymski dom klasztorny. Działo się to w godzinach eksportacji. Nie była więc na niej. Na wielkich uroczystościach tumulacji, czyli złożenia do grot, też nie była. Kolegium Mistrzów Apostolskich Ceremonii na żądanie kardynała camerlenga oddało domownikom zmarłego cały pierwszy rząd trybuny przy jednym z centralnych filarów, a zatem miejsce, z którego wszystko można widzieć. Ale siostry Pasqualiny na nim nie widziano. Niejedne ciekawe oczy kierowały się ku tej trybunie. Może właśnie siostra te spojrzenia przeczuwała. Mówiono więc też, że wróciła zaraz do Szwajcarii. Ale wiem, że nie. Była cały czas w pobliżu, na Janiculum. Podczas wszystkich parad i uroczystości novendiales – również. Zdała klucze, rachunki i rejestry, komu należało, czego zresztą nikt od niej w tym momencie nie żądał. Ale może lżej jej było z tym w tej najcięższej chwili całej jej egzystencji. Zdumiewającej egzystencji małej, niemieckiej mniszeczki, niedużej,

zgrabniutkiej,  
pulchniutkiej, o regularnych rysach, ładnym nosku i upartych, ostrych, nieufnych  
oczach.  
Kiedy papież żył, szeptano o niej. Można było jej nazwisko spotkać na kartach  
książek  
Peyre-fitte'a. Dla prasy włoskiej, zależnej czy niezależnej, była tabu.  
Oczywiście, że odgrywał tu  
rolę względ na cenzurę państwową, która na mocy Paktów Lateraneńskich pilnuje,  
by nie  
szarpano czci papieskiej. Ale niezależnie od tego względu w samych redakcjach  
były opory. W  
temacie kryła się łatwizna. Dotykając kwestii, nie można jej było uniknąć. Każdy  
zaś w Italii  
wiedział, że wszelkie insynuacje w tym względzie fałszują problem. Każdy zdawał  
sobie sprawę,  
że problem tej mniszeczki przy boku papieskim nie nadaje się do żadnej aluzyjnej  
kroniki. Z  
ludzi, których Pasqualina gorszyła, nikt nigdy nie interpretował ich wzajemnego  
stosunku w  
sposób nieodpowiedni. Ludzi takich Pius XII gorszył, że w jakiś pyszny i  
autorytatywny sposób  
uznał swoją osobę za wyższą od podejrzeń. Pycha w tym była i jakaś niepowszednia  
duma. Tym  
więc i tylko tym gorszył ludzi; tym oraz wiążącym się z tą dumą lekceważeniem  
prastarych  
tradycji, wedle których niewłaściwym było nocowanie w pałacach watykańskich  
wszelkich  
kobiet, nawet sióstr papieży.  
Dziś ludziom usta się rozwiązały. Gadają, co ślina na język przyniesie. Prasa  
samemu  
faktowi interpretacji nie daje, zamieszcza tylko szczegółowe biografie siostry,  
ilustrując je obficie  
fotografiami, gromadzonymi przez lata i nie publikowanymi w obawie cenzury.  
Prowincjonalne  
pisma pozwalają sobie na więcej. Od paru dni wszystkie, jakby się umówiły, pełne  
są rozważań  
na temat pewnego odkrycia, które odkryciem nie jest, ponieważ informację, kto  
chciał, mógł  
wyczytać w urzędowym Annuario Pontificio. Chodzi o to, że Pius XII był  
protektorem  
Zgromadzenia Sióstr od Sw. Krzyża z Melzingen. Honor to wielki i przypada tylko  
najszacowniejszym i najstarszym zakonom, i tylko takim, które oddały wielkie i  
historyczne  
usługi Kościołowi. Niczego podobnego nie można się dopatrzeć w niedługich i  
skromnych  
dziejach sióstr z Melzingen.  
Zagadkowa sprawa! Zdumiewający problem! Katolicy włoscy mówią o nim z dużym  
skrepowaniem. Pan V. broni papieża, że w tym postawieniu się ponad  
obowiązującymi regułami  
i tradycją nie ponosi całej winy. Przecież to poprzednicy jego, papież delia

Chiesa i papież Ratti,  
udzielili Pasqualinie dyspens na opuszczenie klasztoru i zamieszkanie w  
Monachium, a następnie  
w apartamentach Sekretarza Stanu. Że Pius XII potem wprowadził ją na conclave, a  
z kolei do  
papieskiego mieszkania, było to tylko konsekwencją uznanego stanu rzeczy. Co zaś  
do dyspens,  
V. próbuje je wyjaśnić tym, co ponoć dla każdego człowieka obeznanego z klimatem  
kurii  
ostatnich lat pięćdziesięciu jest całkiem zrozumiałe. A mianowicie rolę, jaką  
odgrywają w  
Watykanie wielkie urzędnicze rody finansistów, prawników, administratorów, które  
po upadku  
państwa papieskiego zajęły miejsce dawnej papieskiej ziemiańskiej arystokracji.  
Być z takiego rodu – to najczęściej w Watykanie więcej niż być kardynałem kurii  
czy innym  
dygnitarzem. Oto w czym V. widzi źródło tych fantastycznych zaszczytów, które  
spadały na  
Pacellego, ledwo skończył seminarium. Oto w czym widzi również źródło dyspens, i  
tej, która  
pozwoliła mu otrzymać święcenia nieomalże nie wychodząc z rodzinnego domu, i  
tych  
wiążących się z jego rozpieszczoną prośbą o przydzielenie mu do prowadzenia domu  
siostry  
Pasqualiny. V. ubolewa nad tym. Twierdzi, że Pius XII walczył ze swoją skazą  
psychologiczną,  
to znaczy z tym odnoszeniem się do własnej osoby jako do osoby szczególnie  
uprzywilejowanej i  
wyższej od wszystkich. Może i walczył. Nie ułatwia mu tej walki własna  
biografia. Toteż wśród  
swoich obrońców nie znajduje nikogo, kto by w nim upatrywał przykład pokory  
chrześcijańskiej.  
Rzym, 20 października 58 r.  
Makabryczny fuszer, Galeazzi-Lisi, znowu na ustach całego Rzymu! W prasie pełno  
fotografii, które porobił, gdy Pius XII był nieprzytomny. Na jednej z nich  
wychudły człowiek, o  
którym wiemy, że kona, leży z wetkniętym w usta szlauchem od butli tlenowej. Na  
innej papież  
w pidżamie na owej dormeuse'ie, na którą go przenoszono dla łatwiejszego  
oddechu, z szeroko  
otwartymi, nieprzytomnymi oczami patrzy w sufit. Fotografie przesmutne, przykre,  
gorszące  
niepojętą nie-delikatnością człowieka, który je robił, i potem na dodatek  
sprzedawał prasie. Jak  
gdyby tego było nie dość, na innych oglądać można fuszera i jego asystenta na  
katafalku w  
Bazylice Sw. Piotra – przy robocie. Katafalk jest olbrzymi. Makabryczne gnomy  
uwijają się przy  
ciele, zerkając w obiektyw. Mdli od tych fotografii. To Galeazzi-Lisi kazał je  
robić i potem nimi

handlował.

Ale główny skandal dotyczy diariusza, który pisał przy umierającym i który sprzedał ilustrowanym tygodnikom zagranicznym i włoskim za milionowe honorarium. Jest to opis choroby i agonii. Stampa turyńska zapłaciła za ten opis sześć milionów lirów. Przeczytawszy, nie wydrukowała. A ponieważ zapowiedziała już druk, uważała za właściwe wytłumaczyć czytelnikom, dlaczego zrezygnowała. „Opis – powiada w swym wyjaśnieniu – nie oszczędza szczegółów fizjologicznych, które są sprawą agonii każdej istoty ludzkiej i na które w tym wypadku, zgodnie z życzeniem wszystkich, winna zapaść zasłona pełnej szacunku dyskrecji. Z tego względu redakcja zdecydowała nie publikować zapowiedzianego diariusza”. Ale inne pisma, wprawdzie z okrojonymi, wydrukowały go. Zagraniczne zaś, jak Paris Match, w całości. Wzburzenie o ten diariusz jest ogromne. W parlamencie i w senacie – interpelacje. W Ministerstwie Zdrowia – na polecenie prezesa ministrów – specjalna komisja. W Izbie Lekarskiej – posiedzenie. Ściągnięty dla wyjaśnienia Galeazzi-Lisi bronił się tym, że jest lekarzem realistą. Nie skreślono go z listy, ale tylko dlatego – jak wyjaśnia komunikat Izby – że „niestety nie pozwala na to procedura”. Zdaje się jednak, że to go nie ominie. Jeśli chodzi o kurię, Galeazzi sam zgłosił rezygnację ze stanowiska dyrektora urzędu sanitarnego państwa watykańskiego. Osservatore Romano zamieściło tę rezygnację. Zbliżone do kurii agencje prasowe podały do wiadomości publicznej inny szczegół. A mianowicie, że gwardziści szwajcarscy, pełniący straż przy wejściach, otrzymali zakaz wpuszczania na teren Watykanu profesora Galeazzi-Lisi. Przy ulicy Sistina, tam gdzie ona dochodzi do placu Barberini, ludzie zatrzymują się. Przyglądają się i komentują ironicznie szyld z napisem: „Prof. R. Galeazzi-Lisi consultazioni-operazioni-cure”. Szyld na kształt wstęgi długości piętna siu metrów. Jest to chyba największy lekarski szyld na świecie. Przechodnie obrzucają go pogardliwym spojrzeniem albo śmieją się. Śmieją się z tego szyldu, który rozciągał się tu, taki sam długi, jak jest, od wielu lat. Ale póki żył papież, wydaje się, że nikt go nie widział. A jeśli wiedział o nim, to już na pewno mu się nie przypatrywał. Jak mógł lekarz, słaby czy nie słaby, to bez znaczenia, tak dalece się

zapomnieć, by zdradzać  
intymności dotyczące choroby i agonii pacjenta, nikt nie pojmuje. Jak mogła mu  
na to pozwolić  
jego etyka lekarska! Dyskwalifikuje go sam fakt niedyskrecji. Dopełniają miary  
okoliczności  
obciążające. To, że w grę wchodzi tutaj papież, i to, że Galeazzi-Lisi był jego  
przybocznym  
lekarzem, że był dygnitarzem watykańskim. Komunikat Izby Lekarskiej piętnuje go  
za to, że  
niedyskrecji dopuścił się z chęci zysku. Izba Lekarska знаła w tym względzie  
szczegóły, tak jak  
znał je cały Rzym. A to stąd, że Galeazzi-Lisi nie tylko swoich tajemnic  
lekarskich nie zachował  
dla siebie, ale i swoich tajemnic handlowych. Na prawo i lewo chwalił się  
pokazując czeki na  
bajońskie sumy. Pysnił się, że bierze „dolar od słowa. Jak Mussolini!”.  
Przechodzę i ja koło domu z tasiemcowym szyldem. Przechodziłem tędy setki razy,  
szyldu  
nie zauważyłem. Teraz niepodobna nie zauważyć. Stoją ludzie i patrzą albo tylko  
spojrzą,  
wzruszą ramionami, pośmieją się i pójdą. Na Piazza Barberini kupuję  
popołudniówki. Na  
pierwszych stronach wszędzie fizys lekarza, niepoważnego pana z wąsikiem, z  
krąglutkim  
noskiem i tragicznymi oczkami w świńskiej oprawie. Jest coś właśnie  
niepoważnego, holyszowa-  
tego w tej niemądrej twarzy. Ale mądrzejszy gdyby był, trudno zaręczyć, czyby  
się podobnie nie  
wpakował. Nicością był, wybujał w górę, wszystko mu było wolno, zawsze go papież  
osłonił.  
We wszystkim, co dotyczyło papieża, czuł się taki swobodny. Z tej swobody  
narodziła mu się  
koncepcja uszczknięcia sobie sumy likwidacyjnej, skoro jego stosunek służbowy  
przy papieżu się  
skończył. Trąca mnie ktoś w ramię, kiedy się tak przyglądam pierwszym stronicom  
popołud-  
niówek. To kioskarz: – Hanno perlino vendulo ii papa! – powiada. Używa liczby  
mnogiej.  
Mówi: – Oni na koniec sprzedali – nie: on sprzedał. Jest to aluzja do różnych  
interesów w kurii.  
Z pewnością klimat tych Interesów, olbrzymich machinacji finansowych i  
towarowych nie mógł  
podziałać wychowawczo na lekarza. Ujrzał nagle w swoich rękach towar i rzucił  
się go sprzedać,  
bacząc jedynie na jego chwilową wysoką rynkową cenę.  
Rzym, 21 października 58 r.  
Ze istniały notatniki Piusa XII, to pewne. Nuncjusz w Monachium, sekretarz  
stanu, papież –  
mówił o nich. Chwalił się, że są pisane szyfrem niesłychanie zmyślnym. Pewnemu  
ambasadorowi powiedział, że odczytanie notatników nie tyle utrudni szyfr, co

fakt, że  
prowadzone są w różnych językach. Zdaje się, że pisał co dzień i że są to raczej  
króciutkie,  
codzienne zapiski niż pamiętniki. Podobno zaczął je spisywać w Monachium, to  
znaczy w 1917  
roku. Jeżeli przyjąć, zgodnie ze słowami V., że każdego roku wypełnia! cały  
spory zeszyt,  
musiałyby być te notatniki objętościowo olbrzymie.  
Co się z nimi stało, nie jest jasne. Po Rzymie chodzą plotki, że je skradziono.  
Że wzięto z  
Watykanu, kiedy papież był chory, ponieważ papież całości ich do Castel Gandolfo  
z sobą nie  
zabierał. Kto wziął, co do tego obiegają Rzym różne wersje i różne hipotezy. Nie  
warto się w to  
wdawać. Dla mnie to, co naprawdę istotne, to atmosfera, w której mogło dojść do  
tej kradzieży.  
Agencje związane z Watykanem przeczą jej. Ale prasa podaje tyle szczegółów, jest  
taka pewna  
siebie co do samego faktu i taka uparta, że ja jestem skłonny wierzyć. Zresztą  
nie tylko ta  
przesłanka mnie do tego skłania. Tych kilku znajomych, którzy zwykle wiedzą, nie  
mają  
wątpliwości, że coś uległo zamąceniu w normalnym losie notatników. To znaczy, że  
nie zostały  
opieczątowane w apartamentach papieskich i w ten sposób zachowane dla przyszłego  
papieża.  
Inaczej mówiąc, że znikły.  
E. zwrócił mi uwagę na interesującą enuncjację hr. Fabrizio Sarazani, który jest  
synem  
pułkownika honorowej gwardii papieskiej, pełniącego służbę właśnie w dniach,  
kiedy umierał  
poprzedni papież, Pius XI. Z enuncjacji wynika, że honorowa gwardia stanęła  
wówczas na  
wysokości zadania. Zmobilizowani gwardziści pilnowali drzwi i pomieszczeń, tak  
jak im to ich  
pułkownik nakazał. Taka ostra warta, kiedy papież jest ciężko chory, a tym  
bardziej umierający,  
jest ich smutnym przywilejem i najwyższym obowiązkiem. Przepisuje im to *Moù  
Proprio*, które  
gwardię powołało do życia. Kiedy umierał Pius XII, nie otrzymała ona  
odpowiedniego rozkazu.  
Nie było komu go wydać. – Oto dlaczego wybuchł skandal – powiada młody hr.  
Sarazani w  
swej enuncjacji – ponieważ przez trzy dni choroby w Watykanie nie było władzy.  
Prawda o tym jest tak oczywista, że rozumieją ją wszyscy, nie wyłączając hrabiów  
i ich  
potomków z honorowej gwardii papieskiej. Powiem więcej, że nawet oni zaczynają  
rozumieć  
głębsze przyczyny tej prawdy.  
Rzym, 22 października 58 r.



Kiedy nazajutrz po śmierci papieża Mauriac napisał, że „nieraz pełni nadziei oczekiwaliśmy z ust Piusa XII słów, wyznając to, które jednak nigdy nie zostały wypowiedziane”, w pismach katolickich Italii zawrzało. Dziś na podobne zarzuty, na podobne i na ostrzejsze, pisma te nie odpowiadają. A nawet zamieszczają artykuły z uwagami, których by się nie ośmieliły wypowiedzieć za życia zmarłego.

Zarzuty mnożą się. Krytyka, przez lata powstrzymywana, wybucha zewsząd. Nie wszyscy krytykują, ale nieomal wszyscy analizują fakty i konstatują, że zmiany są konieczne. Styl rządów Piusa XII, absolutyzm scentralizowany, budzi zastrzeżenia. Wyniesienie swojej osoby ponad wszystko w kościele nie podoba się. Upór przy raz obranej linii i sztywność polityczna wydaje się godna potępienia. Plamy, plamy, plamy na tym słońcu, które zgasło i które już dzisiaj nie olśniewa.

Panowanie jego przypadło na okres totaliz-mów i dyktatur. Epoka była taka, nic więc dziwnego, że się nią przejął, wyjaśniali dawniej niektórzy. Zaledwie zamknął oczy, na pierwszy ogień poszedł ten zarzut. Że poddał się obyczajom epoki, nikt w tym nie dostrzega teraz okoliczności łagodzącej. Obyczaje były złe, winien się był od nich odciąć. A nie odciął się.

Przeciwnie. Pograżał się w swojej manii koncentrowania wszystkiego na sobie, zbierania wszystkich cugli i nici w swoim ręku, i jeszcze nasilił ten proces, kiedy już klimat epoki zelżał.

Stworzył niezdrowy kult wokół własnej osoby. Ktokolwiek brał Osservatore Romano do ręki, to Osservatore, nad którym czuwał, i to bardzo czujnie, dochodził do przekonania, że kuria, Watykan, Rzym to wyłącznie papież. Nawet więcej, że papież to coś jeszcze wyższego niż Kościół. Nie była to koncepcja Osservatore Romano ani nadgorliwość specjalnego redaktora, Cesidio Lolli, którego Pius XII trzymał w tym piśmie wyłącznie dla wszystkiego, co było związane z jego osobą. A jeśli nawet, to ta koncepcja redakcyjna miała swoje korzenie w koncepcji mistycznej Piusa XII, wyrażonej w jego encyklice, *Mystici Corporis Christi*, wedle której Kościół był mistycznym ciałem Jezusa na ziemi.

Jeśli tak, zapewne w sobie widział głowę tego mistycznego ciała. Z tej mistyki, z tego mistycznego ujęcia rodziło się w nim zapewne to poczucie wyższości,

nadrzędności, dystansu, i to olbrzymiego, pomiędzy własną osobą a resztą sług Kościoła i wiernymi. Może to przekonanie stało również za tymi tak kłopotliwymi dla rozsądniejszych ludzi w kurii, a zwłaszcza dla światlejszych katolików zagranicznych, różnymi półcudownymi wydarzeniami w jego życiu, stanowiącymi żer dla gorliwców i przedmiot zażenowania dla reszty. Pius XII informacjom o tych zjawiskach nie zaprzeczał. Podczas co;ic/ave, na którym został wybrany na papieża, miał mu się ukazać Pius X i dodać otuchy słowami; „Odwagi, mój synu”. Podczas wielkich uroczystości ku czci Madonny portugalskiej w Fatimie, kiedy to powtórzyło się cudowne zjawisko z wirującym słońcem, z którego Fatima słynie, w ogrodach watykańskich ujrzał Pius XII to samo, niejako przez Madonnę dokonane wyłącznie dla niego. Kiedy w parę lat później ciężko zaniemógł, przyszedł Jezus pocieszyć go w chorobie. Pisma konfesyjne milczą o tym dziś, jakby się zmówiły. Nawet one wyczuwają niedobłą aurę. Wszędzie to, co irytowało podskórnie, obecnie dochodzi do głosu. Pochlebcy i cmokierzy pragną, żeby nikt nie pamiętał o ich roli. Przesadzają z jej znaczeniem. Bez ich pomocy Pius XII na pewno tak samo by wybujał, jak wybujał. Bez pomocy przychylnego klimatu czasów też najpewniej stałby się ucieleśnieniem samowoli i zaborczości. A przecież lżej byłoby na sercu dzisiaj katolikom, gdyby mogli sobie powiedzieć i tym się przed innymi pochwalić, że w latach monopolizowania całej władzy w jednym ręku i przerostów kultu – ich arcybiskup nie poddał się naciskom epoki. Ale on poddał się. Co gorzej, poddał się wyłącznie naciskom najgorszym. Bo przecież totalitarne naciski to nie są jedyne naciski epoki. Czasy nasze mają i inne dążenia. Wszystkim tym innym Pius XII się oparł. Że potępił komunizm, i to o wiele ostrzej niż poprzednicy, nie o to mi chodzi. Ani nawet o to, na co się nie odważył Pius XI w tak przecie ostrym Quadagesi-mo anno. Gdyż to dopiero Pius XII na współpracujących z komunistami, i to na wszystkich polach, niezależnie od formy, rzucił anatemy. Bo zdumiewa mnie co innego. Że tak się zaciął w uporze, by nic do własnej świadomości i do świadomości katolików całego świata nie dopuszczać o przyczynach tego zjawiska. Był to upór ślepy i głuchy, a zarazem dynamiczny,

czynny. Pius XII nie poddawał się nigdy naciskowi problematyki społecznej swojej epoki. Że czasem pod adresem robotników znajdował słowa zrozumienia, to nie jest istotne. Tak samo jak nie istotnego nie stało za słowami do artystokracji rzymskiej, która przychodziła do niego z życzeniami noworocznymi i której raz powiedział, że „w naszej epoce każdy powinien pracować i mieć jakieś zajęcie”. Od tego powiedzenia na dworze jego nie ubyło nierobów z wielkich rodów. Tak samo jak od słów skierowanych do robotników nic się nie zmieniło w dogmatyce społecznej Kościoła. Ani w jego praktyce przy rozwiązywaniu kościelnych zagadnień, wyrosłych ze społecznej gleby. Odczuwał to na sobie każdy ksiądz, biskup, kardynał, nie mówiąc o działaczach świeckich, którzy takie papieskie słowa do robotników brali na serio. Jedni ze strachu przed komunizmem, inni z samej logiki naciskali o zmiany, próbując różnych eksperymentów. Tyle ich było na terenie Włoch, a zwłaszcza Francji. Pius XII miał jedną odpowiedź na takie eksperymentalne porywy: rozpalone żelazo. Cały wysiłek Piusa XII szedł w tym kierunku, by wbić w głowę katolikom, że istotnie nie ma na świecie społecznych problemów. Nie wolno było uznawać samego ich istnienia. Kto uznawał, lał wodę na młyn komunistów. Stąd za Piusa XII szybkie, natychmiastowe interwencje Św. Oficjum, niech tylko gdzie się pojawił jakiś katolicki ruch społeczny. Kiedy do Rzymu przyjechał kardynał Suhard ratować swoich „księży--robotników” przed potępieniem, papież złamał jego upór. Przyjął go i przekonał, że ci księża próbujący odzyskać dla katolicyzmu środowisko robotnicze, wchodząc w nie i żyjąc jego troskami, błędzą, ponieważ nie jest prawdą, by na świecie istniała specyficzna problematyka robotnicza. Św. Oficjum napiętnowało księży. Decyzja ta była tak wątpliwa, a kwestia tak sporna, że Osservatore Romano zwróciło się do O. Roton-diego o artykuł. Dano artykuł do cenzury papieżowi. Pius XII skreślił w nim jedno słowo. Przymiotnik: lunghissimo przed rzeczownikiem discor-so. Chodziło mu o to, że z kardynałem Suhard nie miał o problematyce księży-robotników rozmowy bardzo długiej. Nie! Nie rozmawiał długo, bo jakże mógł rozmawiać długo na temat w istocie tak bezprzedmiotowy.

Tu we wszystkim, co dotyczyło choćby najlżejszego odstępstwa od tradycyjnej doktryny Kościoła o ustanowionej raz na zawsze harmonii społecznej świata, Pius XII znał użytek rozpalonego do czerwoności żelaza. Nie znał go w stosunku do faszyzmu. Nie oznacza to, aby sam był faszystą. Faszyzm był mu wstrętny i nieraz krytykował go ostro. Tych jego wypowiedzi trafia się sporo. Ale nigdy wśród nich się nie znajdzie anatemy rzuconej pełnym głosem, takiej, jaką rzucił w 1949 roku na komunizm. Kiedy umierał Pius XI, zostawił po sobie nie ogłoszoną encyklikę, piętnującą faszyzm w sposób bezkompromisowy. Pacelli pracował nad tą encykliką jako sekretarz stanu. Ale kiedy sam został na gospodarstwie Piotrowym, encykliki nie ogłosił i wdał się w kompromisy.

To prawda, że był dyplomata z krwi i kości, dyplomatyzył więc z faszyzmem do ostatka. Bronił się przed zerwaniem mostów pomiędzy Watykanem i Hitlerem czy Mussolinim. Wysuwał argument, że zerwawszy mosty wyda na pastwę dyktatorów Kościół katolicki w Niemczech i Italii; wszystkich biskupów, księży, całą rzeszę wiernych. Ale dlaczego nie żywił tych samych obaw później w stosunku do polskich, czeskich, słowackich czy węgierskich katolików? A jeśli rzeczywiście paktował z Hitlerem czy Mussolinim, bo bał się ich rządów, czemu tolerował faszystów w łonie Kościoła, Schustera czy Ruffiniego, nie mówiąc już o niektórych biskupach i kardynałach hiszpańskich.

A obozy, koncentracyjne obozy? A komory gazowe, a eksterminowanie całych narodów?

„Na pamięci Piusa XII ciąży ta sprawa!” – pisze tak wierny i tak oddany Watykanowi Jean d’Hospital. Ciężar to niepomierny, bo przecież nie mógł o nich nie wiedzieć. „W kurii się wie wszystko!” – powiadają rzymscy monsignoro-wie. To przesada. Niemniej przeto, że na terenie Trzeciej Rzeszy niewiele było rzeczy sekretnych dla Piusa XII, to pewne. Dwanaście lat mieszkał w tym kraju. Najlepszych przyjaciół i informatorów miał niemieckich. Najbliższe jego otoczenie było niemieckie. Jakże mógł nie wiedzieć! A jednak zacisnął usta. Europejczyk, mistyk, moralista, zdolny do fanatycznych protestów, zdecydował się w tym wypadku na milczenie.

Wywleka się teraz tę sprawę. Krytyki, krytyki, krytyki! Politycy krytykują jego polityczne, utopijne,

europistyczne koncepcje. Chryścijańscy demokraci wypominają mu, że ubezwłasnowolnił ich partię na rzecz paru kardynałów kurii. Akcja Katolicka, zwana za papieża Rattiego „królową świeckości”, że jej odebrał treść religijną i pchnięciem ku polityce sprostytuował. Ordynariusze, że kierował się względami na politykę zagraniczną, następnie na politykę wewnętrzną, a dopiero na religię. Księża, że zatamował to, co było nurtem duchowym życia parafii, przywalając proboszczów i wikarych ciężarem setek robót organizacyjnych. Zakonnicy, że – jak to wspinał określił Dom. A. (benedyktyn) – „to, co nadnaturalne w religii, próbował zastąpić irracjonalnym”. Monarchiści mają mu za złe, że w momencie referendum nie poparł monarchii. Zwolennicy republiki wytykają, że nie respektował nowego ustroju Italii nawet w pozorach. Francuzi nie lubili go nigdy. Drażnił ich, że tak lekko łamał wszystkie inicjatywy płynące z Francji. Drażnił ich, że był taki historycznie za-późniony. Nawet na grób Napoleona, kiedy poszedł już będąc kardynałem, włożył na tę okazję sutannę zwykłego księdza, żeby czasem purpurą nie uhonorować uzurpatora. Nie lubili go i Hiszpanie, bo gdyby nie on, nie ostałby się po wojnie Franco. W Niemczech nurtowała pretensja, że miał do nich słabość, ale jak do pokątnej kochanki. Istotnie, było coś dziwnego w jego stosunku do nich. W apartamentach papieskich częściej się słyszało niemiecki niż włoski. Ale w kurii na urzędach, zwłaszcza na wyższych urzędach, Niemców nie było. Najwięcej oczywiście Włochów, ale także sporo Francuzów, Hiszpanów, Irlandczyków, Anglików, Amerykanów. Niemców – ani jednego. E. jest zdania, że główne źródło krytyk to kuria. Powodów tego jest kilka. Kuria przez cały czas pontyfikatu Piusa XII cierpiała. Dotąd milczała. Teraz przestała milczeć. Starszym monsignorom nie podobał się ten potężny aparat reklamowy, który stworzył Pius XII wokół swojej osoby. A także owe, jak się je dzisiaj w kurii nazywa po imieniu, farańskie hieratyczne pozy. Za ich pamięci żaden z namiestników Chrystusa nie pozował tak, jak Pius XII, na antyczne bóstwo. Proprio un nurne (zupełnie bóstwo) – mówi się dzisiaj głośno w Watykanie. Przyzwyczajeni do kontaktu z poprzednikami starzy nie mogą strawić dystansu, który stworzył wokół siebie. Nie mogą strawić nawet owego obyczaju „melancholijnych, samotnych

spacerów" po ogrodach watykańskich czy parku w Castel Gandolio, ponieważ od wieków na podobnych tradycyjnych spacerach monsignorowie, korzystając z atmosfery odpoczynkowej, przeprowadzali sobie u papieży to i owo. Gadają starsi. Gadają młodszy, wypominając mu konserwatyzm, i to najgorszego rodzaju, bo zamaskowany zewnętrznymi pozorami nowatorstwa.

„Nie żyjemy żadnych obaw w stosunku do rzeczy nowych – powiedział raz Pius XII – pod warunkiem, by się odnosiły wyłącznie do strony praktycznej życia." E. twierdzi, że to zdanie, które się cytowało nabożnie, dziś się cytuje w kurii z ironią. Krytykują starzy, młodzi, wszyscy. Są w tych krytykach żale merytoryczne. Sporo też osobistego żalu. Od ostatniego wielkiego ruchu w kurii, który następuje po każdym konsystorzu, upłynęło sześć lat, sześć lat próżnego oczekiwania w ogonku, żeby się w karierze posunąć o jeden szczebel. Jest co mieć za złe! Nienowa to sprawa dla kurii, takie czy inne krytyki po śmierci papieży. Jest to moment, by przypomnieć o sobie; by się upomnieć o swoje krzywdy.

Powiedzielibyśmy u nas, by się wpisać do książki zażaleń. Wszystko to jest robione pod adresem nowego papieża. Nie ma go jeszcze. Ale już są kandydaci. Krążą po eklezjastycznym świecie rzymskim ci kandydaci, uszy i oczy mają otwarte, serce ich też jest otwarte dla wszystkich. Kręcą się po kurii ich zauszniczy. Urabiają aurę, urabiają opinię o swoich mocodawcach, czy też, ostrożniej mówiąc, na temat kandydatur, na które stawiają.

E. mówi: „Jedna wielka osmoza!" To jest dobre określenie. Każdy kardynał ma swoich protegowanych. Nie istnieje w kurii monsignore, który by nie miał w jakimś kandydacie swego protektora. Kto chce zostać papieżem, liczy się z tym faktem. Nic nikomu nie obiecuje, bo to nie jest obecnie w stylu kurii. Jest to również różnymi Costituzione zakazane. Ale wysłuchać i uznać się nad krzywdą nie jest żadnym wzięciem zobowiązania. A przecież jest monetą!

Od opowiadania tedy o starych krzywdach narasta fala krytyki. Jest powszechna, bo w tej atmosferze nie ma ludzi nie skrzywdzonych. Jest olbrzymia, taka że wylewa się poza granice watykańskiego państewka i aż szumi po całym Rzymie.

Rzym, 23 października 58 r.

„A więc nikt już nie broni Piusa XII" – wydaje z siebie okrzyk zgrozy organ Akcji

Katolickiej pod takim czteroszpaltowym tytułem. Na razie – nie! Nie ma atmosfery do takiej obrony i nie ma rozkazów. Ci, którzy mogliby je wydać, zajęci są odkurzaniem i wystawianiem na widok publiczny w kurii swoich krzywd. Inni są tak dalece skupieni na zagadnieniach conclave, że na postronnie rzeczy nie mają głowy. Zadzwońłem do pana V. Powolutku żegnam się ze swoimi najlepszymi rozmówcami w Rzymie. Jeszcze do wyjazdu trochę czasu, ale wiem, że przez ostatnie tygodnie nie będę miał do rozmów spokojnej głowy. Tedy spędzam wieczór z V.

Rozmowa schodzi na zwykle nasze watykańskie tory. Dzielę się moim zdziwieniem, że nikt nie broni zmarłego. V. wydaje się zaskoczony moją obserwacją. Ale poza to zaskoczenie nie wychodzi. Zawsze w rozmowach ujmował się za papieżem Pacellim, dziś nie. Zwracam mu na to uwagę i mówię, że widząc to wszystko, we mnie – nie z przekory, ale z intelektualnego nawyku przeciwstawiania się stadnym odruchom – budzi się chęć uwypuklenia tego, co w zmarłym było dosyć niepowszednie. Tak na przykład – zinternacjonalizowanie kolegium kardynalskiego, w którym Włosi od wieków rozporządzali przygniatającą większością, czyż nie było przewrotem i cennym osiągnięciem? Albo szereg liturgicznych rewolucji, czyż nie zbliżyło to wiernych do kościelnych obrządków? Pytam V., czy nie sądzi, że pod naporem krytyki nawet to, co było słuszne, jeśli nosiło na sobie piętno woli zmarłego, zostanie odrzucone. V. wyraża te same obawy.

Ale zarazem wyjaśnia, że po każdym pontyfikacie, zwłaszcza jeżeli się przeciąga, ludzie gadają i w kurii wszystko się burzy. Ale prędzej czy później mijają te nastroje. Nie trzeba czekać marca przyszłego roku – kiedy to się odbędą na pamiątkę wyboru i koronacji Piusa XII tradycyjne, przepisane przez Kościół uroczystości – by znowu stanął w aureoli. Nowy papież po starym naprawi niejedno, to i owo więc zostanie puszczone w niepamięć. Przyjdą nowe niechęci.

A co najważniejsze, ugruntuje się świadomość, że zmarły w najróżniejszych sprawach działał pod wpływem konieczności i że nie mógł inaczej. Nikt mu już tego nie będzie pamiętał, że się wynosił ponad Kościół, bo się stanie jasne, że to nie on rządził Kościołem, ale że to Kościół go

sobie tak ukształtował wedle wieczystych swoich cech i trwałych interesów.  
Zresztą i dzisiaj co mądrzejsi są w pełni świadomi, że tak będzie. Pamiątki,  
listy,  
nieprzeliczone korekty z poprawkami ręki Piusa XII nie spadają w cenie. V.  
podkreśla, że nie o  
antykwarskiej cenie myśli, ale o owej pretium afflictionis, która sprawi, że po  
kościółach,  
klasztorach i pobożnych domach drobiazg po Piusie XII nabierze walorów relikwii.  
V. przytacza  
w tym względzie ciekawy argument. Zdradza mi w sekrecie, że kaplica w Castel  
Gandolfo, gdzie  
Pius XII przez miesiące letnie i jesienne odprawiał msze, została obrabowana.  
Ostała się tylko  
Madonna Negra i polskie freski Jana Rosena na ścianach. A tak – wszystko poszło!  
Czego nie  
można było wynieść, poobdzierano; obicia purpurowe z wielkiego klęcznika, hafty  
z przodu i z  
boków ołtarza, jedwab z tabernaculum. V. powiada: „Tylko niech pan mi nie mówi,  
że Pius XII  
za życia był pobłażliwy dla drapieżników i oni mu po śmierci najprawdziwszy hołd  
oddali. Nie  
dla żadnych alegorii fakt ten ^wiadam. Obdzierać kaplicę papieską to barba-two i  
świętokradztwo. Ale w tym wypadku, nieź przejaw zdrowego instynktu. Proszę się  
de obawiać.  
Powrócimy tu wszyscy do jego kultu. Powrócimy”.  
Rzym, 24 października 58 r.  
Przedziwny jest ton testamentu Piusa XII, który ogłoszono. Pełen dystansu do  
własnej osoby.  
Pokorny. Cały rozedrgany tonem u niego nieznanym. Zaskakuje, nawet jeżeli  
odliczyć pewne  
wyrażenia na rzecz testamentarnej formy. Pius XII napisał go w maju 1956 roku.  
Brzmi on:  
„Bądź miłościw mi, Boże, wedle wielkiego miłosierdzia Twego.  
Te słowa, które wiedząc, że jestem niegodzien i nie zasługujący, wypowiedziałem w  
momencie,  
gdym wyrażał zgodę na mój wybór na najwyższego Pasterza, powtarzam teraz z tym  
większym  
przekonaniem, kiedy świadomość braków, błędów i zaniedbań popełnionych w czasie  
tak  
długiego pontyfikatu, i to w epoce zobowiązującej i trudnej, przyczyniła się do  
tego, iż mój  
umysł widzi jeszcze jaśniej, że jestem nieodpowiedni i niedorastający do roli.  
Zwracam się z pokorą do wszystkich, których mogłem obrazić, skrzywdzić czy  
zgorszyć  
słowem czy czynem – o przebaczenie. Proszę tych, do których to należy, by nie  
zajmowali się i  
nie przejmowali wystawianiem żadnego pomnika dla mojej pamięci, wystarczy, by  
moje biedne  
szczątki śmiertelne spoczęły zwyczajnie w miejscu poświęconym, tym milej  
widzianym, im



niepokazniej-szym. Nie potrzebuję zalecać modłów za moją duszę; wiem, jak liczne są te, które  
zwyczajowe normy przepisane przez stolicę apostolską i pobożność wiernych  
ofiarowują za  
każdego zmarłego papieża. Nie mam nawet poirzeby pozostawiania testamentu  
duchowego, jak  
to chwalebnie zwykło czynić tylu gorliwych prałatów, ponieważ niemała ilość  
dokumentów i  
przemówień przeze mnie zgodnie z potrzebami mego urzędu ogłoszonych i  
wypowiedzianych  
wystarcza, by zapoznać każdego, komu zdarzy się tego zapragnąć, z moją myślą na  
temat  
najróżniejszych kwestii religijnych i moralnych.

To ustaliwszy, mianuję moim sukcesorem uniwersalnym świętą stolicę apostolską,  
od której  
tyle miałem, co od matki najukochańszej".

Rzym, 25 października 58 r.

Mam sympatyczne śniadanie z parą artystów włoskich, których wyprawilem do  
Polski.

Wrócili, chcą podziękować, podzielić się wrażeniami. Są mili, pełni oddania i  
nic nie rozumieją.

Rozmowa toczy się ożywiona. Nie pierwsza taka, ale już pewnie ostatnia, ponieważ  
niebawem

wracam. Wrażenia ich to jak gdyby fotografie, którym brak podpisów. Fotografii  
mnóstwo.

Wzbogacam je o brakujące objaśnienia. I tak przechodzi śniadanie. Oni mnie  
zaprosili.

Obyczajem włoskim ja ich z kolei zapraszam na kawę. Ale oni spieszą się na  
pociąg, mieszkają

poza Rzymem. Ściskamy się, w pośpiechu planujemy spotkania. Nie bardzo w nie  
wierzę,

przynajmniej w czasie najbliższym, ponieważ włoska sekwencja mojej biografii  
kończy się.

Przechodzę tedy do stolików na ulicy, gdzie się pije kawę. Myślę, że będę ją pił  
sam. Ale –

nie. Przy sąsiednim stoliku pije kawę starszy pan w zakiecie, to margrabia  
Lanfranco A. z

Florencji. Ma tam olbrzymi słynny pałac z XV wieku, zbudowany przez Giuliana da  
Maiano.

Oficyny, parter, górne piętra wynajmuje, zajmując sam całe piano nobile, to  
znaczy pierwsze,

najefektowniejsze, z amfiladą wspaniałych salonów. Narzeka. Coraz trudniej  
prowadzić mu dom

na poziomie, do którego jego ród nawykł z dziada pradziada; owo train de vie  
toskańskiego

arystokraty, które pochłania miliony. Jest właścicielem wielkich winnic. Mówiąc  
o nich chętnie

przypomina, że herby i nazwiska innych znakomitych rodów, a więc na przykład  
sycylijskich

książąt Salaparuta czy kalabryjskich Montebianco, też widnieją na butelkach, nie

tylko

margrabiów A. Domeną tych ostatnich jest Chianti. Zresztą jedno z najlepszych. Spotkałem go u wspólnych znajomych. Bardzo się tam koło niego kręcono. Kiedy dowiedział się, że jestem Polakiem, przysiadł się do mnie, rozplývając się w uprzejmościach. Po

prawie czteroletnim pobycie przestała mnie zaskakiwać ta słabość do Polaków, którą mają Włosi.

Nadal mnie jednak wzruszała. W przypadku margrabiego A. miała ona w sobie akcent paradoksalny. Pochwalił- mi się związkami krwi z Polską, ponieważ jego wnuczka wyszła za

conte Massimo Dzieduszyckiego, z gałęzi zupełnie włoszczonej tego rodu, która od lat żadnego

związku z Polską nie utrzymywała. Zgorszył się, że nie jest mi znane „Chianti Dzieduszycki”, i

od razu zaprosił na kolację do jednej z restauracji w Rzymie, gdzie mają to wino. Podano nam

liasco. Sas, herb Dzie-duszyckich, zdobił górę etykiety. Resztę zajmowały ich tytuł i nazwisko z

przydatkiem di Badia a Pussignano. Wino było dobre. A. dolewał mi. Zdaje się, że go

zawiodłem, nie pijąc tego Chianti ze wzruszeniem i patriotycznym nabożeństwem, nieomal jakby

płynęło ze świętego dla Polaków źródła. Bo milkł, ilekroć podnosiłem kieliszek do ust, żeby nie

macić mego skupienia. Ja zaś piłem je jak ciekawostkę.

Widząc na nim teraz żakiet, myślałem, że wraca z watykańskich ceremonii w związku z

rozpoczynającym się dziś conclave. Nie, na mszy De Spiritu Sancto, kiedy to wzywa się Sw.

Ducha, by oświecił wyborców-kardynałów, nie był. Nie słyszał oracji de eligendo pontifice

monsignora Antonio Bacci, Sekretarza Breviów Książęcych, na temat której, zanim jej

monsignore nadał kształt ostateczny, chodziły po Rzymie różne niedyskrecje. Nie był, gdyż tym

razem zenił wnuka. Paradnie, bo z bratanicą księcia Sigismondo Della Rovere-Chigi-Albani,

dziedzicznego marszałka condave, który w tej chwili cały w welwetach, koronkach i złotych

sznurach, we wspaniałej asyście gwardzistów i dygnitarzy przeprowadzał obchód murów oraz

badał drzwi i bramy, prowadzące na teren conclave, jako jego kustosz zewnętrzny. Datę ślubu

wyznaczono od dawna, zaproszenia rozesłano, zmienić można było jedynie porę przyjęcia.

Przeniesiono je na godziny wieczorne. Teraz poszli wszyscy do Watykanu patrzeć na wjazd

kardynałów. Nawet z biletami od księcia Chigi trzeba było stać w szpalerach, tyle, że na terenie

podwórców wewnętrznych. Męczące to! Stąd A. śniadał sam.

Tyle już słyszałem o Piusie XII. Myślałem, że nic mnie już nie zaskoczy. Oczywiście się myliłem. Margrabia A. twierdzi, że „nigdy zmarłego nie nosił w sercu”. Mówi, że „pod tym względem nie był wyjątkiem”. Różne rzeczy mu się w nim nie podobały. Jedną z nich wymienię, bo pozostałe nie są nowe. „On walczył z arystokracją!!” – powiada A. Ma na myśli przede wszystkim potomków osiemnastu wielkich rodów czarnej arystokracji rzymskiej, rodów książęcych, rodów, które w średniowieczu, za czasów Odrodzenia czy Kontrreformacji wydały papieży i które kiedyś miały przywilej, że je raz na rok odwiedzał papież. Rzym zagarnęła dynastia sabaudzka. Papieże zamknęli się w Watykanie. Głowom osiemnastu rodów wizyt nie składali, chociaż w wiernych pałacach w salach tronowych czekał na nich tron, czasem paradniejszy od tronów watykańskich, jak ten w pałacu Rospigliosi, liczący sobie wraz z baldachimem osiemnaście metrów wysokości. Otóż z tymi wszystkimi Orsinimi, Caetaniami, Colonnami, Piccolominimi, Boncompagni-nimi, Rospigliosimi czy Pignatellimi Pius XII walczył.

– W jaki sposób? – pytam.

– Odsuwał, ograniczał ich reprezentacje na nabożeństwach czy na swoim dworze papieskim!

I zdradza mi tajemnicę:

– Pan wie, to był parweniusz.

Dodaje jeszcze:

– Poza tym odnosił się do nich w sposób oschły, na pograniczu impertynencji. Nawet raz na pewien czas z nimi zerwał. To było jeszcze za Montiniego, też, nawiasem mówiąc, niebezpiecznej głowy; skasował wówczas uroczyste składanie życzeń noworocznych przez czoło arystokracji. Rok temu czy dwa się z tego wycofał.

– Ot tak, ni stąd, ni zowąd skasował? – pytam.

– Pretekst był, ale, proszę pana, rozdęty. Istniał zwyczaj, że papież do delegacji zwracał się z przemówieniem. Nigdy one za Piusa XII nie wypadały ciepło. Ale to, które doprowadziło do zerwania, miało specjalnie przykre akcenty. Ni plus, ni moins, tylko powiedział on wtedy, że „każdy człowiek winien mieć swój zawód i pracować”. Cytował wielkich przedstawicieli francuskiej czy angielskiej arystokracji, którzy pokończyli wyższe studia. I dodał, że przeminęły czasy, w których człowiek korzystając z zasług swoich przodków i odziedziczonych pieniędzy może nic nie robić. Wtedy stary del Drago nie wytrzymał i szepnął: „Cest un

communiste".

Doniesiono o tym Pacellemu. Zapamiętał to sobie i z nowym rokiem skreślił opierającą się na prastarym przywileju uroczystość. Ale się ugiął. Proszę pana, Watykan, kuria, jej urzędy od tysiąca lat żyją w symbiozie z tymi wielkimi rodami. Może się ten i ów papież z nimi szarpać.

Nie poradzi na to, że to jest naturalny jego świat, który przetrwał już niejedne grymasy, niejedne kaprysy i nadal posiada dla Watykanu duże znaczenie.

Pożegnaliśmy się. Myślałem o tej rozmowie długo. Rzeczywiście, niełatwo w Watykanie

musi być i niełatwo może się coś zmienić, jeżeli również trzeba się tam liczyć z taką mentalnością.

O piątej u Doneya – nudziarz. Na szczęście spóźnił się. A jeszcze przyjemniej, że pojawia się

E. Wraca z Watykanu. Dostał przepustkę i biegał od Bramy Sw. Anny do Aico delie Cam-pane

zaglądając do wszystkich wewnętrznych podwórców Watykanu, Sw. Damazego, Sw. Oficjum,

Pierwszych Męczenników oraz na małe Po-dwóreczko Papug, patrząc jak zjeżdżają kardynałowie. Widział Chińczyka, Tien Kensina, którego po wypadku samochodowym przywieziono ogipsowanego, w karetce pogotowia. Widział camerlenga, który na znak swej

władzy dzierzył malutkie berło. Widział drobniutkiego dziewięćdziesięciodwuletniego

Chilijczyka, Caro Rodrigue-za, który przebył Atlantyk samolotem, żeby wziąć udział w conclave, i wielu innych.

– Widziałem też waszego, jak przejeżdżał ulicą delia Sagreslia. Miał wielkie brawa. No i

okrzyki: Viva ii papa.

– Krzyczano i innym?

– Oczywiście. Przy wejściach stoją tłumy – głównie popolino. Wita on w ten sposób

kardynałów bardziej znanych czy sympatyczniejszych.

– A komu krzyczano najczęściej?

– Agagianianowi i Siriemu.

– Zostanie który z nich papieżem?

– Nie zostanie.

– Nie mają szans?

– Mają połowiczne.

– Połowiczne?

– A tak! Agagianian jest pyknik, ale brak mu litery „r” w nazwisku. Siriemu nie brak „r”, ale za to jest astenik.

– Nie rozumiem. To jakaś przepowiednia?

– Nie. Tylko od stu lat na stolicy apostolskiej luzuje mistycznego astenika bez „r” pyknik

mający „r” w nazwisku. Proszę sprawdzić. Pius IX, Mastai Ferretti, był gruby; po nim przyszedł aste-nik Leon XIII, Pecci; następnie gruby Sarto, Pius X; z kolei delia Chiesa, Benedykt XV, aste-nik; później pyknik Ratti, Pius XI, a na koniec astenik Facelli. Tak że wasz kardynał – śmieje się – nie ma żadnych szans, jak pan widzi, mają je Ciriaci, Lercaro, RuIlini, Roncalli, Pizzardo, Micara, a także różni zagraniczni.

– Ano, zobaczymy – mówię.

E. jest zawsze pełen podobnych ciekawostek. Ma kult dla tradycji i jeśli jakiś przesąd może się wykazać genealogią, już jest dla niego historią poważną. Savoir vivre kardynalski nie ma dla niego tajemnic i nie potrzebuje zaglądać do rubryki Osservatore Romano, przepisującej purpuratom stroje i odmiany w tych strojach, zależne od pory i okoliczności, żeby wiedzieć, jak będą ubrani. Tak, na przykład, rannej mszy do Ducha Świętego odpowiadają rochetti simplici et cap-pis sericis violaceis sine pelibus ermellineis \*. Wejściu na conclave — fioletowa sutanna wełniana, ale cum. zona serica eiusclem coloiis oraz koronki. Hymnowi Veni Creator, śpiewanemu w Kaplicy Sykstyńskiej, kiedy kardynałowie się zamkną na conclawe – sobole.

Podczas conclave kardynałowie pozostają komRochelti... – Alby proste i jedwabne fioletowe kapy bez futer gronostajowych.

Cum zona... – Z pasem jedwabnym tego samego koloru.

piętnie odcięci od świata. Chyba że jakiś kardynał nie zdąży. Constituzioni zgodne są co do tego, że może on wejść i przyłączyć się do prac kolegów. Wtenczas od przybyścia dowiadują się pozostali, co nowego zaszło na świecie. Ale tym razem wszyscy, którzy mieli przybyć, przybyli.

Spóźnionych nie będzie.

Radzą tedy kardynałowie. Kontakt ich ze światem zewnętrznym zerwany. Aparaty telefoniczne zdjęte. Constitutio Piusa XII zakazuje ich. Bardzo jest pod tym względem ostra i szczegółowa. „Wedle kanonu sześćdziesiątego czwartego wszelkie instrumenta są zabronione – cytuje E. – nie tylko telephonica, ale telegraphica, microphonica, radiophonica, photographica, cinematographica et alia huiusmodi.”

Rzym, 26 października 58 r.

Dzisiejsze Osservatore Romano podaje pełny tekst wczorajszej oracji de eligendo pontifici.

Czytam i rozumiem zamieszanie, które spowodowała, i poprzedzające ją plotki.

Oracja pełna jest

aluzji, a nawet więcej, bo sformułowań w stosunku do pontyfikatu Piusa XII polemicznych. Pan V., który czytał projekt, twierdzi, że były w nim miejsca jeszcze ostrzejsze. Referując mi ten brulion nazwał go metaforycznie „raportem”. Powiedział mi przy tej okazji rzecz interesującą, a mianowicie, że w kurii raz po raz słyszy się terminy takie, jak „odwilż”, „decentralizacja”, „wypowiedź samokrytyczna” czy „kult jednostki” w zastosowaniu do spraw watykańskich. Co do oracji, nie znalazłem w niej momentów rewolucyjnych i ostrych. Nie mogło ich być. Wydaje mi się jednak, że jak na to, co może być powiedziane w danej sytuacji, monsignor Bacci powiedział prawdy maksymalne. Przemawiał z maleńkiego podium, które Kolegium Ceremonii Apostolskich ustawiło mu tuż przy grobie św. Piotra, jak tego chce tradycja, i – ubrany w wymyślny stroik również kolegalnej kompozycji – wypowiedział między innymi zdania następujące:

„Nowy papież winien być zarazem mistrzem, pasterzem i ojcem. Winien on przede wszystkim być gotów przyjmować biskupów jako swoich współpracowników w kierowaniu Kościołem, doradzać im, wysłuchiwać ich, dodawać im odwagi”.

„Jego serce winno być pełne miłości dla klas społecznych nie mających ani pożywienia, ani domów, których im potrzeba. Weźmie on do serca, jak to czynił Jezus, sprawę biednych i tych, którzy żyją w niedostatku, a często w nędzy. Poprzez wszystkie sposoby otoczy opieką prawa ludzi pracujących, które jego poprzednicy tak uroczyście potwierdzili różnymi encyklikami. Byłoby bowiem niezmiernie niebezpiecznie nie zastosować w praktyce, i to w całej rozciągłości, doktryny społecznej Kościoła”.

„Nie wystarczy tu papież uczony, nie wystarczy tu papież zorientowany we wszystkich gałęziach wiedzy, ludzkiej i boskiej, i który zbadał, i poznał z doświadczenia wszystkie subtelne racje dyplomacji i polityki. Jest to wszystko ważne, ale nie najważniejsze”.

Rzym, 27 października 58 r.

Zakazane na terenie conclave instrumenta biorą odwet. Z zewnątrz – mnóstwo ich. Kolumnada Berniniego usiana jupiterami, pomiędzy olbrzymimi figurami świętych na dachu Sw. Piotra zmontowane wieżyczki z lampami, plac przed Bazyliką pełen wozów radia, kronik filmowych i telewizji z kilkunastu krajów całego świata. Kamery wycelowane, lornetki nakierowane, reporterzy z mikrofonami w ręku wpatrzeni. Na placu kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Wszystko ze wzrokiem wbitym w lewy róg dachu Kaplicy Sykstyńskiej, skąd wystaje rura od piecyka, w którym spala się po głosowaniu kartki wyborcze i wiążące się z nimi notatki robione przez kardynałów.

Na centralnym miejscu, z którego najlepiej wszystko widać, podium radia watykańskiego.

Uwija się przy nim bohater dnia, w habitcie, ze słuchawkami na uszach, z ogromną polową lunetą w jednym ręku, z mikrofonem – w drugim. To O. Antonio Lisandrini, kapucyn. Za murami watykańskimi spędził dziesiątki lat. Podczas conclave w 1939 też pełnił funkcję radiodiokronikarza. Ma sławę nieomylnego w ocenie, czy dym wychodzący z rury piecyka jest biały, czy czarny. Rzecz to trudna, ponieważ dym ma najczęściej barwę szarą, na skutek czego każdy niespecjalista gubi się, kiedy chce zinterpretować, co dym wróży.

Rozstawione po całym placu głośniki rozbrzmiewają od głosu kapucyna. Reszta obsługi na podium to jezuici. Radio watykańskie to ich domena. Najlepszą partię dzisiejszego słuchowiska ustąpili kapucynowi, uznając w nim eksperta przerastającego wszystkich kompetencją. On bowiem nie tylko zna się na dymie, ale i na znaczeniu cieni, które pokazują się za przesłoniętymi oknami Watykanu, oraz na znaczeniu ruchów, jeśli takowe dały się spostrzec.

Zasadniczo, zanim nowy papież nie zostanie wybrany, żaden ruch, żaden gest, żaden cień nie powinien się zza murów ujawnić. Mury, okna, balkony, loggie, werandy winny być martwe. Żąda tego odpowiedni kanon Constitutio. Ale kiedy wybór zostanie dokonany, choć nadal obowiązuje zakaz, dyscyplina conclave łagodnieje. Monsiornowie zamknięci za murami nie wytrzymują naporu radości i podniecenia. Podchodzą do okien, patrzą na tłum, wślizgują się na wewnętrzne tarasy, żeby spojrzeć na okna Sali Błogosławieństw, gdzie się przygotowuje do ceremonii oficjalnego ogłoszenia przepisowy orszak.

Po tych sygnałach wprawne oko poznaje, że conclave zostało zakończone, zanim jeszcze otworzą się drzwi balkonu Sali Błogosławieństw. Mniej kompetentny da się niekiedy zwiść pozorom. Przez przypadek ktoś się pokaże za oknami albo dla skrócenia sobie drogi przebiegnie zewnętrzną galerijkę. Za murami przebywa około trzystu ludzi. Różnie może się zdarzyć. W tym stanie rzeczy trzeba najwyższej orientacji, by odróżnić znaki zza murów nie mające znaczenia, bo

przypadkowe, od tych, które mają znaczenie, ponieważ wypływają, jak się w kurii mówi, z  
egzaltacji. Ani więc z dymu, ani z ruchów wróżyć nie jest łatwo.  
Przyszliśmy na plac całą grupą. Jest z nami Salah Youssif Kamei, egipski attache  
kulturalny,  
któremu tak zazdrościmy maluteńkiego prastarego pałacyku na rozległym terenie  
Villa  
Celimontana, gdzie ma biuro z prześliczną salką do wystaw, no i gdzie mieszka.  
Padre  
Lisandrini miota się po całym podium, ustawionym na wysokim żelaznym  
rusztowaniu. Coraz to  
ktoś z pomocy w czarnej sutannie, jak widać, zwraca mu uwagę na coś za murami.  
Kapucyn w  
miejsce podejrzane kieruje lornetę. Macha ręką. Nic ważnego! Przypadek! Raptem  
szum. Cały  
plac ożywia się. Koło nas klęcząca grupa seminarzystów zrywa się na nogi. Inni  
czynią  
odwrotnie. Księża odmawiający brewiarz chowają go do kieszeni. Tuż za Youssi-tem  
stojąca  
para, zdaje się Amerykanów, ostentacyjnie dobija zakładu. Nie oni jedni na  
rozległym placu grają  
w czarne czy białe. Jest to nietakt, zalatujący po trosze świętokradztwem. W  
wypadkach nazbyt  
bezceremonialnych interweniują karabinierzy. Para zostaje wyprowadzona.  
Cały plac to milknie, to wybucha okrzykami. Z wysokiego, cieniutkiego kominka  
Sykstyny  
ekspodują kłęby dymu, raz czarne, raz białe. Ludzie całują się, żegnają znakiem  
krzyża, płaczą,  
ciskają w powietrze chusteczki, klaszczą, wreszcie cisną się do przodu. Rura  
dymi teraz biało  
coraz niewątpliwiej. Kapucyn, kompetentny i ostrożny, który dotychczas pomimo  
wyraźnej  
przewagi białości ograniczał się jedynie do stwierdzenia, że dym „skłania się do  
bieli”, załamuje  
się i wybucha entuzjazmem. Biały! Biały! Nie można mieć wątpliwości, że biały!  
To  
nadzwyczajne! Fenomenalne! Papież wybrany w pierwszym, skrutynium! Nagle dym  
ustaje tak  
raptownie, jak gdyby ktoś zdusił rurę od piecyka. Plac cichnie. Mija minuta,  
która wydaje się  
godziną. Mija druga. Dzień jest przepiękny. Kapucyn jest bezradny. Coraz pilniej  
wpatruje się w  
okna, galerie i wirydarze, na które mu jego pomocnicy, jezuici, zwracają uwagę.  
Próżno jednak  
czeka znaków egzaltacji.  
Słucham go z podziwem. Ma swadę, impet, inwencję najdoskonalszego włoskiego  
komiwojażera czy ulicznego sprzedawcy. W Italii nie wystarcza im nauczyć się na  
pamięć tekstu  
reklamy. Muszą umieć w oka mgnieniu odpowiadać na zaczepki tłumu. Odciać się,  
zręcznym



słowem zażegnać nieprzychylny nastrój. Zakonnik Lisandrini opanował i tę sztukę.  
Tłum  
wprawdzie milczy. Nie pada ani jedno nieprzychylnie słowo. Milczenie to jednak  
należy  
rozładować. Jak również odeprzeć zaczepkę losu, który sobie z kapucyna  
zadworował. O.  
Lisandrini powraca do wydarzeń z poprzedniego dnia. Zatrzymuje się dłużej nad  
śmiercią  
amerykańskiego kardynała Edwarda Mooney, arcybiskupa Detroit, który rano,  
jeszcze w pełni  
sił, wziął udział w uroczystej mszy do Ducha Świętego o dobry wybór, a na  
godzinę przed  
conclave skonał.  
Próżno czekali na niego w sali książęcej dwaj . gwardziści papiescy, żeby go z  
należytych  
ceremoniałem odprowadzić do przypadającej mu celi. Próżno czekał nań w Kaplicy  
Sykstyńskiej  
wyznaczony fotel i baldachim. W zamęcie zdecydowano, by nie zwijać baldachimu i  
niczego nie  
wynosić. Od tej śmierci kapucyn przeszedł do innej, która ją poprzedziła. Do  
śmierci kardynała  
Celso Costantini, Kanclerza Kościoła Rzymskiego, który zmarł również w  
przededniu conclave.  
Ponieważ stary zabobon rzymski mówi, że zawsze w związku z conclave umiera  
trzech  
kardynałów, tłum od razu zapomina o pomyśle zakonnika i kaprysach kominka.  
Kapucyn pchnął  
już jego wyobraźnię na inne tory. Przychodzi mu z pomocą rura na dachu Sykstyń.  
Z. kominka zionie ciemny, posępny dym, jakby ciężki, bo się nie wzbija w  
powietrze. Tłum  
zjawisko interpretuje po swojemu. Znaczy to wszystko, że znowu jakiś kardynał,  
ten trzeci,  
umarł. Jeszcze z dziesięć minut, jeszcze piętnaście, nic się nie dzieje, więc  
tłum zaczyna się  
rozchodzić. Idziemy z Youssifem napić się kawy. Długi czas pasuje się ze swoim  
doskonałym  
wychowaniem. Nie pozwala mu ono w rozmowie towarzyskiej na wypowiedanie sądów,  
które  
mogą być dla innych nieprzyjemne. Nie może jednak strawić tego wróżenia z dymu i  
tego  
wyprowadzania wniosków z cieni. – „My, walcząc z podobnymi rzeczami w Egipcie –  
mówi –  
zawsześmy byli przekonani, że wy, Europejczycy, macie to już poza sobą”.  
Ale pociąga go to wszystko. Na kolacji jesteśmy, to znaczy i on, i my, u naszego  
kolegi  
Francuza. Odesłałem samochód i Youssif nas odwozi do domu. Po drodze proponuje,  
żeby  
zajrzeć na plac Sw. Piotra: „zobaczyć, co tam oni teraz robią”.  
– Śpią – mówię.  
– Ale swoją drogą, zobaczymy!

– Świetnie – zgadzam się.

Plac wspaniały, kolumnada, fasada, najcudowniejsza kopuła i to zdumiewające spiętrzenie

pałaców na prawo od niej, pełne załamań, płaszczyzn, spadów i uskoków, tak iż nieraz nocą,

kiedy ciemno, wydaje się dziwem natury geologicznej.

Teraz, kiedy jeszcze częściej chce mi się tu zachodzić, coraz mniej mam czasu, bo tyle

różnych zajęć przed wyjazdem. Zajeżdżamy od strony Janiculum, a potem przez Boigo S. Spirito.

Jakże rad jestem z pomysłu Egipcjanina. Jeszczem nigdy nie widział tego spiętrzenia tak

wyglądającego. Zawsze czarne jak smoła, wygaszone o tej godzinie – jarzą się loggie Rafaela,

pałac Sykstusa V, okna skrzydła Borgiów. Okna są zaciemnione, jak każą kanony, ale światło się

wydostaje szczelinkami. Czasem ktoś drzwi otworzy na taras czy balkon i na moment światło

buchnie. Potem znowu się utai i tylko fosforyzuje. „Dziw natury geologicznej” robi teraz

wrażenie gigantycznego statku na czarnej, smolistej wodzie, który się lekko chwieje.

Florencja, 28 października 58 r.

„Ten trzeci” nie umarł. To tylko do piecyka w Sykstynie, gdzie spalano kartki i notatki wraz

z tradycyjną słomą suchą lub wilgotną, co dawała różne dymy, zastosowano nowy wynalazek

dwojakich kulek, z których jedne miały wywoływać dym zdecydowanie biały, a drugie –

zdecydowanie czarny. Ale stało się to, co się przytrafia wynalazkom, na skutek czego stare zalety

rzeczy już nikną, a nowe jeszcze się nie pojawiają. Po południu kulki sprawiły się jeszcze gorzej.

Dym biały buchał tak uporczywie, że O. Lisandrini, mimo że się przy pierwszym skrutynium

sparzył, nie zawahał się zawołać: „Ha-bemus papami Katolicy wszystkich krajów, radujcie się!”

Po paru minutach dym biały się rozwiął. Radość i tym razem okazała się przedwczesna. Późnym

wieczorem pewna agencja związana z Watykanem podała, że po głosowaniu popołudniowym

przypadło kardynałowi Ottavianiemu spalenie kartek wyborczych. Ottaviani jest niemal ślepy.

Słąd jego niedzielna pomyłka. W poniedziałek też nie wybrano papieża. Ani we wtorek rano.

Tyle z wiadomości rzymskich.

We wtorek po południu – Florencja. Samolot wylatuje o dwunastej. O wpół do trzeciej

jestem w hotelu. O szóstej otwarcie wystawy, na którą przyjechałem. Prysłane z Warszawy

rysunki szkoły weneckiej w zbiorach polskich gościć będzie Galleria degli  
Ullici, najwspanialsze  
muzeum Florencji i jedno z najświetniejszych na terenie Włoch. Załatwiam parę  
telefonów, idę do  
Ullici zobaczyć, czy wszystko w porządku, a potem na herbatę do Paszkowskich.  
Byłem na ich  
ślubie, bo to krewni. Paradny to był ślub w kościele Santa Croce, tym z kaplicą  
Pazzich,  
najpiękniejszą Brunelleschiego. Wszystko bardzo dawno temu! Papini, ojciec panny  
młodej,  
Violi, jeszcze wtedy czuł się świetnie. Apodyktyczny, napastliwy, fascynująco  
inteligentny,  
rozmawiał ze mną równie chętnie, co łaskawie. Kiedy po latach przyjechałem na  
mój terazniejszy  
pobyt włoski, miał już odjętą mowę. Sparaliżowany, ślepy, pracował jednak  
nieprzerwanie. W  
ostatniej fazie życia Anna, córka Violi i mego kuzyna Stasia, recytowała mu w  
kółko alfabet, a  
on nerwowym grymasem zatrzymywał ją na właściwej literze. W ten sposób dyktował  
ostatnie  
książki całymi dniami. Przedtem, zanim całkowicie utracił mowę, bełkotał. Jedna  
Anna umiała z  
tego coś zrozumieć. I tak pisał. Umarł półtora roku temu.  
Papini był pisarzem katolickim. Dom Paszkowskich jest też arcykatolicki.  
Katolicyzm domu  
jest zachowawczy. Bliżsi mu są starzy ludzie kurii niż La Pira czy Dossetti.  
Piusa XII przez lata  
tu nie lubiano, bo wielbiono arcybiskupa Florencji, kardynała Dalia Costa, który  
był  
najpoważniejszym konkurentem Pacellego do tiary. Ale później wraz z Papinim dom  
zaczął  
obdarzać sympatią Piusa XII, gdy ten ocalił Papiniemu książkę U Diavolo, przeciw  
której miało  
już przygotowany dekret Sw. Oficjum. Książka jest świetna, głównie eru-dycyjna,  
kończy się  
jednak tezą, że kiedy już Sąd Ostateczny się odbędzie i świat nasz zagaśnie,  
Bóg przebaczy  
szatanowi.  
Teologicznie taka amnestia jest absurdem. Etycznie biorąc jest ryzykowna,  
ponieważ  
zakładając ułaskawienie szatana, likwiduje wieczys-tość piekła. Wieczne ono  
jest, Kościół wciąż  
tym straszy, a i tak to nie pomaga, ludzie grzeszą śmiertelnie. Cóż by się tedy  
stało z  
chrześcijańską moralnością, gdyby dopuścić do głosu przekonanie, że piekło ma  
koniec. Stąd  
zamierzony dekret, anatema i indeks, co dla Papiniego, którego nakłady w krajach  
katolickich  
szły w miliony, mogło mieć skutk: katastrofalne. Pius XII go uratował. Uznał, że  
II Diavolo nie

wyraża żadnych myśli teologicznych, filozoficznych czy eschatologicznych. Jest natomiast tylko fantazją literacką. Posunął się nawet krok dalej. Ponieważ w prasie katolickiej ukazały się już niedyskrecje na temat przygotowywanego przez Sw. Oficjum dekretu, dał cichą zgodę na to, by książkę sprzedawać z opaską: „11 Diavolo Giovanniego Papini nie jest na indeksie”.

W mieszkaniu Paszkowskich przy Lungarno Guicciardini z tarasem o niezwykłym widoku na całą Florencję, zastaję prof. T. Próżno próbujemy z Violą i Stanislao snuć wątek wspomnień, T. zapędzą nas do aktualniejszej tematyki. Wracam z Rzymu, przesycony nią. Ale przecież cała Italia nią żyje. A więc znowu horoskopy, obliczenia, przepowiednie snujące się wokół problemu, kto będzie papieżem. T., zresztą związany z tutejszą kurią, mówi rzeczy interesujące. My słuchamy. Twierdzi przede wszystkim, że „w tak krytykowanym ostatnio postępowaniu Piusa XII była metoda”. Chciał on pozostawić swemu następcy pełną swobodę. Dlatego „wymiótł pole”, nie mianując dygnitarzy i kardynałów. Ten, co teraz przyjdzie, ujrzy przed sobą pustkę i margines wolności tak szeroki, z jakim nie spotkał się od dawna żaden nowy papież. Kilku kardynałów z charakterem w kurii rzymskiej, przepłoszonych i bardzo starych, oto wszystko. A poza tym – tabula rasa. I pełne zgorączkowanej ufności oczekiwanie. To jest jasne. Czy jednak wybór padnie na człowieka zdolnego zapisać białą kartę i zaspokoić obudzone pragnienia, to odmienna kwestia. Nie jedyna. Niektórzy przecież wątpią o tym, czy wśród kandydatów, nadających się z różnych względów, są wielkie indywidualności. T. twierdzi, że jest niepokojące, do jakiego stopnia wszyscy wszędzie są za Montinim. Nie jest on kardynałem i kardynałowie nigdy sami sobie nie wyrządzą takiego despektu, by wybrać na papieża kogoś nie należącego do ich grona, wystawiając tym samym Świętemu Kolegium świadectwo ubóstwa. Vox populi jednak rzeczywiście sądzi, że jest ono ubogie w kandydatów, skoro kieruje marzenia w stronę prałata bez purpury.

Następnie T. analizował zagadnienie trzech grup wśród kardynałów. Najsilniejszej – konserwatywnej, nieco słabszej, zwanej renowatorską, i trzeciej, najsłabszej, wahających się, która ostatecznie zdecyduje. Zgodził się z tym, że podział jest słuszny. Nie

jest on jedyny.

Podział kładzie nacisk na poglądy społeczne kardynałów, podczas kiedy o wiele słuszniej,

choć niestety o wiele trudniej, byłoby ich podzielić podług innego kryterium.

A mianowicie

podług ich stosunku do roli katolicyzmu w społeczeństwie współczesnym.

Alternatywa tu jest

skrajna; dążenia różne. Jedni, integraliści, chcą, aby w społeczeństwie katolickie było wszystko.

Antyintegralistom wystarczy, aby katolickie były dusze. Optimum integralistów to rząd, partia,

władze, urzędy, instytucje, związki, organizacje – wszystko jedynie katolickie.

Program minimum

to katolickie repliki tego wszystkiego, jawne czy niejawnie, jeśli państwowe i urzędowe oryginały

nie są katolickimi. Antyintegraliści uważają, że wszystkie wyżej wyliczone pola działania to

domena Cezara.

Cechą naszych czasów jest, zdaniem T.r że Bóg i Cesarz są dwiema różnymi instancjami.

Każda z tych instancji rozwija się w innym wymiarze. Tak dalece innym, że ludzie mogą się

obrać w jednym z tych wymiarów lub innym i nie zderzać się. Co więcej, postępy, czyny,

myśli tego samego człowieka mogą należeć do pierwszego wymiaru lub do tego drugiego, nigdy

z sobą nie pozostając w sprzeczności. T. zapewnia, że jest to zasadnicze kryterium podziału. Co

do innych problemów – decentralizacji, pracy bardziej kolegalnej niż dotychczas i tego, że na

przyszłość o polityce społecznej miejscowego Kościoła powinien decydować ordynariusz

odpowiednio do warunków lokalnych – zgodni są nieomal wszyscy. Natomiast co do podstawowej alternatywy zdania są podzielone.. Tę część wywodów T. kończy wyborną formułą:

„Wedle an-tyintegralistów istnieje Bóg i Cezar, wedle inte-gralistów Bóg i dwu Cezarów. Jeden z

nich jest katolicki i póki drugiego nie pokona, Bóg nie zazna spokoju”.

Wśród włoskich kardynałów, mówi T., niestety sporo jest integralistów. Nawet większość ich

to integraliści. Składa się na to wiele przyczyn. Przede wszystkim deformacje na skutek patrzenia

na samo zagadnienie poprzez pryzmat włoski. Watykan jest twierdzą katolicyzmu; Italia –

przedpołem tej twierdzy; na tym przedpołu ze względu na moment historyczny winien panować

stan obłączenia. To jest kurialny aksjomat. Takie spojrzenie i taka formuła deformuje potem

spojrzenie włoskich kardynałów, kiedy zwracają je na zewnątrz ich kraju.

Inną przyczyną deformującą – to katolicyzm amerykański. Jest on młody, świeżego

szczepu,  
neoficki, fanatyczny. Z tych powodów – arcy-integralistyczny. Rzuca pieniędzmi.  
Jest prężny.  
Bogactwem i sprawnością organizacyjną fascynuje stary Kościół włoski. Ogarnia  
wpływami nie  
tylko Watykan, to jest kurię z jej kardynałami, ale równie w terenie –  
kardynałów ordynariuszy.  
Mimo to T. jest niezłej myśli. Uważa klimat, w którym odbywa się conclave, za  
dobry. W duże  
zmiany, które by mógł przynieść nowy pontyfikat Włochom, nie wierzy. Jego  
zdaniem tyle jest  
sił i tyle interesów kościelnych i świeckich, głównie włoskich, zaangażowanych w  
to, by się nie  
nie zmieniło, że nikt tu nic nie poradzi. A jeśli Włoch zostanie, to chyba nawet  
nie bardzo zechce.  
Jest tego zresztą pewien, że przyjdzie Włoch, ponieważ nadal Włosi rozporządzają  
w kolegium  
kardynalskim największą ilością głosów. Mówi wreszcie: „Cała nadzieja to to, że  
dla reszty  
katolików na świecie nie będzie tylko Włochem!”  
Wywody jego przerywa krzyk z sąsiedniego tarasu, żeby słuchać radia. Biegniemy  
do salonu.  
Aparat rozżarza się. Poznają głos O. Lisandrini. Oznajmia właśnie wybuch  
„egzaltacji”. Monsig-  
norowie i conclaviści świeccy nie kryją się już. Pełno ich w oknach, loggiach,  
balkonach.  
Powiewają chustkami. Sala Błogosławieństw rozświeca się. Czekamy jeszcze z  
dziesięć minut,  
aż wreszcie kardynał dziekan Canali obwieszcza, że papieżem został patriarcha  
Wenecji,  
Eminen-tissimus ac reverendissimus dominus cardinalis, Angelus Josephus  
Roncalli, który  
przybrał sobie imię Jana XXIII.  
Rzym, 31 października 58 r.  
Wracam po kilkudniowej nieobecności do Rzymu. Zatrzymałem się parę dni we  
Florencji,  
żeby się pożegnać z przyjaciółmi. Z Florencji pojechałem do Bolonii otwierać  
wystawę Kobz-  
deja, Marczyńskiego, Lebensztejna, Brzozowskiego i Gierowskiego. We Florencji  
sąd apelacyjny  
uniewinnił biskupa Fzordelli i proboszcza Aiazzi. W Bolonii słyszę, że za  
miesiąc czy dwa  
Dosetti przyjmie święcenia. Szybko to poszło. Ale pro-iessorino Dosetti studia z  
prawa  
kanonicznego i teologii miał już dawno za sobą. Do stanu duchownego też się  
przygotowywał od  
lat, .tyle że nie chodząc do seminarium. Kardynał Lercaro uznał go za dojrzałego  
do kapłaństwa.  
Będzie go sam wyświęcał. Jest dla mnie coś patetycznego w tym akcie. Oto  
sztandarowy polityk

postępowego skrzydła katolików włoskich złożył tym razem broń raz na zawsze.  
Tyle że złożył ją na ołtarzu. Wyrok w sprawie Bellandich, którzy zaskarżyli biskupa z Prato o zniesławienie, ponieważ nazwał ich publicznymi grzesznikami i cudzołózcami, bo wzięli ślub cywilny – też ma posmak gorzki. Cóż z tego, że biskup się zagalopował i w pierwszej instancji poniósł porażkę. Od chwili kiedy Watykan się wmieszał, Kościół nie mógł przegrać ostatniej bitwy. To już tak jest tutaj.

W Rzymie po conclave egzaltacja zatacza coraz szersze kręgi. Nowy papież wybrał sobie imię zaskakujące. Od sześciuset lat nie było na stolicy Piotrowej Jana. A ostatnio, to znaczy od co najmniej dwustu lat, nic tylko w kółko: jak nie Leon czy Klemens, to Grzegorz, Benedykt czy Pius. „Jan” zatem zabrzmiało rewolucyjnie, chociaż to imię prachrześcijańskie i apostolskie. Zabrzmiało jak zapowiedź odnowy. To dla świata! Dla miasta, zmęczonego sztywnościami poprzednika, też wiele zmian sympatycznych. Rzym egzaltuje się nimi. Po kawiarniach, restauracjach, salonach, biurach, redakcjach mówi się tylko o tym, co jest i jak jest teraz za murami watykańskimi inaczej. Nowy papież nie przechadza się po ogrodach sam. Nie irytuje go, że się ludzie w pobliżu kręcą. „Mam zdrową wątrobę i nerwy jak postronki – mówi – nic mi widok ludzi nie szkodzi.”

Ani Zeus, ani Serafin, ani Faraon, spaceruje sobie po Watykanie jak ksiądz po swoim nowym probostwie, zaglądając do wszystkich kątów. Do stacji radia watykańskiego poszedł, bo „czegoś takiego nie miał w Wenecji”. Zajrzał do stolarni podziękować stolarzom za ich prace przygotowawcze do conclave. Napił się z nimi wina. A wszystko to bez żadnych ceremonii i planu, opracowanego przez mistrzów protokołu. Nie lubi on go i łamie co chwila. Nie chce jeść sam, jak tego wymaga tradycja. Sam przy stole czuje się „jak ukarany seminarzysta” – powiada.

Wezwał do siebie hrabiego delia Torre, redaktora Osservatore Romano, i zakazał używać w stosunku do swojej osoby owych pompatycznych wyrażen, tak charakterystycznych dla poprzedniej epoki. A więc żadnych „dostojnych warg”, „natchnionych słów”, „najwyższych pouczeń” i „najprzewielebniejszych kroków”. Ale po prostu „papież powiedział”, „papież zrobił”

i „papież poszedł”.

Syn chłopski, przywiązany do swej wioski, którą, czy to nuncjusz, czy patriarcha, czy kardynał, co roku odwiedzał – lubi swoje pochodzenie. Uważa, że dobrą rzeczą jest wyruszyć z samego dołu, ponieważ to uczy życia. Jego ród chłopski sprawia, że egzaltacja obejmuje szerokie kręgi ludności. Słyszę od P., że i artyści się cieszą. Mieli oni z poprzednikiem Roncallego w Wenecji, kardynałem Piazza, prawdziwe skaranie boskie. Nie pozwalał on księżom chodzić na Biennale, walczył z filmowymi festiwalami, szykanował festiwale muzyki nowoczesnej. Ustało to z Roncallim, który sam od wielkiej wystawy malarskiej w Wenecji nie stronił. O malarstwie abstrakcyjnym powiadał, że „nie rozumiem go, ale ono mnie interesuje”. Pozwolił na koncerty muzyki Strawińskiego w Bazylice Sw. Marka, mimo sprzeciwów kurii, która krzywiła się na Strawińskiego: nie tyle że nowoczesny, co że prawosławny. Świętą wojnę Piazzę przeciw szortom i dekoltom na ulicach Wenecji zawiesił. Polecał organizować wycieczki seminarzystów i młodzieży do Wenecji wiosną czy jesienią, a nie latem, kiedy się ludzie, przeważnie zagraniczni turyści, najbardziej obnażają. A więc kompromisowe rozstrzygnięcie i sensowne. Zdaje się, że do takich rozstrzygnięć był skłonny z natury. Ale największa egzaltacja – w kurii. A dlatego największa, że płynąca z powodów osobistych. Nominacje sypią się. Jedne już są podpisane. Długa lista innych przygotowuje się. Wedle starego obyczaju sekretarz conclave, ów monsignore, z re-góły wysoki dygnitarz watykański, do którego obowiązków należało po wyborze ubierać nowego papieża, zostawał właśnie wtedy kardynałem. Podawał on białą piuskę nowemu papieżowi, a wtedy ten, zdejmując z głowy swą dotychczasową kardynalską, kładł ją na głowę sekretarza conclave. Nieoficjalnie zostawał on wtedy kardynałem. Tak było od wieków. Aż – przerwała się tradycja. Nie wznowił jej Pacelli. Kiedy mu ówczesny sekretarz conclave podał białą piuskę, Pius XII swą starą schował do kieszeni. Jan XXIII powrócił do starej tradycji. I oto monsignor Jorio będzie kardynałem. Czeka tylko konsystorza, na którym nominacja zostanie oficjalnie ogłoszona. Czeka oczywiście bez palpacji, pewien swego. Równie pewni swego czekają inni. Lista nowych kardynałów zapowiada się



olbrzymia. Około dwudziestu kilku. Pius XII czekał osiem lat z pierwszym konsystorzem. Jan XXIII nawet przepisowych czterdziestu dni, które winny upłynąć od zapowiedzi do samej uroczystości, nie chce czekać. Tam gdzie nie musi walczyć z przepisami, mianuje od ręki. Olo już kardynał Aloisi Masella został pełnoprawnym cameilengo, tym razem zgodnie z kanonicznymi wymogami, bo nie z woli ko-legów-purpuratów, ale papieża. Oto już monsignor Callori di Vignale powołany został na maggiordo-ma, a monsignor Nasalli Rocca di Corneliano na maestra di Camera. Obaj czekali na tę nominację od wielu lat. Inni monsignorowie, pieszczący się nadzieją na tytuł i pensje szambelanów sekretnych, partycypujących, też nareszcie dopłynęli do portu. Niebawem dopłynie do swego portu i monsignor Tardini, bo mu Jan XXIII przy pierwszym spotkaniu zapowiedział, że wraz z kapeluszem otrzyma nominację na Sekretarza Stanu. Jak na kilka dni pontyfikatu to mnóstwo. Zwłaszcza kiedy się pamięta, że jedno posunięcie się o szczebel wyżej powoduje ruch ku górze na całej drabinie jubilującego z tego powodu dykasterium. Jubilują w ten sposób nieomal wszystkie dyka-sterie, wszystkie kongregacje, urzędy, trybunały. Cała kuria jest tedy ogarnięta jedną wielką egzaltacją. Pisma pełne fotografii nowego papieża. Za fotografie przedstawiające go w gondoli płacą bajońskie sumy. Jest ich sporo, ponieważ Jan XXIII, przez siedem lat patriarcha Wenecji, często posługiwał się tym środkiem komunikacji. Ale redakcje nie mogą się nimi nasycić, ponieważ czytelnicy pism nie mogą się nimi nacieszyć. Pod reprodukcjami zdjęć figurują olbrzymie podpisy PASTOR et NAUTA. Tak brzmi odnosząca się do nowego papieża przepowiednia według św. Malachiasza. Wszyscy wiedzą, że przypisywane mu „Proroctwo o papieżach” jest apokryfem z XVI wieku i że święty prymas Irlandii, który zmarł w roku 1148, nie przykładał do niego ręki. Ale wiedza wiedzą, a przyjemność przyjemnością. Odczuwa ją każdy. Płynie ona z otarcia się o tajemniczość i o jakieś nierzeczywiste ramy, ujmujące świat wedle praw dla rozumu ludzkiego niedostępnych. Jest tak duża, że każdy gotów przymknąć choć na chwilę oko, by nie dostrzec, że ze wszystkiego, co można o Roncallim powiedzieć, fakt, że czasami pływał gondolą, jest nie

najważniejszy; tak samo, jak postawienie znaku równości między pasażerem gondoli a żeglarzem (nauta) jest grubym naciąganiem. Ale trudno! Nawet z S., tak zawsze ironicznym niedowiarkiem, trudno dziś dyskutować. Oczy mu błyszczą, ogląda z roza-nieleniem zdjęcia, o których mówię, i woła: „To jednak jest nadzwyczajne!”

Rzym, 3 listopada 58 r.

Jutro koronacja. F. mówi, że całe Święte Kolegium Mistrzów Apostolskich Ceremonii błagało o zwłokę, nie czując się na siłach przygotować w ciągu tygodnia taką uroczystość, największą ze wszystkich, jakie zna Kościół. Jan XXIII się uparł. Chce mieć za sobą czas przejściowy, etap, który zamyka się dopiero z koronacją. Dla kurii jest to ogromny wysiłek, tak od strony liturgicznej, jak i od strony protokolarno-dyplomatycznej ze względu na delegacje i zjazd osobistości, wśród których mnóstwo różnych dawnych koronowanych głów czy pretendentów do tronu. Wszystko to spieszy pokłonić się nowemu papieżowi. Mniejszy kłopot byłby z patriarchami, metropolitami i biskupami, którzy ściągają do Rzymu, gdyby nie ich ogromna ilość. Wszystko to trzeba hierarchicznie posegregować, dając właściwe miejsce w Bazylice 1 pochodzie, ponieważ jest to świat niesłychanie wrażliwy na prestiż. Byle omyłka, a kwasów na lata. P. opowiada, że większość z nich to ludzie, którzy niekiedy po dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat czekają na awans. Stąd te ich późniejsze chorobliwe drażliwości. Zjedzie wreszcie na uroczystość wielka ilość arystokracji. Włoska stawia się w komplecie. Francuska, niemiecka, belgijska – masami. Całe towarzystwo w Bazylice trzeba odpowiednio usadzić. A jeszcze do tego wszystkiego dochodzi liturgia. Bądź co bądź, koronacja papieża jest uroczystością sakralną, i to nie byle jakiego wymiaru. Toteż cała kuria, bo kto żyw jest zmobilizowany, podpira się nosem ze zmęczenia.

– A wydaży? – pytam.

– Musi! – wykrzykuje P.

Wieczorem rozmowa z V. Jest to katolik fanatyczny, ale z gatunku – jak ich nazywa S. – „katolików zatroskanych”. Troszczył się Piusem XII i różnymi rzeczami za jego pontyfikatu.

Pytam, co się zmieni i czy się co zmieni. To wiem, że zmieni się wiele w kurii; zamiast dwunastu, kuria liczyć będzie podobno dwudziestu czterech kardynałów. To pewne również, że

nowy papież będzie w poważniejszych sprawach zasięgał jej zdania i może nawet opierał się na nim. Bardzo starych zastąpią nie tak starzy. Prałatów, którzy przekroczyli osiemdziesiątkę, zastąpią młodszy, to znaczy tacy, którzy przekroczyli siedemdziesiątkę. Zmieni się także dużo w stylu panującym na dworze papieskim. Atmosfera odpręży się. Stanie się czystsza, zwyczajniejsza i bardziej ludzka. To nie ulega wątpliwości. Ale co się zmieni pod tą zmienioną powierzchnią, oto najważniejsze!

V. tyle się nalroszezył ostatnio, że na razie odprężony patrzy na sprawy optymistycznie. Sam zresztą określa w ten sposób swój stan. Biografia Roncallego napawa go ufnością. Nie tylko jego proste pochodzenie, ale jeszcze wiele innych elementów. Sekretarzował przez lata jednemu z nielicznych biskupów, którzy wzięli na serio wskazania socjalne Leona XIII z encykliki Rerum Nova-rum, monsignorowi Radini-Tedeschi. Tak biskupa, jak i jego sekretarza zaliczano do „szerokich”, czyli mających szersze horyzonty. Kiedy ich przeciwnicy, „niezłomni”, doszli pod Piusem X i kardynałem Merry del Val do władzy, a do tego zmarł Radini-Tedeschi, Roncalli poszedł w cień i przez siedem lat nikt o nim nie słyszał. Przypomniął go sobie dopiero Benedykt XV. Ściągnął niebawem do Rzymu, przydzielając do Propaganda Pide. W parę lat później przechodzi do dyplomacji. Dwadzieścia lat spędził na placówkach w Bułgarii, Turcji, Grecji, a więc w krajach niekatolickich. Następne osiem lat w Paryżu jako nuncjusz. Ale i tu – podkreśla to V. – musiał się liczyć z opinią inną niż katolicka, bo z laicką. V. uważa to za ważne. Uważa, że jest to rzecz, która w szczególnie owocny sposób kształci włoskich monsignorów. Po Paryżu przyszła Wenecja.

Ta już katolicka, lecz od wieków z tradycją niezależności od Rzymu. Tyle co do biografii. Nastrój optymistyczny V. wypływa z jeszcze innych przesłanek. V. twierdzi, że Roncalli pozostał do dziś „szerokim”. Jako nuncjusz w Paryżu forsował na terenie rzymskiej kurii postępowych kandydatów do mitry biskupiej. Długo osłaniał księży-robotników. Do katastrofy, to znaczy do potępienia ich przez Święte Oficjum, doszło po jego wyjeździe. W Wenecji przez trzy lata osłaniał lewicę chadecką. Natarł na nią dopiero w roku 56, znów z nakazu Sw. Oficjum.

– Ale – wylicza V. – wkrótce potem pasterskim listem witał zjazd socjalistów,

przyjął  
delegacje stowarzyszenia kobiecego, którym kręcą komuniści. A ostatnio spotkał  
się z grupą  
katolików litewskich zza żelaznej kurtyny i jedyny z kardynałów poszedł na  
dworzec przywitać  
się z waszym kardynałem Wyszyńskim; i jedno, i drugie pomimo wyraźnych  
zastrzeżeń Rzymu.  
Jasne, że na terenie miasta bliższy mu był hr. Vittorio Cini, właściciel portu  
handlowego w  
Wenecji i dziesiątka pałaców, fabryk, folwarków, niż tak miły panu komunistą  
Luigi Cini, lektor  
języka polskiego i organizator setek imprez propagujących sztukę i naukę ludowej  
Polski, o  
których nieraz mi pan opowiadał. Roncalli nie jest jednak prywatną osobą, jest  
księciem  
Kościoła, który ma swoje pre-dylekcje. Nie byłoby jednak sprawiedliwe nie  
ujenać, że klimat  
karii weneckiej nie jest tak ciężki, jak gdzie indziej. Niechby pański Cini  
spróbował w Palermo  
czy Genui pod nosem Ruffiniego czy Siriego działać jak w Wenecji, skończyłoby  
się to rychło.  
V. zamyśla się:  
– Pewnie, że są to rzeczy skomplikowane. Bez wątpienia w tym wszystkim i  
temperament  
odgrywa rolę, i usposobienie, i może nawet pewne rachuby. Pewnie, że czym innym  
jest Sofia,  
Konstantynopol, Ateny, Paryż czy nawet Wenecja niż rzymska kuria, gdzie trzeba  
będzie  
zupełnie czego innego, by widzieć wokoło siebie zadowolone twarze, co tak bardzo  
Roncalli  
lubi. Może nawet trzeba będzie pójść na kompromisy i to najpewniej z pozycji  
obcej  
Roncallemu, bo odwróconej. Ale w tym wszystkim pozostaje fakt niezaprzeczony, że  
nawet  
uwzględniwszy wszystko najgorsze, margines na nadzieje pozostaje, którego by  
przy innym  
wyniku conclave w ogóle nie było.  
Rzym, 5 listopada 58 r.  
Uroczystość fantastyczna! Wstajemy o piątej z rana, żeby zdążyć jak najwcześniej  
do Sw.  
Piotra. Mamy bilety na jedną z trybun, nawet dobrą, ale miejsca nie są  
numerowane. Kto  
przyjdzie pierwszy, zajmuje miejsce najlepsze, przy balaskach. Wjeżdżamy przez  
Arco delie  
Campane. Trzymamy w ręku nasze permesso personale per assistere alla  
Coronazione. Służba  
porządkowa znakomita. Mnóstwo Szwajcarów, gwardzistów, żandarmów. Przekazują nas  
sobie z  
rąk do rąk. Jest wpół do siódmej, a wszystkie place, placyki i uliczki, obejścia  
za Bazyliką pełne

samochodów. Wyskakują z nich wspaniali prałaci, panowie w uniformach lub frakach, obsypani dekoracjami, panie w czarnych sukniach i welonach, obsypane brylantami. Padzi to jak oszalałe, poganiane przez szambe-lanów i monsignorów z ceremoniału, mniej dbałych w tym momencie o protokół co o to, by nie powstał korek. Najpierw msza, przeplatana hołdem składanym nowemu papieżowi przez kardynałów i kanoników od Sw. Piotra. Potem koronacja. Potem pochód i z łoży zewnętrznej uroczyste błogosławieństwo tłumowi, który się zgromadził na placu przed świątynią. Trwa to wszystko razem pięć godzin. Jest czymś niezwykłym. Jedynym w swoim rodzaju. Uroczystość kolosalna, miażdżąca. Wychodzimy z niej zbombardowani, sproszkowani od nawały światła, tonów, kolorów. Tysiące lamp, fanfary, hymny; z murów zwisają kilometry purpurowych, mieniących się od galonów tkanin; przesuwają się coraz to bardziej zdumiewające swymi barwistymi strojami korowody. Wszystko ma podskórne, prastare, najczęściej niezmiernie zawile znaczenie liturgiczne. Tłumaczy je nam monsignor, któregośmy sobie z Zosią przygadali. Naszeptuje nam do ucha różne mądrości. Ale przeszkadza nam wniknąć w mistyczny sens wydarzeń, które się ucieleśniają przed naszymi oczami, hałas trąb i różna muzyka, na przemian Palestriny i Gounoda, który jest autorem państwowego hymnu watykańskiego o z lekka operowej melodii. Ale nawet gdybym wszystko z wyjaśnień dosłyszał i nie był półprzytomny ze zmęczenia, sądzę, że nie naruszyłoby to proporcji między zachwytem nad formą a obojętnością w stosunku do treści. Nie dlatego, że jest mi obca, bo obca mi nie jest, ponieważ Rzym uczy zachwyty dla wszelkiej starożytności, nie tylko dla etruskiej czy łacińskiej. Jeśli w tym wypadku mówię o obojętności, to dlatego, że niknie tutaj treść pod formą. Porywającą, wspaniałą, zaborczą. Zosia, zawsze opanowana, szeroko otwiera oczy. Przypomina jej się zdanie z Emersona, które wypowiada półgłosem. Brzmi ono: „Religia jednej epoki jest poezją dla drugiej”. Milknie. Bo oto ukazuje się zza papieskiego ołtarza kulminacyjny korowód, który zdąża ku wrotom Bazyliki. Tłum w urzeczeniu krzyczy, klaszcze. Papież z wysokości sedia gestatoria, na których go noszą bussolanci w malinowych liberjach, błogosławi. Pochód posuwa się wolno. Skrzy się, mieni. Zakony, kapituły, kardynałowie, mistrzowie zakonów rycerskich,

dygnitarze  
watykańscy w ubiorach, każdy z innej epoki, w zależności od tego, kiedy urząd,  
który piastuje,  
powołany został do życia. Potem przez pół godziny przesuwają nam się przed  
oczyma infuły, nie,  
tylko infuły. Jedni mają je na głowach, to Assistenti al soglio, inni niosą je w  
rękach, przytulone  
do piersi – to ci, co nie posiadają tytułu „Asystujących przy tronie”.  
Ale tak niesione czy inaczej, są najróżniejsze. Monsignor objaśnia nam, która  
jest preziosa,  
która auritregiata, a która semplice. Tłumaczy nam, kto, kiedy i w jakich  
okolicznościach ma do  
jakiej prawo. A potem, niemalże dotykając infuły palcem, tak jesteśmy blisko,  
wtajemnicza w  
świat kształtów tych uroczystych biskupich nakryć głowy, które podług słów  
formuły  
konsekracyjnej  
winny im, „w pełni żołnierzom służyć za hełm obronny... tak aby twarz, która się  
nim zdoła,  
i głowa, która się nim zbroi, ukazywały się straszne wszelkim wrogom prawdy”.  
Straszna nie  
wydaje nam się żadna z infułów. Niektóre z nich mają formę niezwykłą. To mitry  
różnych  
metropolitów czy patriarchów innych rytów niż rzymski. A więc Melchitów, Koptów,  
Maronitów, Chaldejczyków czy Ormian.  
Rzeki infułów mija, tak jak minęły poprzednie sekcje pochodu, purpuratów, rycerzy,  
dygnitarzy;  
a z kolei oficjalnych delegatów sześćdziesięciu państw i rządów, które przysłały  
na uroczystość  
specjalne misje. Po nich nastąpiły jeszcze dwie sekcje pochodu, już ostatnie,  
którym towarzyszyli  
monsignorowie z ceremoniale i oficerowie z gwardii papieskiej. Przy pierwszej  
doznałem  
dziwnego uczucia. Dotąd szli ludzie żyjący, tyle że poprzebierani w historyczne  
stroje. Teraz zaś  
normalnie, po dzisiejszemu ubraniu, wydawało się, że idą duchy. Niczym w epilogu  
„Wariatki z  
Chaillot” można było pomyśleć, że jakiś lamus się otworzył. Pierwsza szła  
cesarzowa Zyta,  
austriacko-węgierska, zdeponowana czterdzieści lat temu. A potem w  
kolejności, tak jak ich  
strącano z tronu, Ruprecht Bawarski, Fryderyk Saski, Joanna Bułgarska i wielu  
innych. Za nimi  
szli pretendenci. Za nimi – ich rodziny.  
Nasz monsignor tylko znikomą ich część rozpoznawał. Słyszałem wciąż: Aosta,  
Habsburg,  
Burbon, Bonaparte, Braganza, Cobourg-Gotha, Savoia, raz nawet Hohenzollern. Po  
tej sekcji,  
historycznej, była jeszcze jedna, otoczona troską watykańskiego protokołu. Znowu  
fraki,

ordery. B Sami panowie. To oficjalne delegacje przysłane I przez wielkie ciała międzynarodowe, a więc przez I Organizację Narodów Zjednoczonych, a także przez jej różne przybudówki, oraz przez ciała europejskie, Rynkową Wspólnotę Europejską, Radę Europejską, Wspólnotę Węgla i Stali oraz Europejski Pool Atomowy. Wychodzimy. Wciskamy się w morze ludzkie na placu przed Bazyliką. W świetle dziennym kolory mundurów i strojów kościelnych stają się jeszcze żywsze. Część pochodu z papieżem i kardynałami udaje się do Sali Błogosławieństw. Reszta, w czym setki infuł, rycerzy maltańskich, wyorderowanych panów i Szwajcarów w wypolerowanych hełmach i pancerzach, zajmuje całą przestrzeń monumentalnych schodów do Bazyliki. Jeszcze kwadrans i teraz ma się wrażenie jakiegoś kolosalnego operowego tutti w maksymalnej skali. W centrum, w loggii nad westybulem, ukazuje się papież. W złocistej cappa magna świeci się jak jakiś ogromny anioł z choinki. Okna Sali Błogosławieństw zajęte są przez kardynałów. Mają na sobie srebrne kapy i infuły. W każdym olbrzymim oknie sali stoi ich po siedmiu. Stoją rzędem. Wszyscy razem robią wrażenie fryzu. A jeszcze bardziej – połączonych rękami człowieczków z dziecinnej wycinanki. Widowiskowo całość, począwszy od pstrego, a zarazem wyrównanego ludzkiego morza u stóp Bazyliki, a kończąc na jej porywającej kopule, jest czymś doskonałym. Złoty akcent w środku, białosrebrny szereg kardynałów, na schodach do Bazyliki ta nieokielznana barwista rabata, cóż za architektoniczno-malarskie чудо. Patrzymy i patrzymy z Zosią na tę jedyną w swoim rodzaju wizję. Rzym, 7 listopada 58 r. Idę się pożegnać z E. Pyta mnie, czy byłem na uroczystości. „Byłem”. „I jaka była?” „Zachwycająca”. „A kiedy pan wyjeżdża?” „Już! Już!” „Pakuje pan walizki!” „Pakuje”. Tyle doznałem od niego życzliwości i tyle mi różnych ciekawych rzeczy w ciągu lat, kiedy go odwiedzałem, naopowiadał. Przykro mi, że zastaję go znowu nie w humorze. Przyczyna wciąż ta sama. Ledwie przegryzie się przez jakiś problem, przygotowuje materiał i siądzie do pisania, temat okazuje się drażliwy. Przed rokiem odłożył na półkę notatki i pierwszy szkic pracy o otoczeniu papieża w przekroju historycznym. Zanadto wszystko brzmiało aluzyjnie. Ostatnio pracował nad

pierwszym pięcioleciem pontyfikatu Piusa IX. Ten sam kłopot. Nie zamierzone aluzje, przypadkowe skojarzenia, tok rozumowania pobrzmiewający najgorszą wróżbą. Chodzi o to, że Pius IX wstępował na tron w aureoli postępowca i liberała. Poprzednik jego, twardy Grzegorz XVI, związany na śmierć i życie ze Świętym Przymierzem, długo nie mógł się zdecydować na zamianowanie go kardynałem. „W domu Mastai nawet koty są liberalne” – powiadał. Co o kotów, to wątpliwe, natomiast faktem było, że brat przyszłego Piusa IX, hr. Mastai Ferretti, tak się skompromitował swymi związkami z postępem, że został skazany na wygnanie. Po śmierci Grzegorza na conclave zwalczały się dwa stronnictwa: konserwatystów „skrajnych” i „umiarkowanych”. Zwyciężyli ci ostatni. Nowy duch zapanował w kurii. Publiczne audyencje, wstrzymanie dochodzeń za przestępstwa polityczne, amnestia, złagodzenie cenzury, milicja obywatelska, rada ministrów, w skład której weszło sześciu ministrów świeckich, a tylko trzech duchownych, a wreszcie konstytucja, od wieków marzenie większości poddanych państwa papieskiego – oto jak się zaczęło. Konserwatyści bali się. Ale papież parł naprzód. Godził się ze swym doradcą, który twierdził, że „Italia nie jest nastrojona komunistycznie ani radykalnie” i że wystarczy jej wolność umiarkowana. Ale zanim się skończył rok 1848, wszystko się zmieniło. Sprawili to naciski obcych rządów i kurialni konserwatyści, którzy odzyskali głos. Wolność, która przychodzi po wiekach ucisku, zgodnie z formułą E., musi się wyszumieć. Kiedy się to dzieje, nawet kiedy szumi w sposób krwawy i szalony, należy wciąż mieć w pamięci sumę przeszłych ucisków. Wtenczas niejedno terazniejsze maleje i nabiera właściwych wymiarów. Papież jednak przestraszył się, stracił głowę, uciekł z Rzymu. Wezwał Francuzów, Hiszpanów, Austriaków i Burbonów z Neapolu na pomoc. Kiedy w rok później powrócił do swojego Rzymu, wydanego na ten czas w ręce „skrajnych”, którzy przywrócili stary ład gregoriański, nie był to ten sam człowiek. Wzlot załamał się. Teza książki jest jeszcze posępniejsza od finału opisywanego przez niego pięciolecia. O ile z jego wyjaśnień zrozumiałem, zwraca on uwagę na to, że chociaż wypadek Piusa IX jest skrajny, wcale nie jest nietypowy. W zasadzie nowi papieże zawsze są liberalni. Niewielu z nich, by się tak wyrazić, wstępował na tron z



pozycji wstecznych.

Wszyscy oni, a przynajmniej w olbrzymiej większości, biorąc władzę, chcą zmian.

Liberalizm

ich jest uwarunkowany nasileniem konserwatyzmu ostatnich lat pontyfikatu poprzedników.

Wypadek Piusa IX jest najskrajniejszy. Liberalizm pierwszych lat szczyty, przełom szybki i

gwałtowny, a cała reszta w nieskończoność wlokącego się pontyfikatu okropnie wsteczna. E.

twierdzi jednak, że w mniejszym formacie, i nie o tak gwałtownej amplitudzie wahnięcia,

zjawisko podobne można zaobserwować nieraz, studiując historie papieży.

– Jakże ja mam teraz coś podobnego wydać – martwi się o swoją pracę E.

– Nie na czasie? – pytam.

– Zanadto na czasie – odpowiada E. – Pan wie, że ja nie jestem wrogiem Watykanu.

Studiuje

tylko jego sprawy krytycznie. Wyniki są niewinne. Zawsze jednak w najgorszym kierunku

zaktualizuje je bieżący stan rzeczy czy bieżące wydarzenie. Wycofuję się wtedy.

E. wstaje i długo szuka po różnych półkach. Na koniec wraca przed biurko z teczką w ręku.

– Mimo to, co powiedziałem – mówi – każdy pontyfikat ma swoje cechy i kiedy się rozpoczyna, kryje niewiadome. A więc może nowy dogmat, nowych świętych, nowe zakony i

tym podobne rzeczy. Pewniejsze jest jednak od tego, że nie zniesie

dotychczasowych dogmatów,

nie przekreśli starych świętych, nie skasuje starych zakonów. Poza tym, i to jest również ważne,

nigdy, pod żadnym warunkiem nie naruszy proporcji „nowego” w stosunku do „starego”. To

znaczy proporcji pomiędzy tym, co ewentualnie wprowadzi w życie jeden papież, panujący przez

kilkanaście lat, a tym, co zostało wprowadzone w życie przez jego poprzedników w ciągu

nieomalże dwu tysięcy lat. Proporcja ta wydaje mi się nieraz czysto matematyczna, a

przynajmniej zbliżona do takiej. Dlatego rzucone na ogromne tło czasu „nowe” zwięź się,

maleje. Maleje do tego stopnia, że niektórzy wątpią o jego istnieniu.

E. zaczyna grzebać w teczce, nie przerywając, jak to on, swego wywodu.

– Przez to jednak nie można powiedzieć, by Kościół od dwu tysięcy lat dolewał tylko po

jednej kropli nowego do starej kadzi. Jeśli wziąć jego dzieje w całości, uderza, że i same kadzie

się zmieniają. O ile więc nie należy za dużo uwagi przywiązywać do różnic między poszczególnymi następującymi po sobie pontyfikatami, niewątpliwie należy uwzględniać różnice

pomiędzy różnymi epokami w życiu Kościoła. Nad charakterystyką tych poszczególnych epok

też kiedyś pracowałem. Na moment zatrzymam pańską uwagę przy podstawowym rysie

ostatniej.

Nazywam ją w moich notatkach „epoką decentrycznego konserwatyzmu”. Termin brzmi ekscentrycznie! Chodzi mi o to, że w odróżnieniu od poprzedniej epoki, po-reformacyjnej epoki,

w której Kościół starał się uratować to, co jeszcze się dawało uratować ze starych ustrojów

katolickich, w późniejszej epoce, to znaczy naszej, dąży do uratowania tego, co się jeszcze da

uratować ze starych ustrojów łouł court. Katolickich, niekatolickich, protestanckich,

mieszkańskich, monarchistycznych, dyktatorskich, totalitarnych, a więc wszystkich modeli, z

wyłączeniem modelu najnowszego. Kościół od kilkudziesięciu lat czyni to świadomie. A

przynajmniej od czasu Leona XIII. On to pierwszy nawiązał stosunki dyplomatyczne z

państwami niekatolickimi i w ogóle rozszerzył sieć nuncjuszy. W stosunku do wszystkich starych

ustrojów Kościół jest lojalnym partnerem. Cały swój autorytet rzuca na szalę starego. Nie chce

kontaktów z nowym, nie prowadzi żadnych kompromitujących konszachtów. Czynią to jednostki, niekiedy za zgodą uzyskaną in alto loco. Ale zawsze czasową, to

znaczy wcześniej czy

później odwoływaną. Smutne szamotanie się różnych myślicieli, różnych grup, różnych

politycznych odłamów katolickiej lewicy, dowodzą tego. Zawsze w końcu spada i ucina im

głowę gilotyna Sw. Oficjum, i nie może być inaczej. W przeciwnym razie nuncjusze po całym

świecie nie mogliby z czystym sumieniem przypominać, komu należy, słowami kardynała

Bourret, że „katolicyzm jest nie tylko sprawą prywatną, ale siłą społeczną, której należy przyjść z

pomocą, aby się nią posłużyć dla umocnienia dobrego ładu”. W pańskim szczególnym przypadku, czy raczej nie pańskim, a Polskim, albo jeszcze ściślej, w przypadku tej waszej,

chciałoby się powiedzieć „polskiej drogi do nieba”, może by kardynał Bourret, którego nota bene

często w Paryżu cytował nuncjusz Roncalli, inaczej wystylizował swoje zdanie. Ale zasadniczo

na wszystkim ciążyą prawa i cele owego decen-trycznego konserwatyzmu. Myśl niejednego

katolika, od szeregowca począwszy, na purpuratach kończąc, nawet i wyżej, może się z nich

wyzwolić, lecz Kościół jako organizacja – nigdy.

Rzym, 10 listopada 58 r.

Pakowania, pożegnania, westchnienia. Co za miasto, ten Rzym, nie można się nim nasycić, a

najbardziej, kiedy się z niego wyjeżdża. Z Zosią idziemy do starego C. T. Zawsze nas zapraszał

do swego teatru na sztuki, w których występował. W nowej nie gra. Przychodzi przysiąc się do nas na salę. A na antrakt idziemy do niego, do dyrektorskiego gabinetu. Organizuje on od czasu do czasu spektakle religijne dla różnych przybudówek watykańskich, nawet pod auspicjami rozmaitych kongregacji. Miewał kłopoty z tekstami. Teraz jest lepszej myśli. Będzie mógł nawet grać Montherlanta i przeróbki Bernanosa, których dotąd nie mógł przeprzeć. Pytam go, co sądzi w ogóle, bo mówi, że jeździł do Wenecji parę razy reżyserować spektakle obstalowane przez patriarchat i że przy tej okazji zetknął się z dzisiejszym Janem XXIII. Podoba mi się jego odpowiedź, jej terminologia teatralna i to, że C. T. w jednym zdaniu zamyka całą treść mojej niedawnej długiej rozmowy z E. Stary aktor mówi: „Wie pan, cóż? Koncepcja roli będzie inna, ale rola będzie ta sama!”